
DALEKO OD RZYMU

BLISKO BOGA

Świadectwa 58 nowo narodzonych księży

**Zebrali:
Richard Bennet
Martin Buckingham**

Skład przy pomocy:



Spis treści

1. Przedmowa	4
2. Wstęp	5
3. Podziękowania	10
4. Podziękowania do wydania polskiego	11
5. Świadełstwo nawróconego księdza Anthony'ego Pezzotty	12
6. Świadełstwo nawróconego księdza Mariana Rughiego	14
7. Świadełstwo nawróconego księdza Manuela Garrida Aldamy	18
8. Świadełstwo nawróconego księdza Petera Alphonsusa Sequina	22
9. Świadełstwo nawróconego księdza Henry'ego Gregory'ego Adamsa	24
10. Świadełstwo nawróconego księdza Charlesa Berry'ego	26
11. Świadełstwo nawróconego księdza Charlesa Mrzeny	30
12. Świadełstwo nawróconego księdza Daria A. Santamarii	32
13. Świadełstwo nawróconego księdza Jose Borrassa	34
14. Świadełstwo nawróconego księdza Leo Lehmana	36
15. Świadełstwo nawróconego księdza Bartholomew F. Brewera	40
16. Świadełstwo nawróconego księdza Boba Busha	46
17. Świadełstwo nawróconego księdza Alexandra (Sandy'ego) Carsona	52
18. Świadełstwo nawróconego księdza Charlesa A. Boltona	55
19. Świadełstwo nawróconego księdza Enrique Fernandez	59
20. Świadełstwo nawróconego księdza Miguela Carvajala	61
21. Świadełstwo nawróconego księdza Anibala Pereiry dos Reisa	64
22. Świadełstwo nawróconego księdza dr. Arnalda Uchoy Cavalcantego	68
23. Świadełstwo nawróconego księdza Guida Scalziego	70
24. Świadełstwo nawróconego księdza Charlesa Chiniquy	74
25. Świadełstwo nawróconego księdza Carla Fumagallego	79
26. Świadełstwo nawróconego księdza Gregora Dalliarda	85
27. Świadełstwo nawróconego księdza Pina Scalabrina	88
28. Świadełstwo nawróconego księdza Jose A. Fernandez	90
29. Świadełstwo nawróconego księdza Hermana Heggera	98
30. Świadełstwo nawróconego księdza J. M. A. Hendriksena	105
31. Świadełstwo nawróconego księdza Hugh Farrella	110
32. Świadełstwo nawróconego księdza Roberta V. Julienu	118
33. Świadełstwo nawróconego księdza Francisca Rodriguez	120
34. Świadełstwo nawróconego księdza Simona Kottoora	122
35. Świadełstwo nawróconego księdza Jose Manuela de Leona	125
36. Świadełstwo nawróconego księdza Johna Prestona	127
37. Świadełstwo nawróconego księdza Edoarda Labanchiego	129
38. Świadełstwo nawróconego księdza Juana T. Sanza	134
39. Świadełstwo nawróconego księdza Francisca Lacuevy	137
40. Świadełstwo nawróconego księdza Renata di Lorenza	140
41. Świadełstwo nawróconego księdza Celsa Muniza	142
42. Świadełstwo nawróconego księdza Franca Maggiotta	145

43. Świadectwo nawróconego księdza Marka Peny	151
44. Świadectwo nawróconego księdza Thomasa Connellana	154
45. Świadectwo nawróconego księdza Benigna Zunigi	156
46. Świadectwo nawróconego księdza Luisa Padrosy	158
47. Świadectwo nawróconego księdza Bruna Bottesina	160
48. Świadectwo nawróconego księdza Jose Rica	162
49. Świadectwo nawróconego księdza Johna Zanona	165
50. Świadectwo nawróconego księdza Salvatore Gargiula	167
51. Świadectwo nawróconego księdza Vincenta O'Shaughnessy'ego	170
52. Świadectwo nawróconego księdza Cipriana Valdesa Jaimesa	174
53. Świadectwo nawróconego księdza Thoufica Khouriego	177
54. Świadectwo nawróconego księdza Josepha Tremblaya	185
55. Świadectwo nawróconego księdza Victora J. Affonsa	190
56. Świadectwo nawróconego księdza Jacoba van der Veldena	196
57. Świadectwo nawróconego księdza Toona Vanhuysse	199
58. Świadectwo nawróconego księdza Josepha Zachella	202
59. Świadectwo nawróconego księdza Josepha Lulichy	204
60. Świadectwo nawróconego księdza Orlanda Moliny	207
61. Świadectwo nawróconego księdza Romana Mazierskiego	208
62. Świadectwo nawróconego księdza Richarda Petera Bennetta	215
63. Epilog	223

Przedmowa

Lektura tej książki była dla mnie doznaniem wielce radosnym, lecz i smutnym zarazem. Radość budziło obecne w każdym rozdziale przypomnienie, czym jest prawdziwe chrześcijaństwo. W Pierwszym Liście do Koryntian 15,3–4 apostoł Paweł ukazuje śmierć i zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa jako fundamenty wiary. Chrześcijaninem jest zatem ten, kto rozumie sens śmierci, jaką poniósł w jego miejsce Chrystus, i kto zarazem poznał Chrystusa jako żyjącego Zbawcę. Królestwo Boże nie jest stanem, do którego przechodzi się po śmierci, ale — jak uczy sam Chrystus w trzecim rozdziale Ewangelii Jana — wchodzimy do niego w chwili, gdy rodzimy się na nowo i po raz pierwszy zaczynamy „widzieć” sprawy duchowe. Książka zawiera świadectwa wielu ludzi, w przeważającej mierze nie znających się nawzajem, żyjących z dala od siebie, którzy dzięki łasce Bożej poznali żywego Chrystusa. Mówią o tym nie w celu pozyskania zwolenników, czy to swojej osoby, czy jakiejś organizacji, czy też konkretnego kościoła. Pragną, aby to sam Chrystus dawał się poznawać i aby inni ludzie w każdym miejscu świata mogli zaznać tej samej radości, jaka stała się ich udziałem. Zarazem jest to jednak książka smutna, pokazuje bowiem, że uważając się za chrześcijanina, a nawet angażując się w pracę w żywych wspólnotach kościelnych, bywamy nieraz jak Nikodem z trzeciego rozdziału Ewangelii Jana: nie mamy pojęcia o prawdziwym zbawieniu. Składają tu świadectwa ludzie, którzy spostrzegli, że kościół rzymskokatolicki nie jest wcale pewnym przewodnikiem ku Chrystusowi, co więcej, że odwodzi ich od Niego. Na łożu śmierci kardynał Heenan wyznał: „Kościół dał mi wszystko”. Świadectwo bohaterów tej książki postawi Czytelnika przed pytaniem: Czy kościół rzymskokatolicki rzeczywiście daje człowiekowi to, co twierdzi, że daje? Na pytanie to zdołamy odpowiedzieć tylko wtedy, jeśli za probierz przyjmiemy Biblię. A gdy skierujemy do Boga szczerą modlitwę o światło i pomoc, skutki będą podobne jak w życiu autorów tych świadectw. Lecz pamiętajmy, że zejście na manowce może grozić członkowi każdego kościoła, nie tylko rzymskokatolickiego. Każdy kościół, który nie wpaja swoim członkom, aby pokładali ufność nie w człowieku, ale w samym Chrystusie, ulegnie temu samemu zaślepieniu. Wierzę, że słów spisanych na kolejnych stronicach użyje Bóg ku swojemu uwielbieniu. Nie są to bowiem słowa osób poszukujących własnego rozgłosu, ale świadectwa ludzi spragnionych chwały Chrystusa i Jego Słowa. Chrześcijanin to grzesznik, nędzny wprawdzie, ale odkupiony, dla którego Chrystus poświęcił wszystko. Oby książka ta rozgłosiła takie świadectwo po całym świecie!

Iain H. Murray, Edynburg 18 VIII 1993

Wstęp

Richard Bennett (jeden z pięćdziesięciu ośmiu)

Nietrudno dostrzec wątek biegnący przez doświadczenia tych blisko sześćdziesięciu byłych księży: Kierowało nami silne pragnienie odróżnienia się od otoczenia. Chcieliśmy być czystszy, bliżsi Bogu, mieć przed Nim nieskałane sumienie. Wybraliśmy kapłaństwo, licząc, iż pozwoli nam to krok po kroku udzielać zbawienia bliźnim. Fascynowały nas szacunek społeczny i romantyzm tego powołania; znani nam księża cieszyli się poważaniem i szczególnymi przywilejami. Wysłuchiwanie spowiedzi, odpuszczanie grzechów, sprowadzanie na ołtarz Chrystusa, niezwykłość roli „zastępcy Chrystusa” — to nas pociągało. Mówiąc słowami Grahama Greena z jego powieści poświęconej tej tematyce, pociągała nas „moc i chwała”. Nasze doznania związane z pełnieniem roli kapłana są różnorakie, lecz główny wątek jest wspólny. Dobrze oddaje go Jose Fernandez: „Chwała kapłańskiego życia, tajemniczość klasztoru i roztaczana przede mną perspektywa zbawienia duszy przytłumiły naturalny smutek, jaki budził się w sercu na myśli o opuszczeniu rodziny i dzieciennego domu”. Celso Muniz wspomina:

Od dzieciństwa głęboko pragnąłem tego, co rzeczywiste i pewne. Jako młody chłopak doszedłem do wniosku, że kapłaństwo to najlepszy sposób, aby doświadczyć prawdy i uzyskać zbawienie duszy. Nauczyciel w szkole powiedział mi kiedyś: „Prędzej kamień pływałby po powierzchni wody, niż ksiądz miałby znaleźć się w piekle”.

Decyzja o kapłaństwie wiązała się też z przywilejami przynależnymi księdzu rzymskokatolickiemu — z nadzieją na „moc i chwałę” systemu sakramentalnego, którego najoczywistszym szafarzem jest właśnie kapłan miejscowej parafii. Jako dzieci i nastoletni chłopcy, a nawet już jako młodzi kapłani, nie zastanawialiśmy się natomiast nad pewnymi podstawowymi tezami, których nikt nigdy nie wyjaśniał, ale i nikt nigdy nie kwestionował. A były to tezy następujące:

1. W Nowym Testamencie istnieje taki właśnie urząd kapłana składającego ofiary,
2. Życie kapłana obraca się wokół sakramentów,
3. Jesteśmy godni tego zaszczytu.

Mocno trudziliśmy się, aby być „świętymi”, toteż uznajemy, że zasłużyliśmy sobie na nasz niepodważalny status przed Bogiem.

Urząd kapłański

Czyż można więc wyobrazić sobie szok, jaki przeżył każdy z nas — zaszczycony honorem urzędu kapłańskiego — kiedy na początku lat siedemdziesiątych poznał opinię jednego z najlepszych biblistów katolickich Raymonda E. Browna?

Przejdźcie z Testamentu Starego do Nowego zadziwia nas faktem, że choć na arenie pozostają kapłani pogańscy i żydowscy, to żaden pojedynczy chrześcijanin nie otrzymuje wyłącznie dla siebie tytułu kapłana. List do Hebrajczyków mówi o arcykapłaństwie Jezusa, porównując Jego śmierć i wstąpienie do nieba z czynnościami żydowskiego arcykapłana, który raz w roku wchodził do Miejsca Najświętszego w Przybytku z ofiarą krwi za siebie i za grzechy ludu (Hbr 9,6–7). Zauważmy, że autor nie kojarzy kapłaństwa Jezusa z pojęciem Eucharystii czy Ostatniej Wieczerzy, nie sugeruje też, że chrześcijanie są kapłanami na podobieństwo Jezusa. Wrażenie jedności i ostateczności znamionujących kapłaństwo Jezusa, jakie emanuje

z Listu do Hebrajczyków 10,12–14, wyjaśnia, dlaczego w okresie nowotestamentowym nie ma kapłanów chrześcijańskich.¹

W dalszej części tego samego rozdziału Brown opowiada się za kapłaństwem na wzór klasy lewickiej w Starym Testamencie. Argumentację na rzecz takiego stanowiska doktrynalnego opiera jednak wyłącznie na pojęciu tradycji. Nawet jeśli o Biblii wiedzieliśmy niewiele, pamiętaliśmy, że to faryzeusze stawiali tradycję ponad Słowem Bożym. Brown więc miał ukoić nasze wzburzone myśli, zachwiać pewnością, iż istotnie jesteśmy kapłanami. Dziś wiem, że jego twierdzenia są zarówno z biblijnego punktu widzenia jak i bezwzględnie prawdziwe. W Nowym Testamencie poza królewskim kapłaństwem, obejmującym wszystkich prawdziwie wierzących, nie ma miejsca na urząd kapłana. Jakże trafnie głosi List do Hebrajczyków:

„Więc też onych wiele bywało kapłanów dlatego, iż im śmierć nie dopuściła zawsze trwać. Ale ten, iż na wieki zostaje, wieczne ma kapłaństwo, Przetoi i doskonale zbawić może tych, którzy przez niego przystępują do Boga, zawsze żyjąc, aby orędowną za nimi” (Hbr 7,23–25).

Wspomniane tu „kapłaństwo nieprzechodnie” określono po grecku słowem *aparabatos*, „nieprzekazywalne”. Nie może być ono przekazane ludziom, bo w swej istocie należy do Pana, zgodnie z kolejnym werselem:

„Takiegoo zaiste przystało nam mieć najwyższego kapłana, świętego, niewinnego, niepokalanego, odłączonego od grzeszników i który by się stał wyższy nad niebiosą”.

Życie kapłana obraca się wokół sakramentów

Według drugiego założenia katolickie sakramenty to — jak głosiły nasze katechizmy — „zewnętrzne znaki wewnętrznej łaski”. Zgodnie więc z kanonem 840 wierzyliśmy, iż sakramenty, w największym stopniu przyczyniają się do wprowadzenia „umocnienia i zamianifestowania kościelnej wspólnoty”.² Stały one dla nas w centrum kwestii zbawienia i uświęcenia. Kanon 960 uczył, że spowiedź i rozgrzeszenie to „jedyne zwyczajne sposoby, przez który wierny, świadomy grzechu ciężkiego, dostępuje pojednania z Bogiem”. Miał głosić dokonane dzieło Chrystusa Jezusa, jedynego Leku na problem naszej grzesznej natury i nagminnych upadków, zniewolono nas przekonaniem, iż każdy dzień ma się obracać wokół tych fizycznych znaków. Doznawaliśmy wstrząsu, czytając u Dollingera, najznakomitszego historyka rzymskokatolickiego, iż spowiedź nie była znana w kościele zachodnim przez całe 1100 lat, a w kościele wschodnim nie występowała nigdy: „Podobnie z pokutą. To, co uchodzi za zasadniczą formę tego sakramentu, nie było znane w kościele zachodnim przez jedenaście stuleci, w greckim zaś nigdy”.³ Jak to? Przecież arcykapłanami zostali ogłoszeni „najpierw biskupi!” (kanon 835). Czyż więc i my jako kapłani nie jesteśmy szafarzami sakramentów? Niestety, w świetle Słowa Bożego pogląd taki to raczej magia niż ewangeliczne poselstwo. W Nowym Testamencie znajdujemy dwa znaki ustanowione przez Pana; czołowe miejsce w Biblii zajmują jednak nie one, lecz głoszone poselstwo. Dla nas sakramenty miały wagę kardynalną; przecież każdy dzień rozpoczynał się mszą. Wątpliwości co do tak wielkiej wagi fizycznych znaków w życiu z Bogiem rodziły się z osobistych doświadczeń. Przez lata pracy kapłańskiej ochrzciliśmy rzesze niemowląt, a słowa: „Przez posługę Kościoła ja odpuszczam tobie grzechy” wypowiadaliśmy nad tysiącami głów. Namaszczyliśmy dłonie starych, chorych i ofiar wypadków, mówiąc: „Niech Pan, który odpuszcza ci grzechy, będzie ci ratunkiem i podźwignie cię”. Rok po roku patrzyliśmy, jak ochrzczone przez nas dzieci wyrastają na takich samych pogan, jakich można spotkać na najodleglejszej misji. Ludzie, którym udzielaliśmy rozgrzeszenia, podnosili się z klęczek jako tacy sami grzesznicy jak dotąd. Gdy zaś chorzy i starzy nie zostawali ani zbawieni, ani „podźwignięci”, niektórzy z nas decydowali się w końcu zajrzeć do Biblii. A tam odkrywaliśmy, że:

„Duchci jest, który ożywia, ciało nic nie pomaga; słowa, które ja wam mówię, duch są i żywot są” (J 6,63).

„Odpowiedział Jezus i rzekł mu: Zaprawdę, zaprawdę powiadam ci: Jeżeli się kto nie narodzi znowu, nie może widzieć królestwa Bożego” (J 3,3).

¹ Raymond E. Brown, *Priest and Bishop: Biblical Reflections*, Paulist Press, New York 1970, s. 13.

² Kodeks prawa kanonicznego, Pallottinum, 1984. Wszystkie cytaty z prawa kanonicznego pochodzą z tego wydania; chyba że zaznaczono inaczej.

³ Ignaz von Dollinger, *The Pope and the Council by Janus* (autoryzowany przekład z niemieckiego „Janus”: *Der Papst und das Concil*), Roberts Brothers, Boston 1870, s. 50.

„Albowiem łaską jesteście zbawieni przez wiarę, i to nie jest z was, dar to Boży jest; Nie z uczynków, aby się kto nie chlubił” (Ef 2,8–9).

Największym zaskoczeniem były słowa z Listu do Efezjan. Główne definicje określały przecież sakrament jako „uczynek”, jak choćby kanon 8 soboru trydenckiego o sakramentach w ogólności: „Jeśli ktoś twierdzi, że sakramenty Nowego Przymierza nie udzielają łaski mocą samego aktu (ex opere operato), ale że wystarcza wiara w obietnicę Bożą do uzyskania łaski, niech będzie wyłączony ze społeczności wiernych”.⁴ Z trudem przychodziła nam próba podważenia wagi sakramentów — sprawowanie tych i innych fizycznych znaków zajmowało przecież większość naszego czasu. Oto w czasie Wielkiego Postu i Wielkiego Tygodnia musieliśmy dbać o nabycie i przygotowanie nowo poświęconych olejów, paschału, palm, popiołu z palm z ubiegłego roku, krzyża noszonego podczas procesji, kadzielnicy, węgla i kadzidła, szkarłatnych, czerwonych i białych szat itd. Jakżeby ktoś z nas mógł zdobyć się w tych okolicznościach na posłuszeństwo słowom Pana, brzmiącym tak jednoznacznie w Ewangelii Jana 6,63?

Duch daje życie; ciało na nic się nie przyda. Słowa, które Ja wam powiedziałem, są duchem i są życiem (J 6,63).

Lecz trudno było zatykać uszy na ich dźwięk — co potwierdza ponad pięćdziesiąt świadectw w tej książce. Ojciec pociągnął nas ku Sobie, obnażając naszą niegodność i objawiając Swą wystarczającą prawdę, zawartą w słowach:

Poświęć je w prawdzie twojej; słowo twoje jest prawdą (J 17,17).

Niegodni czci

Ostatnia z zasad była najdonioślejszą i najgłębiej w nas zakorzenioną. Już jako dziecko, nim jeszcze pomyślałem o kapłaństwie, starałem się być „świętym”. W Wielkim Poście rezygnowałem ze słodczy i słodkich napojów, pragnąc być lepszym katolikiem. W ciągu jednego dnia odwiedzałem dziewięć kościołów, w każdym odmawiając po sześć „Ojczy nasz”, sześć „Zdrowaś Mario” i sześć „Chwała Ojcu”; w tym samym czasie moi rówieśnicy czynili ze „świętości” przedmiot zabawy, wkładając do ust klęczącym kolegom białe miętówki, tak jak ksiądz rozdaje komunikanty. Już jako księża, przyjęliśmy w większości z entuzjazmem II sobór watykański. Po ukazaniu się drukiem jego dokumentów wielu z nas głosiło na ich podstawie kazania. Do najpopularniejszych należała Konstytucja Duszpasterska o Kościele w świecie Współczesnym. Ale gdy emocje nieco opadły, niejeden z nas spostrzegł, że poselstwo Vaticanum II jest tym samym, czym od lat żyliśmy i czego od lat nauczaliśmy:

Ale człowiek zraniony przez grzech [...] wraca do tych wewnętrznych głębi, gdy zwraca się do swego serca, gdzie oczekuje go Bóg, który bada serce, i gdzie on sam pod okiem Boga decyduje o własnym losie. . . [par. 14]. Wolność ludzka, zraniona grzechem, jedynie z pomocą łaski Bożej może to nastawienie ku Bogu uczynić w pełni skutecznym [par. 17].⁵

Nowe nauczanie mocno przypominało stare poselstwo. Mogliśmy je również odnaleźć w nieco mniej znanym dokumencie numer ⁶: Indulgentiarum Doctrina. Jego paragraf 6 głosi: Od najdawniejszych czasów w kościele dobre uczynki były także ofiarowywane Bogu dla zbawienia grzeszników, zwłaszcza zaś uczynki trudne dla ludzkiej słabości [...] modlitwom i dobrym uczynom ludzi świętych przypisywano wartość tak wielką, iż można przyjąć, że grzesznik bywał obmyty, oczyszczony i odkupiony z pomocą całego ludu chrześcijańskiego.

Nauki te znalazły potwierdzenie w poselstwach z Lourdes i Fatimy. W ramach trzeciej, najważniejszej zasady mieściła się wiara, że wiele dusz idzie do piekła tylko dlatego, iż nikt nie modli się za nie i nie czyni pokuty. Nie zapominaliśmy o łasce, ale jednak to człowiek przez cierpienia i dobre uczynki miał wysłużyć zbawienie sobie i innym. W tej to, drogi Czytelniku, sieci zaciągniętej mocno przez rzymski katolicyzm tkwiliśmy, żyjąc podług ewangelii uczynków. Przeświadczenie, iż z jakiejś racji jesteśmy święci i sprawiedliwi w oczach świętego Boga, bo modlimy się i cierpimy, i że jako sprawiedliwi i święci będziemy

⁴ XIX Sobór Powszechny, Trydencki, VII sesja (1547). O sakramentach; [w:] Breviarium Fidei, Księgarnia św. Wojciecha, Poznań 1964, s. 435.

⁵ Dokumenty II soboru watykańskiego, nr 64 Gaudium et Spes, Wydawnictwo Wrocławskiej Księgarni Archidiecezjalnej, 1986.

⁶ Tłumaczenie własne na podstawie Documents of Vatican II, Vatican Collection, t. 1, red. Austin P. Flannery, O. P., Eerdmans, Grand Rapids 1984. (Choć nr 6, Indulgentiarum Doctrina z dnia 11/1967, jest jak najbardziej oficjalnym podstawowym dokumentem źródłowym i bywa czasem zaliczany do dokumentów Vaticanum II, to ściśle rzecz biorąc jest to dokument posoborowy, autorstwa Pawła VI).

nadal praktykować naszą religię, stało się naszą największą zgubą. Jeśli bowiem uważam się za sprawiedliwego i dobrego, tyle tylko że „zranionego”, powinienem przypomnieć sobie wersety 7,20–23 z Ewangelii Marka:

„I powiedział, że co pochodzi z człowieka, to pokala człowieka. Bo z wnętrzości serca ludzkiego pochodzą złe myśli, cudzołóstwa, wszeteczeństwa, mężobójstwa, Kradzieże, łakomstwa, złości, zdrada, niewstyd, oko złe, bluźnierstwo, pycha, głupstwo. Wszystkie te złe rzeczy pochodzą z wnętrzości, i pokalają człowieka. A stamtąd wstawszy, poszedł na granice Tyru i Sydonu, a wszedłszy w dom, nie chciał, aby kto wiedział; lecz się utaić nie mógł”.

Trudno pogodzić tak diametralnie różne podejścia; słowa z Księgi Jeremiasza 17,9:

„Najzdradliwsze jest serce nadewszystko i najprzewrotniejsze, któż je pozna?, proponują nam bowiem zupełnie inne od katolickiego rozumienie ludzkiej natury”.

Człowiek w oczach Bożych

Jeśli uświadamiamy sobie własne zmagania duchowe i pojmujemy, że skutkiem grzechu Adamowego było nie tyle „zranienie”, co śmierć wszystkich ludzi — jak wyraźnie wynika z Księgi Rodzaju 2,17 — to zaczynamy całkiem inaczej rozumieć własne położenie w oczach Bożych. Czytając Księgę Ezechiela 18,20:

Dusza, która grzeszy, ta umrze; i List do Rzymian 6,23:

... zapłatą za grzech jest śmierć,

stajemy wobec dylematu. Dylemat ten musiałem rozstrzygnąć i ja: albo prawdą jest moja katolicka nauka, albo też prawdą jest Biblia. Jedno nie da się pogodzić z drugim.

Biblijne poselstwo o zbawieniu

Ustępy takie jak 1List Piotra 1,18–19:

Wiedząc, iż nie skazitelnymi rzeczami, srebrem albo złotem, wykupieni jesteście od marnego obcowania waszego, od ojców podanego. Ale drogą krwią, jako baranka niewinnego i niepokalanego, Chrystusa;

Księga Izajasza 53,5–6:

Lecz on zraniony jest dla występków naszych, starty jest dla nieprawości naszych; każń pokoju naszego jest na nim, a sinością jego jesteśmy uzdrowieni. Wszyscyśmy jako owce zbłądzili, każdy na drogę swą obróciliśmy się, a Pan włożył nań nieprawość wszystkich nas. oraz 1List Jana 2,2:

A on jest ubłaganiem za grzechy nasze; a nie tylko za nasze, ale też za grzechy wszystkiego świata,

pozwoliły mi pojąć, iż według Biblii zbawienie jest bezsprzecznie dziełem samego Jezusa i tylko Jego. List do Hebrajczyków 1,3 podsumowuje:

... oczyszczenie grzechów naszych przez samego siebie uczyniwszy...

Wersety te otworzyły mi oczy na prawdziwą istotę zbawienia i odkupienia: dokończone dzieło Chrystusa Jezusa. Drogi Czytelniku, według Listu do Rzymian 3,26 Bóg jest

„sprawiedliwym i usprawiedliwiającym tego, który jest z wiary Jezusowej”.

Zbawienie człowieka to dzieło tylko samego Boga, dzieło niepojęte, lecz dokończone. Świadcstwo temu daje tych z górą pięćdziesięciu mężczyzn, którzy tylko Jemu zawierzyli. Odślonili oni przed nami materię całego swojego życia, przetykaną w każdym przypadku szkarłatną nicią łaski Bożej. Dla Boga każdy człowiek jest martwy w swoich grzechach. Łaską jesteśmy zbawieni, przez wiarę. Jako katolicy księża, byliśmy w tej posłudze szczerzy, pobożni i z serca oddani kościołowi rzymskiemu. I wtedy właśnie — jak mówi Robert Julien — usłyszeliśmy, Jego cichy „łagodny głos”. Serdecznie zachęcam do lektury świadectw o dziele łaski Bożej w życiu człowieka — gdyż w tym właśnie tkwi sedno książki. Stosunek biblijnej nauki o kapłaństwie do naszego dawniejszego rozumienia pojęcia „kapłaństwo” stanie się jasny w miarę lektury osobistych świadectw, złożonych przez ludzi, którzy doświadczyli zarówno kapłaństwa fałszywego, jak i kapłaństwa prawdziwego: kapłaństwa wszystkich wierzących w ofiarę Chrystusa Jezusa, złożoną raz na zawsze. Najlepsze podsumowanie doświadczeń, przez jakie bohaterowie tej książki przechodzili jako kapłani kościoła rzymskokatolickiego, znajdziemy w słowach Drugiego Listu do Koryntian 4,1–2:

„Dlatego mając to usługiwanie, tak jakośmy miłosierdzie otrzymali, nie słabiejemy. 2 Aleśmy się odrzekli skrytej sromoty, nie obchodząc się chytrze, ani fałszując słowa Bożego; ale objawieniem prawdy zalecając samych siebie u każdego sumienia ludzkiego przed obliczem Bożem”.

Richard M. Bennett, Portland, Oregon 7 VIII 1995 roku

Podziękowania

Same świadectwa są dziękczynieniem Bogu i oddaniem Mu chwały za łaskę, dzięki której nastąpiły opisane wydarzenia. Dziękując Bogu, chcemy też wyrazić uznanie Jego sługom, którzy trudzili się nad niniejszym zbiorem. Jest wśród nich Janice Buckingham, żona Martina, od początku prac nad książką będąca dla niego ogromnym pokrzepieniem. Bez jej wytrwałości książki po prostu by nie było. Także przygotowania prowadzone w Stanach Zjednoczonych to dzieło zbiorowe, ze szczególnym jednak wkładem Carolyn Bennett. Sprawy wydawnicze, gospodarcze i finansowe spoczęły na barkach J. A. Tony'ego Tostiego (P. O. Box 2396 Vancouver, WA 98668, USA), któremu jesteśmy głęboko wdzięczni w Panu. Za przekłady z innych języków, dokonane z takim zapalem, dziękujemy Michaelowi i Chris Reynoldsom z Wielkiej Brytanii. Gdy pękaty maszynopis był gotów do wpisania do komputera, Pan dał nam pomoc w Ameryce: oddanych, niestrudzonych Johna i Bonnie Tantanelłów. Od początku aż dotąd, do drugiego wydania, wiernie wykonują oni tę pracę w Panu. Niech Pan błogosławi Sylwię Thompson i Denise Hiller za ich oddanie w pracy nad drugim wydaniem. Staranną korektę wykonał pastor Ed Bauer, któremu najszczerczej dziękujemy. Szereg świadectw opublikowano po raz pierwszy; inne ukazały się już w postaci broszur, bez zastrzeżenia praw autorskich. Część drukowano wcześniej w czasopismach, jeszcze inne są wyjątkami z wcześniej wydanych książek. Za możliwość druku wyjątków z książki-świadectwa Romana Mazierskiego *A Light Shines in Poland* dziękujemy Księgarni Chrześcijańskiej Mayflower z Southampton (Wielka Brytania). Za pozwolenie na wykorzystanie świadectwa Johna Prestona składamy podziękowania pismu *The Reformer*, publikacji Przymierza Protestantckiego (Protestant Alliance) z Bedford w Wielkiej Brytanii, i Towarzystwu Prawdy Protestantckiej (The Protestant Truth Society) z Londynu. Dziękujemy Wydawnictwu Uniwersytetu Boba Jonesa za możliwość reprodukcji okładki książki *Pilgrimage from Rome* [tytuł polski: *Pielgrzymka z Rzymu*], a także samemu Bartowi Brewerowi za świadectwo i za przekazane nam zdjęcia. Nawrócony ksiądz Henry Gregory Adams wielce nas ubłogosławił, zezwalając na druk swego świadectwa i zdjęć oraz dając znać o siedmiu innych świadectwach zamieszczonych w piśmie Josepha Zachella *The Converted Catholic*. Podziękować za to możemy tylko Panu, gdyż Brat Zachello jest już u Niego, a praw autorskich tych świadectw nie zastrzeżono. Przybytkowi Metropolitalnemu (Metropolitan Tabernacle) z Londynu, wydawcom publikacji *How Real Is Your Religion*, pragniemy podziękować za sześć świadectw. Dziękujemy Rolandowi Hallowi i Włoskiej Wspólnocie Misyjnej (Italian Missionary Fellowship) z Londynu za kontakt z Salvatorem Gargiulem i Edoardem Labanchim i uzyskanie pozwolenia w sprawie świadectw i zdjęć tych Braci. Włoska Wspólnota Misyjna jest filią WEC International. Dziękujemy Loizeaux Brothers z New Jersey za pozwolenie na publikację okładek książek Josepha Zachella: *Secrets of Romanism* i *The Ins and Outs of Romanism*. Wielebnemu Donaldowi Maconaghie z Ośrodka Nawróceń (Conversion Center) w Havertown (Pennsylvania) dziękujemy za możliwość druku świadectwa i zdjęć Jose A. Fernandez. Wielką pomocą był Frank Eberhardt z Misji Ewangelii (Gospel Outreach). Jesteśmy mu wdzięczni za pozwolenie na wykorzystanie świadectw Charlesa Mrzeny, Charlesa Boltona i Charlesa Chiniqy. Prawdziwą radością był kontakt z Sandym Carsonem. Dziękujemy mu za przeredagowanie świadectwa „Rzeczywiście wolny”, jego wydawcy zaś za pozwolenie na publikację. Dziękujemy też Huntington House z Florydy za pozwolenie na reprodukcję okładki książki *Free Indeed*. Wielką pociechą w pracy był Cornelius Bas, którego drobiazgową dokładność i oddanie w dziele tłumaczenia świadectw braci z Holandii były szczególnie cenne. Mike Stevens okazał nam tak cenną w ostatnich chwilach pomoc. Niech sam Pan go wynagrodzi, jak i wszystkich, którzy w jakiegokolwiek mierze trudzili się przy tej książce.

Podziękowania do wydania polskiego

Z głęboką bojaźnią i sercem przepelnionym wdzięcznością przychodzę przed naszego Pana i przed Tron Jego łaski, bo zatroszczył się On o to, aby przedsięwzięcie się powiodło. Świadczenia zawarte w tej książce są relacją o niepojętej miłości i łasce Boga, jaką okazuje On dziś grzesznym ludziom. Dzięki niech będą Bogu za Jego niewyobrażalny dar (2Kor 9,15). Dziękując Bogu, chcę też wyrazić wdzięczność wielu Braciom oraz Siostram, którzy wspomogli nas w tej pracy. Dziękuję panu Martinowi Buckinghamowi i panu Richardowi Bennetowi, redaktorom angielskiego oryginału książki, za chętnie udzielenie mi praw wydawniczych do polskiej edycji. Zwłaszcza pan Bennett od samego początku aż dotąd służył mi pomocą i radą jako miłujący Brat i Współbojownik w Chrystusie, pełen troski o zgubione dusze i o dzieło Chrystusowe. Dziękuję również wszystkim 58 byłym księżom katolickim, którzy zechcieli podzielić się doświadczeniami swojego życia. Niektórzy z nich wprawdzie już odeszli do Pana, ale ich świadectwa nadal żyją, bo uwierzyli oni w Jezusa Chrystusa, który jest Zmartwychwstaniem i Życiem. Prace nad polskim przekładem książki nie posunęłyby się tak daleko, gdyby nie cenny czas i wysiłek wszystkich, którzy trudzili się nad wersją oryginalną. Choć nie wymienię Was tutaj z nazwiska, przyjmijcie najserdeczniejsze podziękowania. Nie pomogę też nie wspomnieć o pomocy, jakiej udzielił mi pan Gilbert Geraldo w chwili, gdy idea wydania książki po polsku była dopiero w zarodku. To on zaufał mi i skontaktował mnie z Oficyną Wydawniczą Tiqva. Podziękowania w Panu kieruję też do naszego Brata Adama Czwojdraka z Oficyny Wydawniczej Tiqva i jego żony Siostry Oli za ich śmiałość i podjęcie się dzieła przygotowania polskiej wersji książki pomimo trudności, jakie musieli przezwyciężyć, i wielu innych prac w służbie Panu. Chcę podziękować innym Siostram i Braciom, którzy pomagali Oficynie Wydawniczej Tiqva: Magdalenie za doskonałą okładkę, Elżbiecie, Jarkowi, a zwłaszcza Tomkowi za konsultację merytoryczną oraz Jarkowi za poradę prawną. Dziękuję duńskim wierzącym: panu Nielowi Olsenowi i panu Finnowi Nielsenowi, za pomoc w przygotowaniu komputerowym, oraz wiernej Siostrze w Panu Hanne Carstensen. Mojej żonie Evie dziękuję za niestrudzoną współpracę przy realizacji całego przedsięwzięcia i za posługę w moim życiu; za zawsze wytrwałą dla mnie pomoc w służbie Panu, za bycie wierną żoną i matką, troszczącą się o codzienne potrzeby, i za niezliczone godziny modlitwy i wspólnoty. Ci wymienieni, jak i wielu, wielu innych pomagali w miarę swoich możliwości i modlili się wytrwale cały czas. Dziękuję Wam wszystkim raz jeszcze i niech Was Pan błogosławi. Mikołaj Rej powiedział, że Polacy nie gęsi i swój język mają. Chwałę Boga za to, że Polacy poszukujący prawdy mogą dziś swobodnie czytać prawdę zawartą w Słowie Bożym, Biblii, a także świadectwa o niej zawarte w niniejszej książce, i czynić to W SWOIM WŁASNYM JEZYKU.

BOGU NIECH BĘDZIE WSZELKA CHWAŁA ZA JEGO WIERNOŚĆ!

Suresh Jeyasingham

A MISSION TO POLAND, Bredagerl kken 239, 5220 Odense S, DANIA. Tel./fax: (0-045) 65 932 463; e-mail: jeyasing@post9. tele. dk

Gdy znalazłem Chrystusa, znalazłem wszystko

Świadectwo nawróconego księdza Anthony'ego Pezzotty

Anthony Pezzotta, urodzony na północy Włoch, od najmłodszych lat pragnął być misjonarzem. Aby zrealizować ten zamysł, w wieku 11 lat wstąpił do seminarium duchownego. Po 12 latach otrzymał tytuł magistra greki i bakalaureat z filozofii. Potem odbywał magisterskie studia teologiczne w Anglii, Niemczech, Hiszpanii, wreszcie w Rzymie, gdzie przyjął święcenia kapłańskie. Wysłany na misje na Filipiny, pracował tam 15 lat, pełniąc funkcję dyrektora szkół technicznych oraz rektora niższego i wyższego seminarium duchownego. W chwili swego nawrócenia był tam wykładowcą teologii.

Praca lekarstwem na wątpliwości

Na studiach teologicznych w Anglii zacząłem żywić poważne wątpliwości co do pewnych nauk mojego kościoła, których nie umiałem pogodzić z Pismem. Wątpliwości dręczyły mnie nawet po święceniach, ale tłumiliłem je, zajęty studiami i pracą wykładowczą. Plan zajęć miałem tak napięty, iż niewiele czasu zostało na zgłębianie różnych spraw i na modlitwę. Po dziesięciu latach wyczerpującego trudu pojechałem na rok do domu, do Włoch, aby odpocząć i podreperować zdrowie. Tam wątpliwości odżyły i rozmnożyły się jeszcze bardziej, umocniłem się też w postanowieniu, by szukać zadowalającej odpowiedzi na niepokojące mnie kwestie. Bez przerwy czytałem, wnikałem w słowa naszych wielkich teologów, wątpliwości jednak nie znikaly, ciężąc coraz dotkliwiej.

Książki i Księga

Po powrocie na Filipiny postanowiłem odłożyć na bok całą moją bibliotekę teologiczną i poświęcić się studiowaniu jednej tylko Księgi: Słowa Bożego, w szczególności zaś Nowego Testamentu. We wszystkich praktycznych sprawach Biblia stała się jedynym moim przewodnikiem; to do niej odwoływałem się w ewangelizacji, nauczaniu, rozmyślaniach i lekturze. Niebawem czasie wątpliwości zaczęły znikać: jedna po drugiej znajdowały bowiem rozwiązanie w moim studium Pisma.

Początek drogi krzyżowej

Pod koniec stycznia 1974 roku udałem się do Santa Cruz, na południe od Manili. Natknąłem się tam na bardzo elegancką nową kaplicę Konserwatywnego Kościoła Baptistycznego. Nigdy dotąd nie byłem w kościele protestanckim, postanowiłem więc wśliznąć się do środka i rozejrzeć się. Ledwie znalazłem się wewnątrz, przywitał mnie jakiś sympatyczny wierzący, nalegając, że przedstawi mnie pastorowi. Pastorem tym okazał się Ernesto Montalegre, wspaniały mąż Boży. Rozmawialiśmy parę godzin. Ja starałem się z całych sił zrobić z niego dobrego katolika, on zaś spokojnie odpowiadał na moje pytania. Nie zdołałem nawrócić go na katolicyzm, ale i on nie przerobił mnie na protestanta. Mimo to wiele jego wypowiedzi uderzyło mnie, tak że po dwóch godzinach rozmowy miałem w sercu natłok wątpliwości. Zaczął się dla mnie czas gehenny: bezsenne noce, bezradność i przerażający brak odwagi, aby opowiedzieć się za prawdą Pisma. Powoli zaczynałem pojmować Prawdę, nie wiedziałem jednak, co mam począć. Aż nadeszła noc 20 lutego 1974 roku.

Moc łaski Bożej

Byłem w domu sam — i pierwszy raz w życiu szczerze się modliłem. Prosiłem Chrystusa, aby przejął panowanie nad moim życiem. Czuję się jak największy z grzeszników. Ktoś być może spyta: Jaki tam ze mnie mógł być grzesznik? Fakt, nigdy nie paliłem, nie piłem, nie złamałem ślubów czystości. Nie miałem na koncie żadnych występków, za to wiele zasług w roli proboszcza. Lecz moim grzechem była... pycha. To ona nie pozwalała Chrystusowi zagościć w moim życiu, bo bałem się reakcji biskupa. Myślałem: „Jeśli uznaję Chrystusa za swego Zbawiciela, co na to powiedzą przełożeni? Co sobie pomyślą koledzy, studenci? Szanują mnie; nie wolno ich zawieść!” Brakowało mi odwagi na szczerłość; szacunek ludzi cenilem wyżej niż umiłowanie Prawdy. W tę jednak noc podczas modlitwy wzrok mój padł na taki oto fragment z Ewangelii Jana:

„... Wszakże jednak i z książąt wiele ich weń uwierzyło; ale dla Faryzeuszów nie wyznali, aby z bóżnicy nie byli wyłączeni” (J 12,42).

Te słowa przeszły mi serce jak miecz obosieczny, ale dodały siły i odwagi. Byłem wolny! Tej nocy nie męczył mnie już ból i dojmująca niepewność strasznych ostatnich tygodni. Gdy obudziłem się nazajutrz, w głowie pojawił mi się obraz przyjacielskiego pastora baptystów. Ubrałem się szybko i pojechałem do jego kościoła. Rozmawialiśmy. Dał mi broszury i ulotki, które chętnie wziąłem. Już przy wyjściu odwróciłem się i spytałem: „Gdybym opuścił swój kościół, mógłbym zamieszkać z wami? Przyjelibyście mnie?” Uśmiechnął się i odparł: „Mamy wolny pokój, wierzący się tobą zaopiekują”.

Prawda zwycięża

Pięć dni zwlekałem z decyzją modląc się i czytając Pismo. 26 lutego uznałem Chrystusa za swego Zbawcę i Pana. Poprosiłem, aby przejął władanie nad moim życiem, miałem bowiem zamiar zostawić wszystko: samochód, bibliotekę, majątności. Napisałem do biskupa list z rezygnacją i zamieszkałem wśród moich nowych duchowych przyjaciół w Santa Cruz. 3 marca o jedenastej publicznie wyznałem wiarę w Ewangelię i zostałem ochrzczony w rzece Santa Cruz, płynącej tuż za budynkiem kościelnym. Muszę koniecznie napomknąć, że od dnia, gdy przyjąłem Chrystusa, nigdy nie pożałowałem tego kroku i nie odczułem tęsknoty za dawnym życiem. Dosłownie przepelniony radością, poznałem nieopisany smak wolności od zwątpień. Parę dni po tym wydarzeniu odwiedził mnie pewien ksiądz, pytając: „Tony, jak mogłeś w ciągu zaledwie pięciu dni podjąć taką decyzję? Porzuciłeś kościół katolicki: dwadzieścia stuleci kultury, papieży, świętych, wszystkiego, czego się uczyłeś, co zawsze kochałeś!” Odrzekłem mu prosto z serca: „Nie czuję się tak, jakbym coś porzucił; to jest, raczej tak, że gdy znalazłem Chrystusa, znalazłem wszystko”. Katolik, który przyjmuje Chrystusa jako Zbawcę i Pana, opuści swój kościół, gdyż nie jest już rzymskim katolikiem. Jeśli wierzysz, że zostałeś zbawiony przez wiarę w Chrystusa, i jeśli uznałeś Jego Słowo za ostateczny autorytet, to nie jesteś rzymskim katolikiem, ale protestantem, nawet jeśli słowo „protestant” źle ci się kojarzy. Zbawienie przez wiarę i wyłączny autorytet Pisma to fundamenty protestantyzmu, przeciwstawne idei zbawienia dzięki uczynom i sakramentom oraz autorytetowi tradycji, za którymi opowiada się katolicyzm. Na koniec chciałbym zauważyć, że wielu katolików żywi do swego kościoła głęboki sentyment, nazywając go często „Matką”. Taka postawa i takie uczucia znamionują osobę, która za dawcę życia duchowego uważa kościół, czyniący ją wierzącą przez chrzest i utrzymujący ją przy życiu duchowym dzięki pozostałym sakramentom. Z Biblii wynika jednak, że to nie kościół tworzy wierzących, ale wierzący tworzą kościół. A ponieważ to łaską przez wiarę stajemy się żywymi kamieniami Chrystusowego kościoła, to prawdziwym jego budowniczym jest Chrystus.

Anthony Pezzotta, Nawrócony ksiądz

Pastor Tony Pezzotta jest obecnie misjonarzem w Konserwatywnym Baptistycznym Towarzystwie Misji Zagranicznych (CBFMS). Wykłada w Azjatyckim Seminarium Teologicznym w Quezon City. Można do niego pisać na adres: Rev. Tony Pezzotta, CBAP, P. O. Box 1594, 1099 Manila, Filipiny.

Woda żywa i pokój z Bogiem

Świadectwo nawróconego księdza Mariana Rugiego

Wierzę, że Bóg pragnie, aby ci, którzy znaleźli w Chrystusie duchowe uzdrowienie, podnieśli głos i zaświadczyli o tym wobec innych, ażeby ludzie doświadczali Jego dotknięcia za pośrednictwem tych, którzy już wcześniej go doznali.

Dylemat z herezją

Moje przejście od rzymskiego katolicyzmu do Chrystusa nie nastąpiło nagle; był to długi i niestety bolesny proces, rozpoczęty jeszcze na studiach w Asyżu. Raz na wykładzie z historii kościoła profesor omawiał sylwetkę Honoriusza I (626–638), jednego z wielu papieży, którzy według kościoła katolickiego głosili błędną naukę. Honoriusz I wdał się w spór co do herezji monotelityzmu, za którą sam się opowiadał, a wedle której Chrystus miał jedną wolę: swoją osobistą. Różniło się to od stanowiska Biblii, z której wynika, iż posiadał On wolę i ludzką, i boską. Trzeci sobór w Konstantynopolu (680–681 po Chr.) potępił wszystkich, którzy opowiedzieli się za monotelityzmem, a zatem także papieża Honoriusza I. Przeżyłem wstrząs na myśl o tym, że kościół rzymski wiedząc o heretyckim zdaniu Honoriusza I sformułował mimo to na I soborze watykańskim w 1870 roku dogmat o nieomyślności papieża i głosi, iż papież jest całkowicie nieomyślny w definicjach i dekretach wygłaszanych *ex cathedra* w sprawach wiary i obyczajów. Dowiedziałem się, że wedle jasnego orzeczenia ojców tego soboru ten niedawno ogłoszony dogmat obowiązywał zawsze, nieomyślni byli więc wszyscy papieże, od św. Piotra po ówczesnego Piusa IX. Wszyscy oni mieli być natchnieni przez Boga, a ich sukcesja miała pochodzić z tego samego boskiego źródła. Spytałem profesora, jak pogodzić z tym fakt, że poglądy Honoriusza I kłóciły się z nauką kościoła. Odparł, że Honoriusz I istotnie głosił błąd, ale czyniąc to przemawiał nie *ex cathedra* jako papież, lecz jako prywatny teolog.

Rzym nie daje pewności

W seminarium nie wiedliśmy ściśle zakonnego trybu życia, choć musieliśmy podejmować pewne pokuty i ofiary. Należały do nich post i powstrzymywanie się od różnych rzeczy; musieliśmy też spowiadać się, praktykować medytację i uczestniczyć w rekolekcjach duchowych. Mimo to uczono nas, że nie możemy być pewni zbawienia; jeden bowiem z dogmatów kościoła głosi, iż ten, kto twierdzi, że jest pewien zbawienia, jest bezsprzecznie zgubiony.

Wątpliwości

Widziałem, iż kościół przeczy sam sobie; ale przez jakiś czas zmagalem się z wątpliwościami samotnie. Wreszcie, udręczony, postanowiłem zwierzyć się spowiednikowi. Odpowiedź była krótka i sucha: „Synu, te myśli to diabelska pokusa”. Pojąłem, że kościół katolicki chce przekreślić prawdę, przekonanie płynące od Ducha Świętego zwąc dziełem diabła. Ale do pełnego przekonania było mi daleko. Wiedziałem co prawda, że werset 3,16 z Ewangelii Jana, który podałem na poparcie moich wątpliwości, to mocny fundament, a jednak przyjąłem kolejną lekcję pokory i ślepego posłuszeństwa wobec kościoła. Zalecano mi ślepe posłuszeństwo, ale nie Panu Jezusowi Chrystusowi, tylko kościołowi.

Konfesjonał

Zaprzestałem już wtedy regularnego spowiadania się. Prawdę mówiąc, nigdy nie przepadałem za tą praktyką, odbywając ją bardziej z przymusu niż z wewnętrznego przekonania. Czasami wizyta w konfesjonale okazywała się dokuczliwym brzemieniem i okrutną torturą sumienia. To ważne. Zdaniem Rzymu spowiedź daje grzesznikowi komfort psychiczny, bo wyrzuca on z siebie winy w obecności księdza, ten zaś rozgrzeszeniem uwalnia go od wyrzutów sumienia. Prawdą jest, że pociecha tego typu może nastąpić, ale nie trwa ona długo będąc tylko ulotnym uczuciem. Pięć lat byłem księdzem. Może się wydać, że to niedługo; wystarczy jednak, by dowiedzieć się sporo o spowiedzi ikonfesjonale. Wysłuchałem spowiedzi wielu ludzi; w tym niemało znajomych. W niektórych widziałem szczerłość i pragnienie uwolnienia od tego lub innego dokuczliwego grzechu czy wady, mimo to zrozpaczeni musieli do mnie wracać tydzień w tydzień, wyznając wciąż te same grzechy, nieraz wstydlive i dla nich samych wstrętne. „Czemu nie zaznam wyzwolenia?” — pytano mnie z boleścią. Jako spowiednik miałem zadanie uspokajać ich, nigdy jednak nie potrafiłem dać im pewności; nie potrafił tego zresztą nikt na moim miejscu. Ksiądz może powiedzieć grzesznikowi, że brak mu szczerości bądź że nie spełnia on warunków ważnej spowiedzi. Czasami może zagrozić odmową sakramentalnego rozgrzeszenia za uporczywie popełniane grzechy. Nietrudno sobie wyobrazić skutki, jakie ta tyrańska metoda może wyrzucić na spragnionych, choć ślepych duszach.

Woda żywa

Przypomina mi się przepiękne wydarzenie z życia Jezusa: spotkanie z Samarytanką u studni Jakuba. Oto jest odpowiedź dla spragnionych dusz, ale ludzie zmuszani, aby u księdza szukać ugaszenia duchowego pragnienia, odpowiedzi tej nie znajdują.

„... rzekł do niej Jezus: Każdy, kto pije tę wodę, zasię będzie pragnął”. Rzymskokatolicka spowiedź jest jak woda ze studni Jakuba: jeśli ugasi pragnienie, to tylko na chwilę. Jezus natomiast mówi:

„Odpowiedział Jezus i rzekł jej: Każdy, kto pije tę wodę, zasię będzie pragnął; Lecz kto by pił onę wodę, którą ja mu dam, nie będzie pragnął na wieki; ale ta woda, którą ja mu dam, stanie się w nim studnią wody wyskakującej ku żywotowi wiecznemu.” (J 4,13–14).

Oto prawdziwe źródło wiecznego zaspokojenia: Jezus Chrystus. On zna ukrytą potrzebę grzesznika, jest wodą dla każdego z nas. On rzekł:

„Pójdźcie do Mnie wszyscy, którzy jesteście spracowani i obciążeni, a Ja wam dam ukojenie” (Mt 11,28; BW).

Wezwanie to płynie prosto z Bożego serca; żaden ksiądz, biskup, papież nie da nam tego wewnętrznego pokoju, którego sam nie posiada. Człowiek będzie spragniony, przytłoczony i bezradny dopóty, dopóki sam Bóg go nie napoi. A wtedy, jak strumień wypełniający studnię, dar Boży stanie się źródłem licznych błogosławieństw i obietnicy życia wiecznego.

Bolesne święcenia

W swych poszukiwaniach stanąłem przed osobistym problemem. Nieraz już chodziła mi po głowie myśl o porzuceniu kapłaństwa, ale odpychałem ją jak ohydny pokusę. Kończyłem akurat studia i szykowałem się do święceń. Wiedziałem, że będzie honor to dla bliskich, bo w kraju katolickim ksiądz w rodzinie to powód do wielkiej dumy. Wyobrażałem sobie, jak bardzo rodzice i przyjaciele wyczekują dnia prymicji. Wiem, że miałki były to argumenty; ale wtedy nie znałem jeszcze Jezusa Chrystusa jako Zbawcy i Pana i nie czułem się na siłach, by podążyć za głosem sumienia. Przyjąłem święcenia i zostałem księdzem. Posłano mnie na wikariat do jednej parafii. Pracę zacząłem zapałem; nowe sukcesy przyćmiły stare zwątpienie. Cieszyłem się atmosferą pracy parafialnej, a nowe otoczenie dawało swobodę, jakiej nie miałem w latach studiów. Zacząłem śmiało sięgać po Biblię oraz inne książki, zabronione przez kościół. Potem, już jako proboszcz, miałem kontakt z różnymi ludźmi inieraz wdawałem się z nimi w dyskusje na tematy religijne.

Boża Opatrzność

Raz, podczas szczerzej rozmowy z pewnym franciszkaninem, doznałem wstrząsu: Rozmówca mój przechodził podobny do mojego bolesny proces wątpliwości co do zbawienia. Zacząłem się zastanawiać: „Jeśli kościół rzymski to jedyny prawdziwy kościół Chrystusa, to jak to możliwe, że jeden z jego najznakomitszych wyznawców, człowiek uczciwy i wstrzeźliwy, wątpi w swe zbawienie i cierpi duchowe udręki?” Wątpliwości ożyły. Wpadłem w kolejny kryzys duchowy; tym razem miał on jednak doprowadzić do wyzwolenia. Bezpośrednim jego skutkiem było jednak to, że msza, konfesjonał i inne obowiązki kapłańskie stały się dla mnie dotkliwym brzemieniem.

Światłość z Bożej łaski

Jakiś czas szukałem zapomnienia w rozrywce. Zacząłem tracić poczucie obowiązku i ze wstydem patrzyłem, jak skłaniam się ku zwyczajom tego świata. A przecież potrzebowałem nie rozrywki, tylko oczyszczenia, nie przyjemności, lecz odnowy duchowej. Potrzebowałem po prostu Jezusa Chrystusa. Czy kościół był w stanie zaprowadzić mnie do Tego, Który wyzwolił mnie z tej straszliwej sytuacji? Nie, Rzym potrafił tylko wymierzyć odpowiednią karę kanoniczną — zesłano mnie na tydzień do klasztoru. Nie była to jednak właściwa kuracja na mą dolegliwość. Nadal samotnie zmagąłem się w bitwie, która z góry wyglądała na przegraną. Lecz jednego dnia błysk Bożej światłości obnażył ciemność mej duszy. Po namyśle postanowiłem opuścić parafię i rodziców i jechać do Rzymu. Nie miałem żadnego planu, nie miałem też w Rzymie nikogo, kogo mógłbym prosić o pomoc. Ale już pierwszego dnia moja determinacja została nagrodzona: nieoczekiwanie natknąłem się na episkopalny kościół metodystyczny. Dane mi było od razu porozmawiać z pastorem, przed którym otworzyłem serce i zwierzyłem się z rozpaczliwego położenia. Wkrótce jednak miałem się przekonać, że opuszczenie kościoła rzymskiego nie jest proste.

Rzym przeklina nawróconych księży

Układy Laterańskie z 1929 roku stały się wielką przeszkodą na mej drodze. Punkt 2 artykułu 5 głosi: „Kapłanów-odstępców oraz osób poddanych cenzurze nie można pod żadnym pozorem wyznaczać na nauczycieli ani dozwalać, aby nadal prowadzili tę pracę; nie wolno im piastować urzędów ani też zatrudniać ich jako urzędników w miejscach, gdzie mają bezpośredni kontakt z ludnością”. Znaczyło to, że muszę wybierać między rezygnacją z wszelkiego życia publicznego a opuszczeniem kraju, rodziców, wszystkiego, co mi drogie. Wyjście drugie było bolesną ofiarą, ale otrzymałem dość siły, by je wybrać, Bóg zaś w przedziwny sposób otworzył przede mną drzwi. Pastor metodystów przedstawił mnie profesorowi E. Buonaiutiemu, byłemu księdzu, który na mocy Układów Laterańskich musiał opuścić stanowisko wykładowcy religioznawstwa i został poddany cenzurze kanonicznej. Człowiek ów porozumiał się w moim imieniu z towarzystwami protestanckimi w Szwajcarii, Francji i Niemczech, usiłując znaleźć miejsce, gdzie mógłbym się udać na wygnanie z Rzymu.

W światłości Jego widzimy

Mijały tygodnie i miesiące, i wydawało się, że nie ma szans. Ale Bóg postawił na mej drodze byłego księdza, pastora M. Casellę, pracującego wtedy w jednej z parafii Irlandii Północnej. Było to zaiste zrządzenie Boże. Doktor Casella pisał do profesora Buonaiutiego o jakiejś książce, napomknął jednak i o tym, jak z pomocą dublińskiego towarzystwa ewangelikalnego, zwanego Towarzystwem Ochrony Księży (The Priests' Protection Society), zdołał opuścić kościół rzymski. Odpowiadając na jego list, Buonaiuti opisał moją historię. Tak rozpoczął się ostatni etap mej wędrówki. Towarzystwo Ochrony Księży zapewniło mi gruntowny kurs z zakresu teologii reformowanej w Trinity College w Dublinie, opłacony przez Irlandzką Misję Kościelną (Irish Church Missions). Chcę wyrazić najgłębszą wdzięczność Towarzystwu Ochrony Księży, bo pomogło mi wyjść z ciemności Rzymu ku światłości Ewangelii. Opuszczenie Włoch, a zatem rodziców, przyjaciół i wszystkiego, co mi drogie,

wiele mnie kosztowało; skoro jednak postanowiłem słuchać przede wszystkim głosu Boga, a nie głosu ciała i świata, cierpienia przemieniły się w radość. Zwłaszcza że skończyła się moja duchowa wędrówka od życia grzesznego ku osobistemu poznaniu Żywego Chrystusa. Chcę podziękować Irlandzkiej Misji Kościelnej, bo w jej dublińskich progach uczono mnie czytać Słowo Boże, a me oczy otwarły się na światło Ewangelii. Prorok Izajasz opisał właściwą postawę przed Bogiem:

„Jedynie u Jahwe jest sprawiedliwość i moc” (Iz 45,42); %nie ma takiego wersetu!!
apostół Paweł wyjaśnia, że sprawiedliwość Bożą otrzymuje wierzący przez wiarę:

„... Lecz teraz bez zakonu sprawiedliwość Boża objawiona jest, mająca świadectwo z zakonu i z proroków; Sprawiedliwość, mówię, Boża przez wiarę Jezusa Chrystusa ku wszystkim i na wszystkie wierzące; boć różności nie masz.” (Rz 3,21–22).

Paweł ukazał jasno grzeszny stan człowieka, głosząc naukę o łasce Bożej, dawanej darmo, bez względu na zasługi,

„Albowiem wszyscy zgrzeszyli i nie dostaje im chwały Bożej. A bywają usprawiedliwieni darmo z łaski jego przez odkupienie, które się stało w Chrystusie Jezusie.” (Rz 3,23–24).

Dzięki łasce przez wiarę dokonała się między Bogiem a mną niezwykła transakcja. Mogę bez wahania rzec:

„... Owszem i wszystko poczytam sobie za szkodę dla zacności znajomości Chrystusa Jezusa, Pana mojego, dla którego wszystko utracił i mam to sobie za gnój, abym Chrystusa zyskał, I był znaleziony w nim, nie mając sprawiedliwości mojej, tej która jest z zakonu, ale tę, która jest przez wiarę Chrystusową, to jest sprawiedliwość z Boga, która jest przez wiarę.” (Flp 3,8–9).

Bóg nienawidzi bałwochwalstwa

„Tak zgłupiał każdy człowiek, że tego nie zna, iż pohańbiony bywa każdy rzemieślnik dla bałwana; bo fałszem jest to, co ułał, i niemasz ducha w nich. Marnością są, a dziełem błędów; czasu nawiedzenia swego poginą.” (Jer 10,14–15).

Z bólem wspomnę tu o czymś, co wypada mi nazwać wielkim rozczarowaniem. Po przyjeździe do Anglii, zawsze uważanej przeze mnie za „kraj Biblii”, dostrzegłem, że ostało się tu niewiele prawdy biblijnej. Nauka Rzymu wkłada się wszelkimi sposobami, a otwierają jej drzwi tak zwane kościoły biblijne. Praktyki katolickie rozgościły się w kościołach, a ludzie nie dostrzegają swej grzeszności, zasmucając Boga. Duch Święty smuci się z powodu rzymskiej czci dla obrazów, tak łatwo przejmowanej przez kościoły biblijne. Jakże wielka jest dziś potrzeba świadectwa protestanckich chrześcijan, którzy wskazałiby na grzeszność tego kultu! Wierzę, że póki członkowie kościołów nie zniszczą swoich bożków, póty nie doświadczymy prawdziwego biblijnego przebudzenia.

„A nie spółkujcie z uczynkami niepożytecznymi ciemności, ale je raczej strofujcie.” sEf 5,11).

Mariano Rughi, nawrócony ksiądz

Po nawróceniu Włoch Mariano Rughi służył już Panu w Irlandii, Anglii, Stanach Zjednoczonych, a ostatnio w Kanadzie.

Ksiądz katolicki ewangelistą radiowym

Świadek nawróconego księdza Manuela Garrida Aldamy

„... Musicie się znowu narodzić.” (J 3,7).

„Albowiem tak Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny.” (J 3,16).

Bóg zaplanował to ku dobremu

Nieraz spoglądając na swe życie, zastanawiamy się, dlaczego przydarzyło nam się to czy tamto. Słowo Boże mówi:

„Ale jako wyższe są niebiosa niż ziemia, tak przewyższają drogi moje drogi wasze, a myśli moje myśli wasze.” (Iz 55,9).

Dziś widzę, że lata dzieciństwa, kapłaństwo, liczne wątpliwości i ciemność duchowa przygotowywały mnie do służby Ewangelii, a zwłaszcza do pracy przy ewangelizacji radiowej. Lubimy słuchać, co Bóg czyni w życiu innych; wrażenie robi opowieść kogoś, kogo zbawiła łaska Boża na podstawie doskonałego dzieła Pana Jezusa i kto dzięki mocy Bożej wiedzie nowe życie. W Hiszpanii mawiamy: „Las palabras mueven, el ejemplo arrastra” (Słowa wzruszają, przykład pociąga). To, że byłem księdzem katolickim, nadało memu świadectwu charakter szczególny. Ufam, że pokrzepi ono wierzących, innych zaś doprowadzi do wiary w Jezusa Chrystusa, któremu służę.

Ze względu na mamę

Urodziłem się w typowej katolickiej rodzinie na północy Hiszpanii, w domu o tradycjach baskijskich, uchodzących za najsurowsze i najpobożniejsze w całej Hiszpanii. Rodzice mieli sześciu synów i jedną córkę, najmłodszą z nas. Ojciec – prawnik postanowił dać nam najlepsze wykształcenie akademickie; matka zaś, żarliwa katoliczka, dbała o nasze życie duchowe. Regularnie odwiedzając mamę pewien ksiądz przypominał jej, że otrzymała od Boga aż sześciu synów i powinna okazać wdzięczność oddając co najmniej jednego do służby przy ołtarzu. „Jeśli ich pani kocha, niech im pani ofiaruje najwyższy zaszczyt, jaki matka może zapewnić dziecku. A zaszczytem tym jest kapłaństwo” — mawiał. Nic dziwnego, że kobieta o tak religijnym usposobieniu i tak pobożna uznała, iż istotnie jej obowiązkiem jest przeznaczyć niektórych synów w służbę Bogu. Ojciec, wcale nie ateista, nie przejmował się aż tak radami księdza, a nawet był całkiem innego zdania: Zaplanował, że jego chłopcy zdobędą solidne świeckie wykształcenie. I nie dopuściłby do tego, bym został księdzem, lecz... zmarł, gdy miałem zaledwie dziesięć lat. Nie minęło wiele czasu, a matka załatwiła niezbędne sprawy, i po kilku miesiącach niespełna jedenastoletni chłopiec przekroczył progi madryckiego seminarium duchownego. Obiecałem mamie, że będę się bardzo starał; za nic bowiem w świecie nie chciałem jej zawieść. Jak jedenastoletni chłopiec mógłby pojąć sens kapłaństwa? Rzym twierdzi, że, kto raz został księdzem „na zawsze nim pozostanie”. Taki oto los narzucono siłą wrażliwemu chłopcu z postanowienia Kochającej matki.

Niesprawiedliwy Bóg?

Przez pierwsze sześć, siedem lat wszystko szło mi dość gładko; zaczęło się to zmieniać, gdy nadszedł czas zgłębiania dogmatów kościoła. Zajęcia z teologii prowadzono po łacinie; wykładowca, który doktoryzował się w Rzymie, dawał nam zawsze pod koniec czasu na pytania i wątpliwości oraz prośby o lepsze wyjaśnienie spraw poruszonych na wykładzie. Gdy nadszedł czas na dogmat o nieomyślności papieża, zadałem pytanie. Nie chciałem niczego kwestionować, licząc tylko na to, że wykładowca pomoże mi pogodzić prawdę o Bożej sprawiedliwości z dogmatem nieomyślności papieża, ogłoszonym przez kościół nie tak dawno. Nie rozumiałem, dlaczego zbiegiem dziejów Bóg coraz bardziej utrudnia człowiekowi zbawienie; a nie jest to sprawiedliwe. Dlaczego przed rokiem 1870 można było uzyskać zbawienie i iść do nieba bez wiary w ten dogmat, skoro żyjąc dziś nie mam szans na zbawienie, jeśli weń nie uwierzę? Czy nie dowodzi niesprawiedliwości Boga to, że co parę lat dodaje On kolejną przeszkodę na naszej drodze do zbawienia i żąda od nas przezwyciężenia większej liczby trudności doktrynalnych niż od naszych przodków? Pytania nie przypadły wykładowcy do gustu. Kiedy innym razem poprosiłem go o lepsze naświetlenie innej kwestii, odparł rozgniewany: „Jeśli nie porzucisz tak niebezpiecznego sposobu myślenia, to jeszcze zostaniesz heretykiem!” Inny za to nasz wykładowca często spacerował po korytarzu z Nowym Testamentem w rękę, czytając go i rozważając. Na kazaniach zawsze głosił Chrystusa, nigdy nie wspominając świętych. Raz na zajęciach stwierdził parę razy: „Obawiam się, że gdzieś tu zblądziliśmy. Nasz Chrystus nie jest tym samym, którego ukazano w Nowym Testamencie. Być może dlatego właśnie nasze nauczanie znajduje oddźwięk głównie w sentymentach kobiet, a mężczyźni raczej trzymają się z dala”. Bez wątpienia człowiek ów wiedział coś o prawdzie, która jest w Chrystusie Jezusie, bał się jednak mówić o niej głośniej.

Święcenia i radość matki

Przyszła chwila święceń kapłańskich. Nie czułem wcale radości, choć sprawa była wielkiej wagi i czekały mnie rozmaite zaszczyty. Moja wiara w kościół, a nawet w Boga, topniała. Uroczystość odbyła się w Madrycie; przybyli mama i inni członkowie rodziny. Przyjmowałem święcenia wraz z innymi studentami, przechodząc przez wymyślne rytuały pośród niezwyklej pompy, jaką rzymscy eksperci obmyślili dla takich sytuacji. Kilka dni po święceniach odprawiłem pierwszą mszę, udzielając komunii własnej matce i siostrze. Widziałem łzy na matczynych policzkach i sam ledwie opanowałem przyływ uczuć, jakie ceremonia ta ma budzić w uczestnikach.

Ludzie jak myszy

Po kilku miesiącach odpoczynku i beztronski w domowym zaciszu znalazłem sobie posadę na pewnej uczelni na północy Hiszpanii, w prowincji Santander. Wykładałem literaturę hiszpańską; poza tym co dzień rzecz jasna odprawiłem mszę, nieraz wysłuchiwałem spowiedzi. Wiedząc, że według dogmatu o Przejściu codziennie dzierzę w dłoniach samego Boga, i słuchając ludzi spowiadających się z grzechów, coraz bardziej oddalałem się od Boga. Mężczyźni silni jak dęby kornie klękali w konfesjonale, trzęsąc się ze strachu jak myszy. Nie mieli wcale ochoty wyznawać grzechów i nie wiedzieli, jak to robić, ale bali się wiecznego potępienia, którym im grozono, jeśli co najmniej raz w roku nie wypowiedzą się. Ludzie pracy, ludzie czynu nie umiając się zabrać do tej procedury prosili: „Niech mi ksiądz pomoże i zada pytania”. Musiałem zatem wymyślać, o jakież to grzeszne czyny podejrzewam tego czy owego. Choć nie wierzyłem w ludzką moc ich odpuszczania, nigdy nie odmówiłem wypowiedzenia słów rozgrzeszenia nad tymi, którzy przychodzili do mnie w dobrej wierze.

Niewygodne położenie

Na uczelni byli i inni księża, z którymi siłą rzeczy dość blisko się przyjaźniłem. Nieraz pytałem ich: „Czy naprawdę wierzycie, że gdy mówimy kawałkowi chleba: „To jest ciało moje”, a grzesznikowi: „Twe grzechy są ci odpuszczone”, to chleb zmienia się w ciało, a grzesznik

otrzymuje odpuszczenie grzechów?” Raz któryś odparł: „Co się tak gryziesz? Jesteśmy w takim położeniu i nic tu już nie zmienisz. Nie ma rady”. Wtedy zdecydowałem już, iż porzucę kapłaństwo; ale nie miałem odwagi stawić czoła reakcji na ten krok i publicznemu potępieniu, jakie czekało mnie w Hiszpanii; wiedziałem, że zagrożone będzie nawet moje życie. Postanowiłem więc, że aby swobodnie wyznawać swe przekonania, wyjadę z Hiszpanii. Jakiś czas spędziłem jeszcze jako wykładowca na jednej uczelni w Ameryce i po powrocie do kraju mocno odczułem, jak nieznośnie przytłacza mnie tutejsza atmosfera religijna. Pojechałem do Londynu i stwierdziłem, że to najlepsze miejsce, aby opuścić kościół bez hałasu; nieźle zarabiałem jako nauczyciel i wsparcie finansowe nie było mi potrzebne. Postanowiłem zatem: tu i teraz. Zawiadomiłem o swej decyzji władze rzymskokatolickiej w Londynie, prosząc, by wyznaczyły kogoś na moje miejsce. W ten oto dość prosty sposób urzeczywistniłem pragnienie, jakie tkwiło we mnie od kilku lat: Zdecydowałem raz na zawsze zerwać z wszelką religijnością. Nie tak jednak miało być. Bóg postanowił przyciągnąć mnie do Siebie.

Wiara tylko w Chrystusa

Jeden pastor anglikański, prawdziwy mąż Boży, usłyszawszy o moim stanie duchowym, zaprosił mnie do rozmowy na tematy religijne. Odważył się ukazać mi prawdę, i to nie dlatego, że opuściłem kościół rzymski, ale dlatego, że czyniąc to chciałem na dobre uciec od religii, a zwłaszcza od Boga. Rozmowę zawsze kończył wnioskiem: „Pomimo całego pańskiego wykształcenia o jednym nie ma pan pojęcia, jednego panu brak: Nie zna pan Chrystusa jako swego Zbawcy, nie ma Go pan w sercu”. Nie mogłem się nadziwić jego szczerości i gorliwości, przyznawałem też, iż istotnie nigdy nie słyszałem o Bożym planie zbawienia, o jakim on opowiada. Nie mogłem także zaprzeczyć, że potrzebuję poznać Jezusa Chrystusa i żywić serdeczną wiarę, że to On w pełni zapłacił cenę za mój grzech i że jest to dzieło dokończone: usprawiedliwienie dostępne dla każdego grzesznika poprzez wiarę w Chrystusa. Otóż temu, który pracuje, poczytuje się zapłatę nie tytułem łaski, lecz należności. Temu jednak, który nie wykonuje pracy, a wierzy w Tego, co usprawiedliwia grzesznika, wiarę jego poczytuje się za tytuł do usprawiedliwienia, zgodnie z pochwałą, jaką Dawid wypowiada o człowieku, którego Bóg usprawiedliwia niezależnie od uczynków:

„Błogosławieni, których odpuszczone są nieprawości, a których zakryte są grzechy.” (Rz 4,4-7).

Dżentelmen ów wiele razy mówił mi o Bożym planie zbawienia, aż w końcu pojąłem; łaskawy Bóg udzielił memu duchowi światłości. Poczulem łaknienie Boga, nie wiedząc, skąd też się ono wzięło. Sam Bóg mnie dotykał i pociągał ku Sobie.

Skuteczna modlitwa

Raz w sobotnie popołudnie pastor zaprosił mnie do siebie. Po kolejnej rozmowie o tym samym zaprowadził mnie do pokoju obok, gdzie modliło się parę osób z jego kościoła. Zdumiałem się, słysząc, że modlą się za mnie, żarliwie zatroskani o moją duszę. Poruszeni opowieścią pastora, zebrali się specjalnie ze względu na mnie. Jak wszedłem, tak stanąłem, a oni modlili się. Naprawdę wierzyli, iż Chrystus jest wśród nich obecny; czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Nie sądziłem, że można modlić się z takim zapałem, tak szczerze; modlitwa katolika, także księdza, polega niemal zawsze na recytowaniu formuł ułożonych przez kościół bądź osobę, która poczuła pragnienie przelania na papier swych uczuć do Boga lub świętych z myślą o użytku przez innych. Zostałem poruszony do głębi; Bóg dał mi wiarę w Chrystusa i wolę skruchy. Modlitwa nasuwała się sama: „Boże, jeśli prawdą jest, że Jezus zbawia i daje pokój duszy, to pragnę, aby do mnie przyszedł i dał mi ten pokój”. Nie wiedziałem, co się ze mną dzieje, lecz wątpliwości i ciemność duchowa, dręczące mnie od dawna, znikły; doznałem pokoju i ukojenia, o jakich nie marzyłem. Pan spełnił swój zamiar: Przeszedłem ze śmierci do życia wiecznego.

„Usprawiedliwieni tedy z wiary, pokój mamy z Bogiem przez Pana naszego, Jezusa Chrystusa” (Rz 5,1).

„W którym mamy odkupienie przez krew jego, to jest odpuszczenie grzechów, według bogactwa łaski jego” (Ef 1,7).

„Nie jest dobrze, żeby mężczyzna był sam. . .”

Wkrótce potem spotkałem panią, która później miała zostać moją żoną, uczennicę jednej z hiszpańskojęzycznych grup, jakie prowadziłem. Gdy poprosiłem ją o rękę, zrazu odrzuciła oświadczyń, przekonana, że, kto raz został księdzem „na zawsze nim pozostanie”. Była katoliczką, choć w praktyce zerwała więzy z kościołem. W końcu przyjęła oświadczyń, stawiając warunek, bym nigdy nie próbował nawracać jej na protestantyzm. „Nie przejdę do obozu przeciwnika!” — powtarzała. Ale ja wiedziałem, że jeśli łaska Chrystusa była tak wszechpotężna, iż zdołała mnie do Niego przyciągnąć, to zbawi i moją żonę. Tak się stało. Wyprowadzenie jej z błędów Rzymu nie okazało się ciężkim zadaniem, a Pan przyciągnął ją do Siebie.

Potrzeba Ewangelii

Pan położył mi na sercu wielką troskę o Hiszpanię i o świat hiszpańskojęzyczny; wreszcie powierzył mi pracę ewangelisty radiowego w południowoamerykańskiej misji radiowej „Głos Andów”. Dzięki jej pracy wielu katolików poznało Chrystusa. Wierzę, że powinniśmy na jak najszerszą skalę głosić Ewangelię, gdyż

„jest ona mocą Bożą ku zbawieniu” (Rz 1,16), i wykorzystać każdy możliwy środek do jej propagowania, zaspokajając potrzeby duchowe naszego konającego świata.

„Wiara tedy jest z słuchania, a słuchanie przez słowo Boże.” (Rz 10,17).

Manuel Garrido Aldama, nawrócony ksiądz

W 1925 roku Manuel Garrido Aldama odszedł z katolickiego kapłaństwa ku biblijnemu chrześcijaństwu. Jak Miguel Carvajal, służył Panu wiele lat w radio HCJV w Quito w Ekwadorze. Teraz jest już u Pana.

Z głębi piekła i czyścca

Świadectwo nawróconego księdza Petera Alphonsusa Sequina

Urodziłem się w Kanadzie, w hrabstwie Rigand (prowincja Vaudreuil w Quebecu). Rodzice moi, francuskiego pochodzenia, byli katolikami. Przyszedłem na świat jako dziewiąte spośród dziesięciorga ich dzieci: ośmiu chłopców i dwóch dziewczynek. Rodzice, ludzie pobożni, poczciwi, trzeźwo myślący i przedsiębiorczy, bardzo starali się dobrze wychować dzieci: dla Boga i dla ojczyzny. Lecz jak bardzo tkwili w niewiedzy, poprzestając na liczeniu paciorków różańca, chodzeniu do spowiedzi, uczęszczaniu na mszę i wypełnianiu poleceń księży. Nie oskarżam tu pojedynczych katolików, ale system rzymskokatolicki i ludzi, którzy dogłdają jego działania. Już w dniu moich narodzin przyniesiono mnie do miejscowego kościoła do chrztu. W wieku siedmiu lat zaprowadzono mnie do spowiedzi. Księża zadawali mi pytania tak nieprzyzwoite, iż nie odważyłem się przytoczyć ich na piśmie. Potem przystąpiłem do pierwszej komunii, a następnie zostałem bierzmowany przez biskupa Montrealu. Po około dziesięciu latach spędzonych w Kolegium Bourget z ust księdza kanonika Charlesa Edouarda, wówczas doradcy starego biskupa Bourgeta, usłyszałem, że Bóg oraz on sam powołali mnie na księdza. Postanowiłem być posłusznym przełożonemu i udałem się do wyższego seminarium duchownego w Montrealu. Spędziłem tam cztery długie lata: od roku 1862 do 1866. Na ten czas urwał się zupełnie mój kontakt ze światem zewnętrznym. Dzień po dniu oddawałem się studiom nad teologiami Liguoriego i Perrone'a. Jako student byłem bardzo skrupulatny, a jako seminarzysta uważny w wypełnianiu moich powinności. 22 grudnia 1866 roku przyjąłem święcenia kapłańskie z rąk biskupa Bourgeta, w obecności 60 kapłanów. W ciągu 14 lat posługi ujrzałem wiele rzeczy niepokojących. W końcu tak bardzo przybiły mnie grzech i niegodziwość, zjakimi stykałem się w mych parafiach w Montrealu, Nowym Brunswiku, Massachusetts, Nowym Jorku i Minnesocie, że zestawivszy 150-stronicowy dokument, przesłałem go na ręce papieża Leona XIII, wykazując, jak tragicznie chory jest krąg jego przedstawicieli na kontynencie amerykańskim. Lecz w końcu opuściłem kościół rzymski. Stało się to podczas tygodniowej wizyty w Detroit. Po raz pierwszy, we francuskojęzycznym kościele baptystów, przemawiałem tam przeciw naukom Rzymu. Kazanie poświęciłem nowemu dogmatowi z 1870 roku, wedle którego papież miał być nieomylny. Nie byłem jeszcze nawrócony. W tym czasie dotarła do mnie wieść o Charlesie Chiniquy, który po 25 latach kapłaństwa stał się Bożym narzędziem, wiodąc do Chrystusa wiele zabłąkanych dusz z kościoła rzymskokatolickiego. Dowiedziałem się, że Chiniquy gości w u siebie w domu księży, którzy jak ja zaczynają dostrzegać światłość i którzy nie są w stanie dalej dźwigać ciężkiego jarzma rzymskiego papieża. Napisałem do Charlesa Chiniquy, prosząc o gościnę i o podzielenie się ze mną bogactwem swoich doświadczeń — gdyż nie wiedziałem, jak radzić sobie z nagłym ogromem trudności. W odpowiedzi napisał: „Przybywaj, drogi bracie Sequin, zaopiekuję się tobą”.

I zaopiekował się mną bardzo szlachetnie, jak przystało na prawdziwego sługę Chrystusa. Prócz mnie w jego domu mieszkało jeszcze dwóch księży, którzy jak ja szukali pokoju przewyższającego wszelkie zrozumienie. Staruszek Chiniquy... Jakże modlił się do Boga, aby dał mi do serca szczere przekonanie o tym, że jestem zgubiony, póki się nie nawrócę i nie oddam Temu, który przyszedł zbawić grzeszników. Pewnego dnia po obiedzie, gdy jak zwykle czytaliśmy rozdział z Pisma świętego i modliliśmy się, pierwszy raz w życiu spostrzegłem, jak bardzo jestem wstrętny i brudny w oczach Bożych wskutek moich grzechów. Na kolanach, ze łzami w oczach zawołałem do Boga: „Co mam czynić?” Przez resztę dnia na klęczkach błagałem Boga, aby w imieniu swego drogiego Syna ukazał mi drogę do Siebie. Otworzyłem Nowy Testament i przeczytałem:

„Albowiem łaską jesteście zbawieni przez wiarę, i to nie jest z was, dar to Boży jest; Nie z uczynków, aby się kto nie chlubił.” (Ef 2,8–9).

Nagle pojąłem, że zbawienie to dar Boży, i spojrzałem ku Panu Jezusowi Chrystusowi. I Bóg mnie zbawił. W niezwyklej chwili mego nawrócenia do Boga, gdy rozproszyły się chmury i padły na mnie promienie słońca, wylałem wiele łez. Lecz jak w przypadku niewiast opisanych w Ewangelii, nie były to łzy goryczy, ale radości. Pobiegłem do mego przyjaciela Chiniquy i powiedziałem mu o wszystkim, zwołałem też przyjaciół i sąsiadów, mówiąc: „Radujcie się ze mną — bo dzisiaj znalazłem pokój, klejnot, perłę, którą zagubiłem. Znalazłem dar”. Zapanowała radość w całym domu.

„Zasię podobne jest królestwo niebieskie człowiekowi kupcowi, szukającemu pięknych pereł; Który znalazłszy jedną perłę bardzo drogą, odszedł, i posprzedawał wszystko, co miał, i kupił ją.” (Mt 13,45–46)

Zbawienie jest tylko w Chrystusie.

Peter Alphonsus Sequin, nawrócony ksiądz

Kanadyjczyk Peter Alphonsus Sequin odszedł już do Pana. Zamieściliśmy jego świadectwo jako bezcenną perłę odbijającą blask światłości Pana.

Moja historia

Świadectwo nawróconego księdza Henry'ego Gregory'ego Adamsa

Jakiej ulgi i niebieskiego pokoju doznała moja dusza, kiedy mnie, zgubionego grzesznika, znalazł Chrystus. Oto moja historia. Urodziłem się w rodzinie katolickiej w Wolseley (Saskatchewan w Kanadzie), wychowano mnie w ścisłej zgodzie z religią rzymskokatolicką. Choć od najmłodszych lat starałem się być dobrym, coraz bardziej popadałem w grzech. Jak wszyscy wokół, zmierzałem prosto do zguby. Powiedziano mi, że zakonnik i kapłan mogą uciec od grzechu i zyskać większą pewność zbawienia. Z serca pragnąc zbawienia, wstąpiłem do Zakonu Benedyktynów, przywdziałem czarną szatę, przyjąłem imię po św. Hilarym zPoitiers i złożyłem śluby zakonne. Na studiach zwracano się do mnie „bracie Hilary”, po święceniach zaś „ojcze Hilary”. Bardzo pragnąłem służyć Panu Jezusowi. Wiodąc życie zakonne, byłem pewien, że robię właśnie to, co potrzeba. Wypełniałem wszystkie klasztorne obowiązki w najdrobniejszym szczególe. W każdą środę i każdy piątek wieczorem biczowałem się, aż nieraz plecy spływały krwią, za pokutę częstokroć całowałem podłogę, nieraz spożywałem skromniutkie posiłki klęcząc na posadzce bądź zupełnie z nich rezygnowałem. Stosowałem wiele wyrzeczeń i umartwień, gdyż naprawdę pragnąłem zbawienia, a uczono mnie, że niebo mogą sobie w końcu wysłużyć. Nie wiedziałem, że Słowo Boże mówi:

„Albowiem łaską jesteście zbawieni przez wiarę, i to nie jest z was, dar to Boży jest; Nie z uczynków, aby się kto nie chlubił.” (Ef 2,8–9).

Po latach studiów i ciężkiej fizycznej pracy w klasztorze przyjąłem święcenia kapłańskie. Pełniłem posługę w pięciu parafiach w Lamont na terenie Alberty, co dzień odprawiałem msze, spowiadałem, odmawiałem różaniec oraz wiele modlitw do różnych świętych, codziennie odmawiałem też brewiarz, a jako zakonnik gorliwiej niż zwykle umartwiałem się. Jednakże moja udręczona dusza nie doznawała wcale pokrzepienia; więcej, cierpiałem jeszcze większą rozterkę niż w młodych latach. Chrystus jednak wiernie nade mną czuwał. Na studiach przygotowujących nas do kapłaństwa posługiwaliśmy się trzema podręcznikami na temat Biblii, nigdy jednak samą Biblią. Po święceniach zapoznałem się z katolickim przekładem Biblii i natrafiłem tam na pewne zaskakujące wersety, które przeczyły słuszności moich wierzeń i praktyk. Boża Księga mówiła jedno, mój kościół drugie. Kto miał rację: kościół rzymski czy Bóg? W końcu uwierzyłem Słowu Bożemu. Życie klasztorne i sakramenty zalecane przez kościół rzymskokatolicki nie pomogły mi osobiście poznać Chrystusa i znaleźć zbawienia. Po dwunastu i pół długich latach uciekłem z klasztoru, zgubiony grzesznik, bez pokoju w duszy. Wciąż była we mnie stara natura „dawnego człowieka”; potrzebowałem nowej natury, nowego serca... zgodnie z prawdą, jaka jest w Jezusie [...] trzeba porzucić dawnego człowieka, który ulega zepsuciu na skutek zwodniczych żądź, odnawiać się duchem w waszym myśleniu i przyoblec człowieka nowego, stworzonego według Boga

„w sprawiedliwości i w świętobliwości prawdy” (Ef 4,21–24).

To może się dokonać tylko w nowym narodzeniu z Ducha Bożego, tylko przez wiarę w Jezusa Chrystusa, nie zaś przez monotonne powtórzenia modlitw, pokut, ofiar, dobrych uczynków.

„... Jeśli się kto nie narodzi znowu, nie może widzieć królestwa Bożego.” (J 3,3).

„Wierz w Pana Jezusa Chrystusa, a będziesz zbawiony, ty i dom twój.” (Dz 16,31).

Zrozumiałem, że wymyślone przez człowieka sakramenty mojego kościoła i moje dobre uczynki nie mają wartości, jeśli idzie o zbawienie; dają złudne poczucie bezpieczeństwa. Niebawem uwierzyłem, że Chrystus umarł za mnie, gdyż sam nie mógłbym zbawić swej duszy. W sprawie zbawienia zaufałem tylko Jemu. Kiedy odwróciłem się od grzechów i przyjąłem Go do serca, wierząc, że na krzyżu poniósł za mnie pełną karę, wiedziałem, że moje grzechy

zostały nie tylko odpuszczone, ale i zapomniane; zostałem usprawiedliwiony przed obliczem Bożym.

„... Albowiem wszyscy zgrzeszyli i nie dostaje im chwały Bożej.” (Rz 3,23).

„Albowiem zapłata za grzech jest śmierć; ale dar z łaski Bożej jest żywot wieczny, w Chrystusie Jezusie, Panu naszym.” (Rz 6,23).

Krew Chrystusa obmyła mnie ze wszystkich grzechów:

„... krew Jezusa Chrystusa, Syna jego, oczyszcza nas od wszelkiego grzechu.” (1J 1,7).

Teraz zaś mam pokój Boży.

„... Będąc tedy usprawiedliwieni z wiary, pokój mamy z Bogiem przez Pana naszego Jezusa Chrystusa” (Rz 5,1).

Przyjacielu, jeśli i Ty usiłujesz zyskać niebo po swojemu, to chciałbym, abyś zapamiętał słowa: „nie z uczynków, aby się nikt nie chlubił”. Niebo to coś nieskończonego, i nie można sobie na nie nijak zarobić. Jesteśmy ograniczeni i grzeszni. Tylko Chrystus jest drogą, tylko On jest odpowiedzią.

„Boć jeden jest Bóg, jeden także pośrednik między Bogiem i ludźmi, człowiek Chrystus Jezus. Który dał samego siebie na okup za wszystkich, co jest świadectwem czasów jego.” (1Tm 2,5-6).

Przyjdź do Niego takim, jakim jesteś, nie ukrywając swoich grzechów. Poproś o przebaczenie i przyjmij Go jako Zbawcę i Pana. Zaufaj Mu w sprawie swego wiecznego losu, bo to On nabył dla Ciebie zbawienie. A dziś wzywa:

„Pójdźcie do mnie wszyscy, którzyście spracowani i obciążeni, a Ja wam sprawię odpocznienie” (Mt 11,28).

Wtedy i Ty rozradujesz się wraz ze mną z powodu swego nowego Przyjaciela i Zbawcy, żywego Chrystusa.

Henry Gregory Adams, nawrócony ksiądz

Od czasu swego nawrócenia Henry Gregory Adams czynnie udziela się na polu chrześcijańskiej apologetyki oraz ewangelizacji. Mieszka w Oshawie w Kanadzie, przewodząc Misji Ewangelicznej. Adres: H. G. Adams, Evangelical Mission, 149 Springdale Crescent, Oshawa, Ontario L1H7B9, Kanada.

Nawrócenie księdza

Świadectwo nawróconego księdza Charlesa Berry'ego

Jako praktykujący katolicy, poświęcaliśmy w niedziele przynajmniej pół godziny na udział we mszy; poza tym religia nie odgrywała w naszej rodzinie większej roli. W młodych latach wstydziałem się wiary i pod byle pretekstem unikałem kościoła. Lecz stało się coś, co całkiem odmieniło moje życie.

Do nieba przez cierpienie

Pilnując raz dziecka u sąsiada-protestanta przeczytałem mimochodem broszurkę „Piekło i kara wieczna” i uświadomiłem sobie — czego jestem świadom po dziś dzień — straszliwą rzeczywistość piekła. Odtąd, zdecydowany za wszelką cenę zbliżyć się do Boga, oddałem się gorliwie wszelkim praktykom katolickim i katolickiej drodze zbawienia. Zacząłem chodzić na mszę i co dzień odmawiać różaniec, nosiłem szkaplerz i medaliki. Powiedziano mi, że chcąc wiedzieć, jak dostać się do nieba, muszę czytać życiorysy katolickich świętych i uczyć się na ich przykładzie. Z czasem wywnioskowałem więc, że najpewniejszą drogą do nieba są cierpienia. Ból stał się mym nieodłącznym towarzyszem, ale dbałem o to, by nie dać po sobie poznać, jak cierpię. W wieku 19 lat zostałem augustianinem i przez 17 lat żyłem według reguły św. Augustyna, przechodząc szczeble od postulanta, przez nowicjusza i ojca zakonnego, po kapłana. Przez pierwsze dziesięć lat (było to jeszcze przed II soborem watykańskim) nie ujrzałem nawet wnętrza normalnego klasztoru, nie miałem też okazji przebywania i szczerzej rozmowy z mnichami i kapłanami; przygotowującym się do kapłaństwa nie wolno było bowiem przebywać w gronie przełożonych i nauczycieli. Ciężkich prób nie brakowało, ale w miarę upływu lat i zbliżania się święceń ich uciążliwość malała. Niewielu skarżyło się na kiepskie jedzenie, małą ilość snu czy upokarzające, nieludzkie formy dyscypliny, gdyż czuliśmy, iż za status męża Bożego cenę taką warto zapłacić. Posłuszeństwo władzy było wątkiem dominującym w naszym życiu. Nie tylko zrzekliśmy się prawa do wszelkiej własności, ambicji i prywatności, ale i do umysłu, intelektu i prywatnych myśli. Powiedziano nam, że Bóg przemawia do nas bezpośrednio ustami przełożonych i że każda wątpliwość i wahanie w uznaniu ich pełnej władzy nad nami to grzech ciężki przeciwko Bogu.

Świętymi bądźcie, jak Ja jestem Święty

Moje pierwsze zadanie jako księdza katolickiego różniło się nieco od przeciętnych. Zamiast posłać mnie do jakiegoś klasztoru do pomocy w pracy parafialnej czy nauce, polecono mi kontynuować studia aż do uzyskania doktoratu z chemii, tak abym mógł wykładać na uniwersytecie katolickim. Klasztor, gdzie mnie posłano, był luksusowo wyposażony we wszelkie wygody i szczylił się najwyśmienitszą kuchnią. Nie po to jednak poświęcałem się przez tyle lat, by teraz opływać w dostatki — lecz po to, aby stać się prawdziwym mężem Bożym, świętym. Wielce mnie rozczarowało wejście w kręgi duchowieństwa, bo spostrzegłem, że u tych, którzy uchodzili za przykłady świętości i miłości do Boga, Bóg wcale się nie liczył. Część dnia poświęcona pracy dla Pana uchodziła za nader nieprzyjemną. Zauważyłem (nie tylko tam, ale wszędzie, gdziekolwiek udawałem się później), że jedynymi duchownymi, którzy szli do kościoła, by odprawić nabożeństwo, byli kapłani do tego wyznaczeni, a dyżur wypełniali z prawdziwą przykrością. Poprosiłem, żeby wysłano mnie gdzie indziej, i ucieszyłem się z przenosin do opactwa Zakonu Augustianów w Stanach Zjednoczonych. Ale na miejscu

wcale nie znalazłem „duchowej elektrowni”, tylko „przechowalnię”, gdzie sprowadzano księży prowadzących się tak skandalicznie, iż przynosili kościołowi wstyd. Zastanawiałem się:

„Gdzież jest ów kościół, który mi opisywano i któremu oddałem życie przez wzgląd na jego czystość i piękno? Być może w Ameryce nie istnieje on w ogóle wskutek złych wpływów protestanckich? Chyba w pełni swej czystości działa tylko w krajach katolickich, gdzie cieszy się pełną swobodą wyrazu i wolnością od ograniczeń?”

Usłyszałem wtedy o uniwersytecie katolickim w pewnym katolickim kraju, gdzie potrzebowano uczonego, który zająłby się ułożeniem programu studiów nauk przyrodniczych i technicznych. Z zapałem zgłosiłem się i wkrótce zostałem dziekanem wydziału inżynierii chemicznej Katolickiego Uniwersytetu Kubańskiego. Nie muszę mówić, że i tam nie znalazłem kościoła, jakiego pragnąłem. Amerykański katolik udający się do kraju stricte katolickiego jest zażenowany i zdumiony tym, co widzi. Atakowany przez licznych przeciwników i krytykę, kościół rzymskokatolicki w Stanach Zjednoczonych sprawuje się wyjątkowo dobrze, prezentując, co ma najlepszego. Ale w krajach katolickich, gdzie ma niewielu krytyków, sytuacja wygląda inaczej. Panuje niewiedza, przesąd, bałwochwalstwo, i czyni się niewiele bądź zgoła nic, aby to zmienić. Zamiast stosować się do chrześcijaństwa ukazanego w Biblii, wierni koncentrują się na kulcie obrazów miejscowych patronów. Przez wiele lat gorliwie zwalczałem pogląd, że katolicy oddają cześć bałwanom — ale oto na własne oczy ujrzałem, że nie ma różnicy między katolikiem i jego obrazami a poganinem i bałwochwalstwem. Gdy natknąłem się na Kubie na autentycznego poganina oddającego cześć bożkom (religię tę przywieźli z Afryki przodkowie Kubańczyków), spytałem, dlaczego uważa, że gipsowe bóstwo może mu pomóc. Odparł, iż nie oczekuje pomocy od samego posążku, gdyż ten tylko reprezentuje pewną moc niebieską. Przeraził mnie fakt, że jego odpowiedź pokrywała się idealnie z wyjaśnieniem, jakim katolicy usprawiedliwiają cześć oddawaną wizerunkom świętych.

Uczynki bez wiary

Coraz bardziej pochłaniała mnie praca na uczelni. Pod moim kierownictwem zbudowaliśmy i wyposażyli zespół przestronnych budynków, mieszczących katedry inżynierii chemicznej, inżynierii mechanicznej, architektury, farmacji i psychologii. Po rozruchu kolejnych katedr oddawałem je pod kierownictwo dziekanów wyspecjalizowanych w tych dziedzinach, ja zaś zostałem prorektorem do spraw nauk przyrodniczych oraz członkiem czteroosobowego zarządu czuwającego nad całością uniwersytetu. Największym moim sukcesem było zapewne utworzenie Biura Norm Jakości. Pod jego wpływem przedstawiciele przemysłu dobrowolnie zgodzili się respektować pewne minimalne normy i współpracować z naszymi laboratoriami, które miały prowadzić ciągłą kontrolę ich wyrobów, aby dbać o utrzymanie wysokiej jakości. Najpotężniejsi, najbogatsi ludzie — od prezydenta kraju poczynając — obsypywali mnie zaszczytami i podarunkami, by zapewnić sobie moją życzliwość i poparcie przy realizacji swych planów i ambicji. Lecz w głębi serca wiedziałem, że bez względu na wszystkie zaszczyty nie osiągnąłem wcale celu, który sobie wytyczyłem. Niegdyś Augustyn wyraził to tak trafnie: „Dla siebie uczyniłeś nasze serca, Boże, i nie zaznają spokoju, póki nie spoczną w Tobie”. Drepczyły mnie wątpliwości. Zdawałem sobie sprawę, że wiele naszych nauk, wiele powierzchownych odpowiedzi, jakich udzielamy ludziom, jest przedmiotem zażartych polemik między teologami, a zarazem śmiechu i szyderstw wśród znacznej części duchowieństwa. Wstydzilem się za tych wszystkich księży, którzy przez stulecia okradali ludzi, pogardzali ubogimi, wspierali możnych ciemiężców i wsławili się długą listą skandalicznych zachowań. Postanowiłem nie tracić reszty życia i opuścić kapłaństwo i kościół, gdy tylko otrzymam doktorat z fizyki i chemii. Myślę, że każdy kapłan w pewnym momencie życia staje przed taką decyzją. Kościół obiecał, że uczyni nas mężami Bożymi, a mimo to wcześniej czy później każdy musi się zmierzyć ze swym sumieniem i dokonać bilansu. I uświadamia sobie, że jest w stanie gorszym, niż kiedy zaczynał, i to pomimo dostępu do wszystkich środków, jakie może zaoferować kościół.

Cena opuszczenia kościoła

Opuszczenie kościoła oznacza rozstanie z wieloma, a może i wszystkimi tymi, którzy nas kochali i szanowali, a nadto, co gorsza, także tymi, których sami kochaliśmy i którym

służyliśmy. Każdy ksiądz na pewno zna księży, którzy próbowali odejść, ale z tej czy innej przyczyny zdecydowali się na powrót. Ja znałem. Opowiadali mi o tych powrotach — następujących nie z miłości ku kościołowi, lecz między innymi przez wzgląd na „trzy porządne posiłki dziennie i przyzwoity pochówek”. Starannie zaplanowałem odejście, wpieryw prosząc przełożonych o urlop w Europie. Potem, po otrzymaniu doktoratu, kupiłem w Miami używany wóz z zamiarem zaszcucia się w jakiejś mieścinie, gdzie nikt mnie nie zna. Nie czułem radości z wyzwolenia. Wszyscy znajomi byli daleko — bo pozostali w kościele. Byłem obcym, przybłądą na tym świecie — i bardziej niż kiedykolwiek czułem się obcy Bogu. Poszukując w myślach kogoś, kto pomógłby mi znaleźć pracę, przypomniałem sobie chemiczkę, która pracowała ze mną w Biurze Norm, a teraz mieszkała w Meksyku. Gdy upewniłem się, że będą na mnie czekać życzliwe dusze, spakowałem się i pojechałem na południe od Rio Grande. Martha, moja znajoma, mieszkała z ciotką z Hiszpanii. Obie były dla mnie bardzo miłe, a ja nie zdawałem sobie sprawy, jak wielki wpływ wywrą na moje życie. W końcu Martha i ja pobraliśmy się. Jej ciotka bardzo się starała o pojednanie z mężem, który zszedł na złą drogę. Wrócił do niej; ale wkrótce potem znaleziono ją martwą w łóżku. Wiele poszlak wskazywało na jego winę i chcąc nie chcąc zostaliśmy wciągnięci w jeden z najbardziej sensacyjnych procesów kryminalnych w dziejach Meksyku. Ponieważ moje nazwisko stało się z tej racji powszechnie znane, kilku katolickich dziennikarzy z czołowych gazet meksykańskich przypuściło atak na mnie jako na kapłana-zdrajcę. Pracodawca w obawie o dobro firmy zwolnił mnie. Mimo kłód rzucanych nam pod nogi zdołaliśmy przenieść się do San Diego. Po kilku miesiącach pracy w Convair Astronautics dowiedziałem się, że mają dla mnie kierownicze stanowisko w korporacji-matce General Dynamics. Spędziłem kilka tygodni na konferencjach i wywiadach. Musiałem oczywiście podać szczegółowy życiorys, wykształcenie, przebieg kariery zawodowej oraz referencje. Wszystko to opisałem w najdrobniejszych szczegółach, pomijając jeden fakt: iż byłem księdzem katolickim. I nagle, może dzień czy dwa przed terminem rozpoczęcia pracy, otrzymałem telegram, że wszystko odwołane. Nigdy nie dowiedziałem się oficjalnie, jak doszło do dymisji; ale kilka dni po wszystkim otrzymałem od władz kościelnych list z ostrzeżeniem, bym nigdy więcej nie starał się o rekomendację ze źródeł kontrolowanych przez kościół, gdyż zawsze zaprzeczą, że w ogóle mnie znali. Już nigdy nie trafiłem na stanowisko godne mego wykształcenia i doświadczenia.

Dar zbawienia

Przez całe życie wpajano mi lęk i nieufność do pastorów protestanckich. Mówiono, że polują zwłaszcza na byłych księży, aby wykorzystać ich do propagowania swych niecznych celów. Mimo wszystkich uprzedzeń w akcie rozpaczki postanowiłem zaryzykować — i przekonałem się, że na całym świecie już od czasów Jezusa byli i są ludzie, których należałoby określić jako chrześcijan biblijnych. Ludzie, którzy nie tylko wierzą, że Biblia jest księgą natchnioną przez Boga, ale i uznając ją za osobiste poselstwo skierowane do nich przez miłującego Boga, czynią z niej życiowy drogowskaz. Od pewnego pastora pożyczyłem książkę o doktrynie chrześcijańskiej i spostrzegłem, że powołują się tam tylko na Pismo Święte — nie na ludzką logikę i tradycję. Po raz pierwszy w życiu zwróciłem uwagę na proste słowa Biblii, mówiące o tym, jak dostać się do nieba i uniknąć piekła. Uświadomiłem sobie, iż na Pismo Święte nie można spoglądać beznamiętnym okiem uczzonego, ale okiem dziecka, które słucha ojca i wierzy w jego każde słowo, uznając, że Bóg powiedział dokładnie to, co chciał, i że wiedział, co chce powiedzieć. Odwracając stronę za stroną, spostrzegałem prawdy, których całe życie pragnąłem. Nauczanie o zbawieniu było jasne:

„Albowiem łaską jesteście zbawieni przez wiarę, i to nie jest z was, dar to Boży jest; Nie z uczynków, aby się kto nie chlubił.” (Ef 2,8-9).

Rozmawiałem o tym z Martha i zgodziliśmy się, że uczyniłem chyba więcej niż ktokolwiek na świecie, aby uzyskać zbawienie — ale nie uczyniłem jednego: nie poprosiłem o nie Boga. Postanowiliśmy poprosić Boga o dar Jego łaski. Ukłękliśmy i po raz pierwszy modliliśmy się razem. W pokorze i skrusze poprosiliśmy Boga, aby nas zbawił, nie z powodu czynów, których dokonaliśmy czy obiecaliśmy dokonać, lecz z powodu dobrego czynu, którego dokonał Jezus, swoją śmiercią na krzyżu czyniąc przebłaganie za nasz grzech. Nie mieliśmy wtedy pojęcia, że oto narodziliśmy się na nowo. Byliśmy duchowo tak młodzi, że nie wiedzieliśmy nawet, kim jesteśmy w Chrystusie. Zaczęliśmy zauważać zmiany w naszym myśleniu; zaczęliśmy kochać wszystko, co wiąże się z Bogiem. Odtąd Bóg w ten czy inny sposób wykorzystuje nasze

świadczenie i zwiastowanie Jego Słowa, zyskując wiele dusz dla Pana Jezusa Chrystusa i biblijnego chrześcijaństwa.

„Aleście przystąpili do góry Syon i do miasta Boga żywego, do Jeruzalemu niebieskiego, i do niezliczonych tysięcy Aniołów; Do walnego zgromadzenia, i do zebrania pierwotnych, którzy są spisani w niebie, i do Boga, sędziego wszystkich, i do duchów sprawiedliwych i doskonałych; I do pośrednika nowego testamentu, Jezusa, i do krwi pokropienia, lepsze rzeczy mówiącej niż Ablowa.” (Hbr 12,22–24).

Charles Berry, nawrócony ksiądz

Charles Berry wykłada i organizuje seminaria na temat prawdy biblijnej i katolicyzmu. Słynie z błyskotliwości intelektualnej, która daje o sobie znać także w jego książkach. Można się z nim kontaktować za pośrednictwem Misji dla Katolików Barta Brewera.

Biskup odkrywa w Chrystusie prawdziwą odpowiedź

Świadectwo nawróconego księdza Charlesa Mrzeny

Przyszedłem na świat w Austrii, w katolickiej rodzinie chłopskiej. Dorastałem już wybrany przez Boga, z danym mi przez Niego pragnieniem poznania tego, co niewidzialne. Wiedziałem, że w życiu liczy się nie tylko ciało, że przede mną wieczność — lecz gdzie było moje miejsce, gdzie miałem ją spędzić? Chciałem poznać Boga, ale nie wiedziałem, jak się do Niego zbliżyć. Zacząłem poszukiwania. Po gimnazjum przyszedł czas na studia kapłańskie w Szwajcarii, później kilka lat posługi kapelana, studia prawnicze i praca wykładowcy historii i religii.

Bóg okazał miłosierdzie

Kiedyś podczas wojny moich żołnierzy i mnie przerzucono późną jesienią na front wschodni i ulokowano w ogromnej jaskini w zboczu góry. Nagle rozpoczął się wzajemny ostrzał obu armii i nim ktokolwiek zdążył się zorientować, zostaliśmy w tej jaskini pogrzebani żywcem. Po raz pierwszy w życiu modliłem się do Boga z głębi serca. Osiem długich dni. Zrozpaczony, głodny, spragniony, mimo wszystko wierzyłem, że Bóg mnie uwolni. Moja wiara rosła, aż wydawało mi się, że mógłbym góry przenosić. I wtedy zdarzyło się, że ktoś z zewnątrz znalazł nas. Spośród 130 mężczyzn przeżyłem tylko ja i jeden wierzący chłopiec. Jak dobrze było być blisko Boga. Zaraz po wojnie trzech zdesperowanych rzeźmieszków nieomal nie wysłało mnie na tamten świat: gotowi byli pościć moje ubranie nawet za cenę mego życia. Gdy jeden zbliżał się do mnie z nożem — narzędziem śmierci — modliłem się: „Panie mój i Boże mój!” Mężczyzna stanął jak wryty, rzucił nóż na ziemię i powiedział: „Zabiłem już wielu, ale tego człowieka zabić nie mogę”. Znow doświadczyłem Bożego miłosierdzia. Przenosiny do Ameryki były bardzo owocne dla mojej kariery. Z rąk arcybiskupa Williama Francisa i biskupa Marsette przyjąłem sakrę biskupią. Długie lata dobrobytu materialnego, sukcesów towarzyskich i umacniania pozycji w kręgach kościelnych napełniły mą głowę wiedzą, doświadczeniem — i pychą. I wyjałowiły serce. Nie szedłem do przodu, lecz cofałem się; nie piałem się w górę, ale zsuwałem w dół. W końcu zdrowy rozsądek zwyciężył i rozbudziło się we mnie pragnienie poznania Jezusa Chrystusa i podążania Jego drogą. Rozczarowany zepsuciem w kręgach religijnych i zniechęcony postawą fałszywych braci — doznałem jednak wspomnienia od Boga. Zrezygnowałem z urzędu biskupa. Straciłem wszystko, co posiadałem. Mój dom splądrowano, pozbawiono mnie wszystkiego, co miałem. niesprawiedliwie prześladowano mnie bez wytchnienia. W końcu śmiertelnie zaniemogłem i znow stanąłem twarzą w twarz z wiecznością.

„Stwórz we mnie serce czyste”

Byłem chrześcijaninem tylko w nazwy. Ileż to razy czytałem słowa, jakie Pan wypowiedział do Nikodema: „Trzeba wam się powtórnie narodzić”, nigdy nie rozumiejąc ich znaczenia. Kiedyś zdawało mi się, że jestem na nowo narodzony, lecz nie była to prawda. Żyłem jak człowiek tego świata; nie mieszkał we mnie Duch Chrystusowy. Uznawałem prawdę, na tyle, na ile mogłem ją pojąć, lecz nie miałem co do niej pełnego przekonania. Posiadałem pewne zrozumienie wiary, ale nie była to wiara zbawiająca. Umialem pouczać innych, lecz nie byłem

w stanie stosować się do własnych pouczeń. Śmiertelna choroba dopadła mnie w kwietniu. Rozeszła się wieść, że mam raka; rodzinie oznajmiono, że w ciągu trzech miesięcy mają się spodziewać mojej śmierci. Dowiedziawszy się o swym beznadziejnym stanie, postanowiłem złożyć całą nadzieję w Panu. Teraz albo nigdy. Na drugi dzień czytałem Psalm 51 modląc się cicho. Oczyma duszy ujrzałem Golgotę i Chrystusa umierającego za liczne moje grzechy. Zstąpił na mnie Duch Święty. W głębokiej skrusze wyznałem grzechy Bogu, ufając Jezusowi Chrystusowi jako Zbawcy. Spowiła mnie niepojęta cisza i poczułem obecność wielkiej mocy z niebios. Mocą tą był Chrystus. Narodziłem się z Ducha Świętego. Stara natura zmieniła się i stałem się nowym człowiekiem. Bóg w swej wielkiej miłości uczynił jeszcze więcej: zostałem cudownie uzdrowiony. Skończyły się moje poszukiwania, moje pragnienie zostało ugaszone, los zapieczętowany. Należałem już do Pana, a On był mój. Jakież to niezwykle: znać Jego pokój, doświadczać Jego obecności, żyć razem z Nim i wiedzieć, że to On kieruje moim życiem! Owszem, zmarnowałem wiele lat, lecz w przyszłości czeka mnie tylko chwała. Nakłońcie serce ku cudownemu Zbawcy i przyjmijcie obietnicę Jego Słowa:

„Lecz którzykolwiek go przyjęli, dał im tę moc, aby się stali synami Bożymi, to jest tym, którzy wierzą w imię jego.” (J 1,12).

Charles Mrzena, nawrócony ksiądz

Charles Mrzena z wielkim zapałem służył Panu w latach po II wojnie światowej. Dziś jest już u Pana, wielu jednak, jak choćby H. Gregory Adams, dobrze pamięta jego gorliwość dla prawdy Ewangelii.

Wczoraj ksiądz, dziś misjonarz

Świadectwo nawróconego księdza Daria A. Santamarii

Urodziłem się 22 czerwca 1942 roku w Kolumbii, w Belle w departamencie Antiequio. Przez sześć lat chodziłem do szkoły przy Instytucie Manuela Jose Caicido, prowadzonej przez Księżę Orionistów, zakon zajmujący się oświatą. Potem pięć lat uczyłem się w szkole Salezjanów. Ostatni rok gimnazjum spędziłem w Bogocie, stolicy, u Dominikanów.

Po drabinie hierarchii

Uzyskałem tytuł licencjata filozofii, a 8 grudnia przywdziałem habit Zakonu Kaznodziejów, zwanego także Dominikanami. Rozpoczął się nowicjat. Chodziłem w białym habicie i brązowym płaszczu, głowę miałem wygoloną, z pozostawionymi tylko resztkami włosów. Przez rok studiowałem regułę zakonną, zwyczaje, obowiązki i przywileje związane zżyciem religijnym w kościele rzymskokatolickim. Był to rok ciężkiej pracy i surowego reżimu; nie wolno było rozmawiać z nikim z zewnątrz. Nie wolno też było jeść mięsa, z wyjątkiem pewnych świąt; co piątek pościliśmy. Codziennie modliliśmy się i śpiewaliśmy Psalmi po łacinie. Wstawaliśmy o czwartej rano i aż do 12.30 po południu obowiązywało nas milczenie. Co niedziela wyznawaliśmy grzechy przed naszymi towarzyszami i przełożonymi. Grzesznicy nieraz musieli leżeć na progu, tak aby inni mogli przechodzić po ich ciałach. Złożyłem ślub, że pozostanę w zakonie kolejne trzy lata; rozpocząłem też studia filozoficzne. Przez trzy lata zgłębiałem metafizykę, kosmologię, psychologię, metodologię, historię filozofii oraz grekę i język hebrajski. Potem uroczyście złożyłem śluby zakonne i rozpocząłem studia teologiczne. W roku tym, 1961, miałem okazję poznać najbardziej postępowych myślicieli katolickich. Pod koniec roku przyjąłem pierwsze święcenia — był to zatem pierwszy mój szczebel kościelnej hierarchii. Na drugim roku teologii przyjąłem kolejne dwa święcenia zgodnie z Kodeksem prawa kanonicznego. Na trzecim roku, studiując dogmatykę, historię i Trójcę, otrzymałem pierwsze ze święceń głównych: akolity. Na ostatnim roku przerabiałem kurs teologii moralnej i obowiązków duszpasterskich; na koniec przyjąłem święcenia kapłańskie. Lecz Pan powołał mnie do innej drogi, i chcę opowiedzieć o tym, co działo się ze mną przez te lata przygotowań.

Żywe Słowo Boże

Przeczytałem rozprawę o Biblii, dzieło Hiszpana Donosa Corteza, gdzie była mowa o wielkości Biblii i jej wkładzie w literaturę światową. Ostatni rozdział poświęcono Biblii jako Księdze danej przez Boga człowiekowi. Pojąłem wtedy jej wagę jako Księgi zbawienia. W domu mieliśmy piękny egzemplarz Pisma, w którym odnotowywaliśmy małżeństwa, zgony i narodziny. Biblia ta była milczącym świadkiem wszystkich wydarzeń w naszej rodzinie; świadkiem, który nigdy do nas nie przemówił, gdyż nie uczono nas, że należy ją czytać. Zacząłem więc czytać ją fragmentami, a lektura wzbudziła we mnie wiele wątpliwości. Zapraǳnęłem je rozstrzygnąć. Pomyślałem, że powinienem zbliżyć się do tych, którzy żyją według Biblii; udałem się zatem do znajomego protestanta, od którego zresztą nabyłem mój egzemplarz Biblii i z którym prowadziłem już wiele dyskusji. Zapisalem się na ich kurs korespondencyjny, lecz nie otrzymałem odpowiedzi na wszystko. Raz udałem się na protestanckie spotkanie młodzieżowe. Zdziwiła mnie wiedza tych ludzi na temat Biblii. Na urodziny ów znajomy protestant podarował mi zakładkę z werselem biblijnym, tekstem z Ewangelii Jana 3,16, który stał się kluczowym Słowem w moim życiu:

Tak bowiem Bóg umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne.

Poszedłem do seminarium, sądząc, że w ten sposób zbliżę się do Boga. Wybrałem sobie jeden z najwyżej cenionych zakonów kościoła, słynący z teologów, kaznodziejów i obrony wiary katolickiej, zakon Tomasza z Akwinu — i zakon Inkwizycji. Lecz w seminarium nie znalazłem pokoju ducha. Pan zawsze przypominał mi o tekście z Ewangelii Jana. Zaczęłem się zastanawiać, po co w ogóle jestem w klasztorze, skoro Pan może mnie zbawić zupełnie sam. Wszystkie praktyki klasztorne i kościelne były dodatkiem zgoła niepotrzebnym w sytuacji, gdy zbawienie było przez wiarę. Staralem się odszukać je w Ewangeliach — i wątpliwości zaczęły się mnożyć.

Droga wiary

Od drugiego roku studiów przywykłem czytać Nowy Testament po grecku. Niektóre sformułowania Listu do Rzymian i Listu do Galatów zdziwiły mnie. Bezpieczną drogą dla chrześcijanina wydawała się droga wiary; gdy jednak zagadnąłem na ten temat profesora egzegezy, odparł mi słowami św. Jana Chryzostoma: „Im więcej czytam Pawła, tym mniej rozumiem”. Moje wątpliwości tak się rozmnożyły, że pochłonęły mnie zupełnie. Nie wierzyłem wtedy w zmartwychwstanie Jezusa, bo czołowym autorytetem był dla mnie Bultmann. Dalsza lektura Pisma rozproszyła wątpliwości. Odpowiedź znalazłem w Pierwszym Liście do Koryntian 15,14:

„A jeżeli Chrystus nie jest wzbudzony, tedyć daremne kazanie nasze, daremna też wiara wasza.”.

Zmartwychwstanie Jezusa stało się dla mnie najważniejszym faktem w dziejach. W środku byłem już chrześcijaninem wierzącym według Ewangelii; nie wierzyłem w rytuały swego kościoła, choć dalej w nim trwałem. W końcu nabrałem przekonania, że moje życie to wielkie oszustwo: robię przecież coś, do czego nie mam przekonania. Raz udałem się z wizytą do jednego pastora; było to podczas pierwszego od siedmiu lat urlopu spędzanego w domu. Zaczęliśmy studiować Słowo Boże, głównie 11 rozdział Listu do Hebrajczyków — o wierze. Zapytałem: „Jeśli wierzę w to, to co powinienem zrobić?” Zaczęliśmy modlić się i przyjąłem Jezusa Chrystusa jako Zbawcę, który uczynił dla mnie wszystko, i mego Pana. Stałem się nowym człowiekiem. Odtąd zaczęły się problemy, zwłaszcza rodzinne. Ksiądz w rodzinie to dla katolika zaszczyt większy, niż gdyby ofiarował kościołowi ołtarz z litego złota. Od ojca usłyszałem: „Przez ostatnie 200 lat w rodzinie Santamariów nie było ani mordercy, ani złodzieja, ani prostytutki, ani protestanta. Ty jesteś pierwszy”. Ze względu na Ewangelię musiałem więc opuścić ukochanych bliskich — sześć osób. W zamian za to zyskałem jednak rodzinę tysięcy osób, prawdziwych wierzących w Jezusa. Władze kościoła rzymskiego próbowały wtrącić mnie do więzienia, ale wspomogło mnie wielu na nowo narodzonych misjonarzy i wierzących i Pan w cudowny sposób mnie uwolnił. Musiałem wyjechać z Kolumbii, lecz Pan zatroszczył się o moje potrzeby i dał mi sposobność studiowania swego Słowa w seminarium biblijnym. Pan włożył mi też do serca troskę o naród hiszpański. Dziś pracuję jako misjonarz w Hiszpanii, z ramienia organizacji The Conversion Center (Ośrodek nawróceń), starając się nieść poselstwo Ewangelii do pogrążonych w ciemności serc Hiszpanów. Codziennie potrzebuję Waszych modlitw o to, aby wielu Hiszpanów odnalazło pokój w Jezusie.

„Będąc tedy usprawiedliwieni z wiary, pokój mamy z Bogiem przez Pana naszego Jezusa Chrystusa” (Rz 5,1).

Dario A. Santamaria, nawrócony ksiądz

Po nawróceniu Dario A. Santamaria poświęcił się pracy wydawniczej i ewangelizacyjnej w Hiszpanii i Stanach Zjednoczonych. Teraz służy Panu w Nowym Jorku. Adres: Dario A. Santamaria, The Conversion Center, Drawer V, Havertown, PA 19083, USA. Tel. (0-01) (215) 353 6617.

Z klasztoru do służby Bożej

Świadectwo nawróconego księdza Jose Borrassa

— Niech ojciec wyda wojnę tym protestantom! Strasznie się panoszą— oznajmiła Dolores, siostra z klasztoru, gdzie w niedzielę ja, młody ksiądz i nauczyciel szkolny, odprawiałem msze i mówiłem kazania.

— Zwodzą prosty lud. Podarkami zwabili do tych heretyków najporządniejsze osoby! — dodała.

Pragnąc bronić Ewangelii Chrystusowej, postanowiłem rozpocząć walkę z protestantami. Wiedziałem o nich tyle, że są źli, a ich nauczanie roi się od błędów i herezji. Raz któryś uczeń przyniósł na zajęcia grube tomisko.

— Biblia protestancka, proszę ojca— oznajmił.

— Jakaś pani dała mamie, i mama boi się trzymać, bo to grzech. Spali ojciec?

— A jakże, spałę— odparłem.

— Trzeba raz na zawsze skończyć z tą protestancką propagandą.

Ale wyrwawszy kilka pierwszych kartek, zmieniłem zdanie. Chcąc zwalczać protestantów, a nie znając ich błędów, musiałem przecież przejrzeć ich Biblię i poznać ważniejsze herezje. Po lekturze kilku dłuższych ustępów Nowego Testamentu i porównaniu ich z moją Biblią stwierdziłem, że niczym właściwie się nie różnią. Zbiło mnie to z tropu. Nie pojmowałem, skąd różnice między katolikami a protestantami, skoro ich Biblie zawierają to samo. Pomyślałem, że protestanci widać nie czytają tej swojej Biblii, a jeśli nawet, to się do niej nie stosują. Postanowiłem przyjrzeć się osobiście życiu i zwyczajom protestantów. Udałem się do jednej protestanckiej rodziny i przedstawiłem się jako nauczyciel, który chce lepiej poznać ich naukę, aby wierniej wykładać, na czym polega protestantyzm. Zdumiałem się, bo przyjęli mnie życzliwie. Zdziwiło mnie, że znają Biblię lepiej niż ja. Było mi wstyd. Mówili o Chrystusie z zapałem, jakiego ja, ksiądz, nigdy nie czulem. Odpowiedzieli na parę pytań i zasugerowali rozmowę z ich pastorem, baptystą. Poznałem go nazajutrz i zaraz ostrzegłem:

— Proszę mnie nie nawracać, bo straci pan czas. Wierzę, że kościół katolicki to jedyny prawdziwy kościół. Chciałbym się tylko dowiedzieć, czemu pan nie jest katolikiem.

Zaproponował mi cotygodniowe spotkania na studium Nowego Testamentu, na których moglibyśmy spokojnie omawiać nasze punkty widzenia. Zgodziłem się. Na wszystkie moje pytania pastor cytował Nowy Testament; moimi zaś argumentami były wypowiedzi papieży i definicje soborowe. Choć na pozór nie chciałem uznać jego racji, to w duchu wiedziałem, że słowa Ewangelii mają większą wagę niż postanowienia soborów, a słowa Piotra i Pawła liczą się bardziej niż nauki papieży. Pod wpływem tych rozmów zacząłem pilniej zgłębiać Nowy Testament szukając argumentów przeciw nauce protestantów. Chciałem nie tylko dowieść, że pastor myli się, ale i zdobyć go dla kościoła katolickiego. Mimo to po kolejnej rozmowie wyszedłem z uczuciem pokonanego. Długi czas mnie to gryzło; czytałem Nowy Testament, prosząc Boga o umocnienie wiary i o rozproszenie wątpliwości, bym nie popełnił błędu. Lecz im więcej czytałem i modliłem się, tym większy czulem zamęt. Czyżby kościół katolicki mógł nie być kościołem Chrystusa? Czyżbym mylił się w swej wierze? A jeśli tak, to co czynić? Słyszałem, że pod wpływem Biblii niektórzy księża i zakonnicy zostali protestantami, ale ja nie mógłbym tak postąpić! Ja protestantem? Heretykiem? Zdrajcą wiary? Przenigdy! Co by powiedzieli rodzice, uczniowie, znajomi? Jedenaście lat nauki na marne! Jak zarobiłbym na życie? Strapiony, nie chciałem jednak zmieniać wiary, żałując decyzji o spotkaniu z pastorem i wmawiając sobie, że to on się myli. Pilnie czytałem Nowy Testament, szukając potwierdzenia swych poglądów, lecz tylko coraz jaśniej widziałem, że nie mam racji. Bałem się jednak opuścić kościół i postanowiłem w nim pozostać, choć nie wierzyłem już w jego naukę. Pewnej niedzieli siostra Dolores odezwała się do mnie:

— I co, nic ojciec nie głosi przeciw protestantom. A obiecał ojciec. Z dnia na dzień rosną, coraz więcej ludzi tam chodzi.

— Siostró — odparłem — dalej badam doktrynę protestancką i widzę, że nie są oni tacy źli, jak się sądzi. Opierają się na Biblii, a nie możemy przecież grzmieć przeciw Słowu Bożemu.

— Myli się ojciec — odrzekła. — Są bardzo źli. Wilki w owczej skórze. Wrogowie ojczyzny. Nienawidzą Maryi. Podkopują wiarę w papieża. Trzeba się za nich zabrać.

Powiedziałem, że niektórzy księża chcąc walczyć z protestantami sami się nawrócili na protestantyzm, gdy bezstronnie, w świetle Pisma Świętego zabrali się za badanie jego doktryny.

— Co mi ojciec opowiada — przerwała. — Oni się nie nawrócili, ale wykoleili. Przeszli na protestantyzm, bo mieli coś nie tak z głową albo chcieli się ożenić. Ojciec może bez obaw zająć się badaniem tej ich nauki — dodała — bo jestem pewna, że ojciec do protestantów nie przejdzie. Z głową u ojca wszystko w porządku, i nie zamieni ojciec Chrystusa na kobietę.

— Też tak sądzę, siostró — odparłem. — Zbadam sprawę. Jeśli dojdę do przekonania, że się mylą, rozpocznę z nimi walkę. Ale jeśli odkryję, że mają rację, sam zostanę jednym z nich.

— Spokojna głowa — uśmiechnęła się, zadowolona z obietnicy. — Nie zostanie ojciec protestantem.

I znów zabrałem się za Nowy Testament, czytając go wciąż na nowo. Z całego serca prosiłem Boga o mądrość i prowadzenie, abym doszedł do jasnego i prawdziwego wniosku. Wiedziałem, że nic innego mnie nie zadowoli. Trzy miesiące po tym opuściłem kościół katolicki, nie mogąc już spełniać praktyk i wierzyć w nauki, o których fałszu byłem z głębi serca przekonany. Rozważyłem wszelkie możliwe skutki, lecz mimo to postanowiłem iść za Jezusem Chrystusem. Najważniejsze w moim życiu było spotkanie Jezusa Chrystusa, poznanie Go jako mojego Zbawcy. Nie wystarczy być dobrym katolikiem; istotne, niezbędne jest narodzić się na nowo w Chrystusie. Doświadczyłem tego. Gdy Chrystus wszedł do mego serca, uwolnił mnie nie tylko od grzechów, ale i od dotkliwego brzemienia, pod jakim uginałem się w moim zakonie. Dziękujecie Bogu za tych licznych, którzy szukali odpocznienia i znaleźli je. Ten sam Bóg, który na drodze do Damaszku przemienił życie Szawła — prześladowcy kościoła — i który w klasztornej celi przemienił życie ojca Jose Borrasa, jest zdolny przemienić Twoje życie, gdziekolwiek się znajdujesz.

Jose Borrás, nawrócony ksiądz

Hiszpan Jose Borrás nawrócił się w swym rodzinnym kraju. Przez 30 lat pracował jako rektor i wykładowca Hiszpańskiego Baptistycznego Seminarium Teologicznego w Alcobendas (Madryt), podróżując z Ewangelią po wielu krajach (był w 27). Dziś, już na emeryturze, nie przestał czynnie służyć Panu. Napisał dwie książki; dwie inne zredagował. Pracuje nad przygotowaniem Studiów biblijnych dla wierzących. Adres: J. Borrás, Vicente Muzas 15-4.0B, 28 043 Madryt, Hiszpania.

Dusza kapłana

Świadectwo nawróconego księdza Leo Lehmana

Oglądałem rzymski katolicyzm w akcji aż na trzech kontynentach. Niejeden raz wraz kardynałami w ich luksusowych limuzynach mijałem wyprężoną Gwardię Szwajcarską przejeżdżając przez Bramę Damasceńską ku prywatnym apartamentom papieskim. Widziałem umierającego papieża, byłem świadkiem jego pochówku oraz wyboru i ingresu następcy. Stałem u boku przyszłego papieża Piusa XI, gdy ówczesny papież Benedykt XV mianował go kardynałem, kładąc mu na głowie płaską jak naleśnik czapeczkę. Podtrzymywałem wtedy długi purpurowy tren nowego kardynała. Pełniłem posługę kapłana nie tylko w przepysznych katedrach Europy, ale i w holenderskich gospodarstwach na rozległych przestrzeniach afrykańskich sawann i w wałacych się chatach florydzkich ostępów.

Dom

Urodziłem się w 1895 roku w Dublinie. Nie mam przyjemnych wspomnień z dzieciństwa — pamiętam tylko nieustanny strach. Strach towarzyszył każdemu aktowi religijnemu, jaki wiązał się z księdzem, spowiedzią, uczęszczaniem na niedzielną mszę, niejedzeniem mięsa w post i „suche dni”, piekłem, niebem, czyścim, śmiercią i sądem rozgniewanego Boga. W klasie, w kościele, w domu — Biblia była księgą niedostępną. Brakowało pieniędzy, by kupić wersję katolicką, zwykle o dość słonej cenie, a nie mieliśmy odwagi przyjąć darmowej Biblii od pewnego towarzystwa protestanckiego. O moim wyborze kapłaństwa zdecydował w głównej mierze właśnie strach, jaki napawał mnie wobec wszystkiego, co wiązało się z religią rzymskokatolicką. Ubiegałem się o przyjęcie do szkoły misjonarskiej Mungret koło Limerick, i przyjęto mnie.

Rzym

Już na studiach seminaryjnych w Rzymie nawiedziły mnie pierwsze wątpliwości i niepewność co do papieskiej wersji chrześcijaństwa. Zastanawiałem się na przykład: Jeśli Rzym jest jedynym ośrodkiem prawdziwej wiary, dlaczego obywatele tejże prawdziwej religii prezentują tak niski poziom? Skąd tyle ateizmu, nieprzyzwoitości, bezprawia? Rzymskie społeczeństwo nie miało dla nas krzty szacunku; gdy przechodziliśmy ulicą, obelgami obrzucały nas nawet rzymskie dzieci. Poza tym dlaczego tak gromko zachęcało się księży irlandzkich i innych do wyjazdu na misje do Chin, Indii i Afryki w roli propagandzistów papieża, skoro tu, w Rzymie, aż roiło się od tysięcy księży snujących się leniwie po watykańskich biurach i z najwyższym trudem znajdujących wśród 400 rzymskich kościołów jakiś wolny ołtarz, aby odprawić mszę. Zapytywałem też siebie, czemu szumną liczbę 300 milionów katolików świata ma w Rzymie reprezentować grono kardynałów, z których prawie dwie trzecie to Włosi. 40 milionów Włochów było katolikami tylko z nazwy, a nie z serca. Tymczasem na przykład 20 milionów amerykańskich katolików nie tylko wiernie uczęszczało na mszę, ale i zasilalo pokaźnymi sumami watykańskie skarbcie. Wśród kardynałów znalazło się jednak tylko trzech Amerykanów, ludzi miernego pokroju, acz lojalnych wobec Rzymu, nigdy nie ważących się na podważanie jego wyroków. Dane mi było poznać intrygi rzymskiego duchowieństwa zmierzające do zaskarżenia sobie łask osób wpływowych w Watykanie, widziałem łaknienie papieskich honorów i wysokich stanowisk; spostrzeżliśmy wśród najwyższych dostojników kościelnych zawzięcie zwalczające się frakcje. Codziennie natrafiałem na rozliczne przejawy

chciwości i ambicji wojowniczych papieży oraz ich niegodziwej polityki. Widziałem Zamek Świętego Anioła, czyli Mauzoleum Hadriana, z murami noszącymi ślady pocisków jednego papieża, zamkniętego w swej watykańskiej twierdzy, ostrzeliwującego drugiego papieża, kpiącego sobie z jego kłątów. Nadszedł dzień święceń. Była to wyjątkowo długa ceremonia — nie mogłem wyjść z podziwu nad mnogością czynności, jakie nade mną wykonywano, modlitw, śpiewów. Konsekrowano palce, by mogły odprawiać mszę, i owinięto je gęstym płótnem lnianym; namaszczone głowę i też owinięto ją w lniane bandaże. Dotknąłem pierwszy raz złotego kielicha, otrzymałem obowiązek słuchania spowiedzi i odpuszczania grzechów, namaszczenia chorych i grzebania zmarłych. Pierwszy raz skosztowałem wina z kielicha mszalnego, które wedle wiary katolickiej zostało dzięki formule konsekracji przeistoczone w krew Chrystusa. Święceń udzielił mi kardynał Basilio Pompiljo w bazylice św. Jana na Lateranie. Radość, której doznałem tego dnia, przyćmił jednak pewien przykry wypadek, którego stałem się świadkiem wieczorem. Jeden z moich towarzyszy doznał zaburzeń umysłowych. Napięcie wywołane mechaniczną rutyną, mnóstwo mniejszych i większych ograniczeń, powtarzanie niezliczoną ilość razy modlitw i formuł często prowadzi do zachwiania równowagi umysłowej, doprowadzając do pewnego typu obłędu na podłożu religijnym, określanego mianem „wąskiego sumienia”. Pamiętam inny podobny incydent. Podczas pełnienia posługi kapłańskiej na Florydzie odwiedzałem od czasu do czasu ośrodek dla dzieci opóźnionych w rozwoju w Gainesville. Pewnego razu ordynator przyprowadził do mnie 14 letnią dziewczynkę, której zaburzenie psychiczne polegało na gorączkowym powtarzaniu i liczeniu „Zdrowaś Maryjo”. Jej umysł był kompletnie pochłonięty myślą, że musi tę modlitwę odmawiać po sto razy codziennie, lecz aby upewnić się, że zdąży je wypowiedzieć, miała już na koncie ponad tysiąc dodatkowych rund. Najwidoczniej jakiś ksiądz zadał jej odmawianie tych „Zdrowasiek” przy spowiedzi jako pokutę. Po 3,5 letnim okresie posługi w Afryce Południowej zostałem wezwany do Rzymu, do pracy w Watykanie. Z biegiem czasu dręczyło mnie coraz więcej wątpliwości co do genezy instytucji papieżstwa. Wątpliwości co do chrześcijańskiego charakteru praktyki katolickiej, drobiazgowa znajomość brudnych szczegółów życia moich kolegów kapłanów i niknąca nadzieja na szansę poprawy kościoła pod władzą papieża już wcześniej budziły we mnie dojmujący niepokój. Z duchowego, doktrynalnego, prawnego i osobistego punktu widzenia z dnia na dzień kruszyła się we mnie wizja rzymskiego papieżstwa jako wyznaczonego przez Boga stróża chrześcijaństwa. Stałem wobec gorzkiej prawdy: iż chcąc zachować swą wiarę chrześcijańską, muszę z tym całkowicie zerwać.

Ameryka

Z Rzymu przeniesiono mnie do Ameryki. Jako obcy w nowym otoczeniu, pomyślałem, że przed zupełnym rozczarowaniem zdoła uchronić mnie oddanie się pokornej pracy na rzecz duchowych potrzeb prostych ludzi. Smak porażki zilustruję przykładem. Pewnego dnia musiałem spełnić nadzwyczaj smutne zadanie: towarzyszyć młodemu człowiekowi skazanemu na śmierć na krześle elektrycznym. Było to we Florydzkim Więzieniu Stanowym w Raiford, na terenie mojej parafii. Chłopak pochodził ze wschodu Stanów Zjednoczonych, urodził się i wychował w rodzinie katolickiej, uczęszczał też do katolickiej szkoły. W młodości nauczono go wszystkich praktyk rzymskokatolickich uważanych za niezbędne do pobożnego życia. Sąd w Tampie skazał go za współudział w zabójstwie pierwszego stopnia, kiedy to podczas napadu na restaurację zginął jej właściciel. Uczyniłem, co mogłem, aby przygotować go na „ostatnią drogę”. Udzieliłem mu wszystkiego, co w takich przypadkach zaleca kościół katolicki, a dzięki czemu do potrzebującej duszy ma się wlać Boża łaska i siła. Już gdy leżał bezwładny i martwy w chwilę po tym, gdy przez krzesło przepłynął śmiercionośny prąd, namaściłem jego czoło olejem, jak należy to czynić podczas udzielania sakramentu „ostatniego namaszczenia”. Mimo to zdawałem sobie sprawę, że nie zdołałem grzesznej, udręczonej duszy biedaka dać prawdziwego pocieszenia. Odwiedziłem go w celi śmierci w ostatnim tygodniu przedśmiertnej agonii i wielokrotnie żegnałem znakiem krzyża na odpuszczenie grzechów. Ostatniego ranka zjawiłem się u bram więzienia wczesnym świtem z całym zestawem ciężkich paramentów liturgicznych potrzebnych do odprawienia mszy. Postawiłem je na stole koło podwójnej kraty jego celi. Włożyłem lśniące szaty liturgiczne i z całą godnością, na jaką tylko pozwoliła groza sąsiedztwa celi potępionych, rozpocząłem „ofiarę” mszy. Biedny chłopak, przerażony, chodził po celi tam i z powrotem paląc jednego papierosa za drugim. Odrzucił papierosa, aby przyjąć do ust oplatek komunii świętej, który podałem mu przez

kraty. Nic to nie pomogło. Uspokoił go nieco dopiero zastrzyk morfiny, zaaplikowany przez lekarza na dziesięć minut przed egzekucją. Olśniło mnie: jeden zastrzyk sprawił chłopakowi większą ulgę niż wszystkie udzielone przeze mnie sakramenty, które mają przecież dawać ukojenie i ciału, i duszy. Poszliśmy na miejsce egzekucji. Gdy prąd przeszedł ciało chłopca, wyrzucając je gwałtownie w górę i trzymając tak naprężone i sztywne, moja ręka poruszała się z góry na dół w znakach krzyża, a usta szeptały ciągle łacińską formułę rozgrzeszenia, tak jakbym i ja mógł przeszyć jego odchodzącą duszę prądem przebaczącej łaski. Gdy prąd ustał, a ciało opadło bezwładnie, podszedłem tam z naczynkiem oleju w dłoni. Poprosiłem strażnika, aby zdjął z głowy chłopca żelazne nakrycie, i olejem używanym do ostatniego namaszczenia posmarowałem czoło, jeszcze mokre od śmiertelnego potu. Ponieważ nie przybył nikt z krewnych, poprosiłem o wydanie mi ciała i pochowałem je w katolickiej części cmentarza ściśle wedle obrządku — mimo że zaprotestowali niektórzy pobożni parafianie, nie chcąc, by w sąsiedztwie ich bliskich spoczywał skazany morderca. Przypomniałem im, że i Jezus Chrystus umierał pomiędzy dwoma łotrami. Muszę jednak wyznać, że mimo iż moje konsekrowane palce jak najstarszanniej wykonały te podobno pełne mocy sakramenty święte, czułem, iż zawiodłem nieszczęśnika w jego najstraszliwszej godzinie. Była to właściwie w pełni moja wina, tak naprawdę nie miałem mu bowiem co dać, wszystko to było jałowe i sztuczne. A jednak musiałem wysłuchiwać wyrazów uznania od wiernych, którzy chwalili mnie za wypełnienie prawdziwie kapłańskiej misji wobec biednego skazańca. Wszystkie te rytualne manewry teologowie katolicycy wymyślili po to, aby zilustrować swoją podstawową naukę: iż zbawienie można zyskać tylko dzięki „uczynom dokonywanym” przez kapłana. Łaska zbawienia jest według doktryny katolickiej czymś, co wlewa się w ludzkie dusze poprzez specjalnie zaprojektowane „przewody” siedmiu sakramentów. Te zaś pełnią rolę „kanałów” wychodzących ze zbiornika łaski, na który wyłączny monopol ma rzymski papież. Na takiej to inżynierii zewnętrznych nierzeczywistości — mającej swą magiczną siłą wywołać duchowy skutek — opiera się cały system teologii katolickiej. Czynności kapłańskich dłoni muszą być uznane w wymiarze zarówno wiary jak organizacji i praktyki. Ale nie takiej przecież natury jest moc królestwa niebieskiego. Paweł apostoł ogłasza prawdziwą moc Ewangelii: „Bo ja nie wstydzę się Ewangelii, jest bowiem ona mocą Bożą ku zbawieniu dla każdego wierzącego, najpierw dla Żyda, potem dla Greka. W niej bowiem objawia się sprawiedliwość Boża, która od wiary wychodzi i ku wierze prowadzi, jak jest napisane: „że sprawiedliwy z wiary żyć będzie” (Rz 1,16–17).

Za Jezusem

Pozbawiony ludzkiej pociechy i zrozumienia, samotnie podążałem trudną ścieżką, która wiodła mnie coraz dalej od kościoła mego dzieciństwa i od kapłaństwa. Jedynym moim towarzyszem i przewodnikiem był Jezus Chrystus. Jakże słusznie uchwyciłem się Jego wyciągniętej dłoni i podążyłem za Nim. Kiedy oderwałem się od Rzymu, Pan Jezus objawił mi się jako mój Zbawiciel — poprzez lekturę Słowa Bożego. Ujrzałem, jak liczne są błędy rzymskiego katolicyzmu. Od chwały kapłaństwa runąłem w dół, na kolana, aby wyznać, że jak wszyscy ludzie jestem grzesznikiem, potrzebującym wybawienia przez Pana Jezusa Chrystusa. Na ścieżce, która wiodła mnie coraz dalej od Rzymu, spotykałem takich, którzy co tchu biegli w odwrotną stronę, inni zaś, już w jego szeregach, głośno opiewali jego fałszywą chwałę. Spoglądali ku temu, od czego ja się odwróciłem; system religijny, który rozczarował mnie nie tylko jako jego członka, ale i pracownika, stawał się lub już się stał ich iluzją. Z ulgą zdawałem sobie sprawę, iż to, co w ich oczach wygląda na tchórzliwą ucieczkę, dla mnie jest zwycięstwem. Nie zawahałem się ani chwili, mimo świadomości, że gdy oni zostaną okrzyknięci przez wszechwładną propagandę Rzymu bohaterami wiary, ja będę musiał cierpieć z ich rąk prześladowania i szyderstwa. W odróżnieniu od kardynała Newmana, Chestertona i innych moje nawrócenie nie było ucieczką przed domem wariatów, ale dążeniem do duchowej trzeźwości. Balansując między obszarem elokwentnych spekulacji rzymskiego dogmatyzmu a sferą liberalizmu religijnego znalazłem rzeczywistość Chrystusa. Nie miałem już wątpliwości, czemu Chrystus jasno potępił wszelkie systemy kościelne w rodzaju rzymskiego papieństwa, obnażając judaistyczny „kościół” tamtych czasów. Dla mnie różnica między kościołem papieństwa a tym, co bez cienia litości ośmieszył Chrystus, tkwiła tylko w nazwie. Była to przecież organizacja pontyfikalnych arcykapłanów, pełnych przepychu dostojników o szerokich filakteriach, organizacja krótkowzrocznych uczonych w Piśmie

i pobielanych faryzeuszów, był to kościół, który „[wiązał] ciężary wielkie i nie do uniesienia i [kładł] je ludziom na ramiona”, który ustalał wiele przepisów dotyczących postów i zewnętrznych obmyć, wedle którego grzechem było spożycie mięsa w pewne dni, lecz który mało uwagi poświęcał brudowi, jaki codziennie wychodzi z ludzkiego serca. A gdyby nie dane mi było naśladować Chrystusa w Jego głośnym, bezlitosnym potępieniu takiego kościoła, to wiedziałem, że i tak będę jedno z Nim w mym cichym proteście, porzucając mój urząd kapłański. Nad odstrasżające „warunki zbawienia” arogancko ustalone przez papieżstwo stawiam słodycz prostego zaproszenia wypowiedzianego przez Jezusa Chrystusa, a zapisanego w Ewangelii Mateusza 11,28–30:

„Pójdźcie do mnie wszyscy, którzyście spracowani i obciążeni, a Ja wam sprawię odpocznienie; Weźmijcie jarzmo moje na się, a ucicie się ode mnie, żem Ja cichy i pokornego serca; a znajdziecie odpocznienie duszom waszym; Albowiem jarzmo moje wdzięczne jest, a brzemień moje lekkie jest.”

Nowina, którą usłyszeliśmy od Niego i którą wam głosimy, jest taka:

„Bóg jest światłość, a żadnej ciemności w nim nie masz. Jeżelibyśmy rzekli, iż społeczność mamy z nim, a w ciemności chodzimy, kłamiemy, a nie czynimy prawdy. A jeżeli w światłości chodzimy, jako on jest w światłości, społeczność mamy między sobą, a krew Jezusa Chrystusa, Syna jego, oczyszcza nas od wszelkiego grzechu.” (1J 1,5–7).

Leo Lehmann, nawrócony ksiądz

Irlandczyk Leo Lehmann nawrócił się na początku XX wieku. Działał jako kaznodzieja, ewangelista i pisarz, przez większość czasu, przed II wojną światową, w jej trakcie i po niej, mając siedzibę w Nowym Jorku, w „Misji Chrystusa”. Do najstynniejszych jego książek należą *Out of the Labyrinth* (Z labiryntu), porównująca katolicyzm z Biblią, oraz świadectwo *The Soul of the Priest* (Dusza kapłana). Przez wiele lat był redaktorem naczelnym pisma *The Converted Catholic Magazine* (Pismo nawróconych katolików). Wiele jego artykułów zachowało swą wymowę po dziś dzień.

Pielgrzymka z Rzymu

Świadectwo nawrócenia księdza Bartholomew F. Brewera

Miliony, może nawet większość katolików to katolicy z nazwy, z wychowania, siłą bezwładu. Nasza rodzina była katolicka z przekonania. Dobrze rozumieliśmy i pilnie wcielaliśmy w życie naukę kościoła, widząc w nim „jedyne prawdziwy kościół” założony przez Jezusa Chrystusa. Bez wahania uznawaliśmy wszystko, czego uczyli księża. Wówczas, jeszcze przed II soborem watykańskim, powszechnie wierzone, że „poza kościołem rzymskokatolickim nie ma zbawienia”¹. Dawało nam to poczucie bezpieczeństwa, słuszności naszego stanowiska. Było nam dobrze w ramionach „świętej Matki Kościoła”.

Kiedy zmarł ojciec (nie miałem jeszcze 10 lat), matka zaczęła co dzień uczęszczać na mszę i przez ponad 24 lata nie opuściła ani jednej. Co wieczór cała rodzina wytrwale odmawiała różaniec; zachęcano nas też do częstego nawiedzania „przenajświętszego sakramentu”. Katolickie wychowanie nie kończyło się na domu, szkoły bowiem, do których uczęszczaliśmy, też były katolickie. Ksiądz prałat Hubert Cartwright i inni księża z naszej parafii — katedry św. Piotra i Pawła w Filadelfii — mawiali, że nasza rodzina jest bardziej katolicka niż sam Rzym.

Nic dziwnego, że jako nastolatek poczułem powołanie kapłańskie. Miałem jednak zostać księdzem diecezjalnym i służyć Bogu w parafiach, postanowiłem ubiegać się o przyjęcie do Karmelitów Bosych, starego zakonu monastycznego o jednej z surowszych reguł. Od pierwszego dnia w Holy Hill (Wisconsin) pokochałem życie religijne, i miłość ta motywowała mnie do przedzierania się przez zakamarki łaciny i innych przedmiotów, których nauka szła mi z trudem. Bezprzykładne oddanie ze strony księży wykładowców uświadamiało mi, iż warto ponieść każdą ofiarę, aby dostąpić święceń kapłańskich.

Podczas czterech lat nauki w niższym seminarium duchownym, dwu lat nowicjatu, trzech lat studiowania filozofii i czterech lat studiów teologicznych (te ostatnie już po święceniach) otrzymałem bardzo gruntowne przygotowanie. Wytrwale stosowałem rozmaite umartwienia, nigdy też nie wątpilem w swe powołanie ani w nic, czego mnie uczono. Złożyłem śluby ubóstwa, czystości i posłuszeństwa, wyrażając wolę oddania całego życia Bogu. Głosem Boga był dla mnie głos kościoła.

Inny Chrystus

Święcenia kapłańskie przyjąłem w waszyngtońskim Sanktuarium Niepokalanego Poczęcia Maryi, siódmym co do wielkości kościele świata. Kiedy „Jego Ekscelencja Ksiądz Biskup” John M. McNamara kładł dłonie na mojej głowie cytując słowa Psalmu 110,4:

„Tyś jest kapłanem na wieki według porządku Melchisedechowego.”

ledwo doszedłem do siebie, świadomy, że odtąd jestem pośrednikiem między Bogiem a ludźmi. Namaszczenie i związanie mych rąk stułą znaczyło, że zostają one namaszczone, by zmieniać chleb i wino w prawdziwe (dosłownie) ciało i krew Jezusa, aby we mszy nieustannie powtarzać ofiarę Golgoty i być szafarzem zbawiennej łaski w pozostałych sakramentach katolickich, jak chrzest, spowiedź, bierzmowanie, małżeństwo i namaszczenie chorych. W chwili święceń ksiądz katolicki ma otrzymać niezatarte znamię, pozwalające mu pełnić obowiązki kapłańskie „na wzór Chrystusa” (alter Christus), jako ktoś będący „w osobie Chrystusa” (in persona Christi). Przekonanie to było tak silne i powszechne, że zaraz po

¹ Dzisiaj de facto też tak się wierzy. Vide: tzw. kręgi przynależności (w Lumen Gentium). Deklaracja o ekumenizmie stwierdza poza tym, że pełnia jest w kościele rzymskim (przyp. red. polskiej).

święceniach podchodzono do nas i całowano świeżo namaszczone dłonie. Po ostatnim roku teologii, ostatecznie przygotowującym do głoszenia kazań i wysłuchiwania spowiedzi (oraz udzielania rozgrzeszenia), spełniło się moje długoletnie marzenie: aby zostać misjonarzem na Filipinach.

Misje i powiew wolności

Zamiana uporządkowanego klasztorowego życia na prostotę i wolność życia misjonarskiego była wyzwaniem, na które nie byłem gotowy. Bardzo lubiłem podróże do niektórych spośród osiemdziesięciu paru prymitywnych barrios, osiedli stanowiących moją parafię, z zapalem prowadziłem też lekcje religii w liceum karmelickim w miasteczku. Dotąd moje życie toczyło się niemal wyłącznie wśród mężczyzn; teraz z zaciekawieniem przyglądałem się, jak roześmiane dziewczęta flirtują z chłopcami. Niebawem spostrzegłem, że moja uwaga skupia się na jednej z pilniejszych uczennic. Młoda, bardzo ładna dama wydawała się dojrzała od innych, zapewne z powodu obowiązków, jakie musiała przejąć po zmarłej matce. Chętnie, acz nieśmiało, wdawała się w rozmowy ze mną po lekcjach religii. Było to zupełnie nieznanne mi przeżycie, i rychło doszedłem do wniosku, że nowo odkryte przeze mnie uczucie to miłość. Nic dziwnego, że biskup — choć rezydował wiele kilometrów ode mnie — wkrótce się o tym dowiedział i co prędzej odesłał mnie do Stanów. Bolesność kary była trudna do zniesienia dla nas obojga — ale życie, jak to ono, potoczyło się dalej. Po przeżyciach i posmakowaniu wolności na Filipinach nie chciałem już wracać do życia klasztorowego. Ojciec prowincjał pozwolił mi pracować w parafii Karmelitów Bosych w Arizonie, i praca ta sprawiała mi przyjemność. Rzym jednak dał mi dyspensę na opuszczenie zakonu i posługę księdza diecezjalnego w wielkiej parafii w San Diego (Kalifornia). Zadanie nie okazało się tak atrakcyjne; toteż poprosiłem o pozwolenie na posługę kapelana w Marynarce Stanów Zjednoczonych. Dano mi je. W nowym miejscu nowe perspektywy, porządek i podróże stały się dla mnie ucieczką od coraz jałowszego, rytualizowanego i zsakramentalizowanego życia w parafii. Moja religijność ubogaciła się dzięki kontaktom z kapelanami protestanckimi. Po raz pierwszy poruszałem się po obszarze kultury niekatolickiej. W ekumenicznej atmosferze moja postawa niepostrzeżenie neutralizowała się. A gdy II sobór watykański otworzył okna rygorystycznej tradycji i wpuścił nieco świeższego powietrza, wziąłem głęboki, orzeźwiający oddech. Nastąpił czas zmian. Niektórzy liczyli na ich radykalność, inni woleli nieznaczną tylko modernizację.

Rzym traci blask

Zdaniem wielu wiara katolicka nie dawała odpowiedzi na najpowszedniejsze problemy współczesności. Wielu nękała samotność, niezrozumienie. Zwłaszcza księży. Kapłaństwo traciło blask. Wykształcenie księdza niekoniecznie już uważano za lepsze niż wykształcenie zwykłego parafianina; nie był też już ksiądz ceniony wyżej niż większość wiernych. Księża dużo częściej, niż byli skłonni się do tego przyznać, przeżywali kryzys tożsamości. Działo się to nawet w środowisku kapelanów. Przeżyłem kolosalny wstrząs na wieść, że niektórzy katolicy kapelani spotykają się z dziewczętami. Z ciekawością przysłuchiwałem się swobodnym dyskusjom o nieżyciowości obowiązku celibatu. Wkrótce zdobyłem się na odwagę, by podważyć zdanie władz mojego kościoła, obstających przy tradycji będącej wśród księży przyczyną wielu rozterek moralnych. Po raz pierwszy zwątpiłem w autorytet mojej religii, i to nie powodowany intelektualną pychą, ale z głębi sumienia, szczerze. W ramach przygotowań do kapłaństwa zapoznano nas dokładnie ze starą tradycją rzymską nakazującą kapłanowi celibat. Wiedzieliśmy, że nieliczni księża, którzy dostali od Watykanu pozwolenie na małżeństwo, nie mogli nadal pełnić posługi. Ale czasy się zmieniały. Kwestie, o których dotąd milczano, były dziś podnoszone na II soborze watykańskim. Zdaniem wielu żonaci księża posiadaliby — jak protestanczy pastorzy — większą wrażliwość i zrozumienie spraw małżeńskich i rodzinnych. Dyskusje na te tematy były nieuniknione, ilekroć zebrała się razem grupka księży; toczyły się też w moim mieszkaniu poza terenem bazy, które zajmowałem wraz z mamą. Mama nie stroniła od tych rozmów. Posiadała dużą wiedzę, była inteligent-

na; cenilem sobie jej zdanie. Pamiętam jej zdumienie na wieść, że w szkołach katolickich naucza się teorii ewolucji i że Rzym nawiązał dialog z komunistami. Od dawna dręczył ją rozdźwięk między zasadami wyłożonymi w Piśmie świętym a brakiem zasad przejawianym przez wielu przywódców naszego kościoła. Dawno temu prałat Cartwright pocieszał mamę przypomnieniem, że choć kościół ma wiele problemów, to Jezus obiecał, że „bramy piekielne nie przemogą go”. Mama zawsze traktowała Biblię z wielką atencją. Choć czytywała ją regularnie od lat, to w tym czasie poświęciła się jej ze szczególnym zapalem. I gdy wśród moich kolegów obserwowałem tendencję ku liberalizmowi religijnemu, mama zaczęła podążać w całkiem odwrotną stronę. Było to dla mnie niepojęte. Gdy inni wyrażali nadzieję na liberalizację i poluznienie tradycyjnych zasad i rytuałów, mama nie kryła pragnienia, aby kościół kładł większy nacisk na Biblię, na sprawy duchowe i na Jezusa, na osobistą z Nim więź.

Rzym traci wiarygodność

Z początku nie rozumiałem, co się dzieje, ale później zacząłem dostrzegać w mamie cudowną zmianę. To pod jej wpływem dojrzałem w Biblii drogowskaz wiary. Nieraz rozmawialiśmy o różnych rzeczach: prymat Piotrowy, nieomylność papieża, kapłaństwo, chrzest niemowląt, spowiedź, msza, czyściec, niepokalane poczęcie Marii i jej wniebowzięcie. Z czasem zauważyłem, że o naukach tych nie tylko nie ma mowy w Biblii, ale są one sprzeczne z jej jasnym poselstwem. W końcu pękła bariera powstrzymująca mnie przed posiadaniem swoich przekonań. Nie miałem już wątpliwości co do poglądów zgodnych z Pismem — lecz jak wpłynie to na moje kapłaństwo? Szczerze wierzyłem, że Bóg powołał mnie do swojej służby — ale stałem wobec dylematu sumienia. Co miałem począć? Owszem, byli księża, którzy nie wierzyli w każdy dogmat Rzymu. Owszem, byli księża cichcem zawierający małżeństwa, posiadający dzieci. Owszem, mogłem pozostać katolickim kapłanem i nadal pełnić posługę bez głośnego wyrażania swych przekonań. Mogłem dalej otrzymywać wynagrodzenie i cieszyć się przywilejami przynależnymi mej randze wojskowej. Mogłem dalej otrzymywać zasiłek i inne świadczenia dla matki. Było wiele racji, dla których powinienem być zostać, zarówno zawodowych jak i materialnych — ale byłoby to obłudne i nieetyczne. Od młodości starałem się postępować uczciwie; tak też postanowiłem uczynić i teraz.

Zerwanie z katolicyzmem

Choć biskup dał mi pozwolenie na dwadzieścia lat pracy w wojsku, zrezygnowałem po zaledwie czterech. Bez rozgłosu przenieśliśmy się z mamą w sąsiedztwo mojego brata Paula i jego żony, w okolice Zatoki San Francisco. Na krótko przed przeprowadzką mama zerwała na dobre więzy z katolicyzmem i ochrzciła się u Adwentystów Dnia Siódmego. Wiedziałem, że studiuje Biblię wraz z jednym z pracowników tego kościoła, o chrzcie powiedziała mi jednak dopiero wtedy, gdy postanowiłem porzucić kapłaństwo. Decyzja o rezygnacji z kapłaństwa okazała się trudna. Twierdzenie Rzymu, że nie istnieją obiektywne powody, aby opuścić „jedyne prawdziwe kościoła”, dało mi oczywiście wiele do myślenia. Dla tradycyjnych katolików jestem „Judaszem, potępionym, wyklętym, od którego należy trzymać się z dala”. Owszem, opuszczenie bezpiecznej owczarni rzymskokatolickiej wiązało się z licznymi przeszkodami, przekonałem się jednak, iż Jezus nigdy nie zawodzi.

Autorytet Biblii

Strząsnąwszy z sandałów rzymski proch, stanąłem przed doniosłą kwestią: Gdzie więc szukać autorytetu? Metodą eliminacji doszedłem do wniosku, iż jedynym trwałym autorytetem jest Biblia. Wiele systemów — w tym i katolicki — próbowało już podważyć jej wystarczalność, skuteczność, doskonałość, a nawet to, iż powstała nie z woli człowieka, że spisywali ją mężowie Boży z natchnienia Ducha Świętego.

„Albowiem nie z woli ludzkiej przyniesione jest niekiedy proroctwo, ale od Ducha Świętego tego pędzeni będąc mówili święci Boży ludzie.” (2 P 1,21).

Cóż za szczęśliwy byłby to dzień, gdyby wszyscy, którzy wzywają imienia Jezusa Chrystusa, pojęli, że Biblia to jedyne niezmienne źródło autorytetu. Jest to autorytet ostateczny z racji swej pełnej identyfikacji z niezmiennym Autorem. Bóg wyraził się jasno. Tragedią jest więc, że katolicyzm, a także większość tradycyjnego protestantyzmu oraz wiele grup zielonoświątkowych i innych odrzuca wystarczalność Biblii; wolą ufać niepewnej tradycji, wizjom, objawieniom, „proroctwom”. Tymczasem nie tylko nie można dowieść, iż źródła te są „od Boga”, ale wiele z nich wręcz przeczy nauce Biblii. Przyczyną, dla której wielu uważa Biblię za źródło niepełne, jest fakt, iż nie przestudiowali jej dość starannie. Notatki z 13 lat nauki w zakonie Karmelitów Bosych pokazują, iż przebyłem jedynie 12 godzin kursu biblijnego. Już to dowodzi, iż nie Pismo Święte jest podstawą nauczania kościoła rzymskiego.

Przedwczesna decyzja

Opuszczając kościół rzymskokatolicki pragnąłem studiować Biblię. Byłem człowiekiem „kościelnolubnym” i nie miałem oporów, aby przystać do innej denominacji. Po przyjrzeniu się kilku wspólnotom protestanckim ze smutkiem spostrzegłem, iż w swej ekumenicznej naiwności stawiają współpracę z Rzymem ponad biblijną prawdę. Zetknięcie z mnóstwem najróżniejszych kościołów to dla byłego katolika, poszukującego prawdy, przeżycie nieraz załamujące, a nawet niebezpieczne. Ale spotkanie z adwentystami — przyjaciółmi mamy — okazało się przemyśłym doświadczeniem. Byli to ludzie zapaleni w wierze, a ich umiłowanie Pisma współbrzmiało z moim pragnieniem, aby oddać się jego studiowaniu. To zadecydowało o nieco pochopnej decyzji przyłączenia się do Adwentystów Dnia Siódmego. Pastor, który mnie chrzczył, postarał się, aby Rada Południowej Kalifornii tego kościoła posłała mnie na rok do seminarium — na Uniwersytet Andrews. Szykując się do wyjazdu, poznałem Ruth. Już od około roku modliłem się o żonę, żywiąc nadzieję, że ją znajdę. I od pierwszej chwili, gdy Ruth zjawiła się w naszym kościele, wiedziałem, że to właśnie będzie moja towarzyszką. Pobraliśmy się na krótko przed wyjazdem do seminarium.

Narodzony z Ducha

Ruth też zapisała się do adwentystów i jak wszyscy znajomi uważała, że skoro chcę iść od seminarium, to jestem chrześcijaninem. Ale raz, uświadomiwszy sobie, że nigdy nie wspominałem o swym nowym narodzeniu, zapytała: „Bart, a kiedy ty zostałeś chrześcijaninem?” Odpowiedź wprawiła ją w osłupienie: „Ja się urodziłem jako chrześcijanin!” W rozmowach, jakie potem prowadziliśmy, usiłowała wyjaśnić, że każdy rodzi się grzesznikiem i że w pewnym punkcie życia musi dostrzec, iż potrzebny mu Zbawiciel. Że musi duchowo narodzić się na nowo, w wierze, i tylko Chrystus może uwolnić go od skutków grzechu. Gdy odparłem, że zawsze wierzyłem w Boga, przypomniała mi o Liście Jakuba 2,19:

„Ty wierzysz, iż jeden jest Bóg, dobrze czynisz; i dyjabli temu wierzą, wszakże drżą,”

Dzięki takim rozmowom i dzięki uniwersyteckim kursom z Listów do Rzymian, Galacjan i Hebrajczyków pojąłem, iż polegam na własnej sprawiedliwości i wysiłkach religijnych, nie zaś na dokonanej, w pełni wystarczającej ofierze Jezusa Chrystusa. Religia rzymskokatolicka nie pokazała mi, że moja własna sprawiedliwość jest cielesna i nie liczy się przed Bogiem, nie nauczono mnie też, iż muszę zaufać tylko sprawiedliwości Chrystusa — bo On uczynił już dla wierzącego wszystko, co konieczne. Jednego dnia podczas nabożeństwa Duch święty zachęcił mnie do nawrócenia i przyjęcia daru Bożego. Jako zakonnik w klasztorze, wierzyłem, że łaskę dadzą mi sakramenty i że one mnie zbawią, ale teraz z Bożej łaski narodziłem się na nowo, duchowo: zostałem zbawiony. Dotąd, nie wiedząc nic o sprawiedliwości Bożej, niby Żyd w czasach apostoła Pawła chciałem budować na fundamencie własnej sprawiedliwości, nie zważając na sprawiedliwość Bożą (Rz 10,2-3). Nie znam Cię, Czytelniku, i nie wiem, jaka więź łączy Cię z Bogiem; ale pozwól zadać sobie najważniejsze pytanie w życiu: Czy jesteś chrześcijaninem biblijnym? Czy zaufałeś tylko doskonałej ofierze Jezusa, tylko na jej mocy oczekując odpuszczenia grzechów? Jeśli nie, może nadeszła chwila, by rzecz tę upo-

rządować? Jak w niezwyklej uroczystości zaślubin, obiecaj Mu miłość, oddanie i ufność. Przyjęcie Jezusa jako Zbawcy w niczym nie przypomina religijnego rytuału, to decyzja o powierzeniu Mu życia na zawsze. Gdy dokonamy tego wyboru, Chrystus zamieszka w nas jako Ten najważniejszy, a my otrzymamy życie wieczne dostępując odpuszczenia całego naszego grzechu. Zaczną się zmiany. W Biblii czytamy:

„Pewien tego będąc, iż ten, który począł w was dobrą sprawę, dokona aż do dnia Jezusa Chrystusa.” (Flp 1,6).

Przekręcanie Ewangelii

Pod koniec mojego czwartego roku u adwentystów kilku braci namówiło mnie na udział w spotkaniach charyzmatycznych, mówiąc, iż dziś, w czasie poprzedzającym powrót Chrystusa, Duch święty przełamuje bariery między wyznaniem. Spragniony wszystkiego, co Bóg ma dla mnie w zanadrzu, wszedłem do sali modlitewnej — i otrzymałem „dar języków”. Byłem jednak nastawiony dość podejrzliwie, zwłaszcza że nie doznałem wcale uczuć, jakie wielu opisywało. Prywatnie modliłem się językami, ale nie mogłem się zmusić do tego, by zachęcać innych do uczestnictwa w ruchu. Za dużo ważniejsze uznałem zachęcanie do czytania Biblii, głoszenia innym Chrystusa i życia według Pisma świętego. Ruch charyzmatyczny zaintrygował mnie głównie dlatego, iż wydawał się rodzić w ludziach troskę o innych. Właśnie to oraz spontaniczność i zapał robiły na mnie wrażenie, przypominając o biblijnym stylu życia, którego w wielu kościołach wydawało się brakować. Wkrótce po mojej ordynacji u Adwentystów Dnia Siódmego Rada Południowej Kalifornii rozpoczęła promocję pisma Ellen G. White, jednej z twórców adwentyzmu, uważanej przez ten kościół za prorokinię. Kursy dla pastorów wydały się mnie i Ruth ciekawe i pomocne... aż do ostatniej ich części. Wykładowca, przybyły z Rady Generalnej w Waszyngtonie, wygłosił stwierdzenia, z których kilka mocno nas zatrwożyło, a jedno stało się dla mnie punktem zwrotnym. Orzekł bowiem, że pisma Ellen G. White są „równie natchnione jak pisma Mateusza, Marka, Łukasza i Jana”. Wzburzony, porozumiałem się z pewną bardzo szacowną osobistością, ale rozmowa ta nijak nie pomogła mi zgodzić się z tą tezą. Już wcześniej dostrzegłem w adwentyzmie elementy legalizmu i elitaryzmu — teraz jednak musiałbym się jeszcze pogodzić z dodawaniem do objawienia samego Pisma świętego. Gdy postanowiłem, że cykl spotkań pod hasłem „Sukcesja świadectwa” w naszym kościele nie odbędzie się, niektórzy członkowie zaprotestowali. Wkrótce nabrałem w sumieniu przekonania, że nie mogę dalej być pastorem adwentystów. Gdyby nie wsparcie i pomoc kilku przyjaciół — także duszpasterzy, ale nie adwentystów — ta zmiana w moim życiu okazałaby się nader trudna do przebrnięcia. Przez kolejne cztery lata, gdy sprawowałem opiekę duszpasterską nad dwoma kościołami, rosła prędko moja znajomość Biblii, zauważyłem też, jak trudno zajmować się ludźmi, którzy nie żyją w systemie autorytarnym. Miałem wiele sposobności składania świadectwa; nabrałem też przeświadczenia, że Bóg „uznał mnie za godnego wiary, skoro przeznaczył [mnie] do posługi” — ale że nie będzie to posługa duszpasterska.

Misja dla katolików

Po modlitwie o tę sprawę postanowiłem wrócić do San Diego, gdzie pracowałem kiedyś jako kapelan. Wiedząc, że po II soborze watykańskim wielu katolików przeżywa zamęt i rozczarowanie, pomyślałem, że wesprę ich w staraniach o wyjście z katolicyzmu. Nie minęło dużo czasu, a Pan dał mi sposobność zabierania głosu. Ludzie pytali, jak się nazywa nasza misja; odpowiadaliśmy, że jest to rodzaj misji dla katolików. Wzrastając duchowo, zwróciliśmy wraz z Ruth uwagę na ekumeniczny charakter ruchu charyzmatycznego i postanowiliśmy ten ruch opuścić. Mniej więcej wtedy natknęliśmy się na biblijnych fundamentalistów², którzy

² W popularnym i obowiązującym w środkach masowego przekazu pojęciu fundamentalizm kojarzy się pejoratywnie, jako postawa ślepo fanatyczna, skłaniająca nawet do przemocy wobec „niewiernych” (jak to jest w wypadku tzw. fundamentalizmu islamskiego). W naszym jednakże rozumieniu fundamentalizm chrześcijański, biblijny to postawa pokornej wiary w prawdziwość przekazu biblijnego (a przesłanie Biblii wyklucza wiarę ślepa, irracjonalną, wyklucza też przymuszanie do niej) (przyp. red. polskiej)..

szczerze wierzyli poselstwu Biblii i wiernie wprowadzali je w czyn. Choć mieliśmy wielu przyjaciół w niezależnych kościołach biblijnych, przystaliśmy do pewnego fundamentalistycznego kościoła baptystycznego, w którym też ordynowano mnie na kaznodzieję. Mission To Catholics International (Międzynarodową Misję dla Katolików) zarejestrowano jako organizację o charakterze niedochodowym. Rozpowszechniliśmy już miliony broszur, książek i taśm ukazujących różnice między katolicyzmem a Biblią i prezentujących biblijne zbawienie. Każdy ofiarodawca może na życzenie otrzymywać nasz comiesięczny list informacyjny. Pan dał nam pewne możliwości w radio i telewizji; cieszę się też, że ukazała się moja książka *Pielgrzymka z Rzymu* i że jej wersja angielska i hiszpańska spotkały się z doskonałym przyjęciem.³ Organizujemy spotkania w wielu krajach i zawozimy tam literaturę biblijną; codziennie też z naszego domowego biura w San Diego wysyłamy pocztą zamówione materiały. Wielość spotkań nie pozostawia nam wiele czasu; często przez 10 tygodni non stop objeżdżamy Stany Zjednoczone czy inne kraje. Szkoła Ewangelizacji wśród Katolików (A School of Roman Catholic Evangelism) organizuje tygodniowe i dłuższe intensywne kursy dla pastorów i innych osób chcących tworzyć wyspecjalizowane misje, skutecznie świadczące wśród społeczności rzymskokatolickiej. Do udziału w zajęciach zachęcamy też misjonarzy i byłych katolików (zwłaszcza byłych księży i byłe zakonnice, by przygotować ich dobrze do posługi w środowisku biblijnego fundamentalizmu). W Misji dla Katolików żywimy przekonanie, iż nie jest miłością ukrywanie prawdy przed tymi, którzy są w ciemności. Katolicy potrzebują zachęty do zastanowienia się nad tym, w co wierzą, do studiowania Biblii i porównywania treści swojej religii z prawdą Pisma świętego. Jedynie wtedy będą mogli doświadczyć wolności i światłości prawdy Bożej.

„... poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi.” (J 8, 2).

Bartholomew F. Brewer, nawrócony ksiądz

Do biblijnego zbawienia doszedł Bartholomew Brewer w rodzinnej Ameryce. Dziś służy Panu na terenie całych Stanów Zjednoczonych, regularnie podróżując też do Europy i na Filipiny. Jest założycielem i dyrektorem Misji dla Katolików. Można do niego pisać na adres: Bartholomew F. Brewer, Missions to Catholics International, Inc., P. O. Box 19280, San Diego, CA 92159-0289, USA.. Tel. (0-01) (619) 690 1821; e-mail: bart@mtc.org

³ Przekład polski ukazał się nakładem Fundacji Chrześcijańskiej Kultury i Oświaty; przyp. tłum.

Niegdyś jezuita, teraz dziecko Boże

Świadectwo nawróconego księdza Boba Busha

Moje katolickie dzieje rozpoczęły się w rolniczym miasteczku na północy Kalifornii. Miasteczko było tak małe, iż mszy nie odprawiano co niedziela; ksiądz przybywał raz w miesiącu (jeśli w ogóle mógł) i msza odbywała się w wielkiej sali służącej publicznym zgromadzeniom. Byłem średnim z trzech braci. Ponieważ ojciec kształcił się niegdyś na Uniwersytecie Santa Clara, rodzice doszli do wniosku, że powinni zapisać nas do katolickiej szkoły z internatem. Szkołę prowadzili Jezuici; uczyłem się tam cztery lata. Z akademickiego punktu widzenia reprezentowała ona niezły poziom, jakkolwiek oświata religijna opierała się tam wyłącznie na teologii i tradycji katolickiej, bez odwoływania się do Biblii.

Z tęsknoty za Bogiem

Gdy zbliżał się czas ukończenia szkoły, zastanawiałem się, co począć z życiem. Pomyślałem, że zostając jezuitą, mógłbym czcić Boga i służyć Mu, a zarazem pomagać ludzkości. Tak to sobie wyobrażałem. Wtedy i już po ukończeniu liceum pałałem tęsknotą za Bogiem, pragnieniem, aby Go poznać. Pamiętam nawet, jak raz w ostatniej klasie poszedłem po ciemku na boisko i ukląkszy wzniosłem ramiona ku niebu, wołając: „Boże, Boże, gdzie jesteś?” Naprawdę pragnąłem Boga. W 1953 roku, po ukończeniu liceum, wstąpiłem do Zakonu Jezuitów. I od razu usłyszałem, że muszę zachowywać wszystkie zasady i przepisy, bo to podoba się Bogu i tego Bóg ode mnie wymaga. Obowiązywała maksyma: „Zachowaj zasadę, a zasada zachowa ciebie”. Czytaliśmy dużo życiorysów świętych i od początku wpa-jano nam, że to właśnie są wzory do naśladowania. Nie zdawałem sobie wówczas sprawy, że zostali oni świętymi, gdyż służyli kościołowi katolickiemu. Studia seminaryjne trwały 13 lat; przerabiałem kurs za kursem, przedmiot za przedmiotem. Zakończyłem je kursem teologii i w 1966 roku przyjąłem święcenia kapłańskie. Dalej pragnąłem Boga, tęskniąc za Nim w głębi serca. Nie znałem jeszcze Pana — i nie znałem wewnętrznego pokoju. Nałogowo paliłem papierosy i byłem bardzo nerwowo; miałem zwyczaj chadzać tam i z powrotem po pokoju, trawiony niepokojem i nerwami, wypalając jednego papierosa za drugim. Udałem się na studia podypłomowe do Rzymu, licząc, że dzięki nim wdrapię się na szczyt — ale tęsknota i duchowe pragnienie nie znikły z serca. Rozmawiałem z pewnym księdzem, przełożonym misjonarzy w Afryce, bo chciałem jechać tam na misje; pojąłem jednak, że jeśli pojedę do Afryki, będę mógł ludziom opowiadać tylko to, czego się nauczyłem o doktrynach i nauce kościoła katolickiego, mimo że mnie samemu nie dały one satysfakcji. Pomyślałem więc, że nie zadowolą i innych. Studia teologiczne odbywałem w latach II soboru watykańskiego (1962–1965); rok po soborze otrzymałem święcenia kapłańskie. Z Rzymu docierały do nas wciąż dokumenty soborowe, wydawało się, że wszystko się zmienia. Był to czas odkryć. Sądziłem, że zdołam przegryźć się do samego sedna prawdy i że od tego zmieni się świat; dawało mi to bodziec do działania. Lecz nie zdołałem zauważyć żadnych zmian: znajome doktryny z soboru trydenckiego nie zostały unieważnione. Nie pojechałem zatem do Afryki, ale wróciłem do Kalifornii, gdzie jak się okazało, Bóg szykował dla mnie niespodziankę.

Boża niespodzianka

W domu rekolekcyjnym, gdzie odprawiałem msze, poproszono mnie o prowadzenie domowej grupy modlitewnej. Nie prowadziłem dotąd takich spotkań i nie miałem pojęcia, jak

to robić, ale pomyślałem, iż tyle lat studiów na pewno mnie na to przygotowało. Odparłem więc pani, która się do mnie zwróciła, że poprowadzę spotkanie w jej domu. Zaczynało się co czwartek o 10.00, trwało dwie godziny. Grupka ludzi czytała tylko Pismo Święte, śpiewała na chwałę Bogu i modliła się o siebie nawzajem. W dzień spotkania od samego rana przemierzałem pokój w tę i z powrotem (wtedy nadal paliłem) mrużąc: „Po co się godziłem!” Nie cieszyłem się wcale perspektywą spotkania; gdy jednak nastąpiło południe, nie miałem ochoty z niego wychodzić! Moc Słowa Bożego zaczęła działać w moim sercu i życiu. A oto jak doszło do wielkiej niespodzianki, którą Pan mi uszykował. Pewnego wieczoru wraz z grupą osób ze spotkania modlitewnego udałem się do domu rekolekcyjnego. Przemawiający powiedział na koniec kazania: „Jeśli jest tu ktoś spragniony Boga, kogo Bóg jeszcze nie dotknął, a chciałby on tego, niech przyjdzie tu do przodu, będziemy się za niego modlić”. Wtem podeszła do mnie pani imieniem Sonia prosząc:

— Niech ksiądz idzie do mojego męża Joe i każe mu iść do przodu, do modlitwy.

Odparłem:

— Nie mogę, Soniu. To nie byłoby uczciwe, bo za mnie też się nie modlono. Jak więc mógłbym nakazać to komu innemu?

Mam około 180 cm wzrostu, Sonia natomiast jest malutka. Nigdy tego nie zapomnę: Spojrzała mi prosto w oczy, wymierzyła palec prosto w mój nos i powiedziała:

— Coś mi się zdaje, że ksiądz sam potrzebuje modlitwy.

Roześmiałem się i odparłem:

— Owszem.

Sonia nie zdawała sobie sprawy, że jest w moim sercu wielki głód. Po tylu latach studiów wciąż nie znałem Boga. Na spotkaniach modlitewnych czytałem Biblię, ale nadal nie znałem najwyższego Boga w niej przedstawionego, nie zdawałem sobie też sprawy, że w Jego oczach jestem grzesznikiem. Lecz nastąpiła chwila, o którą prosiłem Boga. Wyszedłem do przodu, położono na mnie dłonie i modlono się. I nie przez żadne czyny — czy to modlących się, czy to moje własne — lecz prawdziwie dzięki Bożej łasce narodziłem się na nowo. Jezus stał się dla mnie realny. Rozpaliłem się w miłości Bożej. Bóg zmienił moje życie. Chcę Wam powiedzieć szczerze: On jest prawdziwy i On zmienia życie. JEZUS ZMIENIŁ MOJE ŻYCIE. Boża łaska dotknęła mnie w sierpniu 1970 roku. Działałem w ruchu charyzmatycznym, który w kościele katolickim był nowością. Choć z Rzymu płynęły wciąż nowe dekrety i dogmaty, ruch ten na początku starał się mieć tylko jeden podręcznik: Biblię. Stworzyliśmy grupę modlitewną w liceum; rozrosła się tak, że trzeba się było przenieść do sali gimnastycznej. Nie minęło dużo czasu, a na piątkowych spotkaniach zjawiało się 800–1000 osób. Kładliśmy duży nacisk na chwalenie i uwielbianie Boga. Spotykając się w miejscu, gdzie nie było figur, świętych obrazów itp., staraliśmy się trzymać Biblii.

Konflikt sumienia

Musiałem się dużo nauczyć. Dopiero po latach pojąłem, że pozostając w kościele katolickim idę na kompromis. Cały czas głosiłem, że zbawienie daje nam wyłącznie dokończone dzieło Chrystusa na krzyżu, a nie chrzest; że istnieje tylko jedno źródło autorytetu, a jest nim Biblia, Słowo Boże; że nie ma czyśćca, a po śmierci udajemy się albo do nieba, albo do piekła itd. Tu następował konflikt. Ze zgrozą patrzyłem, jak wielu szuka zbawienia w tych fałszywych, zwodniczych ideach. Myślałem, że być może Bóg posłuży się mną, by zmienić różne sprawy w kościele katolickim. Modliłem się nawet o to wraz z ludźmi, którzy odczuwali podobnie, prosząc Boga, aby zmienił kościół katolicki, tak byśmy mogli w nim pozostać. Dziś widzę, że pozostawanie katolikiem oznacza kompromis. Długo przekonywany przez Ducha Świętego, pojąłem wreszcie, że nie oddając Mu się w pełni, na sto procent, zasmucam Pana i grzeszę kompromisem. Uświadomiłem też sobie, że kościół rzymski nie może się zmienić, tak jak pragnę. Gdyby się bowiem zmienił, nie byłoby tam papieża, różańca, czyśćca, kapłanów, mszy. Po 17 latach urabiania umysłu pozwoliłem, by w końcu umysł mój urobił i oczyścił Duch Święty. Moje dzieje w tym czasie dobrze oddaje ustęp z Listu do Rzymian 12,1–2:

„Proszę was tedy, bracia! przez litości Boże, abyście stawiali ciała wasze ofiarą żywą, świętą, przyjemną Bogu, to jest rozumną służbę waszą. A nie przypodobujcie się temu światu, ale się przemieńcie przez odnowienie umysłu waszego na to, abyście doświadczyli, która jest wola Boża dobra, przyjemna i doskonała.”

W Indiach

Znałem księdza (opuścił on już kościół katolicki), który głosił to samo co ja. Przez pół roku mieszkał w Indiach, a drugie pół w Ameryce. Ponieważ Victor Affonso też był jezuitą, zwierzyłem się, że z przyjemnością udałbym się do Indii i popracował na misjach. Moglibyśmy także wspólnie badać dogmaty i naukę kościoła rzymskiego. I tak w 1986 roku pojechałem do Indii i poświęciłem pół roku pracy misyjnej. Spędziliśmy również nieco czasu z grupą osób badających dogmaty katolickie w świetle Pisma. Postanowiliśmy podążać za Biblią, to znaczy: jeśli doktryny katolickie przeczyłyby jej, odrzucilibyśmy je. Wiedzieliśmy, że Jezus mówi: „Pójdźcie do MNIE”, a Ewangelie polecają prosić Ojca w Jego imieniu, nigdy zaś świętych i Marii. Pierwsi wierzący nie modlili się do Szczepana, umęczonego na początku Dziejów Apostolskich, ani do wkrótce zabitego Jakuba. Po co zresztą mieliby to robić, skoro był z nimi Zmartwychwstały? Rzekł On przecież:

„Albowiem gdzie są dwaj albo trzej zgromadzeni w imię moje, tam jestem w pośrodku ich.” (Mt 18,20).

Uczniowie modlili się do Jezusa i do Ojca, prowadzeni przez Ducha Świętego, przestrzegając przykazań Bożych. Odkryliśmy, że katolicki katechizm zmienił biblijną postać Dekalogu. Pierwsze przykazanie zostało; ale drugie w katechizmie brzmi: „Nie będziesz brał Imienia Pana Boga swego na daremno”. Zmieniono więc Słowo Boże: biblijne trzecie przykazanie przesunięto na miejsce drugiego, pierwotne zaś biblijne drugie przykazanie w ogóle pominięto. W zasadzie w każdym katechizmie jest to samo. Nowy Katechizm Baltimorski pod pytaniem 195 podaje odpowiedź: „Przykazania Boże to następujące dziesięć: ¹ Jam jest Pan Bóg twój, nie będziesz miał innych bogów przede mną; ² Nie będziesz brał Imienia Pana Boga twego na daremno” itd. Przykazanie drugie Dekalogu w Biblii głosi: „Nie będziesz czynił żadnej rzeźby ani żadnego obrazu tego, co jest na niebie wysoko, ani tego, co jest na ziemi nisko, ani tego, co jest w wodach pod ziemią! Nie będziesz oddawał im pokłonu i nie będziesz im służył, ponieważ Ja Jahwe, twój Bóg, jestem Bogiem zazdrosnym, który karze występki ojców na synach do trzeciego i czwartego pokolenia względem tych, którzy Mnie nienawidzą. Okazuję zaś łaskę aż do tysięcznego pokolenia tym, którzy Mnie miłują i strzegą Moich przykazań” (Wj 20,4-5). Bóg zakazał kłaniać się bożkom i służyć im — lecz oto na wielu zdjęciach widać papieża, który kłania się posągom i całuje je. Zatrwożyło nas usunięcie tego przykazania; i zadaliśmy pytanie: Jak mimo wszystko osiągnięto dziesięć przykazań? Otóż podzielono ostatnie, dziesiąte przykazanie robiąc z niego dwa: dziewiąte i dziesiąte. „Nie będziesz pożądał żony bliźniego swego” wyodrębniono spośród zakazów pożądania własności bliźniego, zniekształcając Pismo Święte. Odkrywałem szereg dogmatów i doktryn, które ewidentnie przeczyły Pismu. Przyjrzeliliśmy się też doktrynie o Niepokalanym Poczęciu, mówiącej, że „Najświętsza Maryja Panna od pierwszej chwili swego poczęcia [...] została zachowana nietknięta od wszelkiej zmyzy grzechu pierwotnego”¹. Przeczy to wersetowi 3,23 Listu do Rzymian, zgodnie z którym

„Albowiem wszyscy zgrzeszyli i nie dostaje im chwały Bożej.”

Mieliśmy więc do czynienia z doktryną przekazaną przez tradycję, uroczycie określoną mianem niepodważalnej prawdy, ale przeczącą treści Biblii. Dotarliśmy do jednego z najbardziej spornych obszarów: do mszy, ofiary eucharystycznej. Według oficjalnej katolickiej nauki ofiara mszy św. jest kontynuacją ofiary Chrystusowej złożonej na Golgocie. Sobór trydencki zdefiniował to następująco:

A ponieważ w Boskiej tej ofierze, dokonującej się we Mszy św. „jest obecny i w sposób bezkrwawy bywa ofiarowany ten sam Chrystus, który na ołtarzu krzyża, ofiarował samego siebie” (Hbr 9,28) w sposób krwawy, przeto naucza święty Sobór, że ta ofiara jest prawdziwie prześlągalna [...] Jedna i ta sama jest bowiem Hostia, ten sam ofiarujący obecnie przez posługę kapłanów, który wówczas ofiarował Siebie na Krzyżu, a tylko sposób ofiarowania jest inny...²

Według niektórych sobór trydencki już się nie liczy, sprawy uległy zmianie; ale w Raporcie o stanie wiary prefekt Kongregacji Nauki Wiary (dawniej Święte Oficjum) kardynał Ratzinger pisze: „Po pierwsze — jest nie do przyjęcia, by katolik opowiadał się za Soborem Watykańskim II, a przeciwko Soborowi Trydenckiemu lub Watykańskiemu I. [...] Kto odrzuca Sobór Watykański II, neguje jednocześnie władzę, która zwołała i prowadziła tamte

¹ Pius IX, Bulla „Ineffabilis Deus”, 89, [w:] Breviarium Fidei, Poznań 1964, s. 329.

² Sobór trydencki, Nauka o najświętszej ofierze Mszy św., sesja XX, rozdz. II: Denz. 321 (1743), [w:] Breviarium Fidei, Poznań 1964, s. 499.

dwa sobory „i w ten sposób odrywa te sobory od ich fundamentu”.³ W katechizmach msza jest tym samym co ofiara krzyżowa Jezusa. Nowy Katechizm Baltimorski uczy: „Msza jest tą samą ofiarą co ofiara krzyża, bo we Mszy św. ofiara jest ta sama i główny kapłan ten sam: Jezus Chrystus”. Ale List do Hebrajczyków 10,18 głosi:

„A gdzie jest [grzechów] odpuszczenie ich, jużci więcej ofiary nie potrzeba za grzech.”

Pismo mówi jasno. Na przestrzeni czterech rozdziałów (od siódmego do dziesiątego) Listu do Hebrajczyków aż ośmiokrotnie użyto słów „raz jeden”, „raz na zawsze” w odniesieniu do ofiary za grzech złożonej raz na zawsze!!! Kto uczęszczał na mszę, pamięta słowa kapłana: „Módlcie się, aby moją i waszą ofiarę przyjął Bóg, Ojciec Wszechmogący”, wymawiane z wielką powagą i prośbę wiernych, by Pan przyjął ofiarę. Ale klóci się to z Pismem Świętym, bo ofiara już została przyjęta! Konając na krzyżu Jezus zawołał: „Wykonało się!” (J 19,30), a wiemy, że wykonało się, bo Ojciec przyjął doskonałą ofiarę Jezusa, który zmartwychwstał i zasiadł po Jego prawicy. Według Dobrej Nowiny, którą głosimy, Jezus zmartwychwstał, Jego ofiara jest spełniona, zapłacił On za każdy grzech. Gdy z łaski Bożej uznajemy tę ofiarę za nasze grzechy za dokonaną, otrzymujemy zbawienie i życie wieczne. Pamiętka to przypomnienie tego, czego dla nas dokonano. Jezus polecił: „To czyńcie na Moją pamiętkę”. Każdy czytający te słowa — w tym ksiądz odprawiający mszę — musi z powagą rozważyć błąd zawarty w modlitwie: „Módlmy się, aby [...] ofiarę przyjął Bóg...” Ofiara już została przyjęta, dokonała się w pełni. Podczas nabożeństwa z komunią przyjmujemy ją tylko na pamiętkę tego, czego dokonał Jezus, rozumiejąc, że ofiara, którą złożył On na krzyżu, była wystarczająca i ostateczna. Nie można nic do niej dodać, nie można jej też odtwarzać. Rzym głosi, że msza to ofiara przebłagalna zdolna gładzić grzechy tych na ziemi i być przebłaganiem za zmarłych. Dlatego do dziś — choć zdaniem niektórych miejscami nie wierzy się już w czyściec — zasadniczo każdą mszę odprawia się w intencji kogoś zmarłego, ufając, iż skróci ona jego cierpienia w czyściecu. A przecież według Biblii gdy człowiek umiera, od razu idzie na sąd:

„A jako postanowiono ludziom raz umrzeć, a potem będzie sąd” (Hbr 9,27).

Jeśli jest to człowiek zbawiony, podąży prosto do nieba, jeśli do ostatniej chwili trwał w grzechach, pójdzie do piekła. Nie ma potem możliwości zmienić piekła na niebo. Katolik wierzy, że ofiara przebłagalna mszy skróci pobyt grzesznika w czyściecu. Ale przecież wszelkie konieczne cierpienia i przebłaganie za grzechy dokonały się w Jezusie na krzyżu. Uznajmy tę prawdę. Przyjmijmy życie wieczne i narodźmy się na nowo, póki jeszcze żyjemy. Treść Pisma Świętego nie potwierdza, że po śmierci mamy szansę na zmianę. W Indiach zaczęliśmy analizować katolicką naukę na temat uzyskiwania zbawienia. Jak z niej wynika, można być zbawionym przez chrzest w wieku niemowlęcym. Prawo kanoniczne podaje: „Chrzest, brama sakramentów, konieczny do zbawienia przez rzeczywiste lub zamierzone przyjęcie, który uwalnia ludzi od grzechów, odradza ich jako dzieci Boże i przez upodobnienie do Chrystusa” (kanon 849). Wedle Rzymu więc niemowlę jest zbawione przez chrzest i mocą tego obrzędu otrzymuje życie wieczne. Nie jest to prawdą. Jezus tak nie powiedział, i nie ma w Słowie Bożym ani słowa na potwierdzenie tego poglądu. Nie istnieje miejsce, gdzie przebywają dusze nieochrzczonych! Jezus rzekł: „Pozwólcie dzieciom przychodzić do Mnie”. Według Pisma zostajemy zbawieni z chwilą uznania, iż Chrystus w pełni zapłacił cenę za nasz grzech, tak że Jego sprawiedliwość przed Bogiem staje się naszym udziałem.

„Albowiem on tego, który nie znał grzechu, za nas grzechem uczynił, abyśmy się my stali sprawiedliwością Bożą w nim.” (2Kor 5,21).

Kościół katolicki uczy, że do zbawienia trzeba przestrzegać jego praw, zasad i przepisów. Gwałcenie ich (na przykład prawa małżeńskiego, postów, obowiązku niedzielnej uczty) jest grzechem. Według obecnego prawa kanonicznego grzech ciężki może być odpuszczony tylko przez wyznanie kapłanowi: „Indywidualna i integralna spowiedź stanowią jedyny zwyczajny sposób, przez który wierny, świadomy grzechu ciężkiego, dostępuje pojednania z Bogiem i Kościołem” (kanon 960). Według Rzymu to właśnie jest zwykła droga do uzyskania przebaczenia grzechów. Lecz Biblia głosi, że jesteśmy zbawieni, jeżeli w sercu żałujemy za grzech i wierzymy w dokonane dzieło Jezusa. Jesteśmy zbawieni łaską, a nie przez własne uczynki. Rzym dodaje zatem uczynki — konkretne rzeczy, które trzeba spełnić, aby być zbawionym; Biblia jednak głosi, że łaską jesteśmy zbawieni, a nie z uczynków, jasno dając do zrozumienia, że to dar udzielany przez Boga dobrowolnie, nie z powodu żadnych naszych uczynków.

³ „Raport o stanie wiary”, Kraków 1986, s. 24.

„Albowiem łaską jesteście zbawieni przez wiarę, i to nie jest z was, dar to Boży jest; Nie z uczynków, aby się kto nie chlubił” (Ef 2,8–9).

„A ponieważ z łaski, tedyć już nie z uczynków, inaczej łaska już by nie była łaską; a jeżeli z uczynków, jużci nie jest łaska; inaczej uczynek już by nie był uczynkiem” (Rz 11,6).

W Indiach sprawdzaliśmy te i wiele innych nauk; a w chwili wyjazdu wiedziałem już, że nie mogę dłużej reprezentować kościoła katolickiego. Z wolna docierało do mnie, że te dogmaty rzymskie, które przeczą Pismu Świętemu, są zbyt głęboko zakorzenione, by je zmienić. Ruch charyzmatyczny wrócił do fundamentalnych dogmatów i nauk Rzymu; pielęgnuje je i mocno się ich trzyma. Naruszeniu uległa więc jego istota: przestał być świeżym powiewem, skłaniającym kościół katolicki ku Biblii. We wszystkim nie może on do Biblii wrócić, Rzym na to nie pozwoli. Nie zrezygnuje z mszy i nie dopuści, by była ona tylko — jak polecił Jezus — pamiątką; zawsze będzie głosił, że to kontynuacja Jego ofiary. Nie odstąpi też od nauki, wedle której małe dzieci zostają w chrzcie odrodzone i otrzymują życie wieczne mimo że idea chrztu niemowląt była obca pierwszemu kościołowi; zaczęto ją stosować w III wieku, a powszechniejsza stała się dopiero w wieku V. Rzym nie porzuci ani tego, ani innych wymogów, jakimi obciąża swoich wiernych. Chcę zaznaczyć, że serdecznie miłuję katolików i pragnę im pomóc. Oby znaleźli wolność zbawienia, życie i błogosławieństwo, płynące z posłuszeństwa Pismu Świętemu! Nie żywię do katolików i księży żadnej osobistej urazy — krępują ich bowiem dogmaty i doktryny. Ale Bóg chce ich uwolnić.

„Uchyliliście przykazanie Boże, a trzymacie się ludzkiej tradycji” (Mk 7,13 BT) — przed takim oto problemem stoimy. Tradycja godzi w Słowo samego Boga, bo przeczy prawdzie, którą tam zapisano.

Decyzje

Wróciwszy z Indii stanąłem przed największą zmianą w życiu. Był to okres udreki i duchowej agonii, bo od lat z serca wierzyłem w kościół katolicki, służąc mu wiernie aż dotąd. Wiedziałem, że po powrocie do domu będę musiał go opuścić. Jestem wolnym człowiekiem, bo wyzwoliła mnie Boża prawda. Już nie kuleję na obie nogi — jedną ku Biblii, drugą ku tradycji. Kroczę po fundamencie absolutnego autorytetu Słowa Bożego. Jestem posłuszny Pismu Świętemu jako jedynemu źródłu rozsądzania prawdy objawionej. Jezus modlił się:

„Poświęć je w prawdzie twojej; słowo twoje jest prawdą” (J 17,17).

Wróciwszy do domu, do rodziców (oboje byli już po osiemdziesiątce), odbyłem z nimi poważną rozmowę. Wyjawiłem swe zamiary i wyjaśniłem, że dzięki łasce Bożej otrzymałem zbawienie i postanawiam opuścić kościół katolicki z powodów doktrynalnych. Zapadła długa cisza. Wreszcie ojciec odezwał się z wolna:

— Wiesz, Bob? Matka i ja myślimy podobnie.

Poszli na jeszcze jedną mszę, a po powrocie ojciec spytał:

— Czy ty wiesz, że z przodu kościoła jest ołtarz? Przecież ołtarz to miejsce ofiary! I dodał:

— Widzę jasno, że nie potrzeba już ofiary.

Rodzice zaczęli czytać Biblię i żyć według niej. W 1989 roku mama zmarła podczas lektury Słowa Bożego, w pokoju i pewności życia wiecznego i tego, że na zawsze będzie z Panem. 6 czerwca 1992 roku Bóg dał mi największy dar, jaki może otrzymać człowiek oprócz zbawienia: piękną żonę Joan. Tato zmarł w 1993 roku, modląc się za tych, których pozostawia. Spisał świadectwo działania łaski Bożej w swoim życiu i jeszcze w tak podeszłym wieku opowiadał o tym innym, nawet w Domu Emeryta. W 1987 roku formalnie opuściłem kościół katolicki, przedkładając list z rezygnacją i korespondując ze wszystkimi moimi przełożonymi — chciałem każdemu złożyć świadectwo. Napisałem też do Rzymu, ze świadectwem i wyjaśnieniem, czemu odchodzę. Chciałem być posłuszny Słowu Bożemu. Papież, ukazywany jako przywódca chrześcijaństwa, trwa bowiem w naukach sprzecznych z Biblią. Warto wiedzieć, iż kanon 333 Kodeksu prawa kanonicznego głosi: „Przeciwko wyrokowi lub dekretowi Biskupa Rzymskiego nie ma apelacji lub rekursu” (§3). Znaczy to, że papież posiada pełnię władzy i autorytetu. Kanon 749 podsumowuje: „Nieomyślnością w nauczaniu, na mocy swego urzędu, cieszy się Biskup Rzymski, kiedy jako Najwyższy Pasterz i Nauczyciel wszystkich wiernych [...] w sposób definitywny głosi obowiązującą naukę w sprawach wiary i obyczajów” (§1). Niestety, papież opowiada się za poglądami sprzecznymi z Biblią, a ostatnio ostro wystąpił przeciwko ewangelikalnym wierzącym w Ameryce Południowej, tak jakby byli nie-

przyjaciółmi Biblii. Twierdzi, że podkopują autorytet kościoła; ale przyczyną jego wrogości jest w istocie ich nieugięta wierność idei ostatecznego autorytetu Pisma Świętego i odmowa poddania się jego władzy. Stanowisko papieża to wynik błędnego rozumienia wersetu 16,18 z Ewangelii Mateusza:

„A Ja ci też powiadam, żeś ty jest Piotr; a na tej opoce zbuduję kościół mój”

Rozważmy te słowa uważnie: O jakiej skale mówi Pan? Przed chwilą pytał uczniów: „Za kogo ludzie uważają Syna Człowieczego?” Piotr zabrał głos za wszystkich: „ Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga żywego”. Jezus odparł: „Ciało i krew nie objawiły ci tego, lecz Ojciec Mój, który jest w niebie”, i dodał: „Ty jesteś Piotr, i na tej Skale zbuduję Kościół Mój”. Kościół Jezusa Chrystusa wznosi się na Skale, którą jest sam Chrystus! Piotrowi tego objawienia udzielił Bóg; i każdy prawdziwie wierzący, kto narodził się na nowo, otrzymuje objawienie, kim jest Jezus Chrystus. Jego krew przelana na krzyżu zgładziła nasze grzechy. Nawracając się i składając ufność tylko w Nim, zyskamy życie wieczne. Będziemy na wieki żyć i królować z Jezusem: to ON jest Skalą. Skalą nie jest ów Piotr, którego Jezus wybrał na ucznia, w całej jego słabości, nie jest nią też dzisiejszy papież. Skalą jest Chrystus.⁴ Sam Piotr zapisał te słowa Boże:

„A przetoż mówi Pismo: Oto kładę na Syonie kamień narożny węgielny, wybrany, kosztowny; a kto w niego uwierzy, nie będzie zawstydzony” (1P 2,6).

W łasce swej Bóg mi to objawił, toteż wiarę moją oparłem na tej właśnie Skale, na Jezusie, na fakcie, że umarł, aby zgładzić moje grzechy i dać mi życie wieczne. Jako duszpasterz żyję dziś we wspólnocie z tymi, którzy wiarę oparli na Biblii. Nie idźcie za tłumem; wchodźcie przez ciasną bramę. Niech was nie gorszy zwiastowanie Ewangelii łaski Bożej. Nie istnieje inny sposób zbawienia. Bez łaski Bożej każdy jest zgubiony, do cna zepsuty, bez nadziei. Nie mamy sami z siebie nic, co moglibyśmy Bogu dać; jak głosi pieśń: „W dłoniach nie mam nic cennego, tylko lgnę do krzyża Twego”. Ze skrucą zaprzestań własnych wysiłków, które miałyby wysłużyć Ci niebo — zaufaj przelanej krwi Chrystusa, tylko jej. Łaska to dar Boży, ofiarowujący nam coś, na co nie zasłużyliśmy. A skoro Bóg usprawiedliwia nas sprawiedliwością Chrystusa, oddajmy Mu cześć i czynimy wszystko

„Ku chwale sławnej łaski swojej, którą nas udarował w onym umiłowanym” (Ef 1,6).

Tą Dobrą Nowiną chcę się dzielić z Czytelnikiem. Gdy nawrócisz się i uznasz, że na krzyżu Jezus umarł też za Twój grzech, Jego życie stanie się Twoim przez wiarę. Przed obliczem Boga proś, aby nie iść na kompromis i aby Pan uświęcił Cię w prawdzie; Jego Słowo, Biblia, jest prawdą. Módl się, aby śmiało stawać w obronie Słowa, i tylko jego, i aby głosić to, co niegdyś psalmista:

„Twoje słowo jest lampą dla moich stóp i światłem na mojej ścieżce” (119,105 BT).

W dobie kompromisów módl się tak, jak modlił się Pan i Jego apostołowie, aby Twym najwyższym autorytetem było Słowo Boże. Pokonuj każdą pokusę kompromisu, jak to czynił Pan, mówiąc: „NAPISANO...”

Bob Bush, nawrócony ksiądz

Po odejściu z kapłaństwa i kościoła katolickiego Bob Bush zaczął pracę ewangelizacyjną w Stanach Zjednoczonych i Ameryce Łacińskiej. W 1992 roku po operacji kręgosłupa doznał rozległego paraliżu. Radosne znoszenie tak ciężkiego brzemienia jest samo w sobie wspaniałym świadectwem łaski Bożej. Dziś jako ewangelista i gospodarz programu radiowego na żywo, Bob Bush nadal głosi Ewangelię. Adres: 10935 Eaton Road, Oakdale, CA 95361, USA. Tel. (0-01)(209)847 7123.

⁴ Zarówno kontekst Starego (np. Psalmy), jak i Nowego Testamentu (np. 1Kor 10,4) nie pozwala w symbolu skały upatrywać nikogo innego, jak tylko samego Boga (przyp. red. polskiej).

Rzeczywiście wolny

Świadectwo nawróconego księdza Alexandra (Sandy'ego) Carsona

„Wszystko Pismo od Boga jest natchnione i pożyteczne ku nauce, ku strofowaniu, ku naprawie, ku ćwiczeniu, które jest w sprawiedliwości; Aby człowiek Boży był doskonały, ku wszelkiej sprawie dobrej dostatecznie wyćwiczony” (2Tym 3,16–17).

Od dzieciństwa aż do wieku 44 lat, w tym podczas 17 lat posługi kapłańskiej (1955–1972), kościół rzymskokatolicki był dla mnie filarem prawdy, nieomylnym przewodnikiem do Boga. Filar ten wnosił się nie tylko na nieomylnym Piśmie Świętym, ale i na ludzkiej tradycji odmiennej od Pisma, uznanej za objawienie Boże, lecz w istocie sprzecznej z jasną nauką Biblii. Na początku naszej ery, w czasach Apostołów, prawdę głoszono na jerozolimskich ulicach i wokół świątyni, a słowa te złożyły się na Nowy Testament. Zaświadcza o tym księga Dziejów Apostolskich:

„I rosło słowo Boże, i pomnażał się bardzo poczet uczniów w Jeruzalemie: wielkie też mnożstwo kapłanów było posłuszne wierze.” (6,7)

Za cenę wielkich ofiar w życiu osobistym ci starotestamentowi kapłani żydowscy porzucali wszystko, by pójść za Jezusem. Bo serca ich przenikła prawda, ów

„miecz obosieczny” (Hbr 4,12 BT), Słowo Boże.

Wszyscy byli księża katolicki, którzy „przyjęli wiarę”, z pewnością utożsamiają się z tym ustępem Pisma (Dz 6,7), poczynając od Wyklifa, Husa i Lutra aż do dziś. W różnych epokach i na różne sposoby używał Bóg swego Słowa, by wyzwalać ludzi, także księży!

„Tedy mówił Jezus do tych Żydów, co mu uwierzyli: Jeżeli wy zostaniecie w słowie mojem, prawdziwie uczniami moimi będziecie; Poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi” (J 8,31–32).

A oto, jak spotkało to mnie, proboszcza parafii Przenajświętszego Serca w Rayville w Luizjanie.

Pobożne wychowanie, pobożne pragnienia

Ochrzczono mnie w kościele katolickim wkrótce po urodzeniu w 1928 roku. Gdy skończyłem rok, rodzina przeniosła się ze stanu Nowy Jork do New Milford w Connecticut. Wzrastałem w nauce Rzymu, wierząc niezachwianie w każdą jej praktykę i doktrynę i bardzo poważnie traktując więź z kościołem- a zatem i z Bogiem; pierwsza komunika i bierzmowanie były dla mnie dniami wyjątkowymi. Po gimnazjum pojechałem do kolegium medycznego Tufts w Bostonie, mając nadzieję pójść w ślady jednego z moich wujów, którego szczególnie podziwiałem, i zostać lekarzem. Lecz po dwu latach nauki zapragnąłem zostać księdzem, sądząc, że ludziom bardziej potrzebna jest pomoc duchowa niż medyczna. We wrześniu 1948 roku wstąpiłem do Seminarium św. Jana w Brighton (Massachusetts). Ależ mi się tam podobało; wszystko było takie „święte”! Mimo to po pierwszym roku zrezygnowałem; pomyślałem, iż nigdy nie dorosnę do tego, co uważałem za najzaszczytniejsze powołanie dla młodego człowieka. Poszedłem więc do jezuickiego Boston College; prawie co dzień służyłem też do mszy w miejscowym klasztorze. W tym okresie — na jesieni 1949 roku — Bóg zbawił mnie swą łaską (to jedyny sposób!), mimo iż nie wiedziałem o Biblii wiele. Jezus zbawia wierzącego i skruszonego, nawet jeśli człowiek taki przeżywa zamęt i duchową ciemność. Znalazłem się w punkcie, gdzie nie byłem pewien swojej więzi z Bogiem, a pragnąłem nade wszystko mieć pokój w tej sprawie.

Dziwna spowiedź

Jednego wieczora klęknąłem w konfesjonale i wyznałem każdy grzech, jaki zdołałem sobie przypomnieć. Przy spowiedzi zawsze wyznawałem grzechy przede wszystkim Bogu, choć w obecności księdza.

„Jeźlibyśmy wyznali grzechy nasze, wierny jest Bóg i sprawiedliwy, aby nam odpuścił grzechy i oczyścił nas od wszelkiej nieprawości” (1J 1,9).

Gdy wyraziłem żal, a ksiądz udzielał mi rytualnego „rozgrzeszenia”, całym sercem wołałem do Boga: „Boże, jeśli przebaczysz mi grzechy, uznam Cię za Pana mego serca i będę Ci służył do końca życia!”

„Każdy bowiem, kto by wzywał imienia Pańskiego, zbawiony będzie” (Rz 10,13).

Opuszczając konfesjonał i mijając transept czułem wielki pokój, a serce wołało: „Abba, Ojcze!” Wiedziałem, że między mną a Bogiem istnieje przyjaźń! Nie dzięki księdzu i liturgicznemu rozgrzeszeniu — lecz dzięki obecności Jezusa Chrystusa, naszego Arcykapłana, który wstał się za mną i obdarował mnie łaską i zmiłowaniem.

„W którym mamy odkupienie przez krew jego, to jest odpuszczenie grzechów, według bogactwa łaski jego” (Ef 1,7)

„Albowiem łaską jesteście zbawieni przez wiarę, i to nie jest z was, dar to Boży jest; Nie z uczynków, aby się kto nie chlubił” (Ef 2,8–9).

Następnego roku wznowiłem naukę w seminarium, postanawiając zostać księdzem — był to najlepszy znany mi wtedy sposób służenia Bogu. 2 lutego 1955 biskup Lawrence Shehan z Bridgeport w Connecticut udzielił mi święceń, i rozpocząłem posługę kapłańską w diecezji alexandryjskiej w Luizjanie. Po kilku jednak latach zapał i radość związane z pracą zaczęły gasnąć. Choć bardzo się starałem robić wszystko jak najlepiej, stawało się to pustym, nie znaczącym rytuałem.

Biblia- nowy probierz

W 1971 roku, po latach błagania Boga o ukazanie sensu życia, me łaknienie zostało ukojone. Jezus i Słowo Boże (Pismo Święte) stali się dla mnie realni. Ponieważ

„A nadzieja nie pohańbia, przeto iż miłość Boża rozlana jest w sercach naszych” (Rz 5,5).

Duch Boży sprawił, że teologię katolicką zacząłem oceniać według probierza Biblii. Dotąd zawsze oceniałem Biblię miarą doktryny i teologii katolickiej; w moim życiu zaszło więc zupełne przewartościowanie. W niedzielną noc w lipcu 1972 roku zacząłem czytać List do Hebrajczyków, wynoszący Jezusa, Jego kapłaństwo i ofiarę ponad wszystko, co było w Starym Przymierzu. Przeczytałem, że Jezus

„Który by nie potrzebował na każdy dzień, jako oni najwyżsi kapłani, pierwej za swoje grzechy własne ofiar sprawować, a potem za ludzkie; bo to uczynił raz samego siebie ofiarowawszy” (Hbr 7,27).

Zdumiony, pojąłem, że ofiarę złożono tylko raz jeden na Golgocie i że może ona pojednać z Bogiem mnie i wszystkich wierzących na przestrzeni wieków. Zrozumiałem, że „święta Ofiara Eucharystii” składana co dnia przeze mnie i tysiące księży katolickich na całym świecie jest zupełnie bez znaczenia, jest fałszem. A skoro, ofiara”, którą co dzień składam jako kapłan, jest bez znaczenia, to bezsensowne i bezpodstawne jest moje „kapłaństwo”, z nią przecież związane. Wnioski te prędko znalazły potwierdzenie w dalszej lekturze Hebrajczyków. W rozdziale 10 przeczytałem:

„Lecz ten [Jezus] jedną ofiarę ofiarowawszy za grzechy, na wieki siedzi na prawicy Bożej, Na koniec oczekując, ażby położeni byli nieprzyjaciele jego podnóżkiem nóg jego. Albowiem jedną ofiarą doskonałymi uczynił na wieki tych, którzy bywają poświęceni” (wersety 12–14).

„A gdzie jest odpuszczenie ich [grzechów], jużci więcej ofiary nie potrzeba za grzech” (werset 18).

Zbawiony łaską

Tej nocy kościół katolicki stracił w moich oczach wiarygodność, bo jako prawdę głosił coś, co wyraźnie przeczyło Biblii. Postanowiłem za probierz prawdy uznać Pismo Święte, a nie

magisterium, czyli nauczycielski autorytet kościoła. W pisemnej rezygnacji z członkostwa w kościele i kapłaństwa wyjaśniłem biskupowi, że porzucam kapłaństwo, bo nie mogę już odprawiać mszy wbrew Słowu Bożemu i swemu sumieniu. Było to w 1972 roku. Niebawem zostałem ochrzczony przez zanurzenie, rozpocząłem studia biblijne i zostałem ordynowany do posługi ewangelizacyjnej. Już od przeszło 20 lat żyję w wolności, o której mówił Jezus:

„Tedy mówił Jezus do tych Żydów, co mu uwierzyli: Jeżeli wy zostaniecie w słowie mojem, prawdziwie uczniami moimi będziecie; Poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi” (J 8,31–32).

„A przetoż jeżeli was Syn wyswobodzi, prawdziwie wolnymi będziecie” (J 8,36)

Alexander (Sandy) Carson, nawrócony ksiądz

Do roku 1994 Amerykanin Sandy Carson zajmował się głównie pracą w seminarium, ewangelizacją i służbą kaznodziejską na Florydzie. W roku 1995 odbył długą podróż misyjną po kilku krajach wschodniej Europy. W marcu 1996 roku był na sześciotygodniowej wyprawie misyjnej na Syberii. Jak wyjawiał podczas rozmowy radiowej z Bobem Bushem, skontaktował się z nim pewien wierzący Rosjanin mieszkający dziś w Kalifornii. Wskutek tego Sandy Carson podjął decyzję, aby już wkrótce powrócić do Rosji. Obecnie uczy się rosyjskiego.

Ścieżka ku radości Chrystusowej

Świadectwo nawróconego księdza Charlesa A. Boltona

Pamiętam, jak pewnego dnia od świtu do wieczora pracowałem na polu w wielkim skwarze, a o zmierzchu, całkiem wyczerpany, ze spaloną słońcem skórą, poszedłem do czystego stawu położonego w lesie, zdjąłem brudne ubrania i zanurzyłem się w orzeźwiającej niebieskiej toni. Poczujęm się tak, jakbym doświadczył cudu uzdrowienia, jak zupełnie nowy człowiek. Tak samo poczułem się w dniu, gdy po latach niewolniczej pracy i mozolnej służby opuściłem kościół rzymskokatolicki. Uwolniony od przykrych przesądów i od zwodniczych pułapek służalczości, zostałem obmyty żywymi wodami miłości Chrystusa. Uzdrawiająca radość i pokój zbawienia, jakie otrzymujemy w darze od Boga, a nie dzięki własnym zasługom, były niczym balsam i lekarstwo wylane na zranione ciało, jakby Dobry Samarytanin opatrzył rany na pól żywego człowieka pchniętego w przydrożny rów. Nastąpiło odmłodzenie serca i umysłu. Dzięki niech będą Bogu za Jego uzdrowieńcze miłosierdzie. Dziś z głębszym zrozumieniem mogę powtórzyć słowa, które wydrukowano kiedyś na pamiątkowej karcie z okazji mych święceń kapłańskich:

„Którego nie widziawszy, miłujecie, którego teraz nie widząc, wszakże weń wierząc, weselicie się radością niewymowną i chwalebna” (1P 1,8).

Ksiądz i profesor

Urodziłem się w hrabstwie Lancaster na północy Anglii, tam też ukończyłem liceum (jezuickie). Studiowałem między innymi w Oksfordzie, gdzie otrzymałem tytuł magistra nauk humanistycznych i — za prowadzone przez siebie badania historyczne — bakałarza literatury. Przyznano mi też Oksfordzki Dyplom Edukacji, jako dyplomowanemu nauczycielowi. Przygotowując się do kapłaństwa, studiowałem w paryskim Instytucie Katolickim i w Belgii na Uniwersytecie Louvain, słynnej uczelni rzymskokatolickiej, gdzie otrzymałem tytuł bakałarza teologii. Święceń kapłańskich udzielił mi 30 lipca 1930 roku rektor Louvain biskup Paulinus Ladeuze. Planowałem wtedy zostać misjonarzem, apostołem kościoła rzymskokatolickiego w Rosji, było to jednak próżną nadzieją, gdyż władza sowiecka nie kwapiła się wpuszczać misjonarzy. Kolejne 20 lat przepracowałem więc w Kolegium św. Bedy w Manchesterze jako starszy wykładowca historii; uczyłem też języków nowożytnych. Na przestrzeni lat zdążyło mnie poznać wieluset studentów; poza tym podróżowałem po północnej Anglii, wygłaszając kazania w celach charytatywnych. Później powierzono mi wiejską parafię, gdzie miałem więcej czasu na kontynuowanie badań. Opublikowałem szereg prac, w tym oficjalną historię mojej diecezji, szkice o św. Patryku oraz o innych dawnych świętych z Wysp Brytyjskich.

Próżne wielomówstwo

Badania historyczne zaczęły z czasem coraz mocniej wpływać na mnie i moje poglądy; wiązało się to zwłaszcza ze studiami nad ruchem jansenistów w łonie kościoła rzymskiego w XVII i XVIII wieku. Podzielałem ich umiłowanie Biblii i prostoty w kościele i też bolałem nad kształtem, jaki poczynając od średniowiecza przybrały teologia i pobożność chrześcijańska. W kazaniach nie potrafiłem sławić mocy, prymatu i nieomylności papieża, których idee — jak wyczytałem — już w III wieku potępiał wielki męczennik chrześcijański Cyprian z Kartagi. Nie umiałem też zmuszać wiernych do monotonnej recytacji różańca, tak sprzecznej ze wskazówką Chrystusa:

„A modląc się, nie bądźcie wielomówni, jako poganie; albowiem oni mniemają, że dla swojej wielomówności wysłuchani będą” (Mt 6,7).

Inna ewangelia

Zauważyłem, że o kilku spośród 14 stacji Drogi Krzyżowej, jakie wiszą na murach świątyni katolickich, wcale nie ma mowy w Piśmie Świętym — na przykład „Św. Weronika ociera twarz Jezusowi”: Weronika to postać fikcyjna, a mimo to czci się ją prawie w każdej parafii katolickiej. Nie mogłem dostrzec żadnego pożytku w odpustach, rozdzielanych niczym zdewaluowana waluta: jedna krótka modlitwa mogła zastąpić długie dni, a nawet miesiące pokutowania. Doszedłem też do wniosku, że medaliki, figurki i szkaplerze pełnią rolę analogiczną do pogańskich amuletów i totemów. Nie potrafiłem dostrzec, jaki związek z prawdziwą pobożnością ma palenie lamp i świec wotywnych i kropienie wodą święconą. Komunia, ustanowiona przez Chrystusa podczas Ostatniej Wieczerzy, ma dla nas wielką wartość jako pamiątka Jego męki i ofiary, jaką złożył na krzyżu z Siebie samego. Pismo Święte nie daje jednak podstaw, aby chleb spożywany podczas komunii zastąpić białym opłatkiem i adornać jak bożka, palić mu kadzidło i obnosić w procesjach, na przykład w Boże Ciało. Jezus dał chleb i wino na symbole swego umęczonego ciała i krwi; mimo to kościół rzymski od stuleci zastępuje je kawałkiem suchego opłatka, którego nawet człowiek konający z głodu nie byłby skłonny uznać za pokarm. Tak oto wykoślawił Rzym tradycję tego Chrystusowego ustanowienia, roszcząc sobie na dodatek pretensje do tytułu jej prawowitego strażnika.

Zbawienie tylko w Chrystusie

Moje studia pokazały, iż żaden faktyczny autorytet nie jest w stanie uzasadnić dogmatów o Niepokalanym Poczęciu i cielesnym Wniebowzięciu Maryi. Na dodatek w ostatnich dziesięcioleciach kościół rzymski ulega modnemu szaleństwu, zrodzonemu głównie na gruncie rzekomych objawień w Lourdes i Fatimie, czyniąc z Maryi boginię, królową nieba i ziemi. Wielu biskupów oraz samowolnych teologów maryjnych usiłuje forsować naukę o odkupieniu świata przez Maryję, wbrew takim choćby słowom Pawła apostoła:

„Boć jeden jest Bóg, jeden także pośrednik między Bogiem i ludźmi, człowiek Chrystus Jezus. Który dał samego siebie na okup za wszystkich, co jest świadectwem czasów jego” (1Tm 2,5-6).

To stwierdzenie przeczy też bezzasadnej teologii rzymskiej, wedle której wszelkie łaski przychodzą do człowieka za pośrednictwem Maryi. Tymczasem Pismo jednoznacznie wyjaśnia, że tylko przez Chrystusa otrzymujemy zbawienie:

„I nie masz w żadnym innym zbawienia; albowiem nie masz żadnego imienia pod niebem, danego ludziom, przez które byśmy mogli być zbawieni” (Dz 4,12).

Cenzura

Badając Biblię i historię kościoła rozgryzłem wiele tajemnic, o których większość chrześcijan i wielu księży katolickich nie ma pojęcia. Przedtem nie mogłem takich tajemnic publikować z powodu rzymskokatolickich praw o cenzurze. Przeglądając jakąś książkę z Imprimatur, nie mamy żadnej pewności, iż prezentuje ona faktyczne stanowisko autora i że nie przerobili jej po swojemu rzymscy cenzorzy, tak na wszelki wypadek. Jeśli książce uda się prześliznąć mimo cenzury, może trafić na indeks ksiąg zakazanych na mocy dekretu Kongregacji do Spraw Wiary, od którego w praktyce nie ma odwołania. Bezlitosna inkwizycyjna dyktatura, dalej grająca pierwsze skrzypce we władzach kościoła, to tylko jeden przykład brutalnych, totalitarnych, jaskrawie niechrześcijańskich metod Rzymu. Nikt się nie skryje przed wzrokiem jej szpiegów, obecnych w każdej diecezji i obowiązanych napiętnować każdego podejrzanego o nieposłuszeństwo wobec Rzymu. Walka z Rzymem to walka z jedną z najbogatszych korporacji międzynarodowych, bogacącą się z milionów ofiar zwanych podatkiem na Stolicę Apostolską, sprzedają kanonizacji (koszty wstępne wynoszą prawdopodobnie 50 000 dolarów; sama kanonizacja drugie tyle). Biskupi przybywając na audjencje płacą słone kwoty, prałaci podobno po kilkaset dolarów. Trzeba płacić za rozmaite dyspensy, i to narzucone

przez prawo kościelne, płaci się ofiary za błogosławieństwo papieskie itd. Relikwii wprawdzie sprzedawać nie wolno, ale płaci się ofiary na relikwiarze. W prawie każdym kościele Rzymu są ołtarze z wbudowanymi rzekomymi relikwiami: kawalkami kości nieznanymi męczenników znalezionymi w katakumbach; mimo że już w XVII wieku katolicy uczeni wykazali błędność poglądu, iż kości z tych podziemnych miejsc pochówku to kości męczenników. Ogromna liczba „świętych ołtarzy” zawiera najprawdopodobniej fałszywe „relikwie”.

Nadużycia władzy

Tym, co nastawiło mnie szczególnie wrogo do nadużyć władzy w kościele rzymskim, było zamęczenie na śmierć takich ludzi i świętych Bożych jak Joanna d’Arc, setki męczenników albigenskich w XII-wiecznej Francji, Templariusze, Jan Hus, dominikanin Savonarola, dominikanin Giordano Bruno czy biskupi anglikańscy Cranmer, Ridley i Latimer. Inkwizycja celowo doprowadziła do co najmniej dwu ludobójstw w pełnym sensie tego słowa: rzezi protestanckich waldensów na północy Włoch i masakry protestanckich hugenotów w noc św. Bartłomieja 24 sierpnia 1572 roku. We Francji wymordowano wtedy ponad 30 tysięcy najszacowniejszych obywateli wyznających protestantyzm. Na wieść o tym wypaliły z triumfem papieskie działa, papież ogłosił święto i w dziękczynieniu nakazał odśpiewać *Te Deum*. Wybił też medal upamiętniający chwalebne „zwycięstwo”. Przez długi czas obchodziłem święto św. Bartłomieja jako dzień szczególnych modlitw za protestantów, w wyrazie miłości i zadośćuczynienia.

„I widziałem niewiastę onę pijaną krwią świętych i krwią męczenników Jezusowych; a widząc ją, dziwowałem się wielkim podziwieniem” (Obj 17,6)

Sola Gratia

Dziękuję Bogu, że zetknął mnie z pracami wielkiego uczonego luterańskiego profesora F. Heilera, nawróconego księdza rzymskokatolickiego. Wyjaśniły mi one wartość wiary w Jezusa i w zbawienie *sola gratia* — tylko Jego łaską. *Mysterium Caritatis* Heilera, wspaniały zbiór kazań, przez wiele lat był przedmiotem moich rozważań, aż Duch Święty dał mi odwagę, aby przez wzgląd na me własne zbawienie zastosować się do tej nauki. Opuszczenie kościoła, w którym się urodziłem i tyle lat pracowałem, odwrócenie się od rodziny i przyjaciół to trudna walka — lecz zarazem cudowna łaska od Boga. Niektórzy moi znajomi, którzy już wcześniej porzucili katolicyzm i doznali ciepłego przyjęcia wśród braci w Jezusie, opowiadali, jak inna jest atmosfera w kościele, który nie zna intryg, szpiegowania, donosów i przekleństw, typowych dla systemu rzymskokatolickiego.

Poznacie ich po ich owocach

Rzym stoi przed trybunałem historii tego świata — a potem stanie przed sędziowskim tronem Boga — za to, że założył, wspierał i propagował — co czyni po dziś dzień — nikczemną Świętą Inkwizycję, a później Zakon Jezuitów, niegdyś wprawdzie odsunięty od łask, lecz później, co ze smutkiem trzeba stwierdzić, obdarzony wpływem jeszcze większym. Moja ścieżka ku radości Chrystusowej była długa i nieraz trudna, lecz okazała się pielgrzymką wartą zachodu. Po okresie pracy wykładowczej w Waszyngtonie i innych miastach USA dane mi było w końcu zaznać pełni radości Chrystusa jako mego Zbawcy i wiecznego Odkupiciela; znalazłem też grupę prawdziwie wierzących przyjaciół: sług Ewangelii i członków ich kościołów, młodych i starszych, którzy byli odtąd dla mnie bezcennym źródłem siły, pomocy i zrozumienia. Wśród chrześcijan ewangelikalnych, zrodzonych na nowo w odkupieńczej miłości Chrystusowej przez wiarę w doskonałą ofiarę Jego krwi, żyjemy w miłości, radości, pokoju, cierpliwości, cichości, łagodności i wzajemnym zaufaniu. Mamy w sobie tę prostotę, o której mówił Jezus Chrystus:

„Oko twoje jestci świecą ciała twego; jeźliby tedy oko twoje było szczere, wszystko ciało twoje jasne będzie” (Mt 6,22).

To światło, pochodzące od Chrystusa, to radosna jasność prawdy, która nas — odkupionych i oświeconych — napełnia niewypowiedzianą i chwalebłą radością. Z tych to racji

oddałem się Jezusowi Chrystusowi, wszechmocnemu Zbawcy, a przyjmując Go, przeszedłem ze śmierci grzechu do życia:

„Usprawiedliwieni tedy z wiary, pokój mamy z Bogiem przez Pana naszego, Jezusa Chrystusa, dzięki któremu też mamy dostęp przez wiarę do tej łaski, w której stoimy, i chlubimy się nadzieją chwały Bożej” (Rz 5,1-2; BW).

Drogi Czytelniku, jeśli przypadkiem nie ma jeszcze w Tobie niezachwianej pewności i radości zbawienia, jeśli wciąż pokładasz ufność w rytuałach, obrzędach i w pobożnych uczynkach, to zechciej poznać Jezusa Chrystusa jako Zbawiciela. Módl się, aby najwspanialszy dar wiary znalazł się w Twym sercu i abyś mógł oddać się Jezusowi całkowicie i bez zastrzeżeń — a On przyjmie Cię i zachowa teraz i na wieki.

Jeżeli więc ustami swoimi wyznasz, że JEZUS JEST PANEM, i w sercu swoim uwierzysz, że Bóg Go wskrzesił z martwych — zbawiony będziesz. (Rz 10,9).

Charles A. Bolton, nawrócony ksiądz

Pracując w St. Louis (Missouri, USA) Anglik Charles A. Bolton usłyszał o Alexie Dunlopie, nawróconym księdzu z Havertown w Pensylwanii. Udał się tam i przyjął biblijne poselstwo o łasce. Tam też napisał niniejsze świadectwo. Przepracował około dwudziestu lat jako wykładowca w Kolegium Chrześcijańskiego Związku Misyjnego w Nyack (stan Nowy Jork). Teraz jest już u Pana.

Byłem księdzem w Hiszpanii

Świadectwo nawróconego księdza Enrique Fernandez

W 1960 roku byłem kapelanem w klasztorze żeńskim w Navelgas, cichym miasteczku w Asturii. Po wczesnej kolacji często odwiedzałem miejscowego księdza, sympatycznego i towarzyskiego starszego mężczyznę. Raz pokazał mi on broszurkę zatytułowaną „Dar”, z fragmentem życiorysu byłego księdza Charlesa Chiniquy z Kanady. Poprosiłem, by mi ją pożyczył. Po lekturze zapragnąłem przeczytać Biblię; chciałem się dowiedzieć, czy istotnie jest jakaś różnica między Biblią katolicką a protestancką. Nie wyjawiając, że jestem księdzem, napisałem pod adres z broszurki prosząc o Biblię bądź Nowy Testament. Badając Nowy Testament, głównie Dzieje Apostolskie, powoli nabierałem przekonania, że kościół rzymski odszedł od Biblii, a kapłani uzurpują sobie miejsce Chrystusa. Odkrycia w Słowie Bożym były pasjonującą przygodą. W dalszej lekturze mocno przeżyłem werset 4,12 Listu do Hebrajczyków:

„Boć żywe jest słowo Boże i skuteczne, i przeraźliwsze nad wszelki miecz po obu stronach ostry, i przenikające aż do rozdzielenia i duszy, i ducha, i stawów, i szpików, i rozeznawające myśli i zdania serdeczne”

Teologia, a nie Biblia

Urodziłem się w Madrycie w 1929 roku w bardzo religijnej rodzinie. 12 lat studiowałem w Seminarium Metropolitalnym w Oviedo; święcenia kapłańskie przyjąłem 30 maja 1954 roku. Przez cztery lata studiów teologicznych nigdy na serio nie czytałem Biblii; traktując ją co najwyżej jako pomoc przy zgłębianiu dogmatów katolickich. Znałem tylko te jej ustępy, które umieszczono w tekście liturgii mszalnej i brewiarzu. Zbawienie — głosił kościół — zależy od rozgrzeszenia, którego udziela kapłan; kto odmówi wyznania mu grzechów śmiertelnych, tego czeka wiekuiste potępienie. Ale w Dziejach, ani w żadnej innej księdze Nowego Testamentu nie znalazłem tekstu, który by to potwierdził; natchnieni autorzy podkreślają, że po przebaczeniu musi się człowiek udać wprost do Boga. W Liście do Hebrajczyków napisano, że Chrystus został za grzeszników ofiarowany raz jeden na zawsze. „Zatem” — myślałem — „jakże mógł sobór trydencki w 1562 roku ogłosić, że we mszy Chrystus ofiarowuje siebie przez ręce kapłana na prawdziwą i rzeczywistą ofiarę Bogu?”

Tylko wiara

Wyczytałem, że usprawiedliwienie grzesznika dokonuje się z wiary. Pomyślałem: „Skoro w kościele katolickim nie znalazłem pokoju duszy, to może dlatego, że oczekiwałem pokoju jako nagrody za swoje wysiłki?” Pojawszy, że Jezus nie wymaga ode mnie zapłaty, zarzuciłem próby zapracowania na zbawienie. Chrystus stał się moim jedynym Panem i Zbawicielem. Dzięki holenderskiej misji „De Spaanse Evangelische Zending” poznałem byłego hiszpańskiego księdza, a ten skierował mnie do holenderskiej fundacji „In de Rechte Straat” (Na Ulicę Prosta), która od lat pomagała księżom opuszczającym kościół rzymski, przestrzegając zasad XVI-wiecznej Reformacji i głosząc powrót do Pisma. 2 maja 1961 roku przyjechałem do Brukseli, skąd udałem się do Hilversum w Holandii. Stamtąd napisałem do mego arcybiskupa: „Odkryłem Słowo Boże, a Jezus Chrystus objawił mi Siebie jako jedyny Pan i Zbawca. Rzym twierdzi, że katolicyzm skupia się wokół osoby Chrystusa, ale w istocie katolicyzm

odwrócił się do Niego tyłem”. Pojechałem do San Jose w Kostaryce i w Seminarium Teologicznym Ameryki Łacińskiej otrzymałem 25 listopada 1963 roku tytuł bakałarza teologii. Tuż przed wyjazdem do Stanów Zjednoczonych spędziłem kilka miesięcy w Gwatemali z polecenia Luterńskiego Synodu Missouri. Od 1 czerwca 1964 roku głoszę Ewangelię ludności hiszpańskojęzycznej w USA.

Moje pragnienie

Pragnę służyć Jezusowi Chrystusowi, nieść ludziom Ewangelię łaski i opowiadać o rzeczach, jakie uczynił mi Pan. Bo to, co uczynił dla mnie, może uczynić i dla innych. Dla Ciebie też.

Ludu Mój, wyjdźcie z niej, byście nie mieli udziału w jej grzechach (Ap 18,4). Pokutujcie więc i nawróćcie się, aby grzechy wasze zostały zglądzone (Dz 3,19).

Enrique Fernandez, nawrócony ksiądz

Ostatnia noc w klasztorze

Świadectwo nawróconego księdza Miguela Carvajala

Była czwarta nad ranem. Włożyłem na siebie jak najwięcej ubrań, resztę rzeczy upchnąłem w walizce. Decyzja opuszczenia klasztoru była nieodwołalna. Ostrożnie uchyliłem drzwi, nie zapalając światła, bo przyłapanie na ucieczce mogłoby się dla mnie skończyć dość przykro. Udałem się w stronę kościoła w miasteczku i nie wiedząc, co począć, wszedłem do środka. Przed ołtarzem głównym płonęła czerwona lampka. Na palcach szedłem wzdłuż nawy głównej. Postanowiłem przez boczne drzwi wejść do wirydarza, gdzie panowała głucha cisza. Nie miałem dokąd iść i liczyłem na to, że ta chwila spokoju da mi szansę zastanowienia się, co dalej. Zdjąłem już habit franciszkanina i byłem ubrany po cywilnemu. Nawróciłem się w wieku 32 lat i raduję się z więzi ze Zbawcą. Niegdyś, w klasztorze, wołano na mnie „brat Fernando”, dziś używam prawdziwego imienia i nazwiska: Miguel Carvajal. Po opuszczeniu klasztoru zaświtał dla mnie nowy dzień wolności. Stałem na rozstajach, zamknąłem za sobą drzwi ciemności; musiałem postanowić o dalszym kierunku życia.

Niepewność jutra

Zamknięcie drzwi nie przyszło mi łatwo. Męczyły mnie wątpliwości, targała wewnętrzna walka — lecz wiedziałem, że nie mogę wrócić do niewoli. Cały ten proces zmagania przechodziłem właśnie w cichym kościelnym wirydarzu. Gdy wychodziłem z kościoła na rynek miasteczka, zmroził mnie do szpiku kości zimny poryw od strony wulkanu Cayambe, wysokiego na 6000 metrów. Opadły mnie chłód i lęk przed przyszłością. Tak, znalazłem wolność — ale gdzie się teraz udać? Ostatni raz spojrzałem na okienko klasztornej celi, przypominając sobie wątpliwości, walkę wewnętrzną, modlitwy, badania w poszukiwaniu pokoju duszy. Mury klasztoru były niemy świadkiem rozpaczki, duchowego chaosu, lęku, że Bóg może nigdy nie odpuści mi grzechów. I zrozumiałem, że ofiary i posty nie wystarczą, że niezbędne jest narodzić się na nowo.

„Odpowiedział Jezus i rzekł mu: Zaprawdę, zaprawdę powiadam ci: Jeżeli się kto nie narodzi znowu, nie może widzieć królestwa Bożego” (J 3,3).

Przemknąłem się przez rynek miasteczka, świadomy, że mieszkają tu biskup i księża i nie mogę dać się zobaczyć. Myśli biegły ku przyszłości pędząc przez cichą, wyludnioną ulicę... Było tak wcześniej. Dyszałem ciężko, przez dwie godziny to wspinając się, to schodząc po pagórkach, z walizką na barkach, ku Quito, gdzie mieszkała matka. Dobięł mnie dźwięk dzwonów w miasteczku, które opuściłem. Byłem taki zmęczony; siadłem i zacząłem płakać. Na poranne ekwadorskie niebo wypłynęło słońce. Pokusa, by wrócić, była bardzo silna. W klasztorze przeżyłem dziesięć lat. Ogarnęły mnie wspomnienia: studenci, księża, zakonnicy, z którymi dzieliłem problemy życiowe. Znałem zakonników złych i dobrych, ich rozmowy i tajemnice, znałem smak skąpych codziennych racji żywnościowych. Jakżebym chciał, by towarzyszył mi ten czy ów; droga wydawała się tak samotna. Oczywiście opuszczając klasztor naraziliby się na gniew kościoła. Gdyby opuścili klasztor, tak jak ja musieliby stanąć wobec przeciwności życiowych, duchowych presji i prześladowań ze strony kościoła. Chcąc opuścić kościół katolicki, trzeba się liczyć z dezaprobatą najbliższych, krewnych i przyjaciół, ciągłą krytyką, niepewnością życia i brakiem pracy. Przed nowym wierzącym wyrasta góra prób i zmartwień, ale mamy przecież obietnicę, a za przewodnik — Biblię:

„Poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi” (J 8,32).

Wolałem opuścić kościół i być niezależnym. Zmęczyła mnie obluda i religia pozbawiona duchowości. W końcu dotarłem do jednego miasteczka ze stacją kolejową, lecz byłem bez

pieniędzy i zupełnie sam. Ponieważ jako ksiądz nie miałem zwyczaju podróżować w cywilnym ubraniu, nie chciałem pokazywać się publicznie. Dla ludzi przykry byłby widok księdza, który ich zdaniem upadł tak nisko. Toteż pieszo przebyłem blisko dwie godziny drogi do Quito, stolicy Ekwadoru, gdzie mieszkała matka.

Płacz matki

Na wieść, że opuściłem klasztor, matka rozplakała się. Nie miała pojęcia, jak bardzo pragnąłem znaleźć Zbawcę. Natrafiłem więc na kolejną pokusę. Ze względu na mamę postanowiłem jednak pozostać katolikiem, ale nie wracać do klasztoru. W klasztorze spędziłem tyle lat, że trudno było przywyknąć do życia poza nim; życie zwykłych ludzi mocno się różni od życia księży. Nastąpił dla mnie czas wyjątkowej udręki i załamania. Szukałem radości w młodzieńczych pożądlivościach: alkohol, papierosy, taniec, miejsca o złej sławie. Nie widziałem w tym nic złego; w klasztorze na takie sprawy patrzono przez palce. Znalazłem sobie pracę nauczyciela w katolickiej szkole, ale nie zagrzałem tam miejsca dłużej niż przez dwa miesiące. Chciałem się dalej kształcić, ale Bóg, widząc moje serce, pokrzyżował te plany. Znajomy z radia HCJB złożył mi listownie świadectwo o zbawieniu, które jest w Jezusie. Wyśmiałem go w duchu, myśląc sobie, że bądź co bądź ksiądz wie, co jest dla ludzi dobre. Podczas lat nauki obrzydzono mi do kościoł protestancki; uważałem go za zły. W dodatku dostałem list od księdza, który w klasztorze uczył mnie historii. Pisał, że jeśli zaraz wrócę, nie spotkają mnie żadne konsekwencje.

Nowe stworzenie w Chrystusie

Chrześcijanie w Ekwadorze nazywali siebie ewangelikanami. Jednego wieczora miałem okazję rozmawiać z wierzącą dziewczyną; przegadaliśmy dwie godziny o Panu i zbawieniu.

Tak bowiem Bóg umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne. Albowiem Bóg nie posłał swego Syna na świat po to, aby świat potępił, ale po to, by świat został przez Niego zbawiony. Kto wierzy w Niego, nie podlega potępieniu, a kto nie wierzy, już został potępiony, bo nie uwierzył w imię Jednorodzonego Syna Bożego (J 3,16–18). Te zaś zapisano, abyście wierzyli, że Jezus jest Mesjaszem, Synem Bożym, i abyście wierząc mieli życie w imię Jego (J 20,31).

Uwierzyłem. I przyjąłem Jezusa Chrystusa jako mego Zbawiciela. Stałem się nowym stworzeniem. Moje życie zmieniło się; poznałem smak nowego narodzenia — zbawienia. Żadne słowa nie opiszą mego szczęścia. Ale sąsiedzi zaczęli wyśmiewać moją matkę i rozgłaszać, że oszalałem. Myśleli, że zmuszą mnie do powrotu do kościoła katolickiego. Nie wiedzieli, że dla mnie wszystko stało się nowe. Nadszedł Wielki Tydzień. A ja nie bardzo wiedziałem, co począć; odzywały się stare sentymenty. Był kwiecień 1960 roku. Choć właściwie nie miałem pieniędzy, postanowiłem jechać do Guayaquil. Na miejscu dopadła mnie malaria. Pomyślałem, że jak syn marnotrawny powinienem wrócić do matki i klasztoru; Bóg jednak posłał jednego ze swych wiernych sług, który zabrał mnie do siebie i zaopiekował się mną.

Moje świadectwo

Gdy wydobrałem, rozpocząłem pracę, zacząłem też służyć Panu i studiować w seminarium. Cieszę się, że mogę dziś głosić zbawienie Pana i służyć w Kościele Bereańskim w Ekwadorze. Chciałbym razem z wami odczytać słowa Pana z Ewangelii Jana 6,47:

„Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: Kto w mię wierzy, ma żywot wieczny”

Sens tych słów jest jasny. Lecz nie jest łatwo uwierzyć tylko w Chrystusa. Trzeba wyrzec się wszystkich błędów tradycji ludzkiej i religijnej i złożyć ufność tylko w Nim. Na podstawie Jego doskonałej ofiary mamy życie wieczne. Katolik musi uwierzyć w taką Ewangelię, jaka została ogłoszona w Pierwszym Liście do Koryntian 15,3–4:

„Albowiem naprzód podałem wam, com też wziął, iż Chrystus umarł za grzechy nasze według Pism; A iż był pogrzebiony, a iż zmartwychwstał dnia trzeciego według Pism.”

Jeśli naprawdę wierzysz, że Jezus Chrystus zapłacił w pełni za twoje grzechy, i w wierze zaufałeś Mu z całego serca, to jesteś wolny od grzechu i masz życie wieczne.

Miguel M. Carvajal, nawrócony ksiądz

Miguel Carvajal, dziś pastor ewangelikalnego kościoła w Quito, prowadzi też zajęcia z duszpasterstwa małżeństw w tamtejszym seminarium i działa w hiszpańskojęzycznym radio HCJV „Głos Andów”. Jeździ po osadach Indian, głosząc Ewangelię zbawienia. Jego pragnienie, aby katolicy znali prawdę, widać w hiszpańskiej wersji filmu dokumentalnego *Catholicism: Crisis of Faith*, gdzie jest jednym z głównych występujących. (Wydawca: Lumen Products, P. O. Box 595, Cupertino, CA 95015, USA). Adres: M. Carvajal, Voz Dos Andes, CX Postal 17-17-691, Quito, Ekwador. Tel. (0-0593) 5 932 466 808 w. 281; fax (0-0593) 5 932 447 263.

Gdybym pozostał katolikiem, nie znalazłbym Jezusa

Świadek nawróconego księdza Anibala Pereiry dos Reisa

Sao Joaguim da Barra w brazylijskim stanie Sao Paulo to miejsce moich narodzin. Przyszedłem na świat 9 marca 1924 roku w rodzinie głęboko katolickiej. Ojciec był Portugalczykiem i żeby nie odstawać od reszty dołączył do grona czcicieli Matki Bożej Fatimskiej, losu i dobrego wina. Matka, Włoszka z pochodzenia, zawsze szczyła się złotym tronem papieża na Półwyspie Apenińskim. Dziadek ze strony matki, gorliwie praktykujący swą religię, od najmłodszych mych lat zabierał mnie na uroczyste nabożeństwa Matki Kościoła. Jeszcze przed ukończeniem siedmiu lat regularnie uczęszczałem na kościelną katechezę. Raz pewien otyły ksiądz z zapalem i godną pozazdroszczenia plastycznością wyrazu odmalował przed nami piekło. Ukazał nam, co nam grozi, lecz nie wspomniał ani słowem o poselstwie zbawienia, zdolnym nas przed tą groźbą ocalić.

Pierwsza komunია

Moja pierwsza komunია 1 maja 1932 roku nie odbiegała od normy i nie obyła się bez mnóstwa słodyczy. Przyjmując opłatek na język byłem bardzo wzruszony. Podniosły nastrój chwili zakłóciło tylko jedno zajście: Nasz kolega zwany Toadem, gdy ksiądz włożył mu opłatek do ust, zawołał: „Proszę księdza, opłatek mi się przylepił!” Ksiądz podszedł do zdenerwowanego chłopca i polecił mu być cicho i nie wyjmować opłatka z „niebios ust” palcami. To byłoby świętokradztwo. Po wyjściu z kościoła koleżanki i koledzy zgodnie złąjali biedaka za to, że nie umie świętemu Panu okazać należytego szacunku. Szkołę powszechną ukończyłem w 1936 roku. Przenieśliśmy się wtedy do sąsiedniej miejscowości — Orlandii — tak abym wraz z braćmi mógł uczęszczać do gimnazjum. Ojciec chciał dać synom wykształcenie, którego sam nie miał okazji zdobyć. Już od dzieciństwa dręczył mnie problem zbawienia mojej duszy; myślałem o tym bez przerwy. Trzęsąc się ze strachu, przypominałem sobie słowa księdza, który przygotowywał nas do pierwszej komunii. Poinformował nas o wszystkich pobożnych czynnościach zalecanych przez proboszcza. Był Hiszpanem z Orlandii i — bardzo surowym księdzem. Sam stosował się do tych wskazówek w najdrobniejszym szczególe. Pragnienie służenia Bogu zrodziło się we mnie już w wieku dziecięcym. Nie znając żadnego innego sposobu jego wypełnienia, postanowiłem zostać księdzem.

Seminarium i święcenia

W wieku 17 lat, po ukończeniu gimnazjum, zostałem przyjęty do seminarium duchownego. Nie okazało się ono miejscem idealnym; nigdzie dotąd nie spotkałem się z tak nieprzyjemną atmosferą. Poświęciłem się zupełnie studiowaniu wszystkich przedmiotów; ale wcale nie czułem się zadowolony. 8 grudnia 1949 roku przyjąłem święcenia kapłańskie w mieście Montes Claros, na północy stanu Minas Gerais. Ordynariusz diecezji powierzył mi organizację i prowadzenie duszpasterstwa ludzi pracy. Zadanie to odpowiadało moim pragnieniom; praca w pomocy społecznej koła wewnętrzny niepokój. Rozwinąłem działalność na szeroką skalę zyskując duże uznanie robotników z całej okolicy oraz hierarchii kościelnej.

Działacz społeczny

Na początku 1952 roku biskup Montes Claros został przez papieża mianowany arcybiskupem Recife. Wraz z nim do Recife musiałem się przenieść i ja. W dużej metropolii powierzono mi zaszczytną misję ożywienia na tym obszarze organizacji charytatywnej, obejmującej sierocińce i szkoły katolickie, a cierpiącej na kłopoty finansowe. Pracowałem ciężko, chcąc odbudować zaufanie publiczne do tej instytucji; odpowiedzialność była tym dotkliwsza, że nie zechciał jej ze mną dzielić żaden ksiądz. Po z górą dwu latach trudów problemy instytucji skończyły się, powstał uporządkowany plan przedsięwzięć. Sierocińce i domy starców mogły przyjąć więcej dzieci i osób starszych, w szkołach powiało nowym. Moje nazwisko nie raz pojawiło się w gazetach, co tylko umocniło moją pozycję. Brak pokoju z Bogiem

Lecz ani ludzkie sukcesy, ani aplauz sympatyków nie zdołały napęłnić mojej duszy pokojem. Duchowe cierpienia nie znalazły lekarstwa ani w moich czynach miłosierdzia, ani w pełnym oddaniu się pracy, ani w pochwałach władz kościelnych. Pragnąłem być pewnym wiecznego zbawienia, ale nic nie potrafiło mi tej pewności dać. W 1960 roku przeniesiono mnie do Guaratinguety w stanie Sao Paulo, w sąsiedztwo Aparecida de Norte. Ucieszyło mnie to, głównie z racji bliskości „patronki Brazylii” i dlatego że pierwszy raz stanąłem przed zadaniem związanym z polityką społeczną. Praca w opiece społecznej bardzo mnie już znużyła- a przecież w spełnianiu mych kapłańskich obowiązków miałem odnajdywać odpowiedź na rozterki duchowe.

Praca parafialna

W dzielnicy Pedregulho w Guaratinguecie stworzyłem nową parafię. Uważałem, że to słuszne posunięcie. Pracowałem ciężko: w ciągu zaledwie trzech lat zbudowałem dom parafialny, plebanię i trzy kościoły. Lecz nawet taki przełom życiowy i długa lista zasług dla katolicyzmu nie zdołały dać mi pewności, że będę zbawiony. W październiku 1956 roku ojciec zmarł na raka płuc. Byłem już wtedy dyrektorem organizacji charytatywnej w Recife i cały rok codziennie odprawiałem mszę za jego duszę. Na msze chodziła wówczas cała moja rodzina. Ale katolicka msza z całym swoim imponującym rytuałem nie była w stanie dać nam pewności co do zbawienia ojca. Nieraz płakałem nad ojcem — i nad sobą. Nie pomagała mi ani dynamicznie rozwijająca się praca społeczna, ani budowanie kościołów, ani przewodniczenie obrzędowi religijnym, ani ślepe posłuszeństwo władzom kościelnym, ani katolicyzm.

Nienawiść do protestantów

Ponieważ umysł mój ukształtował się w duchu ścisłego posłuszeństwa doktrynie rzymskokatolickiej, gorliwą nienawiścią do protestantów, których zwałem w moich kazaniach „kozłami” (katolicy byli oczywiście „owcami Chrystusowymi”). Moją postawę wyraziście zilustruje pewien incydent. Raz w Święto Wszystkich Świętych na cmentarzu w dzielnicy Pedregulho wierzący prowadzili pracę ewangelizacyjną, rozdając ulotki i wypisy z Biblii. Ażeby oddać chwałę Bogu („chwała Bogu” — to przecież hasło Jezuitów) i bronić „Świętej Matki, Kościoła Powszechnego”, postanowiłem przeszkodzić im w pracy. Zebrałem dzieci z mojej parafii i podzieliłem je na grupy, aby przez cały czas modliły się na cmentarzu. Chodziło o to, aby zebrać jak najwięcej tej ich literatury i spalić ją w płomieniach świec za kaplicą cmentarną.

Pierwsze kroki z Biblią

W wieczór, kiedy wydałem to niemiłosierne polecenie, udałem się do swej biblioteki, aby poszukać przyjemnej lektury do poduszki. Dzięki cudownej łasce Bożej natrafiłem na Biblię (w tłumaczeniu Mato Soaresa). Niespodzianie otworzyłem tę natchnioną księgę i przeczytałem 11 rozdział Ewangelii św. Jana. I w mym beznadziejnym smutku poczułem nagle ulgę, w duchowe przygębienie wtargnęła nowa energia. Czytałem dalej, i to z rosnącym zaciekawieniem. Nie przestawałem rozmyślać nad treścią tego rozdziału. I stopniowo w głębi duszy

zacząłem dostrzegać nowe horyzonty. Postanowiłem studiować Biblię rezygnując z wszelkich założeń wstępnych. Wskutek tego studium bez niczyjej pomocy, tylko dzięki łasce Bożej, odkryłem plan, jaki powziął Bóg dla naszego zbawienia. Zdumiony, spostrzegłem, iż uznając ten plan, możemy mieć niezniszczalną pewność, że znajdziemy się w niebie. Lecz nie dawałem za wygraną, moja dusza przywykła bowiem do praktyki rzymskokatolickiej. Postanowiłem sobie jednak mocno, że przed biskupem nie będę nic ukrywał. Biskup jako władza kościelna nie bardzo wiedział, co z tym począć. W końcu przypomniał, że w Aparecidzie jestem po to, by zająć się budową bazyliki; moje nowe zajęcia mocno opóźniły tempo zakupu cementu, cegiel i rozmaitych narzędzi. Po tej rozmowie gorliwie modliłem się do Matki Bożej Aparecidzkiej.

Punkt zwrotny

A wierzący rozdawali swe broszurki w Guaratinguecie. Jedna mówiła o katolickim bałwochwalstwie — czczeniu obrazów, posągów itd. Aby jakoś zareagować na te zarzuty, postanowiłem odnieść się do sprawy z ambony: wyjaśnić katolicką doktrynę na ten temat i dowieść, iż kult obrazów nie jest przez Boga zabroniony. Wziąłem Biblię i rozpocząłem argumentację od 20 rozdziału Księgi Wyjścia. Wersety 4 i 5 musiałem przeskoczyć, aby nie dawać nieprzyjacielowi oręża do ręki. Schodząc z ambony, paliłem się ze wstydu. Postanowiłem, że dokonam uczciwego porównania doktryny katolickiej z Biblią. I wkrótce odkryłem ogromną przepaść, jaka je dzieli. W styczniu 1963 roku otrzymałem propozycję przenosin do Orlandii, miasta mojej młodości. Z radością udałem się tam, gdzie wciąż mieszkało wielu przyjaciół. Ale radość nie stłumiła duchowej rozterki. Rzuciłem się w wir pracy w nowym miejscu: starej parafii ze wszystkimi typowymi dla niej niedomaganiem i stareńkimi tradycjami. Mimo protestów grupy rozczarowanych starszych pań zdołałem rozkręcić imponującą działalność, gdzie — o ile to było możliwe — wszystko w jak największej mierze zgadzało się z Biblią. Oczyszcziłem kościół, wyrzuciłem bałwany. Kazania opierałem wyłącznie na Piśmie Świętym; moje codzienne audycje radiowe były tylko komentarzami do Słowa Bożego. Wiele pieśni śpiewanych na nabożeństwach miało charakter czysto biblijny.

Pomoc sługi Bożego

Działo się ze mną coś dziwnego. Nienawiść do biblijnych chrześcijan wyparł lęk przed nimi. Porozmawiałbym z jakimś pastorem, ale nie miałem odwagi. Będąc w Guaratinguecie, postanowiłem udać się do Sao Paulo z zamiarem ostatecznego rozstrzygnięcia sytuacji. Prosto z autobusu poszedłem na pocztę, nadać telegram. Przed pocztą odbywała się ewangelizacja. Na widok sutanny ewangelista postanowił sobie na mnie poużywać — i poużywał bez litości. Nie miał pojęcia, co dzieje się w mej duszy i po co przybyłem do Pauliceia. Wskutek tego incydentu tylko utwierdziłem się w przekonaniu, że pastor ewangelikalny zdołałby wyrwać mnie z tego położenia. W 1964 roku doszedłem do kresu wytrzymałości. Nie umiałem radzić sobie z sytuacją. W listopadzie specjalnie pojechałem do Santos. Wszystko sobie obmyśliłem. Ubrany po cywilnemu, udałem się na nabożeństwo do Pierwszego Kościoła Baptystycznego. I ku memu zdumieniu tekstem biblijnym, na którym oparto kazanie, był 11 rozdział Ewangelii Jana! Następnego dnia zdołałem się zobaczyć z pastorem Elisue Ximenesem. Ten sługa Boży potraktował mnie z taką delikatnością, że wkrótce uległem jego urokowi i pozbyłem się wszystkich uprzedzeń. Zaczęliśmy obmyślać moje odejście od katolicyzmu. Trudno by je nazwać odejściem formalnym, gdyż odbywało się stopniowo przez dłuższy czas.

Wiara w Zbawcę

12 maja 1965 roku zdołałem wypłatać się całkowicie z kościoła rzymskiego. 13 czerwca w Pierwszym Kościele Baptystycznym w Santos, publicznie wyznając wiarę w jedyne i doskonałego Zbawiciela Jezusa Chrystusa, zostałem ochrzczony. Bóg nie tylko wprowadził mnie do swego królestwa, ale i włożył mi do serca pragnienie głoszenia swego świętego Słowa.

Bez reszty oddałem się tej posłudze. Ostatnio Pan szczególnie wspomógł dzieło swego pokornego sługi, dając nam radość oglądania setek dusz przychodzących do Jezusa. W kazaniach zawsze zwracałem uwagę na Boży plan zbawienia, realizujący się tylko przez Jezusa Chrystusa. A ilekroć to głosiłem, czułem coraz bliższą więź z Nim samym. Nigdy nie czułem się tak szczęśliwy w duchu jak teraz. Mam w sercu doskonały pokój, bo jestem pewien swego zbawienia. Moją duszę oczyściła zbawcza krew Jezusa Chrystusa, Któremu niech będzie wszelka chwała na wieki wieków.

Anibal Pereira dos Reis, nawrócony ksiądz

Brazylijczyk Anibal Pereira Dos Reis od wielu lat zajmuje się ewangelizacją swego kraju. Jego ostatni adres to: Caixa Postal 11.755, 01 000 Sao Paulo, Brazylia. Drugie wydanie angielskiej wersji tej książki zbiega się z przygotowaniem do jej wydania po włosku, koreańsku, polsku, duńsku, hiszpańsku, chińsku i w systemie Braille'a. Pragnęlibyśmy jednak, aby ukazała się ona i dla tych, którzy jak Anibal Pereira Dos Reis władają portugalskim — mieszkańców Portugalii i Brazylii. Jeśli Czytelnicy znają kogoś, kto mógłby w tym dopomóc, prosimy o kontakt.

Łaska i prawda przyszły do mnie przez Jezusa Chrystusa

Świadectwo nawróconego księdza dr. Arnalda Uchoy Cavalcantego

Oto wierne i prawdziwe świadectwo byłego księdza i nauczyciela: Dla chwały Jezusa Chrystusa zaświadczam osobiście o swoim nawróceniu z rzymskiego katolicyzmu do kościoła wiernego Ewangelii. Zajęło to 40 lat, i okres ten postaram się tu streścić. Do seminarium poszedłem z własnej woli i z zapalem, pragnąc służyć Bogu jako kapłan. Rodzina nie posiadała dość środków, ażeby pokryć koszty mojej nauki, na szczęście znalazł się życzliwy znajomy, który zaoferował pomoc. Aby osiągnąć upragniony cel, uczyłem się 12 lat. Studiowałem filozofię, teologię, języki. Ze szczególną starannością przykładałem się do poznawania filozofii oraz Pisma Świętego. 15 sierpnia 1945 roku przyjąłem święcenia kapłańskie w katedrze metropolitalnej w Maceio. Otrzymałem je z rąk arcybiskupa, mogę jednak szczerze rzec, że wcale nie tego najbardziej potrzebowałem. Potrzebowałem bowiem łaski z wysoka, daru Bożego, który pozwalałby mi głosić Słowo Boże z mocą! Byłem jak Tomasz, który by uwierzyć w moc zmartwychwstałego Pana musiał dotknąć żywego ciała Mistrza. Tak i ja nie mogłem uwierzyć Słowu, które czytałem i badałem. Potrzebowałem szczególnego objawienia od Pana Jezusa.

Kapłan — lecz niepewny zbawienia

Dziewięć lat — od roku 1945 do 1954 — pełniłem posługę kapłańską w brazylijskich miastach Maceió i Recife, udzielając „sakramentów” i nauczając o Panu, lecz wciąż bez pokoju wewnętrznego, bez przekonania, bez pewności zbawienia, w które nie potrafiłem uwierzyć. Serce pragnęło czegoś większego, lepszego. Pracowałem też wtedy jako wikariusz archidiecezji, wikariusz generalny duszpasterstwa ludzi pracy, wykładowca historii kościoła i greki klasycznej i biblijnej, wykładowca Kolegium Guidda de Foutgallanda w Kolegium Sao Jose oraz wykładowca filozofii w Kolegium Estadual de Alagoas. Muszę zaznaczyć, że ani u ołtarzy, ani na ambonach, ani na uniwersyteckich katedrach nie mogłem znaleźć tego, czego szukałem. W 1954 roku postanowiłem zrzucić sutannę i ruszyć na poszukiwanie pokoju duchowego, pewności zbawienia duszy i wiary w ofiarę Chrystusa i poselstwo Biblii. Opatrzność Boża jest przecudowna, więc przygotowała mnie do wejścia w dolinę błogosławieństw, pokoju i zbawienia. Mój Bóg pokazał, że jestem dla Niego wart więcej niż ptaki niebieskie i lilie polne.

Jak opuściłem parafię i zrzuciłem sutannę

Pracowałem wtedy jako kapelan w pewnej fabryce w Maceió. Zaplanowawszy sobie wcześniej wszystko, co doradzało sumienie, poleciałem samolotem do Recife. Tam kupiłem nieco ubrań, które miały zastąpić sutannę; chciałem zadbać o to w pierwszym rzędzie, jeszcze przed szukaniem odpowiedniego hotelu. Co zrobiłem potem? Złapałem taksówkę, powiedziałem kierowcy, dokąd jedziemy, i uprzedziłem, że po drodze będę się musiał przebrać. Gdy wysiadłem z taksówki, byłem już innym — i wolnym człowiekiem. Znalazłem hotel, w którym spędziłem noc. Nazajutrz zbudziłem się wcześnie. Ledwie wyszedłem na miasto, kątem oka spostrzegłem znajomego, który był przełożonym miejscowego klasztoru Karmelitów Bosych. Dyskretnie zszedłem mu z drogi. Od razu pojechałem do miasta Natal,

a stamtąd do kolejnych miejsc. Nie mogłem doczekać się chwili, kiedy znajdę tę upragnioną lepszą drogę. Niestety, kępowały mnie uprzedzenia i niechęć do chrześcijan ewangelikalnych, których nazywałem protestantami; byłem jak Szawel z Tarsu: religijny, ale palący nienawiścią do biblijnych chrześcijan. Na pewno nie byłem osobą nawróconą do Chrystusa i w odróżnieniu od Pawła sporo czasu miało upłynąć, by nawrócenie to nastąpiło. Trzy lata później — 10 maja 1958 roku — ożeniłem się, a w rok potem urodził się nasz pierwszy syn. Do roku 1960 spenetrowałem najrozmaitsze brazylijskie grupy okultystyczne i spirytystyczne, jak Xango, Umbanda, Quimbanda i inne, zawsze trzymając się jak najdalej od tak zwanych kościołów ewangelikalnych. Wciąż czułem znajomą pustkę w duszy i palące pragnienie zbawienia i pokoju. Opatrzność i łaska Boża

W 1960 roku pojechałem do Belo Horizonte, a stamtąd do Aguaí. We wrześniu wsiadłem na statek do Campinas, licząc, że tam znajdę lepszą pracę. Przemierzając ulice centrum tego miasta natknąłem się na budynek „Kościoła Nazarejczyka”. Stałem na progu, zerkając do środka, gdy wtem od tyłu zaszedł mnie pastor. Było samo południe. Pastor wydawał się na mnie czekać; dziś rozumiem, że kierowała nim Opatrzność Boża. Spotkanie okazało się bezcennym błogosławieństwem dla mojej duszy i sprawiło, że postanowiłem rozpocząć nowy, zaskakujący rozdział w swoim życiu. Sprowadziwszy do Campinas rodzinę, przekonałem się, jak bardzo prawdziwa jest wiara kościoła ewangelikalnego. Słuchałem kazań pastora Mostellera, co skończyło się tym, że 18 września 1960 roku o godzinie 21.00 publicznie wyznałem wiarę w prawdziwość Ewangelii Chrystusowej. W dniu tym odczułem z całą pewnością, że rozpoczynam prawdziwe życie chrześcijańskie, że mam w sobie Ducha Bożego, a w duszy pokój Chrystusa. Dzisiaj chwale Boga, błogosławię Jezusa, głoszę poselstwo Ewangelii i — choć pracuję ciężko — odczuwam radość, pokój i szczęście w służbie memu Zbawcy.

„Odrodzeni będąc nie z nasienia skazitelnego, ale z nieskazitelnego przez słowo Boże żywe i trwające na wieki” (1P 1,23).

Arnaldo Uchoa Cavalcante, nawrócony ksiądz

Arnaldo Uchoa Cavalcante został pastorem w kościele ewangelikalnym.

Moje spotkanie z Bogiem

Świadectwo nawróconego księdza Guida Scalziego

Nasz rodzinny dom w Mesoraca stał w niewielkiej osadzie zwanej Filippa, położonej w sąsiedztwie klasztoru Franciszkanów, usytuowanego na szczycie malowniczego wzgórza. Tam właśnie chadzałem na mszę.

Uniesienie i klasztor

Jednego poranka wzruszyłem się szczególnie głęboko na dźwięk kościelnych organów — budziła się akurat wiosna, a ja czułem powiew czegoś, co nowe i nieznanne. Zrodziła się we mnie niezwykła tęsknota, uczucie wydające się sięgać głębin duszy. Pomyślałem, jak cudnie byłoby spędzić resztę życia w klasztorze, w jedności z Bogiem i przyrodą. Gdy matka wracała z kościoła, wyszedłem jej naprzeciw wołając: „Mamo! Jak by to było dobrze, gdybym został księdzem!” Była wniebowzięta- i to mało powiedziane! Jej szczęście rośnie w następnych dniach, gdy upewniałem ją, że coraz bardziej utwierdzam się w tym, co uznałem za Boże powołanie. Przekonałem mamę, żeby poszła ze mną do klasztoru porozmawiać z ojcem przełożonym. Ojciec przełożony wydał się usatysfakcjonowany powagą moich zamiarów i oznajmił matce, że któregoś dnia na pewno zostanę kapłanem. W końcu dyrektor seminarium franciszkańskiego, zwanego „Uczelnią Serafińską”, przyjął mnie do swojej szkoły. 28 września 1928 roku rozstałem się z rodziną i w towarzystwie ojca Carla pojechałem do seminarium, do prowincji Cosenza.

Lód zamiast mydła, religijność miast miłości

Podczas podróży myśli wędrowały ku najbliższym, których opuściłem. Później po kryjomu często ocierałem łzy płynące mi po policzkach. Pierwsze dni w seminarium minęły w pośpiechu i zamieszaniu. Przybywali nowi i zrobił się bałagan, bo nie każdy chłopiec umiał prędko przystosować się do rygorów nowego życia, tak różnego od dotychczasowej swobody. Gdy nadeszła zima, dokuczały mi odmrożenia, grypa i inne dolegliwości. Szkoła nie była ogrzewana. Z samego rana na dźwięk dzwonka przemierzaliśmy otwarty dziedziniec, by obmyć twarze przy studni, bo bieżącej wody nie było. Woda zamarzała w miskach, tak że trzeba było rozbijać lód; lodu używaliśmy zresztą jako mydła. Bywało, że dopiero po dwu, trzech dniach odważaliśmy się na kolejną toaletę twarzy. Ciężkie to było życie. Zimno działało zniechęcająco, mój zapal stygł z dnia na dzień. Usiłowałem przezwyciężać te trudności, a jednak coraz bardziej zamykałem się w sobie. Ze zdumieniem zauważałem, że mimowolnie uderzam w płacz. W takich chwilach nikt nie umiał mnie pocieszyć. Jednego razu ojciec Carlo, zdenerwowany moimi „fochami”, podszedł i zaczął mnie bić dłońmi, potem pięściami, a w końcu kopać. Muszę przyznać, że bezlitosne ciosy osiągnęły zamierzony cel: Postanowiłem, że przebrnę przez to seminaryjne życie, nawet jeśli miało stać się jeszcze okropniejsze.

„Brat Szczęśliwy”

Szybko nauczyłem się, że nie mogę ufać nikomu i że nie istnieje nikt taki jak przyjaciel. Wydawało się, że szpieg stoi za każdym rogami. Z pierwszych czterech lat seminarium

nie pozostało mi wiele wspomnień. We wrześniu 1932 roku wyjechałem do klasztoru, gdzie spędziłem rok w nowicjacie. Według reguły nowicjatu Zakonu Braci Mniejszych św. Franciszka w dniu wstąpienia do zakonu otrzymuje się nowe imię. Od tamtej pory znano mnie zatem jako „brata Felice” (czyli „Szczęśliwego”). Do dziś pamiętam straszliwą nudę męczącą nowicjuszy. Wynikała z wymuszonego próżnowania spowodowanego sztucznie wytworzoną samotnością. Mimo że nowicjusze to ludzie mający wzrastać w poznaniu dróg Bożych, to w rzeczywistości patrzą na siebie spode łba, zazdrośni o drobnostki, gotowi do kłótni i obelg.

Bolesne rozczarowanie

Rok w nowicjacie zakończył się 4 października 1933 roku obrzędem ślubów zwykłych. 7 lipca 1940 roku przyjąłem święcenia kapłańskie. Gratulacje złożył mi biskup, przełożeni i obecni przy ceremonii księża. Byłem szczęśliwy i nad wyraz radosny. W końcu przecież zostałem księdzem. Jednakże podczas pierwszej odprawianej przez siebie mszy czułem się jak oszust, jak aktor w roli, do której mnie przypisano. Nie było we mnie radości ani zadowolenia. Gdzież podziła się ta obecność Boża, którą — jak mi obiecywano — miałem się namacalnie rozkoszować każdego dnia? Była to czcza formalność, tylko pustka. Po kilku latach w klasztorze św. Franciszka z Asyżu, gdzie uczyłem włoskiego, historii, geografii i religii na poziomie gimnazjum, przeniósłem się do klasztoru w Bisignane (Cosenza), a potem do Reggio Calabria. Tam właśnie pierwszy raz spotkałem chrześcijan ewangelikalnych.

Źródło wody żywej

Gdy 15 sierpnia 1945 roku mijalem Ewangelikalny Kościół Baptistyczny w Reggio Calabria, naszała mnie chęć spotkania się z pastorem. Jednego więc dnia zdobyłem się na odwagę i napisałem do niego list z prośbą o spotkanie. „Proszę bardzo, z przyjemnością zobaczę się z księdzem w dogodnym terminie” — odpowiedział Salvatore Tortorelli. Podczas rozmowy zachęcił mnie do czytania Biblii. „Proszę czytać z otwartym sercem i bez odgórnych uprzedzeń” — poradził. Po powrocie do klasztoru zabrałem się do lektury włoskiego przekładu Pisma Świętego. Dla mojego ducha i duszy było to jak źródło wody dla spragnionego, przejrzenie dla ślepeca. Każda stronica przynosiła niespodzianki i nowe światło, jak gdyby ktoś otworzył okna w ponurym więzieniu. „Jak to możliwe?” — mówiłem sam do siebie. — „Jak to możliwe, że przeżyłem tyle lat nic nie wiedząc o tych wspaniałościach?” Pewnego dnia zwierzyłem się ze swych przeżyć pastorowi Tortorellemu. „To Pan cię wzywa, abyś zerwał z kłamstwem. Zostaw wszystko i nawróć się na Ewangelię Jezusa Chrystusa”. Przed opuszczeniem klasztoru powstrzymywały mnie jednak dwie sprawy. Po pierwsze, bałem się piętna osoby wzgardzonej, księdza pozbawionego godności kapłańskiej. Po drugie, lękałem się wejścia w nieznaną sferę bez żadnego zabezpieczenia, pracy. To ostatnie było szczególnie ważne, gdyż artykuł 5 konkordatu zawartego przez państwo włoskie z Watykanem zabraniał zatrudniania byłych księży. W takiej sytuacji nie potrafiłem się zdecydować na opuszczenie zakonu.

„Jezus chce cię zbawić”

Niebawem przeniesiono mnie do klasztoru w Staletti. Idąc raz ulicą, usłyszałem, że ktoś mnie woła. Odwróciłem się i ujrzałem, że jakiś chłop daje mi znaki.

— Chciałem przekazać pozdrowienia od pastora baptystów z Reggio Calabria. Byłem tam w zeszłym tygodniu, i powiedział mi, że jest u nas teraz ksiądz Guido Scalzi, który sympatyzuje z chrześcijaństwem ewangelikalnym. Wyjaśnił, że należy do wspólnoty w pobliskiej Gasperinie, sześć kilometrów od Staletti, a jego pastor Domenico Fulginiti chciałby się ze mną spotkać.

Odparłem, że z radością przyjdę. Spotkanie nastąpiło po paru dniach. Wieczorem poszedłem pod wskazany adres. Dom był niewielki i skromnie urządzone, typowe domostwo kalabryjskich wieśniaków: stół, parę krzeseł, piec, przy nim blachy piekarskie i dwa sita do przesiewania mąki na chleb; na ścianie wisały garnki, patelnie. Przez otwarte drzwi dojrzałem drugi pokój, służący za sypialnię. Pastor nie zrobił na mnie dobrego wrażenia. Nosił

skromniutki garnitur bez krawata; widać było, że to zwykły chłop. „To ci dopiero pastor” — myślałem sobie, gdy się przedstawiał. Myślałem, że lada chwila wyjmie swoją Biblię i zacznie mnie nawracać, ale on patrząc na mnie z wielką życzliwością rzekł:

— Wiesz już, co trzeba, o Słowie Bożym. Teraz trzeba ci tylko zbawienia. Jezus chce cię zbawić. Umarł na krzyżu, by zbawić twoją duszę.

Dalej mówił coś o „nowym narodzeniu”, którego dostępuje się przez wiarę w zbawczą krew Jezusa. Opowiedział też historię Nikodema, który przyszedł zobaczyć się z Jezusem nocą. I powtórzył pod moim adresem słowa Mistrza:

— Ty jesteś nauczycielem Izraela, a tego nie wiesz? „Nowe narodzenie. . . Gdybym tylko mógł się narodzić na nowo” — myślałem. — „Gdyby tylko zatrzeć bolesną przeszłość, wszystkie błędy, złudzenia, grzechy, cały brud i błoto, w jakim od lat tkwi moja dusza. . . Gdybym tylko mógł zacząć nowe życie, czyste w oczach Boga i ludzi. Gdybym tylko mógł się na nowo narodzić. . .”

Modlitwa wiary

— Musisz się na nowo narodzić — powtórzył ciepło wieśniak.

Nie wiedziałem, co odrzec, ale cieszyłem się, że zgadzam się z nim we wszystkim, co mówi z takim wielkim przekonaniem. Mówił prosto; w jego słowach nie było wyższości ani też śladu profesorskiej swady. Po chwili wstał i powiedział:

— Jeśli się zgodzisz, moglibyśmy się pomodlić, zanim się rozejdziemy.

— Oczywiście — odparłem.

Ukląkł wznosząc ręce ku niebu i zamknięty oczy pogrążył się w modlitwie. Moje oczy były szeroko otwarte. Zaczął dziękować Bogu za to, że mogłem usłyszeć Ewangelię zbawienia. Prosił Boga, żeby oczyścił moje serce z wszelkiego grzechu i obmył mą duszę bezcenną krwią Jezusa, swego Syna Jednorodzonego, który umarł na krzyżu, aby zapłacić za me odkupienie. Modlił się jakiś czas. Klęczałem, zakłopotany, z pewnym dystansem słuchając go i uśmiechając się pod nosem, gdy wspomniał o mych grzechach. Jakie mógł mieć o tym pojęcie? Patrzyłem: miał wciąż zamknięte oczy i wznosił ku górze ręce w błagalnym geście. Cała jego sylwetka świadczyła o żarliwości modlitwy. Była to zaprawdę modlitwa wiary; jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś tak się modlił. A przecież właśnie to musiała być najautentyczniejsza modlitwa, w pełni zgodna ze słowami Jezusa, który przestrzegał przed mechanicznym wielomówstwem, a zachęcał do modlitw o potrzeby chwili. Cóż było w tej chwili potrzebniejsze niż zbawienie mojej duszy?

Życie wieczne w Jego Synu

Zamknąłem oczy i wzrokiem duszy ujrzałem całe swe życie. Wady, pychę, pożądlivość, obłudę, kłamstwa i wiele innych spraw; ujrzałem na sobie każdy możliwy grzech, byłem jak trędowaty pokryty ohydą przypadłością. Wystraszyłem się stanu swej duszy. Załamany, rozmyślałem, jak wyrwać się z tego straszego położenia, ze wszystkich moich grzechów. I przypomniały mi się słowa, które przed chwilą padły w modlitwie:

„Krew Jezusa oczyszcza nas z wszelkiego grzechu”.

Pojąłem, co to znaczy: być naprawdę wolnym. Oddałem się bez reszty w ręce Jezusa, Zbawcy, rozpaczliwie wyczekując Jego pomocy: „Panie, zmiłuj się nade mną, grzesznym. Zbaw moją duszę”. Doznawałem wielkiej rozterki. Widziałem swe dotychczasowe życie, przyjemności, zaszczyty, jakie ono daje; widziałem krewnych, przyjaciół i wszystkich, którzy mnie cenią. A z drugiej strony czekało życie nieznanne i pełne trudu i wyrzeczeń. Lecz widziałem tam Jezusa, który wyczekuje mnie z otwartymi ramionami, gotów mnie przyjąć, dać nowe serce, nową duszę i nowe życie, pełne Jego łaski, pokoju i miłości. Pismo mówi:

„A toć jest świadectwo, iż nam Bóg dał żywot wieczny; a ten żywot jest w Synu jego” (1J 5,11).

Zawierzyć Jezusowi

Poczułem, jak pokój napelnia mi serce. Pierwszy raz w życiu odczułem obecność Jezusa. Był tam z nami, w tej chłopskiej izbie. Uznał moją skruchę, wziął mnie do Siebie i przemówił do mnie. Jego głos brzmiał w mych uszach jak muzyka. Ukoił niepokój serca, a z umysłu znikła ciemność. Jego obecność była tak namacalna, iż zdawało mi się, że gdybym wyciągnął rękę, dotknąłbym Jego szaty. To był On. Mój Pan i mój Mistrz. Jezus. Brat Fulginiti zrozumiał, że dzieje się ze mną coś ważnego i że Pan odpowiedział na jego modlitwę. Objął mnie i rzekł:

— Pan dotknął twego serca. Uwierz tylko w Niego i nie odkładaj tego na później. Kto wie, czy otrzymasz następną okazję, by przyjąć Jego zaproszenie? Nieprzyjaciół zawsze będzie się starał powstrzymać cię od wejścia na drogę zbawienia.

— Bracie, postanowiłem służyć Panu na śmierć i życie — odparłem z oczyma pełnymi łez.

„Ale Chrystus odkupił nas z przeklęstwa zakonu, stawszy się za nas przeklęstwem, (albowiem napisane: Przeklęty każdy, który wisi na drzewie)” (Ga 3,13).

Od czasu nawrócenia i odejścia od katolicyzmu miałem zaszczyt pracować jako pastor-misjonarz, ewangelista, a także założyciel i dyrektor radia „La Voce Della Speranza” (Głos Nadziei), nadającego za pośrednictwem wielu stacji w Stanach Zjednoczonych i Europie.

Guido Scalzi, nawrócony ksiądz

Włoch Guido Scalzi jest obecnie w bardzo podeszłym wieku, a może nawet już u Pana. Przez wiele lat pracował jako ewangelista, nauczyciel oraz twórca i szef programu radiowego „Głos Nadziei”.

50 lat w kościele rzymskim

Świadectwo nawróconego księdza Charlesa Chiniquy

Urodziłem się i zostałem ochrzczony jako katolik w 1803 roku; w 1833 roku w Kanadzie przyjąłem święcenia kapłańskie. Przez 25 lat byłem kapłanem i — powiem szczerze — z serca miłowałem kościół rzymskokatolicki, on zaś miłował mnie. Byłbym gotów dać za kościół ostatnią kroplę krwi i po tysiącokroć oddałbym życie, ażeby tylko szerzyć jego władzę i chwałę w Ameryce i na całym świecie. Moją wielką ambicją było nawrócenie protestantów i doprowadzenie ich na łono kościoła rzymskiego, gdyż — jak mi mówiono i jak sam głosiłem — poza nim nie było zbawienia. A nie mogłem pogodzić się z myślą, że tak wielkie rzesze protestantów czeka potępienie.

Zawsze miłowałem Biblię

W kościele rzymskim Biblia to księga zamknięta — lecz nie była zamknięta dla mnie. Odkryłem jej wartość już jako mały chłopiec, a gdy zostałem księdzem, czytywałem ją, aby stać się silnym człowiekiem i umieć bronić sprawy kościoła. Moim naczelnym celem życiowym stało się mieszanie szyków protestanckim pastorom w Ameryce. Nabyłem egzemplarz pism „ojców kościoła” i studiowałem go dzień i noc wraz z Pismem świętym, by przygotować się na upragnioną wielką bitwę z protestantami. Podjąłem się tego studium, aby umocnić swą wiarę w kościół rzymskokatolicki.

Głos potężny jak grzmot

Lecz — niech Bogu będą dzięki! — ilekroć czytałem Biblię, tajemniczy głos mówił mi: „Czyż nie widzisz, że będąc w kościele rzymskim nie podążasz za naukami Słowa Bożego, tylko za tradycją ludzi?” Słyszając ten głos podczas cichych godzin nocy, szlochałem i płakałem, ale on z mocą grzmotu powtarzał swoje. Chciałem żyć i umrzeć w świętym kościele rzymskim, toteż błagałem Boga, aby głos ten uciszył — on jednak tym bardziej potęgował. Gdy czytałem Słowo Boże, Bóg próbował kruszyć me kajdany, ale nie pozwalałem Mu na to; przybywał do mnie ze światłością zbawienia, a ja nie chciałem jej przyjąć. Nie żywię nieprzyjaznych uczuć wobec księży katolickich, jak ktoś być może przypuszcza. Czasem płaczę nad ich losem, gdyż wiem, że biedni ci ludzie jak niegdyś ja walczą z samym Panem i są wielce pożałowania godni, tak jak ongiś ja. Gdy opiszę Wam jedno z takich zmagañ, pojmiecie, co to znaczy być księdzem katolickim, i będziecie się modlić za księży.

Kolonia

W 1851 roku udałem się do Illinois, aby założyć tam kolonię francuską. Wraz ze mną podróżowało około 75 tysięcy francuskojęzycznych Kanadyjczyków. Osiedliliśmy się na przepięknych preriach Illinois, w imieniu kościoła rzymskiego biorąc je w posiadanie. Rozpocząwszy wielkie dzieło kolonizacji stałem się z czasem człowiekiem bardzo zamożnym. Kupiłem wtedy mnóstwo Biblii i rozdałem po egzemplarzu prawie każdej rodzinie. Biskup miał mi to mocno za złe, ale nic sobie z tego nie robiłem. Nigdy nawet nie zaświtała mi myśl o opuszczeniu kościoła katolickiego, pragnąłem natomiast prowadzić moich wiernych drogą, którą wyznaczył dla nich Chrystus. Mniej więcej w tym czasie biskup Chicago uczynił coś, nad

czym nasza francuska społeczność nie mogła przejść do porządku dziennego. Była to zbrodnia doprawdy wielka, napisałem więc do papieża i doprowadziłem do usunięcia biskupa. Nowy biskup przysłał na wizytację swego kanclerza. Ten powiedział mi:

— Bardzo cieszy nas, że doprowadził ksiądz do usunięcia poprzedniego biskupa, gdyż był to człowiek niegodny. Jednakże w wielu miejscach podejrzewa się, iż ksiądz nie jest już w kościele rzymskim. Podejrzewają księdza o herezję i protestantyzm. Czy zechciałby ksiądz dać oświadczenie, którym moglibyśmy dowieść światu, że zarówno ksiądz jak i księdza parafianie jesteście nadal lojalnymi katolikami?

— Bardzo chętnie — odparłem.

On zaś kontynuował:

— Pragnieniem nowego biskupa, którego mianował papież, jest posiadanie takiego dokumentu z podpisem księdza.

Poddany według Słowa Bożego

Wziąłem zatem kartkę papieru. Wydało mi się to idealną wręcz sposobnością, aby raz na zawsze uciszyć głos przemawiający do mnie dzień i noc i kruszący mą wiarę. W ten oto sposób chciałem przekonać sam siebie, że w kościele rzymskokatolickim naprawdę podążamy za Słowem Bożym, a nie tylko za „tradycją ludzką”. I napisałem takie słowa: „Eminencjo! My, francuscy Kanadyjczycy z kolonii Illinois, pragniemy żyć w świętym Kościele Powszechnym Apostolskim i Rzymskim, poza którym nie ma zbawienia, i aby dowieść Waszej Eminencji tego zamiaru, obiecujemy posłuszeństwo Twej władzy według Słowa Bożego, jak znajdujemy je w Ewangelii Chrystusowej”. Podpisałem oświadczenie, przekazałem je parafianom, a oni również złożyli na nim podpisy. Oddałem dokument kanclerzowi i spytałem, co o nim sądzi.

— Właśnie na tym nam zależało — odparł.

Zapewnił, że biskup przyjmie oświadczenie i że wszystko będzie dobrze. Wyraz posłuszeństwa spodobał się też biskupowi, tak iż ze łzami radości w oczach powiedział mi:

— Cieszę się, że uznaliście swoje posłuszeństwo, gdyż obawialiśmy się, że ksiądz i księdza parafianie przejdą na protestantyzm. Drodzy Przyjaciele, aby ukazać Wam ogrom mej ślepoty, muszę ze wstydem wyznać, że i mnie ucieszyło to pojednanie z biskupem-człowiekiem — pomimo iż nie byłem wcale pojednany z Bogiem.

Biskup zaopatrzył mnie w „list pokoju”, w którym ogłaszał, że jestem jednym z jego najlepszych kapłanów. Wróciłem do swoich z mocnym postanowieniem, aby tam już pozostać. Lecz Bóg w swym miłosierdziu wejrzał na mnie z zamiarem zburzenia tego spokoju, który był wprawdzie pokojem z ludźmi, lecz nie był pokojem z Bogiem. Po moim odjeździe biskup udał się do biura telegraficznego i przekazał informację o deklaracji posłuszeństwa innym biskupom, prosząc ich zarazem o opinię. Jednomyślnie odparli mu jeszcze tego samego dnia: „Czy nie widzi wasza eminencja, że Chiniquy to maskujący się protestant i że nawet z waszej eminencji robi protestanta? Bo to nie waszej eminencji ślubuje posłuszeństwo, ale Słowu Bożemu. Jeśli wasza eminencja uzna taki akt podporządkowania, to znaczy że wasza eminencja sam jest protestantem”.

Biblijne poddanie — tak, uwielbienie — nie

Dziesięć dni później otrzymałem wezwanie od biskupa. Kiedy udałem się do niego, zapytał, czy mam przy sobie ów „list pokoju”, który mi onegdaj wręczył. Gdy wyjąłem list, a on sprawdził jego autentyczność, podbiegł co prędzej do pieca i rzucił go w płomień. Oslupiałem. Podbiegłem do ognia, by ratować list, lecz było za późno: spłonął. Wówczas zwróciłem się do biskupa słowami:

— Jakże można wyrywać mi z dłoni dokument, który jest moją własnością, i niszczyć go bez mojej zgody?

— Proszę księdza — odparł — jestem księdza przełożonym i nie mam obowiązku się tłumaczyć.

— To prawda, że wasza eminencja jest moim przełożonym, a ja jestem tylko biednym księdzem. Ale poza tym jest jeszcze wielki Bóg, który stoi tak nad waszą eminencją jak i nade mną. Ten Bóg dał mi prawa, z których nigdy nie zrezygnuję po to tylko, żeby spodobać się człowiekowi. Przed obliczem Bożym składam skargę na występki waszej eminencji.

- No, no — powiedział. — Przyszedł tu ksiądz mnie strofować?
- Nie, wasza eminencjo — odparłem. — Chciałbym natomiast wiedzieć, czy wezwano mnie tu po to, aby mi urągać?
- Proszę księdza — odpowiedział.
- Wezwałem tu księdza, bo dał mi ksiądz dokument, który — jak ksiądz doskonale wie — nie jest wcale deklaracją posłuszeństwa.
- Zapytałem:
- A jak miałyby wyglądać taka deklaracja? Odpowiedział:
- Przede wszystkim trzeba usunąć te kilka słów: „według Słowa Bożego, jak znajdujemy je w Ewangelii Chrystusowej”. Musi ksiądz obiecać bezwarunkowe posłuszeństwo mojej władzy. Że uczyni ksiądz wszystko, co polecę. Wówczas podniosłem się i powiedziałem:
- Wasza eminencjo, to, czego eminencja ode mnie oczekuje, to akt nie posłuszeństwa, ale uwielbienia, a tego muszę waszej eminencji odmówić.
- A zatem — odparł — skoro nie może mi ksiądz dać deklaracji posłuszeństwa, nie może ksiądz pozostać kapłanem rzymskokatolickim.
- Wzniosłem ręce do Boga i powiedziałem:
- Niech Bóg Wszechmocny będzie błogosławiony na wieki.
- Chwyciłem kapelusz i opuściłem siedzibę biskupa.

Na kolanach przed Bogiem

Udałem się do hotelu, gdzie wynająłem pokój. Wszedłem i zamknąłem drzwi na klucz. Upadłem na kolana, aby przed obliczem Bożym rozważyć, co właściwie uczyniłem. Po raz pierwszy pojąłem, że kościół rzymski nie może być kościołem Chrystusowym. Dotarła do mnie ta straszna prawda, i to wcale nie z ust protestantów, wrogów kościoła — ale z ust samego kościoła rzymskiego! Widziałem, że nie mogę w tym kościele pozostać, jeśli pisemnie, formalnie nie wyrzeknę się Słowa Bożego. Pojąłem, że uczyniłem słusznie. Lecz, Przyjaciele, jakaż ciemność ogarnęła mnie wtedy — i z ciemności tej wołałem: „Boże mój, Boże, dlaczego mą duszę ogarnęła taka ciemność?” Płacząc wołałem do Boga, aby wskazał mi drogę, lecz przez jakiś czas nie słyszałem odpowiedzi. Porzuciłem kościół rzymski, gotów zrezygnować z zaszczytnej pozycji, honorów, z moich braci i sióstr, ze wszystkiego, co było mi drogie. Miałem się przekonać, że papież, biskupi i księża będą mnie atakować zarówno w prasie jak i z ambony. Miałem się przekonać, że będą chcieli odebrać mi ludzki szacunek i dobre imię, a może i życie. Między kościołem rzymskim a mną miała się zacząć wojna na śmierć i życie; rozglądałem się wokół, czy nie znajdę życzliwej duszy, która by mnie wsparła, lecz nie pozostał mi ani jeden przyjaciel. Wiedziałem, że nawet najbliżsi będą musieli mnie przekląć i traktować jak zhańbionego zdrajcę. Miałem się przekonać, że odrzucą mnie ci, o których się dotąd troszczyłem, że wyklnie mnie mój ukochany kraj, gdzie żyło tylu mych przyjaciół, że stanę się dla świata przedmiotem odrazy. Usiłowałem sobie przypomnieć, czy nie mam jakichś znajomych wśród protestantów, ale poświęciwszy całe życie wygłaszaniu i wypisywaniu krytyk pod ich adresem, nie mogłem liczyć na przyjaciela w ich gronie. Pojąłem, że bitwę muszę stoczyć całkiem sam. Było to zbyt wiele na moje barki, i gdyby Bóg nie uczynił cudu w tej czarnej godzinie, nie wyszedłbym cało. Nie miałem wręcz sił, żeby wyjść z hotelowego pokoju w zimny świat, gdzie nikt nie poda mi ręki, nikt się nie uśmiechnie, gdzie ujrzę tylko tych, którzy uznali mnie za zdrajcę.

Radość zbawienia

Wydawało się, że Bóg jest hen daleko — tymczasem był On tuż, tuż. Nagle w mojej głowie pojawiła się myśl: „Masz przecież Ewangelię: czytaj, a odnajdziesz światłość”. Upadłem na kolana i drżącą dłonią otworzyłem Księgę. Właściwie otworzyłem ją nie ja, ale Bóg, gdyż mój wzrok padł wówczas na fragment z Pierwszego do Koryntian 7,23:

Za [wielką] bowiem cenę zostaliście nabyci. Nie bądźcie więc niewolnikami ludzi

Z tymi słowami ogarnęła mnie światłość, i pojąłem wielką tajemnicę zbawienia, jeśli człowiek jest w ogóle zdolny ją pojąć. Powiedziałem do siebie: „Jezus mnie nabył, askoro mnie nabył, to mnie zbawił, jestem zatem zbawiony. Jezus jest moim Bogiem. Wszystkie dzieła Boże są doskonałe. Jestem zatem zbawiony w sposób doskonały — Jezus nie zbawiałby połowicznie. Jestem zbawiony krwią Baranka, jestem zbawiony przez śmierć Jezusa”. Słowa te brzmiały jak najśłodsza muzyka. Poczulem niewysłowioną radość, jakby trysnęły we mnie źródła życia, jakby na duszę mą padły potoki nowej światłości. Rzekłem sobie: „Nie jestem więc zbawiony tak, jak myślałem, przez wstawiennictwo Maryi. Nie jestem zbawiony przez czyściec, odpusty, spowiedzi, pokuty. Jestem zbawiony tylko przez Jezusa”. Wszystkie fałszywe nauki Rzymu znikły z moich myśli, jak wieża, która rozpada się po zniszczeniu jej fundamentów.

Ukazać innym radość zbawienia

Poczulem taką radość i pokój, iż aniołowie Boży nie mogli być szczęśliwsi niż ja. Moją biedną grzeszną duszę obmywała krew Baranka. Radośnie zawołałem na cały głos: „Drogi Jezu, czuję to, ja to wiem: Ty mnie zbawiłeś! Ty jesteś Darem Bożym, przyjmuję Cię. Weź moje serce, niech na zawsze pozostanie Twoim. O, Darze Boży, pozostań ze mną, aby mnie oczyścić i umocnić, pozostań ze mną i bądź moją drogą, moim światłem i moim życiem. Spraw, abym trwał w Tobie teraz i na wieki. Lecz, drogi Jezu, zbaw nie tylko mnie; zbaw moich wiernych, spraw, abym i im pokazał ten Dar. Aby przyjęli Ciebie i poculi tę pełnię i szczęśliwość, które czuję ja”. Tak oto znalazłem światłość i wielką tajemnicę naszego zbawienia, tak prostą i piękną, tak delikatną i potężną. Otwarłem duszę, przyjąłem dar. Z darem tym byłem bogaty. Zbawienie, Przyjaciele, to dar; można go tylko przyjąć, umiłować i umiłować jego Dawcę. Przycisnąłem Ewangelię do ust, ślubując, że nigdy nie będę głosił nic innego poza Jezusem.

„Chciecie iść ze mną przez Morze Czerwone?”

W sobotę rano przyjechałem do kolonii. Wszyscy, bardzo poruszeni, pytali, co się stało. Gdy zgromadzili się w kościele, przedstawiłem im Dar. Pokazałem im to, co Bóg pokazał mnie: dar w osobie Jego Syna Jezusa, a przez Niego odpuszczenie grzechów i dar życia wiecznego. I wtedy, nie wiedząc, czy zechcą ów dar przyjąć, czy nie, powiedziałem:

— Powiniennem was teraz opuścić, przyjaciele. Na zawsze porzuciłem kościół rzymskokatolicki. Przyjąłem dar Chrystusa, ale za bardzo was szanuję, by narzucać wam swoje zdanie. Jeśli uważacie, że zrobicie lepiej podążając za papieżem niż za Chrystusem, ku zbawieniu wzywając raczej imienia Maryi niż imienia Jezusa, to dajcie mi o tym znać powstając z miejsc.

Ku memu najwyższemu zdumieniu wszyscy licznie zebrani pozostali na miejscach, a budynki kościoła wypełniły odgłosy płaczu i szlochu. Spodziewałem się, że część osób poprosi, bym sobie poszedł, ale nikt tego nie uczynił. Patrząc na nich, zacząłem dostrzegać w nich zmianę, cudną zmianę, której nie sposób wytłumaczyć zwyczajnie. Z radością zawołałem więc:

— Potężny Bóg, który wczoraj zbawił mnie, może dziś zbawić i was. Razem ze mną możecie przejść Morze Czerwone i wejść do Ziemi Obiecanej. Możecie ze mną przyjąć ten wielki dar, a dzięki niemu zaznać szczęścia i pełni. Zapytam was inaczej: Jeśli sądzicie, że uczynicie lepiej udając się za Chrystusem niż za papieżem, wzywając imienia samego Jezusa, a nie Maryi, i ufając krwi Jezusa przelanej na Krzyżu za wasze grzechy, nie polegając na mitycznym rzymskim czyścicu, gdzie jak mówią, można zostać zbawionym po śmierci; jeśli uważacie, że lepiej, abym ja głosił wam czystą Ewangelię Chrystusową, niż by jakiś ksiądz głosił wam nauki Rzymu, to dajcie mi znać, że uważacie mnie za swojego, poprzez powstanie z miejsc.

Wszyscy, bez jednego wyjątku, podnieśli się zmiejsc i ze łzami w oczach jęli mnie prosić, abym pozostał z nimi. Dar, wielki, niewypowiedziany Dar po raz pierwszy ukazał się ich

oczom w całej swojej krasie — i uznali go za bezcenny. Przyjęli go — i żadne słowa nie opiszą radości, jakiej zaznało to zgromadzenie. Podobnie jak ja, w Darze tym odnaleśli pełnię iszczeńia. Owego dnia w Księdze Żywota zostały zapisane imiona — jak sądzę — tysiąca dusz. Pół roku później nawróconych było już dwa razy więcej, a rok potem było nas około czterech tysięcy. Teraz jest nas prawie dwadzieścia tysięcy — takich, którzy wyprali swe szaty i wybielili je w krwi Baranka.

Wiść rozeszła się prędko po całej Ameryce; nawet do Francji i do Anglii dotarły słuchy o tym, że Chiniquy, najślynniejszy ksiądz katolicki Kanady, na czele bardzo przyzwoitej grupy ludzi opuścił kościół rzymskokatolicki. A gdziekolwiek docierała ta wieść, imię Jezusa było błogosławione. Mam nadzieję, że i wy wraz ze mną będziecie błogosławili miłosiernego, pełnego chwały Zbawiciela, słysząc o dziełach, jakie uczynił On dla mej duszy.

Charles Chiniquy, nawrócony ksiądz

Charles Chiniquy to jedna z najbarwniejszych postaci wśród byłych księży, którzy doszli do wiary biblijnej. Mimo że już dawno temu odszedł do Pana, pisma tego współczesnego Mojżesza do dziś nie straciły nic na swej sile.

Ze śmierci do życia

Świadectwo nawróconego księdza Carla Fumagallego

Wiodłem życie targany sprzecznymi poglądami, unoszony „każdym wiatrem nauki” (Ef 4,14), do chwili, aż znalazłem Jezusa, Skalę i Kamień Węgielny (Mt 21,42; Dz 4,11; Ef 2,20; 1P 2,6–7), czy też raczej do chwili, aż Jezus, mój cudowny Pan i Zbawca, znalazł mnie. Mogę teraz powtórzyć za Dawidem:

Wydobył mnie z dołu zagłady i z kałuży błota, a stopy moje postawił na skale i umocnił moje kroki. I włożył w moje usta śpiew nowy, pieśń dla naszego Boga. Wielu zobaczy i przejmie ich trwoga, i położą swą ufność w Jahwe (Ps 40,3–4 BT).

Urodzony w Italii

Urodziłem się w Olgate Mogara koło Como w 1934 roku. W wieku dziewięciu lat wstąpiłem do Mediolańskiego Seminarium Arcybiskupiego w Masnago, w prowincji Varese. Pięć lat później dołączyłem do Misjonarzy Klaretynów w Turynie; tam ukończyłem gimnazjum, przeszedłem nowicjat oraz dwa lata studiów filozoficznych i cztery teologicznych. Nauka w wyższym seminarium Klaretynów w Turynie, jak w każdym katolickim seminarium i kolegium, opierała się na arystotelejskiej filozofii greckiej; ukończenie takich studiów filozoficzno-teologicznych pozwalało ubiegać się o stopnie naukowe z dziedziny Pisma świętego. Teologię rzymską zbudowano więc na szkielecie filozofii pogańskiej, w samą zaś Biblię usiłuje się wpisać zniekształconą teologię. Jest to podejście niedopuszczalne, bo Słowem Bożym nie wolno manipulować i łączyć go z filozofiami i naukami ludzi (por. Kol 2,8; 2Tm 2,9).

Święcenia i Ameryka

Po święceniach kapłańskich w 1961 roku otrzymałem stanowisko wykładowcy Seminarium Klaretynów w Beverze (Zamek Brianza). W 1966 roku mianowano mnie ojcem duchownym seminarium; urząd ten sprawowałem do 1968 roku, gdy zaproponowano mi wyjazd do Stanów Zjednoczonych na dalsze studia. Lecz wpierym udałem się na kilka miesięcy do Londynu, do kolegium teologicznego. We wrześniu 1969 roku podjąłem studia na Wydziale Antropologii Nowojorskiego Uniwersytetu Stanowego w Buffalo. Pogrążony w dociekaniach i badaniach dziedzin całkiem dla mnie nowych, jak zwyczaje, kultura, wierzenia, struktura społeczna, różnorodne systemy gospodarcze, polityczne i religijne oraz archeologia i ewolucja, miałem głowę pełną pytań i wątpliwości. Analizowałem różne aspekty życia społecznego i kulturalnego, odkrywając między innymi, że sakramenty katolickie i rytuały magii wyróżniają się zasadniczo tymi samymi cechami: i jedne, i drugie za pomocą określonych rytów i formuł mają gwarantować określony skutek.

Joga, Afryka i inne

Widząc, że dyskusja z innymi księżmi niewiele pomaga w rozstrzygnięciu moich pytań, zacząłem sięgać do innych systemów filozoficznych. Zapisalem się na kurs „kontrolni umysłu”, który otwarł przede mną fascynujący i niezbadany świat okultyzmu, zwanego dziś w pseudonaukowym żargonie „parapsychologią”; ćwiczyłem jogę i zgłębiałem religie wschodnie. Mimo licznych wątpliwości co do tych dziedzin liczyłem, że znajdę odpowiedzi na przynajmniej

niektóre swe pytania. Zrobiłem jeszcze dwa kursy uniwersyteckie, otrzymując tytuł bakałarza i magistra, wreszcie przystąpiłem do trudnych egzaminów wymaganych do doktoratu. Udało się. Już po wszystkim zasugerowałem, że chciałbym jechać do Afryki. Propozycję przyjęto, wpiery jednak spędziłem kilka miesięcy we Włoszech. Poprosiłem zwierzchników w Rzymie o czasowe zwolnienie od obowiązków kapłańskich i o czas na pozbieranie myśli. Poczieszali mnie, że kryzys jest przejściowy i wszystko rychło wróci do normy. W takim stanie umysłu wyjechałem do Afryki, gdzie w listopadzie 1974 roku rozpocząłem badania nad życiem plemienia Samburu z północnej Kenii; chciałem dokładnie przeanalizować ich kulturę, życie społeczne i gospodarkę. Jednocześnie studiowałem historię i kulturę ludów całego tego obszaru, chcąc ustalić czynniki decydujące o zmianach społecznych i gospodarczych w społeczeństwach plemiennych pod rządami władz kolonialnych bądź państwowych. Rozstanie z Afryką i z katolicyzmem

Z dala od brzemion i rutyny obowiązków kapłańskich miałem czas rozmyślać nad pytaniami i zastanawiać się nad niepokojem dręczącym serce w związku z życiem, jakie wiodłem. W głębi duszy wiedziałem, że uczciwość każe mi porzucić organizację religijną i kapłaństwo. Podjąwszy taką decyzję z początkiem 1975 roku odczułem wielki pokój i wolność. Pojąłem, że wyrwałem się z jednej z najuciążliwszych niewoli na tej ziemi: religii rzymskokatolickiej i instytucjonalnego kościoła. W lutym 1976 roku, po zakończeniu badań w Afryce, wróciłem do Stanów Zjednoczonych i wolny od zobowiązań względem kościoła rzymskiego postanowiłem udać się swoją drogą. Stałem się agnostykiem. Planowałem karierę naukową. We wrześniu 1977 roku zrobiłem doktorat z antropologii, a w listopadzie tegoż roku kościół katolicki oficjalnie zwolnił mnie z wszelkich obowiązków kapłańskich.

Wpiery okultyzm, potem Nowy Testament

Kontynuowałem studia, badając zwłaszcza okultyzm i religie wschodnie. Lecz w sercu czułem pustkę, której nie umiałem wypełnić, a także rosnący głód prawdy, miłości i sprawiedliwości, którego nic nie mogło zaspokoić. Niemal zupełnie zaprzestałem praktykowania religii; codziennie jednak czytałem sobie niewielki ustęp z Nowego Testamentu. Z początkiem marca 1979 roku wpadła mi w ręce przetłumaczona na włoski książka *The Late Great Planet Earth* (Nieboszczka wspaniała planeta ziemia) Hala Lindseya; kupiłem ją „przypadkiem” w jakimś sklepiku w Buffalo. Zabierając się do lektury z wielkim uprzedzeniem i krytycznie nastawiony, stanąłem wobec faktu spełniania się rozlicznych prorocत्व biblijnych, spisanych 2500, 2600 lat temu. Wiedza nabyta na studiach uświadomiła mi, że nawet najwybitniejszy ludzki umysł nie mógłby przewidzieć ze stuprocentową pewnością nawet tego, co wydarzy się jutro. I doszedłem do wniosku, że Biblia musi mieć rację i że jej jedynym źródłem może być sam Bóg. W teże chwili zrozumiałem, że jestem grzesznikiem i nie jestem w stanie zbawić siebie sam. Pojąłem, że Jezus umarł na krzyżu za mnie i że jedynym sposobem na zbawienie jest szczerze poprosić Go, aby przebaczył mi grzechy i został moim Panem i Zbawcą. Tak też zrobiłem.

W Chrystusie znalazłem życie

Jezus odpowiedział na moje wołanie bez zwłoki i w cudowny sposób. Odczułem łaskę Bożą, która oczyszcza z wszystkich grzechów, brudu i nikczemności. Płacząc z radości, padłem na kolana, czując moc miłości i ofiary Chrystusa, który zechciał zbawić takiego grzesznika jak ja. Stałem się dzieckiem Bożym (J 1,11–13 BT), narodzonym na nowo do życia w Duchu (J 3,3–7 BT) przez niezniszczalne ziarno Słowa Bożego (1P 1,23). Otrzymałem pewność, że jestem zbawiony (Ef 2,8; Rz 8,16 BT), i zakosztowałem wspaniałej uczy duchowej, jaką Jezus obiecał wszystkim, którzy Go przyjmą (J 1,12–13 BT). Odtąd nie dawało mi spokoju pytanie: „Skoro wieść o zbawieniu jest tak prosta, czemu nikt mi jej dotąd nie przekazał?” Ani lata studiów, ani liczne sakramenty i spowiedzi nie przyczyniły się w najmniejszej mierze do mojego zbawienia — zbawił mnie sam Jezus w chwili, gdy przyznałem, że jestem zgubionym grzesznikiem, i wezwałem Go na pomoc.

Każdy, kto wzywać będzie Imienia Pańskiego, będzie zbawiony (Dz 2,21)

Prawdziwymi wierzącymi, ludźmi zbawionymi, są ci, którzy jako żywe kamienie stali się składnikiem duchowej budowli, gdzie fundamentem i kamieniem węgielnym jest sam Chrystus (1P 2,5–8; Ef 4,15–16; 5,23; Dz 4,11 BT). Wierzący, napelnieni Duchem Świętym, ufnie głoszą Ewangelię (Dz 4,29–31 BT). Ja sam czuję się tak, jakby płonął we mnie ogień. Pan dał mi wielki głód i pragnienie swego Słowa, które uznaję za jedyne źródło prawdy, poświęcając wiele czasu jego zgłębianiu. Gdy zacząłem opowiadać o zbawieniu mym amerykańskim znajomym i włoskim krewnym, większość nie chciała słuchać. Zrozumiałem, że pozostało mi iść za Jezusem i być posłusznym Jego Słowu. Zrezygnowałem z kariery naukowej postanawiając poświęcić się służbie Panu. Trzy miesiące później, posłuszny Słowu Bożemu, dałem się ochrzcić w wodzie.

„I rzekł im: Idąc na wszystkie światy, każcie Ewangelię wszystkiemu stworzeniu. Kto uwierzy, a ochrzci się, zbawion będzie; ale kto nie uwierzy, będzie potępion” (Mk 16,15–16).

Ewangelia Włochom

Na początku 1981 roku Pan pokazał mi wyraźnie, że powinienem pojechać do Włoch i zawieść ich mieszkańcom, zwłaszcza katolikom i księżom, Ewangelię o zbawieniu. W marcu tego roku udałem się więc do Włoch. Czytając Słowo, spostrzegłem, że nie będąc w nim ugruntowany trwam w wielu mylnych poglądach i praktykach. Kościół katolicki dowolnie manipuluje Słowem Bożym i przekręca je, nie wierząc w nie i nie traktując go jak prawdę wieczną. Przez wieki samowolnie odejmował od Słowa i dodawał do niego, tworząc system nauki i wiary nie stroniący od praktyk pogańskich: czczenie obrazów, posągów i relikwii, kult Maryi i świętych, modły i msze za zmarłych, rytuały i liturgie, sprzedaż błogosławieństw, spowiedź, ofiara eucharystii. Kościół ten sformułował nadto szereg doktryn i dogmatów sprzecznych z Biblią, głosząc naukę o chrzcie dzieci jako nowym narodzeniu, oprzeistoczeniu, oczyszczeniu i odpustach, o niepokalanym poczęciu i wniebowzięciu Maryi, o ziemskiej władzy papieża i kościoła, papieżu — następcy Piotra i namiestniku Chrystusa na ziemi itd. Złamano przykazanie:

„Nie czyn sobie obrazu rytego, ani żadnego podobieństwa rzeczy tych, które są na niebie wzgórze, i które na ziemi nisko, i które są w wodach pod ziemią. Nie będziesz się im kłaniał, ani im będziesz służył; bom Ja Pan Bóg twój, Bóg zawistny w miłości, nawiedzający nieprawości ojców nad syny w trzecim i w czwartym pokoleniu tych, którzy mię nienawidzą” (Wj 20,4–5).

Z bojaźnią czytamy relację Biblii o tym, co spotyka fałszywych bożków i ich czcicieli (Wj 20,3–6).

Msza i jej sens

Msza stoi w centrum nauki i praktyki kościoła katolickiego. Głosi on, że podczas eucharystii są obecne autentyczne, fizyczne ciało i krew Jezusa Chrystusa. Przemiana chleba i wina w prawdziwe ciało i krew Chrystusa nosi nazwę przeistoczenia, przejścia jednej substancji w inną przy zachowaniu poprzedniego wyglądu. Rzym przyjął tę naukę za oficjalny dogmat na IV soborze laterańskim w 1215 roku, wyłuszczył ją zaś dokładniej XIII-wieczny teolog Tomasz z Akwinu. Sobór trydencki w 1551 roku obłożył wieczną klątwą każdego, kto nie wierzy w przeistoczenie; lojalni katolicy muszą więc uznać, iż Jezus jest fizycznie obecny jednocześnie na całym świecie w milionach hostii. Ale Biblia naucza o duchowej obecności Jezusa podczas Wieczerzy Pańskiej; zresztą oddawanie czci kawałkowi chleba, tak jakby był on Bogiem, to szczyt bałwochwalstwa. Chleb jest przecież dziełem rąk ludzkich, Bóg zaś wymaga, byśmy oddawali Mu cześć w Duchu i prawdzie:

„Aleć idzie godzina, i teraz jest, gdy prawdziwi chwalcy będą chwalić Ojca w duchu i w prawdzie. Bo i Ojciec takowych szuka, którzy by go chwalili. Bóg jest duch, a ci, którzy go chwala, powinni go chwalić w duchu i w prawdzie” (J 4,23–24).

Kościół katolicki w rzeczywistości głosi, że podczas mszy ciało i krew Jezusa zostają każdorazowo złożone w ofierze ¹ za grzechy świata; Biblia jednak nie pozostawia wątpliwości, że Jezus złożył z siebie samego tylko jedną jedyną ofiarę za grzech (Hbr 7,27 i 10,11–14) i że nie potrzeba już więcej ofiary za grzechy:

A gdzie jest [grzechów] odpuszczenie ich, jużci więcej ofiary nie potrzeba za grzech” (Hbr 10,18).

Pojednany z Bogiem

Wbrew nauce Rzymu, odróżniającej grzechy powszednie od śmiertelnych, za które grozi śmierć, Biblia głosi, że śmierć jest karą za każdy grzech:

„Albowiem zapłata za grzech jest śmierć; ale dar z łaski Bożej jest żywot wieczny, w Chrystusie Jezusie, Panu naszym”

„... zapłata za grzech jest śmierć, a łaska przez Boga dana to życie wieczne w Chrystusie Jezusie, Panu naszym” (Rz 6,23).

Jezus tak nas ukochał, że choć sam nie znał grzechu, na krzyżu poniósł wszystkie nasze grzechy, abyśmy mogli być usprawiedliwieni i pojednani z Bogiem.

„Przełoż na miejscu Chrystusowem poselstwo sprawujemy, jakoby was Bóg upominał przez nas, prosimy na miejscu Chrystusowem, jednaćcie się z Bogiem; Albowiem on tego, który nie znał grzechu, za nas grzechem uczynił, abyśmy się my stali sprawiedliwością Bożą w nim” (2Kor 5,20–21).

Jak Abraham, każdy, kto zgrzeszy, może otrzymać usprawiedliwienie i odpuszczenie grzechów tylko przez wiarę w Jezusa.

„Nie robiącemu zaś, lecz wierzącemu w tego, który usprawiedliwia niepobożnego, przy czytana bywa wiara jego za sprawiedliwość. Jako i Dawid powiada, że błogosławieństwo człowieka jest, któremu Bóg przyczyta sprawiedliwość bez uczynków, mówiąc: Błogosławieni, których odpuszczone są nieprawości, a których zakryte są grzechy; Błogosławiony mąż, któremu Pan grzechu nie przyczyta” (Rz 4,5–8).

Biblijną naukę o zbawieniu zastąpił kościół katolicki wielością doktryn i praktyk i spełnianiem dobrych uczynków. Ale to nie zapewni nam zbawienia; Biblia przecież głosi:

„I nie masz w żadnym innym zbawienia; albowiem nie masz żadnego imienia pod niebem, danego ludziom, przez które byśmy mogli być zbawieni” (Dz 4,12).

Paweł pisał do Efezjan:

„Albowiem łaską jesteście zbawieni przez wiarę, i to nie jest z was, dar to Boży jest; Nie z uczynków, aby się kto nie chlubił” (Ef 2,8–9).

Do Tytusa zaś:

„Nie z uczynków sprawiedliwości, które byśmy my czynili, ale podług miłosierdzia swego zbawił nas przez omycie odrodzenia i odnowienia Ducha Świętego” (Tt 3,5).

Zbawiony chrześcijanin rodzi dobre czyny tak, jak gałązka winorośli rodzi winogrona — z natury.

„Jam jest winna macica, a wyście latorośle; kto mieszka we mnie, a ja w nim, ten przynosi wiele owocu; bo beze mnie nic uczynić nie możecie” (J 15,5).

Wierzący czyni tak nie po to, aby być zbawionym, lecz dlatego, że stał się gałązką prawdziwej winorośli i żyje w Jezusie (J 15,1–5).

Tylko Jezus może zbawić

Jezus wyjaśnił Nikodemowi, że aby być zbawionym, trzeba narodzić się na nowo z Ducha (J 3,3–7), co może nastąpić tylko przez wiarę w Jezusa.

„Kto wierzy w Syna, ma żywot wieczny; ale kto nie wierzy Synowi, nie ogląda żywota, lecz gniew Boży zostaje nad nim” (J 3,36).

W Ewangelii Jana 14,6 Jezus mówi o sobie:

„Jamci jest ta droga, i prawda, i żywot; żaden nie przychodzi do Ojca, tylko przez mię”
Mówi też:

„Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, iżem ja jest drzwiami owiec” (10,7).

¹ Konstytucja dogmatyczna o Kościele (Lumen Gentium) 3, [w:] Sobór Watykański II. Konstytucje, dekrety, deklaracje, Pallotinum, 1967, s. 106.

Tylko wchodząc przez Niego można wejść do zbawienia. Jezus zapewnia, że jeśli będziemy budowali na Jego Słowie, nasz dom ostanie się i przetrwa każdą próbę; jeśli jednak zaryzykujemy inny fundament, dom runie z hukiem (Mt 7,24–27). Jezus to kamień węgielny, zbawiający tych, którzy przyjmują Go i wierzą w Niego; jest On jednak zarazem kamieniem upadku dla tych, którzy swe życie i nadzieję zbawienia wznoszą na czymkolwiek innym (1P 2,6–10).

Ostateczny autorytet: Słowo Boże

Uczeni w Piśmie i faryzeusze- wykształcona elita — unieważniali tradycją Słowo Boże (Mt 15,1–9). Choć mieli dostęp do Księgi Prawa, a nawet używali jej, ich interpretacja inauka zmieniały treść i fałszowały sens:

„Jakoż mówicie: Myśmy mądrzy, a zakon Pański jest przy nas? zaprawdę, oto daremnie pióro pisarz czyni; daremnie są w zakonie biegłymi. Kogoż zawstydzili ci mędrzy? Którzyż są przestraszeni i pojmani? Oto słowo Pańskie odrzucają; cóż to tedy za mądrość ich?” (Jr 8,8–9).

Tak i katolicka nauka o tradycji jako równie autorytatywnej jak Biblia otwarła furtkę naukom i praktykom sprzecznym ze Słowem Bożym. Broniąc swoich czynów i stanowiska, kościół katolicki zawsze prześladował tych, którzy głosili Słowo Boże i byli mu wierni. W minionych stuleciach Rzym używał wszelkich środków, aby tylko ograniczyć i zakłócić rozprzestrzenianie Biblii, dziś zaś występuje w roli jedynego autorytetu, rezerwując dla siebie i swego duchowieństwa prawo do interpretacji Pisma.

Duch Święty, nasz Nauczyciel

Biblia podkreśla, iż tylko Duch daje zrozumienie Słowa Bożego i objawia jego pochodzenie, Boże natchnienie oraz sens (J 14,26; 16,13–14; 1J 2,26; Łk 10,21–22). Co najmniej trzy razy Duch Święty ostrzegł, by nie dodawać do Słowa i nie odejmować od niego (Pwt 4,2; Prz 30,5–6; Ap 22,18–19); kościół katolicki nie ma zatem prawa ani władzy interpretacji i zmiany jego treści. To Słowo ukazuje i orzeka, co jest prawdziwym Kościołem Chrystusa, co zaś kościołem fałszywym iniewiernym. Słowo „kościół” pochodzi od greckiego *ekklesia*, oznaczającego powołanych spośród świata, jego dróg i systemów (zob. 2Kor 6,14–18). Kościół katolicki jako struktura religijno-polityczna i organizacyjna pozostaje systemem należącym do świata i jako taki będzie pewnego dnia zniszczony na wieki (Dn 7,26–27; Ap 18). Bóg spełnia swe zapowiedzi, On rzekł:

„Wspomnijcie sobie na rzeczy pierwsze, które się działy od wieku; bom Ja Bóg, a niemasz żadnego Boga więcej, i niemasz mnie podobnego; Który opowiadam od początku rzeczy ostatnie, i zdawna to, co się jeszcze nie stało; rzekęli co, rada moja ostoi się, i wszystkę wolę moję uczynię. Który zawołam od wschodu słońca ptaka, z ziemi dalekiej tego, któryby wykonał radę moję. Rzekłem, a dowiodę tego; umyśliłem, a uczynię to” (Iz 46,9–11).

Prosto z serca

Przyjacielu, kimkolwiek jesteś i w jakimkolwiek położeniu się znajdujesz, jeśli droga Ci jest prawda i zbawienie duszy, to ustóp Jezusa szukaj odpowiedzi na wszystkie swe pytania, kłopoty i wątpliwości. Tylko On jest Drogą, Prawdą i Życiem.

„Jamci jest ta droga, i prawda, i żywot; żaden nie przychodzi do Ojca, tylko przez mię” (J 14,6).

Badaj Pisma. Czytaj Biblię uważnie, a poznasz prawdę, i ona cię wyzwoli.

„Tedy mówił Jezus do tych Żydów, co mu uwierzyli: Jeżeli wy zostaniecie w słowie mojem, prawdziwie uczniami moimi będziecie; Poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi” (J 8,31–32).

Na ostatnich kartach Biblii, w Apokalipsie, znajdujemy zaproszenie:

„A Duch i oblubienica mówią: Przyjdź! A kto słyszy, niech rzecze: Przyjdź! A kto pragnie, niech przyjdzie; a kto chce, niech bierze wodę żywota darmo” (22,17).

Przyjmij to zaproszenie Jezusa. Czy naprawdę narodziłeś się na nowo? Wiedz, Przyjacielu, że nowe narodzenie nie nastąpi poprzez chrzest ani żaden inny rytuał i sakrament, ale tylko dzięki osobistej więzi z Jezusem (J3). Poproś Boga, by uświadomił Ci twój grzech i zbawił Cię tylko na mocy dokonanej raz na zawsze ofiary Jezusa. Z Biblii wynika, że świat zmierza ku najstraszliwszym, najbardziej katastrofalnym czasom w swych dziejach. Jedynym sposobem, aby uniknąć gniewu i sądu Bożego, jaki będzie wylany na ten grzeszny, zły świat (Ap 14,6–9; rozdz. 16; 19,11–21), i umknąć przed mękami w jeziorze ognia (Ap 20,11–15), jest wiara w Chrystusa Jezusa, naszego Pana i Zbawcę.

Jezus odpowiadając rzekł do nich: Na tym polega dzieło Boga, abyście uwierzyli w Tego, którego On posłał (J 6,29). Uwierz w Pana Jezusa — odpowiedzieli mu — a zbawisz siebie i swój dom (Dz 16,31).

Carlo Fumagalli, nawrócony ksiądz

Po nawróceniu na biblijne chrześcijaństwo Carlo Fumagalli poświęcił życie Ewangelii. Mieszka i służy Bogu w Bergamo we Włoszech. Posiadając rozległe poznanie zarówno nauki katolicyzmu jak i katolickiej mentalności, stara się ukazać słuchaczom kontrast pomiędzy Biblią a naukami Rzymu, żywiąc wielkie pragnienie, aby zawarte w Piśmie Świętym światłość i prawda Chrystusa Jezusa wyzwoliły katolików ku poznaniu Boga i czczeniu Go w Duchu i prawdzie. Carlo Fumagalli włada językami włoskim i angielskim. Adres: Via San Carlo8, 24 030 Caprino Bergamasco, Bergamo, Włochy.

Coś więcej niż religia

Świadectwo nawróconego księdza Gregora Dalliarda

Urodziłem się 10 listopada 1947 roku pośród winnic szwajcarskiego miasteczka Salgesch jako siódme spośród dwunastki dzieci moich rodziców. W rejonach tradycyjnie katolickich nie było wtedy większej alternatywy co do wyboru wyznania; stąd od najmłodszych naszych lat, zwłaszcza od siódmego roku życia, księża nie szczędzili wysiłku, by wpoić nam, że nauka rzymskokatolicka to podstawowa prawda i że poza kościołem katolickim nie ma zbawienia. Szanując swoje religijne autorytety, z powagą uznawałem wszystko, co głosiły, usilnie starając się być posłusznym i spełniać liczne zalecane praktyki. Na mszę uczęszczałem co dzień, regularnie odmawiałem różaniec; chadzałem na nieszpory, przystępowałem do sakramentów, chodziłem z pielgrzymkami. Wiernie spełniałem wszystko, czego uczył kościół, w tym też ofiary dobrowolne i pokuty, nabożeństwa dziewięciodniowe oraz inne modlitwy i czyny nagradzane odpustami. Robiąc to, miałem nadzieję zostać pewnego dnia kanonizowanym świętym kościoła. Planowałem też zostać kapłanem. „Cóż może być lepszego niż rola pośrednika pomiędzy Bogiem a człowiekiem i możliwość udzielania sakramentów, bez których nikt nie może dostąpić zbawienia?” — myślałem sobie.

II sobór watykański i śmierć rodziców

II sobór watykański obradujący w latach 1962–1965 zapoczątkował odnowę w kościele katolickim, wywołując jednak zamęt w głowach milionów wiernych papieżu katolików, którzy wyczuli w tym ruchu woń protestantyzmu. W 1967 roku doznałem wstrząsu: Jednego dnia ojca przyniesiono do domu martwego. Matka, kobieta bardzo religijna, zmarła w 1973 roku po krótkiej chorobie. W 1971 roku zaprzyjaźniłem się z pewnym młodym księdzem; planowaliśmy przyłączyć się do nowego zakonu męskiego: Opus Sanctorum Angelorum (Dzieło Aniołów Świętych), z siedzibą w Tyrolu w Austrii. W latach 1972–1975 uczyłem się w seminarium Klasztoru Benedyktynskiego Czarnej Madonny w Einsiedeln w Szwajcarii.

Ku odnowie charyzmatycznej i z powrotem

Studiując w kolegium teologicznym we Fryburgu, dołączyłem do ruchu Katolickiej Odnowy Charyzmatycznej (od którego jednak w 1986 roku odszedłem). Na spotkania organizowane przez ruch każdy przynosił Biblię. Do Biblii byłem sceptycznie nastawiony, mając ją za pożywkę licznych „sekt protestanckich”; nauka kościoła nakazywała ostrożność, zarazem jednak starałem się zrozumieć stanowisko ruchu charyzmatycznego, który bądź co bądź pozostawał przecież integralną częścią kościoła rzymskiego. I pojąłem, że ruch może służyć jako pomost pozwalający Rzymowi dotrzeć do kościołów i wspólnot niekatolickich i doprowadzić je z powrotem pod władzę papieża. Niektórzy widzieli w takim stanie rzeczy spełnienie się przepowiedni fatimskich z 1917 roku. Rozmyślanie o tym rozbudziło we mnie entuzjazm dla papieża i kościoła. Zarazem jednak cotygodniowe spotkania w grupie biblijnej zaszczepiły we mnie coraz żarliwszą miłość do Słowa Bożego, które dotąd zupełnie lekceważyłem.

Większe zrozumienie, większe cierpienie

Fakt, że młodzież czyta Biblię, coraz mniej podobał się innym księżom i zakonnicom. Ich sprzeciw narastał przez dłuższy czas po cichu, kiedyś jednak musiał wyjść na jaw. W 1983 roku biskup posłał mnie do parafii w Grachen, z zaleceniem, bym przez co najmniej rok zachowywał się spokojnie i nie rozpoczynał żadnych spotkań biblijnych. Klóciło się to z deklarowanymi celami II soboru watykańskiego i nowego prawa kanonicznego z 1983 roku, gdzie zapoznavanie wiernych ze Słowem Bożym ukazano jako bardzo istotną rolę kapłanów. Lecz widząc, że obietnice Boże się spełniają, i wiedząc, co odparli apostołowie oskarżającym ich arcykapłanom i uczonym w Piśmie:

„Jeżeli to sprawiedliwa przed obliczem Bożem, was raczej słuchać niż Boga, rozsądźcie. Albowiem my nie możemy tego, cośmy widzieli i słyszeli, nie mówić” (Dz 4,19–20).

Czułem, że trzeba postąpić podobnie. Po paru miesiącach od mego przyjazdu rozpoczęły się wieczorne spotkania biblijne i modlitewne. Dostrzegłem, jak wiele nauk kościoła o zbawieniu przeczy Pismu. I wynikły z tego kłopoty. Na spotkaniach biblijnych staraliśmy się o bezprecedensową uczciwość w badaniu podstawowych spraw, takich jak: Czym jest boskość i władza Jezusa? Czym jest natchnienie i kanon Pisma Świętego? Czym jest bojaźń Boża i na czym ma polegać nasze posłuszeństwo wobec Boga? Jakie jest znaczenie chrztu i sakramentów? Rozważaliśmy i to, co Biblia mówi o Marii, o modlitwie do świętych i ich kulcie, o miejscu zmarłych w życiu chrześcijanina. Zgłębialiśmy też sens i cel ruchu ekumenicznego, mając w pamięci, że wedle jasnego orzeczenia II soboru watykańskiego tylko kościół katolicki dysponuje „pełnią zbawczych środków” i każdy, kto w jakikolwiek sposób przynależy do „Ludu Bożego”, musi się w pełni zjednoczyć z tym kościołem.¹

Łaska Boża objawia się w zbawieniu

Latem 1988 roku pojąłem, że według Słowa Bożego zapisanego w Pierwszym Liście do Tymoteusza 2,4 Bóg pragnie, aby wszyscy ludzie zostali zbawieni. Wtedy rozumiałem już, że żadna z praktyk kościoła rzymskokatolickiego nie jest w stanie dać mi zbawienia, ale zarazem wiedziałem, że Pan Jezus zapłacił na krzyżu cenę za moje grzechy i ofiaruje mi przebaczenie i życie wieczne, jeśli tylko Go o to poproszę. Poprosiłem Go więc o odpuszczenie wszystkich moich grzechów i o życie wieczne. I dał mi je. A ja oddałem Mu całe swoje życie. Zwróciłem wtedy uwagę na takie słowa Chrystusa:

„Albowiem ktokolwiek by się wstydział za mnie i za słowa moje, za tego się Syn człowieczy wstydzicie, gdy przyjdzie w chwale swej i w ojcowskiej i świętych Aniołów” (Łk 9,26).

Nie chciałem wstydzicie się Pana inie chciałem kryć Jego słów przed innymi. Zacząłem jawnie głosić Ewangelię.

Wierność prawdzie kosztuje

15 sierpnia 1988 roku, w dniu wielkiego katolickiego święta maryjnego, obchodzonego na podstawie dogmatu z 1950 roku o wniebowzięciu Maryi, mówiłem kazanie o różnicach pomiędzy Marią, matką Pana, a katolicką Królową Niebios i Czarnymi Madonnami. Po czym zostałem wezwany przez władze diecezji do stawienia się przed sądem metropolitalnym. Poproszono, bym odwołał pewne wypowiedzi. Odparłem, że choć z serca miłuję biskupa i braci kapłanów, to nie mogę dłużej zapierać się Pana Jezusa i Jego Słowa ani świadectwa apostołów; nie mogę więc odwołać tego, co powiedziałem. Ekskomunikowano mnie od razu, pozbawiając wszelkich funkcji kapłańskich. Władze diecezji i duchowieństwo próbowały uciszyć mnie poprzez fałszywe oskarżenia. Rozesłano okólnik ogłaszający mnie na podstawie prawa kanonicznego (kanon 1044 § 2) osobą niezrównoważoną umysłowo i psychicznie chorą. W drugim okólniku zarzut odwołano, cóż z tego, skoro treść pierwszego była już powszechnie znana. Jednak grupa około 30 osób, po części z naszej okolicy, po części z daleka, postanowiła dochować wierności Pismu i Panu. Złożyli oni oświadczenia o odłączeniu się od kościoła katolickiego. Kampania oszczerstw rozpętana przez duchowieństwo zachęciła i innych do zatruwania nam życia. Grożono nam śmiercią, zasztyletowaniem, byliśmy zastraszeni,

¹ Dekret o ekumenizmie, 3, [w:] Sobór Watykański II. Konstytucje, dekrety, deklaracje, Pallottinum, 1967, s. 205–206.

izolowani, przeklinani. Ciężkie to były dni, ale Pan wiernie nas podtrzymał. Raz poważnie zachorowałem. Ktoś z wierzących polecił mi pomoc jednej siostry w Panu, Marianne. Siostra ta została w końcu, 29 października 1989 roku, moją żoną. Pan obdarzył nas trójką dzieci: Natanaelem, Jozjaszem i Tabeą. Od 1995 roku wraz z żoną służymy Panu we współpracy z dwiema organizacjami: Linią Pomagającą w Odnajdywaniu Katolików (HISKIA) i Służbą Informacyjną o Katolicyzmie (INFOKA).

... Chrystusa miejsce w sercach za Świętego i bądźcie zawsze gotowi do obrony wobec każdego, kto domaga się od was uzasadnienia tej nadziei, która w was jest (1P 3,15).

Gregor Dalliard, nawrócony ksiądz

Szwajcar Gregor Dalliard był jako kapłan bardzo przez kościół rzymski poważany. Zbawiony łaską, służy dziś Panu ewangelizacją i apologetyką, prowadząc wszechstronną działalność, w tym organizując spotkania, których uczestnicy mogą swobodnie zadawać pytania i otrzymać na nie odpowiedzi. Na sercu leży mu pragnienie zapoznawania katolików z prawdą biblijną. Mieszka w rodzinnym kraju, włada językami niemieckim i francuskim. Adres: Gregor Dalliard-Martig, Weinberg, CH3983 Morel/Breiten, Szwajcaria.

Od religii ku wierze

Świadectwo nawróconego księdza Pina Scalabrina

Moje życie zawsze zależało od kaprysów, każdego powiewu nauki, na skutek oszustwa ze strony ludzi i przebiegłości w sprowadzaniu na manowce fałszu. Było tak do chwili, aż spotkałem, Drogę i prawdę, i życie”, Syna Boga żywego, Jezusa. Odtąd w moim życiu zapanowały nieznane mi jeszcze radość i pokój.

Wątpliwości

Nastąpiło to 15 lat po tym, gdy w jednej z diecezji na południu Włoch, w prowincji Salerno, postanowiłem zostać kapłanem. Po 13 latach seminarium poczułem powołanie, by miłować Boga i służyć Mu w osobie Jezusa i bliźnich. Ale po 10 latach kapłaństwa musiałem przyznać się przed sobą, iż służę nie Jezusowi, ale jakiejś religii, jej obrzędom, tradycjom, ceremoniom i prawom, które wcale mnie nie wyzwalały, ale niewolą i odbierają życie. Pan Jezus powoli, poprzez moje studia i rozważania nad Biblią, doprowadził mnie do kryzysu. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że to On rozpoczął we mnie swe dzieło światłością swej prawdy (J 8,32; 19,37; 17,17). W latach siedemdziesiątych zacząłem zadawać sobie pytania i nie przerywając badań oddalałem się coraz bardziej od faryzejsztwa, od kłamstw ludzkich i od pewnych instytucji. Prerażony, pojąłem, że jestem kapłanem „pogańskim”, spętany świecką tradycją i przesądami, na które w Słowie Bożym nie ma miejsca. Odprawiałem rutynowe msze, sakramenty i błogosławieństwa za pomocą magicznych rytuałów, mających stanowić namiastkę zbawienia. Na własnej skórze poznałem, jak to jest, gdy nowe wino wlewa się w stare bukłaki, nową łatę przyszywa do starego ubrania, kiedy dba się o szabat, a nie o człowieka, i naucza się zasad i przykazań ludzkich. Dokuczala mi pustka; cierpiałem z powodu konfliktu między tym, o czym czytam w Biblii, a tym, co kazano mi głosić. Miałem przykroić Ewangelię pod rozmiar ludzi, którzy chrześcijanami byli tylko z nazwy, tkwiąc w przesądach i tradycjach. Spostrzegłem, że Słowo Boże „uległo skrępowaniu” (2Tm 2,9), że kupczy się nim (2Kor 2,17) i fałszuje je (2Kor 4,2). Gorszyłem się, widząc, że Pismo zajmuje poślednie miejsce, wypychane przez hierarchię duchowieństwa i tradycje ludzkie.

Poszukiwania

Rozczarowany, spostrzegłem, że katolicyzm stał się religią samousprawiedliwienia, coraz bardziej upodabniając się do norm innych wielkich religii świata. Zacząłem przypuszczać, że katolicyzm odszedł od chrześcijaństwa jako zjawiska historycznego, które rozpoczęło się w pierwszych trzech stuleciach naszej ery. Jeśli byłoby to prawdą, to gdzie należy szukać korzeni chrześcijaństwa? Jak znaleźć prawdziwego Jezusa, prawdziwą Ewangelię, prawdziwych chrześcijan? Kryzys mej duszy ciągle się pogłębiał, zaostrzając się jeszcze po rozmowie z przełożonymi. Uświadomiłem sobie, że interesuje ich właściwie tylko podtrzymywanie świeckiej struktury potężnego kościoła rzymskiego i utrzymywanie zwykłych wiernych w niewiedzy i nieznajomości „Słowa Prawdy”. Władze kościelne, zaniepokojone moimi pomysłami, postanowiły mnie odosobnić i uciszyć. Rozpoczęły się moje wędrówki z Salerno do Rzymu, przez region Basilicaty, potem znów do Campanii. Wreszcie postanowiłem porzucić kapłaństwo. Ta decyzja zbulwersowała otoczenie. Jednomyślnie osądzony, potępiony i odrzucony jako zdrajca i Judasz, wyjechałem, udając się na północ Włoch, by zacząć życie od nowa. Cóż było robić? Straciłem wiarę, stałem się agnostykiem. Zaczął się pięcioletni okres z dala

od Boga. Szukając ratunku, liczyłem na swoją pracę, na kulturę, na przyjaciół i kobiety. Zapuszczałem się coraz dalej na bezdroża, ku astrologii, spirytyzmowi i religiom Wschodu (Hare Kriszna). Trawiła mnie pożądlivość i rozpusta, żaden grzech nie był mi obcy. Zacząłem brzydzić się samego siebie.

Ratunek

Był czas, gdy rozważałem samobójstwo. Ale „Bóg jest miłość” (1J 4,8), i czuwał nade mną. Rozgoryczony i boleśnie samotny, mówiłem: „Jak istniejesz, to daj się znaleźć”. I Pan nie opuścił mnie, lecz

„usłyszał głos mego błagania” (Ps 28,6 BT). Jednego ranka podniosłem leżącą na ulicy broszurkę. Było tam napisane: „Dobra nowina dla ciebie”. Przeczytałem i pojąłem, że jestem grzesznikiem. Z tyłu książki umieszczono adres. W ten sposób po raz pierwszy znalazłem się wśród ewangelicznych wierzących, we wspólnocie w Gallarate w prowincji Varese. Nie zdradziłem jednak, kim jestem. Od razu odczułem obecność Jezusa, który dotknął mego serca, przekonując mnie o grzechu (J 16,8) i rozpoczynając mozolne dzieło, które miało mnie doprowadzić do skruchy, nawrócenia i powrotu do Niego. Odkryłem więc Jezusa. Nie zimnego, abstrakcyjnego bohatera podręczników z teologii i historii, nie tego, którego religia Rzymu uformowała na wzór bożka — ale Jezusa objawionego na kartach Biblii, Pana apostołów i pierwszych wierzących, Jezusa zmartwychwstałego, zwiastującego miłość, usprawiedliwienie, zbawienie, przebaczenie i łaskę dzięki krwi przelanej na krzyżu. Jezusa, który pojednał mnie z Bogiem Ojcem, innymi i mną samym, Jezusa obecnego we wspólnocie wierzących (Mt 18,20), Dawcę Ducha Świętego i życia wiecznego. Przyjąłem Jezusa jako Pana i Zbawiciela (Dz 2,36) i zgodnie z Jego nakazem dałem się ochrzcić (Mk 16,16). Stałem się nowym stworzeniem; to, co stare, przeminęło, awszystko stało się nowe (2Kor 5,17). Jezus wszedł do mojego życia, a wraz z Nim prawda, zbawienie i prawdziwe życie. Przyjacielu, kimkolwiek jesteś, wiedz, że Bóg kocha nas w Jezusie Chrystusie (J3,16), posłanym, by uwolnić nas od grzechu i namiastek życia oraz od kłamstw i instytucji wymyślonych przez człowieka, abyśmy żyli z prawdziwym sumieniem i w prawdzie. Tylko prawda może wyzwolić, a nie religia; wyswobadza nie żadna filozofia, ale Jezus — prawdziwe Słowo Boże — jednając nas z Bogiem i ze sobą nawzajem. Szukaj Go, a znajdziesz.

Pino Scalabrino, nawrócony ksiądz

Pino Scalabrino uczy dziś w szkole w Gallarate (prowincja Varese), pracując też jako kaznodzieja w kościele ewangelikalnym. Ewangelia Włochom

Byłem niewidomy, a teraz widzę

Świadectwo nawróconego księdza Jose A. Fernandeza

Syn Hiszpanii

Urodziłem się ślepy, nie fizycznie, ale duchowo, w 1899 roku w górzystym i niedostępnym rejonie Asturii, zwanym bardzo trafnie „Szwajcarią Hiszpańską”. Rodzice, pobożni katolicy, żywili wiarę — mówiąc językiem św. Teresy z Avila — „człowieka rozżarzonego”, bezwarunkowo uznając wszystko, czego nauczał i w co wierzył kościół rzymskokatolicki. Tę ślełą wiarę przekazali też całej siedemnastce swych dzieci. Katolicyzm w naszej rodzinie przenikał serce, umysł, nawet ciało; niemowlę z mlekiem matki wysysało miłość i oddanie do Maryi i świętych. Od najmłodszych lat wpajano nam kult medalików, szkaplerzy, różańców, świętych obrazków itd., a słowo księdza było prawem, bezwzględnie przestrzegany. Od dzieciństwa pociągało mnie wszystko, co związane z kościołem i z księdzem, w którym nauczyłem się widzieć nadczłowieka, pozbawionego ludzkich potrzeb i słabości. Z zapalem służyłem do mszy, za zaszczyt i honor poczytując sobie poranne pobudki i przeszło trzykilometrowy marsz przez górskie śniegi, po to aby asystować księdzu. W wieku siedmiu lat umiałem już deklamować po łacinie całą mszę.

Ślepa wiara

Co wieczór bez wyjątku odbywała się rodzinna modlitwa: odmawianie różańca i szeregu modlitw do rozmaitych świętych. Gromadziliśmy się, w tym najmłodsze dzieci, w kuchni, służącej także za pokój dzienny. Całkiem spory kościółek! Gdy ojciec wyjmował z kieszeni różaniec, był to dla reszty znak, iż należy klęknąć na kamiennej posadzce i szykować się na męczarnie trwające zazwyczaj 40 minut. Nabożeństwo różańcowe — czyli skład apostołski, 53 Zdrowaś Maryjo, 6 Chwała Ojcu, 5 Ojcze nasz, Salve Regina i Litania do Matki Najświętszej — samo w sobie było wyczerpujące; jednak dużo gorsze następowało potem: nie kończący się ciąg modlitw do tej czy innej, Matki Bożej, aniołów i świętych słynących z pomocy w przeróżnych okolicznościach i przeciwnościach życiowych. Ślełą wiarę we wszystko, co głosił kościół, żywił zwłaszcza ojciec. Nie zapomnę, jak raz, 14 sierpnia, pracował w polu. Wigilia Święta Wniebowzięcia Maryi, patronki naszej wioski, była dniem postu i powstrzymywania się od potraw mięsnych. Pole leżało ponad trzy kilometry od domu, zaniósłem więc ojcu posiłek w koszyku. Usiadł, ale gdy spostrzegł, że puchero, typowa potrawa hiszpańska, jest na mięsie, nie tknął go i do późna pracował o głodzie. Później powiedział mi: „Trzeba by kupić bulle [dyspensę], ale nie ma pieniędzy”. „Bulla” była dokumentem sprzedawanym przez hiszpański kościół katolicki, dającym nabywcy prawo spożywania mięsa w dni, w które zabrania tego prawo kościelne. Na terenie Hiszpanii funkcjonowały aż cztery „Bulle”: Świętej Krucjaty (dająca nabywcy szereg odpustów), Ciała (dająca prawo spożywania mięsa w pewne dni), Posiadłości (dająca prawo zatrzymania własności nabytej nieprawnie, której poprzedni właściciel nie jest znany) oraz Zmarłych (na korzyść zmarłych).

Kult obrazów

Moje wczesne życie religijne skupiało się wokół jednego corocznego wydarzenia: obchodów Święta Pani Poranka w dniu 15 sierpnia, upamiętniającego Wniebowzięcie Maryi. Pani

Poranka była zresztą patronką naszego regionu. Według podania objawiła się jednemu pasterzowi na pobliskiej górze Alba, czyli „Poranek”. Wzniesiono sanktuarium dla uczczenia tego objawienia. Co rok organizuje się tam procesję, a sanktuarium odwiedzają tysiące pielgrzymów z bliska i z daleka. Figurkę Maryi, przyodzianą w królewskie szaty, obnosi się w procesji po zboczach góry, wśród okrzyków uwielbienia wiernych, przybywających z prośbą o cud bądź z podziękowaniem za cud już dokonany. Każdy region Hiszpanii posiada przynajmniej jedną taką cudowną Maryję. Fatima powielona setki razy! Choć teologia katolicka rozróżnia między obrazem a osobą, którą on przedstawia, to w praktyce różnica ta jest czysto teoretyczna. Pomimo oficjalnej nauki katechizmu nie wątpiłem ani przez chwilę, że ja i ci prości górale oddajemy cześć figurze. Dla nas przedmiot ów posiadał w sobie nadprzyrodzoną moc — choć szczerze mówiąc nie była to nawet figura w dosłownym sensie: ot, kilka patyków, na jednym zatknięta głowa. Później przybierano to w jedwab i złoto. Zdumiałem się niepomnie pewnego dnia, ujrawszy, jak kobiety pomagające w kościele rozbierają figurę i Maryja z mych snów okazuje się zwykłą kukłą. Obraz ten pozostał we mnie po dziś dzień. Proboszcz, spostrzegłszy moje religijne skłonności, zaproponował, abym przygotowywał się do kapłaństwa. Mając tak wysokie mniemanie o tej posłudze zgodziłem się skwapliwie, ku radości i satysfakcji głęboko religijnego ojca i zakłopotaniu równie religijnej matki, której wskutek uczuć macierzyńskich pomysł ten jednak nie bardzo przypadł do gustu.

Zakonnik i kapłan

W wieku 12 lat opuściłem dom, ojca, matkę, braci i siostry, aby nigdy już ich nie ujrzeć. Chwała kapłańskiego życia, tajemniczość klasztoru i roztaczana przede mną perspektywa zbawienia duszy przytłumiły naturalny smutek, jaki budził się w sercu na myśl o opuszczeniu rodziny i dzieciennego domu. Posłano mnie do prowincji Valadolid, do gimnazjum prowadzonego przez Dominikanów, przygotowującego chłopców przeznaczonych przez rodzinę do stanu kapłańskiego. Przez cztery lata pobytu w tej szkole nie tylko uczyłem się typowych przedmiotów szkolnych, ale i świetnie opanowałem katechizm. Tam właśnie katolicyzm do reszty posiadał mą duszę i ciało, i tam zasiano we mnie ziarna nietolerancji: katechizm głosił bowiem, że istnieje tylko jeden prawdziwy kościół Jezusa Chrystusa, i poza nim nie ma zbawienia, a jest nim, Święty Apostolski Kościół Rzymskokatolicki”. Tam też ukazano mi Boga jako surowego sędziego, gotowego oddać nam wedle naszych grzechów, Bóstwo gniewne, które można nieco udobruchać dobrymi uczynkami, pokutą i umartwieniami. Nietrudno zrozumieć, w jakim zniewoleniu trzyma Hiszpanów kościół rzymskokatolicki — odnosi się to zwłaszcza do kandydatów na księży, od lat chłopięcych oddychających taką atmosferą i karmionych takimi ideami. To być może wyjaśnia, dlaczego przed laty palono tu na stosach protestantów, którzy po dziś dzień są w mej rodzinnej Hiszpanii prześladowani. Przez pierwsze dwa lata nauki przykładowo zachowywałem wszystkie przepisy i byłem wzorem pilności, kilka razy zostając laureatem specjalnej nagrody. Z tej to szkoły, apostolskiej” wysłano mnie do nowicjatu dominikańskiego w Avila i w słynnym klasztorze Santo Tomas zaopatrzonego szesnastoletniego chłopca w czarno-biały habit dominikanina.

Męczarnie

Cały rok poświęciłem gorliwemu zgłębianiu reguły i konstytucji zakonu, ich ścisłemu przestrzeganiu, śpiewom godzin i próbom zadowolenia nieustannie czuwającego prefekta. Był to rok próby i sprawdzianu, jaki mogą znieść tylko najsilniejsze charaktery. Pościliśmy od 14 września aż do Wielkanocy. Poczcie w obie strony starannie cenzurował prefekt. Kontakty ze światem zewnętrznym były zakazane, podobnie jak wszelkie rozmowy i porozumienie między księdzem a zakonnikami z klasztoru. Obowiązkowa spowiedź co tydzień — zazwyczaj w sobotę — odbywała się u tego samego prefekta, który był naszym przełożonym i nieustannym nadzorcą. Nietrudno sobie wyobrazić strach i psychiczne męczarnie, jakie powodował ten niemiłosierny zwyczaj, od czasu skorygowania go w Kodeksie prawa kanonicznego stosowany wobec młodych nowicjuszy. Dosłownie trzęśliśmy się na myśl o sobocie. Ale marzenia i myśl o tym, że pewnego dnia stanę się pełnoprawnym zakonnikiem, dodawały niezbędnej odwagi, by pomyślnie przetrwać ten rok próby i zupełnej abnegacji. Dzień częściowego wyzwolenia nastąpił 8 września 1917 roku, w święto Narodzenia Najświętszej Maryi Panny, kiedy złoży-

łem śluby zakonne w zakonie Dominikanów. Następne cztery lata po nowicjacie spędziłem w Kolegium Santo Tomas. Odkąd w wieku 12 lat opuściłem dom, aż do ukończenia kolegium w wieku lat 21 nie zamieniłem ani słowa z kobietą. Naszym młodym umysłem ukazywano kobiecość jako zło, a nauczyciele nieraz częstowali nas historiami o świętych, którzy nigdy nie spojrzeli na twarz własnej matki. Taki przykład mieliśmy naśladować.

Do Ameryki

Po czterech latach kolegium 17 seminarzystów miało udać się do Ameryki na studia teologiczne i naukę angielskiego. Odziani w sutanny noszone przez księży katolickich w Stanach Zjednoczonych, przemierzaliśmy ulice Madrytu, po raz pierwszy od dziewięciu lat oglądając czarujące hiszpańskie *senoritas* i rumieniąc się, ilekroć spotykaliśmy się wzrokiem z młodą damą. Kiedy tak szliśmy, ludzie przystawali, by się nam — tak dziwnie przyrodzianym — przyjrzeć bliżej, i szeptali: „To tacy księża, co się żenią” (jest to nieprzychylny sposób określania w Hiszpanii pastorów protestanckich). Mimo swoich 21 lat nigdy dotąd nie spotkałem niekatolika; wtedy w Hiszpanii wszyscy deklarowali takie wyznanie. Czytałem wprawdzie i słyszałem o protestantach, ale nie mogłem uwierzyć, że ludzie tacy istnieją. Pierwsza sposobność poznania niekatolika nadarzyła się podczas rejsu do Ameryki. Statkiem tym podróżował też amerykański dżentelmen, powracający do kraju po kilkuletnim pobycie w Hiszpanii wraz z czarującą 17 letnią córką, biegle władającą hiszpańskim. Okazuje się, że pobyt w klasztorze nie zmienia ludzkiej natury. Jednego dnia trzech z nas nawiązało z dziewczyną rozmowę — by wkrótce ze zgrozą odkryć, że to protestantka. Powodowani wielką, acz nieroztropną gorliwością, od razu zaczęliśmy wprowadzać w czyn wszystko, czego nas uczono na temat nawracania protestantów. Zaczęliśmy od Najświętszej Maryi Panny. Zapytaliśmy:

— To ty nie wierzysz w Najświętszą Maryję Pannę?

— Owszem, wierzę — odparła — ale nie tak jak wy.

Przeraziła nas ta bezpretensjonalna odpowiedź, toteż brnęliśmy dalej:

— To ty nie wiesz, że trzeba się modlić do Maryi, aby otrzymać zbawienie?

— O tym nie wiedziałam — padła beztroska replika.

Zdesperowani, pouczyliśmy ją więc:

— I nie wiesz, że takie młode damy jak ty powinny prosić Maryję, aby strzegła ich dziewictwa?

Rozplakała się i pobiegła na górę, a po dwóch minutach na schodach zjawił się jej ojciec z rewolwerem w dłoni, gotów nas powybijać. I byłby to zrobił, gdyby nie interwencja kapitana. Tak skończyły się moje pierwsze próby ewangelizacyjne. Bałem się protestantów!

Faryzeusz nad faryzeusze

W Dominikańskim Seminarium Teologicznym w Luizjanie spędziłem trzy lata, a potem jeszcze jakiś czas na Uniwersytecie Notre Dame. Po święceniach kapłańskich w 1924 roku posłano mnie jako wikarego do jednej z największych parafii katolickich w Nowym Orleanie. Pełniłem tam tę posługę przez dziewięć lat, aż w 1932 roku, w wieku zaledwie 32 lat, zostałem proboszczem tej parafii. Sześć lat trudziłem się w tej roli z poświęceniem i zapałem, i prawdę mówiąc nie bezowocnie. Liczba członków rosła ponad oczekiwania, podobnie udział w nabożeństwach i sakramentach — a nawet zamożność materialna. Gdy zostałem proboszczem, do szkoły parafialnej uczęszczało około 450 uczniów, dwa lata później liczba ta przekroczyła magiczną granicę 1000. Umożliwiłem też darmową oświatę religijną setkom dzieci z ubogich rodzin. Zakon Dominikanów zaszczylił mnie urzędem Przełożonego Domu Dominikańskiego przy naszym kościele; miałem do pomocy pięciu księży i dwóch braci świeckich. Byłem też spowiednikiem w kilku zakonach żeńskich, co dowodzi wysokiego mniemania, jakie mieli o mnie arcybiskup, parafianie i bezpośredni przełożeni. Można by mnie zaiste nazwać, faryzeuszem nad faryzeusze”, jak nikt potrzebującym spotkania z żywym Chrystusem na duchowej drodze do Damaszku!

Skruszona dusza

Podczas ostatniego roku pracy jako proboszcz zacząłem wątpić w prawdziwość niektórych doktryn kościoła rzymskiego. Najpierw odrzuciłem naukę o kapłańskiej władzy odpuszczania grzechów podczas spowiedzi. Nie mogłem się też zmusić do wiary w doktrynę przeistoczenia ani w rzeczywistą, cielesną obecność Chrystusa w chlebie i winie. Moja wiara w kościół słabła. Nie chciałem być obłudny, rozważałem nawet porzucenie kapłaństwa. Ale Bóg znów zaingerował za pośrednictwem ludzi — tym razem generała Zakonu Dominikanów. Z Rzymu nadszedł jego rozkaz, aby hiszpańscy dominikanie pracujący w Luizjanie przekazali swe parafie dominikanom miejscowym. Niektórym z nas polecono wrócić do Hiszpanii, innym udać się na Filipiny. Bez szemrania zastosowałem się do nakazu opuszczenia parafii, przeczuwając w tym niespodzianym obrocie wypadków palec Boży. Nie godziłem się jednak na wyjazd z kraju, do którego przywykłem i który pokochałem. Porzuciłem więc kapłaństwo i poszedłem drogą wiodącą prosto w rynsztok grzechu. W którymś miejscu tej drogi Bóg się jednak nade mną ulitował i ocalił od zupełnej zguby. Półtora roku toczyła się w mej duszy zażarta walka. Nieraz chciałem zapomnieć o Bogu i wszystkim, co święte. Ale wtedy przypominałem sobie słowa wypowiedziane niegdyś przez Piotra z głębi serca:

„Panie! do kogóż pójdziemy? Ty masz słowa żywota wiecznego” (J 6,68).

Świat ze wszystkimi swymi przyjemnościami i pokusami nie umiał zapełnić pustki w mojej duszy. Po próżnym poszukiwaniu szczęścia w rzeczach tego świata, wciąż pragnąc zbawienia duszy, skierowałem się do pewnego klasztoru na Florydzie. Postanowiłem poświęcić życie Bogu i spędzić je w samotności klasztornej; zamknąć się w czterech ścianach świątobliwej budowli i z całych sił zaskarbiać sobie zbawienie. Sądziłem, że w klasztornej ustroniu Bóg na pewno da mi pewność zbawienia i wewnętrzne szczęście, którego łaknąłem. Tak sobie postanowiłem — ale Bóg miał inne plany. Odtąd Jego ręka była w moim życiu wyraźnie widoczna; bowiem właśnie podczas pobytu w tym klasztorze zetknąłem się z chrześcijaństwem ewangelikalnym.

Moc Słowa Bożego

Jakiś czas pracowałem w klasztornej bibliotece; był w niej jeden zamknięty pokój z tabliczką: „Literatura zakazana”. Ciekawość dodała mi sprytu, toteż jednego dnia zdobyłem klucz, otworzyłem ów pokój i zobaczyłem sześć czy siedem książek. Przeczytałem je jednym tchem. Były to książki religijne poświęcone dowodzeniu, iż rzymski katolicyzm wcale nie jest prawdziwym kościołem Jezusa Chrystusa. Zabrałem się też za lekturę Biblii. Dotąd Biblia niewiele dla mnie znaczyła. Owszem, wiedziałem, że to natchnione Słowo Boże, ale wpojono mi, iż zwykły człowiek nie jest w stanie pojąć jej treści. Sądziłem, że tylko jakiś nadumysł, nieomylny autorytet może nam wyjawić, co miał na myśli Duch Święty, dając natchnienie świętym autorom Pisma. Wolałem więc czytać Słowo Boże według rozumienia tegoż nieomylnego autorytetu, tak jak podają je katolickie mszały i modlitewniki. Ale z czasem lektura Biblii stawała się coraz większą pociechą i źródłem natchnienia w samotności; zacząłem też pojmować prawdziwy sens pewnych ustępów, na które wcześniej nie zwracałem uwagi. Szczególne wrażenie wywarły na mnie takie wersety:

„Boć jeden jest Bóg, jeden także pośrednik między Bogiem i ludźmi, człowiek Chrystus Jezus. Który dał samego siebie na okup za wszystkich, co jest świadectwem czasów jego” (1Tm 2,5-6);

„Łaska niech będzie ze wszystkimi miłującymi Pana naszego, Jezusa Chrystusa ku nieskazitelności” (Ef 6,24);

„A oni rzekli: Wierz w Pana Jezusa Chrystusa, a będziesz zbawiony, ty i dom twój” (Dz 16,31);

„A Duch jawnie mówi, iż w ostateczne czasy odstaną niektórzy od wiary, słuchając duchów zwodzących i nauk dyjabelskich, W obłudzie kłamstwo mówiących i piętnowane mających sumienie swoje, Zabraniających wstępować w małżeństwo, rozkazujących wstrzymać się od pokarmów, które Bóg stworzył ku przyjmowaniu z dziękowaniem wiernym i tym, którzy poznali prawdę” (1Tm 4,1-3).

Na głebię mej duszy padło ziarno Słowa Bożego. Prawdą jest, że próbowałem je zdusić, lecz ono, choć tak małe, rosło, aby w swoim czasie wydać owoc. Wykładając młodemu zakonnikowi historię kościoła, miałem okazję przekonać się o zepsuciu w kościele rzymskim, zarów-

no w jego nauce, jak i praktyce; w głębi serca czułem wielki podziw dla odwagi przywódców Reformacji. Lecz mimo dwu lat pobytu w klasztorze nie zdołałem odnaleźć wewnętrznego pokoju ani upragnionego szczęścia. Co miałem począć?

Żołnierz

Znużony życiem, a chcąc jakoś, przysłużyć się ludzkości”, na wieść, że moja nowa ojczyzna przystąpiła do wojny, postąpiłem nader szlachetnie: zgłosiłem się do armii amerykańskiej na zwykłego szeregowca. Krokiem tym kierowała wyraźnie Boża Opatrzność. O mych wojennych losach szeregowca można by napisać całą bibliotekę. Wojsko to wspinała instytucja, i cieszę się z powodu trzyletnich doświadczeń tam zdobytych. Najgorsi byli kaprale i sierżanci z klapkami na oczach, częste wyposażenie kancelarii kompanii, szarogęszący się tak, jakby byli co najmniej drugim Hitlerem, Mussolinim czy Tito, i mocno dający się we znaki szeregowcom. Po szkoleniu zasadniczym posłano mnie do Ośrodka Szkolenia Wywiadu Wojskowego w Camp Ritchie w stanie Maryland. Wybrani na kurs wywiadu musieli posiadać dobre wykształcenie. Zarazem trzeba było ślepo słuchać kaprali i sierżantów, w cywilu pewnie zamiataczy ulic i pomywaczy, których jedyne kwalifikacje polegały na używaniu mocnych słów (im soczystszy język, tym więcej belek). Dziękuję jednak za nich Bogu, gdyż doskonale mi się wtedy przysłużyli, mimo woli przygotowując mnie do służby Bogu, ucząc pokory, posłuszeństwa, dyscypliny i, duchowej demokracji”. Przydzielono mnie czasowo do biura kapelana. Był to major Herman J. Kregel z holenderskiego kościoła reformowanego, człowiek o lotnym umyśle i złotym sercu. Został kapelanem Akademii Wojskowej w West Point po odsłużeniu trzech lat w siłach okupacyjnych w Japonii. Lubilem w niedzielne poranki słuchać jego kazań, gdyż mówił płynnie i ciekawie. Mój umysł zaintrygowały wyczerpujące, jasne objaśnienia spraw doktrynalnych, moje serce natomiast ujął kapelan przykładem swego codziennego życia: wielkoduszności, bezinteresowności, szerokich horyzontów i prostoty. Po raz pierwszy spostrzegłem, że protestancki pastor może być człowiekiem szczęśliwym i uczciwym w swej wierze i pracy. W armii amerykańskiej — inaczej niż gdzie indziej — kapelan nie próbuje nawracać żołnierzy innych wyznań na swoje. Stosunki między nami były serdeczne, jak typowe stosunki między kapłanem a żołnierzem, nic ponadto. Nie sprzeciwiał się memu udziałowi w nabożeństwach protestanckich; bądź co bądź prawo sprawowania kultu religijnego zgodnie z sumieniem to jedna ze zdobyczy, którymi kraj ten się szczyci.

Zbawienie tylko przez wiarę

Jednej niedzieli Kregel mówił o zbawieniu tylko przez wiarę, opierając wywody głównie na nauce św. Pawła. Zdażyłem już wtedy odrzucić niemal wszystkie nauki i praktyki rzymskokatolickie, ale trzymałem się kurczowo wiary w zbawienie z uczynków. Po nabożeństwie udałem się do gabinetu kapelana, by mu oznajmić, co myślę o tak heretyckich twierdzeniach. Uzbrojony w tekst z Listu Jakuba 2,24:

„A widzicież, iż z uczynków usprawiedliwiony bywa człowiek, a nie z wiary tylko”, butnie, pewien swego wyrzuciłem:

— Jeśli to, co pan mówi, to prawda, to Jakub się myli; a jeśli Jakub mówi prawdę, to pan i Paweł się mylicie. W przeciwnym razie musi pan przyznać, że Biblia przeczy sama sobie.

Kapelan z uśmiechem na twarzy kazał mi usiąść i „nie podniecać się tak”. W spokojny, pokorny, ale i pełen godności sposób, głosem pałającym żarliwą troską o duchowy stan żołnierza, który zakwestionował jego teologię, wyjaśnił:

— Jose, w Biblii nie może być sprzeczności, bo jej jedynym autorem jest Duch Święty, a On nie będzie przeczył sam Sobie.

Rzecz jasna, zgodziłem się z tym. — A zatem — kontynuował — gdy Paweł mówi, że zbawienie jest tylko przez wiarę, to mówi to z punktu widzenia Boga, który czyta w naszych myślach i widzi nasze serca. Jeśli chodzi o Boga, jesteśmy zbawieni już w chwili, kiedy uwierzmy. Ale zwróć, proszę, uwagę, że wiara ta polega na zaufaniu, a nie tylko na rozumowym uznaniu kilku tez doktrynalnych.

Nigdy dotąd nie słyszałem takiej definicji wiary.

— Lecz z drugiej strony — ciągnął — pisząc, że zbawienie jest też na podstawie uczynków, Jakub pisze to z punktu widzenia ludzi, którzy nie umiejąc czytać w myślach i sercu muszą mieć coś widzialnego i namacalnego, na podstawie czego osądzą, czy ktoś jest zbawiony. Z ludzkiego punktu widzenia jesteście więc zbawieni, gdy wydajemy dobry owoc (Mt 7,16). Ale dobre uczynki są nie źródłem, tylko skutkiem zbawienia.

Niebywałe wyjaśnienie — czegoś takiego jeszcze nie słyszałem! W pełni się zgodziłem; padła ostatnia rozumowa barykada: uwierzyłem całym umysłem, obiecując Panu, że po odejściu z wojska poświęcę Mu życie jako protestancki duchowny. Lecz nie byłem jeszcze gotów do tej pracy; nawrócił się mój umysł, ale serce pozostało nietknięte. Wierzyłem we wszystkie ważniejsze prawdy biblijne, ale serca Jezusowi nie oddałem. Podczas któregoś dnia wolnego od zajęć zaszczylił mnie wizytą wysłannik nuncjusza apostolskiego (Watykan ma swoje sposoby, by sprawdzać, co porabiają jego ludzie), oznajmiając, że jeśli powrócę na jakiś czas do klasztoru w celu odbycia pokuty, to znowu otrzymam jakąś parafię. Tym jednak razem Watykan się spóźnił. Przez okres pracy u boku kapelana zbyt wiele wątpliwości i pytań zakiełkowało mi w głowie.

Grzesznik zbawiony łaską

Modliłem się o światło, szukałem pouczenia, a w wolne dni odwiedzałem różne kościoły Marylandu i Pensylwanii, chcąc sprawdzić, który wyda mi się najbardziej wierny Biblii. Podczas jednej takiej peregrynacji po kościołach Baltimore spotkałem panią, która miała później zostać moją życiową towarzyszką, pobożną członkinią kościoła baptystów, ujmującą osobowość o wspaniałym poczuciu humoru i złotym chrześcijańskim sercu. Krótki okres narzeczeństwa uwieńczyło błogosławieństwo zaślubin, jakie odbyły się w kaplicy baptystów w obecności pastora. Odtąd przepadam za baptystami. Moja poczciwa żona nie mogła mi oczywiście zapewnić zbawienia, Pan jednak ulitował się i obdarzył mnie nim pół roku później. A było to tak: Jesienią 1944 roku wezwano mnie na tłumacza do pomocy wojskowym z Ameryki Południowej, którzy studiowali na wydziale wojsk zmechanizowanych w Fort Riley w stanie Kansas. Wciągając się w obowiązki wojskowe nie zaniedbywałem też poszukiwań duchowych; był to bowiem okres mojej pogoni za prawdą. Jednej sobotniej nocy udałem się na nabożeństwo pod gołym niebem prowadzone przez Armię Zbawienia na jednej z ulic Junction City. Zrazu patrzyłem na to obojętnie, nawet z pogardą, ale podczas spotkania jakaś nadprzyrodzona siła zmuszała mnie, bym słuchał najuważniej. Wysilek się opłacił. Młoda dama w mundurku Armii Zbawienia wygłosiła kazanie, piękne i wzruszające, zakończone apelem, by słuchacze uwierzyli w doskonałą, wystarczającą ofiarę Chrystusa, by odpowiedzieli na Jego łaskę. Przytoczyła też słowa Jezusa z Ewangelii Jana 5,24:

„Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: Kto słowa mego słucha i wierzy onemu, który mię posłał, ma żywot wieczny i nie przyjdzie na sąd, ale przeszedł z śmierci do żywota”

Poczułem, że przechodzę ze śmierci do życia! Pod wpływem tej nadprzyrodzonej siły padłem na kolana, przyjąłem Chrystusa jako Pana mego życia i uznałem Go za swego Zbawiciela. Nie potrafię wytłumaczyć, co się stało ani jak to się stało. Mogę tylko powtórzyć za ślepcem z Ewangelii:

„Będąc ślepy, teraz widzę” (J 9,25).

W obliczu przemienionego życia nie sposób zaprzeczać mocy Ducha Świętego. W moim życiu coś się zdarzyło, jestem już innym człowiekiem. Kocham rzeczy, których niegdyś nie znośm, a nie znoszę takich, za którymi przepadałem. Temu, kto nie narodził się na nowo, wyda się to pewnie głupotą,

„Ale cielesny człowiek nie pojmuje tych rzeczy, które są Ducha Bożego; albowiem mu są głupstwem i nie może ich poznać, przeto iż duchownie bywają rozsądzone” (1Kor 2,14).

Moje życie stało się odtąd publicznym świadectwem przemieniającej mocy Ducha Świętego: byłem grzesznikiem zbawionym łaską. Gdy uwierzyłem rozumem, przez pół roku dręczyły mnie wątpliwości i lęki, a nocami koszmar gonił za koszmarem. Ale gdy uwierzyłem też sercem i w pełni oddałem się w ramiona ukrzyżowanego Zbawcy, poznałem pokój, błogość i doskonałą pewność, jakiej doświadczają ci, którzy ufają Jezusowi. Prawdziwe życie rozpocząłem w wieku 44 lat!

Sługa Ewangelii

Blue Ridge Summit to kurort letni w pasmie górskim między Marylandem a Pensylwanią, 25 km na zachód od Gettysburga i tylko niecały kilometr od Camp Ritchie, miejsca mego stacjonowania. Po ślubie zamieszkałem wraz z panią Fernandez w tym miasteczku. Największym kościołem był tam kościół prezbiteriański, a pastor, C. P. Muyskens, kolega kapelana Kregela ze szkolnej ławy, był niegdyś podobnie jak tamten pastorem holenderskiego kościoła reformowanego. Odwiedzając regularnie ten kościół, byliśmy pod wrażeniem wyjątkowych cnót kaznodziejskich i duszpasterskich pastora, a goszcząc nieraz w jego domu podziwialiśmy wzorcowe życie rodzinne. On nie zostawiał wiary za kazalnica — zabierał ją do domu. Znalazłem w nim zachętę, przykład i pokrzepienie, tak niezbędne w okresie przemiany z żołnierza w sługę Ewangelii. Właśnie na początku tego owocnego okresu odesłano mnie nagle do dalekiego Fort Riley. Wracając po czterech miesiącach byłem najszcześliwszym człowiekiem na ziemi: w sercu miałem już Chrystusa, a w kieszeni pochwałę od komendanta Szkoły Kawalerii. 24 kwietnia 1945 roku ordynowano mnie na pastora w kościele prezbiteriańskim Hawley Memorial w Blue Ridge Summit; ale nadal byłem żołnierzem. Dwa miesiące później otrzymałem utęskniony kawałek papieru: zaszczytne zwolnienie ze służby w Armii Stanów Zjednoczonych! Jesienią zacząłem naukę w Seminarium Teologicznym Princeton, tam też w swoim czasie otrzymałem tytuł magistra teologii. Rok spędzony w Princeton mogę chyba uznać za najszcześliwszy w życiu: duchowe pokrzepienie, doskonała wspólnota z wierzącymi, rozwój intelektualny i najgłębsze przeżycia religijne. Był to dla mnie — jak niegdyś w życiu św. Pawła — okres „Arabii”. Pomijając niezwykłą urodę okolicy, szczególne wrażenie wywarło na mnie solidne, zdrowe nauczanie profesorów, a także widok rozpromienionych młodych ludzi, żyjących w wolności Ducha i całkowicie oddanych służbie Chrystusowi. W porównaniu z sytuacją sprzed lat w seminarium różnica była kolosalna. Strach, reżim i nieustanną kontrolę zastąpiła miłość, radość i wolność dzieci Bożych.

Jego świadek

Skoro zaświadczyłem już o zbawczej mocy Jezusa Chrystusa, ostatnią część świadectwa powinienem chyba poświęcić zagadnieniu: „Czym Ewangelia jest dla mnie?” — jakim ja jestem świadkiem żywej i nieustannie działającej łaski Bożej? Chrześcijaństwo to dla mnie życie w Chrystusie przez wiarę w Tego, który jako jedyny może zbawić. Bóg swą prawdę ukazał w Biblii, przez Biblię też poznałem prawdziwego, żywego Chrystusa, uznając Go za Zbawcę i jedynego, pośrednika między Bogiem a ludźmi”. Jako hiszpański katolik, znałem Chrystusa jako niemowlę na rękach matki i jako martwe zwłoki na kolanach Maryi. Żywy, zmartwychwstały Chrystus dla mnie nie istniał, do czasu aż Pismo Święte zaprowadziło mnie na Golgotę, do pustego grobu i do zmartwychwstałego Pana. Przez 44 lata wystawiałem pod Synajem, słuchając gromów prawa miotanych przez kościelny rytuał; lecz nie zdołały mnie one przekonać o mym grzechu. Aż nadszedł dzień, gdy udałem się na Golgotę i ujrzałem Zbawcę, który tam, na krzyżu, wisiał zamiast mnie. W obliczu krzyża pierwszy raz w życiu uświadomiłem sobie sens odkupienia. Uwierzyłem nie tylko umysłem, ale i sercem, powierzając siebie w ramiona Zbawiciela. Wtedy poczułem, jakby spadło ze mnie brzemie. Narodziłem się na nowo, moja dusza otrzymała życie wieczne. Dzięki temu mogłem zakosztować chwały zmartwychwstania. W oczach Boga zostałem usprawiedliwiony, wszystkie me grzechy zostały usunięte sprzed Jego oblicza. Chrystus stał się dla mnie żywą rzeczywistością, i sam Duch wraz z moim duchem świadczył, że jestem synem Bożym, „uczestnikiem natury Bożej”. Typowy u katolika lęk przed śmiercią znikł z mego serca; i powtarzam za Pawłem:

„Albowiem moim życiem jest Chrystus, a umrzeć zysk” (Flp 1,21),

i za Hiobem:

„Aczci ja wiem, iż Odkupiciel mój żyje” (Hi 19,25).

Mogę też powtórzyć radośnie i z triumfem słowa pewnej pieśni: „On żyje! Rozmawia ze mną i jest obok mnie, i mówi, że do Niego należę. Pytasz, skąd o tym wiem? Bo On żyje w moim sercu”. Żywię głębokie przekonanie, że Ewangelia jest w swej istocie pełna mocy, zdolnej zmienić człowieka. Powiem za Pawłem:

„Albowiem nie wstydzę się za Ewangelię Chrystusową, ponieważ jest mocą Bożą ku zbawieniu każdemu wierzącemu, Żydowi najprzód, potem i Greczynowi” (Rz 1,16).

Ta moc ze sfery duchowej wydaje się wpływać i na ekonomiczny, fizyczny wymiar życia, wedle obietnicy Bożej dla Jozuego:

„Niech nie odstępują księgi zakonu tego od ust twoich; ale rozmyślaj w nich we dnie i w nocy, abyś strzegł i czynił wszystko, co napisano w nim; albowiem na ten czas poszczęścią się drogi twoje, i na ten czas roztroptym będziesz” (Joz 1,8).

Poznajamy, moc Bożą ku zbawieniu” — Biblię. To ona jest źródłem naszej siły, podwaliną, na której wzniesiono kościół:

„Zbudowani na fundamencie Apostołów i proroków, którego jest gruntownym węgielnym kamieniem sam Jezus Chrystus” (Ef 2,20).

Dajcie mi proste poselstwo Ewangelii, to, które mądrzy tego świata mają za głupstwo! Mnie ono wystarcza, bo jest mocą Bożą ku zbawieniu. Poselstwem tym pierwsi chrześcijanie dla Chrystusa zdobywali pogański świat i przez nie Reformatorzy zdołali oprzeć się mocy potężnego Goliata: Rzymu. Żaden szanujący Biblię chrześcijanin nie porzuci jej i Ewangelii dla katechizmu i przykazań ustalonych przez człowieka. Tylko nominalni chrześcijanie, pozbawieni, mocy Bożej ku zbawieniu”, mogą ulec pokusom religii materializmu, rytuału, formalizmu i pychy. Główną pobudką Reformatorów było umiłowanie tej prawdy, jaką odnaleźli w Ewangelii. Dlatego zgodnie podnieśli głosy przeciw przysłanianiu przez kościół światłości Ewangelii. Wytrwała obrona niesfalszowanego Słowa Bożego przed ówczesną władzą kościelną i świecką dała grunt pod dynamiczny rozwój prawdziwej wiary chrześcijańskiej, wznoszonej na Skale, którą jest Chrystus, i na filarach Jego Słowa.

Wyzwanie czasów

Co więc czynić, aby swym życiem ukazać moc Ewangelii?

1. Nawróćmy się!

Padnijmy na kolana i ze skrucą w sercu wyznajmy, że zesłiśmy ze ścieżki naszych przodków, którzy bohatercko walczyli, o wiarę raz tylko przekazaną świętym” (Jd 3), że odwróciliśmy się od Słowa Bożego ku przykazaniom ludzkim, powracając ku starym formalizmowi i legalizmowi, przeciw którym wystąpili Reformatorzy. Zagubiliśmy pierwszą miłość, utraciliśmy wizję naszego bezcennego dziedzictwa. W Apokalipsie czytamy apel anioła Bożego, który do kościoła w Sardach, symbolizującego kościół reformacyjny, zwraca się tak ostrymi słowami:

„A aniołowi zboru, który jest w Sardziech, napisz: To mówi ten, który ma siedm duchów Bożych i siedm gwiazd: Znam uczynki twoje, i masz imię, że żyjesz; aleś jest umarły. Bądź czujny, a utwierdzaj innych, którzy umrzeć mają; albowiem nie znalazłem uczynków twoich zupełnych przed Bogiem. Pamiętaj tedy, jakoś wziął i słyszał, a chowaj i pokutuj. Jeżeli tedy czuć nie będziesz, przyjdę na cię jako złodziej, a nie zrozumiesz, której godziny przyjdę na cię” (Ap 3,1–3).

2. Wróćmy do Biblii!

To Chrystus jest Słowem.

„Na początku było Słowo, a ono Słowo było u Boga, a Bogiem było ono Słowo. [...] A to Słowo ciałem się stało, i mieszkało między nami, i widzieliśmy chwałę jego, chwałę jako jednorodzonego od Ojca, pełne łaski i prawdy” (J 1,1.14).

Gdy czytamy Słowo, Chrystus jest z nami. Gdy głosimy je, dajemy słuchaczom Chrystusa, Tego samego, który chodził po ziemi, umarł na Golgocie i powstał z martwych. Tylko w mocy Słowa możemy oczekiwać ożywienia naszego chrześcijaństwa, umocnienia wiary, ocalenia świata od zamętu i zagłady.

3. Bądźmy świadkami Chrystusa!

Skoro Słowo stało się ciałem, to i każde ciało powinno stać się słowem, głosząc „niezłębione bogactwo Chrystusa” (Ef 3,8 BT). Jeśli Chrystus coś dla nas znaczy, to głosmy Jego Słowo. Jeśli doświadczyliśmy Jego zbawczej mocy, to oddajmy życie w Jego służbę. Jak napisał psalmista:

„Niech o tem powiedzą ci, których odkupił Pan, jako ich wykupił z ręki nieprzyjacielskiej” (Ps 107,2).

Jose A. Fernandez, nawrócony ksiądz

Po nawróceniu Jose A. Fernandez prowadził energiczną pracę misyjną, zwłaszcza na wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych, wśród imigrantów z Ameryki Łacińskiej. Dziś jest już u Pana.

Światłość i życie w Chrystusie

Świadectwo nawróconego księdza Hermana Heggera

W dzieciństwie często słyszałem, że najlepszy sposób na uniknięcie piekła to życie w klasztorze. Postanowiłem zastosować się do tej rady.

Klasztorne wysiłki

Życie klasztorne ma kształtować siłę woli i uczyć panowania nad namiętnościami i pożądliwością. W moim klasztorze stosowało się po temu różne tortury cielesne. Kilka razy w tygodniu biczowaliśmy się okładając nagie ciało guzelkowatymi sznurami. Mówiono nam, że gdy dzielnie tę bolesną praktykę zniesiemy, będziemy umieli oprzeć się wszelkiej żądzy zmysłowej i płciowej. Słyszeliśmy też, że biczując się można czynić przebłaganie za popełnione grzechy, skracając sobie pobyt w czyśćcu. Wokół pasa, ud i ramion zakładaliśmy łańcuchy pokutne z kolcami wbijającymi się w ciało. Stosowaliśmy też rozliczne inne sposoby „cielesnych umartwień”. Obok cierpień zadawanych sobie samodzielnie stosowaliśmy też inne upokarzenia, mające zdusić w nas dumę i próżność. Podczas jednego z takich ćwiczeń dany kapłan musiał leżeć płasko na progu, tak aby inni przechodząc tamtędy deptali po nim. Ilekroć kapłanem tym byłem ja, czułem się jak robak pod stopami ludzi, sądziłem jednak, że Bogu na pewno bardzo podoba się moje dobrowolne upokorzenie. Do najgorszych upokorzeń należało lizanie do czysta posadzki. Czułem się jak zwierzę — świnia ryjąca w błocie, węszący pies, a czasem nawet jak owad pełzający w prochu ziemi. Żadne jednak umartwienia i poniżenia nie polepszały mego charakteru i zachowania. Przeciwnie: odkryłem, iż słaba, grzeszna natura miewa się nader dobrze. Najsilniejsze poczucie próżności i pychy nachodziło mnie właśnie wtedy, gdy lizałem posadzkę. „Ależ z ciebie wspaniały gość” — myślałem sobie. — „Jaką ty masz silną wolę! Odważyć się na takie poniżenie! Coś niesamowitego!” Spostrzegłem, że wskutek absurdalnych praktyk moja pycha tylko rośnie. Klasztor to świątobliwe wysiłki z góry skazane na niepowodzenie. Dlaczego? Bo kapłan czy zakonnik zabiera do celi także swą grzeszną naturę.

Dosięgnąć Boga przez mistycyzm

Podczas nowicjatu oprócz prób ujarzmiania cielesnych namiętności przez ascetyzm oddawaliśmy się praktyce modlitwy. Nazywało się to kultywowaniem życia duchowego, wewnętrznego i miało służyć uintensywnianiu naszego kontaktu z Bogiem, Jezusem Chrystusem i Maryją. Najwyższym naszym celem był prawdziwy mistycyzm. Lecz nie zakosztowałem wtedy ani krzty mistycyzmu; uważałem więc modlitwę za zadanie bardzo trudne. Zapoznano nas z kilkoma sposobami właściwej medytacji. Wieczorami czytowano nam głośno pobożne rozważania o męce Pańskiej różnych autorów. Mieliśmy zadawać pytania w rodzaju: Kto cierpi? Jak cierpi? Dlaczego? Za kogo? Odpowiedzi miały w nas wzbudzić akt żalu za grzechy i akty wiary, nadziei i miłości oraz skłaniać nas do postanowień o poprawie życia. Zwykle bardzo prędko udzielałem odpowiedzi na te pytania, więc zostawało sporo czasu na rozmyślanie o innych rzeczach. Zresztą poziom rozważań tych rzymskokatolickich autorów na temat cierpień Chrystusa wydał mi się dość mizerny; koloryzowali oni i urabiali te refleksje podług własnych emocji. I nigdy nie zdołali zająć nimi głębiej mojej uwagi. W 1940 roku przyszło mi raz do głowy: A gdyby zajrzeć do Biblii? Są tam przecież myśli nie ludzi, ale samego Boga. Klasztorne przepisy nakazywały jednak słuchać tego, co czytano podczas medytacji;

Biblię można było przy takich okazjach czytać tylko za specjalnym pozwoleniem. Pozwolenia tego mi udzielono.

Doraźny pożytek z Biblii

I wszystko się zmieniło. Czas medytacji przestał być czasem nudy; polubiłem go! Uszczęśliwiła mnie myśl, że stykam się z nieomylnym Słowem Bożym, że stoję na ziemi świętej. Z radością rozmyślałem o tekście biblijnym; odwracałem jego karty, drżąc przed płomiennym obliczem Boga, jakie tam odnajdowałem. Do głębi wzruszała mnie miłość Ojca, który zechciał się ku mnie w tych słowach pochylić. Szczególnie upodobałem sobie rozważania tekstu o męce Pańskiej. Każde zdanie odkrywało wielkość duszy cierpiącego Jezusa. Stał On przede mną w całej swej chwale, w swym miłosierdziu, czystości i pokoju. Jezus przestał być chłodną koncepcją intelektualną, przestał też być zniewieściałą kukłą bez charakteru, jaką od lat oglądałem na obrazach. Między Nim a mną zaistniała więź, braterstwo dusz. Ale jeszcze nie bliska więź dwóch osób. Ta bowiem miała zrodzić się później, gdy poprzez nieskażoną Ewangelię poznałem Jezusa jako mego jedyne, doskonałego Zbawcę.

Brak pewności zbawienia i próby dotarcia do Maryi

Na przeszkodzie do tego typu osobistego związku stoi doktryna o możliwości utraty łaski. Choć oddałem się w pełni rozważaniom o Trójjedynym Bogu, o Jezusie Chrystusie, to nie wiedzieć skąd uderzała mnie myśl: Ten Bóg, ten Jezus Chrystus, z którym jak twierdzisz, masz bliską więź, może odrzucić cię pewnego dnia, mówiąc: „Precz, duszo przeklęta, w ogień wieczny!” Zdawałem sobie oczywiście sprawę, że wskutek moich grzechów na potępienie takie zasługuję. Właśnie ta obawa: że Bóg i ja moglibyśmy siebie znienawidzić na wieki, psuła moją z Nim więź. Kolejną przeszkodą w doświadczaniu doskonałej miłości Chrystusa był kult Maryi. Według doktryny rzymskiej oddanie się Maryi to najlepszy sposób wykształcenia w sobie wytrwałości. Dziecko Maryi nigdy nie dozna zguby. Przekonanie to wpajano nam nieustannie z ambony, dowodząc, że kto nie jest dzieckiem Maryi, mocno ryzykuje wieczne potępienie. Pomimo wielkich wysiłków nie zdołałem wskrzesić w sobie głębszego uczucia do Maryi. Pozostawała dla mnie stworzeniem, kobietą, choć wywyższoną i błogosławioną wśród niewiast. Nie dostrzegałem w niej nic boskiego. Nie udało mi się umiejscowić jej w moim życiu; moje modlitwy do niej nigdy nie były wylewne; nie potrafiłem też „zanurzyć się” w niej. Ów brak szczerego oddania się Maryi bardzo mnie trapił. Kiedy na medytacji oddawałem się całym sercem rozmyślaniom o Jezusie Chrystusie, przychodziło mi do głowy, że za rzadko modlę się do Maryi. Z lęku, bym pewnego dnia nie został na zawsze oddzielony od Jezusa, zwracałem się przerażony do tej łask pośredniczki, błagając, aby wybawiła mnie od wiecznego potępienia. Gdy zaś dochodziłem do wniosku, że poświęciłem jej już dość uwagi, powracałem do Chrystusa, do Tego, który objawił mi Siebie w świętym Słowie Bożym. Bardzo się starałem odkryć w Maryi coś boskiego. Pomyślałem, że trzeba widzieć w niej odwieczną, bierną pierwotną podstawę wszechrzeczy, pierwiastek żeński, chłonny, płodny, widoczny w całym stworzeniu, w odróżnieniu od zasady męskiej, aktywnej, twórczej. Liczyłem, że zdołam nawiązać swoisty mistyczny kontakt z Maryją, co ułatwi mi modlitwy do niej. Poszukiwania w tym kierunku wrzuciły mnie jednak w ocean pogaństwa.

Największy problem: Rzym chce mieć ostatnie słowo

Inną przeszkodą w bliskiej więzi z Jezusem była nauka nadająca orzeczeniom Rzymu status najwyższego, ostatecznego źródła poznania objawienia Bożego. Jak by na nią nie spojrzeć, nauka ta czyni ze Słowa Bożego drugorzędną publikację. Nie zmienia tego papieskie apele do wiernych o częste sięganie do Biblii; katolik nie odda się w pełni jej rozważaniu. Z „głębszym sensem” Słowa, który w jego przekonaniu należy wyluskać, wiąże się zawsze szereg pytań. Jeśli kościół wygłosił na dany temat jakieś orzeczenie, swą opinię o sensie fragmentu katolik musi odłożyć na bok i dostosować się do nauki kościoła. Logicznie więc pod rozwagę należałoby dać mu nie Biblię, ale wypowiedzi papieży i soborów; sęk jednak w tym, iż często brzmiały one abstrakcyjnie i scholastycznie. Suche schematy doktrynalne nie mogą

się równać z żywym Słowem Bożym. Poza tym choć wypowiedzi te mają status nieomylnych, to nie są przecież Słowem Boga — co zresztą przyznaje i Rzym. Choć według Rzymu Bóg przez Ducha Świętego zadbał o to, by nie zawierały one błędów, są to twierdzenia ludzkie! Brak im siły oddziaływania charakterystycznej dla Biblii, bo to nie bezpośrednio sam Bóg przemawia w nich do człowieka. Pozostają więc, nawet dla Rzymu, tylko interpretacją Słowa. Nie są dodatkami do Pisma Świętego ani dalszym ciągiem Biblii. Kościół katolicki moził się zatem w okolicznościach, gdzie poselstwa Biblii nie jest się pewnym, a orzeczeniom kościoła brak życia. Wzywa swych członków do czytania Biblii, choć lektura ta i tak do niczego nie prowadzi — Biblii bowiem nigdy nie przyznano tu centralnej, niepowtarzalnej roli, jaką cieszy się ona wśród chrześcijan opierających na niej życie. Ciągłe zachęty mogą wprawdzie zrodzić czasowy wzrost zainteresowania Biblią wśród katolików, nie utrzyma się on jednak na dłuższą metę. Któż bowiem zawracałby sobie głowę czytaniem drugorzędного źródła, co do którego nie można mieć żadnej pewności, i oddawał się temu co dzień rok po roku? Poza tym z lekturą Biblii wiąże się ryzyko zwątpienia w nauki kościoła, a to już grzech śmiertelny, zagrożony wiecznym zatraceniem. Wszystkie te przeszkody znalazły odpowiedź i kres w biblijnej nauce o zbawieniu „tylko łaską” i „tylko przez wiarę” na podstawie autorytetu „tylko Biblii”. Tak głosiła Reformacja. Dlatego nauczanie Reformatorów może w sposób idealny zrodzić przebudzenie w duszy człowieka. „Tylko wiara”. Człowiek może być zbawiony tylko przez wiarę — wiarę w Jezusa Chrystusa jako Zbawcę.

Prawdziwa więź duchowa

Istota więzi człowieka z Bogiem tkwi w zależności od Kogoś Zupełnie Innego. To więź między dwiema osobami; nie zrodzą jej poszukiwania w ramach świata przyrody, mimo że poza światem zmieniających się zjawisk można dostrzec Tego, Który Jest Zupełnie Inny. Naturalista widzi fałdy przepięknej Bożej szaty i może wskazać na odciski Bożych palców w przyrodzie. Może nawet osiągnąć pewną ekstazę, uciec od wąskich ograniczeń swego ja, przedrzeć się poza przytłaczające formy ziemskie do sfery niezniszczalnej, kryjącej się poza tym światem. Mogą mu zostać ukazane pejzaże dobroci, prawdy i piękna; lecz nigdy nie pojmie on istoty prawdziwej, osobistej więzi z Bogiem. Naturalista — choć w teorii wierzy w istnienie osobowego Boga, Stwórcy wszechświata, który nie jest tożsamy ze światem, ale odrębny od niego — nie zazna prawdziwej jedności z Bogiem, niezakłóconej więzi z żywym Bogiem Abrahama, Izaaka i Jakuba, Ojcem naszego Pana Jezusa Chrystusa. Istota prawdziwej jedności tkwi nie tylko w uczuciu zależności od Stwórcy: chodzi przede wszystkim o świadomość zależności od łaski Bożej. Tu dopiero znajdę pełnię jedności z Bogiem. Wiedząc, że Ktoś mnie stworzył, wznoszę ręce do niebios, spragniony światłości Bożej o przecudownych barwach. Padam na kolana w czci dla Majestatu Przedwiecznego i Nieskończonego, odczuwam wewnętrzny pociąg ku Wiekuistemu i Ponadczasowemu. Jako li tylko stworzenie, nie czuję jednak wcale obejmujących mnie ramion Ojca; toteż wcześniej czy później zacznę doznawać trwożliwego łomotu serca, przeczuwając pustkę, nad którą stoję. W takim położeniu duszę przeraża potworność otchłani rozciągającej się w dole. Człowiek z taką świadomością, typową dla stworzenia, nieraz długo nie domyśla się swjej grzeszności. Nie pojmuje, że światło migoczące w jego duszy to tylko refleksy Bożej Światłości, połyskiwanie Bożej szaty. Poselstwo głoszące konieczność „tylko wiary” daje natomiast duszy doskonały pokój, zarówno przy spojrzeniu ku górze, jak i przy spojrzeniu w dół. Według tego poselstwa zbawienie człowieka pochodzi tylko z wiary i opiera się na Jezusie Chrystusie: na jego zastępczej ofercie i zmartwychwstaniu. Zaufanie Jezusowi jest zatem kwestią z kategorii: być albo nie być.

Być albo nie być

Moje zbawienie opiera się na ufności w Nim złożonej. Wiara ta przejmuję mnie do głębi, dotykając najintymniejszych obszarów jaźni, dając siłę, kierując całą osobę w jedną tylko stronę: ku Jezusowi. Nie jest to wcale proces przykry — bo wiara zwracając się ku miłości Jezusa doznaje pociechy. Znika strach przed spojrzeniem w dół, gdyż wiem, że zbawiła mnie nie wiara w szczerość mej wiary, lecz wiara w Jezusa. Można rzec, że dusza zostaje wyzwolona od siebie samej: nie jest już uwięziona w sobie i może odpocząć w błogiej znajomości swego

Zbawcy. Taka oto wiara prowadzi do tego, co wielu chciałoby znaleźć w mistycyzmie: do prawdziwej jedności z Bogiem. „Tylko łaska” — człowiek zostaje zbawiony tylko łaską. Nie może zapracować sobie na niebo — zbawia go wierność Boga.

„A ja żywot wieczny daję im i nie zginą na wieki, ani ich żaden wydrze z ręki mojej” (J 10,28).

Dzięki tym obietnicom Zbawcy człowiek wie, że znalazł się w nieskończenie bezpiecznych ramionach Pasterza. Wie, że nigdy nie odpadnie od łaski Bożej, gdyż sam Bóg zadba o to, by wytrwał. Bóg nie zaniedbuje swych dzieł. Nic nie może już zakłócić miłości, lęk przed piekłem nie zaćmi jej blasku, nie zgasi jej światła. „Tylko Biblia” — tylko Biblia jest zapisem objawienia Bożego, w którym Bóg ukazał Siebie człowiekowi czarno na białym, w formie zawsze możliwej do dowolnego przeglądania. To dar Boga dla człowieka, który Boga poszukuje. Nie mogą sobie do takiego kogoś rościć praw tradycje ludzkie. To prawda, że we wspólnocie świętych — kościele od wieków spajającym ich w służbie Bożej — wierzący otrzyma wiele rzeczy pomocnych w głębszym rozumieniu Słowa Bożego. Ale Pismo Święte na zawsze pozostanie ostatecznym sądem apelacyjnym, probierzem prawdziwości każdej nauki. Dlatego wierzący zagłębia się w Biblii, słucha jej poselstwa, modli się o światło Ducha — i słyszy, co żywy Bóg ma mu do powiedzenia, napęlniając swą duszę bojaźnią, dobrocią i radością.

Awans i zwątpienie

Po siedmiu latach posługi powierzono mi stanowisko wykładowcy filozofii w pewnym seminarium rzymskokatolickim w Brazylii. Już wtedy dręczyły mnie poważne wątpliwości. Co robiłem z tymi wątpliwościami? Nigdy się z nimi nie patyczkowałem. Nie zamierzałem rozważać możliwości, iż nauczanie mojego kościoła mogłoby być błędne. Gdybym bowiem choć przez chwilę założył możliwość błędu w doktrynie kościoła, byłbym według Rzymu winny grzechu śmiertelnego. Bezwzględny zakaz wątpienia i podważania nauk Rzymu to źródło wielkiej siły tego kościoła. Protestanci dziwią się, że katolicy uczeni, studiując Pismo, nie pojmują jednak istoty Ewangelii. Lecz umysł katolika nie jest umysłem wolnym: każde odejście od Rzymu jest zagrożone ogniem nieugaszonym. Jeśli choć przez moment zechce on uczciwie rozważyć, czy nauka Reformatorów o Biblii nie jest czasem słuszna, otwiera się u jego stóp otchłań potępieńców. Katolik nie wątpi, że w tej samej chwili Bóg jest gotów zawołać: „Precz ode Mnie, przeklęty!” Powtarzano nam, że nie trzeba się bać, jeśli takie wątpliwości nawiedzą duszę. Nieraz omawiałem je z moim kierownikiem duchowym, który niezłomnie udzielał mi tej rady: „Wątpliwości nie są powodem, dla którego miałbyś zrezygnować z kapłaństwa”. Według kościoła katolickiego pokonując zwątpienie wysługujemy sobie wyższą pozycję w niebie. W takich wypadkach radzono nam odmówić krótką modlitwę i myśleć o czym innym, a dopiero potem, gdy wątpliwość zelżeje, zająć się jej analizą. Uczono nas też, że teza o niewykluczanej racji protestantów może pochodzić tylko od diabła.

Wątpliwości tomistyczne i autentyczne

Choć zabraniano nam rozważać jakiegokolwiek wątpliwości co do nauki kościoła, to nieraz w celach dydaktycznych zezwalano na wątpliwości natury metodologicznej. Podejście to usystematyzował Tomasz z Akwinu w swej *Summa Theologica*. Polega ono na doraźnym uznaniu słuszności poglądu przeciwnego, aby lepiej go zrozumieć i móc tym skuteczniej obalić. Stosuje się je w dysputach z niekatolikami. Katolik może wtedy udawać, że dopuszcza słuszność stanowiska oponenta, lecz faktyczne uznanie tej słuszności nie wchodzi w rachubę. Pierwszą mą funkcją kapłańską było codzienne odprawianie mszy. Gdy wedle polecenia Rzymu szeptałem słowa konsekracji, substancja chleba i wina miała się stawać Ciałem i Krwią Pana. Co dzień taki cud w mych rękach! Ale doktryna o Przeistoczeniu jakoś nigdy mnie nie fascynowała. Bez zapалу klękałem przed przedmiotami, wzdrygałem się przed modlitwą do hostii. Zamykanie Boga w chlebie i winie gwałciło me najgłębsze uczucia religijne; nie umiałem wznosić duszy ku Bogu, który skrył się pod postacią nieożywionych przedmiotów. Nie umiałem też wzbudzić w sobie zachwyty dla chwały Zbawiciela, który miał być obecny w spożywanej przeze mnie hostii. Autorzy rzymskokatolicki zdają sobie sprawę z tej trudności. Nigdy na przykład nie piszą o „Jezusie w żołądku”, ale o „Jezusie, który spoczywa

na sercu”. Chcąc nie chcąc zatem alegoryzują oni formułę: „To JEST Ciało Moje”! Lecz po prawdzie — jaki jest cel Przeistoczenia? Jaką wartość ma dla mnie fakt, że w moim żołądku znajdzie się Jezus w postaci chleba i wina? Przecież tak naprawdę liczy się moja żywa więź ze Zbawcą. Co za pożytek z Jego rzekomej cielesnej obecności w tych substancjach? Tylko odciągają one mą uwagę od chwały Odkupiciela! Jezus objawia mi się przez Słowo i Ducha. Ufam Temu, Który objawia mi się w swojej Ewangelii.

Obecność fizyczna czy duchowa?

Nauka o magicznej obecności Jezusa po Przeistoczeniu napawała mnie lękiem; była jak ogień, co parzy, a nie płomień, co ogrzewa. Nie było tu miejsca na miłość, nie umiałem zwracać się do takiego Jezusa. Wystękiwałem obowiązkowe dziękczynienie; lecz przerażał mnie chaos w mych myślach i wyobraźni. Potem często trawiło mnie uczucie dojmującej pustki. Inny szkopuł stanowiła natura teorii Przeistoczenia. Według Rzymu to w istocie nie Jezus zstępuje w swym cielesnym i duszy na ołtarz — Jezus bowiem pozostaje w niebie. To substancje chleba i wina zmieniają się w substancje Ciała i Krwi Chrystusa. Z trudem przychodziło mi zwracać się do tak wykonypowanej obecności Jezusa; nie potrafiłem modlić się, jak należy, gdyż niełatwo mi było dopatrzeć się tu Jego faktycznej obecności. Większość teologów protestanckich uznaje faktyczną obecność Jezusa podczas Wieczery Pańskiej, ale pojmują ją oni na sposób duchowy, nie usiłując rozdzierać tajemnicy za pomocą beznamiętnego rozumowania. Uznają, iż podczas obchodzenia Pamiątki Jezus jest obecny, aby poprzez znaki chleba i wina upewnić nas o swej wiekistej wierności i miłości. Dlatego Jego święta Wieczera nie przeraża obecnością Boskiego majestatu, ale napenia uczestników niewypowiedzianym pokojem.

Druga funkcja — dalsze wątpliwości

Drugą funkcją powierzoną mi jako księdzu było sprawowanie sakramentu pokuty. W strukturze władzy Rzymu spowiedź to strategiczny fundament, wyraz podporządkowania osoby świeckiej duchownemu. Ksiądz w konfesjonale zajmuje miejsce analogiczne do tronu sędziowskiego. Penitent wyznaje swe słabości, tajemnice, których nie powierzyłby nikomu; i od księdza zależy, czy odejdzie z rozgrzeszeniem. To ksiądz podejmuje decyzję oscylującą między niebem a piekłem. Nie będę tu przytaczał argumentacji biblijnej, jaką kościół rzymski uzasadnia praktykę spowiedzi dousznej. Zapytam tylko: Czy na tym ma polegać „wolność i chwała dzieci Bożych”? Czy to jest właśnie błogosławieństwo zbawienia, które z chwalebą radością opiewa Biblia? Czy to jest ów pokój, który zwiastowano nad betlejemskimi polami? Czy znajdujemy tu coś z wizerunku Dobrego Pasterza, który wyrusza na poszukiwanie zabłąkanych na pustkowiu owiec i na ramionach niesie je z powrotem do owczarni? Czy poprzez spowiedź owce nie są raczej przywoływane do porządku kopniakami i odstawiane do „owczarni” pod groźbą wiecznego potępienia?

Prawdziwa spowiedź przed obliczem Boga

Dobrze jest, gdy wierzący, przygnieciony brzemieniem winy, pragnie wyznać grzechy Bogu. Nieraz dobrze jest też wyznać je osobie godnej zaufania. Może to podnieść na duchu, przynieść pociechę. Człowiek czasem tak zadrecza się swym grzechem, iż trudno mu uwierzyć, że mógłby on zostać odpuszczony. Wie co prawda, że według Biblii miłosierdzie i przebaczenie Jezusa nie mają granic; ale pokrzepi go potwierdzenie z ust innego wierzącego, duszpasterza bądź nie, słowami: „Chrystus umarł też i za twoje grzechy”. Mamy tu jednak do czynienia z całkiem inną spowiedzią i odpuszczeniem grzechów niż w kościele katolickim. Rzadko zdarzało mi się spotkać w konfesjonale kogoś, kto przyszedł, gdyż odczuwał w sercu taką potrzebę. Przychodzili, bo musieli. To uciążliwy obowiązek, którego trzeba przestrzegać, chcąc uniknąć piekła.

Od prawdy trudno uciec

Nieraz czytając Biblię zapytywałem siebie: „Czy to, co mój kościół robi, zgadza się z tą Księgą?” W Biblii powiedziano jasno, że jest tylko jeden pośrednik między Bogiem a człowiekiem: Jezus Chrystus, który na Golgocie poniósł na krzyżu karę za grzech; lecz mój kościół głosił, że pośredników jest wielu, a największą z nich Maryja, „pośredniczka wszelkich łask”. Zacząłem też rozmyślać, czy Bóg naprawdę obdarzył papieża nieomylnym autorytetem i mocą interpretacji Biblii i czy naprawdę każdy wierzący ma obowiązek uznawać poglądy papieża. Czy to w ogóle w porządku, aby papież miał władzę unieważniać i reinterpretować proste słowa Pisma Świętego? Strach paraliżuje myśli, obezwładnia rozsądek. Umysł nie działa normalnie, gdy wisi nad nim groźba grzechu śmiertelnego i piekła, gdy wizja ognia wiecznego zmusza do określonych wniosków. Krytycznie rzecz biorąc, wnioski wyciągane w takich warunkach nie są wiarygodne. Robiłem, co mogłem, ale nijak nie mogłem w pełni przekonać siebie o prawdziwości nauk Rzymu. Mogłem im co najwyżej przypisać jakieś prawdopodobieństwo prawdziwości, nic więcej; twierdząc inaczej, mamiłbym sam siebie. Podświadomość nie umiała już dłużej narzucać mej rozumowej niepewności irracjonalnych przekonań; przejrzałem jej działanie. Sumienie zarzucało mi, że okłamuję sam siebie; skoro tak, nie mogłem dłużej zwać się rzymskim katolikiem. Wykluczała to doktryna mojego kościoła. W podręczniku *Theologia Moralis Aertnica Damena* (XII, 323) przeczytałem, że kto uparcie poddaje w wątpliwość prawdy wiary, jest skończonym heretykiem, który wiarę utracił. Wedle maksymy: *Dubius in fide infidelis est* (wątpiący w wierze jest niewiernym) nie byłem już prawdziwym wierzącym; byłem bowiem pewien tylko jednego: że argumenty kościoła mające dowodzić objawienia Bożego gwarantują co najwyżej prawdopodobieństwo. Ta pewność nie płynęła wcale ze zbuntowanego serca czy pychy; była tylko kwestią uczciwości wobec samego siebie. Stałem przed wyborem: mogłem pozostać katolikiem i resztę życia spędzić jako kłamca bądź też dochować wierności swym najgłębszym przekonaniom i opuścić kościół. Wybrałem to drugie. Za Lutrem mógłbym rzec: „Tak oto stoję. Inaczej postąpić nie mogę”.

Na piasku

Straszliwa to była chwila, gdy z całą uczciwością poczułem się zmuszony odmówić intelektualnego posłuszeństwa doktrynalnym wyrokom Rzymu. Kościół katolicki był mi podporą, skałą, na której budowałem poglądy — teraz spostrzegłem, że wzniosłem dom na piasku. Fale uczciwej autorefleksji wymyły piach spod fundamentów, dom runął, a mnie uniosły wody rozpacz. Nie widziałem niczego, czego mógłbym się uchwycić. Sam musiałem radzić sobie z gąszczem światopoglądów. Pełen tych wątpliwości nie mogłem oczywiście dalej być kapłanem; skończyło się klasztorne umieranie żywcem. Porzuciłem żywot odbić i cieni na rzecz świata frapującej namacalności, gdzie wreszcie mogłem głębiej odetchnąć. Zrezygnowałem z funkcji wykładowcy, opuściłem kościół katolicki. Zdjąłem sutannę, która w tropikalnej Brazylii nasiąkała gorącem; mogłem poruszać się lekko, swobodnie, w zwykłej koszuli. Lecz w głębi duszy uginałem się pod wyrzutami sumienia.

Zbawiony tylko łaską, przez wiarę

Na pozór byłem wolny, ale w duszy nie miałem pokoju, całkiem straciwszy z oczu Boga. Dużą pomoc okazał mi jeden kościół ewangelikalny z Rio de Janeiro; życzliwość jego członków, opierających wiarę tylko na Biblii, bardzo mi pomogła. To od nich otrzymałem zwykłą odzież, gdy nie miałem pieniędzy na nic. Karmili mnie, dali dach nad głową; nigdy im tego nie zapomnę. Przede wszystkim jednak ujęło mnie nauczanie ich pastora. Takie spojrzenie na Biblię było nowością. Ale na jaką właściwie pomoc mógłbym liczyć ze strony kaznodziei niekatolika? W seminarium i już jako ksiądz często słyszałem o fałszywości nauk kościołów takich jak ten, nigdy jednak nie wiedziałem, czego faktycznie one nauczają. W Rio de Janeiro usłyszałem, że nie mogę zbawić się sam ani czymkolwiek wysłużyć sobie nieba, bo jestem kompletnie zgubiony, bez nadziei. Mogłem się pod tym szczerze podpisać, bo aż nazbyt często dane mi było przekonywać się o swej niezdolności do zmiany. Mimo wielkich

wysiłeków i wszelakich umartwień nie zdołałem się stać innym człowiekiem. Kaznodzieja posunął się jeszcze dalej, pokazując, że jest tylko jeden sposób uwolnienia od grzechu: przyjąć od Boga w pełni darmowe przebaczenie i nowe życie. Ukazał, że doświadczenie to jest darem Jezusa Chrystusa, który ofiaruje je każdemu, kto odda Mu siebie z pełną ufnością w Jego doskonałą ofiarę.

Światło i życie

Zrazu nie mogłem tego przyjąć. Jak bajka: zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. Dostrzegałem całe piękno oddania się Chrystusowi; brzmiało to cudownie, wspaniale — ale za łatwo, za tanio. Dla katolika zbawienie było najtrudniejszą rzeczą na świecie, plonem nieustannych zmagani, wysłuzenia sobie Bożej życzliwości. Ale w końcu zacząłem rozumieć przesłanie Biblii. Owszem, zbawienie to najtrudniejsza rzecz na świecie, bo można na nie zasłużyć tylko idealnym przestrzeganiem wszystkich wymogów Prawa Bożego, czyli całkowitą bezgrzesznością. Drugą jednak prawdą, cudowną prawdą jest fakt, że Pan Jezus Chrystus, Syn Boży, wypełnił wszystkie te wymogi za nas, w naszym imieniu — nam pozostaje tylko Mu zaufać.

„A bywają usprawiedliwieni darmo z łaski jego przez odkupienie, które się stało w Chrystusie Jezusie. Którego Bóg wystawił ubłaganiem przez wiarę we krwi jego, ku okazaniu sprawiedliwości swojej przez odpuszczenie przedtem popełnionych grzechów w cierpliwości Bożej, Ku okazaniu sprawiedliwości swojej w teraźniejszym czasie, na to, aby on był sprawiedliwym i usprawiedliwiającym tego, który jest z wiary Jezusowej” (Rz 3,24–26).

Nastąpił wreszcie cudowny przełom. Dusza otworzyła się przed Chrystusem w bezbrzeżnej ufności. Pojąłem, że to nie Żydzi Go ukrzyżowali — że uczyniłem to ja sam. Moje grzechy zostały poniesione przez Niego. Oślepiająca jasność padła na stertę śmieci, jaką było moje dotychczasowe życie. Moja dusza leżała przede mną jak zbombardowane miasto, ja zaś cierpiałem z bólu na widok grzechu, który wypełniał całą moją istotę. Tkwiąc jednak nad tą stertą śmieci uświadomiłem sobie, że Chrystus mi odpuścił i że uczynił mnie prawdziwym wierzącym. Stałem się nowym stworzeniem. Opisując Swoją więź z prawdziwym chrześcijaninem Jezus powiedział:

„Jam jest on pasterz dobry i znam moje, a moje mię też znają” (J 10,14).

Rozpocząłem nowe życie, zaznawszy w końcu bliskości Boga, której nie mogłem zaznać wcześniej, jako katolicki ksiądz. Martwy legalizm kościoła rzymskiego pozostawiłem za sobą, przede mną zaś czekała żywa, osobista więź z naszym cudownym Bogiem.

Herman Hegger, nawrócony ksiądz

Holender Herman Hegger, zbawiony łaską Bożą w Brazylii, zdążył po swoim nawróceniu napisać już 25 książek. Jego organizacja misyjna, o nazwie „In de Rechte Straat” (Na ulicę Prostą), wytrwale świadczy o prawdzie biblijnej, będąc zarazem źródłem informacji o katolicyzmie. Herman był wielką zachętą przy tworzeniu tej książki, kontaktując nas ponadto z wieloma byłymi księżmi, którzy zostali zbawieni łaską. W 1996 roku Herman Hegger wydał dwie książki: *God's Commandment Is Love* (Bóg nakazał miłość) i *Army of Light* (Armia światłości). W Holandii bestsellerem stała się jego książka *Mother Church I Accuse You!* (Matko Kościele: Oskarżam cię!). Można się z nim kontaktować pod telefonem: (0–031) 263 615 215, a także pisać w językach holenderskim, angielskim, francuskim, niemieckim, hiszpańskim, portugalskim bądź włoskim na adres: Herman Hegger, Dillenburglaan 8, 6881 NV Velp, Holandia.

Kapłan kaznodzieją

Świadectwo nawróconego księdza J. M. A. Hendriksena

Przed laty w klasztorze budzono nas pukaniem do drzwi, wołając: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Odpowiadało się: „Na wieki wieków, amen”. Dopiero wówczas budzący przyjmował, że śpiący usłyszał pukanie i ocknął się. Dialog ten w świecie rzymskokatolickim nosi nazwę „chrześcijańskiego pozdrowienia”. Gdybyśmy zadzwonili do bram klasztoru żeńskiego, siostra odzwierna skłaniając się z pokorą i wdziękiem pozdrowi nas słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus” oczekując odpowiedzi: „Na wieki wieków, amen”. „Chrześcijańskim pozdrowieniem” rozpoczęłyby spotkanie prowadzący w którymś z towarzystw katolickich. Ale poczciwi ludzie, na pierwszy rzut oka nieraz prości, nieobcy, nie zawsze znali właściwe słowa; zawsze jednak mieli złote, wierne serca. Lubilem przebywać w ich towarzystwie. Do ludzi takich należał pewien marynarz.

Gdyby apostołowie byli rzeźnikami. . .

Pierwsze spotkanie nie było zachęcające. Odwiedziłem go w chwili, gdy wraz z żoną i grupą przyjaciół posilał się pieczenią wołową, popijając wódką. Ponieważ był akurat piątek, zapytałem, czy są katolikami.

— A jakże, proszę księdza — odparł wesoło.

— I powiem księdzu, że wyprawilem na pole misyjne z setką misjonarzy!

To miał być dowód jego katolicyzmu. Ale ja drażyłem dalej:

— A wolno to w piątek jeść mięso?

— Co się ksiądz wygłupia! — wypalił.

— Kto dba o ten raz? Nie co dzień jestem w domu. Jedzenie ryb raz w tygodniu to dla kościoła niezły interes. Bo apostołowie byli akurat rybakami. Jakby byli rzeźnikami, to by nam kazano raz w tygodniu jeść mięso! A że byli rybakami. . . Bzdury, proszę księdza!

Jako „wielebny ksiądz” nie powinienem był się śmiać — nie mogłem się jednak od tego powstrzymać.

Ewangelia według marynarza

Przeszło rok później wezwano mnie do tego marynarza. Był bardzo chory, zdaniem doktora — nieuleczalny rak. Gdy wszedłem, ku memu zdumieniu zapytał, czy może się wypowiedzieć. Oczywiście zgodziłem się. Nawet mnie to ucieszyło. I rozpoczął snuć swe dzieje, chyba najstraszliwsze, jakich dane mi było słuchać. Człowiek ów zmarnował życie. Ale otoczenie, w jakim przyszło mu żyć w młodości i potem, było nader niesprzyjające i złe. Gdy w pewnej chwili zapytał, czy nie uważam go za wielkiego łotra, mogłem odrzec jedynie: „Nie, bo gdybym żył w pańskim środowisku, byłbym dużo gorszy”. Spostrzegłem ze zdziwieniem — i nie bez wzruszenia — że nie zostało w nim wiele z beztroskiego wilka morskiego, jakiego poznałem przed rokiem. Jego smutek i skrucha rozdzierały mi serce. Najwyraźniej Jezus Chrystus upomniął się o tego grubianina, podobnie jak uczynił z łotrem na krzyżu. Upzedzony przez lekarza, iż marynarz nie pożyje długo, za parę dni zaszedłem tam znów. Konał. Zaproponowałem, abyśmy znów prosili o przebaczenie zła, jakie popełnił. „Przecież już to zrobiłem” — padła odpowiedź. I gdy przyglądałem mu się milcząco, dodał: „Niech ksiądz słucha. Jeśli syn, który mnie obraził, przeprosi mnie, a ja mówię, że mu wybaczam, to za

parę dni nie musi mnie prosić o to samo. Jako ojciec nawet ja tak bym postąpił. Cóż dopiero drogi Bóg w niebie, który jest Ojcem lepszym niż ja!”

„Weselać weselić się będą w Panu, a dusza moja rozraduje się w Bogu moim; bo mię obłókił w szaty zbawienia, a płaszczem sprawiedliwości przyodził mię, jako oblubieńca ozdobnego chwałą, i jako oblubienicę ozdobioną w klejnoty swoje” (Iz 61,10).

Co za wiara! Niesamowita wiara! Prostak i grubianin został u schyłku życia prawdziwym wierzącym, pewnym zbawienia! Nazajutrz umarł w pokoju. Nie miał pogrzebu z księdzem; rodzina nie życzyła tego sobie. Wiem jednak, że u schyłku życia wołałbym być w skórze tego marynarza niż wielu tych, w których pobożnym pogrzebie sam uczestniczyłem!

Opuściłem kościół rzymskokatolicki

Wkrótce w mym życiu nastąpiły zmiany. Z Rotterdamu przeniesiono mnie do Amsterdamu. Był to właściwie awans; ale nie mogąc znieść rozterek w związku z nauką kościoła i życiem, jakie wiodłem, postanowiłem odejść z zakonu i kościoła rzymskiego. Materialistyczna filozofia życiowa nie dawała mi zresztą wiele miejsca na wiarę; toteż w listopadzie 1955 roku opuściłem Dominikanów, otrzymując zwolnienie od ślubów. Nie było to rzecz jasna zwolnienie z członkostwa w kościele! Wyjechałem do Hagi i rozpocząłem całkiem inne życie. W duchu i głowie miałem pustkę. Filozofia oparta na wymiarze poziomym, na pozór atrakcyjna, powoli wyjaławiała mnie w środku. Ale nie mogłem wymazać z pamięci marynarza. Byłem zmuszony jakoś zarobić na życie; chciałem też uciec od religijności. Dzięki pomocy pewnego wpływowego człowieka „ze świata” zostałem dyrektorem jednego z rotterdamskich hoteli. Jakże się to różniło od posługi kapłańskiej! Usiłowałem zerwać z przeszłością i jak najmniej o niej myśleć. Prawie mi się to udało; marynarza jednak zapomnieć nie mogłem. Ostały się we mnie tylko resztki wiary. Rzadko zaglądałem do kościoła. Co do katolicyzmu straciłem złudzenia, a kościoły ewangeliczne nużyły bezpłciowymi, beznamiętnymi kazania-
mi, w których nie mogłem się dopatrzeć krzty zaangażowania i zapału. Z paroma wyjątkami protestanckie kazania, jakie miałem wtedy okazję słyszeć, brzmiały jak eseje na tematy ewangeliczne, wyprane z głębszego przekonania mówcy i mocy Ewangelii. Drażniło mnie zwłaszcza tak obce czytanie z kartki na modłę przemówienia; nie mogło to zachwycić kogoś, kto opuścił kościół katolicki. Parę razy trafiłem na tak zwanych „nowoczesnych” pastorów, dla których jałowej paplaniny już w ogóle nie miałem serca. W końcu przestałem interesować się kościołem. Ale marynarza zapomnieć nie mogłem. Po trzech latach hotelowego życia, które nie było wcale moim żywiołem, znalazłem zajęcie bardziej przystające do mego wykształcenia. Podjąwszy dodatkowe studia dostałem posadę lektora języków klasycznych w kilku liceach. Tak trafiłem do haskiego Liceum Chrześcijańskiego. Siłą rzeczy stykałem się z kolegami, którzy zwali się chrześcijanami. Nie mogę wprawdzie rzec, iż każdy z nich był ideałem żywego chrześcijaństwa, ale kilka osób naprawdę żyło w zgodzie z przekonaniami, przejawiając wolność i radość dzieci Bożych. Chcąc nie chcąc, zacząłem się im przyglądać — i sprawiało mi to przyjemność.

Zaintrygowany Biblią

Co rano zaczynaliśmy lekcje od odczytania krótkiego ustępu Pisma świętego. Z początku czyniłem to tylko z musu. Ale ku mojemu zaskoczeniu powoli zaczęło mnie to fascynować, aż wreszcie zachwyciło. Nie poprzestawałem już na urywkach, do jakich byłem zobowiązany w pracy. Równolegle czytałem komentarze pióra różnych teologów. Bywały pouczające i zachęcające, zwykle jednak trawiłem treści nudne i suche. Mierziły mnie, bo uważałem, że do zrozumienia Pisma nie trzeba komentarzy. Etiopski eunuch nie kształcił się pod okiem profesora czy duszpasterza, by pojąć prorocstwa Izajasza — pomógł mu diakon Filip, który nie zapoznawał go bynajmniej z wiedzą „dla wtajemniczonych”, ale z Jezusem.

„Tedy otworzywszy Filip usta swe, a począwszy od tego Pisma, opowiadał mu Jezusa” (Dz 8,35).

Opowiedział w taki sposób, że człowiek ów uwierzył, kazał się ochrzcić i z radością pojechał swoją drogą.

„A gdy jechali drogą, przyjechali nad jedną wodę. Tedy rzekł rzezaniec: Otóż woda! Cóż na przeszkodzie, abym nie miał być ochrzczony? I rzekł Filip: Jeżeli wierzysz z całego serca,

wolność. A on odpowiedziawszy, rzekł: Wierzę, iż Jezus Chrystus jest Syn Boży. I kazał stanąć wozowi; i zstąpili obadwaj w wodę, Filip i rzezaniec, i ochrzcił go” (Dz 8,36–39)

Po lekturze różnych komentarzy nie mogłem niestety tego rzec o sobie. Przeciwnie: radość budzona cudownym poselstwem Bożej miłości i miłosierdzia bywała tłamszona, gaszona. Żadne mądre komentarze do Pism, jakie zdołałem przeczytać, nie robiły na mnie wrażenia. Lecz starego marynarza nie mogłem zapomnieć. Im więcej czytałem Pismo, tym jaśniej pojmowałem, czemu tak się dzieje: Był on prawdziwym wierzącym, którym tak naprawdę nigdy nie byłem ja sam, mimo że już dawno uznałem szereg tez teologicznych za „prawdy religijne” i mimo że pełniłem w kościele czołową rolę. Do takiego wniosku doszedłem pod wpływem lektury Pisma świętego. Niegdyś sądziłem, że uwierzyć oznacza uznać czyjaś władzę (na przykład kościoła), rozumowo zaakceptować szereg prawd (na przykład — iż Bóg istnieje, że jest niebo i piekło, że są sakramenty itd.). Z Pisma jednak wynikało, że wcale nie to jest wiara. W przeciwnym razie również diabła trzeba by uznać za wierzącego — i on bowiem wierzy w szereg tych prawd! Nie jest to jednak wiara prawdziwa.

„Żart stulecia”

Według Pisma świętego wiara polega na ufności. Dlaczego Biblia nazywa Abrahama ojcem wszystkich wierzących, przykładem wiary? Nie dlatego, iż uznał on rozumowo szereg prawd, i nie dlatego, iż gorliwie bronił Kościoła, ustaleń synodu czy Symboli Wiary. Pojęcia te nie były mu w ogóle znane! Abraham został przez Pismo święte nazwany wierzącym, bo bezgranicznie ufał Bogu i Jego Słowu, nawet gdy nie umiał wiary tej uzasadnić rozumem.

I otrzymał znak obrzezania jako pieczęć usprawiedliwienia osiągniętego z wiary posiadanej wtedy, gdy jeszcze nie był obrzezany. I tak stał się ojcem wszystkich tych, którzy nie mając obrzezania, wierzą, by i im poczytano to za tytuł do usprawiedliwienia (Rz 4,11).

Gdy Abraham wraz z żoną liczyli sobie w sumie blisko 200 lat, Bóg oznajmił, że będą mieli dziecko. Z biologicznego punktu widzenia trzeba by to uznać za żart stulecia, kompletny absurd. Także Abraham z początku miał trudności z uwierzeniem, nie istnieje bowiem coś takiego jak nieskomplikowana wiara oparta na gotowych schematach ludzkiego pomysłu. Mimo to Abraham uwierzył, że spełni się Boża zapowiedź, choć nadzieja ta klóciła się z jego rozsądkiem. Dlatego Pismo zwie go wierzącym. Wiara zgodna z Pismem świętym jest tożsama z bezgranicznym zaufaniem Bogu i Jego Słowu. Kto tak postępuje, choćby wbrew swej ludzkiej mądrości, jest wierzącym. Człowiek wierzy przede wszystkim nie umysłem, ale sercem! Jak mówi Pismo:

„Albowiem sercem wierzone bywa ku sprawiedliwości, ale się usta wyznanie dzieje ku zbawieniu” (Rz 10,10).

Abraham uwierzył

Może się zdarzyć, iż ten, kto posiadał tajniki teologii i piastuje wysoki urząd w kościele, kto regularnie uczęszcza na nabożeństwa i sam je odprawia, kto uznał rozumem szereg „prawd religijnych” i z erudycją umie ich bronić — opiera się na własnym rozumie i „dowodach”, nie ufając wcale bez reszty Bogu i Jego Słowu. Nie można go więc nazwać wierzącym. Ale marynarz nie posiadając wiedzy teologicznej i rzadko zaglądając do kościoła pod koniec życia stał się wierzącym. Żył ufnością, dzięki której według Pisma człowiek staje się wierzącym. Mimo cierpień i nędzy dręczących ludzi na tym świecie, mimo iż wielu orzeka, że Boga nie ma lub że nie jest On troskliwym Ojcem z Ewangelii, marynarz ufał, że Bóg jest miłującym Ojcem, takim, jak ukazuje Go Pismo, Ojcem więc znacznie lepszym niż on sam. W Duchu świętym człowiek ów zyskał pewność, że Bóg jest mu Ojcem, że jego grzechy są odpuszczone, a on sam stał się dzieckiem Bożym. Ta niezłomna ufność pozwoliła mu na łożu śmierci wołać radośnie: „Abba, Ojcze!” Wkrótce dzięki lekturze Pisma świętego pojąłem istotę wiary, Biblia zaś stała się dla mnie zupełnie inną Księgą. Zawsze głosiłem „natchnienie” Pisma, ale nie przeszkadzało mi to czytać go krytycznie i traktować pewnych zdań i relacji w nim lekceważąco i niedosłownie. To się zmieniło. Krytycznie zacząłem oceniać swe prywatne zdanie i opinie innych. Nie znaczy to, że rozwiały mi się od razu wszystkie znaki zapytania co do treści Biblii. Nie, wciąż ich nie brakuje, ale sądzę, że dla ludzkiego umysłu mogą na zawsze pozostać znakami zapytania. Wierzę, że co człowiek uznaje za niemożliwe i niewiarygodne,

to jest możliwe u Boga (Łk 18,27). To, co w świecie uchodzi za wielką mądrość, w oczach Bożych (obiektywnie zatem) jest piramidalnym głupstwem. I odwrotnie: To, co człowiek uznał za głupotę, bywa u Boga (czyli obiektywnie rzecz biorąc) największą mądrością.

„Albowiem głupstwo Boże jest mędrsze niż ludzie; a młdłość Boża jest mocniejsza niż ludzie” (1Kor 1,25).

„Albowiem mądrość tego świata głupstwem jest u Boga; bo napisano: Który chwyta mądrych w chytrności ich” (1Kor 3,19).

Nie mogłem postąpić inaczej: musiałem uznać autorytet Biblii, przekonany w końcu, że trzeba bezgranicznie ufać Panu i Jego Słowu zawartemu w Piśmie. Wtedy i ja otrzymałem łaskę, aby z głębi serca zawołać: „Abba, Ojczel!” Nieomylnie Słowo zawarte w Biblii pouczyło mnie, iż żywiąc tę wiarę, ufność bez granic, mogę być pewien przebaczenia grzechów. I że zaliczam się odtąd do grona dzieci Bożych. Wszystko, co Pismo mówi o wierzących i o danych im obietnicach, zaczęło się w pełni odnosić i do mojego życia. Ja też mogłem dostąpić życia wiecznego, nie tylko kiedyś w przyszłości, ale DZIŚ!

„Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: Kto w mię wierzy, ma żywot wieczny” (J 6,47).
Ma je zatem już teraz!

Smutek i radość

Ogarnął mnie smutek i żal za me liczne grzechy; nie usiłowałem tych uczuć tłumić. Mieszały się przedziwnie z przeobfitą radością pewności, iż bezcenna krew Jezusa ocaliła mnie od wiecznego potępienia i na wieki pozostanę dzieckiem Bożym. Nie sposób opisać, czym jest to przeżycie dla kogoś, kto nie zaznał dotąd tej pewności. Po dziś dzień jestem z tego powodu szczęśliwym człowiekiem, i nikt, nawet najważniejsza, najbardziej uczona osobistość, nie zdoła mi tego odebrać. Za żadne skarby świata nie powróciłbym na drogę, z której zszedłem; zwłaszcza gdy ze smutkiem i troską patrzę, jak moi szacowni koledzy ze zwykłej ciekawości zdążają nią coraz dalej, tracąc szansę zaznania pociechy, pewności i radości płynących z pełnego mocy poselstwa Bożego i obietnic dla wierzących. W Biblii czytam wciąż na nowo, że to nie taki czy inny kościół i nie uczynki, tylko prawdziwa biblijna wiara, bezgraniczna ufność złożona w Panu i Jego Słowie może usprawiedliwić marnego, zgubionego grzesznika, któremu dano do naśladowania wzór w osobie niezwykłego starego Abrahama.

Bo cóż mówi Pismo? Uwierzył Abraham Bogu i zostało mu to poczytane za sprawiedliwość. Otóż temu, który pracuje, poczytuje się zapłatę nie tytułem łaski, lecz należności. Temu jednak, który nie wykonuje pracy, a wierzy w Tego, co usprawiedliwia grzesznika, wiarę jego poczytuje się za tytuł do usprawiedliwienia (Rz 4,3–5). Wszyscy bowiem zgrzeszyli i pozbawieni są chwały Bożej, a dostępują usprawiedliwienia darmo, z Jego łaski, przez odkupienie, które jest w Chrystusie Jezusie (Rz 3,23–24).

Po tej gruntownej zmianie duchowej poczułem się niewyobrażalnie szczęśliwy. Czuję się tak nadal. Dlatego niczego bardziej nie pragnę, niż żeby wielu, wielu innych doznało tej samej szczęśliwości. O to modłę się codziennie.

„I was ożywił, którzyście byli umarli w upadkach i w grzechach” (Ef 2,11).

Każdy z nas otrzymał wyrok śmierci wiecznej! Ale na krzyżu Golgoty, gdzie powinniśmy zawisnąć, by umrzeć na wieki, zawisł za nas Jezus! Syn Sędziego zawisł na krzyżu, umiławszy nędznych, zgubionych ludzi. Umarł, by wybawić nas od wiecznej śmierci, aby nas uświęcić i ubłogosławić na wieki! Niepojęte, cudowne poselstwo o bezgranicznej miłości Boga do ludzi — do Ciebie i mnie — jest sednem Ewangelii, niezwyklej Księgi o niezwyklej treści. Chcąc bez przeinaczeń głosić tę cudowną, pełną nadziei wieść o odkupieniu, wyzwoleniu i życiu wiecznym, zostałem kaznodzieją.

Tylko Chrystus

Ponad 15 lat byłem zakonnikiem. Innym mogło to imponować, ale ja nie znałem szczęścia i pokoju. Nie umiałem — i dziś nie umiałbym — żyć spokojnie bez silnego przekonania, że odpuszczono mi grzechy i jestem dzieckiem Bożym. Kościół katolicki nie dał mi tej pewności, choć byłem kapłanem i zakonnikiem. Rzym nie wyjaśnił mi, że w tej sprawie niezbędnym jest tylko miłosierdzie Boże, a ze strony człowieka tylko wiara, drogę zaś ku nim można odnaleźć

tylko w Piśmie świętym. Na zaskakującej drodze życiowej od kapłana do kaznodziei, którą starałem się na tych stronicach opisać, dane mi było znaleźć utęskniony pokój. Dziś z bezbrzeżną wdzięcznością i radością świadczę, iż jestem człowiekiem szczęśliwym. Całym sercem modłę się co dzień, aby wielu mych dawnych kolegów, z którymi pracowałem, modliłem się i rozmyślałem, a także ci, którzy przeczytają te słowa, odnaleźli ten pokój i pewność, to samo radosne życie. Jest to możliwe. Lecz nie znajdziemy ich w arbitraryzmie, w ufaniu temu czy innemu kościołowi — tylko w Bożym miłosierdziu i niewzruszonej, nieulekłej wierze, tylko przez czytanie, nieustanne czytanie w modlitwie i całkowitej ufności, niepojętego Poselstwa zawartego w niezwykłej Księdze pełnej mocy!

Pastor J. M. A. Hendriksen, nawrócony ksiądz

J. M. A. Hendriksen przez wiele lat, od czasu swego nawrócenia, służył Bogu jako pastor i nauczyciel. Obecnie jako emerytowany pastor nadal udziela się misyjnie. Jego sylwetkę szczególnie trafnie opisuje jedna cecha: życzliwość. Adres: J. M. A. Hendriksen, Schie 30, 8032 AA Zwolle, Holandia.

Z klasztoru ku wolności w Chrystusie

Świadectwo nawróconego księdza Hugh Farrella

Przetoż teraz żadnego potępienia nie maż tym, którzy będąc w Chrystusie Jezusie nie według ciała chodzą, ale według Ducha (Rz 8,1).

Pobożne pragnienia

Pragnąc żyć z Chrystusem, postanowiłem zostać kapłanem. Jako dziecko katolickich rodziców, wierzyłem, że mój kościół jest jedynym prawdziwym i poza nim nie ma właściwie szans na zbawienie. Dogmat ogłaszali wciąż na nowo kolejni papieże: Innocenty III, Bonifacy VIII w bulli „Unam Sanctam”, Klemens VI, Benedykt XIV, Leon XIII, Pius XII i Pius IX: „Wiara nas skłania do utrzymywania i wyznawania, że jeden jest KOŚCIÓŁ ŚWIĘTY, KATOLICKI I APOSTOLSKI. [...] Poza nim nie ma zbawienia ani odpuszczenia grzechów”¹. Nie przeszło mi przez myśl, że zbawienia mógłbym szukać poza nim. Od najmłodszych lat chciałem być księdzem. Urodziłem się 2 kwietnia 1911 roku w Denver (Colorado, USA). W naszej dzielnicy mieszkaly rodziny irlandzkie, szkockie i słowiańskie, w większości katolicy. W takim środowisku rzucała się w oczy ogromna władza miejscowych księży i respekt, jakim ich darzono. Ale nie tylko władza i respekt zdecydowały o moim wyborze; w powołaniu utwierdziła mnie przede wszystkim idea godności kapłańskiej głoszona przez kościół rzymski. Według kościoła katolickiego kapłan — wypowiadając modlitwę konsekracji podczas Eucharystii — ma moc przemieniać chleb i wino w prawdziwe ciało i krew, duszę i bóstwo Jezusa Chrystusa. A ponieważ nie sposób oddzielić ludzkiej natury Jezusa od Jego bóstwa, to chleb i wino po przemienieniu w ciało i krew Jezusa Chrystusa mają być obiektem czci boskiej. Katolicy wiedzą też, że gdy wyznają grzechy księdzu, ten ma moc ich odpuszczenia. Sobór trydencki obradując po Reformacji ogłosił w 1545 roku: „Jeżeli ktoś twierdzi, że [...] nie sami kapłani są szafarzami rozgrzeszenia — n. b. w.”². Poszedłszy do spowiedzi już w siódmym roku życia, prędko pojąłem, że moc ta daje księżom ogromną władzę nad życiem wiernych stawiając ich ponad wszelką władzę świecką na tej ziemi. Kierowała mną nie tylko tęsknota za władzą i godnością kapłana, ale i szczere pragnienie zbawienia duszy. Z nauk księży i sióstr zakonnych wynikało, iż nie mam szans na niebo tuż po śmierci; katechizm wyjaśniał, że trzeba odcierpieć karę doczesną za grzechy. Rzym każe wierzyć, iż „dusze [prawdziwie pokutujących, którzy zakończyli życie w miłości Boga jeszcze przed godnym zadośćuczynieniem czynami pokutnymi za popełnione grzechy i zanie dbania] zostaną po śmierci oczyszczone karami czyścicowymi”³. Pojąłem, że popełniając na porządku dziennym grzechy powszednie, a nieraz i grzech śmiertelny, będę musiał w czyścicu przebywać bardzo długo. W oficjalnej nauce kościół katolicki nader mgliście wyraża się o cierpieniach czyścicowych; ale bujna wyobraźnia irlandzkich księży i zakonnice malowała takie męki i boleści, iż jako dzieci drżeliśmy z lęku, gotowi na wszystko, byle tylko uniknąć czyścica. Za młodu wyrozumowałem sobie, że jeśli kapłan przez ofiarę eucharystyczną może wyzwać dusze w czyścicu cierpiące, to będąc księdzem pomogę też własnej duszy — bo po mej śmierci dusze poratowane moimi mszami będą miały obowiązek wstawiać się za mną przed tronem Królowej Niebios, Najświętszej Maryi Panny, a ona wstawi się za mną u Syna. Było to zgodne z nauką kościoła: „Do złagodzenia tego rodzaju kar dopomaga [duszom

¹ Bonifacy VIII, „Unam Sanctam”, 13, [w:] Breviarium Fidei, Poznań 1964, s. 74.

² Sobór trydencki, XIV sesja, kan. 10, 475 (1710), [w:] Breviarium Fidei, Poznań 1964, s. 535.

³ XVII sobór florencki, Dekret dla Greków, 112 (1304), [w:] Breviarium Fidei, Poznań 1964, s. 717.

w czyśćcu] ofiara Mszy św.”⁴ „Nasza modlitwa za zmarłych nie tylko może im pomóc, lecz także sprawia, że staje się skuteczne ich wstawiennictwo za nami”⁵ I zatem, że zostanę księdzem, a w stosownym czasie o decyzji tej powiadomię odpowiednie władze.

Biblia w kościele rzymskokatolickim

Długo trwałaby opowieść o latach przygotowań do kapłaństwa; opiszę więc tylko punkty zwrotne mego życia. Droga ku pewności zbawienia była długa, pełna przeciwności i pokus. Wielu pyta, czy znałem Biblię, czy też była to księga dla mnie zakazana. Otóż do niższego seminarium duchownego prócz mszału i modlitewników zabrałem trzy książki: O prawdziwym nabożeństwie do Najświętszej Maryi Panny Alfonsa Ligouriego, O naśladowaniu Chrystusa Tomasza á Kempisa oraz Nowy Testament w wydaniu rzymskokatolickim. Widniał na nim napis: „Trzyletniego odpustu udziela się wszystkim wiernym, którzy czytają Pismo Święte co najmniej przez kwadrans z uszanowaniem należnym Słowu Bożemu jako lekturę duchową”. Czemu więc katolicy nie garną się do Biblii, skoro zależy im na odpustach (czyli pozasakramentalnym odpuszczeniu kary doczesnej za grzech pozostającej do odbycia po odpuszczeniu tego grzechu)? Zauważmy, iż odpustu udziela się tylko wtedy, gdy Biblia jest czytana jako „lektura duchowa”, czyli nie w celu jej badania i interpretacji. A ponieważ wierni wiedzą, że odpust można uzyskać innymi, prostszymi środkami, jak choćby czynienie znaku krzyża (siedem lat odpustu, jeśli zegnamy się wodą święconą) itd., mało kto korzysta z lektury Pisma, bojąc się zresztą, by wbrew nauce kościoła nie zabrnąć w interpretację Słowa Bożego. Gdy po latach opuszczałem klasztor, wciąż miałem ze sobą trzy wspomniane książki. O prawdziwym nabożeństwie nie miała okładki — tak często była w użyciu; okładka O naśladowaniu Chrystusa trzymała się na ostatnich niteczkach. A Nowy Testament BYŁ WCIAŻ JAK NOWY. Zaglądałem do niego tylko wtedy, gdy chciałem porównać przekład łaciński z angielskim.

Indoktrynacja

Plan zajęć w seminarium układa się tak, aby pozostawić jak najmniej czasu na szczerą refleksję. Owszem, co rano jest czas przeznaczony na medytację; ale punkty do rozważań wyznacza się z góry i głośno odczytuje, wypuszczanie zaś myśli na samodzielne wycieczki grozi grzechem powszednim. Codzienny program jest obmyślany tak misternie, że z wolna ulega erozji samodzielność myślenia, a osobowość kształtuje się tak, aby pasować do wzorca ustalonego przez kościół, korzystnego w realizacji jego celów: zupełnego wyparcia się swej tożsamości. Mimo wielkiej estymy, jaką księdza katolickiego darzy laikat, dla władzy kościelnej tenże ksiądz to maleńki pionek w strategii zdobywania świata. Jeśli strategii tej ma on się wydatnie przysłużyć, musi przejść gruntowne pranie mózgu. Osiąga się to podobnie do metod komunistów: mało snu, dużo postu i rozmaite sposoby indoktrynacji. Gdy w umyśle rodzi się wątpliwość względem którejkolwiek z ważniejszych doktryn rzymskokatolickich, od razu ją odrzucam, gdyż wpojono mi, że świadome igranie z taką wątpliwością jest symptomem odebrania mi przez Boga powołania kapłańskiego i narażaniem na szwank mojego zbawienia.

Wybór zakonu

Pod koniec niższego seminarium duchownego miałem wybrać, czy zostanę księdzem diecezjalnym (podległym władzy biskupa i pracującym w parafii albo jako kapelan jakiejś instytucji), czy też ojcem zakonnym (który złożył trzy śluby: ubóstwa, czystości i posłuszeństwa i żyje w klasztorze bądź domu zakonnym). Uznałem, że księżom diecezjalnym, mocno narażonym na pokusy, trudno wysłużyć sobie zbawienie; wiedziałem też, że jak dotąd kościół katolicki kanonizował (oficjalnie ogłaszał, że czyjaś dusza jest w niebie) tylko jednego księdza diecezjalnego: Proboszcza z Ars Jana Marię Vianney. Skoro więc — myślałem — trudno uzyskać zbawienie księdzu diecezjalnemu, to bezpieczniej zostać mnichem czy zakonnikiem.

⁴ Ibid.

⁵ Katechizm Kościoła Katolickiego, Pallottium, 1994, pkt. 958, s. 235.

Ostatni rok niższego seminarium upłynął na rozważaniach nad najwłaściwszym dla mnie zakonem. Dobrze znałem słynne zakony: Benedyktyni, Dominikanie, Bernardyni, Franciszkanie, Trapiści, Towarzystwo Jezusowe (Jezuici), żaden jednak mnie nie pociągał; szukałem zakonu o bardzo surowej regule, gdzie mógłbym zyskać pełną gwarancję zbawienia. Wydawało mi się, że znajdę to wszystko w Zakonie Matki Boskiej z Góry Karmel, czyli u popularnie zwanych Karmelitów Bosych. Zakon założyli krzyżowcy i inni pielgrzymi do Ziemi Świętej. Po wyjeździe krzyżowców mnisi pozostali, zamieszkując grotty Synów Proroków na górze Karmel. Patriarcha Jerozolimy Albert nadał im bardzo prostą regułę, którą zachowali do połowy XIII wieku, kiedy to muzułmanie wygnali ich z Ziemi Świętej. Część wygnańców osiadła w Mantui we Włoszech, część w angielskiej wiosce pod Cambridge. Pierwszym przełożonym generalnym w Anglii był Szymon Stock. Jemu właśnie miała ukazać się Maryja, dając słynną obietnicę Szkaplerza.

Brunatny szkaplerz

W broszurze Irlandzkiego Towarzystwa Prawdy Katolickiej zatytułowanej „Brunatny Szkaplerz, napisał ks. E. R. Elliott (OCD)” wizję tę i obietnicę opisano na stronie 5: „[Maryja] ukazała mi się z ogromnym orszakiem, a trzymając w dłoniach habit (szkaplerz) Zakonu powiedziała: Będzie to szczególna łaska dla ciebie i dla wszystkich Karmelitów „że KTO-KOLWIEK UMRZE NOSZĄC TEN HABIT, NIE UCIERPI OD OGNI WIECZNEGO”. Szkaplerz może wykonać każdy; trzeba tylko przykroić kawałek ciemnobrunatnej tkaniny wełnianej w dwa spore kwadraty bądź prostokąty i połączyć je tasiemkami. Pierwszy nasz szkaplerz musi pobłogosławić kapłan uprawniony do udzielania takiego błogosławieństwa. Z noszeniem karmelickiego szkaplerza łączy się i inna obietnica: przywilej szkaplerza. Otrzymał ją miał papież Jan XXII podczas rzekomego objawienia mu się Maryi. Cytuję ze wspomnianej broszury: „Św. Jan od Krzyża (zm. 1591), wielki święty karmelitański i Doktor Kościoła, gorąco wierzył w przywilej szkaplerza. Na krótko przed śmiercią dla dobra swoich przyjaciół i własnego przypomniał sobie, że Matka Boża Karmelska zstępuje w soboty do czyśćca z łaską i pomocą i wydobywa z niego dusze pobożnych, którzy nosili jej Święty Szkaplerz”. Katolicy posiadający szkaplerz, często zastępują go medalikiem. Medalik taki musi mieć z jednej strony wizerunek Chrystusa, a z drugiej Maryi, musi też pobłogosławić go kapłan.

Klasztorna codzienność

Pierwszy rok u Karmelitów Bosych spędziłem w nowicjacie, szykując się do pierwszych ślubów. Oddawałem się głównie modlitwie i medytacji. Poza normalnym rozkładem dnia jako nowicjusze mieliśmy dodatkowy czas modlitw i zwiększoną dawkę pokuty i umartwień. Surowo przestrzegano ciszy. Wyjąwszy około 30 minut przeznaczonych co dzień na rekreację, nowicjusze nie mogą ze sobą rozmawiać. Podczas Wielkiego Postu i Adwentu obowiązuje zupełny zakaz rozmów; wtedy podczas rekreacji nowicjusze milczą, odmawiając różaniec, pokutę itd. W nowicjacie dzień zaczyna się o północy. Cała społeczność, wezwana przez dzwonnika, zbiera się w kaplicy, czyli klasztornej chórze. Ostatnie uderzenie zegara rozpoczyna Liturgię Godzin: Śpiewa się lub recytuje jutrznię, złożoną z dziesięciu psalmów i dziesięciu lekcji ze Starego i Nowego Testamentu oraz komentarza któregoś z pierwszych ojców kościoła. potem kolej na pięć psalmów pochwalnych oraz Benedictus — ta część nabożeństwa nazywa się Hymnami. Wreszcie zakonnicy wracają do łóżek i czekają na kolejne bicie dzwonu, rozbrzmiewające o brzasku za kwadrans piąta. Łóżko nie powinno się kojarzyć z miękką puchową kołdrą ani nawet mniej luksusowym, ale względnie wygodnym posłaniem. Łóżko karmelity to trzy deski oparte na dwóch kozłach i nakryte cienką sklejką. Całość uzupełniają trzy koce. Pozostałe wyposażenie mniszej celi współgra z wyglądem łoża: mały stolik i taboret. Nic poza tym.

Godziny modłów

Po kolejnej pobudce grupa nowicjuszy znów podąża do chóru i recytuje primę i tercję, składające się każda z trzech psalmów oraz z krótkiej lekcji i kolekty (krótkiej modlitwy). Na koniec tej części Liturgii Godzin grupa spędza wspólnie jeszcze godzinę na cichej modlitwie na klęczkach. Po cichej modlitwie zaczyna się dzień — i msze. Jeśli zakonnik jest kapłanem, odprawia prywatną mszę przy jednym z licznych ołtarzy klasztornych, zwykle w asyście współbrata jako ministranta. Jeśli dopiero szykuje się do kapłaństwa, idzie na mszę wspólną, którą odprawia kapłan wyznaczony na dany tydzień. Na mszy są obecni bracia świeccy, wykonujący w klasztorze wszelkie prace. Uczestniczący we mszy winni przystąpić do komunii. Jako że poranna Liturgia Godzin, cicha modlitwa i msza zajmują około trzy godziny, śniadanie jedzą zakonnicy zwykle dopiero ósmej. Jest to chleb i kawa, spożywane na stojąco, gdyż w starej regule zakonu nie ma wcale mowy o śniadaniu. (Możliwość śniadania dopuszczono niedawno ze względu na słabość współczesnego człowieka). Przedpołudnie upływa na nauce samodzielnej, zajęciach imodlitwie indywidualnej. W nowicjacie wolno studiować tylko przedmioty duchowe oraz oczywiście Regułę Zakonu Karmelitańskiego. Po ślubach zakonnik studiuje teologię i inne przedmioty niezbędne do otrzymania święceń kapłańskich. Tuż przed południem nowicjusze idą na chór, gdzie recytują ostatnie dwie godzinki nabożeństwa porannego: sekstę i nonę, złożone podobnie jak prima i tercja z trzech psalmów, krótkiej lekcji z Pisma i kolekty na dany dzień. Koniec nabożeństwa, aż do Anioła Pańskiego, to rachunek sumienia: trzeba sobie przypomnieć grzechy popełnione od zeszłego wieczora i prosić Boga o odpuszczenie. Jeśli popełniło się grzech śmiertelny, to przy najbliższej okazji należy udać się do spowiedzi; w wypadku grzechów powszednich wystarczy akt żalu. Po modlitwie „Anioł Pański” zakonnicy idą do refektarza (jadalni) na główny posiłek dnia.

Klasztorny wikt

Posiłki spożywa się w milczeniu. Wyjątkowymi dniami są Wielkanoc, Zielone Świąta oraz Świąta Matki Boskiej Karmelskiej, św. Teresy z Avila, św. Jana od Krzyża, Wszystkich Świętych, Niepokalanego Poczęcia, Boże Narodzenie i kilka innych. Podczas posiłków nie panuje jednak cisza, gdyż zakonnik wyznaczony na dany tydzień odczytuje fragment z jakiejś lektury duchowej bądź Reguły wewnętrznej zakonu. Jedzenie jest niewyszukane; składa się zwykle z zupy, drugiego dania: ryby bądź jaj, dwóch warzyw i owoców. Reguła Karmelitów Bosych zabrania jedzenia mięsa, chyba że na zalecenie lekarza. Lecz zalecenia takie zdarzają się rzadko, bo zdaniem większości znawców medycyny ryby i jaja wystarczą w zupełności. Gdy któryś brat ma jednak spożyć mięso, zasiada w niższej części refektarza, zakryty zasłoną przed wzrokiem reszty. Tę część refektarza żartobliwie nazywa się „piekłem”. Po posiłku każdy rozgląda się, czy w refektarzu nie potrzeba jego pomocy. Czasem może zastąpić czytającego bądź roznoszących posiłki, aby i oni mogli zjeść. Inni dokonują wtedy publicznej pokuty: Stają z ramionami rozłożonymi w kształcie krzyża, całują obute w sandały stopy innych, przyjmują ciosy w twarz od innych bądź leżą płasko na progu refektarza, tak by wychodzący przechodzili nad nimi. Te i inne praktyki pokutne mają wysłużyć niebo i powiększyć stan naszego „konta duchowego”. Po posiłku południowym w większości klasztorów karmelickich nadchodzi czas rekreacji, mającej służyć braterskiej wymianie refleksji duchowych i zachęcaniu się do zachowywania zasad życia duchowego. W praktyce czas ten bywa bardzo nieprzyjemny, i popełniane są wtedy najprzyczrzejšie czyny. Trudno zamknąć w nienaturalnym środowisku klasztoru dwudziestu i więcej młodych, zdrowych mężczyzn nie licząc się z tego psychologicznymi reperkusjami. Stąd zakonnicy zwykle z ulgą witają koniec rekreacji i na czas popołudniowego odpoczynku, z hiszpańska sjesty, wracają do cel.

Nieustanne powtarzanie psalmów

Po sjeście czas na nieszpory i kompletę. Nieszpory obejmują pięć psalmów, Magnificat i kolekty na dany dzień, a kompleta to trzy psalmy, Psalm Południowy i modlitwa (kolekta) zamykająca. Kończy się codzienna Liturgia Godzin, wedle dokonanego przez pierwsze opactwa benedyktyńskie podziału na siedem części, jak w psalmie:

„Chwałę cię siedm kroć przez dzień, dla sądów twoich sprawiedliwych” (Ps 119,164).

Wielu pyta, czemu mimo codziennych recytacji i śpiewów około 30 psalmów (tygodniowo przeszło cały Psalterz) na modlitwach i nabożeństwach nie poznaliśmy Bożego planu zbawienia, ukazanego przecież w Słowie. Dla katolika odpowiedź jest oczywista: Czytając ustęp sprzeczny z nauką kościoła, zawsze uznawaliśmy, że widać błędnie go interpretujemy. Słyszając Psalm 18,2 (BT):

„Boże mój, skała moja. . .” i Psalm 62,6 (BT):

„ON [Bóg] JEDYNIIE SKAŁĄ i zbawieniem moim”, albo ignorowaliśmy płynący z nich wniosek, że to nie Piotr jest ową Skałą, albo stwierdzaliśmy, iż nasza znajomość Pisma nie wystarcza, aby słowa te rozumieć. Tak też było z ustępami Starego i Nowego Testamentu odczytywanymi w Liturgii Godzin. I tak fragment z Listu do Rzymian 5,1:

„Będąc tedy usprawiedliwieni z wiary . . .”

rozumieliśmy jako: „Dostąpiwszy usprawiedliwienia przez wiarę w kościół rzymskokatolicki. . .” Resztę wieczoru po niesporach spędzaliśmy zwykle w celi, gdzie w samotności mieliśmy dążyć do „jedności z Bogiem” poprzez czytania duchowe, medytację i modlitwę. Reguła karmelicka zwraca szczególną uwagę na ten właśnie aspekt życia zakonnika zalecając: „Trwaj w celi dzień i noc, rozważając Bożą regułę”. W rzeczywistości jednak masa czasu przecieka przez palce w bezczynności i nudzie. Kolejna godzina cichej medytacji to chór. Klasztorny dzień kończyła kolacja: chleb i herbata oraz modły wieczorne i biczowanie.

Umartwienie ciała

Gdy po powrocie każdy mnich stawał przed drzwiami swej celi, nadchodził czas biczowania. Na sygnał przełożonego gasło światło; zakonnicy zdejmowali część odzienia i biczowali się po nagich udach śpiewając bardzo powoli po łacinie Psalm 51. Biczem był potrójny sznur przeciągnięty przez tkany uchwyt, tworzący sześć końcówek, z których każda mierzyła około 40 centymetrów. Końcówki oblewano woskiem pszczelim, aby były twardsze. Dotkliwość uderzeń zależała oczywiście od gorliwości zakonnika, zwykle jednak lała się krew. Pod koniec psalmu ojciec przełożony odmawiał kilka modlitw, zakonnicy zaś na powrót wkładali odzienie. Gdy zapalało się światło, klękali przy celach. Ojciec przełożony przechodził korytarzem błogosławiąc każdego, oni zaś całowali jego szkaplerz (dwa kawałki materiału na piersi i plecach), po czym wracali do cel. Tak kończył się klasztorny dzień. Gdyby uczynki mogły zbawić, karmelita byłby pewien zbawienia, wiodąc żywot tak pełen umartwień. Ale List do Rzymian 3,20 mówi, że

„Przeto z uczynków zakonu nie będzie usprawiedliwione żadne ciało przed oblicznością jego, gdyż przez zakon jest poznanie grzechu”.

Przeraża mnie świadomość, że co dzień tysiące zakonników, zakonnice i miliony katolików świeckich spełniają niezliczone uczynki, wierząc, że zostanie im to policzone za zasługę. Nie wiedzą, że

„Przetoż mamy za to, że człowiek bywa usprawiedliwiony wiarą bez uczynków zakonu” (Rz 3,28).

Nie znając tak naprawdę Słowa Bożego wierzyłem, że muszę sobie zarobić na niebo i wysłużyć je własną pracą. Trwałem w ciemności.

Śluby

Pod koniec nowicjatu (1935) złożyłem pierwsze śluby, a w roku 1938, w Święto Wniebowstąpienia złożyłem śluby uroczyste. Przytaczam ich brzmienie, aby ukazać, jak bardzo wiążący mają one charakter dla katolika.

Ego, Fr. Hugo a Sancta Teresa Margarita, facio meam Professionem votorum solemniū, et promitto obedientiam, castitatem, et paupertatem Deo, ac beatissimae Virgini Mariae de Monte Carmelo, et Reverendo patri Nostro, Fratři Petro Thomas a Virgine Carmeli, Praeposito Generali Ordinis Fratrum Carmelitarum primitivam praedicti Ordinis usque ad mortem.

Co się tłumaczy: „Ja, ojciec Hugo od św. Teresy Małgorzaty, składam uroczyste śluby, obiecując posłuszeństwo, czystość i ubóstwo Bogu, Najświętszej Maryi Pannie zgóry Karmel inaszemu Wielebnemu Ojcu Piotrowi Tomaszowi od Dziewicy Karmelskiej, Przełożonemu Generalnemu Zakonu Braci Karmelitów Bosych, oraz jego następcom, zgodnie z pierwotną

Regułą wspomnianego Zakonu AŻ DO ŚMIERCI”. W 1938 roku składając śluby uroczyste i ostatnie kończyłem teologię i szykowałem się do święceń kapłańskich. Otrzymałem tonsurę, święcenia niższe i święcenia subdiakonu z rąk biskupa Francisa Clementa Kelleya z Oklahoma City. Nie pamiętam, aby trapiły mnie większe wątpliwości co do oficjalnej nauki kościoła; wyglądało na to, że perspektywę na resztę życia mam ustaloną. Ale Bóg miał inne plany.

„A wiemy, iż tym, którzy miłują Boga, wszystkie rzeczy dopomagają ku dobremu, to jest tym, którzy według postanowienia Bożego powołani są. Albowiem, które on przejrzał, te też przენaznaczył, aby byli przypodobani obrazowi Syna jego, żeby on był pierworodnym między wieloma braćmi” (Rz 8,28-29).

Zwątpienie we władzę kapłańską

Ćwiczyłem wtedy odprawianie mszy; opanowanie jej reguł i rytuałów wymaga miesięcy. Wielekroć zapytywałem się, czy istotnie wierzę, iż po święceniach będę mógł nakazać Bogu, by zstąpił na ołtarz; wedle bowiem nauki Rzymu kapłan, nawet najbardziej niegodny, choćby i zaprzedał duszę diabłu, może zmienić substancje chleba i wina w prawdziwe ciało i krew, duszę i BÓSTWO Jezusa Chrystusa. Jeśli tylko prawidłowo wymówi słowa konsekracji i ma intencję jej dokonania, Bóg musi zstąpić na ołtarz w te substancje i przyjąć ich postać. Im dłużej rozmyślałem o władzy kapłańskiej w pojęciu katolickim, tym mniej w nią wierzyłem. Wciąż wyznawałem spowiednikowi te wątpliwości, a on wciąż zalecał mi cierpliwość. Oznajmił, że nawet gdybym nie wierzył w ani jedną rzecz głoszoną przez kościół, i tak mogę być kapłanem, pod warunkiem, iż będę głosił to, czego się ode mnie wymaga. Wyjaśnił: „Twoja osobista wiara nie ma nic do rzeczy. Jesteś narzędziem w rękach Matki Kościoła, służącym szerzeniu wiary. Bądź lojalny wobec wiary rzymskokatolickiej, a wszystko będzie dobrze”. Nie tak jednak miało się stać. Zwątpienie rosło z dnia na dzień. Przełożeni spostrzegłszy moją postawę orzekli, że mam problemy; lecz nic w tej sprawie nie zrobili. Szczerze mówiąc, mój najwyższy przełożony, ojciec prowincjał, szczerze mnie nienawidził. Zdawał sobie sprawę, iż wiem, że nie jest on człowiekiem wykształconym: Udując wielką mądrość i świętość, de facto nie posiadał żadnej z nich. Postanowił sobie za wszelką cenę złamać mnie i zniszczyć. Na szczęście stawał w mej obronie miejscowy przełożony, ojciec Edward, oddany przyjaciel, samemu narażając się na gniew prowincjała. W końcu całkiem straciłem wiarę w kościół rzymski i jego dogmaty; przestało mnie też obchodzić, czy dowiedzą się o tym przełożeni. W ciągu kolejnych miesięcy wiele razy rozważałem pomysł porzucenia zakonu; lecz wiedziałem, iż chcąc pozostać w zgodzie z sumieniem będę też musiał opuścić sam kościół rzymski. Słabo znałem poglądy protestantów; wolno mi przecież było czytać tylko autorów katolickich, a ci przekreślali i zniekształcali naukę Bożą i teologię protestanckie, odmalowując je jako narzędzia szatana. Nie wiedziałem, co począć, ale ufałem Bogu; wiedziałem, że On nie opuści mnie w czasie próby.

Ucieczka

2 sierpnia 1940 roku pojąłem, że od dawna nie wierzę w pewne dziwne nauki kościoła rzymskiego: Przejście, spowiedź douszną (przed księdzem udzielającym odpuszczenia grzechów) i nieomyślność papieża (iż nie może się on mylić w wypowiedziach oficjalnych o wierze i obyczajach). Nie mogłem pozostać w klasztorze: Nawet jeśli zakonnik wierzy we wszystkie nauki kościoła, jego życie jest i tak uciążliwe; gdy jednak wierzyć w nie przestanie, życie staje się nie do zniesienia. Ukończywszy studia teologiczne, wiedziałem, że nie będę zdolny wrócić do wiary katolickiej. Stąd nic nikomu nie mówiąc postanowiłem opuścić klasztor jeszcze tego samego dnia. Postępowałem ostrożnie. W klasztorze gościł akurat prowincjał, mój osobisty wróg. Wiedziałem, że gdy powźmie podejrzenie o mych zamiarach, zmusi katolickiego lekarza do podpisania odpowiednich papierów i wtrąci mnie do katolickiego zakładu dla obłąkanych. W uszach tych, którzy zetknęli się tylko z dobroniuszonymi katolikami, brzmi to jak science-fiction, zapewniam jednak, że w szpitalach psychiatrycznych Ameryki, Irlandii i innych krajów przebywa wielu księży i zakonników, których zamknięto tam z tego tylko powodu, że stracili wiarę w papieża i kościół rzymski i pragnęli go opuścić. Gdy ojcowie odpoczywali podczas poobiedniej sjeisty, po cichu wyśliznąłem się tylnąfurtką. Schroniłem

się w ośrodku YMCA w San Antonio. Wiedziałem, że prowincjał i jego pomocnicy nie będą chcieli ujawniać sprawy przed teksańskimi pastorami protestanckimi, toteż zrezygnują z prób ujęcia mnie. Skontaktowałem się z kilkoma pastorami i przedstawiłem im sytuację; później pojechałem do Houston, miasta bardziej protestanckiego niż San Antonio — mieszkało tam „tylko” około 60 procent hiszpańskojęzycznych katolików.

Kaznodzieja — bez Chrystusa!

Ale nie byłem nawrócony. Nigdy szczerze nie opowiedziałem się za Chrystusem, sądząc, że do zdrowia duchowego w zupełności wystarczy rozumowe uznanie teologii mojego nowego kościoła. Rozpocząłem pracę jako protestancki kaznodzieja i aż przez kolejne 15 lat służyłem Bogu na rozmaite sposoby, nie posiadając jednak pewności zbawienia! Nie miejsce to i czas, by opisać wszystko, co spotkało mnie przez te 15 lat. Wiodłem świeckie życie; bywało, iż szczyliłem się, że jestem dokładnie taki jak ludzie niewierzący. Pewnego dnia, jeśli Pan pozwoli, chciałbym napisać książkę o Jego wielkim miłosierdziu i cierpliwości podczas tego „wzgnania”. Lecz wszechpotężna Łaska działała w moim życiu.

„Duchci jest, który ożywia, ciało nic nie pomaga; [...] I mówił: Dlatego ci wam powiedział: Iż żaden nie może przyjść do mnie, jeźliby mu nie było dane od Ojca mego” (J 6,63.65).

Wpierw jednak czekała mnie próba: Uznałem, że opuszczenie kościoła rzymskiego było błędem, i w 1955 roku wróciłem na jego łono. Za pokutę wysłano mnie do klasztoru Trapistów. Pojechałem chętnie, gotów na wszystko, byle tylko zabezpieczyć sobie wieczność; nie odrzucałem niczego, co starano się mi wpoić. Na nic się to jednak zdało. Pojąłem, że nie wierzę w naukę Rzymu i że nie może on uczyć prawdy, skoro znaczna część tej nauki to wymysł człowieka. Znów opuściłem kościół katolicki — znów nie dając nikomu znać o swych zamiarach. Wyruszyłem na wschodnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych, prosząc Boga, by objawił mi swą wolę. Modlitwy zostały wysłuchane, i to w taki sposób, że nie mogłem mieć wątpliwości co do woli Bożej.

Ku nawróceniu

Po prelekcji o politycznych skutkach wyboru katolika na prezydenta, którą wygłosiłem dla grupy przedsiębiorców, podszedł do mnie potężny mężczyzna, gratulując doskonałej znajomości kościoła rzymskiego i jego nauk. Napużyłem się zdumy; ale on ciągnął: „Muszę jednakże rzec ci, przyjacielu, że masz najniższą temperaturę duchową, z jaką się spotkałem”. Ubódl mnie do żywego; odwróciłem się tyłem w nader arogancki sposób, przylepiając mu w myślach etykietkę stukniętego. Lecz ów rybak dusz z powołania nie zamierzał łatwo spuszczać mnie zhaczyka. Należał do grupy zapaleńców zwanych „Rybakami Chrystusa”, którzy wytrwale szukają zagubionych dusz, bez względu na nieprzyjemności i obelgi, które ich za to spotkają po drodze. Człowiek ów nieustannie deptał mi po piętach i nie dał za wygraną, póki się nie nawróciłem. Zrazu nie godziłem się na jego propozycję. Oznajmił mianowicie, że muszę tylko przyjąć Chrystusa i w pełni Mu zaufać, „uwierzyć w Niego”, a będę miał życie wieczne. Ciągle przypominał takie Jego słowa:

„Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: Kto w mię wierzy, ma żywot wieczny” (J 6,47).

Wydało mi się to zbyt proste, aby mogło być prawdziwe. Po co zatem — zapytywałem sam siebie — tyle różnych religii głosi tyle rozmaitych nauk, skoro sprawa jest aż tak prosta? Ale wkrótce pojąłem, że nie jest to krok łatwy. Trzeba pokornie uznać, że jest się grzesznikiem:

„Albowiem wszyscy zgrzeszyli i nie dostaje im chwały Bożej” (Rz 3,23)

i że może nas zbawić krew Chrystusa przelana na Golgocie:

„Który ani własnemu Synowi nie przepuścił, ale go za nas wszystkich wydał...” (Rz 8,32).

Wyznałem, że jestem grzeszny, za psalmistą powtarzając: „Zrodzony jestem w przewinieniu i w grzechu poczęła mnie matka”. Przyjąłem Chrystusa jako swego Zbawcę, nie licząc na nikogo innego, nawet na Najświętszą Maryję Pannę.

Temu jednak, który nie wykonuje pracy, a wierzy w Tego, co usprawiedliwia grzesznika, wiarę jego poczytuje się za tytuł do usprawiedliwienia (Rz 4,5).

Po nawróceniu

Nie miałem już wątpliwości co do zbawienia.

„Wszelki tedy, który by mię wyznał przed ludźmi, wyznam go Ja też przed Ojcem moim, który jest w niebiesiach” (Mt 10,32).

Od kiedy łaską Bożą zostałem zbawiony, pracuję w organizacji pomagającej księżom pojąć Ewangelię. Szybko uświadomiłem sobie, iż Bóg wzywa mnie do szczególnej posługi: uczenia chrześcijan, jak pozyskiwać dla Pana dusze katolików. Dlatego w 1959 roku zdałem się w wierze zupełnie na Pana, ufając, że zadba On o me potrzeby. I tak czyni. Ograniczone miejsce nie pozwala mi opowiedzieć o wszystkich dobrodziejstwach i miłosierdziu, jakich doznałem. Wielekroć przemierzałem Stany Zjednoczone i Kanadę, kilka razy prowadziłem ewangelizacje w Europie. Wszędzie, gdzie w miłości i mocy zwiastowałem Ewangelię, przyjmowano mnie życzliwie. Nie jest moim zamiarem siać nienawiść i rozgoryczenie, ale za pomocą Ewangelii ukazać, jak pozyskiwać katolików dla Chrystusa. Zawsze przypominam swym słuchaczom o cudownych słowach z pierwszego rozdziału ostatniej z Ewangelii, Ewangelii Jana (BT), odczytywanych pod koniec każdej mszy okolicznościowej: „Przyszło do swojej własności, a swoi Go nie przyjęli. Wszystkim tym jednak, którzy Je przyjęli, dało moc, aby się stali dziećmi Bożymi „TYM, KTÓRZY WIERZĄ W IMIĘ JEGO”. Niech Imię Jego będzie pochwalone na wieki. AMEN.

Hugh Farrell, nawrócony ksiądz

Po nawróceniu Amerykanin Hugh Farrell z oddaniem nauczał i głosił Ewangelię w Europie, Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Niedawno odszedł do Pana.

Ocalony z płomieni piekieł

Świadectwo nawróconego księdza Roberta V. Juliana

Postanowiłem zostać nie jakimś tam „zwykłym” księdzem rzymskokatolickim — postanowiłem zostać księdzem-misjonarzem. Pragnąłem dokonywać dla Boga wielkich czynów. Myślałem sobie, że misja w dalekim kraju, poznawanie dziwnego języka i dziwnych zwyczajów to wielka przygoda; podobała mi się nawet ewentualność, że mógłbym być przez Boga wybrany do cierpienia i męczeńskiej śmierci dla sprawy Chrystusowej. Tak to sobie wyobrażałem podczas długich lat seminarium, gdzie szykowałem się do posługi księdza-misjonarza w Katolickim Towarzystwie Misji Zagranicznych w Ameryce. Patrząc dziś na ten okres potrafię wskazać swe prawdziwe pobudki: pragnąłem przede wszystkim Bożej akceptacji i pewności, że spiszę się na medal i po śmierci okażę się godnym Bożego nieba. Ani przez chwilę nie miałem w sercu prawdziwego pokoju; podobnie było podczas dziesięciu lat spędzonych na misjach w Tanzanii we wschodniej Afryce. Jak Adam skrył swą nagość za figowymi liśćmi (Rdz 3,7 BT), tak i ja nieustannie mozoliłem się, aby ukryć mą duchową nagość za osłoną aktywności religijnej i misjonarskiej. Przeszłość wspominam bez przyjemności i ze wstydem. Byłem grzeszny i obłudny. Ktoś mógłby rzec, że uczyniłem wiele dobra dla Afrykańczyków, że do nich pojechałem, budowałem szkoły ich dzieciom, dostarczałem lekarstwa chorym, uczyłem religii. Lecz dziś wiem, że wszystkie tak zwane „dobre uczynki” w oczach Boga były jak „szata splugawiona” (Iz 64,6). Godny politowania zgubiony grzesznik, rozpaczliwie potrzebujący zbawienia Bożego, ale zupełnie tego nieświadomy, byłem pewien, że jako katolik zbawienie mam zapewnione. Głęboko wierzyłem, że wszyscy katolicy są zbawieni już z chwilą przyjęcia sakramentu chrztu. Bardzo mi żal tych straconych lat, lat, gdy nie znałem prawdziwego Boga i Jego Syna, prawdziwego Pana i Zbawiciela Jezusa Chrystusa! Jakże dałem się oszukać, wierząc, iż przez dobre uczynki i mozół kapłański i misjonarski mogę wysłużyć sobie niebo! Miałem już 37 lat, gdy objawił mi się biblijny Bóg. Hojnie i obficie obdarzył mnie swą łaską! Opuścił mi wszystkie grzechy i dał do serca pokój prawdziwie kojący długoletnią tęsknotę. W jednej chwili zostałem zmieniony, zmieniony do gruntu w głębi mej istoty. Naprawdę narodziłem się na nowo, narodziłem się z samego Boga niebieskiego.

„Zaprawdę, zaprawdę powiadam ci: Jeżeli się kto nie narodzi znowu, nie może widzieć królestwa Bożego” (J 3,3).

Jeszcze przed zaraniem wieków wybrał mnie Bóg na swego syna. Dlatego zadziałał w moim życiu i przerwał ślepą gonitwę ku piekłu. Bo tam właśnie zdążałem: ja, ksiądz-misjonarz! Zmierałem do ognistego piekła, na wieczne oddzielenie od miłującego Boga. Obnażył mnie i ukazał, kim jestem pod mą religijną przykrywką: niegodziwym grzesznikiem.

„Albowiem wszyscy zgrzeszyli i nie dostaje im chwały Bożej” (Rz 3,23).

„Lecz Bóg, który jest bogaty w miłosierdziu, dla wielkiej miłości swojej, którą nas umiłował”, w swojej łasce zbawił mnie.

„Albowiem łaską jesteście zbawieni przez wiarę, i to nie jest z was, dar to Boży jest; Nie z uczynków, aby się kto nie chlubił” (Ef 2,4.8–9).

Z radością odkryłem, że zbawienie Boże to dar! Każdego dnia dziękuję Bogu za „niewypowiedziany dar jego” (2Kor 9,15).

W listopadzie 1966 roku porzuciłem na dobre kościół rzymski i jego kapłaństwo. Niektórzy mówili, że zrobiłem to, bo chciałem się ożenić — ale jest to zupełne kłamstwo. Nie miałem zamiaru się żenić; byłem na to zbyt dumny. Nie wiedzieć czemu, bardzo nisko ceniłem instytucję małżeństwa, uważając, iż jest ona poniżej mojej godności. Lecz Bóg, który zbawił mnie w swej łasce, w swoim czasie pokazał mi, iż chce, bym się ożenił. Jego Słowo mówi jasno:

„Uczciwe jest małżeństwo między wszystkimi i łoże niepokalane; ale wszeteczników i cudzołożników Bóg będzie sądził” (Hbr 13,4).

Napisano też:

„Ale dla uwarowania się wszeteczeństwa niech każdy ma swoją własną żonę, a każda niech ma swego własnego męża. [...] Ale jeżeli się wstrzymać nie mogą, niechże w stan małżeński wstąpią; boć lepiej w stan małżeński wstąpić, niż upalenie cierpieć” (1Kor 7,2.9).

Bóg dał mi wierzącą żonę, która zna i miłuje tego samego Pana Jezusa Chrystusa. Niedawno obchodziliśmy 25-lecie ślubu. Dlaczego jednak opuściłem kościół rzymskokatolicki i jego stan kapłański? Często zadawano mi to pytanie, ja zaś odpowiadałem następująco: „Bo nakazał mi to Bóg”. Nie kłamię. Bóg przemówił do mnie wprawdzie głosem nie słyszalnym — ale przez swoje Słowo, a konkretnie przez Księgę Apokalipsy, gdzie napisano:

„Wynijdźcie z niego, ludu mój!...” (Ap 18,4).

Prawdziwy Chrystus wzywa swój lud do opuszczenia rzymskiego katolicyzmu. Rzecz jasna ci, którzy nie są z Jego ludu, z Jego owiec, nakazu tego przyjąć nie mogą.

„Owce mojego głosu mego słuchają, a ja je znam i idą za mną” (J 10,27).

Dopóki Bóg w swojej łasce nie zbawił mnie, nikt nie potrafiłby mnie przekonać do wyjścia z katolicyzmu. Kiedy jednak Pan mnie zbawił i objawił swą wielką miłość, gdy po raz pierwszy usłyszałem Jego cichy, łagodny głos, nietrudno było mi zastosować się do Jego polecenia i wyjść z kościoła katolickiego. Miłuję Go bardzo, bo to On pierwszy mnie umiłował. Był czas, gdy uważałem kościół rzymski za jedyny prawdziwy kościół Jezusa Chrystusa na ziemi. Kiedy w mojej obecności jakiś nominalny protestant zauważył: „Cóż tam takiego — religia. Jedna jest taka sama dobra jak druga”, odpowiadałem: „Owszem, jedna religia może być równie dobra jak druga, ale tylko jedna religia jest prawdziwa, a jest nią katolicyzm”. Dziękuję Bogu, że otworzył mi oczy. Dziś wiem, że kościół, który szczyli się posiadaniem widzialnej głowy (papież rzymski), widzialnych znaków łaski (sakramenty), widzialnych następców apostołów (biskupi i kapłani), kościół, który wymaga obecności obrazów i posągów, aby przypominały o Bogu, nie może być prawdziwym kościołem Jezusa Chrystusa. Prawdziwy kościół jest zbudowany na wierze — wierze w nieomyłne Słowo Boże. Prawdziwie na nowo narodzeni chrześcijanie nie potrzebują „widzialnego” papieża, gdyż mają już Pana — niewidzialnego, Głowę prawdziwego kościoła. Wierzący otrzymali zapewnienie:

„Albowiem gdy to będzie przy was, a obficie będzie, nie próżnymi, ani niepożytecznymi wystawi was w znajomości Pana naszego, Jezusa Chrystusa” (2P 1,8).

Są oni podobni do Mojżesza, który „widział Niewidzialnego” (Hbr 11,27 BT). Wierzący tacy nie potrzebują też widzialnych znaków łaski, jak msza i sakramenty, bo ich zbawienie zostało wypisane w ich sercach przez Ducha Świętego, kiedy złożyli całkowitą ufność w Jezusie Chrystusie jako swym Zbawcy. Nie potrzebują też widzialnych następców apostołów, gdyż z Pisma Świętego wiadomo im, że to Bóg sam powołuje duchowych przywódców według swej woli, gdy pragnie, by to oni karmili Jego kościół bezcennym Słowem Bożym. Wierzący ci nie potrzebują obrazów i posągów, które przypominałyby im o Bogu, bo wierny wizerunek Chrystusa mają w Słowie Bożym — Biblii. Poza tym Bóg potępił — jako bałwochwalstwo- czynienie i czczenie obrazów i posągów (Wj 20,3–5). Dziś — już od 23 lat — pracuję w świeckiej drukarni. W miejscowym kościele ewangelikalnym prowadzę zajęcia biblijne dla dorosłych. Członkami tego kościoła jest sporo byłych katolików, którzy jak ja zostali zbawieni przez cudowną łaskę Bożą, którzy znają i miłują prawdziwego Jezusa Chrystusa, przedstawionego w Piśmie Świętym.

„A toć jest żywot wieczny, aby cię poznali samego prawdziwego Boga, i któregoś posłał, Jezusa Chrystusa” (J 17,3).

Robert V. Julien, nawrócony ksiądz

Amerikanin Robert V. Julien po raz pierwszy otworzył się na prawdę biblijną przebywając na misjach w Tanzanii. Obecnie mieszka i pracuje na Florydzie, prowadząc również pracę misyjną. Każdy, kto go zna osobiście, jest pod urokiem jego wielkiego serca względem niewierzących i wycucia w prezentowaniu Ewangelii.

Jasna światłość Chrystusa

Świadeństwo nawróconego księdza Francisca Rodrigueza

Herman Hegger przedstawia Francisca Rodrigueza:

Francisco Rodriguez przyjechał do Wartburga w prowincji Velp w Holandii. W pobliskim miasteczku Eerbeek znalazł pracę. Czuł jednak, że musi bez reszty oddać się studiowaniu Biblii, jeśli później, w Hiszpanii, ma głosić bogactwo Ewangelii, które dane mu było odkryć. Nasza fundacja „In de Rechte Straat” zaoferowała mu różnorakie propozycje; rychło doszliśmy do wniosku, że w Hiszpanii nie ma instytucji, która pomogłaby mu realizować to pragnienie. Zaproponowaliśmy mu dobrą, na wysokim poziomie naukowym szkołę biblijną w Limie w Peru oraz drugą w Guayaquil w Ekwadorze. Ale Francisco wybrał Reformacyjną Szkołę Biblijną w Zeist, między innymi dlatego, że w języku holenderskim istnieje znacznie bogatsza biblioteka literatury reformacyjnej niż w języku hiszpańskim.

— Dlaczego opuściłeś kościół katolicki?

Szukałem światłości prawdy. Szukałem jej w Piśmie Świętym, a nie w teologiach i dogmatach. I znalazłem źródło wody żywej, która ugasiła me pragnienie światła i wolności. Spotkałem Jezusa, Zbawcę, Odnowiciela, który zmienia nas od środka. Przez Niego mogłem zbliżyć się do Ojca, który usprawiedliwia grzesznika tylko z racji ofiary Chrystusa, przez wiarę w moc Jego krwi., Jego to ustanowił Bóg narzędziem prześlągania przez wiarę mocą Jego krwi. Chciał przez to okazać, że sprawiedliwość Jego względem grzechów popełnionych dawniej — za dni cierpliwości Bożej — wyrażała się w odpuszczaniu ich po to, by ujawnić w obecnym czasie Jego sprawiedliwość

„Którego Bóg wystawił ubłaganiem przez wiarę we krwi jego, ku okazaniu sprawiedliwości swojej przez odpuszczenie przedtem popełnionych grzechów w cierpliwości Bożej, Ku okazaniu sprawiedliwości swojej w terażniejszym czasie, na to, aby on był sprawiedliwym i usprawiedliwiającym tego, który jest z wiary Jezusowej” (Rz 3,25–26).

Doznałem działania Ducha Świętego, który wiedzie nas do całej prawdy i wraz z naszym duchem świadczy, że jesteśmy dziećmi Bożymi. Znalazłem wiarę — jedyną szatę weselną, w jakiej można wejść do życia wiecznego. Jako ksiądz cieszyłem się różnymi przywilejami duchowymi, opartymi na dogmatach ludzkiego pomysłu, związanymi z sakramentami. Otaczała mnie ciemność filozofii i niebiblijnej teologii. Żyłem w królestwie sił wrogich prawdzie Bożej, ale sądziłem, że służę właśnie Bogu. To On — a nie ja sam — mógł mnie obnażyć, zewlec ze mnie kapłańskie zaszczyty, zawieść do wolności dzieci Bożych.

„Kto wierzy w Syna Bożego, ma świadeństwo sam w sobie. Kto nie wierzy Bogu, kłamcą go uczynił, iż nie uwierzył temu świadeństwu, które Bóg świadczył o Synu swoim. A toć jest świadeństwo, iż nam Bóg dał żywot wieczny; a ten żywot jest w Synu jego. Te rzeczy napisałem wam, którzy wierzycie w imię Syna Bożego, żebyście wiedzieli, iż macie żywot wieczny, i abyście wierzyli w imię Syna Bożego” (1J 5,10–12).

— Czy musiałeś opuszczać kościół rzymskokatolicki?

Bez wątpienia. Będąc kapłanem, musiałbym dalej odprawiać mszę, bo według soboru trydenckiego „ta ofiara jest prawdziwie prześlągalna”¹. Lecz Pismo mówi:

„Albowiem jeźlibyśmy dobrowolnie grzeszyli po wzięciu znajomości prawdy, nie zostawały już ofiara za grzechy” (Hbr 9,26).

Musiałbym słuchać spowiedzi, udając, że posiadam moc odpuszczając grzechy według swego uznania; musiałbym nauczać ludzi, że na życie wieczne mogą sobie zarobić przez swe uczynki oraz zasługi świętych. Ale wszystko to sprzeciwia się nauce Biblii: że Chrystus jest

¹ Sobór Trydencki. Sesja XXII. Nauka o Najświętszej Ofierze Mszy Św. 321, [w:] Breviarium Fidei, Księgarnia Św. Wojciecha, Poznań 1964, s. 499.

drogą, prawdą i życiem. To nie moje widzimisię. Musiałem opuścić kościół katolicki, który był dla mnie w Hiszpanii istnym rajem, aby podążyć za Chrystusem i Jego krzyżem.

— Czemu przez kolejne dwa i pół roku pracowałeś w fabryce?

Było to konieczne. Jako ksiądz zbyt długo już stałem na piedestale. Musiałem wyzbyć się manier, podejścia do życia, mentalności członka uprzywilejowanej kasty. Mam naturę naukowca, stąd nie zawsze czułem się swojsko w świecie maszyn, w pracy właściwie nie wymagającej myślenia. Czasem trudno było mi pojąć sposób bycia i myślenia tych, którzy jeszcze niedawno stali daleko przede mną i których z racji tak wielkiego dystansu nigdy dotąd nie rozumiałem. Życie w fabryce okazało się dla mnie bardzo korzystne. Cieszę się z tego doświadczenia, jestem za nie Bogu wdzięczny.

— Co sądzisz o „księżach robotnikach” w kościele katolickim?

To oddani księża, starający się nie szukać swego. Niestety, w ich oczach Jezus to jedynie albo przede wszystkim syn cieśli z Nazaretu, jego współpracownik, przyjaciel ubogich. Ale zapominają o Chrystusie Zbawcy grzeszników, światłości i życiu rodzaju ludzkiego.

„A urodzi syna, i nazowiesz imię jego Jezus; albowiem on zbawi lud swój od grzechów ich” (Mt 1,21).

— Dlaczego chcesz studiować w szkole biblijnej, a nie na wydziale teologicznym?

Potrzebuję studiować i rozważać Słowo Boże. A taka jest chyba racja bytu szkoły biblijnej. Gdybym uczył się na wydziale teologicznym, musiałbym ponownie zgłębiać zagadnienia ogólnokulturowe i ogólnoteologiczne. Studia seminaryjne (dwa lata filozofii i cztery teologii) dają nam wykształcenie uniwersyteckie, które z formalnego punktu widzenia jest co najmniej równie gruntowne jak przygotowanie do posługi kapłańskiej. Ale z innego punktu widzenia: poznania Biblii zostajemy daleko w tyle. Stąd pragnienie studiów biblijnych.

— Jakie masz plany na przyszłość już po ukończeniu szkoły?

Wrócić do Hiszpanii i głosić tam radosną nowinę. Chcę dotrzeć do jak największej liczby księży, powiedzieć im o bogactwach łaski w Jezusie Chrystusie i o chwale wolności dzieci Bożych.

„Zasię im rzekł Jezus, mówiąc: Jam jest światłość świata; kto mię naśladuje, nie będzie chodził w ciemności, ale będzie miał światłość żywota” (J 8,12).

„Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: Kto słowa mego słucha i wierzy onemu, który mię posłał, ma żywot wieczny i nie przyjdzie na sąd, ale przeszedł z śmierci do żywota” (J 5,24).

Francisco Rodriguez, nawrócony ksiądz

Francisco Rodriguez powrócił do ojczystej Hiszpanii, gdzie pracuje dziś jako ewangelista. Mieszka w Ponferrada (Leon).

Krew Chrystusa ma moc zbawić

Świadek nawróconego księdza Simona Kottoora

Miłość Chrystusowa skłania mnie do złożenia świadectwa o moim nawróceniu — z rzymskokatolickiego kapłaństwa ku nowemu życiu w Jezusie Chrystusie. Przez 25 lat byłem księdzem katolickim, ściśle przestrzegając rytuałów systemu, który otoczył mnie niby ogromna, niezdołana twierdza ciemności i nieznanności Słowa Bożego.

Pan mnie uczy

„Ochrzcilem” wiele niemowląt, lejąc wodę na ich główki, prowadziłem procesje ku czci umarłych „świętych”, obnosząc drewniane podobizny — mimo że drugie przykazanie Boże jasno zabrania nawet ich sporządzania. Co dzień odprawiałem mszę, błędnie uważając ją za powtórzenie ofiary Chrystusa na Golgocie i wierząc, że chleb i wino stają się dosłownie ciałem i krwią Jezusa. Dopiero potem, gdy rozważałem słowa Jezusa zapisane w Biblii i modliłem się w tej sprawie, otwarły mi się oczy. Pan pokazał mi, że nie może być ani powtórzenia ofiary, która w pełni dokonała się na krzyżu, ani też dosłownej przemiany chleba i wina w Ciało i Krew Jezusa na mocy słów, które padły podczas Ostatniej Wieczerzy. Z powagą, wytrwale i szczerze starałem się o wstawiennictwo umarłych „świętych” i modliłem się o dusze w czyśćcu, nie wiedząc, że Pismo Święte naucza, iż jest tylko jeden Bóg i jeden Pośrednik pomiędzy Bogiem a człowiekiem — Człowiek-Bóg Jezus Chrystus. To On umarł w miejsce wierzącego i zapłacił pełną cenę za grzech. A skoro tak, to nietrudno pojąć, czemu Biblia nie wspomina o żadnym miejscu pokuty za grzechy zwanym czyśćcem, w którym przez cierpienie i modlitwy żyjących na ziemi dusze miałyby w końcu uzyskiwać wyzwolenie. Jako oddany katolik, głęboko wierzyłem w kult relikwii i sakramentaliów wyposażonych w boską moc wstawienniczą, jeśli stosuje się je w potrzebach duchowych.

Tylko Bóg może odpuszczać grzechy

Jako ksiądz, wysłuchiwałem spowiedzi i „rozgrzeszałem” innych, nieświadomy biblijnej nauki, iż tylko Bóg może odpuszczać grzechy. Pismo Święte mówi:

„Jeźlibyśmy wyznali grzechy nasze, wierny jest Bóg i sprawiedliwy, aby nam odpuścił grzechy i oczyścił nas od wszelkiej nieprawości” (1J 1,9).

Trwałem w tym i w innych przekonaniach i praktykach nie tylko dlatego, że urodziłem się i wychowałem w tej tradycji, ale głównie z tego powodu, iż czułem się zobowiązany do posłuszeństwa — uwierzyłem bowiem kłamstwu, że „poza kościołem rzymskokatolickim nie ma zbawienia”. Nauka kościoła, czyli Magisterium Ecclesiae, oparta na tradycji, uchodziła za jedyny środek poznania prawdy — nie było nim natomiast Słowo Boże, Biblia, traktowana jak księga zamknięta nawet dla przyszłych kapłanów).

Nie ma pokoju bez Boga

Do kapłaństwa przygotowywałem się w Rzymie. W 1954 roku zrobiłem doktorat z teologii, potem odbyłem jeszcze podyplomowe studia ekonomiczne w Kanadzie. Przez osiem lat wykładałem ekonomię w B. C. M. College w Kottayam, a przez dziewięć byłem dyrektorem Kolegium św. Szczepana w Uzhavoor. Pełniąc te wysokie funkcje, zyskałem powszechnie

uznanie — i niezły status materialny. Podczas 25 lat posługi kapłańskiej nie zaznałem radości duchowej ani pokoju duszy, nawet podczas odprawiania rozmaitych rytuałów. Narastało we mnie poczucie ciemności i pustki, w końcu doszedłem do wniosku, że nie ma żadnego sensu ani chrzest niemowląt, ani spowiedź, ani „realna obecność Chrystusa” podczas mszy, ani żaden z pozostałych rytuałów. Nie wiedziałem, co począć. Zacząłem palić, pić, objadać się, chadzać do teatrów i oddawać się rozmaitym zajęciom tego świata, w nadziei, że da mi to szczęście i pokój ducha. Nic z tych rzeczy nie mogło mi jednak zapewnić tego, czego potrzebował mój duch. Były to lata agonii i duchowego niepokoju, faktycznie bowiem potrzebowałem zbawienia wiecznego.

Światło na mojej ścieżce

Niespodziewanie zainteresowałem się Biblią; zafrapowały mnie pewne wersety, na przykład:

„Niebo i ziemia przeminą; ale słowa moje nie przeminą” (Mk 13,31).

Uświadomiłem sobie, iż

„Wszystko Pismo od Boga jest natchnione i pożyteczne ku nauce, ku strofowaniu, ku naprawie, ku ćwiczeniu, które jest w sprawiedliwości; Aby człowiek Boży był doskonały, ku wszelkiej sprawie dobrej dostatecznie wyćwiczony” (2Tm 3,16–17).

Dziękuję Bogu, że postawił na mojej drodze ludzi narodzonych na nowo, którzy pomogli mi poznać Słowo Boże, „lampę dla moich stóp” i „światło na mojej ścieżce”. Pojąłem powód mej duchowej jałowości i pustki.

„Wszelki, co przestępuje, a nie zostaje w nauce Chrystusowej, Boga nie ma; kto zostaje w nauce Chrystusowej, ten i Ojca, i Syna ma” (2J 1,9).

Mimo że byłem bardzo religijny, nie trwałem w nauce Chrystusa. Moje oczy otwarły się wreszcie na Jego naukę zapisaną w Biblii, jedyną, moc Bożą ku zbawieniu”. Najważniejsze, najdonioślejsze dla naszego wiecznego losu pytanie zadał Pan w Ewangelii Mateusza 16,26:

„Albowiem cóż pomoże człowiekowi, choćby wszystek świat pozyskał, a na duszy swojej szkodował? albo co za zamianę da człowiek za duszę swoją?”

Werset ten dźwięczał mi w uszach. Dzięki Słowu Bożemu pojąłem, że sam chrzest nie uczyni z człowieka chrześcijanina, zwłaszcza chrzest w wieku niemowlęcym. Niemowlę nie może wierzyć, doświadczać skruchy, wyznać grzechu. Nie potrafi zaufać Jezusowi ani przyjąć Go jako swego Zbawcę. Poza tym wszystkim w skrapianiu kogoś wodą trudno dojrzeć symbol śmierci, pogrzebania i zmartwychwstania. Zrozumiałem, jaka jest moja duchowa potrzeba, ujrzałem własny grzech i sprawiedliwość Chrystusa.

Nowe stworzenie

Chwałę Pana, że dał mi odwagę i siłę, by opuścić wszystko i zaufać Jezusowi Chrystusowi jako Zbawcy i Panu. Stało się to 5 kwietnia 1980 roku. Gdy narodziłem się na nowo z Jego Ducha i zostałem ochrzczony w wodzie, Pan napenił mnie pokojem, włożył radość do serca i nadał sens życiu. Wewnętrzna pustka, dręcząca mnie od dawna, znikła; i już wiem, co znaczy: stać się nowym stworzeniem. To, co stare, przeminęło, a oto wszystko stało się nowe. Lecz szatan nie dawał za wygraną, krążąc koło mnie jak lew ryczący. Zaczął używać swoje sługi do prześladowania mnie przez napaści fizyczne, samotność i ostracyzm otoczenia, rzucając też na mnie fałszywe oskarżenia. Wycierpiałem wszystko, co opisano w Psalmie 69, 5. 9 i 13. W tym wszystkim Pan był moim pocieszeniem i siłą. Nigdy mnie nie zawiódł ani nie porzucił. Słowa z Psalmu 27,10 i Ewangelii Łukasza 6,22–23 dodawały mi ufności, natchnienia, a nawet radości. Pan obdarzył mnie na nowo narodzoną małżonką (12 lat była zakonnicą); razem żyjemy wiarą służąc Panu. Podróżowałem wiele po Indiach i zagranicą, głosząc o zbawczej mocy Jezusa Chrystusa i dając świadectwo swego nawrócenia. Odwiedziłem wiele rodzin i pojedynczych osób, chcąc przywieść je do Pana. Pan wręcz cudem przenosił nas z miejsca w miejsce mimo prześladowań. W 1987 roku otworzył przed nami drzwi do Ameryki. Wkrótce, za sprawą dr. Barta Brewera z Mission to Catholics International, poznaliśmy pastora Teda Duncana z Kościoła Baptystycznego Liberty w San Jose w Kalifornii. Zawsze będę wdzięczny tym ludziom za ich dobrą wolę i pomoc duchową — byli dla nas Miłosiernym Samarytaninem. Wraz z żoną zostaliśmy też ubłogosławieni synem Ji-

monem i córką Jintomol. Mieszkamy w San Jose, a wspólnotę z wierzącymi mamy w Kościele Baptistycznym Liberty. Ponieważ jestem już w wieku emerytalnym, w dodatku kiepskiego zdrowia, moja żona zaś nie ma uzdolnień manualnych, znajdujemy się w dość upokarzającym położeniu — braku stałego dochodu. Lecz ufamy Panu, który zaspokaja nasze najpilniejsze potrzeby za pośrednictwem swoich dzieci w Rodzinie Bożej. Drogi Czytelniku, spójrz na Jezusa Chrystusa. W Jego odkupieńczej krwi jest moc zdolna zmyć Twe grzechy, tak jak zmyła moje. Nikomu nie wolno podważać prawdy o absolutnej wystarczalności drogocennej krwi Chrystusa. Ufaj tylko Jemu.

„A bywają usprawiedliwieni darmo z łaski jego przez odkupienie, które się stało w Chrystusie Jezusie” (Rz 3,24).

Simon Kottoor, nawrócony ksiądz

Simon Kottoor służy dziś Panu w swoim kościele w San Jose (Kalifornia). W wielu kościołach składał świadectwo i opowiadał o wierze biblijnej. Ma wielkie pragnienie pomagania katolikom, którzy próbują dojść do poznania biblijnej prawdy. Adres: Simon Kottoor, 2683 Camino Ecco, San Jose, CA 95 121, USA. Tel. (0-01) (408) 274 4415.

Jezus zbawił nawet mnie

Świadectwo nawróconego księdza Jose Manuela de Leona

Urodziłem się w Viscaia w Hiszpanii 9 kwietnia 1925 roku. W wieku 11 lat straciłem ojca: zginął w wojnie domowej. Okoliczności sprawiły, że straciłem kontakt i z matką, miłośniczką życia towarzyskiego: kilku stryjów — pocziwych, ale niestety zwiedzionych — postanowiło bowiem, że zostaną księdzem. Świecenia kapłańskie otrzymałem 24 września 1949 roku. Choć aż osiem lat poświęciłem nauczaniu młodzieży, sam nie miałem pokoju w sercu. Mimo ślubów ubóstwa, czystości i posłuszeństwa oraz ciągłych modlitw i spowiedzi nie zdołałem rozwiązać problemów swej duszy i położyć kresu jej udęce. Pełen wyrzutów sumienia, próbowałem przestrzegać niezliczonych zasad i praw. Przystępowałem do sakramentów, odprawiałem obrzędy, nie znałem jednak Chrystusa jako mego Zbawcy i nie czułem pociągu do Pisma Świętego. Jak zresztą mogłem nauczać czegoś, co sam lekceważę? Nigdy nie przyszło mi do głowy, że sprzeciwiam się Słowu Bożemu.

Miłosierny Bóg mnie prowadzi

Wysłano mnie do Urugwaju jako wikariusza do parafii Matki Dobrej Rady w Rocha. Tutaj, w Ameryce Łacińskiej, przez rok wytrwale spełniałem swe obowiązki, ale dobrej rady na własne kłopoty nie znalazłem. Nigdy przedtem nie rozmawiałem z chrześcijanami ewangelikalnymi („protestantami”, jak się często mówi), nie miałem też zamiaru zostać jednym z nich. Lecz miłosierny Bóg mną kierował. We wrześniu 1958 roku poznałem dwie wierzące niewiasty z Buenos Aires; rozmowa z nimi wywarła na mnie miłe wrażenie. Modliły się do Boga z niekłamaną ufnością, doskonale też znały Jego Słowo. Zapytały, czy jestem zbawiony. Odparłem, iż spodziewam się zostać zbawionym dzięki zasługom Chrystusa i własnym czynkom. Odrzekły, że

„usprawiedliwieni z wiary, mamy pokój z Bogiem” i że, krew Jezusa, Syna Jego, oczyszcza nas z wszelkiego grzechu” (1J 1,7 BT).

Opierały się tylko na Piśmie Świętym: Liście do Efezjan 2,8, Liście do Rzymian 5,1, Pierwszym Liście Jana 1,7. Kłóciłem się z nimi, twierdząc, że „pod tym wszystkim rozumie kościół codzienną ofiarę Eucharystii składaną za nasze grzechy i zmarłych”. Panie odparły: „Kościół katolicki i wy, księża, mówicie wiele różnych rzeczy — a tymczasem Biblia zapewnia nas przecież:

„A gdzieć jest odpuszczenie ich, juźci więcej ofiary nie potrzeba za grzech” (Hbr 10,18).

Słowo Boże czytane i głoszone

Od razu napisałem do znajomych w Hiszpanii i poprosiłem, by przysłali mi dwa tłumaczenia Biblii — katolickie Nacar-Colunga i ewangelikalne Reina-Valera. Otrzymawszy oba egzemplarze zacząłem gorączkową lekturę, po siedem, osiem godzin dziennie. Upewniłem się, że księgi są takie same, a różnią się tylko niektórymi słowami użytymi przez tłumaczy. Słowo Boże robiło rewolucję w moim wnętrzu. Po trzech miesiącach spędzonych w prawdziwej „szkole Bożej” pojechałem do Buenos Aires, pragnąc spotkać się z protestantami. Trzy dni spędzone na nabożeństwach i rozmowach z nimi wystarczyły, by przekonać mnie, że ludzie cieszący się takim pokojem wewnętrznym i szczęściem i zawsze modlący się do Boga w imieniu Pana Jezusa nie mogą się mylić. To po prostu niemożliwe. Po powrocie do Rocha nie mogłem wprost powstrzymać się od głoszenia parafianom Słowa Bożego, które —

wedle czytań na kolejnych mszach — było poświęcone przypowieści o siewcy, uzdrowieniu ślepcy z Jerycha, kuszeniu Pana na pustyni itd. Wprost idealna okazja, ażeby zachęcać do lektury Pisma Świętego. Nie atakowałem żadnych dogmatów katolickich i w duchu mocno sobie postanowiłem, by tego nie czynić. Ciągle jednak miałem przekonanie, że daleko mi do zbawienia. Zresztą przy takim stanowisku trzymał mnie osobisty interes. Moje zdumienie nie miało zatem granic, gdy w rocznicę mojego przyjazdu do Rocha (21 lutego 1959 roku) biskup ordynariusz oznajmił mi, że za to, iż wygłaszam kazania „jak protestant”, zostaną wydalony z diecezji i wrócę do Hiszpanii. Gdybym głosił coś przeciw doktrynie katolickiej, byłbym chętnie to odwołał publicznie. Ale wbrew prawu kościelnemu — wedle którego przed zastosowaniem cenzury kościelnej strona zainteresowana musi być upomniana — zostałem potraktowany niesprawiedliwie. Choć sumienie nie oskarżało mnie przed Bogiem, udałem się do nuncjusza prosząc o kolejne posłuchanie u biskupa. Tym razem był uprzejmiejszy, i to ja sam postanowiłem, że wyjadę z Rocha. Po ośmiu dniach „rekołekcji duchowych” objąłem posługę kapłańską w Rio Branco.

Chrystus jedynym fundamentem

Okres „rekołekcji” posłużył mi do lepszego poznania Biblii. Im więcej ją czytałem, tym większe było moje przeświadczenie, że kościół rzymski zupełnie odszedł od ducha Ewangelii. W książce zatytułowanej: „Dlaczego zostałem kapłanem i dlaczego przestałem nim być” wyczerpująco podaję powody, które skłoniły mnie do opuszczenia kościoła katolickiego. Wszystko też ustawiam na właściwym miejscu: Chrystus — nie zaś Piotr — Skałą swojego kościoła; Pismo Święte — a nie tradycja; Dziewica Maria jako matka Zbawiciela — nie zaś matka Boga; święci Boży to osoby godne podziwu — lecz nie wstawiające się za nami itd. Zauważyłem, że także w katolickim przekładzie Biblii Bóg wyraźnie zabrania nie tylko czcić, ale i sporządzać przedmioty kultu; mówi o tym drugie przykazanie, które Rzym wyciął z katechizmu. A brzmi ono:

„Nie będziesz czynił żadnej rzeźby ani żadnego obrazu tego, co jest [...] Nie będziesz oddawał im pokłonu...” (Wj 20,4–5 BT).

Katolicyzm głosi, że: ¹ kapłan, zwany ojcem duchownym, jest ustanowiony przez Boga w celu pouczenia; (2) trzeba mu wyznawać grzechy, aby otrzymać rozgrzeszenie; (3) tylko za pośrednictwem jego i kościoła można otrzymać zbawienie.

Bóg jednak w swoim Słowie uczy, że: (1) nie wolno nam nikogo na ziemi zwać ojcem, gdyż to On jest naszym Ojcem i On jest naszym Mistrzem, Chrystusem, i to Duch Święty naucza i prowadzi nas do całej prawdy (Mt 28,9–10; J 14,26 i 16,13); (2) grzechy trzeba wyznawać Panu i właśnie to oczyszcza nas z wszelkiej nieprawości (1J 1,8–10; Iz 43,26); (3) poza Chrystusem, który umarł na krzyżu za grzeszników, nie ma innego imienia danego ludziom, poprzez które moglibyśmy być zbawieni (Dz 4,12 i 5,31; Hbr 7,25). Nie byłem w stanie dłużej walczyć z Bogiem, Jego Słowem i własnym sumieniem — postanowiłem oddać się bez reszty w Jego ręce, a kościół rzymski opuścić. Słowo Chrystusowe wypełniło się niejednym raz.

„Poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi” (J 8,32).

Nie zrobiłem nic wielkiego — po prostu posłuchałem uroczystej przestrogi podanej pod koniec Pisma Świętego:

„... ludu mój! abyście nie byli uczestnikami grzechów jego, a iżbyście nie wzięli z plag jego” (Ap 18,4).

Teraz zaś tak jak apostoł Paweł głoszą Ewangelię „według drogi nazwanej przez nich sektą”.

„Ale z pomocą Bożą żyję do dzisiaj i daję świadectwo małym i wielkim, [...] światło zarówno ludowi, jak i poganom” (Dz 24,14; 26,22–23 BT).

Jose Manuel de Leon, nawrócony ksiądz

Jose Manuel de Leon, kolega Jose Borrassa z lat seminaryjnych, później podobnie jak jego towarzysz doszedł do wiary biblijnej. Obaj mieli okazję spotkać się ponownie w Madrycie i podzielić się swymi przeżyciami. Jose Manuel de Leon od wielu lat wiernie służy Panu i świadczy o prawdzie. Jego ostatni adres: J. M. de Leon, P. O. Box 16 032, Montevideo 11 400, Urugwaj.

¹ II sobór watykański sprzeciwił się tym praktykom (przyp. red. polskiej).

Czemu opuściłem kościół rzymski

Świadectwo nawróconego księdza Johna Prestona

„...prawda was wyswobodzi” (J 8,32). Prawda Ewangelii Jezusowej wyzwoliła miliony ludzi z grzechów, brzemion i udręk, dowodząc, że niesfałszowane Słowo Pisma Świętego jest ciągle „mocą Bożą ku zbawieniu każdemu wierzącemu” (Rz 1,16). Historia mojego wyzwolenia z ciemności Rzymu ku, wolności i chwale dzieci Bożych” (Rz 8,21) to kolejne świadectwo działania tej mocy. W moim nawróceniu nie ma nic uderzającego: nagłej zmiany, cudownego zdarzenia, które zmusiłoby mnie do opuszczenia kościoła rzymskokatolickiego i do poddania się Chrystusowi — tylko spokojne, wytrwałe działanie łaski Bożej i codzienna świadomość błędności systemu, który mylnie nazywa siebie katolickim i chrześcijańskim.

Brak pewności przebaczenia

Urodziłem się na północy Włoch w rodzinie katolickiej, w tej wierze zostałem ochrzczony i bierzmowany. W wieku 12 lat poczułem, że Bóg powołał mnie do kapłaństwa, i wstąpiłem do seminarium duchownego, gdzie dziewięć lat poświęciłem intensywnym, surowym przygotowaniom. W okresie tym długotrwały, głęboki kryzys wewnętrzny sprawił, że po raz pierwszy pojąłem bezużyteczność spowiedzi. Grzech spowił w ciemność moją duszę, ducha zaś dręczyło wątplenie. Rozpaczliwie poszukiwałem światła i pokoju. Uczyłem się i niemal co dzień chodziłem do spowiedzi w nadziei uzyskania przebaczenia i szczęścia. Pomimo jednak tych starań i częstego wyznawania grzechów spowiednikowi nie miałem żadnej pewności przebaczenia, a serce nie otrzymywało mocy, by trwać w czystości i nie pograżać się w coraz liczniejszych i coraz gorszych grzechach. Jakiż radosny kontrast z tym obrazem stanowi moje obecne życie. Złożyłem całą ufność w Nim i wiem, komu zaufałem, wiem też, że jest On w stanie zachować mnie, aż do owego dnia”. Wyznaję grzechy bezpośrednio Bogu, a On oczyszcza mnie, daje mi nowe serce i czyni mnie nowym stworzeniem oczyszczającą mocą krwi Jezusa.

Próba zbawienia się przez uczynki

Właśnie aby przezwyciężyć ten wewnętrzny kryzys, postanowiłem oddać się bardziej świątobliwemu życiu wśród ludów afrykańskich. Przyłączyłem się zatem do zakonu misjonarzy, noszącego we Włoszech zaszczytną nazwę Synów Najświętszego Serca Jezusowego (Sercowcy), w Anglii zaś Ojców Werońskich. Choć czuję wielką wdzięczność do Ojców Werońskich za pomoc, jakiej udzielili mi w ciągu ostatnich pięciu lat przygotowań, to nie mogę pominąć milczeniem sposobu, w jaki szkolą oni kandydatów do pracy na polu misyjnym i kapłaństwa. Przygotowania obracają się wokół uczynków, zbawienie zależy bowiem od tego, co robimy, nie zaś od tego, co uczynił Jezus. Sami zapracowujemy albo na wieczne życie wieczne, albo potępienie. Jezus nie jest, sprawcą i dokończycielem wiary” (BW), „Alfą i Omegą”, „pierwszym i ostatnim”. Niebo otwierają nam nasze uczynki, zasługi, modlitwy, jałmużny, akty pokuty- nie zaś Jezus. Dlatego podczas dwóch lat nowicjatu zachęcano mnie do biczowania się po gołym ciele, do całowania posadzki w jadalni albo czyichś stóp.¹

Światłość Ewangelii

Po nowicjacie udałem się na czteroletnie studia teologiczne, a w 1952 roku w Mediolanie przyjąłem święcenia kapłańskie. Po roku posługi kapłańskiej i misyjnej w północnych i środkowych Włoszech pojechałem do Asmary w Erytrei jako misjonarz i wykładowca dużej uczelni katolickiej. Tam pierwszy raz zetknąłem się z misjonarzami protestanckimi i dostałem nieco literatury do przestudiowania; tam też boleśniej niż dotąd uświadomiłem sobie, jak tyrański może być kościół rzymski. Przybywszy po dwóch latach do Londynu w celu podszlifowania znajomości angielskiego zacząłem badać wiarę protestancką i prosić Boga o światło. Zdarzało mi się od czasu do czasu słuchać protestantów przemawiających w Hyde Parku, a ich nieustraszone obnażanie rzymskich herezji pomogło mi oderwać się w końcu od kościoła rzymskiego. Pan P. Pengilly, pełniący funkcję starszego misjonarza w Związku Protestanckim, wywarł na mnie szczególny wpływ. Także w Londynie poznałem świętej pamięci T. R. Horana, dyrektora Irlandzkich Misji Kościelnych (5 Townsend Street, Dublin), gdzie też po kilku miesiącach intensywnego, wspieranego modlitwą szkolenia oficjalnie przyjęto mnie do wspólnoty Kościoła Irlandii w Kościele Misyjnym wspomnianego towarzystwa. Pastor Horan skontaktował mnie z pastorem Marianem Rughim, innym byłym księdzem katolickim z Włoch, wtedy już pastorem w kościele św. Pawła w Halliwell w hrabstwie Bolton. Brat Rughy zapoznał mnie później z biskupem Manchesteru, umożliwiając mi w ten sposób roczne szkolenie w St. Aiden Theological College w Birkenhead w hrabstwie Cheshire. Na koniec chciałbym zapewnić, że pisząc to świadectwo nie żywię urazy do nikogo. Przeciwnie, z całego serca pragnę ich zbawienia i modlę się za nimi do Boga”, aby wielu katolików ujrzało światło Ewangelii tak jak ja i aby rozradowało się w poznaniu Jezusa jako Zbawiciela. Właśnie radość z tego wielkiego duchowego odkrycia i pragnienie przekazania jej innym skłoniły mnie do napisania tych słów, w ufności, że Bóg odbierze z tego całą chwałę.

John Preston, nawrócony ksiądz

John Preston, dobiegający już siedemdziesiątego roku życia, wciąż zajmuje się ewangelizacją, pisze również książki.

Przyjąłem Łaskę

Świadectwo nawróconego księdza Edoarda Labanchiego

Jedyną religią, o której miałem pojęcie, była religia kościoła rzymskokatolickiego. Postanowiłem więc zostać księdzem, zakonnikiem, i przystąpiłem do zakonu Jezuitów. Przełożeni byli widać ze mnie zadowoleni, bo pozwolono mi wcześniej złożyć śluby, które normalnie składa się dopiero po dwu latach profesji czasowej. Przyznam, iż odczuwałem pewną dumę, była to jednak duma czysto ludzka. Czulem, że robię coś nadzwyczajnego i — jak faryzeusz stojący przed ołtarzem w Świątyni i gardzący celnikiem — czulem się inny niż reszta. Byłem przecież w kościele katolickim i uważano mnie za kandydata do pełnej doskonałości. Byłem tak ambitny, że poprosiłem, aby wysłano mnie na misję, przypuszczając, że na misjach będę miał okazję wieść duchowy żywot na jeszcze wyższym poziomie. I stało się, że posłano mnie na Ceylon.

Na misjach

Gdy przybyłem na wyspę, jeszcze przed święceniami i jeszcze przed rozpoczęciem studiów teologicznych, wysłano mnie do pracy w pewnym kolegium. Jezuiti mają bardzo długi czas kształcenia. Rychło doznałem wielkiego rozczarowania brakiem wśród katolickich misjonarzy zapału do nawracania pogan. Angażowali się głównie w pracę nauczycielską w szkołach. Widziałem ich imponujące kościoły, lecz bardzo skromną „ilość” ewangelizacji — tak jak ją wtedy pojmowałem. Zrozumiałem, że panuje tam martwota. Po jakimś czasie przeniesiono mnie do Indii, gdzie miałem studiować teologię i otrzymać święcenia. Podczas studiów zetknąłem się twarzą w twarz z hinduizmem, buddyzmem i islamem, które stanowiły dla mnie duże wyzwanie. Zacząłem się zastanawiać, jaka jest właściwie różnica między nimi a chrześcijaństwem. I pogańskie religie miały przecież swe święte księgi i pisma. Głosiły wzniosłe ideały i przykazania, zachęcały do życia zgodnie z nimi. Hindus bez wahania umieszczał obrazek z Jezusem wśród pozostałych swoich bóstw, pozostając nadal wiernym wyznawcą hinduizmu. Czy była zasadnicza różnica między tymi religiami a chrześcijaństwem, czy też wszystkie religie były z gruntu tym samym?

Nieco światła

Wtedy właśnie zacząłem powoli dostrzegać światło, i to mimo pozostawania w kościele katolickim. Dobiały końca moje studia teologiczne, ale z pewnością to nie one pozwalały mi dostrzegać to światło, nie pochodziło ono też od moich wykładowców, nie wynikało z rutynowych modlitw ani z posłuszeństwa papieżowi. To pewne. Bóg posłużył się faktem, że czytałem i studiowałem Biblię, Jego Słowo. Już wcześniej czulem niewytłumaczalny pociąg ku Słowu Bożemu, dostrzegając tam coś czystego i prawdziwego, coś, co przemawia do serca i co mogę zrozumieć, coś więcej niż dzieło człowieka. Więc czytałem i studiowałem Biblię z całą uwagą, a czyniąc to zacząłem sobie uświadamiać, że podstawowa różnica między chrześcijaństwem a religiami pogańskimi tkwi zasadniczo nie tyle w przykazaniach i doktrynach, co w Osobie Jezusa Chrystusa. Zacząłem rozmyślać nad tym, co Pismo ma do powiedzenia o Nim i o Jego dziele odkupienia, i zaczął się On dla mnie stawać coraz bardziej realny. Powoli, niby wschodzące słońce, Chrystus wznosił się coraz wyżej ponad horyzont mego życia. Choć nadal trzymałem się wielu doktryn rzymskich, to działo się ze mną coś niezwykłego.

Wspólnota z Chrystusem?

Po święceniach w 1964 roku posłano mnie znów na Cejlon, tym razem już jako księdza. Raz polecono mi udać się do miasta położonego na środku wyspy, by dla grupy katolickich katechetów wygłosić cykl wykładów o Piśmie; przełożeni wiedzieli bowiem o moich zainteresowaniach i szczególnie pilnych studiach nad Biblią. Właśnie podczas jednej z wizyt w tym mieście wstąpiłem do miejscowego kościoła ewangelikalnego. Już wcześniej zauważyłem ten mały budynek, zawsze jednak czułem do niego jakąś pogardę. Obok stał bowiem ogromny, imponujący gmach kościoła rzymskokatolickiego, i przechodząc tamtędy zawsze myślałem sobie: „I za kogo się ci śmieszni protestanci uważają? Jeśli poganie mają się nawrócić, to może temu podołać tylko wielki kościół katolicki”. Tego jednak dnia ni stąd, ni zowąd wszedłem do środka. Może wskutek świeżych prądów ekumenicznych pomyślałem, że powinniśmy być mili i uprzejmi dla „braci odłączonych”. Oni wyraźnie zdziwili się na mój widok — ale przyjęli mnie życzliwie i obdarowali paroma broszurkami i ulotkami. Nie mogłem wyjść z podziwu nad zapalem i oddaniem tych ludzi. Byli to po części szwedzcy misjonarze, a reszta — miejscowi, cejlońscy wierzący. Odbywała się akurat krucjata ewangelizacyjna, na ulicach rozdawano broszurki i zaproszenia, nawet dzieci chętnie włączały się do pomocy. Takiej gorliwości w kościele katolickim nie spotkałem. Spostrzegłem też, że próbują mnie nawrócić. Zainteresowało mnie szczególnie jedno pismo, które od nich dostałem, chrześcijański magazyn *The Herald of His Coming* (Zwiastun Jego Przyjścia), wychodzący obecnie w wielu językach — także po włosku, wydawany w Rzymie. Artykuły mówiły o nowym narodzeniu, o oddaniu się Chrystusowi i nowym życiu w jedności z Nim. Teoretycznie wiedziałem o tym wszystkim, ale tutaj wydawało się to żywe, realne, osobiste. „Bądź co bądź” — myślałem sobie — „taki jest przecież sens Ewangelii i tak to powinno wyglądać”. Nadal spotykałem się z tymi wierzącymi przy rozmaitych okazjach, i nadal dawali mi broszury i ulotki poświęcone Ewangelii, niektóre wydane przez *Scripture Gift Mission* (Misję Daru Biblijnego), oraz kolejne numery „Zwiastuna Jego Przyjścia”. Literatura ta pomogła mi zbliżyć się do Pana. Później na kilka miesięcy wróciłem do Indii, aby dokończyć studia teologiczne, i także tam natknąłem się na chrześcijan ewangelikalnych.

Bóg działa

W tym punkcie mego życia Bóg zaczął działać wyraźniej niż dotąd. Coraz mocniej czułem, że czas wracać do Włoch; uczuciu temu towarzyszył ponadto nowy rozwój wypadków. Rząd cejloński ogłosił, iż wszyscy zagraniczni misjonarze będą stopniowo wydalani z kraju — a na początek tej akcji zaczęto odmawiać prawa powrotu tym, którzy wyjechali chwilowo. Nie mogłem też pozostać w Indiach, bo nie będąc obywatelem Brytyjskiej Wspólnoty Narodów miałem prawo pozostać tam tylko do ukończenia studiów. Przełożeni postanowili odesłać nas do naszych krajów — i kazano mi szykować się do powrotu do Włoch. Jeszcze przed wyjazdem napisałem do dyrektora włoskiego wydania „Zwiastuna Jego Przyjścia” w Rzymie, że mimo iż jestem katolickim księdzem, to w duchu ekumenizmu przeczytałem to czasopismo i bardzo mi się spodobało. Toteż po powrocie do Włoch pragnąłbym z nimi współpracować, na ile pozwolą mi na to moje kapłańskie obowiązki. Już we Włoszech spędziwszy około dwa miesiące w rodzinnym Neapolu zostałem wysłany do Rzymu, aby specjalizować się w dziedzinie Biblii. Przełożeni wiedzieli, że w Indiach poważnie się nią zainteresowałem, a liczyli, że Biblia może się stać pomostem, po którym kościoły protestanckie włączą się w ruch ekumeniczny. Umieszczono mnie w najlepszym katolickim instytucie biblijnym w Rzymie. Rozumiejąc wagę zaszczytu postanowiłem zaprzestać wszelkich kontaktów z chrześcijanami ewangelikalnymi — czyli protestantami. Odeszła mnie ochota zadawania się z nimi i współpracy ze „Zwiastunem Jego Przyjścia”. Miałem oddać się całkowicie studiom nad Biblią i przygotowaniom do przyszłej posługi. Nie było zresztą chwili czasu na kontakty z protestantami. W każdym razie tak to sobie wszystko tłumaczyłem; patrząc jednak wstecz, widzę, że faktycznym powodem zerwania kontaktów była głęboka świadomość, że spotkania z nimi zmuszą mnie do podjęcia jakiejś decyzji — a to napawało mnie lękiem.

Próby ewangelizacyjne

Kontynuowałem więc studia, poproszono mnie też o posługę kapłańską w kościele, gdzie w niedziele i święta mówiłem kazania do zgromadzenia liczącego z tysiąc osób, wysłuchiwałem spowiedzi i robiłem wszystko, co powinien robić ksiądz. W kazaniach starałem się przekazać poselstwo Ewangelii, w konfesjonale usiłowałem udzielać faktycznej pomocy duchowej i mówić o nowym narodzeniu. Zdawałem sobie sprawę ze swej odpowiedzialności i z wagi tych osobistych kontaktów, pomyślałem więc, że prócz rozmowy powinienem im też zapewnić możliwość pożytecznej lektury. Musiałaby to oczywiście być jakaś mała broszurka, napisana prostym językiem, no i rzecz jasna za darmo, tak aby mogli przyjąć ją bez skrępowań. Nie wiedziałem tylko, skąd wziąć takie broszurki. Przypomniałem sobie, że materiały, jakie dawano mi w Indiach i na Cejlonie, były wydane przez Scripture Gift Mission i inne misje. Zacząłem się zastanawiać, czy nie ma czegoś takiego po włosku. I uświadomiłem sobie, że na jednym z rzymskich placów jest stały kiermasz literatury najrozmaitszego rodzaju i że widziałem tam raz stoisko z Bibliami i literaturą chrześcijańską. Gdy nadarzyła się okazja, udałem się tam, znalazłem stoisko, obejrzałem książki i spytałem, czy nie ma broszurek, o jakie mi chodzi. Sprzedawca odparł, że owszem, ale nie za wiele. „Ale tuż za rogiem” — poinformował —, jest księgarnia ewangelikalna. Tam ksiądz dostanie, ile ksiądz zechce „i różne rodzaje”. Zrazu wahałem się, czy iść. W końcu jednak poszedłem, tłumacząc sobie, że to przecież tylko księgarnia, że mogę po prostu wejść, załatwić, co mam do załatwienia, i wyjść. W środku zostałem bardzo życzliwie przyjęty przez sprzedawcę. Była tam też jakaś pani — jak się potem okazało — jego żona. Wybór broszurek mieli bardzo szeroki, wziąłem takie, jakie wydały mi się odpowiednie. Sprzedawca zabrał się za ich pakowanie, a tymczasem gawędziliśmy sobie. Wspomniałem, że byłem misjonarzem w Indiach i na Cejlonie.

Przyparty do muru

W tej samej chwili zauważyłem coś dziwnego. Oboje popatrzyli najpierw na mnie, potem na siebie nawzajem. Wymieniali spojrzenia i jakieś pojedyncze słowa, pomyślałem, że widać coś nie tak z moją sutanną. Wtedy mężczyzna zapytał:

— A tak nawiasem mówiąc: jak się ksiądz nazywa?

— A o co chodzi? Jestem Edoardo Labanchi — odparłem.

— Aha — powiedział.

— Więc to ksiądz.

— „Co to ma znaczyć — więc to ksiądz?” — myślałem gorączkowo.

— „Przecież ja ich nie znam. Tego adresu też nie”.

Wkrótce wszystko się wyjaśniło. I to w cudowny sposób.

— Pisał ksiądz kiedyś to dyrektora „Zwiastuna Jego Przyjścia”? — zapytał sprzedawca.

— Owszem — odparłem, myśląc jednocześnie: „Ale to nie ty, człowieku, jesteś tym dyrektorem. W ogóle nie wyglądasz na wydawcę czasopisma. A to nie są biura wydawnictwa. Zresztą adres był inny”. On wydawał się czytać w moich myślach.

— Widzi ksiądz, list odesłali do nas. Dyrektor jest prawnym przedstawicielem wydawnictwa i zajmuje się szeregiem innych spraw, ale za samo wydawanie to my jesteśmy odpowiedzialni. To ja jestem redaktorem i nawet mam tu księdza list. Wyjął list, pokazał mi go i dodał:

— A napisał ksiądz, że chciałby z nami współpracować.

Bywają w życiu chwile, gdy Bóg przypiera nas do muru. Można by rzec, że był to najzwyczajniejszy zbieg okoliczności, ale wtedy, w tamtej chwili czułem, że stało się coś niezwykłego. Czułem, że Bóg chce, abym miał kontakt z tymi ludźmi. Odtąd regularnie spotykałem się z przyjaciółmi z księgarni chrześcijańskiej, należącej do Ośrodka Służby Chrześcijańskiej, organizującego różne przedsięwzięcia ewangelizacyjne. Zaprosili mnie też uprzejmie na spotkania w domach prywatnych. Chadzałem na nie, poznając coraz to nowych wierzących. Doświadczenia te bardzo wzbogaciły mnie duchowo, lecz co najważniejsze, zaczęto się za mnie modlić, nie tylko we Włoszech, ale i w Wielkiej Brytanii. Mieli mnóstwo przyjaciół, toteż prędko rozeszła się wieść, że w ośrodku rzymskim spotyka się z nimi pewien ksiądz katolicki i że trzeba się za niego modlić.

Na fundamencie Biblii i Chrystusa

W roku 1966 byłem już sercem i umysłem chrześcijaninem ewangelikalnym. A raczej należałoby rzec, że Chrystus stawał się w coraz większym stopniu fundamentem mego życia. Zaczęłem odrzucać doktryny i praktyki katolickie, mające niewiele bądź zgoła nic wspólnego z Ewangelią. Jednocześnie pomagałem przekładać artykuły do włoskiej edycji „Zwiastuna Jego Przyjścia”. Nie można jednak powiedzieć, że moje nawrócenie już nastąpiło. Wtedy wiele mówiło się o II soborze watykańskim i o ruchu ekumenicznym, myślałem więc sobie: „Po co miałbym zostawiać kościół katolicki, skoro praktycznie jesteście już wszyscy tacy sami? Będziemy się zbierać razem, a ja będę pracował w kościele katolickim i pomagał rozgłaszać tam Ewangelię pozostając w tym kościele”. Tak to sobie obmyśliłem; jednak z czasem bardzo się rozczarowałem co do II soboru watykańskiego i ruchu ekumenicznego. Zastanawiałem się, co począć; moje położenie ciążyło mi bardzo. Nie byłem w pojęciu katolickim „zwykłym świeckim”. Byłem wyświęconym kapłanem. I należałem do największego zakonu rzymskokatolickiego. Posłano mnie do Rzymu na specjalnie studia, a przełożeni baczyli na mnie wyjątkowo czujnym okiem. Czuję się skrzepowany wszystkimi przepisami i oficjalnymi doktrynami; zacząłem sobie uświadamiać, że nie zdołam pozostać przez dłuższy czas w kościele katolickim i ukryć, co naprawdę w głębi duszy myślę idąc na kompromis z własnym sumieniem. Przez jakiś czas próbowałem się przystosować do sytuacji, myśląc, że tam, gdzie jestem, będę mógł zrobić wiele dobrego. Mówiłem o Chrystusie i o zbawieniu, Marię ukazywałem tylko jako przykład do naśladowania. . . Ale fakt, że jestem księdzem, zmuszał do kompromisu. Wiedziałem, co powinienem postanowić, ale zwlekałem z decyzją. Wtedy sam Pan pokazał mi, że powinienem działać, i to nie zwlekając. Przypomniałem sobie, co powiedział raz ludziom prorok Eliasz:

„Dopókiż będziecie chwiać się na obie strony?” (1Krl 18,21 BT).

W tej właśnie chwili Bóg przejął kontrolę nad sytuacją i dodał mi sił. Niemal wbrew sobie udałem się do przyjaciół z księgarni i usłyszałem własny głos: „Postanowiłem opuścić kościół rzymskokatolicki. Jeśli sądzicie, że to dobry pomysł, to chciałbym pomagać wam tutaj w rzymskim ośrodku”. Pan Torio zdumiał się, mimo iż już od jakiegoś czasu spodziewał się takiej decyzji. Kilka dni później opuściłem zakon.

Nowe życie w Chrystusie

Na koniec chcę mocno podkreślić, że najistotniejszą rzeczą w mojej historii i historii innych, którzy przeszli podobną drogę życiową, jest nie fakt, iż opuściliśmy kościół rzymskokatolicki, organizację, religię. Liczy się to, że znaleźliśmy nowe życie w Jezusie Chrystusie. Długa jeszcze droga przede mną, i za Pawłem mogę powtórzyć:

„Nie iżbym już uchwycił, albo już doskonałym był” (Flp 3,12), ale wiem, że gdy przyjąłem Chrystusa jako swego Zbawcę i Pana, tego Chrystusa, który umarł za moje grzechy, w moim wnętrzu coś się zmieniło. Stałem się nowym stworzeniem, myśląc jak Paweł w tym samym liście:

„I był znaleziony w nim, nie mając sprawiedliwości mojej, tej która jest z zakonu, ale tę, która jest przez wiarę Chrystusową, to jest sprawiedliwość z Boga, która jest przez wiarę” (Flp 3,9).

W przeszłości studiowałem Biblię z technicznego punktu widzenia, tak jak profesorowie i koledzy w instytucie biblijnym, ale teraz nabrała ona dla mnie nowego wymiaru — wymiaru, który nie opiera się na wymiarze ludzkim, lecz — jak jestem pewien — pochodzi z góry. Życie po opuszczeniu kościoła katolickiego nie było łatwe.

Ale to wszystko, co było dla mnie zyskiem, ze względu na Chrystusa uznałem za stratę. I owszem, nawet wszystko uznaję za stratę ze względu na najwyższą wartość poznania Chrystusa Jezusa, Pana mojego. Dla Niego wyzulem się ze wszystkiego i uznaję to za śmieci, bylebym pozyskał Chrystusa i znalazł się w Nim — nie mając mojej sprawiedliwości, pochodzącej z Prawa, lecz Bożą sprawiedliwość, otrzymaną przez wiarę w Chrystusa, sprawiedliwość pochodzącą od Boga, opartą na wierze — przez poznanie Jego: zarówno mocy Jego zmartwychwstania, jak i udziału w Jego cierpieniach — w nadziei, że upodabniając się do Jego śmierci, dojdę jakoś do pełnego powstania z martwych (Flp 3,7–11).

Ochotnie porzuciłem materialne korzyści i zaszczyty, jakie czekały mnie w zakonie Jeżuitów. Całą taką ziemską chwałę chętnie złożyłem u stóp Jezusa, wraz ze mną samym, moim

czasem, całym moim życiem i talentami, by użył mnie zgodnie ze swą wolą, w wybranym przez Siebie czasie i miejscu. Dziękuję Jezusowi Chrystusowi, memu Panu, że choć przedtem bluźniłem Mu, prześladowałem i wyszydzałem Go, to doznałem miłosierdzia, gdyż czyniłem to z niewiedzy, w braku wiary.

Edoardo Labanchi, nawrócony ksiądz

Edoardo Labanchi prowadzi w swoim kościele w Grosseto misję pod nazwą Ośrodek Studiów Teologicznych, współpracując też z wieloma podobnymi ośrodkami w całych Włoszech. To on sporządził i wydał włoski przekład tej książki. Choć jego pisma i wykłady mają charakter wybitnie intelektualny, Edoardo Labanchi zajmuje się też ewangelizacją na ulicach. Adres: Edoardo Labanchi, Centro Studi Teologici, Via Del Commendone 35 a-b, 58100 Grosseto, Włochy. Tel. (0-039)(564) 451 025; fax 453 392

Druga odpowiedź Chrystusowi

Świadectwo nawróconego księdza Juana T. Sanza

Urodziłem się 28 kwietnia 1930 roku w Somosierze pod Madrytem jako ósme z kolei dziecko katolickich rodziców. W wieku 13 lat, podczas kazania na mszy z okazji „Święta Seminarium” 19 marca 1943 roku, poczułem powołanie do kapłaństwa. Z przyczyn ekonomicznych do seminarium diecezjalnego wstąpiłem dopiero w roku szkolnym 1945/46. Przez pierwsze pięć lat zgłębiałem łacinę i nauki humanistyczne, a przez kolejne trzy filozofię, teologię i etykę. We wrześniu 1953 roku rozpocząłem specjalizację z teologii i etyki. Wspomnę, że przez pierwsze osiem lat seminarzystom nie wolno było posiadać ani czytać Biblii. Gdy na moje 21 urodziny pewna pani, która była potem obecna na moich prymicjach, podarowała mi Biblię, zaskoczona musiała ją zabrać z powrotem i zatrzymać aż do ukończenia przeze mnie 24 lat i rozpoczęcia studiów teologicznych. Moje zainteresowanie Biblią było więc raczej zwykłą ciekawością niż duchowym łaknieniem.

Początki

14 lipca 1957 roku przyjąłem święcenia kapłańskie, a 18 lipca w rodzinnym mieście odprawiłem pierwszą mszę. Pierwszą mą parafią, „zdobytą” w drodze konkursu jeszcze w seminarium, była madrycka La Nerinuela. Pracowałem tam od 23 sierpnia 1957 roku do 1959 roku, gdy wskutek kłopotów zdrowotnych rodziców przenieśliem się jako wikariusz do parafii w dzielnicy Canillejas. Zabrałem ze sobą rodziców i siostrę — proboszcz i parafianie przyjęli nas życzliwie. Ale nie minęło pół roku, gdy stosunki z przełożonym zdążyły się popsuć, a to wskutek jego mocno konserwatywnych poglądów na treść kazań, udzielanie sakramentów, liturgię mszalną i modlitwy do Maryi i świętych. Dlaczego miałem w kazaniu mówić to, co chciał proboszcz, itak, jak tego chciał, czemu przed mszą miałem wysiadywać w konfesjonale, jakbym to ja miał odprawić pokutę za grzechy parafian, czemu podczas mszy zanoszono modły do Maryi i świętych, dlaczego mszę odprawiano po łacinie i po hiszpańsku, tak iż parafianie nic nie rozumieli?

Reformy w parafii

Podczas posługi w mej pierwszej parafii, od której minął już rok, w różnych częściach mszy i podczas pogrzebów i chrztów używałem języka hiszpańskiego. Większość parafian była zadowolona, tak że nawet wzrósł ich udział liczebny w nabożeństwach. Nie podobało im się za to, że po drobnych pracach remontowych w kościele zdjąłem niektóre obrazy i umieściłem je w magazynie. Tych „reform” w postaci usunięcia obrazów i języka hiszpańskiego w liturgii nie konsultowałem z biskupem, ale niektóre i tak spotkały się z przychylnym przyjęciem. W kolejnym miejscu pracy — wikariacie w Canillejas — zauważyłem, że muszę być ostrożniejszy w słowach i czynach. Ale po dwu latach doszło do niezwyklej rozmowy z proboszczem. Omawiając z nim jakieś inne sprawy, pomyślałem, że warto by wspomnieć o moich doświadczeniach z użyciem hiszpańskiego w liturgii, o miejscu Biblii w kazaniach i o odpowiednim i nieodpowiednim stosunku do kultu obrazów. Po kilku miesiącach proboszcz oznajmił, że za zgodą biskupa w znacznej części liturgii i sakramentów łacinę zastąpimy hiszpańskim, a po rozpoczęciu prac nad instalacją grzewczą zniknie z kościoła spora część obrazów i ołtarzy. I tak się stało, ku zgorszeniu wielu „pobożnych” pań. Lecz niedzielne kazania musiały pozostać bez zmian, choć wydawały mi się nazbyt moralizatorskie, a zatem niezupełnie

przystające do Biblii. Tematy i struktura kazań były zawczasu opracowywane przez grupę konserwatywnych księży, po to aby w daną niedzielę każdy ksiądz mówił na mszy to samo.

Wewnętrzny konflikt

Nie spodobał mi się taki system ani wymagana treść kazań. Zmagalem się w sobie. Nie mogłem sprzeciwić się wprost, z tego choćby powodu, że wśród księży przygotowujących tematy kazań był mój proboszcz, a moja opinia, jak i dobrobyt rodziców i siostry zależały od życzliwych z nim stosunków. Mimo to „przerabiałem” nieco proponowane tematy nakierowując je na Chrystusa. Raz proboszcz przyszedł posłuchać iku memu zdumieniu rozsierzdony oznajmił, że choć to ja odprawiam mszę, to gdy tylko zdoła, będzie mnie zastępował na ambonie. Istotnie odtąd często tak czynił. W tym trudnym okresie mego kapłaństwa czytywałem sobie Biblię do poduszki i coraz gorliwiej rozważałem jej tchnące prawdą, głębokie, wieczne poselstwo o zbawieniu — dla mnie i dla reszty świata.

Pan odpowiada

Jednego dnia Pan odpowiedział na wszystkie moje pytania: Skłonił mnie do lektury trzeciego rozdziału Ewangelii Jana, dając mi jego zrozumienie. Boża miłość i obietnice stały się dla mnie (i dotąd pozostają) jedynym probierzem i autorytetem, mocą i zwierciadłem. Lecz czy dotąd tym nie były? Ależ naturalnie! Teraz jednak zyskały nowy wymiar, bo Bóg mnie odrodził przez swe Słowo i Ducha:

„Albowiem tak Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny” (J 3,16).

Bóg stał się moim Ojcem, a Jego Syn Jezus Chrystus moim jedynym i doskonałym Zbawcą. Było to coś całkiem nowego. W moim sercu zaszła wielka zmiana; poczułem się jak aktor odgrywający coś przed innymi, ślepiec prowadzący ślepych. Latem 1964 roku zapytałem Pana, co mam zrobić ze swoim życiem. Dłużej w kościele rzymskim pozostawać nie mogłem, jego hierarchia żądała bowiem głoszenia „innej ewangelii”, różnej od poselstwa o zbawieniu dzięki łasce przez wiarę, dawanym tylko w Chrystusie. Czy jednak mogę porzucić kapłaństwo? Kto zatroszczy się o byt rodziców i siostry? Czy znajdę u biskupa zrozumienie i pomoc, gdy zrzeknę się kapłaństwa z racji wiary i sumienia? Jak przyjmą mnie protestanci? — bo zacząłem już rozważać zwrócenie się do nich o pomoc. Wiosną 1965 roku usłyszałem o „dezercji” księdza — także z Madrytu, w dodatku przełożonego seminarium duchownego — który z pomocą ewangelikalnego pastora opuścił kościół katolicki i udał się za granicę, by na którymś z europejskich uniwersytetów protestanckich studiować myśl protestancką. Tak oto zdecydowanie brata w wierze podpowiedziało mi, jak porzucić kapłaństwo, by głębiej poznać Ewangelię o wolności dzieci Bożych. Skontaktowałem się z Kościołem Niemieckim (La Iglesia de los Alemanes w Madrycie przy Paseo de la Castellana 6) i otrzymałem telefon pastora Luisa Ruiza Povedy. Gdy wyjawilem mu, że jestem księdzem i borykam się z problemami sumienia i wiary, przerwał mi i poprosił, byśmy spotkali się gdzieś, aby dokończyć rozmowę — jego telefon bywał bowiem często na podsłuchu. Tak też zrobiliśmy.

Grzech śmiertelny — czy nowe życie?

Wydało mi się wtedy, że całe moje życie duchowe wali się w gruzy — według nauki Rzymu żyłem przecież w „grzechu śmiertelnym”: Świadomie wątpiłem w wierze nie wyznając tego i innych grzechów na spowiedzi, biblijnej prawdy szukałem w protestantyzmie, a nie u biskupa i profesorów teologii, odrzucałem hierarchię i jej autorytet, i autorytet nauczycielski kościoła w zakresie Biblii, sądziłem też, że spowiedź douszna ograbia Boga z prawa, które tylko On posiada na mocy tego, kim jest i co uczynił Jego Syn Jezus Chrystus. Msza wydawała mi się zaćmiewaniem Jego zasług dokonanych na krzyżu. Czy miało to położyć kres mej pracy duszpasterskiej? Przez swoje Słowo Pan wyjawiał mi, że nie. Toczyłem jednak wewnętrzną walkę, zmagając się z Bogiem, a także ze swą katolicką mentalnością i upartą pychą. Podupałem na zdrowiu, miałem kłopoty ze snem, odczuwałem różne lęki. Ale z drugiej strony wskutek tych zmagania w końcu wyrzekłem się wszystkiego, ze względu na miłość

Chrystusową i na me zbawienie. Na końcu tunelu udrek i lęków Pan Jezus zachęcił mnie, abym odpowiedział Mu to, co przed wiekami po raz trzeci odrzekł apostoł Piotr. Te słowa zauważyłem już wcześniej, wybierając je jako swoje motto przy święceniach kapłańskich:

„Panie! ty wszystko wiesz, ty znasz, że cię miłuję” (J 21,17).

Z radością daję świadectwo w tej książce, gdyż chcę opowiedzieć, jak Pan wywiódł mnie z cienistej doliny rzymskiego katolicyzmu w światłość Ewangelii łaski.

„Albowiem łaską jesteście zbawieni przez wiarę, i to nie jest z was, dar to Boży jest; Nie z uczynków, aby się kto nie chlubił” (Ef 2,8–9).

Juan T. Sanz, nawrócony ksiądz

Juan T. Sanz od wielu lat współpracuje z Fundacją Wydawniczą Literatury Reformowanej; jest dyrektorem misji Banner of Truth (Sztandar Prawdy). Mieszka dalej w Hiszpanii, w Madrycie. Jego zapał w umiłowaniu prawdy i cierpliwość w jej wyjaśnianiu widać na filmie dokumentalnym Catholicism: Faith in Crisis (Katolicyzm — kryzys wiary), w którym wystąpił razem z Jose Borrasem. Zajmuje się przekładaniem literatury biblijnej z języka holenderskiego na hiszpański.

Moja droga do Damaszku

Świadectwo nawróconego księdza Francisca Lacuevy

Przyszedłem na świat w rodzinie katolickiej 28 września 1911 roku w San Celoni w prowincji Barcelona. Ojciec zmarł młodo w 1918 roku, podczas epidemii grypy, która dotknęła wiele hiszpańskich rodzin. Miałem zaledwie sześć lat. Po dwu latach znajoma załatwiła mamie pracę służącej u Sióstr Franciszkanek Niepokalanego Poczęcia w miasteczku Tarazona w aragońskiej prowincji Zarageza. Siostry przyjęły mamę pod warunkiem, że ja będę się szykował do stanu duchownego; bo chłopcom nie było wolno przebywać w klasztornej rozmównicy, chyba żeby później mieli wstąpić do seminarium. I tak ośmioletniemu dziecku wybrano przyszłość, na którą nie miał żadnego wpływu. Władza zakonna była tak wszechpotężna, że już w trakcie nauki w seminarium, gdy kilkakrotnie przekonywałem matkę, iż nie czuję powołania do celibatu, zagroziła, że odeśle mnie do świeckiego sierocińca — który odmalowywała w bardzo ponurych barwach.

Przewycięzanie wątpliwości

Naukę w tarazońskim seminarium zacząłem w wieku 10 lat. Nie poświęcałem jej wiele wysiłku; zmieniło się to w późniejszych latach, gdy otrzymywałem na egzaminach najwyższe noty. Lechało to mą dumę i było pewnym zadośćuczynieniem za brak szansy na zwykłą pracę i założenie rodziny. 10 czerwca 1934 roku przyjąłem w Tarazonie święcenia kapłańskie z rąk arcybiskupa Toledo doktora Gomy. Kolejne 15 lat służby kościołowi upłynęło mi na studiach, zajęciach w seminarium i lekcjach prywatnych, na pogrzebach, chrztach, ślubach i innych ceremoniach religijnych. We wrześniu 1948 roku biskup powierzył mi katedrę teologii dogmatycznej w seminarium diecezjalnym w Tarazonie. Po roku mianowano mnie kanonikiem katedralnym. Zdołałem już stłumić wątpliwości co do licznych wpajanych nam doktryn; osiągnąłem to między innymi przez bezpośrednie i bezwarunkowe podporządkowanie się papieżowi, jakiego wymaga się pod groźbą ekskomuniki od wszystkich katolików.

Prawdziwe nawrócenie

W katolickim czasopiśmie *Cultura Biblica* (Kultura biblijna) przeczytałem raz nazwisko hiszpańskiego pastora ewangelikalnego Samuela Vili, którego krytykowano na łamach pisma za niektóre uwagi zamieszczone w książce zatytułowanej „Ku źródłu chrześcijaństwa”. Uwagi te dotyczyły braci Jezusa. Ciekawe, że zapamiętałem to nazwisko i po latach odszukałem adres w książce telefonicznej. Napisałem do niego list, szczerze zwierając się ze swych duchowych problemów. Pastor Vila odpisał mi ze zrozumieniem, powagą i pomazaniem Ducha Świętego. Wyjaśnił wiele ważnych prawd ze Słowa Bożego, które zdumiały mnie niezmiernie. Nie namawiał, bym „przeszedł na protestantyzm”, ale otwarcie stwierdził, że kłopotów duchowych nie rozwiążę zmieniając wyznanie, ale szczerze nawracając się do Boga. Była to niespodzianka pierwsza — ale nie ostatnia. Dodał, iż zbawienie zależy od prostego uznania w wierze Jezusa za Zbawcę i (znów zdumienie!) że powinienem uważać życie chrześcijańskie za duchową idyllę z Bogiem. Niesamowite. Więc tacy są ci straszliwi protestanci? Korespondowaliśmy, i wkrótce dostałem od niego sporą paczkę literatury. Wielkie wrażenie wywarła na mnie książka samego Vili: „Ku źródłu chrześcijaństwa”. Znalazłem tam dogłębne omówienie spraw, co do których sam usiłowałem wyciągać nieśmiało wnioski na podstawie mych

badań; chodziło o dogmaty Rzymu. Czemu nie umiałem dotąd spojrzeć na to tak zdecydowanie, jasno? Bo nie posiadałem tak rozległej wiedzy biblijnej i historycznej, którą — jak się przekonałem — bez wątpienia mógł się poszczycić Samuel Vila. Poświęciłem się więc dokładnemu, starannemu badaniu i rozważaniu Słowa Bożego, łącząc je z modlitwą i prośbą o obfitą łaskę Ducha, bym umiał odkryć znaczenie słów, które On napisał, bym zachował je w pamięci i w sercu, bym żył według nich i nimi przemawiał. W ciągu nieco ponad roku zdołałem przeczytać całą Biblię dwukrotnie, a Nowy Testament wielokrotnie. Studiowałem też najlepsze komentarze katolickie i protestanckie.

Słowo Prawdy

Już wkrótce mogłem się cieszyć owocami tak miłego przedsięwzięcia. Studenci zdumiewali się moim częstym odwoływaniem się do przeróżnych ustępów biblijnych, na których opierałem teologiczne wnioski. Przede wszystkim jednak jasno spostrzegłem fałszywość wielu doktryn kościoła katolickiego, będących jego artykułami wiary. Czemu tak późno? Bo nigdy dotąd nie poważylem się na tak szczegółowe i bezstronne studium Pisma. Z tej właśnie przyczyny ogromna większość duchowieństwa rzymskiego trzyma się fałszywych nauk, nie chcąc otworzyć oczu na czystość prawdy Ewangelii. Mimo że w styczniu 1961 roku światłość zaczęła przenikać moją duszę i mimo że byłem już przekonany o błędach Rzymu, nie miałem jeszcze zbawienia. Postanowiłem zapisać się do kościoła ewangelikalnego. Na tym etapie mojego nawracania wielką zachętą okazało się pierwsze osobiste spotkanie z Samuelem Vilą w jego domu w Tarrasie (Barcelona) w maju tego samego roku. Żarliwość i oddanie, z jakimi ze mną rozmawiał, a zwłaszcza z jakimi się modlił wraz ze mną i swym szwagrem Jose M. Martinezem, zrobiły na mnie ogromne wrażenie i bardzo mnie wzruszyły.

Moc łaski Bożej

Idąc za radą se'n? ora Vili, postanowiłem „wypróbować” Boga w chwili szczególnie dla mnie ciężkiej. Skutki były cudowne. W chwalebny dzień 16 października 1961 roku, pośród ciężkich okoliczności, które osaczyły mnie jak istne byki Baszanu, podniosłem oczy i serce ku niebu, nie chcąc już polegać na własnej sile, lecz na mocy i chwale Bożej, która daje zwycięstwo w obliczu ludzkiej słabości i niemocy.

„Ale mi rzekł [Pan]: Dosyć masz na łasce mojej; albowiem moc moja wykonywa się w słabości. Raczej się tedy więcej chlubić będę z krewkości moich, aby we mnie mieszkała moc Chrystusowa” (2Kor 12,9).

„Błogosławieni, których odpuszczone są nieprawości, a których zakryte są grzechy; Błogosławiony mąż, któremu Pan grzechu nie przyczyta” (Rz 4,7–8).

Pojąłem, że narodziłem się do nowego życia, porzuciłem życie grzechu i poddałem się Chrystusowi bez żadnych warunków, gotów wziąć krzyż i wiernie pójść Jego śladami. Co dzień modłę się, aby Duch Święty pomagał mi czuwać i wypełniać Jego najdrobniejsze życzenia, bym stał się narzędziem Jego wszechmocy. Od października 1961 do czerwca 1962 roku znajomi, uczniowie i przyjaciele obserwowali zmianę, jaka we mnie następowała. W moich kazaniach słyszeli żar i przekonanie, których dotąd zawsze im brakło; moje serce było pełne zapału, radości, cudownego szczęścia, a największą przyjemność sprawiała mi modlitwa i nieustanna lektura i rozważanie Pisma Świętego. Za to ostatnie zabrałem się metodycznie, a moi przyjaciele na urodziny i święta otrzymywali właśnie egzemplarze Biblii bądź Nowego Testamentu.

Rzym — różna ewangelia

I uświadomiłem sobie, że w tych okolicznościach nie mogę pozostać w kościele katolickim. 21 czerwca 1962 roku napisałem w Barcelonie listy do biskupa i przewodniczącego rady przy katedrze w Tarazonie, gdzie 13 lat byłem kanonikiem. Zrzekłem się wszystkich zaszczytów i urzędu, informując, że opuszczam kościół rzymskokatolicki. W liście do biskupa wyjaśniłem, iż nie chcę być ofiarą przekleństw z Listu do Galacjan 1,8–9:

„Ale gdybyśmy nawet my lub anioł z nieba głosił wam Ewangelię różną od tej, którą wam głosiliśmy — niech będzie przeklęty! Już to przedtem powiedzieliśmy, a teraz jeszcze mówię: Gdyby wam kto głosił Ewangelię różną od tej, którą otrzymaliście — niech będzie przeklęty!”

Uwzględniając liczne błędy Rzymu i perspektywę Dnia Sądu, wierzę, że biskup nie żałował, iż niegdyś obdarzył mnie zaufaniem.

Sprawiedliwość nie moja, lecz Jego

Tego samego dnia 21 czerwca przekroczyłem granicę francusko-hiszpańską w Port-Bou, a już po południu następnego dnia, 22 czerwca, zszedłem z promu w Newhaven na południowym wybrzeżu Anglii, gdzie z otwartymi ramionami czekał na mnie sługa Boży i przyjaciel, Luis de Wirtz. Parę dni wcześniej, 17 czerwca, pierwszy raz uczestniczyłem w spotkaniu ewangelicznym w jednym kościele w Barcelonie, a na nabożeństwie popołudniowym przemawiałem w jeszcze innej kaplicy w Tarrasie. Potem skorzystałem z miłej gościny i c hojności mego duchowego nauczyciela Samuela Vili. Nie mogę milczeć o cudownych skutkach mojego nawrócenia do Jezusa Chrystusa. Z radością zrzekłem się szacownej pozycji w kościele rzymskim i związanych z nią wygód życiowych. Podążam teraz ufnie za opatrnościowym głosem Ojca Niebieskiego ku pewnemu celowi — zbawieniu. Od czasu opuszczenia kościoła katolickiego widzę wyraźnie, że aby osiąść wszystko, trzeba najpierw wszystkiego się wyrzec.

Łaską zbawieni przez wiarę

Wam zaś, moi byli współtowarzysze w kapłaństwie, pragnę rzec z głębi serca: Jestem szczęśliwy, żyjąc nowym życiem otrzymanym w Chrystusie i Jego Ewangelii. Pragnąłbym, byście i wy zakosztowali tej łaski. Nie zapomnę Was w modlitwach, a ufam, że i ja jestem obecny w modlitwach tych, którzy szczerze, w prostocie serca szukają prawdy. Wiedziecie, że zbawienie jest sprawą osobistą: między Bogiem a każdym z Was. Nie zależy ono od członkostwa w kościele, od pobożnych praktyk, nabożeństw, różańców, poselstw z Fatimy. Niedobrze jest wierzyć, iż można być zbawionym dzięki przestrzeganiu pierwszych piątków czy pierwszych sobót. Dopiero osobiste uznanie w wierze niezwykłego faktu Odkupienia przez Jezusa Chrystusa ma moc zbawić nasze dusze.

„Albowiem wszyscy zgrzeszyli i nie dostaje im chwały Bożej. A bywają usprawiedliwieni darmo z łaski jego przez odkupienie, które się stało w Chrystusie Jezusie. Którego Bóg wystawił ubłaganiem przez wiarę we krwi jego, ku okazaniu sprawiedliwości swojej przez odpuszczenie przedtem popełnionych grzechów w cierpliwości Bożej, Ku okazaniu sprawiedliwości swojej w teraźniejszym czasie, na to, aby on był sprawiedliwym i usprawiedliwiającym tego, który jest z wiary Jezusowej” (Rz 3,23–26).

Tak uczy Biblia i tak uczy apostoł Paweł w Liście do Rzymian. Rozważajcie Pismo Święte, a ono poprowadzi Was do Prawdy. Strzeżcie się fałszywej drogi. Pomyślcie o tym dziś, gdyż jutro może już być za późno.

Francisco Lacueva, nawrócony ksiądz

86-letni Francisco Lacueva nadal czynnie ewangelizuje i pisze książki, pozostając wymownym świadectwem mocy Bożej ku zbawieniu.

Przez 20 lat nie zastanawiałem się nad tym, w co wierzę

Świadectwo nawróconego księdza Renata di Lorenza

Nigdy sądziłem, że porzucę kościół rzymski, a zwłaszcza kapłaństwo; gdyby to ktoś zasugerował, myślałbym, że bredzi. Do Zakonu Salezjanów wstąpiłem w wieku 15 lat; w odpowiednim czasie przyjąłem święcenia kapłańskie. Pracowałem głównie z młodzieżą, i bardzo mi się to podobało. Po jakichś dziesięciu latach ojciec przełożony ukarał mnie miesięcznym pobytom w Rzymie na ćwiczeniach duchowych. Przyczyną wyroku był fakt, iż przyznałem się do uczucia do młodej kobiety. Zerwałem znajomość, po części dlatego, że nie byłem pewien, iż naprawdę ją kocham, po części dlatego, że przecież poświęciłem życie Bogu i nie zamierzałem się z tego wycofać. Decyzja była podyktowana w dużej mierze pychą i egoizmem; pogodzenie się ze swą „niewiernością” wobec powołania kapłańskiego byłoby dla mnie dużym upokorzeniem.

Życie pod prawem

Poprosiłem ojca przełożonego o przeniesienie mnie do innego klasztoru, miał jednak spodziewanej ojcowskiej rozmowy wręczono mi list formalnie informujący o karze. Wiedziałem, że już do końca życia piętno to będzie świadczyć przeciwko mnie, i zawsze będę traktowany podejrzliwie. W Rzymie trapiły mnie beznadziejne, gorzkie myśli. Miewałem ochotę po prostu uciec, wszystko jedno gdzie; czasem tęskniłem za pracą w Neapolu. Nachodziły mnie chwile najczarniejszej rozpacz. Wołałem do Boga, ale wokół mnie i we mnie dzwoniła cisza. Czuję się samotny, uwięziony, dręczony ciągle nowymi falami smutku, przekonany o swej niewinności. Z klasztoru, leżącego na górze Selie koło starego Rzymu, roztaczał się widok na miasto i na Koloseum. Widziałem zwykle, codzienne życie, ludzi cieszących się swym towarzystwem i kochających się. Zastanawiałem się: czy naprawdę obrażają tym Boga? Pragnąłem znaleźć się wśród nich; zrzucić czarne szaty, przez które czuję się jak istota nie z tej ziemi, i stać się zwykłym człowiekiem, jak wszyscy. Zwierzyłem się z tego staremu zakonnikowi. Poradził, bym napisał do ojca przełożonego prośbę o przywrócenie do dawnych obowiązków. Przełożony odpisał, iż wszelkie nieprzyjemności muszę znieść jako pokutę za grzech i niewierność. Pozwolił mi jednak za dnia wychodzić na zewnątrz. Zacząłem wychodzić. Przemierzałem jednak Rzym nie krokiem pielgrzyma, jak zapewne życzył sobie ojciec przełożony, ale turysty. Kupowałem kolorowe pisma, lecz wcale nie czułem zadowolenia. Pytałem o radę innych księży. Ich dowodzenie kończyło się zawsze na tym samym: niepotrzebnie zwierzyłem się przełożonemu ze swego problemu, trzeba było siedzieć cicho. Przełożony postąpił według prawa kościelnego, choć szczerze mówiąc zinterpretował je najsurowiej. Wróciłem do Neapolu, nie tyle po to, by kontynuować pracę, ale do rodziców.

Poszukiwanie prawdy

W Rzymie, porównując nauki katolicyzmu z Biblią, dostrzegłem, że Biblii w sposób błędny i nieuczciwy używa się tylko po to, by uzasadniać nowo wprowadzane nauki. Wpajano mi, że mam wierzyć kościołowi, bo Chrystusa można znaleźć tylko za jego pośrednictwem; dla Rzymu posłuszeństwo Chrystusowi równa się posłuszeństwu wobec Jego namiestnika na ziemi: papieża. Gdy jednak w mym „karcerze” czytałem Ewangelie, spostrzegłem, że ta nauka

jest im przeciwna. W Rzymie nieraz wertowałem książkę telefoniczną, szukając kościołów protestanckich, mimo że odnosiłem się do protestantyzmu z wielką rezerwą. Szukałem pomocy, chcąc opuścić kościół i zacząć nowe życie; nie sądziłem, że znajdę tam rozstrzygnięcie duchowych zmagania dotyczących samej wiary. U rodziców w Neapolu myśl o protestantach wróciła; zastanawiałem się, czy czasem nie mają oni racji. Pozwalano mi spełniać wszelkie kapłańskie powinności, jednak w ciągu siedmiu miesięcy odprawiłem mszę tylko 20 razy, jeszcze rzadziej siadałem w konfesjonale, a mówić kazań nie chciałem w ogóle. Jednej niedzieli postanowiłem iść nie na mszę — ale na spacer. Po drodze mijalem budynek, przed którym wystawiono książki o Biblii. Był to do kościół „ewangelikalny”. Nie ośmieliłem się wejść, bojąc się wywołać poruszenie widokiem sutanny; zadzwoniłem do pastora i odwiedziłem go prywatnie, opisując swe położenie. Zapoznał mnie z kilkoma byłymi księżmi, którzy bardzo mi pomogli. Ale nie opuściłem kościoła, nie chcąc zdecydować pochopnie, pod wpływem niedawno odbytej kary; wróciłem do obowiązków kapłańskich i pracy z młodzieżą. W wirze pracy i rozmaitych pobożnych zajęć spostrzegłem jednak, że coraz bardziej mi one ciążyą. Nie wierzyłem w mszę i w spowiedź. Kilka razy rozmawiałem z nowym przełożonym, którego przeraziło moje dryfowanie ku protestantyzmowi. Zalecił, bym dużo modlił się do Maryi, bo ona pomoże mi odzyskać wiarę.

Trzeba wam się powtórnie narodzić

Ale rezygnacja z kapłaństwa była nieunikniona. Niebawem opuściłem Neapol, udając się do słynnej „kryjówki” dla byłych księży w Velp w Holandii. Tam, dzięki lekturze Biblii i prośbom do Boga o przebaczenie i pomoc, osobiście znalazłem Chrystusa. Przeżyłem to nawrócenie, które On uznaje za konieczne:

„Musicie się znowu narodzić” (J 3,7).

„A jako Mojżesz węża na puszczy wywyższył, tak musi być wywyższony Syn człowieczy. Aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny. Albowiem tak Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny” (J 3,14–16).

Każdym narodzinom towarzyszy wysiłek i ból. Dwadzieścia lat klasztoru, katolickie studia teologiczne i mój uparty charakter okazały się wielką przeszkodą w poszukiwaniu Boga. Lecz w końcu oddałem się Mu z dziecięcą ufnością, mówiąc tylko: „Panie, ja wierzę”. Odtąd On nie opuścił mnie ani na chwilę. Umacnia mą wiarę w radości i w smutku, prawdziwie dając mi się poznać jako żywa Osoba: Przyjaciół i Zbawca.

Renato di Lorenzo, nawrócony ksiądz

Renato di Lorenzo, emerytowany pastor kościoła w Sondrio, nadal służy Panu. Jego adres: R. di Lorenzo, Via Trieste 27 sc. A, 23100 Sondrio (SO), Włochy.

Profesorskie metody nie zadziały

Świadectwo nawróconego księdza Celsa Muniza

Od dzieciństwa głęboko pragnąłem tego, co rzeczywiste i pewne. Jako młody chłopak doszedłem do wniosku, że kapłaństwo to najlepszy sposób, aby doświadczyć prawdy i uzyskać zbawienie duszy. Nauczyciel w szkole powiedział mi kiedyś: „Prędej kamień pływałby po powierzchni wody, niż ksiądz miałby znaleźć się w piekle”. Wstąpiłem do seminarium duchownego na 12 lat nauki, w pełni oddając się życiu wedle ustaw kościoła rzymskiego. Wykonywałem wszystkie ćwiczenia ascetyczne, a nawet ich nauczałem jako wykładowca teologii ascetycznej i mistycznej oraz rektor Seminarium Metropolitalnego w Oviedo (Hiszpania). (Ascetyzm to sztuka panowania nad „sobą” i poskramiania namiętności, pragnień i żądz za pomocą surowej samodyscypliny, wstrzemięźliwości bądź kar cielesnych). Przez wszystkie te lata nie zdołałem jednak osiągnąć samokontroli, pokoju i pewności, do których zdobycia tak zachęcałem innych. Niepokój duszy, pogłębiony rozlicznymi rozczarowaniami, jakich doznawałem porównując naukę kościoła rzymskokatolickiego z Biblią, wzmagał tylko walkę wewnętrzną. W tym burzliwym okresie natrafiłem raz na protestancką stację radiową nadającą z zagranicy. Jej audycje wzbudziły we mnie pragnienie prawdziwego poselstwa Bożego; i tak oto Biblia stała się światłością i pokarmem dla mej duszy.

Biblia — źródło prawdy

Pragnienie właściwego zrozumienia nauk Jezusa sprawiło, że skontaktowałem się z kościołem, w którym — jak mi mówiono — Biblię uznaje się za jedyne źródło objawienia w sprawach wiary. Dzięki zgłębianiu Pisma Świętego i rozmowom z wierzącymi z tego kościoła ujrzałem Jezusa Chrystusa, jakiego jeszcze nie znałem: doskonałego Zbawcę, do którego można zbliżyć się bezpośrednio i osobiście tylko na podstawie wiary. Kontynuując badania Biblii, coraz wyraźniej dostrzegałem błędy katolicyzmu. Zapragnąłem doświadczyć takiego nawrócenia, o jakim mówi Biblia; z powodu jednak silnych więzów ze swoim kościołem pragnąłem doświadczyć tego wszystkiego nie rezygnując z katolicyzmu. Lecz stopniowo dochodziłem do wniosku, że wskutek swego błędnego nauczania i nader skomplikowanej organizacji kościół katolicki odsuwa Chrystusa na bok. Był to dla mnie niewypowiedziane bolesny wniosek.

Jezus Prawdą i Drogą

Nie zapomnę wieczoru, kiedy nastąpiło moje nawrócenie. Upłynął akurat kolejny dzień ostrej walki wewnętrznej, a ja szukałem ucieczki u Pana i w Jego Słowie — Biblii. Nie mogłem zasnąć. Właściwie nawet nie próbowałem się modlić — nagle modlitwa sama weszła w moje serce, nie potrafiłem jej powstrzymać. Dotkliwiej niż kiedykolwiek poczułem brzemień grzechów mojego dotychczasowego życia. Pomyślałem sobie: „Jestem grzesznikiem do cna”. Czuję się beznadziejnie sam i wątpiłem, czy kiedyś się z tego wydobędę. Pomyślałem: „Sam się nie uwolnię. W oczach Boga jestem bezużyteczny, jestem niczym”. Nigdy dotąd nie czułem się tak nieprzydatny do niczego dobrego. I przypomniałem sobie, ileż to razy w Piśmie Świętym Pan Jezus Chrystus zapraszał do Siebie tych, którzy czują się zupełnie zgubieni. Poczułem silne pragnienie, aby do Niego pójść — bo przecież oferował mi przebaczenie za darmo, niezasłużenie. Był gotów przyjść i wycierpieć w miejsce ludzi karę za ich grzech. W końcu, wyzuwszy się już z pragnienia dokonania czegokolwiek na własną

rękę, rzuciłem się w ramiona Boga, mego Ojca, który dla mojego zbawienia ofiarował Jezusa Chrystusa. Modliłem się: „Przyjdź, Panie Jezu, oddaję się Tobie, jedynemu Zbawicielowi, który zapłacił za wszystko”. Godziny bieły niczym minuty. Jak nigdy dotąd, czułem się zjednoczony z Panem, moim Bogiem. W głębi serca myślałem: „Jesteś mój, o Panie, a ja jestem Twój, Twój już na wieki”. Nie wiem, jak to się stało, ale faktem jest, że znikło zwątpienie, wahanie i niepewność, doznałem za to pełni szczęścia. Podjąłem decyzję i stojąc wobec wyboru między Chrystusem a kościołem rzymskokatolickim postanowiłem podążać za Panem Jezusem Chrystusem bez względu na konsekwencje. Nagle coś odkryłem: Chrystus przejął panowanie nad moim życiem i pozwolił mi zjednoczyć się z Sobą tylko dlatego, że powierzyłem Mu swoją duszę. Pan nie jest kimś w rodzaju „pocziwego człowieka”, który łaskawie wskaże nam drogę. On sam jest Drogą. Pan jest nie tyle nauczycielem prawd, lecz sam jest Prawdą. Pan jest nie tyle „bohaterem”, który oddał swoje życie dla ludzi, lecz jedynym Zbawicielem, Życiem dla wszystkich, którzy się do Niego zwracają.

Zbawiony łaską, a nie z uczynków

[Jako profesor teologii ascetycznej, Celso Muniz starał się osiąść sztukę panowania nad sobą i ujarzmania ludzkich namiętności. W ramach jego badań mieściły się też metody stosowane w innych religiach, na przykład przez mnichów buddyjskich. Był on wybitnym znawcą dziedziny wszelkich obmyślonych przez człowieka metod mających prowadzić ku świętemu życiu. Wielką zatem wagę ma fakt, że uczonej tej miary opowiedział się za przykazaniem Boga. Mówiąc o swoich doświadczeniach, profesor Muniz posługiwał się często takim przykładem:]

Uświadomiwszy sobie zupełną niegodziwość mojej grzesznej ludzkiej natury, poczułem się jak rozbitek na morzu, który w oddali dostrzega majaczący brzeg. Jeśli tylko uda mu się do niego dopłynąć, będzie ocalony. Brzeg nie wydaje się odległy, ale tylko dlatego, że obiekty postrzegane z nad wody sprawiają wrażenie dużo bliższych. Człowiek ów zaczyna więc płynąć i na początku idzie mu to nieźle, gdy jednak już dość znacznie przybliży się do brzegu, jakiś prąd morski odrzuca go z powrotem w morze. Znowu zatem zмага się z morzem, gdyż jeśli nie poradzi sobie z prądami i falami, zginie. Próbuje raz, drugi i trzeci, lecz nie daje rady. W końcu dociera do niego straszliwa prawda: prawo natury nie pozwoli mu osiągnąć celu. Zrozpaczony, załamany, może tylko czekać na śmierć. Tak właśnie czuje się człowiek odkrywający niedoskonałość swej ludzkiej mocy, za pomocą której nie zdoła nigdy ani zadowolić Boga, ani też Go znaleźć, człowiek, który uświadamia sobie, że nigdy nie zdoła sam siebie wybawić od Dnia Sądu. Na brzegu wieczności mieszka święty Bóg, Bóg zawsze otoczony swoją świętością i swymi przykazaniami. Są one niby bałwany i prądy morskie wokół wybrzeża wieczności; człowiek zaś nigdy nie pokona ich własnym wysiłkiem, bo z natury jest za słaby i zbyt grzeszny. Rozbudujmy jeszcze to porównanie i wyobraźmy sobie, że jako tonący rozbitek spostrzegliśmy śmigłowiec wyruszający z odległego brzegu. Czy pilot nas dojrzy? I oto helikopter zbliży się nad miejsce, gdzie tonący beznadziejnie walczy z falami. Załoga może wydostać go z morza i ponad falami i bałwanami przenieść w bezpieczne miejsce. Oto doskonała ilustracja tego, czego dokonał Jezus Chrystus. Zasiadał on w krainie wieczności po prawicy Ojca. Lecz przyszedł na ten świat, opuszczając miejsce przy Ojcu, aby nas zbawić. Wszedł w sam środek rozwścieczonych bałwanów gniewu Bożego, cierpiąc karę za grzech na krzyżu Golgoty.

„Albowiem on tego, który nie znał grzechu, za nas grzechem uczynił, abyśmy się my stali sprawiedliwością Bożą w nim” (2Kor 5,21).

leż to razy patrzył Bóg na grzeszników zmagających się z prądami Bożego prawa — i wyciągał ku nim pomocną dłoń zbawienia. Każdy zgubiony człowiek, który całkowicie zaufał i uwierzył Jego Słowu, został wyłowiony z morza potępienia i wprowadzony na brzeg nowego życia. Nigdy nie znajdziemy zbawienia, jeśli z jednej strony ufamy dziełu dokonanemu przez Chrystusa dla zgładzenia kary za grzech, z drugiej zaś nadal pokładamy nadzieję w sakramentach, odpustach i własnych dobrych uczynkach. Prawdziwego zbawienia dostąpimy tylko wówczas, gdy w pełni zaufamy Jezusowi Chrystusowi.

Celso Muniz, wieloletni wykładowca Uniwersytetu Amsterdamskiego, jest dziś na emeryturze. W 1995 roku zmarła mu żona. Jego zapał dla dzieł Pańskich jest dobrze znany braciom w Holandii.

Zbawiony podczas odprawiania mszy

Świadectwo nawróconego księdza Franca Maggiotta

Jako nastolatek — członek kościoła katolickiego — uczęszczałem na uniwersytecki wydział filozoficzny i działałem w Akcji Katolickiej. Udzielałem się w kościele, życie jednak nie nabierało od tego sensu. Nie mogłem stłumić poczucia grzeszności, jakie mnie dręczyło w sercu. Dokuczało mi przeświadczenie obezsensowności życia, byłem w rozpacz. Posiadałem wszystko, czego młody człowiek mógł pragnąć. Mojej rodzinie powodziło się dobrze, „mocno stała nogami na ziemi” — jak mawiamy we Włoszech. Pieniądzy nie brakowało, więc spełniały się wszystkie me zachcianki. Miałem to, co może dać moc ludzka, ale nie miałem tego, co człowiekowi niezbędne do życia. Można mieć wszystko — a jednak nie żyć pełnią życia. Nie można żyć pełnią życia bez znajomości jego sensu, sensu, jaki daje tylko życie pochodzące z góry. Udałem się do biskupa i zwierzyłem się z tych strapień. Odparł, że wszystko to są rzeczy pożyteczne, że bardzo ze mnie miły chłopiec i nie powinienem przejmować się głupstwami. Że Chrystus odchodząc do nieba oddał władzę w ręce Piotra, papieża i apostołów. Że królestwo Boże znajdę w kościele; tam nauczę się radzić sobie z grzechem. Że kościół posiada wszystkie środki ku oczyszczeniu dusz, że przez sakramenty nawet moja dusza może być oczyszczona i przygotowana do obcowania z Bogiem. Poprzez nie zapewnię sobie drogi do Boga. I wybrałem to, co z zapalem wybiera wielu młodych ludzi, najcięższą dolę, jaką kościół może zaoferować: zostałem pustelnikiem. Udałem się do pustelni, na jedno z podrzymskich wzgórz, skąd było widać miasto. Golilem się dwa razy na tydzień, odziewałem się w jedną tylko wełnianą szatę, zimą i latem. W lecie skwar był nie do zniesienia, zimą bardzo marzłem, wicher przewiewał mnie na wylot. Czyniłem wszystko ze szczerego serca, chcąc przez ziemskie środki swoją ludzką wolą zniszczyć w sobie grzech. Za wszelką cenę chciałem dotrzeć do Boga, i w próbach tych o mało nie postradałem życia. Po blisko roku lekarz zalecił mi przerwać ten tryb życia. Planowałem powrócić do pustelni później, gdy będę starszy; tymczasem udałem się do seminarium na studia teologiczne. Gdy zostałem księdzem, posłano mnie do wielkiej parafii. Tamtejszy ksiądz miał ponad 80 lat, wszystko spadło więc na moją głowę. Staralem się być dla ludzi bardzo miłym, mimo iż odczuwałem wielki smutek. Podobała mi się posługa kapłańska, choć w sercu nie czułem się szczęśliwy i pomimo wszystkiego, co robiłem, nie wiedziałem, jak mogę spotkać Boga. Nie byłem w duszy niczego pewny; tkwił we mnie grzech. Gdy zapytałem o radę w tej sprawie, zalecono mi przeczytanie pewnego ustępu z Ewangelii Łukasza. Nie mogłem rozgryźć jednego wersetu; wydawał się mówić o mocy religijnej, mocy ludzkiego rozumu. Jezus rzekł apostołom:

„Kto was słucha, mnie słucha; a kto wami gardzi, mną gardzi; a kto mną gardzi, gardzi onym, który mię posłał” (Łk 10,16).

Biskup wyjaśnił mi, że odchodząc do nieba Chrystus zostawił nam całą swą władzę. Jeśli zatem ktoś nas nie słucha, to nie słucha Jezusa. A jeśli gardzi Jezusem, to gardzi Bogiem. Bałem się w ogóle o tym myśleć. Nie musiałem zresztą myśleć. Wystarczyło ufać biskupowi.

Poszukiwania

Raz, kompletnie zdesperowany, rozpocząłem wraz z grupką młodych ludzi samodzielny przekład Nowego Testamentu zoryginału greckiego. Z początku była to niezła zabawa, ale im dalej się posuwaliśmy, tym wyraźniej widzieliśmy rozbieżność między nauką kościoła a Biblią. Dla mnie największą różnicą był fakt, że Jezus Chrystus zawsze starał się kierować ludzi ku Bogu, ku Jego obliczu, kościół natomiast zawsze chciał przyciągać ludzi ku sobie samemu.

Gdy skończyliśmy przekład Ewangelii Mateusza, proboszcz bardzo się rozczłochał, że nauczam na podstawie Biblii: „Jeśli dowiedzą się o tym, co my wiemy, to nigdy do nas nie wrócą, nigdy nie przyjdą do kościoła”. Dotarliśmy do ostatniego rozdziału Mateusza, pojeśliśmy coś. Jezus rzekł do apostołów:

„Idąc tedy, nauczajcie wszystkie narody, chrzcząc je w imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego; Ucząc je przestrzegać wszystkiego, com wam przykazał. A oto Jam jest z wami po wszystkie dni, aż do skończenia świata” (Mt 28,19–20).

Jezus istotnie powiedział apostołom: „Kto was słucha, Mnie słucha, a kto wami gardzi, Mną gardzi”; ale nie polecił: „Idźcie więc i nauczajcie wszystkiego, co wam się podoba, co uczyni z was ważne osobistości, co zbuduje tu na ziemi kościół o potężnej sile, głosicie to, co się spodoba ludziom, a wtedy kto wami wzgardzi, Mną wzgardzi”. Nie. Jezus nakazał: „Idźcie inauczajcie wszystkiego, co wam przykazałem”; innymi słowy: „Idźcie i nauczajcie tego, co Ja wam powiedziałem, a jeśli będziecie głosić to, co wam przykazałem, ni mniej, ni więcej, i ktoś wami wzgardzi, to wzgardzi Mną”. Zacząłem się obawiać, że jeśli rzeczywiście jest tu jakaś rozbieżność, to widzę dopiero jej początek. Coraz więcej czytałem Pismo Święte, a im dłużej czytałem, tym bardziej się zmieniałem. Spostrzegłem, że nauczam rzeczy, które katolickiemu księdzu nie przystoją. Niedzielne kazania wygłaszałem już nie po to, by umacniać swe wpływy, ale jakby wbrew sobie. I wpadłem w tarapaty. Na początku zdegradowano mnie do mszy o 6.00 rano, na którą uczęszczało niewiele, głównie panie z kółka różańcowego; mogłem tam sobie wołać i krzyczeć do woli. Lecz już za kilka tygodni kościół o świcie pękał w szwach. Przełożeni czuli, że coś się święci; wezwano mnie do biskupa. Zdenerwowany, ogłosił, że odeśle mnie do innej parafii. Był to awans, parafia była dużo większa: 55 tysięcy wiernych w mieście Imperia, nowy kościół, a ja — proboszczem z podległym mi księdzem. Dla młodego człowieka było to wygodne. Miło być najstarszym z racji piastowanego urzędu, mieć pod sobą innych księży, którzy podsłuchują uwagi ludzi: „Taki młody, zrobi karierę. A jaki przystojny!” Jest mi wstyd, gdy otym myślę. Lecz po prawdzie nie byłem wcale szczęśliwy. Starałem się wyczytać coś z Biblii, i ilekroć mi się to udało, budziłem zainteresowanie słuchaczy. Czasem nawet zjeżdżali do nas autokarami. Dla przełożonych byłem źródłem ciągłych zgryzot. Kardynał przypominał mi, że nie ma prawdy poza kościołem i że Jezus oddał całą władzę w ręce apostołów, by chrześcijanin od apostoła właśnie, którym jest papież, oczekiwał wskazówek inauki, zwiastowania Ewangelii, napominania i tak dalej. Lecz ludzie w mojej parafii nie dawali mi spokoju, zwłaszcza młodzi. Obiecałem im, że gdy zbierzemy się razem, otworzę Biblię, i zobaczymy, co Pan uczyni. Więc zebraliśmy się w grupie tych młodych ludzi. Pamiętam, że otworzyliśmy na Liście do Galacjan, i przeczytałem rozdział pierwszy. Gdy dotarłem do wersetu ósmego, nie mogłem czytać dalej: „Ale gdybyśmy nawet my lub anioł z nieba głosił wam Ewangelię różną od tej, którą wam głosiliśmy — niech będzie przeklęty!” Zamurowało mnie, dosłownie. Oto apostoł Paweł, który pokrzepiał swoich uczniów przygotowując ich na cierpienia, który miłował ich ponad życie, mówi: „Gdybym głosił wam inną ewangelię, wyrzucicie mnie od razu!” Mógłby dodać: „Jeśliby jakikolwiek inny apostoł głosił wam jakąkolwiek inną ewangelię, wyrzucicie go, bo nie ma zbawienia w apostołach. Zbawienie jest w Chrystusie, i tylko w Nim”.

Duch Święty uczy nas przez Pismo

W Słowie Bożym zawarto nasze zbawienie. A więc — pomyślałem — wiem już, od czego zacząć, gdzie dowiem się czegoś o zbawieniu. Wyruszyłem z moimi ludźmi na dalsze poszukiwania. Ale biskup, osoba bardzo zmyślna, wiedział, jak mnie podejść. Oznajmił: „Ależ jesteś pyszny! Za kogo ty się uważasz? Wyobrażasz sobie, że rozumiesz Biblię lepiej niż ja, lepiej niż papież?” Wiedziałem, że nie myli się, że podoba mi się moja pozycja w kościele. Ale teraz wiedziałem też i to, gdzie szukać odpowiedzi, Prawdy. Wiedziałem, że jestem żebrak, nędzny grzesznik, a grzech wciąż czyha, by mnie zniszczyć. Zwróciłem się do Starego Testamentu, by znaleźć, gdzie to Bóg nakazał prorokom i patriarchom: „Idźcie i interpretujcie Moje słowa”; chciałem się też dowiedzieć, w którym to miejscu Bóg oddał ludziom swoją władzę w zakresie interpretowania Pisma. Lecz nigdzie takich miejsc nie znalazłem. Zacząłem zgłębiać Nowy Testament, ale i tam nie było ustępu, gdzie Chrystus powierzałby komuś prawo interpretacji Biblii. Nie polecił uczniom: „Idźcie i interpretujcie Pismo”. Pojąłem jasno (nie wiem, czy i Wam wyda się to tak oczywiste jak wtedy mnie) ustęp Ewangelii Jana 14,26. Niedługo przed odejściem Jezus obiecał uczniom:

„Pocieszyciel, Duch Święty, którego Ojciec pośle w Moim imieniu, On was wszystkiego nauczy i przypomni wam wszystko, co Ja wam powiedziałem”.

Nie zatem w imieniu papieża, biskupa czy katolickiego Piotra, i nie w imieniu jakiegoś pastora, ale „w Moim imieniu On was wszystkiego nauczy”. To Duch Święty jest Interpretatorem. Bóg nie oddał nikomu swej władzy interpretowania Pisma. Nabrałem odwagi i napyałem sobie biedy. Przeniesiono mnie — do starej parafii z dziewięcioma kościołami. Myśleli, że przy bieganiu z jednego do drugiego nie starczy mi energii do rozmyślań. Choć jednak dużo chodziłem, miałem dość sił na kazania. Ale nie byłem szczęśliwy — z powodu grzechu. Wiedziałem już, gdzie szukać prawdy, lecz nie wiedziałem, co począć z grzechem, zmoją duszą. Spędzałem noce na klęczkach przed ołtarzem; rano pomagał mi zakrystian, bo bywało, że ślecząłem tak do rana. Ale Pan się nade mną ulitował, i to akurat w chwili, gdy Mu bluźniłem.

Łaska Boża objawia dokonane zwycięstwo Krzyża

Jednej niedzieli w samo południe odprawiałem mszę. Koncelebrowało ją ze mną dwu księży, a 25 biało odzianych młodzieńców asystowało przy ołtarzu. Chór śpiewał przepięknie. A ja modliłem się po cichu: „Jesteś okrutnym Bogiem, czemu mnie od razu nie zabijesz? Czemu mnie nie zniszczysz?” Gdy obmywałem ręce, jeden z chłopców odczytał ustęp z Listu do Hebrajczyków 10,10:

„Na mocy tej woli uświęceni jesteście przez ofiarę ciała Jezusa Chrystusa raz na zawsze”.

Oślupiałem. Poczuliem się, jakby Pan sam wyjawiał mi, kim jest i że sam oczyścił nas z grzechów. Przecież Jego Słowo głosi:

„Który będąc jasnością chwały i wyrażeniem istności jego, i zatrzymując wszystkie rzeczy słowem mocy swojej, oczyszczenie grzechów naszych przez samego siebie uczyniwszy, usiadł na prawicy majestatu na wysokościach” (Hbr 1,3).

Jak uderzenia młota, w umysł wbijały się słowa:

„A wszelki kapłan stoi na każdy dzień, służbę Bożą odprawując, a jednakże ofiary częstokroć ofiarując, które nigdy grzechów zgładzić nie mogą” (Hbr 10,11).

Odezwałem się do księży stojących obok:

— Słyszycie Go? Słyszeliście Go? Patrzyłem na nich, a oni zdumieni wpatrywali się we mnie.

— Patrzcie, co tu jest napisane. On sam dokonał tego dzieła, nasze jest bezwartościowe!

Patrzyłem po zgromadzonych w wielkim kościele: ludzie zawodzili, płakali. Dodałem, że On dokończył tę ofiarę:

„Bo miłościw będę nieprawościom ich, a grzechów ich i nieprawości ich nie wspomnę więcej” (Hbr 8,12).

To On dokonał dzieła—nasze starania są bez wartości! Byłem tak szczęśliwy, że płakałem i śmiałem się na zmianę. Nagle coś do mnie dotarło — wyrzucą mnie, a ja się cieszę! Nikt wyrzucany z posady nie cieszył się tak jak ja! Raz na zawsze, raz jeden na zawsze On dokonał tego dzieła. Ofiara Pana jest wystarczająca i dokończona.

„Bo i Chrystus raz za grzechy cierpiał, sprawiedliwy za niesprawiedliwych, aby nas przywiódł do Boga, umartwiony będąc ciałem, ale ożywiony duchem” (1P 3,18).

Oceniono, że zapadłem na zdrowiu, że to za duża odpowiedzialność jak na barki młodego człowieka. Ja tymczasem się cieszyłem; usiłowałem wyjaśnić to biskupowi, gdy przybył się ze mną zobaczyć. Nie chcieli, bym rezygnował — lecz ja nie mogłem już odprawiać mszy. Dali mi pod zarząd wielkie kolegium: 800 studentów i wykładowcy. Pracowałem więc, ale nie chodziłem na mszę. Staralem się nawet przekazać co nieco innym oraz siostram zakonnym. Byli bardzo zainteresowani. W sobotnie wieczory ludzie chodzili do spowiedzi. Pytałem: „Po co przyszedłeś?” „Wyznać grzechy” — odpowiadali. „Kochasz Jezusa?” „Tak”. „A dlaczego?” „Bo umarł za moje grzechy”. „Skoro umarł za twoje grzechy, to idź i chwal Go. Po co tu przychodzisz i opowiadasz mi onich? Cóż ja mam wspólnego z twoimi grzechami?” „Spowiedź” zatem przebiegała nader szybko. Lecz siostry poskarżyły się biskupowi; pojąłem, że nie rozumiały. Opuściłem więc na zawsze kościół rzymskokatolicki, a moi ludzie poszli za mną. Miałem za sobą studia na Uniwersytecie Rzymskim oraz w Anglii i w Holandii. Widziałem, że wielu protestantów odrzuciło Biblię; ale z drugiej strony spotykałem wielu na nowo narodzonych chrześcijan, o których mogłem rzec: „Twój Bóg jest moim Bogiem, a twój naród moim narodem”. Dziś mam mnóstwo braci i siostr w Chrystusie. Kontaktuje

się też z wieloma księżmi; dwa lata temu w Rzymie miałem nawet okazję przemawiać do zgromadzenia 3000 księży. We Włoszech powstaje wiele wspólnot chrześcijańskich. Moim pragnieniem jest prowadzić katolików do Chrystusa, a nawet, jeśli to możliwe, nawrócić papieża.

„Usprawiedliwieni tedy z wiary, pokój mamy z Bogiem przez Pana naszego, Jezusa Chrystusa” (Rz 5,1; BW).

Rzymska demonstracja siły

By pojąć kościół rzymski ze wszystkimi jego dogmatami, trzeba pojąć jego istotę: iż Magisterium (tj. papież oraz biskupi zjednoczeni w posłuszeństwie mu) użyje wszelkich środków, by zwiększyć swe wpływy. W jego przepastnym wnętrzu znika i Bóg, i Pismo Święte, i Jezus Chrystus. Hierarchia przyozdobiła się chwałą i mocą, jakie przystoją tylko Bogu w Jego Słowie i Jego Mesjaszu. Skutki tej potwornej herezji dla całego rodzaju ludzkiego nie dadzą się oszacować. Kluczowy dokument interpretujący dzisiejszy kościół rzymski: Konstytucja dogmatyczna o Kościele *Lumen Gentium* wyraża się nader jasno zwłaszcza w rozdziale „O hierarchicznym ustroju Kościoła, a w szczególności o episkopacie”. *Lumen Gentium* ukazuje katolickie rozumienie kościoła jako „ciała i pełni” Chrystusa, w którym element ludzki i boski łączą się i przenikają. Pozwala to kościołowi katolickiemu określać siebie jako „tajemnicę”, wyłączając się tym samym spod wszelkiego osądu i krytyki:

Wyposażona zaś w organa hierarchiczne społeczność i zarazem mistyczne ciało Chrystusa [...] Kościół ziemski oraz Kościół bogaty w dary niebiańskie — nie mogą być pojmowane jako dwie rzeczy odrębne; przeciwnie, tworzą one jedną złożoną, która zrasta się z pierwiastka boskiego i ludzkiego [*Lumen Gentium*, pkt. 8].

Rzym staje się więc — z „natury” i w swej „istocie”, w swojej hierarchii i dogmatach — „nieomylny”, czyli z z gruntu niezdolny i niedoprowadzalny do nawrócenia. Nic bowiem, co nieomyślne, nie może żałować swych posunięć ani się nawrócić. Za przykład tego rozumowania niech posłuży utożsamienie Chrystusa z papieżem. Duchowe obietnice, jakie Chrystus dał swym sługom, niepostrzeżenie przekształcono w przywileje mające uzasadniać autorytet i władzę hierarchii. Czy w tych okolicznościach pozostało jeszcze miejsce na panowanie Ojca, Jezusa Chrystusa i Ducha Świętego? Rzym przyjął, że władzę posiada człowiek: papież, dzierżący moc Bożą, uznany za równie nieomylnego jak sam Chrystus. Z drugiej strony widzimy wielką rzeszę ludzi, którzy jeśli nie okażą „zbożnej uległości woli i rozumu” (to znaczy, jeśli nie zrezygnują z wiary zgodnej z własnym sumieniem, i to nawet opartej na Piśmie Świętym; pkt. 25), zostają uznani za nieprzyjaciół Boga. W katolicyzmie papież istotnie posiada „pełną, najwyższą i powszechną władzę nad Kościołem i władzę tę zawsze na prawo wykonywać w sposób nieskrepowany” (pkt. 22). „Arcykapłanem” nie jest już zatem Jezus Chrystus, ale biskup rzymski, którego osobę i urząd wywyższył rzekomo sam Chrystus. Jeśli Jezus zapytałby nas dziś: „Za kogo Mnie uważacie”, winniśmy odrzec: „Za papieża rzymskiego!”

Samoświadomość Rzymu

Podam inny przykład, pokazujący, że kluczem do głównego „dogmatu” Rzymu jest żądza władzy i że aby władzę tę zdobyć, teologia katolicka poświęca Boga, Chrystusa, Ducha Świętego — i cały świat. Czemu kościół rzymski tak wywyższa Marię, w wyraźnej sprzeczności z jej trzeźwym wizerunkiem w Nowym Testamencie? Bo mariologia jest projekcją samoświadomości hierarchii katolickiej. Wszystko, co Rzym widzi w sobie, dostrzega też w swej wizji Marii; przywileje, jakie hierarchia przypisuje Marii, odpowiadają przywilejom, jakie rezerwuje sobie. Wywyższenie Marii w katolicyzmie to tylko skutek i symptom wywyższenia kościelnej hierarchii. Czcząc w niej współsprawczynię zbawienia, współpracownicę Boga, pośredniczkę łask i matkę wszystkich, hierarchia Rzymu wyraża świadomość siebie samej jako współsprawczyni zbawienia, współpracownicy Boga, pośredniczki i matki, w założeniu, że w osobie Marii wywyższa się sam papież, aby odbierać cześć wiernych. Zdaniem niektórych ruch biblijny w łonie kościoła katolickiego sprawi, iż mariologia umrze śmiercią naturalną. Jednakże mariologia mogłaby umrzeć dopiero wtedy, gdyby kościół katolicki zrezygnował ze swojej samoświadomości. Mariologia więc obiektywnie uwidacznia, że hierarchia kato-

licka fałszuje prawdę chrześcijaństwa, aby na takim fundamencie umocnić swą totalitarną i bałwochwalczą władzę. Wyprawszy Ewangelię z jej pierwotnej treści, propaguje się pustą religijność, pozbawiając „wiernych” wszelkiej obiektywnej prawdy i wiodąc ich tą próżną religijnością ku tępemu posłuszeństwu życzeniom hierarchii. Rodzi to rzeszę ludzi bez sumienia, i jeśli ze strachu okazują oni posłuszeństwo hierarchii (której w głębi serca nienawidzą i którą gardzą), to czynią to bez właściwego wysiłku i zapału. W kraju, gdzie istnieje taka sytuacja, może zapanować tylko albo dyktatura, albo chaos.

Moc Boża ku zbawieniu

Sytuację może zmienić tylko coś, co zrodzi w człowieku nową mentalność, zmianę tak wielką, iż sprawi przewrót w jego życiu. Człowiek zostaje wyzwolony od siebie samego i przemieniony, przechodzi od wartości, które sam sobie stworzył w celu rozwiązania swych problemów, ku żywej wierze w żywego Boga. Cóż dokona tej decydującej zmiany w życiu człowieka? Przyczyna może być tylko jedna: kontakt z Pismem Świętym. Gdy swą zbawczą mocą Słowo dociera do człowieka jako dar prawdziwego Boga, rodzi się wiara, przez którą całe jego życie stanie się życiem według łaski. Tylko tak, w oderwaniu od dotychczasowego fundamentu: „umiłowania siebie samego”, zostaje człowiek wyzwolony od siebie.

Tylko Biblia zrodzi wolnego człowieka

Tylko łaska, tylko wiara, tylko Pismo Święte zapewniają wolność chrześcijańską, bo zbawienie człowieka nie pochodzi od niego samego, lecz od Boga, który w ciele narodził się w Chrystusie. Tak radykalny przewrót, jedyne pełne wybawienie człowieka z jego położenia, nie leży w mocy ludzkiej i na pewno nie dokonuje się dzięki jego współpracy. Człowiek umie czynnie współpracować tylko przy umacnianiu własnego królestwa i nijak nie chce dać się z niego wywłaszczyć.

„Ale cielesny człowiek nie pojmuje tych rzeczy, które są Ducha Bożego; albowiem mu są głupstwem i nie może ich poznać, przeto iż duchownie bywają rozsądzone”

Reformacja, wierna Słowu Bożemu, potwierdziła z całą mocą paradoks, iż tylko Duch Boży używając Bożego Słowa może zrodzić wiarę, w czasie i miejscu wybranym przez Boga. Wiara nie wynika z uzdolnień człowieka; nie wysłużył on jej sobie dobrocią ani cechami moralnymi i religijnymi. Tak jak dzieci

„Gdy się jeszcze były dziatki nie narodziły, ani co dobrego albo złego uczyniły, aby się stało postanowienie Boże według wybrania, nie z uczynków, ale z tego, który powołuje” (Rz 9,11).

W istocie tylko przez wiarę można uznać miłość, sprawiedliwość i moc Boga, nie interpretując zarazem Jego dzieł wedle własnych pojęć i kryteriów. Tajemnica krzyża pozostanie tajemnicą do końca wieków; nam polecono zwiastować ją.

„Albowiem ilekroć byście jedli ten chleb i ten kielich byście pili, śmierć Pańską opowiadajcie, ażby przyszedł” (1Kor 11,26).

Nie mamy prawa interpretować po swojemu tego, co istnieje tylko na Bożych warunkach, ani decydować o tym, co Bóg zatrzymał do własnej dyspozycji. Jeśli nie mamy „tylko wiary”, wszystkie nasze wyobrażenia i propozycje będą prywatnymi mrzonkami i fantazjami. A na takie nie może sobie pozwolić nikt, kto twierdzi, że poznał Boga przez zbawczą moc Jego Słowa i łaski.

Prawdziwy Pan, prawdziwa droga

Obowiązkiem chrześcijanina jest ignorować każdy kościelny wizerunek Jezusa, a dochować posłuszeństwa niesfałszowanemu Słowu Bożemu, w myśl motto: „Tylko wiara, tylko łaska, tylko Pismo Święte”. Oto nasza prawdziwa misja, życiowe powołanie. Tylko na takim fundamencie będziemy mogli odpowiedzieć na stare, ale zawsze aktualne pytanie: „Za kogo Mnie uważacie?” Wszelkie starania o jedność czy o odnowę kościoła muszą rozpoczynać się od tego. Droga wskazana przez Słowo i Ducha Bożego to droga proroków, Chrystusa, apostołów i wierzących wszechczasów, to droga wiary, Łaski i Pisma, biegnąca dziś, tak jak

za Reformacji, między manowcami instytucjonalnego katolicyzmu aświeckim humanizmem. Doprawdy, wąska to ścieżka! Dziś jeszcze bardziej niż wczoraj. Lecz ścieżka ta dokądś wiedzie; to nie ślepa uliczka, ale droga wskazana przez samego Boga. Połączmy się więc w radości i zapale synów Bożych, bo to Pan nas powołał i dopuścił do udziału w swym krzyżu i swej chwale.

„Rzekli tedy do niego: Cóż będziemy czynili, abyśmy sprawowali sprawy Boże? Odpowiedział Jezus i rzekł im: Toć jest sprawa Boża, abyście wierzyli w tego, którego on posłał” (J 6,28–29).

Franco Maggiotto, nawrócony ksiądz

[Opublikowano za zgodą wydawcy na podstawie artykułu Franca Maggiotta „Roman Catholicism and Christianity” w *The Banner of Truth* VII/VIII 1986]. Franco Maggiotto dalej trzyma się dla Pana jako ewangelista i pastor kościoła. Odwiedził też z posługą Stany Zjednoczone. Jego zapał i jasny styl prezentowania Ewangelii przywodzą na myśl wielkich reformatorów. Można do niego pisać na adres: Via Almese 35, 10091 Alpignano, Turino, Włochy. Tel. (0–039) 119 661 521.

Od Rzymu do Chrystusa

Świadectwo nawróconego księdza Marka Peny

Ścieżka na szczyty

Urodziłem się w hiszpańskim miasteczku Villamediana de Lomas na północ od Burgos. Pragnąc być misjonarzem, postanowiłem wstąpić do zakonu i zostać księdzem. Okres nowicjatu rozpocząłem 24 lipca 1949 roku. Po upływie jednego roku i jednego dnia przysięgliśmy i obiecaliśmy Bogu przed obliczem Świętej Wspólnoty, że będziemy przez rok przestrzegać ślubów ubóstwa, czystości i posłuszeństwa. Staliśmy się więc członkami Zgromadzenia Misjonarzy Oblatów Niepokalanej Maryi. Potem przenieśliśmy się do Madrytu, do wyższego seminarium duchownego Oblatów w Pozuelo de Alarcon. Czekwały nas dwuletnie studia filozoficzne i cztery lata teologii. Po trzech latach trzeba było złożyć śluby wieczyste i zobowiązać się do ubóstwa, czystości i posłuszeństwa. By dostąpić święceń kapłańskich, student seminarium musi mozolnie pokonać kilka szczebli ku szczytowi: są to święcenia, święcenia niższe i święcenia kapłańskie. Zaczyna się od tonsury na pierwszym roku teologii; później następują inne święcenia. 17 marca 1956 roku w kościele seminarium madryckiego wraz z czterema kolegami przyjąłem święcenia kapłańskie z rąk biskupa Madrytu-Alcali dr. Ayja Garaya, patriarchy Indii Wschodnich.

Pierwsza msza

Pierwszą mszę odprawiłem w kościele Religiosa de San Jose de Cluny w Pozuelo de Alarcon już następnego dnia, w niedzielę 18 marca 1956 roku. Ze wzruszeniem i sentymentem wspominam swoje zdenerwowanie owego dnia, aby przypadkiem nie naruszyć któregoś z obrzędów i ceremonii. Dziś jednak mam ochotę wołać na całe gardło, że ów najwyższy akt uwielbienia w kościele katolickim to najzwyczajniejsza farsa. Farsa o paradoksalnie poważnym charakterze, a mimo to farsa. Mówiąc słowami Johna Knoxa, byłego księdza katolickiego, który po nawróceniu się do Chrystusa został wielkim przywódcą w kościele prezbiteriańskim, „msza to bluźnierstwo”. Pierwsza msza, którą odprawiłem w rodzinnej miejscowości w obecności rodziny, była wielkim wydarzeniem na skalę naszego miasteczka. W dniach 8 i 9 lipca 1956 roku nastąpił czas wielkiej gorączki i świętowania. Fajerwerki, muzyka, morze kwiatów, zabawy, radość. Jako pierwszy ksiądz pochodzący z tego miasteczka, byłem dumą wszystkich mieszkańców. Uczyłem literatury hiszpańskiej i muzyki w piątej klasie oraz łaciny i francuskiego w klasie czwartej, najwięcej przyjemności dawało mi jednak przygotowywanie kazania na niedzielną mszę o 11:00.

Proboszcz

Wiedząc o moich misjonarskich marzeniach, patriarcha prowincji mianował mnie wraz z drugim oblatem proboszczami pewnej parafii w mieście Badajoz, ubogiej i zaniedbanej. Tak oto 14 listopada 1958 roku zjawiłem się w kościele Wniebowzięcia Matki Boskiej w Badajoz, parafii obejmującej mieszkańców rozległego przedmieścia, vegetujących w nędzy duchowej i materialnej. Miałem pod opieką 9000 dusz. Przepracowałem tam trzy lata, ku ich radości i zadowoleniu. Byli naprawdę ze mnie dumni. A ja miłowałem ich i za wszelką cenę pragnąłem

pozyskać ich dusze. Lecz coraz bardziej ciążyły mi moje grzechy. Zdawałem sobie sprawę, że nie mam żadnej pewności ich odpuszczenia poprzez spowiedź i inne praktyki rzymskiego katolicyzmu. Czułem, że jestem na wieki zgubiony. Msza i inne obrzędy straciły dla mnie wartość. Postanowiłem, że porzucę kapłaństwo, wrócę do świata, dostanę normalną pracę i „poużywam życia”.

Protestanci- rzadkie insekty?

Coraz mocniej rozczarowany mszą i duchową pustką katolicyzmu, skontaktowałem się z pastorem protestanckim z Madrytu — Albertem Arajem Fernandezem. Nie znałem go osobiście, ale słyszałem, że to rozsądny człowiek i gorliwy chrześcijanin. Pierwsze spotkanie odbyło się w naturalnej i serdecznej atmosferze. (I pomyśleć, że w wyobrażeniu większości katolików ewangelikalni protestanci to coś na kształt rzadkich insektów). Wysłuchawszy mych bolączek pastor Arajo z mądrością i miłością dotąd mi nie znanymi udzielił mi różnych rad i zachęcił do poświęcenia czasu na lekturę Nowego Testamentu. Pisywaliśmy do siebie regularnie. W lutym 1962 roku podjąłem ważką decyzję: zrezygnować z kapłaństwa. Nie umiałem trwać w czymś, w czym widziałem tylko chłód rytualizmu; jak napisano:

„Którzy mają kształt pobożności, ale się skutku jej zaparli” (2Tm 3,5).

Listownie poprosiłem pastora Araja, by pomógł mi znaleźć miejsce, gdzie mógłbym zatrzymać się jakiś czas, napisałem też do innego pastora: Juana Eizaguirra z Bilbao z tą samą prośbą, moja decyzja o porzuceniu kapłaństwa była bowiem nieodwołalna.

„Jahwe naszą sprawiedliwością” (Jer 23,6 BT)

Przełożony polecił mi wygłosić kazanie na uroczystościach upamiętniających objawienia fatimskie. Pomyślałem, iż to dobra okazja, by zrealizować swe postanowienie. 8 maja 1962 roku pojechałem do Madrytu i o 15.30 wsiadłem do samolotu do Holandii, aby uciec z Hiszpanii, jeszcze nim przełożony dowie się o wszystkim i nakaże policji obstawić przejścia graniczne. Nie wiedziałem wtedy jeszcze nic o biblijnym zbawieniu. W Holandii zamieszkałem u rodziny ewangelikalnych chrześcijan. Czytali razem Biblię i modlili się o wyznaczonych porach i przy posiłkach. Zachęcili mnie do zawarcia znajomości z doktorem Heggerem — byłym księdzem, obecnie człowiekiem nawróconym, który kieruje misją pomocy księżom pragnącym uwolnić się od Rzymu; nazywa się ona „Na Ulicę Prosta” - w nawiązaniu do znanego incydentu z Dziejów Apostolskich. Herman Hegger rozmawiał ze mną i rozwiązał na podstawie Słowa Bożego wiele moich dylematów doktrynalnych. Wkrótce wróciłem do Hiszpanii (dla bezpieczeństwa przez Portugalię), ażeby odwiedzić mamę; chorowała i bardzo się omnie martwiła. Pan pozwolił mi spokojnie pomieszkać z rodziną przez cały miesiąc; a stan zdrowia mamy nadzwyczaj się polepszył. W drodze powrotnej w pociągu siedziałem w przedziale sam i czytałem Biblię, chwając Pana. Z sercem pełnym wdzięczności przypominałem sobie różne fragmenty Pisma Świętego, podkreślające, że Jezus Chrystus to doskonały Zbawca, Zbawca jedyny i absolutnie wystarczający. Że złożył za moje grzechy jedną, doskonałą i nie do powtórzenia ofiarę na krzyżu Golgoty, że zajął moje miejsce i poniósł mój grzech i że jeśli tylko zaufam Mu z całego serca, obdarzy mnie swoją sprawiedliwością i odpuści wszystkie grzechy. Uwierzyłem Mu od razu; oddałem Mu życie i duszę i przyjąłem Go, postanawiając zaufać Mu na wieki jako Panu i Zbawcy. W moim sercu i życiu wypełniły się słowa Boże:

„Temu wszyscy prorocy świadectwo wydają, iż przez imię jego odpuszczenie grzechów weźmie każdy, co w niego wierzy” (Dz 10,43).

Moje grzechy zostały odpuszczone, dusza zbawiona. Niebo jest moją ojczyzną; Chrystus jest mój, a ja jestem Jego na wieki.

Modłę się za katolików

Wróciłem do Holandii i napisałem do Ośrodka Nawróceń — Conversion Center (18 West Eagle Road, Haverton, PA) w Stanach Zjednoczonych, aby rozpytać się o szansę wyjazdu do Ameryki i studiowania tam Słowa Bożego. Mimo pewnych trudności Pan umożliwił mi to, i we wrześniu 1963 roku przez Kanadę wjechałem na obszar USA, gdzie rozpocząłem

studia w Seminarium Teologicznym Faith; a potem zaliczyłem jeszcze szereg przedmiotów na Uniwersytecie Temple, dzięki czemu uzyskałem tytuł magistra literatury hiszpańskiej. Mówiąc o katolikach, pragnąłbym zacytować fragment z Listu do Rzymian 10,1–4:

Bracia, z całego serca pragnę ich zbawienia i modłę się za nimi do Boga. Bo muszę im wydać świadectwo, że pałają żarliwością ku Bogu, nie opartą jednak na pełnym zrozumieniu. Albowiem nie chcąc uznać, że usprawiedliwienie pochodzi od Boga, i uporczywie trzymając się własnej drogi usprawiedliwienia, nie poddali się usprawiedliwieniu pochodzącemu od Boga. A przecież kresem Prawa jest Chrystus dla usprawiedliwienia każdego, kto wierzy.

Mark Pena, nawrócony ksiądz

Hiszpan Mark Pena otrzymał biblijne zbawienie podczas pobytu w Holandii. Jest umiłowanym bratem Hermana Heggera i innych pracowników misji „In de Rechte Straat”. Do niedawna pastor kościoła w Chicago, teraz przeszedł już na emeryturę.

Tylko głupiec trwa w swoim błędzie

Świadectwo nawróconego księdza Thomasa Connellana

Kiedy miałem 13 lat, zabrano mnie ze szczęśliwego domu dzieciństwa na zachodzie Irlandii i umieszczono w pewnym zgromadzeniu religijnym w sąsiednim mieście; rodzina bowiem wyznaczyła mnie do stanu kapłańskiego. Członkowie zakonu, przybyli z Francji, składali śluby czystości, ubóstwa i posłuszeństwa i poświęcali się głównie uczeniu ubogich dzieci. W ich seminarium w Sligo spędziłem trzy lata. Ogólnie rzecz biorąc, był to dość szczęśliwy okres mego życia.

Przygotowania do kapłaństwa

Ze Sligo przeniesiono mnie do seminarium diecezjalnego w Athlone, a po kolejnych trzech latach przestąpiłem próg Maynooth, ekskluzywnej i wysoko cenionej szkoły dla kandydatów do kapłaństwa. Żyłem w zupełnym niemal oderwaniu od świata — równie dobrze mógłbym mieszkać pod ziemią. Jeśli chodzi o atmosferę w Maynooth, to panowało tam skrajne niewolnictwo. Niezależność myślenia i działania była niemile widziana i piętnowana. 20 czerwca 1880 roku zostałem kapłanem kościoła rzymskokatolickiego. Rychło mianowano mnie wikariuszem w Strokestown, stamtąd zaś przeniesiono do nowego pałacu biskupiego w Sligo, abym zasilił tamtejszy „personel”. Po czterech latach spędzonych w Sligo znalazłem się w mieście Rosecommon.

Galernik

Jednego razu po wygłoszeniu kazania w Katedrze Przeistoczenia ogarnęły mnie czarne myśli i zwątpienie. Zrozumiałem, że powinienem pożegnać się z Rzymem, ale stałem wobec bolesnego wyboru. Rodzice jeszcze żyli; bracia i siostry zaś, odkąd zacząłem kształcić się na księdza, patrzyli na mnie jak na ideał z niebios. Zyskałem wielu przyjaciół — drogich, oddanych, wartościowych — których zdanie ceniłem. Wydawało się, że nie ma wyjścia z sytuacji, że jestem jak galernik na wieki przykuty do swego wiosła. Wiedziałem, że świadomie żyję w kłamstwie i że pragnę ucieczki i pokoju ducha — lecz wzgląd na drogie mi osoby nie pozwalał oderwać się od koła tortur. Na około dziewięć miesięcy przed moją ucieczką z kościoła rzymskiego przeniesiono mnie do Athlone, miasta malowniczo położonego nad rzeką Shannon. Największą jego atrakcją był chyba Lough Ree, czyli wspaniały lazur czystej wody, nad którą mogłem zapominać o swoich udrękach. Byłem niemal śmiertelnie chory, nie mogłem jeść ani spać; podtrzymywała mnie tylko nadzieja rychłego wyzwolenia.

Topielec

W końcu wymyśliłem wspaniały plan: Udam, że się utopiłem, zostawię w łodzi sutannę. Wszystko poszło gładko; w Rosecommon Messenger i innych gazetach pojawiły się nawet spore nekrologi. Swoje ubolewania wyrażali w nich rada miasta, sąd okręgowy i rada kuratorów, a wikariusz generalny diecezji wystosował do ojca list z najszczerzszymi wyrazami żalu. Po tak przychylniej ocenie mojej osoby na forum publicznym nie mogłem się więc obawiać ataków pod moim adresem. Odjechałem stamtąd jako wolny człowiek. Złapałem nocny pociąg z Moat do Dublina, a w Dublinie po raz pierwszy od kilku miesięcy porządnie

się wypałem. Następnego ranka wypłynąłem z Kingston do Anglii, a o szóstej wieczorem wysiadłem w Euston, samotny i obcy, pośród pustkowi zamieszkanego przez pięć milionów ludzi. Po kilku dniach udało mi się zdobyć posadę zastępcy redaktora pewnego tygodnika. Odtąd też nieprzerwanie rosło we mnie głębokie pragnienie światłości i bliższej więzi z żywym Bogiem.

Łaska Boża

Dzięki łasce Bożej poznałem pokornego sługę Bożego w osobie W. Webb-Peploe'a, który ukazał mi istotę prawdziwego chrześcijaństwa. Znalazłem zbawienie w Panu Jezusie Chrystusie i spostrzegłem, że nie wstydzę się Jego Ewangelii. Mogę powtórzyć za apostołem Pawłem: „Bo ja nie wstydzę się Ewangelii, jest bowiem ona mocą Bożą ku zbawieniu dla każdego wierzącego, najpierw dla Żyda, potem dla Greka. W niej bowiem objawia się sprawiedliwość Boża, która od wiary wychodzi i ku wierze prowadzi, jak jest napisane:

Mężowie bracia! musiało się wypełnić ono pismo, które opowiedział Duch Święty przez usta Dawidowe o Judaszu, który był wodzem tych, co pojmali Jezusa; Bo był policzony z nami i dostał był części tego usługiwania.

„Sprawiedliwy z wiary żyć będzie” (Rz 1,16–17).

„Przetoż tedy jako przez jednego upadek na wszystkich ludzi przyszła wina ku potępieniu; tak też przez jednego usprawiedliwienie na wszystkich ludzi przyszedł dar ku usprawiedliwieniu żywota” (Rz 5,18).

Sam zacząłem wydawać gazetę — *The Catholic* — rozchodzącą się w wielu egzemplarzach. Napisałem też książkę *Hear the Other Side* (Wysłuchajcie drugiej strony) i szereg broszur. Mój brat Joseph również uwierzył w Pana Jezusa, i w naszej dublińskiej misji razem organizujemy spotkania w dni powszednie, chcąc dotrzeć do zgubionych katolików, aby mogli otrzymać zbawienie i odwrócić się od ciemności ku światłu, od mocy szatana ku Bogu. Każdy może przez jakiś czas błądzić, ale tylko głupiec trwa w swoim błędzie.

„Wygłębisz tych, którzy mówią kłamstwo; mężem krwawym i zdrażliwym brzydzi się Pan” (Ps 5,6).

Thomas Connellan, nawrócony ksiądz

Thomas Connellan odszedł do Pana około 1912 roku, umiłowany przez wielu, którym przekazał biblijne poselstwo zbawienia. Pełniejszą historię jego życia można znaleźć w książce Alberta Close'a *662 Priests Leave the Church of Rome* (662 księży opuszcza kościół rzymski). Można ją nabyć w formie reprografii pod adresem: Berean Beacon, P. O. Box 55 353, Portland, OR 97 238, USA.

Stary ksiądz zaskoczony katolicką Biblią

Świadectwo nawróconego księdza Benigna Zunigi

Przez przeszło 50 lat żyłem w zupełnej ciemności duchowej. Mimo wieloletniej posługi kapłańskiej posiadałem bardzo słabą — i częstokroć nieprawdziwą — wiedzę o Jezusie Chrystusie. Prawdziwy Chrystus ukazany w Piśmie Świętym był przede mną ukryty pod grubą warstwą skomplikowanego systemu religijnego. Wierzyłem, że poza kościołem rzymskokatolickim nie ma możliwości zbawienia, a papież jako przedstawiciel Chrystusa na ziemi jest nieomylny. Moja lojalność była tak wielka, iż bez wahania oddałbym życie za papieża.

Nauka kościoła

Kształciłem się pod okiem Jezuitów i sam w wieku 16 lat postanowiłem zostać jednym z nich. Studiowałem w Peru, Ekwadorze, Hiszpanii i Belgii; później otrzymałem święcenia kapłańskie. Przez wiele lat uczyłem w szkołach katolickich, wykładałem w seminarium, pełniłem funkcję wicekanclerza trybunału kościelnego w mojej diecezji, pracowałem jako kapelan w wojsku i pełniłem posługę kapłańską w dwóch spośród największych parafii mojego kraju. Jako proboszcz, wydałem walkę protestantom w mojej okolicy. Uważałem ich za heretyków, a parafianom wpajałem, iż są to ludzie wyjątkowo niemoralni. Ponieważ zaś niektórzy z tych protestantów wciąż odwoływali się do autorytetu Pisma Świętego, postanowiłem napisać książkę, która wytknie ich błędy właśnie w świetle Biblii.

Nauka Boża

Jednakże trzyletnie studium Pisma Świętego rozdział po rozdziale okazało się dla mnie wstrząsem: odkryłem oto, że w błędzie jestem ja sam. Na podstawie mojej katolickiej Biblii nie tylko nie byłbym w stanie gromić protestantów, ale sam znalazłem się na przegranej pozycji doktrynalnej. Zacząłem dostrzegać, jak bardzo mijają się z Biblią me katolickie przekonania. Niejeden raz podczas lektury Pisma nie mogłem powstrzymać łez na myśl o tym, jak potulnie stosowałem się do nauk ludzkich, gardząc nauką Bożą. Innym skutkiem starannej lektury Biblii było ożywienie mojego sumienia. Spostrzegłem, że jestem daleko od Boga. Jako ksiądz, na zewnątrz sprawiałem wrażenie świętego, w rzeczywistości jednak ulegałem różnym grzechom i wiodłem całkiem świecki żywot. Czarne szaty, które nosiłem, dobrze oddawały ciemność w moim sercu. Żadna ilość sakramentów, modlitw do świętych, umartwień, wody święconej i spowiedzi odbytych przed drugim człowiekiem nie potrafiła mi dać ukojenia i pokoju, których pragnęła dusza.

Przemieniony przez Chrystusa

W końcu pewnego dnia przeszło pięćdziesięcioletni ksiądz oddał serce Bogu. Ukłąłem przed Chrystusem, Który — choć niewidzialny — stał się dla mnie żywy i prawdziwy. Jak ostatni nędznik, ze zboląłym sercem poprosiłem o przebaczenie, że obrażałem Go swym życiem i grzechami. Oczyma wyobraźni ujrzałem krzyż, gdzie została przelana Jego drogocenna krew, aby ocalić mnie od kary, na którą aż nadto zasłużyłem. Wskutek tej modlitwy Chrystus przemienił moje życie. Przywołał mnie z „grobu” duchowej ciemności i doprowadził do jedności z Sobą i do poznania Siebie. Tajemnica prawdziwej rzeczywistości duchowej tkwi

w osobistym spotkaniu z Chrystusem w szczerzej, żywej wierze. Kiedy Chrystus przejmuje władzę nad sercem, staje się człowiek dziedzicem wszelkich Jego duchowych błogosławieństw.

Benigno Zuniga, nawrócony ksiądz

Benigno Zuniga doszedł do wiary biblijnej już jako starszy człowiek.

23 lata w Zakonie Jezuitów

Świadectwo nawróconego księdza Luisa Padrosy

„Doszedłem do wniosku, że w Ewangeliach brak uzasadnienia dla dogmatów kościoła rzymskokatolickiego”. To zdanie w ustach wielbego Luisa Padrosy, przyodzianego w kapłańską sutannę, wprawilo w osłupienie pastora Samuela Vilę, którego opinii chciał zasięgnąć ksiądz Padrosa podczas owego pamiętnego spotkania. Ksiądz Padrosa przybył na rozmowę z Samuelem Vilą już przekonany mocą prawdy i przynaglony przez Ducha Bożego, pragnąc jedynie znaleźć potwierdzenie tego, co sam odkrył na stronicach Pisma Świętego. Luis Padrosa zdecydował się na bolesny i niebezpieczny (zwłaszcza w Hiszpanii) krok: wyrzec się swego urzędu i pozycji społecznej i poświęcić sławę, którą sobie zdobył jako wykładowca i dyrektor Instytutu Loyoli w Barcelonie i Tarrasie. A to po to, by dochować wierności światłu, które otrzymał.

Rzym nie jest prawdziwym kościołem

Przyczyny mojej decyzji są liczne. Po 43 latach szczerego katolicyzmu — z czego 15 poświęciłem na gruntowne studia seminaryjne, 10 przeżyłem jako kapłan i popularny kaznodzieja, a 23 spędziłem w Zakonie Jezuitów — doszedłem do przekonania, że kościół rzymski nie jest prawdziwym kościołem Jezusa Chrystusa. Trzydzieści lat dogłębnych studiów apologetycznych skłoniło mnie do nieuniknionego wniosku; przy czym znam argumenty obu stron, gruntownie je przeanalizowałem. Wziąłem Pismo Święte i rozpocząłem poszukiwania: „Gdzie jest mowa o nieomyślności papieża?” Nie mogłem tego nigdzie znaleźć. „Gdzie jest mowa o poszczeniu przed Eucharystią? O mszy? Gdzie to wszystko jest?” Nie znajdowałem. Im dłużej badałem sprawę, tym jaśniej widziałem, że chrześcijaństwo to jedno, a rzymski katolicyzm — to zupełnie co innego; im dłużej badałem Pismo, tym mocniej byłem o tym przekonany. W katolicyzmie Jezus Chrystus jest ukazany jako quasi-skamielina, trup, człowiek przybity do krzyża i umarły, z którego uszło życie. Kościół nie jest więc w stanie nakłonić katolika, by miłował Jezusa Chrystusa; a gdzie nie ma miłości do Chrystusa, nie może być mowy o zbawieniu, bez względu na ilość mszy, szkaplerzy, medalików, nowenn i obrazów. Taka religia jest bezużyteczna, gdyż brak jej miłości i wiary, a miłość nie jest możliwa, póki człowiek nie ujrzy żywego Chrystusa, który oddaje za niego życie. W katolicyzmie zbawienie zależy od nas samych, od wygłaszania odpowiednio licznych modlitw, używania szkaplerzy, kultu Maryi i udziału w komunii świętej.

Rozterki katolików

Na podstawie tej i wielu innych spraw zrozumiałem, że doktryna katolicka nie może być zgodna z prawdą. Nie sposób opowiedzieć, przez co przechodziłem; były to bardzo poważne przeobrażenia. Musiałem przeciwstawić się ugruntowanej tradycji, atmosferze, w której dotąd żyłem, rodzinie, przyjaciółom i wszystkim znajomym. Od nich bowiem mogłem tylko spodziewać się wyroku o jednym bądź drugim brzmieniu (a czasem o obu naraz): oszalałem lub zakochałem się. Brak im innych argumentów, które mogliby przedstawić temu, kto zdecydował się opuścić kościół rzymskokatolicki na rzecz chrześcijaństwa. Gdybyście znali wewnętrzną udrękę, jaką przechodzą katolicy! Nawet chodząc codziennie na mszę i różne nabożeństwa wciąż żyją w okrutnej niepewności: „Czy pójdę do nieba, czy do piekła? Czy aby na pewno dobrze się wypowiadałem?” Nie mają pokoju. Na tym miałyby polegać prawdziwa

religia? Gdzie w Ewangelii można znaleźć podobny sposób dręczenia grzeszników? Kiedyż to Jezus Chrystus bądź Jego apostołowie męczyli grzeszników podobnymi pytaniami? Jak cudownie jest wiedzieć w sercu, że Jezus Chrystus, nasz Pan, odkupił nas, że łaską jesteśmy zbawieni! Czyż św. Paweł nie powiedział:

„Nie odrzucam tej łaski Bożej; bo jeżeli przez zakon jest sprawiedliwość, tedyć Chrystus próżno umarł” (Ga 2,21)

Zbawienie człowieka opiera się wyłącznie na Jezusie Chrystusie, naszym Boskim Odkupicielu.

Jezus prawdziwą Drogą

To On jest Drogą. On nigdy nie powiedział, że Drogą jest kościół.

„Jamci jest ta droga, i prawda, i żywot; żaden nie przychodzi do Ojca, tylko przez mię” (J 14,6).

Kościół katolicki natomiast sam pragnie być drogą i absolutnym władcą Prawdy, tak aby mógł ją sobie dowolnie przekształcać. By to osiągnąć, postawił duchowieństwo na miejscu należnym Jezusowi Chrystusowi, instytucję kościoła zaś — na miejscu należnym Biblii. Temu, kto pragnie posiąść prawdę, mógłbym udzielić tej rady: aby czytał jak najczęściej Święte Ewangelie i Listy zawarte w Nowym Testamencie. Z nich dowie się, w co powinien wierzyć i co powinien czynić ten, kto pragnie być chrześcijaninem.

„...dlaczego i wy przestępujecie przykazanie Boże dla waszej tradycji?” (Mt 15,3 BT).

„...dobrze powiedział o was prorok Izajasz: Ten lud czci Mnie wargami, lecz sercem swym daleko jest ode Mnie. Ale czci Mnie na próżno, ucząc zasad podanych przez ludzi” (Mt 15,7–9 BT).

Zarzućmy przestrzeganie zasad ludzkich, a nakłońmy ucha ku Panu Jezusowi, bo tylko On ma słowa życia wiecznego.

„Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: Kto słowa mego słucha i wierzy onemu, który mię posłał, ma żywot wieczny i nie przyjdzie na sąd, ale przeszedł z śmierci do żywota” (J 5,24).

Luis Padrosa, nawrócony ksiądz

Od czasu swego nawrócenia Hiszpan Luis Padrosa zajmuje się pracą ewangelizacyjną, duszpasterską i pisarską. Ostatnio pracował w jednym z kościołów na wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych.

Nie walczyłem z prawdą

Świadectwo nawróconego księdza Bruna Bottesina

Urodziłem się w 1917 roku w Vincenzy we Włoszech. Jako jedenastolatek trafiłem do szkoły Franciszkanów i rozpocząłem się przygotowania do stanu kapłańskiego. Po święceniach kapłańskich powierzono mi probostwo małej parafii górskiej Chieti; później biskup Piasentini zaproponował mi stanowisko wykładowcy w seminarium w Chioggii, powierzył mi też probostwo jednego z tamtejszych kościołów.

Katolicycy chrześcijanie

Pomyślałem, że znalazłem właściwe miejsce posługi duchownej. Wykładowca seminarium, proboszcz dobrej parafii, na dodatek w łaskach u biskupa. Zdołałem zorganizować sprawną działalność parafialną. Dzień i noc z zapałem trudziłem się dla wiernych, rychło jednak spostrzegłem, iż ani ta działalność, ani nauka katechizmu i dogmatów Rzymu nie zmieniają życia parafian. Owszem, zjawiali się na mszy co niedziela, uczestniczyli w sakramentach, nawet spowiedzi, ale nie chcieli zachowywać Ewangelii Chrystusowej. Jak mogłem udzielać sakramentów ludziom nie godzącym się na rezygnację z grzechów? Próbowali udawać chrześcijan, ale postępowali wręcz odwrotnie do tego, co zalecał Jezus w Ewangelii. Większość parafian nie chcąc nic dla Niego poświęcić ani zmienić grzesznego życia zaczęła na mnie sarkać; wielu mówiło: „Cóż za głupoty on wygłasza? Po co cokolwiek w życiu zmieniać, przecież robimy to, co kościół każe? Przystępujemy do komunii, chrzczymy i bierzmujemy dzieci, bierzemy ślub kościelny, w piątek nie jemy mięsa, w niedzielę idziemy na mszę. Czego ten proboszcz chce? Przecież jesteśmy chrześcijanami, należymy do kościoła katolickiego”.

Tylko Chrystus

Ktoś poskarżył się biskupowi. Zostałem wezwany i poproszony o rezygnację ze stanowiska wykładowcy i probostwa, gdyż nie stosuję się do nauk i zaleceń Matki — Kościoła Rzymskokatolickiego. Biskup zarzucił mi, iż uczę ludzi zwracać się do Chrystusa i polegać na Nim, a nie na świętych kościoła katolickiego, sakramentach i kapłanach, którzy dysponują taką samą mocą jak Jezus mocą odpuszczania grzechów. Na próżno usiłowałem go przekonać, iż nauczam nie herezji, ale Ewangelii, i że nikt nie otrzyma odpuszczenia grzechów, jeśli nie poprosi o nie samego Boga, bo jeden jest tylko Pośrednik między Bogiem a człowiekiem, Człowiek Chrystus Jezus. Biskup mocno się zdenerwował i pozbawił mnie stanowiska wykładowcy oraz probostwa. Poinformowałem go, że będę się zwracał z apelacją do papieża; oznajmił, że nie ma nic przeciwko temu. Opracowawszy linię obrony, pojechałem do Rzymu. Zjawiłem się w Watykanie z zamiarem przedstawienia sprawy papieżowi Piusowi XII. Na odpowiedź czekałem kilka dni. Wreszcie usłyszałem, iż papież nie ma czasu wysłuchać mej sprawy, więc muszę się odwołać do Świętej Kongregacji. Zrozumiałem, że zostawiono mnie samemu sobie, że zawiódł nawet ten, który zwie się Namiestnikiem Chrystusa i Ojcem Świętym. Krótko mówiąc, nie pozostała mi żadna nadzieja. Zacząłem sobie wtedy uświadamiać różnicę między Ewangelią a organizacją kościelną. Ewangelia jest dla ludzi; organizacja kościoła rzymskokatolickiego została pomyślana nie dla pojedynczego człowieka, lecz dla korzyści jego przywódców politycznych i społecznych.

Łaska Boża w cichej izdebce

Opuściłem Rzym i udałem się do siebie — a na miejscu okazało się, że nie mam ani kościoła, ani stanowiska wykładowcy. Lecz nie załamałem się, całkowicie zawierając Panu. Pozostałem w mieście, wśród moich parafian. Znajomy udostępnił mi pokój na mieszkanie, i tam właśnie, w ciszy, odpoczywając po licznych próbach i utarczkach wpierw z biskupem, a potem w Rzymie, zacząłem sobie dla pociechy czytać Ewangelie. Nie czytałem jeszcze niczego z takim zajęciem. Ku mojemu zdumieniu lektura ukazywała mi odpowiedzi na liczne dręczące mnie wątpliwości co do nauk kościoła rzymskiego. Dzięki łasce Bożej spostrzegłem, że większość dogmatów i nauk, które wpajałem wiernym, nie pochodzi z Ewangelii, ale jest ludzkiego autorstwa, często nawet przecząc Biblii. Zacząłem pojmować, że przez 17 lat nie byłem wcale sługą Jezusa Chrystusa i Jego kapłanem, ale sługą potężnej organizacji. Pewnie wielu dziwi się, czemu odkrycie prawdy zajęło mi tyle czasu. Pamiętajmy, iż kandydat do stanu kapłańskiego zaczyna przygotowania często w wieku chłopięcym, a kończy jako dorosły. Stąd nie jest mu łatwo opowiedzieć się przeciw kościołowi rzymskiemu. Czy sądzicie, że wszyscy księża wierzą w to, czego nauczają? Wielu nie wierzy, a jednak zostaje, obawiając się zerwania z kościołem. Ale ja nie mogłem nadal służyć dwóm panom: papieżowi i Chrystusowi.

Dzieło Chrystusa, a nie nasze

Wybrałem Chrystusa, uznając go za swego Zbawcę.

„Nie z uczynków sprawiedliwości, które byśmy my czynili, ale podług miłosierdzia swego zbawił nas przez omycie odrodzenia i odnowienia Ducha Świętego” (Tt 3,5).

Dziś głoszę prawdziwą Ewangelię, swobodnie i bez ograniczeń, w tym samym mieście, gdzie niegdyś byłem księdzem. Prześladowań nie brakuje, lecz Pan jest potężny i kilkoro ludzi już się nawróciło. Moi umiłowani księża, jeśli czytacie te słowa, to nie walczycie z prawdą, lecz poszukujcie jej w Ewangelii i głosście prawdę na podstawie Słowa Bożego. Nie wolno nam przykrawać Ewangelii do naszej nauki, lecz to my sami musimy się zmieniać według Ewangelii. Jeśli nie zwrócicie się ku prawdom Ewangelii, nie będzie dla was nadziei ani szczęścia, lecz tylko ciemność, cierpienie i grzech.

Choćby mnie opuścili ojciec mój i matka, to jednak Jahwe mnie przygarnie. Jahwe, naucz mnie Twojej drogi, prowadź mnie ścieżką prostą ze względu na mych wrogów. Nie wydawaj mnie na łaskę moich nieprzyjaciół, bo przeciw mnie powstałi kłamliwi świadkowie i ci, którzy dyszają gwałtem (Ps 27,10–12 BT).

Bruno Bottesin, nawrócony ksiądz

Włoch Bruno Bottesin z wielkim zapałem starał się składać świadectwo księżom rzymskokatolickim. Dziś jest już w bardzo podeszłym wieku lub z Panem.

Jezuita zaczyna nowe życie

Świadectwo nawróconego księdza Jose Rica

15 kwietnia 1956 dobiełem w końcu do błogosławionych brzegów pokoju z Bogiem przez Jezusa Chrystusa, po 19 latach ciągłych zmaganiach wiodących ku katastrofie, po latach kapłaństwa w kościele rzymskokatolickim. Do opuszczenia ojczystej Hiszpanii skłonił mnie między innymi apel biskupów amerykańskich wystosowany w obliczu lawiny protestantyzmu zalewającej Amerykę Łacińską. W duszy Hiszpana tkwi antyprotestancki instynkt. Od czasów Karola V i Filipa II karty naszej historii roją się od konfliktów religijnych, walk, dekretów wiary i inkwizycji. Hiszpański donkichotyzm osiąga punkt szczytowy właśnie w nienawiści do protestantyzmu. Gdy więc papież oznajmił hiszpańskiemu duchowieństwu, że Ameryka Łacińska to pole misyjne dla katolickich księży, zabrzmiał dla mnie sygnał do boju. Pragnąłem zresztą pracować w tej części świata, którą — choć jeszcze jej nie znałem — już wcześniej pokochałem, jako perłę naszego hiszpańskiego imperium. Wkrótce miałem się przekonać, że Ameryka Łacińska to świat nowy i różny, w pełnym znaczeniu tego słowa. W Sao Paulo, potem w Argentynie, a w końcu w Chile ujrzałem kaplice protestanckie tuż obok kościołów katolickich i roszczące sobie pretensje do społecznego uznania. Uprzedzony, uznałem to za skandal nie do przyjęcia. A jednak Boża Opatrzność już niebawem miała mnie oświecić w tej sprawie.

„Ten, który zapoczątkował w was dobre dzieło...”

Przybyłem do Antofagasty w Chile, gdzie pełniąc posługę w katedrze znalazłem doskonałą sposobność do wyrażania swoich antyprotestanckich przekonań. Już miałem ruszyć do zaciętej walki, gdy zaczęły do mnie docierać jakieś ewangelikalne broszury; wprawdzie z obrzydzeniem, ale czytałem je. Później przeczytałem też kilka protestanckich książek, a nawet odważyłem się umieścić je w swej prywatnej bibliotece. Stopniowo sympatia zaczęła wypierać dotychczasową śmiertelną nienawiść. Spostrzegłem, że protestantyzm nie jest wcale tym, za co się go popularnie uważa i czym ogłasza się go w salach katolickich uczelni. Książki protestanckie były pełne najgłębszych prawd prosto ze świętych kart Biblii. Nie było między nimi a książkami katolickimi widocznej różnicy, prócz tej, że tym pierwszym brakowało imprimi potest, wyrażającego akceptację władzy katolickiej. Dostrzegłem natomiast wyraźną różnicę między życiem chrześcijan ewangelikalnych a życiem przeciętnego katolika. Wiele bym dał, aby moi wierni żyli równie moralnie i poprawnie jak znieawidzeni protestanci. Okoliczności zmusiły mnie do przenosin z Chile do Boliwii. Po paru miesiącach powołano mnie na szaczone stanowisko Krajowego Doradcy Katolickiej Organizacji Studenckiej (JEC); nominację podpisał sam arcybiskup La Paz. Tak oto poznałem najwspanialszych obywateli Boliwii, czyli cudowną młodzież zrzeszoną w JEC. Kipiało w nich życie i zapał, była to doprawdy niezwykła siła w ramach Akcji Katolickiej. Wskutek nadmiaru obowiązków opóźniła się jakiś czas ewolucja ku protestantyzmowi, kiełkująca w moim sercu; lecz Bóg kontynuował dzieło, które zaczął. Miałem więc sposobność nie tylko nadal czytać literaturę ewangelikalną, ale i poznać kilku silnych w wierze protestantów.

Sam Chrystus zmasał nasze grzechy

Moja katolicka wiara i kapłaństwo znalazły się o krok od ruiny. Chciałem podjąć jakieś poważne kroki, by temu zapobiec. Bo czyż to wszystko nie było tylko diabelską pokusą, jak

inne przypadki, o których słyszałem? Pisałem książkę zatytułowaną „Kapłan i Hostia”, która — mimo że jeszcze nie opublikowana — zyskała już oficjalną aprobatę diecezji. Szukając natchnienia, zwróciłem się do Listu do Hebrajczyków — i nie znalazłem tam spodziewanej wzmianki o kapłaństwie katolickim. Jedynym kapłanem, o jakim pisano, był Jezus Chrystus, który

„raz jeden ukazał się teraz na końcu wieków na zgładzenie grzechów przez ofiarę z samego siebie” (Hbr 9,26 BT).

Przeczytałem wersety 10,17–18, o niemożliwości złożenia jeszcze jednej ofiary za grzech. Dlaczego więc z ambon katolickich głosi się, iż msza to bezkrwawe ponowienie ofiary krzyża — skoro List ten naucza, że nie istnieje możliwość powtórzenia tego, co Chrystus uczynił niegdyś raz na zawsze? I jakąż wartość miałyby taka bezkrwawa ofiara, skoro Autor Listu pisze, że

„bez rozlania krwi nie bywa odpuszczenie grzechów” (Hbr 9,22).

Mówi on, że dokonawszy wiecznego odkupienia, ten Wieczny Arcykapłan Nowego Przymierza wstąpił na wysokość, gdzie teraz wstawia się za nami przed obliczem Boga (Hbr 1,3; 7,25). Po zakończeniu studium Listu do Hebrajczyków poczułem, jakby jakaś niewidzialna wszechmocna dłoń odarła mnie z sutanny i całej mej kapłańskości. Jedynym prawowitym kapłaństwem dla ludzi jest dziś kapłaństwo opisane przez św. Piotra:

„I wy jako żywe kamienie budujcie się w dom duchowny, w kapłaństwo święte, ku ofiarowaniu duchowych ofiar, przyjemnych Bogu przez Jezusa Chrystusa” (1P 2,5).

O tym właśnie mówi List do Hebrajczyków:

„Przełoż przez niego ofiarujmy Bogu ofiarę chwały ustawicznie, to jest owoce warg wyznawających imieniowi jego” (Hbr 13,15).

Pojąłem bezsensowność i fałszywość idei czyśćca. Ten sam bowiem Autor jasno stwierdza, że naszym czyśćcem jest sam Jezus Chrystus, który ofiarował życie na krzyżu i

„oczyszczenie grzechów naszych przez samego siebie uczyniwszy, usiadł na prawicy majestatu na wysokościach” (Hbr 1,3).

Jeśli Chrystus oczyszcza nas z grzechów, po cóż dusze już przez Niego zbawione miałyby iść do czyśćca w celu oczyszczenia? Cóż to za czyściec, o którym Pismo Święte nie wspomina choćby słowem? Po tych odkryciach brakowało tylko okazji, aby osiągnąć cel jasno widniejący w oddali. Ale Bóg sam zaingerował, kontaktując mnie z pewnym młodym pastorem, w którym wrodzona lotność umysłu łączyła się z głęboką miłością do Boga i nadzwyczajną znajomością Pisma Świętego. Był to dyrektor Indiańskiego Instytutu Biblijnego Samuel Joshua Smith. Po raz pierwszy tak blisko zetknąłem się z heretykiem. Rozmowa z nim rozświetliła mi myśli, rozproszyła wątpliwości i pocieszyła serce, aż poczułem napływ wewnętrznej siły.

Jezus — jedyna droga

Następnego dnia odwiedziłem go powtórnie, a na zakończenie wizyty Samuel Joshua powiedział: „Cóż powstrzymuje cię przed przyjęciem Chrystusa jako jedynego Zbawcy, który zyskał dla ciebie wszystko?” Poczułem, że serce rozplywa się we mnie w niebiańskim błogostanie, uczucia odmawiają posłuszeństwa, a po policzkach płyną łzy. Nie potrzebowałem nic więcej: przyjąłem Go, przekonany do końca. Chrystus stał się mym jedynym Zbawicielem, bo nikt inny nie umarł za mnie na krzyżu. Stał się też Zbawicielem wystarczającym, bo Jego krew ma wszechpotężną moc obmycia duszy z grzechów. Jakże tragicznie zawiodły rytuały, ceremonie i ludzka tradycja katolicyzmu, nie mogąc obmyć duszy przed Bogiem. Zrozumiałem, co miał na myśli Jezus, mówiąc:

„Jamci jest ta droga, i prawda, i żywot; żaden nie przychodzi do Ojca, tylko przez mię” (J 14,6).

Poprosiłem o przebaczenie za to, że tyle lat błąkałem się po manowcach.

Postanowiłem chodzić Drogą, którą jest Chrystus Jezus. Odtąd patrzę na siebie jak na nowe stworzenie w Chrystusie Jezusie (2Kor 5,17). Zrozumiałem też, że Bóg mnie usprawiedliwił i usunął wielkie brzemie z mego serca, aż dotąd bezlitośnie mi ciężące. Tak — przeszedłem „ze śmierci do życia”. Jeszcze dwa miesiące wypełniałem obowiązki katolika; przed podjęciem ostatecznej decyzji chciałem bowiem wszystko dokładnie rozważyć. Były to najtrudniejsze chwile mego życia, ale w końcu Bóg rozerwał więzy, które tak długo mnie krępowały. Jednego słonecznego popołudnia przyjechałem do kościoła ewangelikalnego

w Miraflores w La Paz. Prędko zdjęłem sutannę i ubrany już po cywilnemu zasiadłem do herbaty w towarzystwie braci, rozmawiając z nimi szczerze i otwarcie o sprawach duchowych, tak jakbym znał ich od zawsze. Tak oto opadła kurtyna, kładąc kres tragedii, jaką było 19 długich lat mego kapłaństwa.

Jose Rico, nawrócony ksiądz

Hiszpan Jose Rico, płynnie władający hiszpańskim, portugalskim i angielskim, nadal zajmuje się pracą duszpasterską i ewangelizacyjną. Ostatnio służył Panu w kościele w Othello (Nebraska, USA).

Byłem księdzem rzymskokatolickim

Świadectwo nawróconego księdza Johna Zanona

Urodziłem się w 1910 roku w ubogiej, pobożnej rodzinie katolickiej na północy Włoch. Po święceniach, które przyjąłem 29 czerwca 1935 roku z rąk kardynała Rossiego, wysłano mnie do Stanów Zjednoczonych. Po kilku latach otrzymałem na urodziny radio stołowe. Po raz pierwszy miałem okazję sięgnąć i pozachwycać się niezwykłym urządzeniem. Ku swemu zdumieniu i radości odkryłem kilka programów nadawanych codziennie przez protestantów; w niedzielę było ich nawet sporo. Od początku bardzo mi się spodobały kazania i pieśni, a zwłaszcza nacisk, jaki kładziono na Słowo Boże. Ci kaznodzieje naprawdę wypełniali polecenie Chrystusa, aby

„głosić Ewangelię [. . .] jest ona bowiem mocą Bożą ku zbawieniu dla każdego wierzącego” (Rz 1,15–16).

Aby jednak dowieść, jak bardzo ja sam mam rację pozostając w kościele katolickim i jak bardzo błędzą ci, którzy są poza nim, zacząłem gorliwie, z modlitwą czytać Pismo Święte. Lecz im dłużej czytałem i im żarliwiej modliłem się do Boga, tym wyraźniej widziałem, jak bardzo myli się kościół rzymski. W Ewangelii Jana przeczytałem:

„Wszystkim tym jednak, którzy Je przyjęli, dało moc, aby się stali dziećmi Bożymi, tym, którzy wierzą w imię Jego” (J 1,12); i: „Tak bowiem Bóg umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne” (J 3,16).

W pierwszorzędnej wagi sprawie naszego zbawienia Pismo Święte wypowiadało się nad wyraz jasno.

Nauka nie Biblii

Nawet pozycja księdza katolickiego nie dawała mi pewności zbawienia duszy. Uświadomiłem sobie w końcu, że zapał i dobre uczynki kapłana nie są w stanie mnie zbawić; gdyż w Biblii przeczytałem:

„Łaską bowiem jesteście zbawieni przez wiarę. A to pochodzi nie od was, lecz jest darem Boga: nie z uczynków, aby się nikt nie chlubił!” (Ef 2,8–9).

Zachwiało to moją wiarę w naukę katolicką. Dotychczas ślepo uznawałem wszystko, co głosił Rzym. Katolik nie ma wyboru: albo bezwarunkowo przyjmie doktryny Rzymu, albo zostanie ekskomunikowany; ponieważ zaś opadły mnie wątpliwości do co każdej z nich, rozpocząłem pilniejsze niż dotąd badanie Pisma. I odkryłem, że ofiara Chrystusa na krzyżu była w pełni wystarczająca:

„Idotsuświęceni jesteście przez ofiarę ciała Jezusa Chrystusa raz na zawsze” (Hbr 10,10);

„Jedną bowiem ofiarą udoskonalił na wieki tych, którzy są uświęceni” (Hbr 10,14);

„Takiego bowiem potrzeba nam było arcykapłana [. . .] który nie jest obowiązany, jak inni arcykapłani, do składania codziennej ofiary najpierw za swoje grzechy, a potem za grzechy ludu” (Hbr 7,26–27).

Nie ma zatem potrzeby mszy, spowiedzi ani czyścia.

Idź do Jezusa, a nie do Rzymu

Zacząłem pojmować, że doktryny rzekomo jedyne prawdziwego kościoła są tylko wymysłami. Kontynuując studia nad Biblią katolicką, spostrzegłem też, że kult Marii, matki

naszego Zbawcy, oraz świętych nie ma podstaw w Piśmie Świętym. Sama Maria na weselu w Kanie skierowała służących do Jezusa:

„Wtedy Matka Jego powiedziała do sług: Zróbcie wszystko, cokolwiek wam powie” (J 2,5).

Chrystus zaprasza, byśmy przyszli prosto do Niego, a nie odwoływali się do pomocy świętych, jak chce kościół katolicki.

„Pójdźcie do Mnie wszyscy, którzy jesteście spracowani i obciążeni, a Ja wam dam ukojenie” (Mt 11,28; BW);

„Odpowiedział mu Jezus: Ja jestem drogą i prawdą, i życiem. Nikt nie przychodzi do Ojca inaczej jak tylko przeze Mnie” (J 14,6);

„O cokolwiek prosić Mnie będziecie w imię Moje, Ja to spełnię” (J 14,14).

Paweł zaś z natchnienia Bożego napisał:

„Albowiem jeden jest Bóg, jeden też pośrednik między Bogiem a ludźmi, człowiek, Chrystus Jezus” (1Tym 2,5).

Ze studium Biblii wynikło zatem, że tysiąc i jedna litania do świętych to wymysł Rzymu. Pojąłem jasno, że nauki kościoła katolickiego są błędne. Podziękowałem Panu, że oświecił mój umysł. Nie miałem innego wyboru, jak opuścić kościół rzymski. Zacząłem planować, jak to uczynić, ale perspektywa przerażała mnie. Wiedziałem, że rodzice i rodzeństwo będą załamani, a katolicy odczują to jako policzek. Będę też musiał poświęcić długoletnie przyjaźnie, pozycję społeczną, prestiż, wygodne życie. Zwlekałem i modliłem się. A głos Pana brzmiał wyraźnie i stanowczo:

„Kto miłuje ojca lub matkę bardziej niż Mnie, nie jest Mnie godzien. I kto miłuje syna lub córkę bardziej niż Mnie, nie jest Mnie godzien” (Mt 10,37).

Aby zagłuszyć tę Bożą przestrożę, odłożyłem Biblię na bok i tym gorliwiej rzuciłem się w wir pracy. Przypomniałem sobie śluby złożone w seminarium, zwłaszcza w dniu święceń: aby zaliczać się do najlepszych kapłanów. Taka postawa przez kilka następnych lat dała mi względny pokój wewnętrzny.

Miecz Słowa Bożego

W styczniu 1955 roku doznałem miłej niespodzianki. Bawiąc w Kansas City (Missouri), pastor Joseph Zachello, redaktor naczelny Convert Magazine (Magazyn nawróconych), zaszedł do mnie w odwiedzinę. Bardzo się zaniepokoiłem, kiedy spytał, czy jestem zbawiony. Nie dawało mi to spokoju. Znów zacząłem modlić się do Boga, by pokazał mi drogę zbawienia. Głos Pana zabrzmiał wyraźnie — i z wyrzutem:

„Nie sądzicie, że przyszedłem pokój przynieść na ziemię. Nie przyszedłem przynieść pokoju, ale miecz” (Mt 10,34).

Mieczem tym postanowiłem odciąć się od tych, którzy byli mi bliscy i drodzy. Dziś, kiedy już uznałem naszego Pana za mojego Zbawiciela, przekonuję się, jak prawdziwe były Jego słowa:

„Zaprawdę powiadam wam: Nikt nie opuszcza domu albo żony, braci, rodziców albo dzieci dla królestwa Bożego, żeby nie otrzymał daleko więcej w tym czasie, a w wieku przyszłym — życia wiecznego” (Łk 18,29–30).

John Zanon, nawrócony ksiądz

John Zanon był dobrym znajomym Leo Lehmana i Josepha Zachello. Z zapałem oddawał się ewangelizacji. Dziś jest już u Pana.

Ślepiec prowadzący ślepych

Świadectwo nawróconego księdza Salvatore Gargiula

Czy może niewidomy prowadzić niewidomego? Czy nie wpadną w dół obydwaj? (Łk 6,39)

Nazywam się Salvatore Gargiulo. Nawróciłem się na Ewangelię Pana Jezusa w 1977 roku i odtąd służę Mu w tym samym miejscu, gdzie niegdyś wypełniałem powołanie katolickiego księdza. Nawrócenie moje następowało powoli, na przestrzeni lat, i było wielkim cudem Bożym. Świecenia kapłańskie przyjąłem w 1951 roku i nieodwołalnie postanowiłem być do końca życia oddanym synem papieża, uznając w nim następcę Piotra, widzialną głowę całego kościoła, namiestnika, czyli prawowitego przedstawiciela Jezusa Chrystusa na ziemi.

Znaki i fałszywe cuda

Kościół rzymski to kościół podążający raczej za Maryją, nie zaś faktyczny kościół chrześcijański. Taki byłem i ja. Zachęcałem wiernych do odmawiania różańca — monotonnie powtarzanych modlitw do Maryi — i z zapałem opowiadałem historie o cudach, jakich rzekomo dokonała, a które są przecież dziełem sił ciemności, zdolnym wieść miliony dusz na manowce i odwrócić od prawdy (2Kor 11,14; 2Tes 2,9–12). Lecz moje życie wtopiło się w ten system błędów; posiadałem zresztą tylko powierzchowną znajomość Pisma. Oszukiwałem siebie i zwodziłem innych (2Tym 3,13); moje studia teologiczne opierały się na scholastyce, a nie Słowie Bożym.

Popękane cysterny

W swoim religijnym fanatyzmie i wierności zasadom, które oficjalnie określały prawa kapłanów, pewnego dnia spaliłem „protestancką” Biblię, bo nie miała „Imprimatur” ani też innego oznaczenia, które dozwalałoby ją czytać. Mocne przekonanie i wiara w instytucję rzymskiego katolicyzmu nie mogły zapełnić pustki w sercu. Udzielałem sakramentów, ale mnie samemu brakło największego daru, jaki Bóg pragnie ofiarować człowiekowi: pewności, że zostało się przyjętym przez Niego, bo nasze grzechy zostały raz na zawsze odpuszczone na Golgocie.

„Usprawiedliwieni tedy z wiary, pokój mamy z Bogiem przez Pana naszego, Jezusa Chrystusa, dzięki któremu też mamy dostęp przez wiarę do tej łaski, w której stoimy, i chlubimy się nadzieją chwały Bożej” (Rz 5,1–2; BW).

Łękałem się śmierci i sądu Bożego. Moja religia skłaniała do czynienia różnych rzeczy, aby zyskać sobie zasługi (msza, sakramenty, różaniec, odpusty, umartwienia), lecz w głębi duszy czułem, że jestem zgubiony na wieki. Niestety, mimo ukończenia studiów teologicznych nie znałem pokoju i wewnętrznej prostoty, jakie daje zbawienie łaską. Popękane cysterny sakramentów nie mogły zaopatrzyć mnie w Wodę Żywota, której dusza tak rozpaczliwie pragnęła.

Wezwanie do serca

W latach sześćdziesiątych zaciekał mnie ruch ekumeniczny. Naturalnie liczyłem na to, że skłoni on „braci odłączonych” do uznania rzymskokatolickiej głowy kościoła i przyznania, że według woli Jezusa to papież jest najwyższym pasterzem wszystkich owiec, aby w posłuszeństwie jemu wypełniało się Boże pragnienie jednej owczarni i jednego pasterza. Wskutek tych zainteresowań musiałem zapoznać się z poglądami chrześcijan oddzielonych od Rzymu. Zaczęłem słuchać radiowych i telewizyjnych audycji ewangelikalnych. Pamiętam zwłaszcza cykl porannych kazań niemieckiego pastora Wernera Euchelbacha wygłaszanych w Radio Luksemburg, niezmiennie kończonych poruszającym apelem: „Bo w istocie potrzeba ci tylko Jezusa”. W moich oczach kaznodzieja ów był zwykłym sekciarzem, heretykiem, lecz wzruszała mnie żarliwość w jego głosie i fakt, że w centrum jego poselstwa stał tylko Jezus. „Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: Kto we Mnie wierzy, ma życie wieczne” (J 6,47).

Światło Pisma

Pewnego dnia 1975 roku, gdy wybrałem się na spacer ulicami Florencji, zwróciła moją uwagę księgarnia ewangelikalna. Wszedłem, aby się rozejrzeć, i zaraz uderzył mnie tytuł na półce: „Katolicyzm rzymski w świetle Pisma”. Kupiłem sobie tę książkę, ale nie było rzeczą łatwą od razu usunąć z umysłu wszystkie fałszywe doktryny, które tak głęboko zapuściły korzenie. Powoli jednak Duch Święty sprawił, iż Światłość Prawdy przeniknęła pogrążony w ciemności umysł. Minęły kolejne dwa lata niepewności, wahań i poszukiwań. W końcu to sama Biblia — prawdziwy Miecz Ducha — zdołała wykorzenić ze mnie błędne nauki, które niewoliły mnie przez tyle lat.

„Łaską bowiem jesteście zbawieni przez wiarę. A to pochodzi nie od was, lecz jest darem Boga: nie z uczynków, aby się nikt nie chlubił” (Ef 2,8–9).

„Panowie, co mam czynić, aby się zbawić?, Uwierz w Pana Jezusa — odpowiedzieli mu a zbawisz siebie i swój dom” (Dz 16,30–31).

„A świadectwo jest takie: że Bóg dał nam życie wieczne, a to życie jest w Jego Synu” (1J 5,11).

Czy kościół katolicki się zmienił?

Zdaniem niektórych protestanci czasy się zmieniły i możliwe są już dialog i współpraca z kościołem rzymskokatolickim, aby osiągnąć jedność chrześcijan. Jest to kłamstwo szatana. Nauki tej organizacji kościelnej nie zmieniły się ani trochę; co więcej, do starych błędów dodaje się wciąż nowe i zmierza się ku zjednoczeniu wszystkich istniejących religii. Wkrótce doprowadzi to do stworzenia Babilonu Wielkiego, o którym mówi 17 rozdział Apokalipsy. (Ilustracją zjawiska jest pkt. 2 Deklaracji Nostra Aetate II Soboru watykańskiego: „Buddyzm, w swych różnych formach, uznaje całkowitą niewystarczalność tego zmiennego świata i naucza sposobów, którymi ludzie w duchu pobożności i ufności mogliby albo osiągnąć stan doskonałego wyzwolenia, albo dojść, czy to o własnych siłach, czy z wyższą pomocą, do najwyższego oświecenia. [...] Kościół katolicki nic nie odrzuca z tego, co w religiach owych prawdziwe jest i święte”). Bardzo ważne jest zatem, abyśmy nakłonili dziś ucha na napomnienia Słowa Bożego:

Nie wprzęgajcie się z niewierzącymi w jedno jarzmo. Cóż bowiem ma wspólnego sprawiedliwość z niesprawiedliwością? Albo cóż ma wspólnego światło z ciemnością? Albo jakaż jest wspólnota Chrystusa z Beliarem lub wierzącego z niewiernym? Co wreszcie łączy świątynię Boga z bożkami? Bo my jesteśmy świątynią Boga żywego — według tego, co mówi Bóg: Zamieszkać z nimi i będę chodził wśród nich, i będę ich Bogiem, a oni będą Moim ludem. Przeto wyjdźcie spośród nich i odłączcie się od nich, mów Pan, i nie tykajcie tego, co nieczyste, a Ja was przyjmę i będę wam Ojcem, a wy będziecie Moimi synami i córkami — mówi Pan Wszechmogący (2Kor 6,14–18). Co do mnie, kiedy patrzę wstecz, na wszystkie te lata, gdy żyłem w mocy kłamstw i fałszu, mogę tylko z głębi serca i w wielkiej radości dziękować Ojcu Niebieskiemu, że uwolnił mnie z mocy ciemności i przywiódł do królestwa swego umiłowanego Syna.

Włoch Salvatore Gargiulo nadal z wielkim zapałem służy Panu w okolicach Sorrento, żywiąc szczególne pragnienie docierania na wszelkie sposoby z Ewangelią do zgubionych. Można się z nim kontaktować za pośrednictwem Rolanda Halla z organizacji Italian Missionary Fellowship, pisząc na adres: 31 Earlsthorpe Road, London SE26 4PE, Anglia.

Od martwej religii ku nowemu życiu w Chrystusie

Świadectwo nawróconego księdza Vincenta O'Shaughnessy'ego

„A tak jeżeli kto jest w Chrystusie, nowem jest stworzeniem; stare rzeczy przeminęły, oto się wszystkie nowymi stały” (2Kor 5,17).

Urodziłem się i wyrosłem w Irlandii, na gospodarstwie w West Limerick. Miłe mam wspomnienia z dzieciństwa. Jako najmłodsze z siedmiorga dzieci (trzy siostry i czterech braci) miałem mnóstwo krewnych, których mogłem odwiedzać bądź też którzy po niedzielnej mszy odwiedzali nas. W tych czasach nikt w Irlandii nie ważył się opuścić mszy w niedzielę, chyba że poważnie zaniemógł. Grzech taki uchodził za śmiertelny, grożąc piekłem, jeśliby zmarło się przed wyznaniem go na spowiedzi. Księżę bardzo szanowano, czczono wręcz. Pomyślałem, że i ja chciałbym kimś takim zostać. Jako mały chłopak co rano staczałem się z łóżka prosto na kolana — by odmówić poranne modlitwy: Modlitwę Poranną, której nauczyła mnie matka, „Ojcze Nasz”, „Zdrowaś Maryjo”. Do dziś pamiętam, że ta pierwsza zaczynała się od słów: „Jezu, przez najczystsze serce Maryi. . .”, co znaczyło, że chcąc dojść do Jezusa muszę szukać pośrednictwa Maryi, innej rady nie ma. Pamiętam też, że co wieczór klękałem w kuchni, aby wraz z rodziną odmawiać różaniec; najwięcej jednak czasu zajmowały dodatki do różańca. Za każdego sąsiada i krewnego, który miał jakiś kłopot, trzeba było odmawiać trzy „Zdrowaś Maryjo”, za każdego bliskiego zmarłego podobnie.

Później zapisałem się do Kolegium Św. Patryka, wyższego seminarium duchownego dla misjonarzy w Thurles w hrabstwie Tipperary. Przyjęto mnie, i rozpoczął się sześćioletni okres przygotowań do kapłaństwa: dwa lata filozofii i cztery lata teologii dogmatycznej i moralnej oraz prawa kanonicznego i innych przedmiotów. Nie poświęcaliśmy wiele uwagi studiom nad Słowem Bożym, zadowoliliśmy się pobieżnymi akademickimi uwagami na temat Biblii, bez większej wartości. Jeśli nie narodziłbym się na nowo, nigdy by mnie to nie zaciekało. Gdyby jednego dnia oczy mojego umysłu nie zostały otwarte na Słowo Boże, brak byłoby mi jego rozumienia.

15 lipca 1953 roku nastąpił długo wyczekiwany dzień święceń, pamiętna chwila, z wielką uctwą dla rodziny i znajomych. Uroczystości trwały jeszcze przez następny dzień, dzień prymicji. Zjawiała się wówczas większość parafian, chcąc otrzymać pierwsze błogosławieństwo z rąk młodego kapłana.

Po trzech miesiącach wakacji spędzonych w domu udałem się z paroma innymi nowo wyświęconymi księżmi do Nowego Jorku. Każdy z nas miał objąć wikariat w takim czy innym mieście Stanów Zjednoczonych. Ja trafiłem do Kalifornii, do katedry w Sacramento, stojącej obok siedziby władz stanowych. Obowiązki kapłańskie pełniłem z zapałem, pragnąc jak najlepiej wykonywać swe powołanie, być jak najlepszym księdzem. Dano mi pokój na drugim piętrze plebanii, zwolniony akurat przez człowieka, który walczył ze słabością wśród księży dość powszechną: alkoholizmem. Kilka razy schodziłem do śmietnika na podwórzu, wynosząc puste butelki, jakie zostawił w szufladach i szafach. Ogarnęło mnie przygnębienie; sam byłem abstynentem, członkiem irlandzkiego „Pionierskiego Towarzystwa Pełnej Abstynencji”. (Naszym znakiem było metalowe czerwone serduszko wpinane w ubranie. W Irlandii nie zachęcano do picia nikogo, kto nosił taki znaczek).

Spędzałem długie godziny w konfesjonale. Nie chciałem go opuszczać, gdy ludzie czekali w kolejce, choć inni księża bez skrupułów po przepisowym czasie odchodzili nie bacząc na nic. Przez to często spóźniałem się na posiłki. Wśród kolegów stałem się przedmiotem drwin z powodu posługi dla spóźnialskich- byli to zwykle Meksykanie. Ale Bóg obdarzył

mnie szczególną miłością ku tym pokornym, prostym ludziom, którzy odwzajemniali uczucie swego padre, klękając przede mną i całując mnie po rękach. Byłem wzruszony i zakłopotany.

Z katedry w Sacramento udałem się na wikariat do innej parafii, na przedmieścia. Pracowali tam księża irlandzcy. Nowy proboszcz (w Ameryce nazywamy go „pastorem”) był półinwalidą. Miał do pomocy trzech księży; wkrótce jednak odkryłem, że pełniącą obowiązki pastora jest faktycznie jego siostra, zatrudniona na etacie gospośi. To ona otwierała drzwi i odbierała telefony, prowadziła też wszystkich gości do brata, czy sobie tego życzyli, czy nie. Kuchnia była jej terenem prywatnym, jadalnia też — chyba że poproszono nas na posiłek. Zdarzyło się raz, że jeden z księży został przez gospośię przegnany z „jej kuchni” za pomocą noża do mięsa; musiał osłaniać się krzesłem, bo zostałby zarżnięty.

Przepracowałem tam pięć lat. Stary „pastor” coraz mocniej zapadał na zdrowiu. Przejmowałem po nim wiele obowiązków związanych z funkcjonowaniem parafii i — wierście lub nie — gospośia nawet mnie polubiła. Aż do końca mego pobytu nasze stosunki układały się znośnie.

Rychło wpadłem w coś, co nazywam, herezją aktywizmu”, wskutek czego mocno ucierpiało moje życie duchowe. Wciąż poświęcałem nieco czasu modlitwie przed mszą i po mszy, codziennie czytałem brewiarz (modlitwy dla duchownych). W soboty szykowałem kazania na podstawie planu dostarczonego z diecezji. Lubilem mówić kazania, nauczono mnie zresztą oddziaływać na emocje ludzkiej duszy. Nie uczono mnie jednak posługi w Duchu dla ducha człowieka, i nie miałem na ten temat pojęcia. Umialem natomiast wprawiać ludzi w dobry nastrój, toteż uważano mnie za dobrego księdza.

Przypominam sobie chwilę, może pięć lat po święceniach, gdy Bóg posłużył się małym dzieckiem, chcąc do mnie dotrzeć i ukazać mi drogę, lecz ja nie zwróciłem na to uwagi. Stałem akurat przed kościołem, czekając chyba na przybycie konduktu pogrzebowego, odziany w stosowne szaty liturgiczne. Wokół było pusto, jeśli nie liczyć małego, trzylub czteroletniego czarnego chłopca. Podszedł bliżej, obszedł mnie wokoło, mierząc mnie swymi wielkimi oczami. W końcu odezwał się: „Kim pan jest? Kaznodzieją?” Obszedł mnie jeszcze raz, spojrział prosto w oczy i zapytał: „A jest pan zbawiony?” Nie pamiętam, jak zareagowałem; przypominam sobie tylko, że czułem do niego litość, może nawet wstręt. Chłopczyk zadał mi najważniejsze pytanie życia — a ja nie miałem pojęcia, o czym mówi. Widać rozumiał, co to znaczy być zbawionym, Bóg zaś chciał użyć go, aby zwrócić mi na coś uwagę. Na próżno. Gdybym tylko wtedy wiedział to, czego dowiedziałem się 12 lat później, musiałbym przyznać malcowi, że nie jestem zbawiony. Dopiero w wieku 45 lat zrozumiałem, o czym mówił, dopiero wtedy pojąłem, co to znaczy być zbawionym, na nowo narodzonego chrześcijaninem.

Poprosiwszy o przeniesienie, trafiłem między opłotki osady rolniczej. Wkrótce, w sierpniu 1968 roku, przybyły tam siostra Yvonne i siostra N. Od początku między mną a siostrą Yvonne nawiązała się nić porozumienia, jakbyśmy znali się od lat. Stosunki nasze ograniczały się do spraw zawodowych; chętnie rozmawialiśmy i wymienialiśmy poglądy na rozmaite tematy.

Raz podczas dyskusji o jakiejś książce zadałem Yvonne pytanie: „Jak mnie siostra widzi w posłudze kapłańskiej? Proszę, by była siostra zupełnie szczerą”. Odpowiedź dosłownie ścięła mnie z nóg: „Widzę, że robi ksiądz wszystko, co właściwe, że z ambony mówi ksiądz też to, co właściwe, że spełnia ksiądz rolę kapłana”. Widziała we mnie wzór kapłana. I nie miała pojęcia, że jej słowa staną się punktem zwrotnym w moim życiu. Spostrzegłem, że gram. Szekspir powiedział, że cały świat jest sceną. Stwierdziłem, że nie chcę być księdzem, który odgrywa rolę na scenie życia- że chcę co prędzej ze sceny zejść. Rozpoczęły się długie miesiące udreki.

Siostry szykowały się akurat do ostatnich zajęć religii przed feriami zimowymi w 1968 roku. Poprosiłem Yvonne o plan na następny semestr; czas był już najwyższy, a jeszcze nic mi nie dostarczyła. Poszperała w torbie, wyjęła kopertę i wręczyła mi ją mówiąc: „Nie powinnam tego robić, ale chyba powinien ksiądz wiedzieć”. Adresatką listu z maja 1968 roku była matka przełożona Klasztoru Sióstr Świętej Rodziny. Yvonne rezygnowała z członkostwa w klasztorze; ale ponieważ złożyła śluby na rok, ofiarowała się zostać do końca roku, gdyby jej natychmiastowe odejście miało sprawić większy kłopot. Stąd właśnie znalazła się w Mt. Shasta, a nie w większym zgromadzeniu w rejonie Zatoki San Francisco, gdzie miała się początkowo udać. Czytając list, który oznaczał, że siostra Yvonne nie wróci już do naszej parafii, czułem, że łzy płyną mi po policzkach.

— Co się z księdzem dzieje? — zapytała.

Wymamrotałem coś w rodzaju:

— Nie wiem, to chyba szok.

Zaczęły się schodzić dzieci na ostatnie zajęcia; wyszedłem, zostawiając Yvonne z jej klasą. Przez następne kilka tygodni w ogóle jej nie widziałem; już następnego dnia wyjechała do klasztoru w Mt. Shasta.

Święta były samotne i ponure. Spadło dużo śniegu, rodząc liczne kłopoty. Czas płynął, a ja nareszcie zorientowałem się w stanie swej duszy i musiałem przyznać przed Bogiem, że po prostu zakochałem się w Yvonne. Ale ona widać nie brała pod uwagę takiego związku: byłem księdzem, a przecież tak ceniła moją kapłańską posługę. Na pewno nie chciała obciążać sobie sumienia wyciągnięciem mnie ze stanu kapłańskiego.

Cierpiałem, wołając do Boga o wskazanie drogi. Czy powinienem porzucić kapłaństwo? Czy raczej nie? Czy mam prawo przerwać proces wewnętrznych zmian, który tak pięknie opisała Yvonne? Postanowiłem wziąć byka za rogi i zaprosić na misję do parafii najlepszego księdza-misjonarza: niech ożywi duchowo i mnie, i wiernych. Misje odbyły się w pierwszy tydzień Wielkiego Postu, ale były zaprzeczeniem dobrego wzorca. Kazania dudniły pustką, pozbawione głębszej treści i zapału dla Boga. Miały „pozór pobożności”, ale nie miały „jej mocy” — jak pisze apostoł Paweł:

„Którzy mają kształt pobożności, ale się skutku jej zaparli; i tych się chroń” (2Tym 3,5).

Zdecydowałem się. Napisałem do Yvonne, żeby powiedzieć jej o moim ostatecznym postanowieniu i poprosić o spotkanie i rozmowę. Zgodziła się, i wybraliśmy się na kolację — jak na zawsze zapamiętam — do Concord Inn w jej rodzinnym Pleasant Hill. Próbowałem ją przekonać, że porzucam kapłaństwo bez względu na to, czy z naszej znajomości coś wyniknie. Poczulem, że muszę zapytać:

— Yvonne, zostawiłaś zakon z własnej woli — czemu ja nie mogę zostawić kapłaństwa?

Zrozumiała, że traktuje mnie niesprawiedliwie, i odparła:

— Przepraszam, źle robię, że namawiam cię do pozostania. Ale jeśli zdecydujesz się wyjść, musisz to zrobić bez względu na mnie. Musisz wiedzieć, że taka jest wola Boża.

Napisałem do biskupa, informując o swym postanowieniu i prosząc, by zwrócił się do Rzymu o dyspensę; chcieliśmy się pobrać w kościele katolickim. Sprawę przekazano archidiecezji San Francisco. Znalazłem księdza, który na dwa miesiące miał przejąć moje obowiązki w parafii. Ze skromniutkim bagażem upchany na przyczepce pojechałem parafialnym samochodem w rejon Zatoki San Francisco. Spotkałem się z ordynariuszem diecezji Sacramento i zapewniłem, że zaraz odeślę samochód. Poprosił o dowód rejestracyjny, napisał coś na nim i oddał mi go ze słowami: „No, Vince, niech ci dobrze służy. Przyda ci się”. Nigdy nie zapomnę tego szczodroliwego gestu.

Przyjechałem do Oakland. Yvonne wynajmowała mieszkanie nad jeziorem Merritt; wprowadziłem się tam, a ona wyprowadziła się do matki w Pleasant Hill. Mieszkałem sobie spokojnie, zapomniany przez świat, dochodząc do siebie po burzliwych przejściach związanych z moją ostateczną decyzją.

Dnie upływały na modlitwach o pracę i na szukaniu jej. Jednego dnia znajomy z Biura Pracy w Alameda, były dominikanin, dał mi ofertę pracy z hrabstwa Colusa. Wypełniłem ją, udałem się na rozmowę wstępną i dostałem posadę.

Yvonne i ja pobraliśmy się i przenieśli do miasta Colusa. Nadeszła dyspensza i nasze małżeństwo zostało pobłogosławione przez kościół katolicki. Yvonne dostała posadę dyrektorki Bractwa Doktryny Chrześcijańskiej przy naszej parafii. Oboje byliśmy oddanymi katolikami i takimi pragnęliśmy na zawsze pozostać. Lecz po każdorazowym powrocie z mszy czuliśmy się wyjałowieni, spragnieni i złaknieni obecności Boga i pożywnej strawy duchowej. Nie mogliśmy tego znaleźć. Bóg dał nam pracę, piękny dom, a nawet śliczną córeczkę Kelly Ann. Byliśmy szczęśliwi i wdzięczni Mu za całą Jego dobroć. Ale pragnęliśmy z Nim głębszej, pełniejszej więzi.

Raz ktoś dał nam książkę o księdzu, który narodził się na nowo z Ducha Świętego. Było to dla mnie coś nowego. Książka opisywała jego życie i spotkanie z Bogiem. Niedługo potem zostaliśmy z Yvonne zaproszeni na spotkanie, gdzie jakaś siostra zakonna podzieliła się świadectwem działania zbawczej mocy Bożej i opowiedziała o swoim nowym narodzeniu. Poczulem, że Pan dotyka mego serca. Gdy poproszono o podejście do przodu tych, którzy chcieliby przyjąć Pana jako swego Zbawcę, kto wybiegł jako pierwszy? No jasne! Vince i Yvonne. Modliliśmy się, aby Pan królował nad każdą dziedziną naszego życia; od razu odczuliśmy różnicę. Myślę, że właśnie wtedy narodziłem się na nowo, otrzymując pewność zbawienia i pokój płynący z przekonania, że moje grzechy zostały odpuszczone. Nasze życie

modlitewne stało się głębsze i bardziej rzeczywiste. Biblia — Słowo Boże — ożyła i nabrała sensu, z zapalem czytaliśmy ją i rozważaliśmy.

Zaczęliśmy chodzić na spotkania biblijne i coraz bardziej zagłębiać się w Słowo Boże. Aż spostrzegliśmy, że wiele rzeczy, których nas jako katolików uczono, nie zgadza się z Pismem Świętym. Można powiedzieć, że kościół rzymski głosi ewangelię uczynków: zbawienie osiągamy własnym wysiłkiem i nasz własny wysiłek owocuje dobrym życiem; należy odprawiać pokutę za grzechy, tak jakby Jezus Chrystus nie zapłacił za wszystko swoją krwią na krzyżu Golgoty. W Liście do Efezjan 2,8–9 napisano jednak wyraźnie, że zbawienie jest darem Bożym otrzymywanym przez wiarę:

„Albowiem łaską jesteście zbawieni przez wiarę, i to nie jest z was, dar to Boży jest; Nie z uczynków, aby się kto nie chlubił”.

Pojęliśmy, że katolicy powinni odejść od błędów Rzymu, i uczyniliśmy to. Pan Jezus błogosławi nam, a my staramy się Mu służyć. Nigdy przedtem nie byliśmy tak szczęśliwi. Pan obdarzył nas dwiema pięknymi córkami; otwiera wiele drzwi, abyśmy mogli służyć Słowem Bożym i modlić się za innych.

Za wszystkich, którzy czytają to świadectwo, modlimy się, by poznali Pana i moc Jego zmartwychwstania. Szukajcie Jezusa całym sercem! Uznajcie, że tylko On jest Zbawcą. Umarł, byście mogli żyć; jak głosi Jego Słowo:

„Sprawiedliwy za niesprawiedliwych, aby nas przywiódł do Boga, umartwiony będąc ciałem, ale ożywiony duchem” (1P 3,18).

Chcemy błogosławić Was starym irlandzkim błogosławieństwem: „Niech droga wznosi się wraz z Wami, niech wiatr zawsze wieje Wam w plecy i obyście znaleźli się w niebie na długo wcześniej, zanim diabeł dowie się o Waszej śmierci”.

Oddani Wam w Jego miłości i służbie Vince i Yvonne O'Shaughnessy

6134 Laurel Drive, Paradise, California 95969, USA Nasz telefon: (0-01) 916 8779 465 lub (0-01) 916 8729 029

Będziemy szczęśliwi, jeśli zapragniecie odezwać się do nas. Niech Bóg Wam błogosławi!

Vincent O'Shaughnessy, nawrócony ksiądz

Przekazując komu innemu swe obowiązki duszpasterskie w Ośrodku Chrześcijańskim w Paradise w Kalifornii, Vincent O'Shaughnessy ma dziś więcej czasu na szerszą działalność w skali kraju i świata. W 1992 roku gościł w rodzinnej Irlandii. Większość czasu poświęca obecnie pisaniu książki *The Truth that Set Us Free* (Prawda, która nas wyzwoliła). Wraz z żoną Ivonne nie zaprzestaje udzielać się misyjnie w Ośrodku Chrześcijańskim w Paradise.

Pan mnie powołał

Świadectwo nawróconego księdza Cipriana Valdesa Jaimesa

Postać w długiej czarnej bądź białej szacie kroczy ze złożonymi dłońmi i uroczystym wyrazem twarzy. To nie „bóstwo w ludzkiej postaci” — jak mawia się w niektórych kręgach. To kapłan rzymskokatolicki, osobistość owiana mgłą tajemnicy. Ja, Cipriano Valdes Jaimes, byłem jednym z nich. Urodzony w Michoacan w Meksyku w pobożnej rodzinie katolickiej, pierwsze nauki pobierałem pod czujnym okiem tych, którzy dbali, bym często przystępowałem do spowiedzi i co dzień do komunii. W wieku 12 lat zakołatałem do bram seminarium diecezjalnego w Chilapa (stan Guerrero). Pięć długich lat zgłębiałem mowę Cyserona i Wergiliusza; trzy lata umysł mój napełniano wiedzą o filozofach greckich. Przez cztery lata pieczołowicie uczono mnie teologii, wpajając wszystkie dogmaty Rzymu. W końcu 18 października 1951 roku, w dzień św. Łukasza Ewangelisty, przyjąłem święcenia kapłańskie.

Dano mi moc

Przez nałożenie rąk biskupa otrzymałem niesamowitą, lecz zwodniczą moc, której kościół katolicki rzekomo udziela kapłanowi: Mogłem odpuszczać ludzkie grzechy, i w straszliwym konfesjonale, i poza nim. Miałem też moc ponownie ofiarowywać Chrystusa na ołtarzu, ilekroć zechcę. W fałszywym, acz dochodowym rytuale mogłem także wyzwalać dusze z czyśćca, zmyślonego przez Rzym; taka jest bowiem nauka tego kościoła: iż przed wejściem do nieba dusze muszą przejść przez to jezioro ogniste. Jakże to dalekie od Prawdy, jaki to fałsz. Ale po czterech latach wyczerpujących, dogłębnych studiów nad teologią dogmatyczną i moralną wierzyłem w to i ja. Słyszając, że mam moc odpuszczać grzechy bliźnich, uznałem to całym sercem, nie rozumiejąc, że to przywilej wyłącznie Boski, który nie może być powierzony człowiekowi. W Piśmie Świętym powiada się:

„Ja, Ja sam gładzę przestępstwa twoje dla siebie, a grzechów twoich nie wspomnę” (Iz 43,25)

i:

„Któż może grzechy odpuszczać, tylko sam Bóg?” (Mk 2,7).

Przez 20 lat jako ksiądz spełniałem haniebną, przeciwną Pismu praktykę, co dzień słuchając o słabościach wojskowych, wykształconych, polityków. Bywałem opiekunem duchowym w szkołach; przez rok byłem zastępcą proboszcza, przez 19 lat proboszczem. Miałem pod sobą wikarych i zastępców, którzy pomagali wypełniać jałowe obowiązki. Aby móc powtarzać ofiarę bezkrwawą Chrystusa na ołtarzu, dano mi moc przemiany chleba w Jego ciało i wina w Jego krew poprzez magiczne słowa konsekracji. Moc tę przyjąłem z radością i głębokim szacunkiem. Oto w moich dłoniach miał znaleźć się sam Stwórca wszechświata, Przedwieczny Bóg, który stał się dla nas człowiekiem. Czy naprawdę przez 20 lat składałem na ofiarę Chrystusa? W niedziele nawet czterokrotnie? Co za drwiny z mojej strony, ze strony każdego uczestnika tego, co Rzym zwie mszą! Człowiek nijak nie może powtórzyć dzieła Jezusa na krzyżu — sądzić inaczej to dawać posłuch diabłu. Biblia powiada:

„Chrystus powstawszy z martwych, więcej nie umiera i śmierć mu więcej nie panuje” (Rz 6,9);

jakże kapłan mógłby sprawić, iż umrze On znów, ale bezkrwawo? Tym bardziej, że List do Hebrajczyków 9,22 głosi:

„bez rozlania krwi nie bywa odpuszczenie grzechów”.

Czego dokonuje msza? Oczyszcza i wyzwala dusze z czyśćca? Przecież według Pisma to „krew Jezusa Chrystusa, Syna jego, oczyszcza nas od wszelkiego grzechu”! (1J 1,7).

Wedle katolickiego dogmatu w każdej cząstce konsekrowanego chleba i wina są w pełni obecne ciało i krew Boskiego Jezusa Chrystusa. To nieprawda. Jezus mówił przecież:

„Albowiem gdzie są dwaj albo trzej zgromadzeni w imię moje, tam jestem w pośrodku ich” (Mt 18,20).

Szczyt świętokradztwa następuje jednak w chwili, gdy kapłan po tak zwanej konsekracji podnosi do góry chleb i wino, a wierni przyklękają i biją się w piersi bądź unoszą oczy ku górze z okrzykiem: „Pan mój i Bóg mój”. To bałwochwalstwo, oddawanie czci stworzonej materii. Bóg nie jest kawałkiem chleba.

„Bóg jest duch, a ci, którzy go chwala, powinni go chwalić w duchu i w prawdzie” (J 4,24).

Prześladowałem kościół Boży

Wierzyłem nauce Rzymu, głosiłem ją, broniłem jej, choć klóciła się ze Słowem Pana. Kościół, sobory i tradycja ważniejsze były niż Pismo; głos papieża miał więcej władzy niż głos Ducha Bożego. Czyż mój kościół nie był jedynym, któremu należało wierzyć i dochować posłuszeństwa? Stąd, jak niegdyś Paweł, gorliwie prześladowałem kościół Boży (Gal 1,13). W miejscach ich zgromadzeń wyszydzałem ich kaznodziejów, protestantów, jak zwał ich oficjalny katolicyzm. Miotalem obelgi, upokarzałem, wyganiałem z terenu parafii, w których byłem panem i władcą. Sam nie wiem, ile ich literatury zniszczyłem. Pamiętam szczególnie haniebny incydent. Z kilkoma „pobożnymi” mężczyznami napadłem na młodą chrześcijankę, która grupce uważnych słuchaczy mówiła o Słowie Bożym. Przedarłem się przez tłum i zacząłem ją ośmieszać. Wyszydziłem ją osobiście jak i to, co robi jako Boża służebnica. Zagroziłem zebrany, że umrą bez sakramentów Świętej Matki Kościoła. Towarzyszom kazałem pozabierać wszystkie rozdane Biblie, bo są fałszywe. Nie miały przecież zatwierdzenia jedyne prawdziwego kościoła: ani NIHIL OBSTAT, ani IMPRIMATUR. Zabrano ludziom 66 Biblii, jeszcze pachnących farbą drukarską; podarłem je własnymi rękami i rzuciłem do ognia. Ale czyniłem to wszystko w niewiedzy. Mój Zbawca powiedział:

„Kto mną gardzi, a nie przyjmuje słów moich, ma kto by go sądził; słowa, którym ja mówił, one go osądzą w ostateczny dzień” (J 12,48).

Pan mnie powołał

„Ale gdy się upodobało Bogu, który mnie odłączył z żywota matki mojej, i powołał z łaski swojej” (Gal 1,15),

posłyszałem w sercu Jego głos: „Cieprianie, nie tu twoje miejsce. Zostaw to wszystko”. Posłuchałem. Wezwał mnie jednak biskup, i wróciłem do parafii, tłumacząc się niejasno. Lecz głos Pana nie milkł. Gdy siedziałem w konfesjonale, przekonywał: „Nie słuchaj o słabościach innych. Nie możesz im ich odpuścić”. Słyszałem Go, odprawiając mszę i chrzcząc niemowlęta. W końcu nie mogłem tego znieść. Poszedłszy do biskupa, oznajmiłem, że mam zamiar opuścić kościół.

— Co ty opowiadasz? — odparł.

— Chcesz opuścić kościół? Źle ci w tej parafii, to dam ci inną.

Odpowiedziałem:

— Nie. Chodzi mi o to, że nie chcę mieć już nic wspólnego z kościołem.

— Więc co zrobisz? Dokąd się udasz? — zapytał biskup.

— Nie wiem, co zrobię, nie wiem, gdzie się udam. Wiem tylko, że muszę odejść — odrzekłem.

Zdenerwowany, wstał i przyniósł jakieś formularze, abym napisał specjalne oświadczenie. Biskup nie tyle gniewał się na mnie, co nie mógł się pogodzić z utratą człowieka o 18 latach studiów i 20 latach doświadczenia w posłudze. Nie wyrzucono mnie z kapłaństwa kościoła rzymskiego — sam je opuściłem, gdyż PAN MNIE POWOŁAŁ. Miesiąc później byłem w mieście Tijuana w Baja California. I Pan postawił na mej drodze misjonarza, który idąc za głosem Ducha Świętego ukazał mi Jezusa, jedyne Zbawcę. Pojąłem słowa Pisma:

„Albowiem tak Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny” (J 3,16).

Zaufałem Chrystusowi; przyjąłem Go jako Zbawcę i Pana mego życia. Wiem już, że mam życie wieczne. Do nieba nie można wejść dzięki własnym uczynom, ofiarom, cnotom, choćby największym. Jedyna droga do Ojca wiedzie przez nieskończone zasługi Chrystusa. Żadna ceremonia, rytuał i sakrament nie zbawią człowieka. Drogi Czytelniku, proszę Ducha Świętego, by dał Ci światło, mądrość i zrozumienie; byś przeczytawszy to świadectwo pojął, że składam je po to tylko, abyś wiedział, że Bóg może zmienić umysł, serce i życie każdego człowieka, bez względu na jego stan moralny i duchowy. Zmienił mnie — i może zmienić Ciebie. Nie pisałem o prawdach tych po to, by Ciebie czy kogoś urazić. W moim sercu i życiu jest miłość, bo narodziłem się na nowo. Głoszę Ewangelię w kościołach, miejscach publicznych, w więzieniach i domach prywatnych. Uznaj, że jesteś grzesznikiem, wyznaj grzechy wprost Bogu, tak jak niegdyś uczyniłem ja. Poproś o Jego przebaczenie. Zaprosz Chrystusa do serca i życia, a On da Ci życie wieczne.

Cipriano Valdes Jaimes, nawrócony ksiądz

Meksykanin Cipriano Valdes Jaimes służy dziś Panu w Ameryce Łacińskiej, a także w wielu miejscach Stanów Zjednoczonych. Współpracuje z Bartem Brewerem i jego Misją dla Katolików.

Ewangelia łaski w Jezusie Chrystusie

Świadeństwo nawróconego księdza Thoufica Houriego

Świadeństwo jest poselstwem Ewangelii, które otrzymawszy pragniemy przekazać dalej; to poselstwo Dobrej Nowiny. Dobrą Nowiną jest Jezus Chrystus. Ewangelia to wieść o więzi miłości — łączącej konkretnego człowieka i Jezusa Chrystusa, więzi możliwej dzięki objawieniu miłości Syna Bożego. Zanim przejdę do mej opowieści, poproszę Ojca, aby nas oświecił i dał nam słowa Ducha Świętego. „Ojcze niebieski, dzięki Ci, że wolno nam zbliżyć się do Ciebie. Dzięki Ci, że mogę złożyć świadeństwo o Twej cudownej Ewangelii. Błagam, abyś dał mi Twoje słowa, słowa żywej mocy dla tych, którzy słuchają. Prosimy o to w imię Jezusa. Amen”. Rozpocznę od wersetu, który jest mi bardzo drogi: z Ewangelii Mateusza 11,28. Pan wskazał mi nań w chwili wielkiej potrzeby, gdy byłem o krok od popełnienia strasznego głupstwa. Ujął mnie za rękę, aby wprowadzić z dna rozpacz:

„Pójdźcie do mnie wszyscy, którzyście spracowani i obciążeni, a Ja wam sprawię odpocznienie”

Internat w Jerozolimie

Urodziłem się w Libanie w rodzinie katolickiej; od razu zostałem wpisany do ksiąg kościelnych. Ochrzczono mnie w styczniu 1923 roku przez potrójne zanurzenie, jak każe zwyczaj w syryjskim kościele katolickim. Na mocy tego obrzędu stałem się „chrześcijaninem”, członkiem tegoż kościoła. Matka zmarła, gdy miałem trzy lata. Umieszczono mnie w bursie Sióstr Miłosierdzia w Jerozolimie; przebywałem tam do 13 roku życia. Już w dzieciństwie pokochałem ołtarz, księży i wszystko, co wiązało się z posługą kapłańską. Jedna z sióstr, Germaine, spostrzegłszy mą religijność i zainteresowanie liturgią, naciskała, abym kształcił się na księdza. (Później dwukrotnie pisałem do niej, wyjaśniając jej Drogę Zbawienia. Niestety, po drugim moim liście nie odpisała).

Wątpliwości w seminarium

W wieku 13 lat stanąłem przed decyzją: gimnazjum czy też seminarium i posługa kapłana? Wybrałem to drugie: seminarium o obrządku syryjskim. Czytelnik zdaje sobie chyba sprawę, jakimi ludźmi są seminarzyści. Najpierw zostają uważnie przesiani; odsyła się wielu, zostawia nielicznych. Ale i ci nie są jeszcze doskonali. Nie czując się godnym kapłaństwa wielokrotnie prosiłem przełożonego o pozwolenie opuszczenia seminarium. Odpowiedź zawsze brzmiała tak samo: „Zostałeś powołany przez Boga, ale jeśli sprawa wygląda inaczej, to gdy to spostrzeżemy, pozwolimy ci odejść”. Trwało to długi czas. Tuż przed święceniami akolity ostatni raz udałem się do przełożonego z tą prośbą. Domyślałem się, jakie trudy wiązały się z pracą księdza, zwłaszcza w związku z celibatem. Po tych ślubach byłbym zobowiązany do celibatu do końca życia. Poczucie niegodności nie przestawało mnie nękać. Nie uważając się za godnego służby przy ołtarzu, usilnie przekonywałem przełożonego, że nie powinienem przyjmować święceń akolity. Nie byłem zdolny do niczego się zobowiązać. (W punkcie tak daleko posuniętych przygotowań do kapłaństwa rezygnację uważa się za haniebną). Znowu usłyszałem tę samą radę: „Podдай się święceniom bez obaw”. Zostałem więc akolitą, później diakonem. Znowu udałem się do przełożonych z pytaniem, czy nie mógłbym pozostać diakonem stałym. Uczyniłem tak nie dlatego, iż nie miałem ochoty na dalsze studia, ale dlatego, że czułem się niegodny kapłaństwa. Pragnąłem — jak Efraim Syryjczyk — do końca życia

służyć przy ołtarzu i pomagać kapłanom. Przełożeni uznali pomysł za głupi i zmusili mnie do ostatecznego kroku: przyjęcia święceń kapłańskich.

Karteczka na sercu

Po święceniach wątpliwości nie znikły — nazywano je jednak „cnotą anielską”. Miałem też rozterki natury rozumowej; zrodziły się one już wcześniej, podczas studiów filozoficzno—teologicznych. Nie umiałem uznać pewnych rzeczy. Chciałem rozumieć każdy dogmat, rozmyślałem nad ich wagą i genezą; nie mogłem znieść niepewności. Przełożony radził: „Jeśli masz kłopoty z wiarą, nie desperuj. Idź w ślady swego patrona, św. Wincentego á Paulo”. Święty ów napisał sobie na karteczce wyznanie wiary, karteczkę zwinął w rulonik. Ilekroć nachodziło go zwątpienie, całował karteczkę i przyciskał ją do serca, mówiąc: „Panie, nie pojmuję, mimo to wierzę”. Zastosowałem tę radę, i w istocie jakiś czas zaznawałem spokoju. Nie był to jednak spokój dość silny, by ugruntować moje przekonania.

Dyplomacja w walce z dyktaturą

W skrócie powiem, że miałem kłopoty z dyscypliną, z rozumem i z etyką. Po pierwsze, nie mogłem się zmusić do pełnej uległości wobec przełożonych. Biskup miał nad nami nieograniczoną władzę; ale uciekając się do różnych sposobów wielu itak robiło swoje. Dotyczyło to zwłaszcza sprawy kierowania do takiego czy innego miejsca. Jeśli miało się trochę sprytu i co nieco talentu dyplomatycznego, można było zapobiec przeniesieniu na niechciane miejsce, a nawet zmienić na lepszą tę decyzję, która już w tej sprawie zapadła. Mnie na przykład przeniesiono na probostwo maleńkiej wioski gdzieś na dalekiej pustyni. Dokonałem pewnych manipulacji, tak że postanowienie uchylono, a ja zostałem wykładowcą w seminarium.

Rada franciszkanina z Getsemane

Lecz z pracą wykładowcy wiązały się trudności. Musiałem gorliwie starać się być przykładem dla studentów. Rano na zmianę z drugim księdzem odprawiałem mszę w obrządku syryjskim. Tylko my dwaj reprezentowaliśmy wśród wykładowców ten obrządek; reszta była benedyktynami. Gorąco pragnąłem wieść doskonale życie, poszukując mocy po temu w sakramentach — ale one nie mogły mi jej dać. Rozczarowanie doprowadziło do kryzysu: zwątpiłem w wagę i prawdziwość sakramentów; zacząłem rozważać rezygnację z kapłaństwa. Nie myślałem o opuszczaniu kościoła rzymskiego, chciałem tylko uwolnić się od ciężarów związanych ze stanem duchownym; czułem się niegodny tak świętego życia. Odbyłem rozmowę ze spowiednikiem, starym franciszkaninem żyjącym w klasztorze na terenie Ogrodu Getsemane. Zawsze mawiał: „Mój drogi chłopcze, nawet najwięksi święci miewali kłopoty z pokusami przeciw wierze. Nie masz powodu rezygnować. Nie niepokój się. To szatan chce przeszkodzić ci w dobrym postępowaniu”.

Pieniądze nie zaspokoją duszy

Po pięciu latach powierzono mi parafię obrządku syryjskiego w Bejrucie. Poznałem bliżej moich parafian i ich nędzę; poznałem cierpienia ubogich i pokochałem ich. Nie zdołałem jednak osiągnąć pokoju wewnętrznego ani też pokoju i porozumienia z moim kolegą współ—duszpasterzem. Ksiądz ów, starszy mężczyzna, był człowiekiem niegodziwym i łasym na pieniądze. Jako zarządca pewnej szkoły, czerpał na swe konto jak najwięcej profitów. Nie było to trudne, bo szkoły libańskie nie były państwowe, ale prywatne. Starałem się nie wchodzić mu w drogę, lecz on nie odplacał mi tym samym, wciąż skarżąc na mnie do biskupa; na szczęście biskup lubił mnie bardzo — z wzajemnością (to on udzielił mi święceń kapłańskich). W końcu towarzystwo mego kolegi i jemu podobnych bardzo mi obrzydło. Nie widziałem jednak podstaw, aby zégnąć się z kościołem. Nie odważyłem się. Dylematy etyczne nie przestawały mnie dręczyć, ale dalej sprawowałem sakramenty. Wywołało to wiele napięć. Jak wiadomo, sumienie księdza odprawiającego mszę musi cechować pewna czystość, a osiąga się ją przez

spowiedź. Wielekroć miałem sposobność spowiadać się przed odprawianiem mszy, nie zawsze jednak z niej korzystałem. Musiałem wtedy zadowolić się aktem żalu, podejmując nieodwołalne postanowienie wyznania grzechów przy następnej spowiedzi. Z trudem godziłem się na tą psychologiczną formułę skruchy. Skrucha powinna płynąć z miłości ku doskonałemu Bogu, tymczasem przed mszą nieraz musiało mi starczyć samo wyrecytowanie aktu żalu. Często i coraz dotkliwiej męczyło mnie przekonanie, że chociaż spełniłem obowiązek, to odprawiam mszę świętokradczo. W końcu udałem się do nuncjusza papieskiego z prośbą, aby zwolnił mnie z obowiązków kapłańskich. Spotkał mnie zawód. Orzekłszy, że przechodzę depresję, czasowe załamanie, nuncjusz, aby poprawić mi humor, obdarował mnie pieniędzmi — było to około 35 dolarów. Jak się można domyślić, nie takiej pomocy potrzebowałem. Mój trzosa stał się wprawdzie cięższy, ale dusza jeszcze bardziej pusta.

Miłość do kościoła tak surowego

Wyczerpały mnie obowiązki kapłana, i zapragnąłem oficjalnie zrezygnować, bez żalów, problemów, dyskusji. Nie chciałem swym odejściem sprawiać kościołowi kłopotów — ale okazało się, że kościół nie pozwoli mi odejść bez rozgłosu. Poczulem się więźniem strasznego systemu: Kościół chciał zniewolić całe moje życie! Pojąłem, iż nie ma szans, aby uwolnić się od obowiązków kapłana, być zwykłym świeckim wierzącym. Nie umiałem wyrwać się spod nacisków hierarchii. Jak mogłem miłować kościół, który obchodził się ze mną tak surowo? Zacząłem rozważać, czy nie rzucić kapłaństwa bez względu na wszystko, ale nie odważyłem się. Strach ten wynikał z moich dotychczasowych przekonań. Wierzyłem, że Rzym jest jedynym szafarzem zbawienia i poza nim zbawienia nie ma. Bałem się, że w razie nagłej śmierci byłbym zgubiony na wieki, i wciąż liczyłem, że kościół zapewni mi zbawienie. Mniej więcej w tym czasie pewien ksiądz zażył truciznę, odbierając sobie życie. Był to niedobry ksiądz, amator wszelkiego rodzaju nieprzystojnych zajęć. Jako nałogowy gracz, trawił życie na grze, raz wygrywając, raz przegrywając. Na koniec zabił się. Zacząłem rozważać, czy nie iść w jego ślady. Przed aktem samobójstwa ukorzyłem się jednak przed miłosierdziem Bożym i poprosił Boga o wzbudzenie we mnie żalu doskonałego. Lecz bałem się tej myśli, czulem się bezradny i przybity.

Przerażająca wizja księdza — apostaty

Pomimo swej wewnętrznej ruiny nie ośmieliłem się zerwać z kościołem rzymskim — stałbym się bowiem odstępcą. Ileż to razy malowano przed nami sylwetki kapłanów — zdrajców! Mówiono jednak tylko o przypadkach księży pozbawionych godności kapłańskiej i wyrzuczonych z kościoła; nie miałem natomiast pojęcia o licznych księżach, którzy opuścili kościół skłonieni do tego miłością Jezusa Chrystusa. Porzucenie kościoła katolickiego oznaczało dla mnie drogę Renana i byłych księży De Lammenaisa i Loisy'ego, ukazywanych nam jako potworne przykłady pychy i niewolnicy zwierzęcych instynktów. Za nic w świecie nie chciałem stać się takim jak oni. Lecz stan mej duszy był nie do zniesienia; potrzebowałem pomocy. Poszedłem raz do kościoła i waląc pięściami w ołtarz błagałem: „Panie, jeśli naprawdę tu jesteś, pomóż!” Pomocy nie otrzymałem, przeciwnie: Pojąłem, że znowu zgrzeszyłem przeciw wierze — powiedziałem przecieź: „JEŚLI naprawdę tu jesteś...”, wyrażając zwątpienie w dogmat o rzeczywistej obecności Chrystusa w, Przenajświętszym Sakramencie”. Kto rozmyślnie podważa dogmat katolicki, popełnia grzech śmiertelny. Wróciłem do siebie jeszcze bardziej przygnębiony. Znowu zastanawiałem się, czy nie odebrać sobie życia i już teraz nie odejść do wieczności. Ale nie odważyłem się.

Jezus przemawiał do mnie przez Pismo

Niespodzianie odczułem pragnienie, by się modlić — lecz nie modlitwami z brewiarza syryjskiego. Zapragnąłem zwrócić się do Boga osobiście, z głębi serca. Ukłąłem i powiedziałem: „Panie, nie chcę być odstępcą, ale lękam się, że stracę wiarę. Dlatego proszę, daj mi umrzeć, póki jeszcze żywię wiarę w Ciebie, w Twego Syna Jezusa Chrystusa i w Twego Ducha Świętego, oraz w Twój Święty Kościół i wszystko, czego mnie nauczają”. Była to

poważna, bardzo osobista modlitwa. Wkrótce nabrałem chęci, ażeby otworzyć Nowy Testament. Miałem kilka przekładów Biblii — arabski, aramejski, łaciński, francuski — ale nigdy nie czytałem uważnie, z sercem złaknionym tych słów. Nie szanowałem Słowa Bożego, nie żywiłem respektu wobec Księgi Pana. Nie ciągnęło mnie do niej zresztą, bo moja dusza nigdy dotąd nie czuła pragnienia. Lecz gdy tego dnia otworzyłem Biblię, mój wzrok padł na werset 11,28 Ewangelii Mateusza:

„Pójdźcie do mnie wszyscy, którzyście spracowani i obciążeni, a Ja wam sprawię odpocznienie”

Z ludzkiego punktu widzenia może się to wydać zbiegiem okoliczności, ale wiem, że Bóg, który wszystko trzyma w swych dłoniach i wszystkim kieruje, przygotował ten tekst dla mnie. Nie były to słowa całkiem mi nieznanne. Odczytywałem je wielokrotnie z brewiarza i podczas mszy, ale nie miały dla mnie żadnej wagi. Tego dnia stały się poselstwem od Jezusa. Pomodliłem się: „Panie, biorę Cię za Słowo. Ty mnie wzywasz — więc jestem. Obiecałeś zdjąć ze mnie moje ciężary — proszę, oto moje ciężary. Zabierz je idaj mi ukojenie”. Odczułem pewną ulgę, nie poznałem jednak jeszcze Jezusa jako swojego Zbawiciela. Musiałem wracać do codziennych obowiązków: odprawiania mszy i wysłuchiwania spowiedzi. Znow musiałem udzielać sakramentów w sierocińcu, gdzie mieszkało 300 dzieci. Znow uwagi mojej wymagały parafianie. Znow powróciły zmęczenie i smutek dotychczasowego życia.

Mówili tylko o Jezusie

Jednego dnia uświadomiłem sobie, że moje pierwsze oświecenie duchowe nastąpiło dzięki Biblii. Może by więc udać się do bejruckiego Domu Biblii i zapytać, czy nie mają jakiejś książki z religioznawstwa? Dziś uśmiecham się na myśl o mej naiwności: Szukałem oto książki na temat różnych religii, aby spośród nich wybrać sobie jakąś odpowiednią. Chęć zwrócić uwagę na to, jak bardzo ksiądz katolicki może zbaczać od prawdy. Nie znalazłem religii żywej, osobistej; czekały mnie trudne poszukiwania. Miałem do wyboru islam, buddyzm, konfucjanizm, hinduizm, prawosławie, protestantyzm. Było mi zupełnie wszystko jedno. Chciałem wybrać spośród tych kilku, i rzecz jasna wybór miał być czysto intelektualny. Udając się do bejruckiego Domu Biblii w kapłańskiej sutannie, wiedziałem, że idę do „heretyków”. Zadzwoiłem do drzwi, prosząc o książkę na temat religii. Potraktowano mnie życzliwie. Rozmawiali ze mną, pomagali — i modlili się. Po raz pierwszy w życiu modliłem się z protestantami. A o czym ze mną rozmawiali? Nie była to rozmowa ani o innych religiach, ani o innym kościele — ale tylko o Jezusie Chrystusie. Jakże dziękuję Panu, iż natchnął ich, aby rozmawiali ze mną o Jego Synu. Słuchałem z przyjemnością. Ofiarowali mi szwajcarską broszurkę pod tytułem „W stronę pewności”, zawierającą ustępy biblijne wraz z ilustracjami i odsyłaczami do Biblii.

Zbawienie przez łaskę, tylko w Chrystusie

Wziąłem broszurkę i codziennie czytałem po trochu. Powoli zacząłem rozumieć poselstwo Ewangelii. Stałem przed decyzją, do której podjęcia Bóg szykował mnie od dawna. Poprzez czytanie i rozmyślanie o treści broszurki i o Słowie Bożym dojrzałem duchowo. Ukląknę, aby zaufać tylko Jezusowi. Dzięki łasce Bożej wszystko we mnie otwarło się na Jego przyjęcie. Zamknąłem oczy ciała i oczy umysłu, otworzywszy jedynie oczy serca, z wiarą i miłością mówiąc: „Jezu, tylko Ty jesteś Zbawcą, Twoje Imię znaczy: Zbawca. Przyjmuję Cię jako swego Zbawiciela; odtąd nie będę budował na niczym innym, tylko na Tobie. Zbawienia będę oczekiwał tylko od Ciebie”. I nastąpił cud, cud tak mi potrzebny: duchowe narodziny. Stałem się nowym stworzeniem, dzieckiem Bożym. Na zewnątrz wciąż byłem katolikiem, nosiłem sutannę, cała moja biblioteka była rzymskokatolicka. Ale w środku przestałem być katolikiem — zostałem chrześcijaninem. Mój sposób myślenia pozostawał przez jakiś czas katolicki, bo багаż tylu lat pseudobiblijnego, scholastycznego nauczania trudno zrzucić z dnia na dzień; w mym duchu jednak Duch Boży świadczył, że stałem się dzieckiem Bożym.

„Gdyżście nie wzięli ducha niewoli znowu ku bojaźni, aleście wzięli Ducha przysposobienia synowskiego, przez którego wołamy: Abba, to jest Ojczy! Tenże duch poświadczają duchowi naszemu, iż jesteście dziećmi Bożymi” (Rz 8,15–16).

Rozmowa z biskupem

Zyskawszy nowe życie wewnątrz, zacząłem zmieniać swe życie na zewnątrz. Zdobyłem się na to, aby opuścić kościół, bez lęku, bez robienia scen, bez ranienia kogokolwiek. Biskupowi powiedziałem:

— Eminencjo, chcę opuścić kościół.

Biskup wezwał mnie, bo nie odprawiałem mszy; chciał wiedzieć, co się stało. Dużo czytałem Biblię, stała się teraz pokarmem mojej duszy. Wiele uwagi poświęcałem zwłaszcza Psalmom i Nowemu Testamentowi, stąd bez trudu mogłem odrzec biskupowi słowami Pisma:

„Albowiem łaską jesteście zbawieni przez wiarę, i to nie jest z was, dar to Boży jest; Nie z uczynków, aby się kto nie chlubił” (Ef 2,8–9).

— Eminencjo — zacząłem. — Czy wasza eminencja wie, jak bardzo miłuję mszę świętą? Jeśli wasza eminencja jest gotów przeczytać ze mną mszę w postaci zapisanej w Biblii, to jestem gotów odprawić mszę z waszą eminencją. Podczas Ostatniej Wieczerzy Jezus odprawił ją właśnie tak, bez szat liturgicznych i kadzidła. [W obrządku syryjskim mszę odprawia się zawsze z kadzidłem]. Nie okadzę kadzidłem dziewięć razy i nie poproszę waszej eminencji o trzykrotne okadzenie mnie. Żaden z nas nie przywdzieje szat liturgicznych, jak to jest w zwyczaju. Jeśli wasza eminencja się zgadza, jestem gotów odprawić mszę, ale tylko w sposób ustanowiony przez Chrystusa jako Wieczerza Pańska.

— Co za dziwactwa! — usłyszałem w odpowiedzi.

— Eminencjo, nie są to pomysły moje, lecz z Ewangelii.

— Nie, nie! To protestanckie bajki.

Uczciwie powiem, że nigdy nie korespondowałem z protestantami (dziękuję nawet Bogu, że nie dopuścił do mego spotkania z niektórymi „protestantami”). Natrafiłem na chrześcijan ewangelikalnych, którzy nie zaczynali rozmowy od pytania o przynależność kościelną. Mówili o Jezusie, którego każdy człowiek musi sam uznać za Zbawcę. Uczyniłem to — byłem zatem prawdziwym protestantem: Protestowałem przeciw wszystkiemu, co nie zgadza się ze Słowem Bożym. I był to protest stanowczy.

— Dlaczego nie wysłuchujesz spowiedzi, kiedy cię ludzie proszą? — zapytał biskup.

— Przyczyna jest prosta: Gdyż tylko Jezus ma moc odpuszczając grzechy. On przelał za nas krew. Tylko On otrzymał od Boga moc, aby stać się Zbawcą całego rodzaju ludzkiego. A nie zamierzam wkraczać w uprawnienia Jezusa Chrystusa.

— Widzę, że ci protestanci z twojej parafii mają na ciebie wielki wpływ.

A przecież nie miałem kontaktu z protestantami z mojej parafii. Udałem się do bejruckiego Domu Biblii, kawał drogi ode mnie. Na moim terenie istotnie mieszkało kilku ewangelikalnych protestantów i nieraz skarżyłem się: „Wasza eminencjo, trzeba uważać na tych protestantów w naszej parafii”. Często narzekano w mojej obecności na skandaliczne zachowanie mego współduzpasterza, choćby na to, że ciągle gra w karty. „Trzeba być przykładem dla parafian!” — mawiałem —, bo tylko patrzeć, a protestanci zrobią tu istne gniazdo szerszeni. Musimy bardzo uważać, dawać dobry przykład „bo pożądlą nas te protestanckie szerszenie”. Ja, który tyle razy ostrzegałem biskupa przed wpływami protestanckimi, usłyszałem teraz, że sam im uległem — mimo że nigdy przedtem nie rozmawiałem z protestantem!

— Zatem dobrze, eminencjo. Jeśli z powodu mego świadectwa o Jezusie Chrystusie jako jedynym Zbawcy każdego, kto w Niego wierzy, chce mnie wasza eminencja nazwać protestantem, to proszę bardzo. Bo w takim sensie jestem protestantem.

Rozmowa z jezuitą

Biskup polecił, abym porozmawiał z pewnym jezuitą, wykładowcą na Wydziale Teologicznym w Bejrucie, licząc, że zdoła on wpłynąć na zmianę mych przekonań. Z początku nie godziłem się na rozmowę, ale w końcu uległem. Zaczął dyplomatycznie, poruszając szereg innych spraw inie wspominając słowem o moim konflikcie sumienia. Dopiero później zagał na temat stanu mej duszy. Zapytał, czy mam dobry nastrój duchowy.

— Owszem — odrzekłem. — Dziękuję Panu Bogu, bo duchowo czuję się doskonale.

— A życie modlitewne księdza?

— Doskonale! Modlitwą wyrażam duszę.

— Czy modli się ksiądz do św. Wincentego á Paulo?

— Nie, proszę księdza, w żadnym razie.

- A do Matki Najświętszej?
- Nie, proszę księdza. Nie modłę się ani do św. Wincentego, ani do Matki Najświętszej. Nie modłę się do żadnego świętego. Modłę się tylko do Jezusa Chrystusa i do Ojca w Jego imieniu.
- „Boć jeden jest Bóg, jeden także pośrednik między Bogiem i ludźmi, człowiek Chrystus Jezus” (1Tym 2,5).
- Jak to, nie wierzy już ksiądz w Matkę Najświętszą?
- Oczywiście wierzę i bardzo ją szanuję. Nie będę jednak przyznawał jej praw, które należą tylko do Jezusa.
- Wziął brewiarz i odczytał krótki ustęp o Maryi autorstwa Bernarda z Clairvaux. „Gdy ogarnia cię rozpacz, spojrzysz na Gwiazdę Zaraną, gdy ogarnia cię lęk, zwróć się i pójdź do Maryi, gdy...” itd. Podniósł wzrok i zapytał:
- Czy nie uważa ksiądz, że to coś nader pięknego?
- Nie dostrzegam w tym nic pięknego — odparłem.
- Do jakich zatem wniosków ksiądz doszedł? — zapytał.
- Do tych samych, które podałem na początku rozmowy.
- Ależ to nielogiczne.
- Proszę księdza — odparłem. — Proszę spojrzeć na krucyfiks z tyłu. Jeśli ściągnie ksiądz z niego Chrystusa i wyrzuci Go raz na zawsze, wtedy być może odczuję potrzebę modlitwy do kogo innego, na przykład do Maryi. Ale dopóki wierzę w Jezusa Chrystusa, który wypełnił wszystko, dopóty w Nim znajduję pełnię i nie potrzebuję zastępców.
- Nie ulega wątpliwości — rzekł — iż jest ksiądz zbyt protestancki. Przykro mi, nie mogę dłużej z księdzem rozmawiać.
- Wówczas opuściłem go.

Ponad przepych Watykanu

Jezuita ów telefonicznie poinformował biskupa o rozmowie. Znowu zostałem wezwany na audiencję. Biskup oznajmił:

— Masz dwa tygodnie na przemyślenie sprawy. Jestem skłonny dać ci roczny urlop, który spędzisz w Rzymie, u prowincjała obrządku syryjskiego. Opłacimy podróż i pobyt. Odpoczniesz sobie, nie będziesz musiał nic robić. Nasycisz się przepychem Kościoła i poddasz pod jego władzę.

— Ale mnie — odparłem — nie jest to potrzebne. Nad przepych Watykanu przedkładam przepych Słowa Bożego.

Biskup dał mi dwa tygodnie na przemyślenie sprawy. Po upływie tego czasu oznajmiłem mu:

— Postanowiłem. Oświadczam stanowczo, że nigdy już nie odprawię mszy, nie wysłucham spowiedzi, nie będę modlił się do świętych. Moją wiarę opieram tylko na Ewangelii. Uznaję Biblię za autorytet w moim życiu i za pokarm duszy.

— Jeśli tak — brzmiała odpowiedź — to uczyn, co konieczne, abyśmy nie musieli przedsięwziąć najostrzejszych środków.

Zrozumiałem. Spakowałem rzeczy osobiste i wyprowadziłem się, gdyż nie chciałem, by z plebanii usuwała mnie policja.

Niech będzie przeklęty ksiądz Khouri!

Opuściłem więc kościół rzymski, ale uczyniłem to ze spokojnym sercem. Podkreślam: Nie mogłem go opuścić dopóty, dopóki byłem katolikiem. Musiałem wpięrow osobiście poznać Jezusa. Zanim bałem się zerwania z kościołem, statusu odstępcy, przeklętego, heretyka. Wyobrażałem sobie swe nazwisko na liście wykluczonych, wieszanej w tyle bejruckich kościołów i ogłaszanej w całym syryjskim świecie katolickim — bo taki jest zwyczaj w tej części świata. Każdy potępiony przez kościół zostaje wymieniony na specjalnej liście, którą przybija się w tym haniebnym miejscu na co najmniej rok. Już słyszałem, jak huczy, że ksiądz Vincenta Khouriego objęto ekskomuniką. Że to heretyk. Przeklęty. Anatema. Potępiony na wieki! Mając przed oczyma tę ponurą wizję nie mogłem się zdobyć na opuszczenie kościoła. Ale gdy poznałem Chrystusa — Zbawcę, lęki znikły. Już wcześniej modliłem się do Niego,

ale nie był to MÓJ Jezus, MÓJ Zbawca. Iluż to modliło się do Boga w imieniu Jezusa, nie znając jednak Jezusa jako swego Zbawiciela.

„A tak jeźliście powstali z Chrystusem, tego, co jest w górze, szukajcie, gdzie Chrystus na prawicy Bożej siedzi; O tem, co jest w górze, myślcie, nie o tem, co jest na ziemi. Albowiemście umarli i żywot wasz skryty jest z Chrystusem w Bogu” (Kol 3,1–3).

Bóg patrzy na nas, grzeszników (odkupionych)

Umiłowany były księżę, znane mi są Twoje lęki. Wiem, z jak wielkim smutkiem porzuciłeś kościół, który ukochałeś. Lecz chcę Cię pocieszyć: to tylko etap, spojrzenie od przykryj strony na to, co jest istotą prawdy. Sedno decyzji tkwi nie tyle w zerwaniu z kościołem rzymskim ze względu na jego błędy; każdy postanowi tu sam. Startujemy z tej samej pozycji: Bóg widzi w nas nie tyle wyznawców religii, członków konkretnego kościoła, nie tyle buddystów, mahometan, afrykańskich animistów, katolików, prawosławnych, protestantów — ale przede wszystkim grzeszników, za których oddał jedynego Syna. Tylko ten, kto przyodził się w sprawiedliwość Chrystusa, zostaje przez Ojca uznany za dziecko. Kto jest z dala od Jezusa, kto być może modli się do Niego, ale na odległość, kto nie ma udziału w życiu Jezusa — nie może zwać się chrześcijaninem. Chrześcijaninem można nazwać się dopiero w dniu, gdy Duch Chrystusa zaświadczy nam, że narodziliśmy się na nowo; gdy doznamy tego niezwykłego przeżycia nie przez przyjęty sakrament czy rozumowo pojętą doktrynę, ale w doświadczeniu nowego życia, otrzymanego darmo; gdy oprzemy się na Jezusie Chrystusie, przestając ufać własnym siłom, sercu, inteligencji i sobie samemu. W dniu, gdy w pełni zaufamy Jezusowi, stanie się On ośrodkiem naszego życia, naszym celem i towarzyszem. Gdy rodzimy się na nowo, Jezus daje nam Ducha Świętego, aby w godzinach próby prowadził nas, pocieszał, umacniał i zachęcał.

„A on przyszedłszy, będzie karał świat z grzechu i z sprawiedliwości, i z sądu; Z grzechu mówię, iż nie uwierzyli we mnie” (J 16,8–9).

A próby nie będą Cię omijać, ilekroć wrócisz myślami do ojczyzny — Włoch, Hiszpanii, Francji. Żyjesz teraz w całkiem innym świecie. Zmiana to wielka i trudna do zniesienia; rozstanie z najbliższymi dużo kosztuje. Dziękuję Bogu, że oszczędził Wam przejść tak bolesnych jak te, które były moim udziałem. Spędziłem dwa lata w zupełnej pustce duchowej i społecznej. Nie znałem nikogo, kto myślałby podobnie; nie znałem chrześcijan biblijnie wierzących we Francji, dokąd się udałem zerwawszy z kościołem w Libanie. Jeśli nawet Wasze przeżycia nie są tak gorzkie, to na pewno nie brak Wam powodów do smutku. Wasze wspomnienia nieraz będą biegly do miejsc dzieciństwa — niechże jednak myśli wasze krążą nie wokół Francji, Włoch i Hiszpanii, ale wokół Jezusa Chrystusa.

Wolny, by uwalniać innych

Na koniec chcę podkreślić, że jestem pewien, iż Bóg obdarzył Was powołaniem. Nie powołaniem nadanym przez kościół, gdyż prawdziwe powołanie nie pochodzi z nadania ludzkiego, ani też powołaniem od równych Wam bądź Wam podległych. W Jezusie Chrystusie wszyscy jesteśmy równi. Wiem natomiast, że uwolniwszy Was z tego systemu, Bóg chce Was czymś obdarzyć. Powołał Was przede wszystkim po to, byście byli świadkami Chrystusa. Przygotowywał was do tego długo: dwanaście lat w seminarium duchownym, niższym i wyższym; praca duszpasterza, nauczyciela, wykładowcy. Uwolnił Was, abyście pomagali uwalniać innych. Pamiętajcie o tym powołaniu!

„Gdyż to jawna jest, żeście listem Chrystusowym przez usługę naszą zgotowanym, napisanym nie inkaustem, ale Duchem Boga żywego, nie na tablicach kamiennych, ale na tablicach serc mięsnych. A takież ufanie mamy przez Chrystusa ku Bogu”

„Błogosławiony niech będzie Bóg i Ojciec Pana naszego, Jezusa Chrystusa, Ojciec miłosierdzia a Bóg wszelkiej pociechy, 4 Który nas cieszy w każdym ucisku naszym, abyśmy i my cieszyć mogli i tych, którzy są w jakimkolwiek ucisku, tąż pociechą, którą my sami pocieszeni bywamy od Boga.” (2Kor 1,3–4).

Jesteście królewskim kapłaństwem

Powołanie, by powiedzieć innym o radości, która może stać się ich udziałem, można wypełnić tylko wtedy, gdy sami tę radość posiadamy. Prawdziwą radość można znaleźć tylko w Jezusie Chrystusie. Każdy człowiek może poznać tę radość, jeśli prowadzi go Duch Boży, jeśli wierzy w Słowo Boże zawarte w Biblii oraz że Słowo stało się ciałem. Proszę Boga, aby radość w Jezusie Chrystusie stała się Waszym pełnym udziałem. Na całym świecie moi bracia i siostry, odkupione dzieci Boże, modlą się za Was, kapłanów. Niech to pociesza Was w trudnych chwilach, gdy dręczy Was przygnębienie. Jak dobrze jest wiedzieć, że powierzono nam prawdziwe kapłaństwo, królewskie kapłaństwo Boże. Nie jesteśmy kapłanami typu lewickiego, przynależącymi do jakiegoś systemu kościelnego, jesteśmy kapłaństwem nie poprzez nałożenie rąk, ale dzięki namaszczeniu naszych dusz przez Ducha Świętego.

„Ale wy jesteście rodzajem wybranym, królewskim kapłaństwem, narodem świętym, ludem nabytym, abyście opowiadali cnoty tego, który was powołał z ciemności ku dziwnej swojej światłości” (1P 2,9). Amen.

Thoufic Khouri, nawrócony ksiądz

Ponad siedemdziesięcioletni dziś Thoufic Khouri nie stracił serca dla tych, którzy wybrali kapłaństwo powodowani szczerością i pobożnością. Ten Libańczyk z urodzenia składa świadectwo o szczególnej wymowie dla katolików, prawosławnych, buddystów, muzułmanów i hinduistów.

Ksiądz — lecz Bogu nieznany

Świadectwo nawróconego księdza Josepha Tremblaya

Bóg jest w stanie zbawić każdego w każdym czasie i każdym miejscu. Bez względu na punkt, w jakim ktoś się znajduje, bez względu na jego zajęcie i pochodzenie etniczne Bóg zawsze może zbawić dziś każdego, kto się nawróci z grzechów i zaufa Jezusowi Chrystusowi jako Dawcy zbawienia. Przykładem tego jest moja historia. Wszystko zaczęło się w 1964 roku w Chile, gdzie byłem misjonarzem Zgromadzenia Księży Oblatów Niepokalanej Maryi, zakończyło zaś w Kanadzie w 1966 roku. Cóż dokonało się w ciągu tych dwu lat? Zbawienie mej duszy. Zawsze pragnąłem oddać się Bogu. I sądziłem, że uczyniłem, trwając w religii, w której się urodziłem. Ale jednego dnia Bóg otworzył mi oczy, ukazując mój grzech i swą drogę zbawienia. Urodziłem się w Quebecu w Kanadzie w 1924 roku. Od najmłodszych moich lat rodzice starali się wpoić mi szacunek dla Boga. Gorliwie pragnąłem Mu służyć i oddać Mu się zupełnie według Jego upodobania, zgodnie ze słowami apostoła Pawła:

„Proszę was tedy, bracia! przez litości Boże, abyście stawiali ciała wasze ofiarą żywą, świętą, przyjemną Bogu, to jest rozumną służbę waszą” (Rz 12,1).

To pragnienie służby Mu kierowało mną przy podejmowaniu decyzji o przyjęciu święceń kapłańskich kościoła rzymskokatolickiego.

Misjonarz w Boliwii

Po kilku latach studiów przyjąłem w Rzymie święcenia kapłańskie. Po roku wysłano mnie do Boliwii i Chile, gdzie pracowałem ponad 13 lat. Życie tam bardzo przypadło mi do gustu; starałem się też dobrze spełniać obowiązki. Żyło mi się przyjemnie u boku moich współpracowników; nawet jeśli kpili z deklarowanego przeze mnie zainteresowania Biblią, to ich prośby, bym dzielił się wynikami moich studiów, mówiły za siebie. Gdy przezwali mnie „Józio-Biblia”, wiedziałem, że w głębi serca zazdroszczą mi. Parafianie też umieli docenić posługę opartą na Słowie Bożym, zorganizowali nawet sami domowe grupy biblijne. Byłem wręcz zmuszony do starannej lektury Pisma Świętego, aby dobrze przygotowywać się zarówno do improwizowanych spotkań domowych, jak i niedzielnych kazań. Studium Pisma Świętego, traktowane dotąd jak konik, rychło stało się zawodowym obowiązkiem. Spostrzegłem, jak jasno wyrażono w nim pewne prawdy, z drugiej zaś strony widziałem, że nie ma tam słowa o wielu dogmatach, które badam. Studium dowiodło, że właściwie nie znam Biblii; zasugerowałem przełożonym, iż w czasie urlopu chętnie pogłębię jej znajomość. Mniej więcej w tym czasie zaprosili mnie na wykłady biblijne w swoim seminarium nauczycielskim jezuitów z Antofagasty; nie wiem, gdzie usłyszeli o moich zainteresowaniach. Świadomy swego braku przygotowania, przyjąłem jednak zaproszenie, wiedząc, że nowy obowiązek będzie wymagał jeszcze pilniejszego oddania się badaniom Słowa Bożego.

Ewangelia przez radio

Ileż godzin, dni i nocy poświęciłem przygotowaniom do zajęć, spotkań, kazań! By podsycać w sobie zapał do pracy podczas długich godzin czytania i studiowania, miałem zwyczaj słuchać muzyki. Dostałem małe radio tranzystorowe, dzięki czemu mogłem sobie słuchać pięknej, spokojnej muzyki bez potrzeby martwienia się o przekładanie płyty na drugą stronę. Jednego dnia uświadomiłem sobie, że słyszę pieśni i hymny religijne; od czasu do czasu, zajęty lekturą Biblii i komentarzy biblijnych, wyławiałem bowiem słowo „Jezus”. Nastrój

miałem więc sprzyjający. Wtem przerwano nadawanie pieśni i nastąpiła lektura krótkiego ustępu biblijnego. Zastanowił mnie ostatni jego werset:

„Albowiem on tego, który nie znał grzechu, za nas grzechem uczynił, abyśmy się my stali sprawiedliwością Bożą w nim” (2Kor 5,21).

Na tym wersecie oparto kazanie. Zrazu miałem ochotę zmienić stację, bo słuchanie czyjegoś głosu podczas studium rozprasza; poza tym myślałem: „Cóż nowego może mi ta stacja objawić? Mnie, ze wszystkimi moimi stopniami naukowymi? Sam mógłbym ich sporo nauczyć”. Ale po chwili wahania postanowiłem posłuchać, co ów ktoś ma do powiedzenia... I doprawdy, dowiedziałem się cudownych rzeczy o Osobie Jezusa Chrystusa. Ogarnął mnie wstyd, gdy uświadomiłem sobie ponad wszelką wątpliwość, że nie spisałem się tak dobrze jak ów kaznodzieja. Wydawało się, że to sam Jezus do mnie przemawia, stoi przede mną. Tak mało wiedziałem o tym Jezusie, który był przecież w moich myślach i w moich badaniach. Czuję się daleki od Niego. Po raz pierwszy ogarnęły mnie takie uczucia co do Chrystusa: Wydał mi się zupełnie obcy. Miałem wrażenie, że wypełnia mnie pustka, którą sam obudowałem konstrukcją z zasad i dogmatów teologicznych, piękną, dobrze zaprojektowaną i uzasadnioną, ale nie umiejącą dosięgnąć duszy, zmienić mej istoty. Poczuję się tak, jakby wypełniała mnie wielka próżnia. Choć kontynuowałem studia i ze zdwojoną energią oddawałem się czytaniu, modlitwie i rozważaniom, pustka potężniała z każdym mijającym dniem.

Zbawienie łaską

Nadal słuchałem tej samej stacji radiowej, starając się złapać każdy ich program. Dowiedziałem się, że mają siedzibę w Quito i nazywają się HCJB. Dowiedziałem się też, że ich program jest poświęcony w całości głoszeniu Ewangelii na całym świecie. Czasami bardzo mnie wzruszało to, co słyszałem, a w takich chwilach chwytalem za pióro i pisałem na ich adres z podziękowaniami i prośbą o informacje. W ich pogadankach uderzał mnie nacisk na zbawienie z łaski: że cała zasługa za zbawienie człowieka przypada nie zbawionemu, ale Panu Jezusowi Chrystusowi, jedynemu Zbawcy. Że człowiek nie ma czym się szczyścić, bo jego uczynki są jak „splugawiona szata”, że życie wieczne może otrzymać tylko jako dar, a nie nagrodę za dokonania. Że to niezasłużony dar od Boga dla każdego, kto nawróci się z grzechów i przyjmie Jezusa do serca i życia jako swego Zbawiciela. Było to dla mnie nowe i sprzeczne z teologią, którą znałem: że na niebo i życie wieczne można zapracować własnym wysiłkiem, wiernością, hojnością, ofiarami. Tak właśnie sam trudziłem się długie lata. Jaki był skutek tych trudów? Chcąc sobie na to odpowiedzieć, musiałem dojść do wniosku: „Wcale nie posunąłem się naprzód. Jeśli popełnię grzech śmiertelny i nie wyznam go na czas, idę prosto do piekła. Moja teologia głosi, że zbawienie zyskuję przez uczynki i ofiary; w Biblii widzę zbawienie za darmo. Moja teologia nie daje mi żadnej pewności zbawienia, pewność tę daje natomiast Biblia. Nie wiem, co myśleć. Najwyższy chyba czas przestać słuchać tego radia”. Wewnętrzny konflikt nabierał niepokojących rozmiarów. Cierpiałem fizycznie i psychicznie: bóle głowy, bezsenność, strach przed piekłem. Nie miałem ochoty odprawiać mszy, wysłuchiwać spowiedzi. Dusza pragnęła przebaczenia i pociechy bardziej niż wszystkie inne znane mi dusze razem wzięte. Unikałem ludzi. Ale w samotności mego udrećzonego serca Bóg nie przestał do mnie mówić. Dręczyły mnie wciąż nowe pytania, w sercu tliły się złe przecucia. Słowo Boże przyszło mi z pomocą lejąc kojący balsam na rozpalone emocje.

„Albowiem tak Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny” (J 3,16).

„Albowiem wszyscy zgrzeszyli i nie dostaje im chwały Bożej. A bywają usprawiedliwieni darmo z łaski jego przez odkupienie, które się stało w Chrystusie Jezusie” (Rz 3,23-24).

„Albowiem zapłata za grzech jest śmierć; ale dar z łaski Bożej jest żywot wieczny, w Chrystusie Jezusie, Panu naszym” (Rz 6,23).

Wiele innych tekstów przyszło mi wówczas na myśl, znanych z częstego słuchania audycji HCJB.

Święta Matka — Kościół

Poprosiłem o rozmowę przełożonego. Ten mądry człowiek o i ście ojcowskim dla nas sercu zdążył zresztą spostrzec moje kłopoty.

— Zmieniłeś się — zauważył — Coś jest nie tak.

Wyjaśniłem, czemu się zmieniłem, a on słuchał. Wreszcie wyznałem:

— Chcę nie tylko czytać i studiować Biblię, ale i dostosować do niej życie, żyć według tego, co tam napisano bez dodatków autorstwa ludzi.

Odpowiedź dostałem niejasną; przełożony najwyraźniej nie chciał mnie zranić. Poradził, bym nadal czytał Biblię, ale przypomniał, że muszę dochować wiary naukom naszej „Matki, Kościoła Świętego”, której należy się poddać nawet w rzeczach dla nas niezrozumiałych. Słuchałem go z całym szacunkiem, jaki dla niego żywiłem. Sam nie był pewien swego zbawienia. A ja w głębi duszy straciłem już wiarę w mój kościół, bo nie uczył on o pewności zbawienia. Na mym sercu pojawiła się rysa, która miało z czasem rosnąć i zburzyć wszystko. Szybciej, niż przypuszczałem. Światło w moim sercu rozbłysło w chwili, gdy się tego najmniej spodziewałem. Nadeszła moja kolej na niedzielne kazanie. Jako temat wybrałem sobie „obłudę religijną”, chcąc skorzystać z biblijnego tekstu:

„Nie każdy, który mi mówi: Panie, Panie! wnijdzie do królestwa niebieskiego; ale który czyni wolę Ojca mego, który jest w niebiesiech. Wiele ich rzeczy mi dnia onego: Panie, Pani! izażeśmy w imieniu twojem nie prorokowali, i w imieniu twojem dyjabłów nie wyganiali, i w imieniu twojem wiele cudów nie czynili? A tedy im wyznam: Żem was nigdy nie znał; odstąpcie ode mnie, którzy czynicie nieprawość” (Mt 7,21–23).

Duch Święty działa

Znałem mych parafian. Chciałem zwrócić im uwagę na próżną chwałę obnoszoną przez niektórych z powodu ich dobrych uczynków, często skrywających zepsute serce. Wypowiadając słowa kazania, czułem, że Słowo Boże powraca jak piłka pingpongowa, która odbiwszy się uderza prosto w twarz gracza. To fascynujące, jak duch ludzki potrafi w ciągu zaledwie chwili skonstruować schemat myślowy, który wymagałby długich godzin werbalnego objaśniania. Stało się, że gdy ja wygłaszałem kazanie, jakiś głos w moim sercu mówił kazanie tylko do mnie, idealnie pasujące do mego położenia. Myślałem, że jako osoba pobożna, w dodatku ksiądz, jestem lepszy niż moi słuchacze. Lecz słowo to miało się odbić echem właśnie w moich uszach: „Nigdy cię nie znałem. Precz ode Mnie”. Oczywiście wyobraźni widziałem swą obronę przed straszliwą perspektywą: „Jak to, mój Boże, nie znasz mnie? Czy nie jestem Twoim kapłanem? Nie jestem pobożny? Spójrz na ofiary, jakie dla Ciebie poniosłem: lata nauki, rozłąka z rodziną, obczyzna, śluby ubóstwa, posłuszeństwa i czystości, rezygnacja z wygod — wszystko po to, by Ci lepiej służyć. I Ty mówisz, że nigdy mnie nie znałeś? Spójrz na moje cierpienia podczas misjonarskiej służby: nie zawsze mogłem najeść się do syta, płakałem z płaczącymi, ochrzciłem setki dzieci, wysłuchiwałem najtrudniejszych spowiedzi, pocieszałem tyle szlochających, załamanych dusz, cierpiałem chłód, samotność, pogardę, niewdzięczność, pogróżki... Jestem gotów życie oddać za Ciebie...” Mimo jednak wszystkich tych racji przedstawianych Bogu w uszach dźwięczał mi wyrok: „Nigdy cię nie znałem...” Zaczęło mi brakować argumentów — i siły. Myślałem, że nie wytrzymam i wybuchnę płaczem na oczach wszystkich parafian, którzy zresztą czuli nadciągającą burzę. I burza wybuchła. Łzy nie pozwoliły mówić dalej. Załamany tak haniebną klęską całego dzieła mego życia, swymi grzechami i Bożym potępieniem, nie umiałem nad sobą zapanować. Uciekłem do biura. Tam, na kolanach, czekałem, aż się uspokoję. Co miałem teraz zrobić? Może wybawi mnie moja teologia, jeśli do niej powrócę i wiernie zastosuję wszystkie jej dogmaty i zasady? Ale teologia, do której powrót rozważałem, też zaczęła ulegać procesowi chaosu, zmiany, niszczenia. Powędrowałem myślami do znajomych. Byli w takim samym położeniu jak ja: w niepewności. Zaufać tylko sobie? Na swoje dobre uczynki nie mogłem liczyć; jedno spojrzenie na siebie dowodziło, że jestem kompletną ruiną. Nie mogłem zrobić nic więcej, byłem w zupełnie wyczerpany, przygnębiony, załamany. I w takiej chwili Bóg udzielił mi swej łaski.

Nawrócenie i odpowiedź

„Cierpienie człowieka to okazja dla Boga”. Podczas moich rozważań nad Biblią Bóg szykował swe Słowo zbawienia:

„Albowiem łaską jesteście zbawieni przez wiarę, i to nie jest z was, dar to Boży jest; Nie z uczynków, aby się kto nie chlubił” (Ef 2,8–9).

W końcu pojąłem swój błąd i powód odrzucenia mnie przez Boga: chciałem zbawić się sam przez uczynki- a Bóg chciał zbawić mnie łaską. Ktoś już zadbał o sprawę mych grzechów i należnej kary: Jezus Chrystus. Dlatego umarł na krzyżu, za grzechy cudze, bo On grzechu nie popełnił. Za czyje więc grzechy umarł? Czyżby moje? Tak! Przypomniałem sobie słowa:

„Pójdźcie do mnie wszyscy, którzyście spracowani i obciążeni, a Ja wam sprawię odpocznienie” (Mt 11,28).

Pojąłem, że po pewność zbawienia i pokój duszy muszę iść do Jezusa. Już miałem spytać: „Gdzie jesteś, Jezu, bym mógł przyłgnąć do Ciebie?”, ale nim moje udręczone serce zdążyło to wymówić, przypomniałem sobie słowa:

„Oto stoję u drzwi i kołaczę; jeźliby kto usłyszał głos mój i otworzył drzwi, wnijdę do niego i będę z nim wieczerzał, a on ze mną” (Ap 3,20).

Już wiedziałem, gdzie jest Jezus. Był bliżej, niż śmiałybym się spodziewać. Pośpieszyłem więc zaprosić Go, aby wszedł do mojego serca, i nie pytałem o pozwolenie żadnego człowieka: „Wejdz, Panie Jezu! Wejdz do mego serca. Bądź jego przewodnikiem i mistrzem, umiłowany Zbawicielu!” Wiedziałem, że uwolniono mnie od kary, która od dawna wisiała mi nad głową. Otrzymałem zbawienie, przebaczenie grzechów. Miałem życie wieczne. Bóg rozpoczął we mnie swe dzieło. Teraz dopiero pojąłem Słowo, które wcześniej tylekroć słyszałem:

„Albowiem on tego, który nie znał grzechu, za nas grzechem uczynił, abyśmy się my stali sprawiedliwością Bożą w nim” (2Kor 5,21).

„Lecz on zraniony jest dla występków naszych, starty jest dla nieprawości naszych; każń pokoju naszego jest na nim, a sinością jego jesteśmy uzdrowieni” (Iz 53,5).

Wewnętrzne zmagania

Co stało się potem? Z początku nadal spełniałem kapłańskie obowiązki najlepiej, jak umiałem; ale powoli zacząłem czuć się dziwnie w tym położeniu. Pojąłem, że łaska, która mnie zbawiła, która uczyniła ze mnie dziecko Boże, nie może współistnieć z „uczynkami” wykonywanymi z racji roli, jaką dalej usiłowałem pełnić. Byłem szczęśliwy — bo w końcu pewny zbawienia; ale nadal krępowała mnie powinność wykonywania pewnych uczynków, by zasłużyć sobie na zbawienie. Zbawienie już miałem; wszystkie zatem te uczynki zacząłem stopniowo zarzucać, jeden po drugim. Zmieniła się tematyka mych kazań i sposób ich wygłaszania. Interesował mnie tylko Jezus Chrystus: kim jest i co uczynił. Zrezygnowałem z tematów ustalonych przez diecezjalną diakonię liturgiczną, a poświęciłem swe wysiłki Osobie i dziełu umiłowanego Zbawcy, ukazując Go właśnie tak zdumionym parafianom, nieraz ku ich zakłopotaniu, lecz często ku zbudowaniu. Poprosiłem o zwolnienie mnie z obowiązków proboszcza, gdyż nie mogłem dłużej głosić tego, co sprzeciwiało się Słowu Bożemu. Przełożeni przyjęli rezygnację, choć nie mogli zrozumieć jej powodów. Trzeba przyznać, iż potraktowali mnie bardzo dobrze, wiele razy idąc mi na rękę. Nie mogę im nic zarzucić, przynajmniej pod względem zapewnienia mi pożywienia, ubrania, zakwaterowania. Zyskałem jednak pewność zbawienia; Chrystus stał się moim Mistrzem. Nie musiałem już robić nic, aby zapracować sobie na zbawienie — zostało one uzyskane dla mnie przez Kogoś Innego. I ten Ktoś miał odtąd kontynuować we mnie dzieło, które rozpoczął — gdyż On nigdy nie robi niczego połowicznie.

Wizyty chrześcijan

W 1965 roku wróciłem do Quebecu na dłuższy wypoczynek. Odwiedzili mnie tam ewangelikalni chrześcijanie. Skąd dowiedzieli się o moich zainteresowaniach Słowem Bożym? Nie ukrywali: moje dane przekazał im personel radia HCJB. Ale choć rozmowa była bardzo budująca, nie otworzyłem się przed nimi do końca. Jako człowiek przez 40 lat uwięziony

w systemie, w którym się urodził, wyrósł i żył, bałem się uwikłać w kolejny system teologiczny. Prosiłem jednak Pana, aby znalazł mi braci i siostry, do których mógłbym dołączyć i nie czuć się tak samotnym. Znałem doświadczenia pierwszych chrześcijan, opisane w Dziejach Apostolskich:

„I trwali w nauce apostołskiej i w społeczności, i w łamaniu chleba, i w modlitwach” (Dz 2,42).

Czy to możliwe, że w naszych czasach wierzący wciąż gromadzą się, aby wspominać Pana i oczekiwać Jego przyjścia? Bóg, który zapewnił mi zbawienie duszy, miał też zadbać o to, abym zetknął się z Jego dziećmi.

Nowy obowiązek

Zadzwonili do mnie przełożeni z Montrealu z prośbą o zastąpienie profesora teologii w pewnym kolegium w Rouyn. Wahalem się, czy przyjąć propozycję, głównie dlatego, że nie przepadałem za regionem Abitibi, którego Rouyn jest stolicą. Lecz w końcu zgodziłem się, zastępstwo miało trwać tylko kilka miesięcy. Poproszono mnie o wykładanie przedmiotu „Kościół” i udostępniono całą literaturę potrzebną do przygotowania zajęć. Ale przygotowania rozpocząłem tylko od Biblii. Studentom wyjaśniłem, czym jest kościół według Biblii. Przyznaję, że sam nie do końca pojmowałem, czego uczyć; było to tak inne od kościoła zhierarchizowanego, w którym przecież dalej się znajdowałem. Przypadło mi do gustu studium tego tematu. Aby urozmaicić wykłady, puszczałem studentom nagrane wcześniej wywiady z „osobami z ulicy”. Jednego razu przeczytałem w prasie, że telewizja nada program pod hasłem „Kościół”. Nagrywając ten program z zamiarem pokazania go na zajęciach, spostrzegłem, że temat ujęto z biblijnego punktu widzenia. Tak uderzyło mnie podobieństwo między tą prezentacją autorstwa nieznanego mi osoby (jak się potem okazało, był to ewangelikalny chrześcijanin) a moim własnym ujęciem tematu, że wysłałem do autora podziękowanie, prosząc go — jeśli zechce — o spotkanie. Przyszedł — a ja poznałem, że zna on Pana. Po kilku wizytach zaprosił mnie do siebie, abym spędził niedzielę wraz z jego rodziną. Przy okazji tej wizyty pierwszy raz w życiu uczestniczyłem w Pamiętce Wieczery Pańskiej. W nabożeństwie tym rozpoznałem to, co opisuje 11 rozdział Pierwszego Listu do Koryntian, i uświadomiłem sobie, że Bóg odpowiedział na moją modlitwę i zapoznał mnie z braćmi i siostrami w Panu, którzy w naszych czasach zbierają się razem, aby wspominać Pana i oczekiwać Jego przyjścia.

„Albowiem ilekroć będzie jedli ten chleb i ten kielich będzie pili, śmierć Pańską opowiadacie, ażby przyszedł” (1Kor 11,26).

Bóg odpowiada

Wkrótce napisałem do przełożonych w Montrealu, oznajmiając, że odnalazłem swą duchową rodzinę, i prosząc, aby postarali się dla mnie o zwolnienie ze ślubów, jakie złożyłem w kościele rzymskokatolickim, za którego członka już się nie uważam. Napisałem, że moje życie należy teraz do Pana i od Pana zależy odtąd jego kierunek. Pan mnie wyzwolił, nie tylko z mego grzechu, nie tylko od swego gniewu, ale również z wszelkiego systemu ludzkiego pomysłu, który przytłacza i gnębi.

„Przeżoż teraz żadnego potępienia nie masz tym, który będąc w Chrystusie Jezusie nie według ciała chodzi, ale według Ducha. Albowiem zakon Ducha żywota, który jest w Chrystusie Jezusie, uwolnił mię od zakonu grzechu śmierci” (Rz 8,1-2).

Joseph Tremblay, nawrócony ksiądz

Joseph Tremblay, władający płynnie francuskim, hiszpańskim i angielskim, prowadzi pracę ewangelizacyjną w wielu krajach. W 1995 roku odwiedził Irlandię, głosząc Ewangelię, opowiadając swe świadectwo i wyjaśniając różnicę pomiędzy biblijnym chrześcijaństwem a katolicyzmem. Adres: P. O. Box 665, Riviere-du-Loup QC G5R 3Z3, Kanada.

Bez kompromisów pójść za Jezusem

Świadectwo nawróconego księdza Victora J. Affonsa

Dlaczego wstąpiłem do Towarzystwa Jezusowego

W wieku 23 lat odnosiłem sukcesy w branży reklamowej jako profesjonalny grafik. Szykując się do wyjazdu na stałe za granicę, gdzie czekała na mnie atrakcyjna posada, cieszyłem się myślą o opuszczeniu Indii i ucieczce od bólu, jaki cierpiałem na widok nędzarzy wegetujących na ulicach Bombaju. Wyzwoliciele polityczni — Gandhi, Nehru — nie zdołali zapewnić indyjskiej ubogiej większości wolności i sprawiedliwości; niepodległe Indie do dziś dręczy plaga mordów i podziałów, awszelkie wysiłki charytatywne okazują się kroplą w morzu potrzeb. Rozwiązanie było tylko jedno. Podczas modlitwy nie dawały mi spokoju słowa Jezusa:

„... u Boga wszystko jest można” (Mk 10,27).

Słyszałem też w sercu: „Nie uciekaj!” A któregoś dnia usłyszałem: „Pójdź za Moim Synem Jezusem!” Postanowiłem więc porzucić ten świat i wstąpiłem do Towarzystwa Jezusowego, zakonu misyjnego, którego sama nazwa, proponowane „ćwiczenia duchowne” oraz reguła obiecywały służbę Jezusowi za wszelką cenę i doprowadzenie wszystkich ludzi do poznania Jego, Jego Pokoju i Jego Sprawiedliwości. Dołączyłem do Towarzystwa, pragnąc poznać Jezusa bliżej, zgłębiać Jego Słowo i zachowywać je. Chciałem być wolny od spraw tego świata, które mnie rozpraszały, w tym od dziewczyny, którą kochałem, aby bez kompromisów pójść za Jezusem. Jak apostoł Paweł, chciałem głosić Ewangelię, przywieść Indie do Chrystusa. Raniła mnie tutejsza nędza; wierzyłem, że z grupą oddanych chrześcijan mógłbym doprowadzić rodaków do Chrystusa i zapewnić im wybawienie duchowe i społeczne, aby mogli żyć jak prawdziwe dzieci Boże. Dopiero wtedy mogłyby Indie posmakować prawdziwej opatrności Bożej, aich obywatele sprawiedliwości. Studiując na wydziale dziennikarstwa i wykładając w Kolegium św. Ksawerego, czyniłem to z jedną myślą: dać Indiom Ewangelię. Dzięki Bogu, dziś wizja ta nie tylko nie obumarła, ale jest żywsza i bliższa wypełnienia. W to wierzę. Widzę, że Jezus urzeczywistnia zwycięstwo, które już zyskał, używając „małej trzódki” zwykłych ludzi, którzy narodzili się na nowo i otrzymali moc Jego Ducha. To Jego widzialne Ciało na ziemi: kościół. Słowo Boże głosi, że sam Bóg w osobie Jezusa Chrystusa, przyniesie narodom Prawo.

„... On niezachwianie przyniesie Prawo. Nie zniechęci się ani nie załamie, aż utrwali Prawo na ziemi, a Jego pouczenia wyczekują wyspy” (Iz 42,1–4 BT).

„Ponieważ się upodobało Ojcu, aby w nim wszystka zupełność mieszkała. I żeby przezeń z sobą pojednał wszystko, uczyniwszy pokój przez krew krzyża jego; przezeń, mówię, tak to, co jest na ziemi, jako i to, co jest na niebiesiach” (Kol 1,19–20).

Gdy się to stanie, WSZELKA chwała i cześć za wyzwolenie naszego ludu przypadnie Bogu przez Chrystusa Jezusa. Ludzie to tylko niegodni, nieużyteczni słudzy. Człowiek nie jest zdolny ocalić biednych, ale

„u Boga wszystko jest możebne” (Mt 19,26),

jeśli tylko wierzymy w Tego, którego On posłał: Jezusa! Podczas z górą 14-letniego okresu studiów przełożeni i towarzysze z Zakonu Jezuitów wydawali się podzielać moją wizję i stawiać przed sobą ten sam cel: poznać Jezusa, służyć Mu i ogłaszać Go światu, czyniąc Jego uczniów. Byłem jednym z nielicznych uprzywilejowanych jezuitów, którym dano możliwość podróży i studiów za granicą, a także znaczną swobodę decyzji. Jako człowiek odczuwałem satysfakcję; lecz brakowało mi czegoś bardzo ważnego! Nie byłem w stanie zaspokoić głodu

w sercu, złaknionym poznania Jezusa, Zmartwychwstałego Pana, tak jak znali Go prości „nieuczni” ludzie w pierwszym kościele apostołów, opisanym w Piśmie Świętym.

Poszukiwania i kryzys

Studiując na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych za granicą, miałem okazję mieszkać na Filipinach i w różnych krajach europejskich, a później w USA. Podczas studiów w Hiszpanii, obserwowałem masowy exodus Europejczyków z kościoła katolickiego. Tylko sześć procent ludności uczęszczało na niedzielną mszę! Potem, w Los Angeles, widziałem podwójne życie niedzielnych katolików, w tym i własne oraz wielu księży i zakonnic. Zacząłem wątpić w swą chrześcijańskość jako wynalazek zachodni, zastanawiając się, czy Jezus Chrystus i Biblia to nie bajki, na które darmo marnuję życie. Nie znałem kościoła innego niż rzymski, a wpojono mi, iż to jedyny prawdziwy, poza którym nie ma zbawienia. II sobór watykański przesunął nieco akcenty, ale w skali dość kosmetycznej. Protestanci, choć zwani już braćmi, ich kościoły zaś wspólnotami kościelnymi, dalej uchodzili za kacerzy, a ich kościoły za ułomne, niepełne. Zawsze zajmowałem pozycję antyprotestancką, unikając kontaktu z heretyckimi naukami i programami telewizyjnymi. Z drugiej strony indyjscy Jezuiti zachęcili mnie do otwartości na niechrześcijan, hinduistów, muzułmanów, zwąc ich nawet „dziećmi Bożymi”; radzili też studiować ich religię i nawiązać „dialog”, który oznaczał wzajemny szacunek, a wykluczał próby nawracania do Chrystusa. W 1971 roku, podczas studiów w Kalifornii, załżał mnie potop hipisów, guru, narkotyków, rozwodów, rozwiązłości oraz wszelakich zbroczeń. Rady i modlitwy nie pomagały „grzesznikom”; czułem się bezsilny. Na Zachodzie kościół katolicki opuszczało wtedy tysiące księży i zakonnic; inni, jak ja, starali się osiągnąć profesjonalizm w dziedzinie mass mediów, poradnictwa czy działalności społecznej, aby dowieść wagi swego kapłańskiego powołania i zbawiać świat wszelkimi możliwymi środkami — wyjąwszy ten jeden:

„Albowiem nie wstydzę się za Ewangelię Chrystusową, ponieważ jest mocą Bożą ku zbawieniu każdemu wierzącemu . . .” (Rz 1,16).

Dobiegałem już czterdziestki — i siedemnastu lat w zakonie. Posiadałem kilka dyplomów uniwersyteckich i zieloną kartę: prawo stałego pobytu w USA. Zacząłem rozważać, czy śladami innych nie rzucić jałowej, nużącej roli kapłana; ale na wszelki wypadek, gdyby miało się okazać, iż niebo i piekło istnieją, formalnie pozostałbym katolikiem, by zadbać o niebieskie ubezpieczenie. Wierni widzieli we mnie energicznego, wesołego księdza, studenta Wydziału Filmu i Telewizji Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles, „yuppiesa” z parafii św. Marcina z Tours w Brentwood koło Beverly Hills i Hollywoodu. Ocierałem się o ulubione gwiazdy filmowe, chadzałem do nich na koktajle i nigdy nie czułem się dyskryminowany przez „białych” parafian. Przeciwnie, kochano mnie i z cielesnego punktu widzenia byłem bardzo szczęśliwy. W swej szczerości- i głupocie — wierzyłem w horoskopy i uczyłem młodych ludzi jogi, nie mając pojęcia, że Biblia jasno zabrania okultystycznych praktyk, którym się oddają. Potrzebowałem pomocy! Nie wiedziałem, że kilku wierzących, których szkaluję i piętnuję jako protestantów i fundamentalistów, modli się o moje przejrzenie. Modlili się — i w końcu doznałem łaski: ogarnęły mnie zamęt i rozpacz, zwątpiłem w wiarę i powołanie i zawołałem do Pana: „Boże, pokaż mi, czy istniejesz, czy Jezus jest Twoim Synem, czy Biblia jest Twym prawdziwym Słowem!”

Punkt zwrotny

Pan uwolnił mnie w niezwykle sposób w Zielone Świąta w 1972 roku. Przygotowałem sobie kazanie o Duchu Świętym, które miałem powtarzać na pięciu kolejnych mszach w Brentwood. Sam nie wierzyłem w to, co miałem mówić. Lecz w niedzielny ranek po raz pierwszy w życiu kręgosłup odmówił mi posłuszeństwa. Nie mogłem powiedzieć kazania- bo karetka pogotowia odtransportowała mnie do Szpitala św. Jana. Znakomity chirurg ortopeda orzekł: wrodzona skolioza kręgosłupa, konieczna poważna operacja. Leżałem unieruchomiony na wyciągu, cierpiąc ból i zamęt w duszy. Dzięki Bogu, na sali zjawili się chrześcijanie, gotowi się modlić. Nie pytając mnie o zdanie, położyli na mnie ręce, ja zaś wspaniałomyślnie zezwoliłem na tę głupotę, starając się odpuścić heretykom. Zaczęli się modlić. „Ojcze, przebac im, bo nie wiedzą, co czynią” — westchnąłem. Pan usłyszał, ale odpowiedział po

swojemu, za pośrednictwem swych sług, którymi gardziłem: Tego dnia otworzył moje serce, bym poznał Jezusa jako Pana i Zbawiciela i miał pewność zbawienia, o jakiej nie śniłem. Pojąłem, w czym tkwi niezwykła różnica między osobistym poznaniem Jezusa jako mego Zbawcy a znajomością Go przez katolika, który wprawdzie jako człowiek religijny porzucił wszystko, aby dla Niego pracować, lecz nie jest wcale pewny swego zbawienia i losu po śmierci. Słowa nie opiszą cudowności poznania Jezusa jako mego Zbawcy. Podczas miesiąca spędzonego w szpitalu łuski powoli spadały mi z oczu. Zmartwychwstały Pan usunął z mego serca zwątpienie w Jego prawdziwość i prawdziwość życia wiecznego. Biblia, którą niegdyś z mozołem studiowałem, chcąc być profesjonalnie przygotowany do pracy, stała się ekscytującym, życiowym objawieniem duchowym. Pojmowałem ją z łatwością, radowałem się z niej i zapamiętywałem jej słowa. W kościele katolickim Biblię zawsze ukazuje się jako Księgę kościoła, głosząc, że kościół — rzecz jasna rzymski — istniał już przed powstaniem Pisma Nowego Testamentu i spełnił zasadniczą rolę w określeniu kanonu Pisma Świętego. Stąd — twierdzi kościół — ocena zrodzonej później nauki apostoelskiej musi się w ostatecznym rozrachunku opierać nie na samym tylko Piśmie (Sola Scriptura), ale na Piśmie wraz z tradycją (kościół rzymski). Katolicy mają obowiązek za prawdę uważać to, co oficjalnie ogłasza jako prawdę Magisterium ich kościoła. Jednakże zdaniem tych, którzy wiarę opierają na Piśmie Świętym, to ono ma być ostatecznym probierzem oceny nauki. Regułę tę widać zresztą w samej Biblii: Jezus i apostołowie — autorzy Nowego Testamentu — zawsze odwołują się do Starego Testamentu, aby uzasadnić swoje nauczanie i czyny. Jezus powiedział:

„Teć są słowa, którym mówiłem do was, będąc jeszcze z wami, iż się musi wypełnić wszystko, co napisano w zakonie Mojżeszowym i w prorokach, i w psalmach o mnie” (Łk 24,44).

Apostoł Paweł pisał o sobie:

„Paweł, sługa Jezusa Chrystusa, powołany Apostołem, odłączony ku opowiadaniu Ewangelii Bożej; Którą przedtem obiecał przez proroki swoje w pismach świętych, O Synu swoim, który się narodził z nasienia Dawidowego według ciała”

Gdy Paweł głosił Ewangelię

„A cić byli zacieńsi nad one, co byli w Tesalonice, którzy przyjęli słowo Boże ze wszystką ochotą, na każdy dzień rozsądając Pisma, jeźliby się tak miało” (Dz 17,11).

Duch Święty jest Autorem Biblii, On nadał jej kształt i pełną formę. Jego Słowo ostrzega każdego nauczyciela:

„Nie przydadcie do słowa, które ja wam rozkazuję, ani ujmiecie z niego, abyście strzegli przykazań Pana, Boga waszego, które ja wam rozkazuję” (Pwt 4,2).

Każdą naukę i „niepodważalny dogmat”, który uzupełnia Pismo Święte, odejmuje od niego lub mu przeczy, należy odrzucić. Dotyczy to także nauki o czystcu, niepokalanym poczęciu, adoracji „Najświętszego Sakramentu”, nieomyślności papieża itd. Pan potępił takie tradycje i nauczycieli:

„Wniwecz obracając słowo Boże ustawą waszą, którąście ustawili; i wiele innych rzeczy tym podobnych czynicie” (Mk 7,13).

Łaski — darmowego daru Bożego, dzięki któremu człowiek wierzy w Jezusa i otrzymuje życie wieczne — nie można wysłużyć uczynkami, nie można też wysłużyć jej dla innych. Mimo to kościół rzymskokatolicki podkreśla wagę pośrednictwa biskupów, kapłanów i sakramentalnych „uczynków” jako niezbędnych do otrzymania łaski ku zbawieniu. Przeczy to poselstwu Pisma, głoszącemu:

„Albowiem łaską jesteście zbawieni przez wiarę, i to nie jest z was, dar to Boży jest; Nie z uczynków, aby się kto nie chlubił” (Ef 2,8–9).

Według Pisma Jezus to jedyny Zbawca. Tylko On mógł umrzeć i przelać Boską krew na Golgocie, by odpuszczone były ludzkie grzechy i pokonana śmierć wieczna. To On, Bóg, przybył, by obdarzyć nas wolnością i zbawieniem:

„A przetoż jeśli was Syn wyswobodzi, prawdziwie wolnymi będziecie” (J 8,36).

Apostoł Paweł nie dopuściłby, aby nawet on sam czy anioł znieba przekreślił Ewangelię, którą wcześniej ogłosił (Gal 1,8).

„Ale my każemy Chrystusa ukrzyżowanego, Żydom wprawdzie zgorszenie, a Grekom głupstwo; Lecz samym powołanym i Żydom, i Grekom każemy Chrystusa, który jest mocą Bożą i mądrością Bożą” (1Kor 1,23–24).

„Albowiem nie wstydzę się za Ewangelię Chrystusową, ponieważ jest mocą Bożą ku zbawieniu każdemu wierzącemu, Żydowi najprzód, potem i Greczynowi” (Rz 1,16).

Katolicy nie mogą pojąć ani zwiastować Ewangelii przede wszystkim dlatego, że mimo napomnień Ducha Świętego nie są gotowi przyjąć do serca jej treści. System rzymski wpoił

im, iż zbawienie zyskają poprzez ludzkie uczynki; są zatem nieświadomi prawdy Ewangelii. A przecież Jezus obiecał:

„A on przyszedłszy, będzie karał świat z grzechu i z sprawiedliwości, i z sądu; Z grzechu mówię, iż nie uwierzyli we mnie” (J 16,8–9).

Duchowieństwo, pozbawione mocy Ducha Świętego (i zapewne nie narodzone na nowo), przeczy Ewangelii i posłannictwu Jezusa. Przez „dobre uczynki”, rytuały (sakramenty), talizmany (szkaplerze, medaliki) i mantry (litanie, nowenny, różaniec) — w których równie dobrze, a nawet lepiej spisują się poganie — mnoży się „martwe kościoły”. Jak napisano:

„Poczęliśmy, boleliśmy; aleśmy tylko jakoby wiatr porodzili” (Iz 26,18).

Gdy w szpitalu przeżyłem nowe narodzenie, Duch Święty przekonał mnie o moich grzechach, spośród których część uważałem nawet za cnoty. Przedtem liczyłem na to, że uczynki oraz sakramenty kościoła wysłużą mi zbawienie; teraz pojąłem, że „porodziłem wiatr”. Nawróciłem się więc i uwierzyłem w PRAWDZIWA DOBRĄ NOWINĘ: że Jezus uczynił to WSZYSTKO za mnie, raz na zawsze swą jedną ofiarą na krzyżu. Jedynie nawracając się i wierząc w Jezusa Chrystusa, jedynego Zbawcę i Pana, można uzyskać zbawienie. Pan wytknął mi walkę z ludźmi. Zawsze z dumą miałem się za przyjacielskiego i gotowego wybaczać, który kocha wszystkich, w tym także hinduistów, muzułmanów, swoich wrogów igrzeszników, który poświęca życie nawracaniu ich na wiarę kościoła, by mogli być zbawieni. Lecz teraz wyraźnie słyszałem głos Ducha Świętego, przekonujący, iż nie traktuje ich zmiłością, niesprawiedliwie osądając wielu chrześcijan jako heretyków. Zrozumiałem to nagle: Nie miłowałem protestantów. Pełen uprzedzeń i strachu stroniłem od „heretyków”, od ich programów telewizyjnych i przestrzegałem innych przed czytaniem protestanckiej Biblii i literatury. Żalowałem za ten grzech. Był to cud łaski Bożej. Znikł hołubiony latami wstręt do protestantów, i gorąco zapragnąłem się spotkać z odrzucanymi dotąd braćmi i siostrami. Czuję się tak, jakby z serca spadła mi czarna zasłona, aumysł ioczy jasno ujrzwały Prawdę. Tak wielka była moja radość ze zbawienia, że pacjenci w sąsiedniej sali pytali, czego się tak cieszę! Miłość do Jezusa płonęła we mnie nową mocą, dając zapal, aby wrócić do Indii, i śmiałość, aby głosić Ewangelię światu. Otrzymałem też łaskę wiary w uzdrowienie. Ufałem, że ów wybitny chirurg bez większego ryzyka zdoła uleczyć mój kręgosłup; ale z drugiej strony pragnąłem zaświadczyć o żywym Jezusie, który przecież powiedział:

„I żyjący; a byłem umarły, a otom jest żywy na wieki wieków. I mam klucze piekła i śmierci” (Ap 1,18).

I ostatecznie, pełen wiary w Jezusa, wyszedłem ze szpitala odmawiając operacji i nie bojąc się ogromnego ryzyka. Ku zdumieniu lekarzy zostałem cudownie, bez operacji uleczonej ze skoliozy. Kręgosłup, wygięty w kształcie S, w ciągu roku wyprostował się jak trzcina. Umocniło to moją wiarę i świadectwo. Zacząłem gościć w licznych kościołach, poczynając od protestanckich, i zaznawałem od wierzących braci wiele miłości, świadcząc o zmartwychwstałym Panu:

„Jezus Chrystus wczoraj i dziś, tenże i na wieki” (Hbr 13,8).

Jest On Prawdziwy i Wierny.

„Z żądocią oczekiwałem Pana; a skłonił się ku mnie, i wysłuchał wołanie moje; I wyciągnął miecz z dołu szumiącego i z błota lgnącego, a postawił na skale nogi moje, i utwierdził kroki moje; A włożył w usta moje pieśń nową, chwałę należącą Bogu naszemu, co gdy wiele ich ogląda, ulęką się, a będą mieć nadzieję w Panu” (Ps 40,2–4).

Pan odpowiedział na moje pytania. Jezus Chrystus naprawdę zmartwychwstał, żyje i miewa się dobrze! Wkrótce powróci!

„Jezus Chrystus wczoraj i dziś, tenże i na wieki” (Hbr 13,8).

On jest z nami, tak jak był ze świętymi kościoła apostołskiego, z Jozuem i ze świętymi Starego Testamentu. Ktoś wiernie prosił za mną, i doznałem łaski, aby zawołać:

„Lecz nader obfitowała łaska Pana naszego z wiarą i z miłością, która jest w Chrystusie Jezusie” (1Tym 1,14).

Będę się modlił za wszystkich, którzy zostali wprowadzeni w błąd, tak jak niegdyś ja, kiedy nie wiedziałem, dokąd się udać. Modlę się, aby Pan usłyszał ich wołanie i aby poznali radość imoc świadków Chrystusowych. Proszę o to zwłaszcza dla jezuitów i katolików w Indiach, aby naród nasz został wkrótce uwolniony z wszelkiego zła dzięki krwi Jezusa Chrystusa. Pewnego dnia wizja ta się spełni! I Jezus, Prawda, zwycięży!

Prawdziwy kościół przedkłada Biblię ponad wszystko

Zwierzchnicy żądali, bym zaprzestał nauczania, gdyż publicznie przyznawałem, że niektóre główne dogmaty i praktyki Rzymu przeczą Słowu Bożemu zawartemu w Biblii, czyniąc z katolicyzmu religię daleką od prawdziwego kościoła Jezusa Chrystusa. Prawdziwy kościół Chrystusa składa się bowiem zwierczących, którzy przedkładają Słowo Boże ponad wszystko, nie ważąc się na jaskrawe odstępstwa od niego. Zawsze starałem się szanować i jak samego Pana słuchać przełożonych. Ale sumienie przekonało mnie, że pozostając pod władzą Rzymu będę musiał ulec jego naukom: kłamstwu nie z ducha Chrystusowego. W Ewangelii Jana 8,43–44 Jezus gromił faryzeuszów:

„Przeccze tej powieści mojej nie pojmujecie? przeto, iż nie możecie słuchać mowy mojej. Wyście z ojca dyjabła i pożądliwości ojca waszego czynić chcecie; onci był mężobójcą od początku i w prawdzie nie został, bo w nim prawdy nie masz: gdy mówi kłamstwo, z swego własnego mówi, iż jest kłamcą i ojcem kłamstwa”.

Cechy te uwypukliły się w kościele katolickim w czasach inkwizycji i mordowania Reformatorów. II sobór watykański nie odwołał żadnego z fałszywych dogmatów Trydentu; natomiast jak przedtem tak i dziś wiernych zachęca się do akceptacji religii pogańskich jako równie, zbawczych”. Kardynał bombajski i przywódcy kościoła gorąco radzili, bym nie opuszczał kościoła rzymskiego. Bardzo ich kochałem; swego czasu, jeszcze w Indiach, byli mi wielką pomocą. Napisałem do kardynała i do samego papieża oraz do prowincjała Jezuitów, szczegółowo i szczerze wyjaśniając, że

„Więcej trzeba słuchać Boga, niż ludzi” (Dz 5,29).

Z bólem opuszczam lud katolicki, wszystkich mych przyjaciół i krewnych, nie dano mi bowiem nauczać tu biblijnej Dobrej Nowiny. Niech Pan w swej mocy pobłogosławi ich swą prawdą i niech wyzwoli więźniów, aby bez kompromisów poszli za Jezusem. Modlę się o to w Jego imieniu. W 1993 roku poślubiłem Julie Laschiazza Baden z Brentwood, która już wcześniej towarzyszyła mi w pracy misyjnej, mocą Ducha wiodąc do zbawienia wiernych kościoła katolickiego z Indii i Stanów Zjednoczonych. Bóg obdarzył ją bardzo owocną posługą. Założyliśmy Cornerstone International (Międzynarodową Misję „Kamień Węgielny”), działającą w Indiach i USA, aby przy wsparciu Ducha Świętego pomóc wierzącym modlić się i trudzić oraz wykorzystywać indyjskie środki masowego przekazu do zwiastowania Jezusa Chrystusa.

Postscriptum: O obecnym zanieczyszczeniu w kościele

Aż za dobrze zdaję sobie sprawę z kłopotów, jakie przeżywają także kościoły protestanckie. Wiele padło ofiarą doktrynalnego zanieczyszczenia, ulegając humanizmowi, pluralizmowi, przede wszystkim zaś schrystianizowanemu materializmowi, głoszącemu ewangelię sukcesu i mesjanizm polityczny. W bogatych krajach chrześcijańskich nie jeden kościół czci bożka Mamony. „Kaznodzieje” i „uzdrowiciele” podając się za „nowo narodzonych” i „napelnionych Duchem” robią z ewangelizacji biznes, jak przekupnie w Domu Ojca. Wytykając siłę i odstępstwo Watykanu, wznoszą własne imperia, czyniąc się nieomylnymi papieżami we własnych stacjach telewizyjnych, wielkich organizacjach misyjnych, kościołach, „chrześcijańskich centrach rozrywkowych”. Majątki wartości milionów dolarów krępują ich łańcuchem wygodnych rezydencji inie puszczają w odwiedziny do ubogich, położonych w trudnym otoczeniu ośrodków misyjnych, nawet w ich własnym kraju. Niektóre kościoły zwać się charyzmatycznymi i zielonoświątkowymi dały się zwieść ruszając na poszukiwania „znaków i cudów” za pomocą sił okultystycznych, przypisywanych ludzkiemu potencjałowi. Rodzi to nieuniknione zło: bałwochwalcze ubóstwienie ludzkiego ja. Jeśli potrzebujesz modlitwy czy pomocy, aby bez kompromisów pójść za Jezusem, bądź jeśli pragniesz uczestniczyć w pracach naszej misji, pisz (po angielsku) na adres: Cornerstone International, Unique B-204, Cross Road 6, Borivali (W) Bombay 400 103, India; bądź: Cornerstone International Inc., 15 030 Ventura Blvd. Suite 463, Sherman Oaks, CA 91 403, USA.

Victor J. Affonso, nawrócony ksiądz

Hindus Victor Affonso czynnie służy dziś Panu, dzieląc swój czas po równo między USA a Indie. Jest ewangelistą z powołania. Jego sylwetka jako ewangelisty i świadka Chrystusa jest

dobrze znana w Stanach Zjednoczonych oraz w miastach i miasteczkach okolic Bombaju i Goa. Założył i przewodzi misji Cornerstone International.

OSTATECZNA DECYZJA VICTORA J. J. AFFONSA O REZYGNACJI Z CZŁONKOSTWA W KOŚCIELE RZYMSKOKATOLICKIM I W ZAKONIE JEZUITÓW

JA, VICTOR JOHN JOSEPH AFFONSO, uczeń i sługa Pana Jezusa Chrystusa, zbawiony Jego drogą KRWIĄ, namaszczony przez Jego Ducha świętego i powołany przez Niego do życia według Jego EWANGELII i głoszenia jej WSZYSTKIM ludom, pozostając członkiem JEDYNEGO KRÓLEWSKIEGO KAPŁAŃSTWA Ludu Bożego w Chrystusie Jezusie, niniejszym oznajmiam o REZYGNACJI z członkostwa w KOŚCIELE RZYMSKOKATOLICKIM oraz w jego zakonie religijnym zwanym TOWARZYSTWEM JEZUSOWYM w posłuszeństwie Słowu Bożemu, według rozumienia mego sumienia. Nie uznaję zatem naczelnej roli władz rzymskokatolickich, gdyż unieważniają one Biblię i utrudniają sprawowanie mej MISJI: głoszenia EWANGELII bez KOMPROMISU. W sumieniu swym sądzę, że wiele oficjalnych nauk i praktyk kościoła rzymskokatolickiego sprzeciwia się Słowu Bożemu. Odstępstwa te to owoc „zgniłego korzenia”, a jego istota tkwi w tym, iż mimo ustalonego kanonu Pisma Św. kościół twierdzi, że istnieją DWA ŹRÓDŁA Bożego objawienia Prawdy: Biblia i Tradycja. To tradycję trzeba winić za dodatki do nieomylnego i pełnego Objawienia danego w Biblii i przeczenie mu. Ja uznaję Biblię za OSTATECZNY PROBIERZ, pozwalający osądzić, co jest dziś dla nas Słowem Bożym. Aby podobać się Bogu, muszę robić to, co On mówi. A w swym nieomylnym Słowie mówi:

„Owszem błogosławieni są, którzy słuchają słowa Bożego i strzegą go” (Łk 11,28).

I sprzeciwia się postawie faryzeuszów:

„Wniwec obracając słowo Boże ustawą waszą, którąście ustawili; i wiele innych rzeczy tym podobnych czynicie” (Mk 7,13).

Pismo Święte pokazało mi też, że „śluby zakonne” oraz „hierarchia duchowieństwa” w postaci istniejącej dziś w kościele rzymskokatolickim — czyniąc z księży braminiczną klasę wyższą, wyróżnioną jako świętsza niż reszta Królewskiego Kapłaństwa — sprzeciwiają się Pismu i rozmijają z biblijnym Bożym wzorcem kościoła. Śluby zakonne są ponadto czymś zbędnym, gdyż każdy prawdziwy członek Ciała Chrystusowego już przy chrzcie ślubował, że wraz z Chrystusem umrze dla tego świata, a to obejmuje także UBÓSTWO w Duchu, a więc niepożądanie majątku i dzielenie się z potrzebującymi, CZYSTOŚĆ w myślach i w życiu, czy to samotnym, czy małżeńskim, POSŁUSZEŃSTWO każdej władzy ustanowionej przez Boga, społecznej i religijnej, we wszystkim prócz grzechu. Stąd niniejszym WYRZEKAM SIĘ WSZELKICH ŚLUBÓW ZAKONNYCH złożonych w Towarzystwie Jezusowym, obejmujących szczególnie „sekiarski” ślub posłuszeństwa papieżowi rzymskokatolickiemu. Niniejszym wyrzekam się WSZELKICH FAŁSZYWYCH ŚLUBÓW I ZAWIERZEŃ Maryi i wszelkim innym zmarłym świętym czy duchom stworzonym, które składałem sam bądź które składano w moim imieniu, za moją wiedzą i bez niej. (Podpisano: Victor J. Affonso) Dnia 20 czerwca 1988 roku Bombaj, Indie

Łaska Boża w Nowej Gwinei

Świadectwo nawróconego księdza Jacoba van der Veldena

Księdzem zostałem z przekonania. Chciałem jechać na dzikie wyspy i nieść Papuasom poselstwo Boże, Ewangelię Jezusa Chrystusa. Sądziłem, że zdaję sobie sprawę z trudności, jakie mnie tam czekają, i pod hasłem: „Jadę, bo muszę”, udałem się do Nowej Gwinei, byłej kolonii holenderskiej. A w pięć lat później musiałem zawyrokować, że mimo chwalebnego początku moja misja jest jedną wielką katastrofą. Nie udało mi się. Widziałem, że współpracownicy i inni ludzie kompletnie mnie ignorują, traktując jak powietrze. Strapiiony, rozczarowany i zły, nie chciałem się już nawet modlić do Boga. Nie mogłem się otrząsnąć i spojrzeć na porażkę chłodniejszym okiem. Nie chciałem już mieć z Bogiem nic wspólnego.

Dowiedziałem się o mej grzesznej naturze

W najciemniejszym punkcie duchowego kryzysu spotkałem protestanckiego misjonarza. Nie miałem ochoty z nim rozmawiać, lecz do rozmowy doszło, a ja spostrzegłem, że to bardzo radosny chrześcijanin. Wysłuchał mnie, co już samo w sobie było pocieszające. Zrozumiał me rozczarowanie i złość. Dzięki rozmowie pojąłem, że słuchałem dotąd tylko siebie i swych głupich przekonań. Nie było u mnie miejsca na słuchanie Słowa Bożego, prawdziwą modlitwę do Boga, ufanie Mu. Powoli, ale wyraźnie dostrzegałem, jaki ze mnie bezużyteczny sługa, dufny w swoje siły; zrozumiałem też, że jeśli bym we wszystkim powierzał się Bożemu prowadzeniu mógłbym się stać pożytecznym narzędziem w Bożym ręku. Otwierał się przede mną nowy świat. Uczyłem się z Bożego Słowa; to w nim ujrzałem wielkość Boga i bezbrzeżną nieprawość człowieka. Nieraz widzę, że w wywiadach z księżmi katolickimi uznaje się ich naukę za biblijnie zdrową. A przecież nie jest ona wcale zgodna z Pismem Świętym i szczerze powiedziawszy nawet nie może być. Również i z tym zmagalem się przed nawróceniem. Gdy zaczął się proces mej duchowej przemiany, często słyszałem zdanie: „To, co mówisz, nie zgadza się z Pismem. Słowo Pana mówi inaczej”. Po każdej dyskusji czułem się coraz niewyraźniej, bo po sprawdzeniu z Biblią musiałem przyznać, że jej przeczę i że prawdę mówiąc wcale nie znam Słowa Bożego. Przez ciężkie zmagania dochodziłem do prawdy. Nie chciałem przyznawać się do błędów: cóż przykrzejszego i bardziej upokarzającego niż przyznać, że nasze zdanie na temat Boga, przekonania nabyte podczas długich lat studiów i doświadczeń uznanych za niepodważalne, są de facto nieprawdziwe, błędne i niezgodne z Pismem Świętym? Czułem się jak najgorszy nieudacznik, jak ktoś trwale oszpecony.

„Umarli na skutek występków i grzechów” (Ef 2,1)

Pan jeden wie, jak wzdragałem się przed uznaniem prawdy o zupełnym zepsuciu człowieka, o jego skłonności do wszelkiego zła, a niezdolności do dobra. Pogląd ten wydawał mi się skrajny; strącał mnie z piedestału i kazał patrzeć w twarz własnej hańbie. Opornie przychodziło mi pojąć, że człowiek już przed wiekami spadł z piedestału, bo wybrał grzech zwracając się przeciw Bogu. Latami ja sam, podobnie jak inni, rozpaczliwie próbowałem tę upadłą istotę utrzymać w pionie. Mówiło się o zranionym człowieku, który mimo wszystko usiłuje walczyć, by się uleczyć i stanąć przed Bogiem jako sprawiedliwy. Wierzyłem, że koniec końców Bóg odplaci nam za wszystkie dobre czyny, ba, ma wręcz obowiązek tak uczynić. Odplaci zbawieniem wiecznym, a dobre czyny naszego chwalebnego życia wysłużą nawet zbawienie innym. Wyniesionej z katolicyzmu idei „dobrego, miłosiernego Boga” musiałem

przeciwstawić nowo poznanego Pana, który pała gniewem na grzech i nie pozostawia go bez kary. Pan, który objawił się w Starym Przymierzu, jest ten sam wczoraj, dziś i na wieki. Był to koniec śmiesznych pojęć o „wielkich świętych”, którzy kuchennym wejściem do nieba mogą przesznułować swych oddanych czcicieli; koniec opowieści okutych na cztery łapy grzesznikach, którzy puszczając oko do Piotra, groźnego stróża niebieskich bram, wkradają się mimo niego do środka. Teraz — w zgodzie ze Słowem Bożym — nie było drogi innej niż przez wiarę.

„Albowiem łaską jesteście zbawieni przez wiarę, i to nie jest z was, dar to Boży jest; Nie z uczynków, aby się kto nie chlubił” (Ef 2,8–9).

Obfita łaska Boża

Gdy Bóg w swym nieskończonym miłosierdziu o tym mnie przekonał, nie miałem już wymówek. W Jego światłości zrozumiałem wagę słów Pawła: „Nędzny ja człowiek” i pojąłem sens Listu do Rzymian 3,9–20. Ukazano mi obraz boleśnie wyraźny — i wiedziałem, że to moja podobizna. Ale (chcę to zaznaczyć!) wielka była moja radość w Chrystusie Jezusie. Zakosztowałem w końcu bogactwa i głębi słów:

„Albowiem tak Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny” (J 3,16).

Mogłem więc wołać o pomoc do litościwego Ojca w niebie, który zbawił mnie w Chrystusie, czyniąc na nowo narodzoną istotą, napełnioną i odnowioną przez Ducha Świętego. Jakże byłem wdzięczny memu Bogu i Panu! Nauczyłem się poznawać i wielbić Tego, który powołuje i wybiera. Pojąłem, że stajemy przed Nim z pustymi rękoma, aby On sam nas wypełnił. A wszystko dzięki łasce Bożej, przez którą uwierzyłem, by odtąd w mocy tej wiary żyć i pracować. Beznadziejnemu nieudacznikowi nagle udało się. Bóg cudownie mnie prowadził. Szczycę się dziś Jego łaską, bo wziął mnie za rękę, a służenie Mu jest radością. Należę do Niego, powtórnie stworzony na Jego obraz, i żyję w Nim z nowym sercem. Już umiem miłować Boga i bliźniego i zachowywać Boże przykazania. Nie tylko czuję się innym człowiekiem, ale naprawdę stałem się istotą odnowioną na Jego podobieństwo mocą Ducha. To nowe stworzenie pragnie tylko być Mu wdzięcznym i chwalić Tego, który miał wzgląd na naszą nędzę i tak nas ubogacił. Gdy czasami słyszę, że jakiś nawrócony katolik wrócił na łono „Matki Kościoła”, zamyślam się nad bogactwem, jakie otrzymałem będąc na wieki powołanym przez Boga. Ileż to razy słyszę: „Cóż za niesamowita przemiana! Żeby z księdza katolickiego zostać protestanckim pastorem!” Nie potrafię wtedy udzielić właściwej odpowiedzi — bo nie ja tej zmiany dokonałem, wręcz odwrotnie! Dawid dziękował Bogu mimo okoliczności:

„W utrapieniu mojem wzywałem Pana, i wołałem do Boga mego” (Ps 18,7).

Ja byłem tak głupi, że gdy trzeba było, nie wołałem do Pana, nie prosiłem Go o pomoc — ale On i tak uczynił, co zechciał. Zabrał zbuntowanego człowieka i umieścił go w miejscu, które było dla niego najlepsze: w Jego kościele, gdzie Jego Słowo jest wykładane bez fałszu, Jego sakramenty sprawowane wiernie, a posłuszeństwo Mu zachowywane.

Umysł katolika

Jak się to może stać? Poproś Pana — On jest cudowny we wszystkich swych dziełach. Nieraz mówiąc o byłym kapłanie ktoś stwierdza: „Bóg na pewno musi mu wynagrodzić odważny akt wyjścia z katolicyzmu”. Ze smutkiem konstatuję wtedy, iż człowiek taki nie pojął swej bezbrzeżnej nędzy i nie pojął działania Boga, który zbawia tylko łaską. Taki ktoś dalej dźwiga żalosne rzymskie dziedzictwo, myślenie: „Ja tego dokonałem, i Pan będzie musiał mi to wynagrodzić”. Za taką osobę można się tylko modlić, aby Pan prawdziwie ją oświecił i zachwyił swym Słowem, tak by poznała samą siebie, a zarazem usłyszała o miłosierdziu Bożym w Panu Jezusie Chrystusie. Drogi Czytelniku, trudno jest mi pisać do katolików, zawsze bowiem będzie między nami bariera porozumienia: Ja nie chcę i nie mogę pisać inaczej niż na podstawie Słowa Bożego, druga zaś strona będzie mi odpowiadać z perspektywy nauki papieskiej i takiegoż doświadczenia, do których przykroi dopiero Słowo Boże. Naszym zadaniem jest wytrwale składać świadectwo; lecz wielu modlitw będzie trzeba, by otwarły się oczy i uszy czytelników o takiej postawie, by ujrzeli oni i pokochali Pana takim,

jakim On jest, i służyli Mu wedle Jego pragnień. To może się stać tylko dzięki łasce, której udziela On sam. Jeśli ktoś z nas sprzeciwi się na przykład tym, którzy chcą usprawiedliwić homoseksualizm wśród księży, bez wątpienia spotka się z bezlitosnymi atakami; zostanie napiętnowany jako ksiądz, który tak bardzo nie mógł znieść celibatu, że zmienił religię, a teraz krytykuje wszystko, co z nią związane. Tak mówią ludzie nadający na zupełnie innej długości fali. Dostroili się do częstotliwości tego świata i nie chcą uznać, że człowiek zostaje poczęty w grzechu i w grzechu — choć mocą Bożą — się rodzi. I że obowiązkiem jego jest walczyć z wszelkim grzechem, również grzechem homoseksualizmu. Niestety, z tamtej strony usłyszymy tylko krytykę. Szyderstwa te dane jest nam znosić ze względu na to, że „dostroiliśmy się” do Pana.

Bolesny ekumenizm

Jeszcze bardziej rani mnie, gdy wierzący składając świadectwa katolikom akceptują doktrynę i praktykę Rzymu. Jakże boli lekceważenie fałszywości grzesznych nauk i praktyk katolicyzmu. Strzeżmy się zwodniczego ruchu ekumenicznego, który czyni wielkie szkody w dziele Pańskim! Dziękuję Bogu, że dał mi poznać bogactwa zawarte w Biblii, Jego Słowie. Przez nie uczymy się rozumieć to, co jest naszym wiecznym pokojem. To przez zdrową naukę opartą na Słowie i przez działanie Ducha Świętego mięknią najtwardsze serca.

„Chcę Cię wysławiać na wieki za to, coś uczynił...” (Ps 52,11 BT).

W Nowej Gwinei często rozważałem te słowa:

„Wiara tedy jest ze słuchania, a słuchanie przez Słowo Chrystusowe” (Rz 10,17; BW).

Jak zbawiony zostałem ja — tylko dzięki łasce — tak przyszło zbawienie i do innych, tu mieszkających. Poganie, którzy nie pragnęli sprawiedliwości ani za nią nie tęsknili, stali się sprawiedliwi w Jezusie Chrystusie. To On, Pan, posłał nas, byśmy z pogan czynili Jego uczniów głosząc Jego Słowo.

Światło w ciemności

Miłosierny Bóg wszedł do mojego życia niosąc przebaczenie- i stał się cud. Blisko sześćdziesięcioletni ksiądz nie wdałby się w rozmowę z protestanckim misjonarzem — i istotnie aż do tamtej chwili nigdy mi się to nie zdarzyło. Skłoniła mnie do tego Czyjaś niewidzialna dłoń. Zrazu opierałem się, ale gdy misjonarz poprosił, bym usiadł koło niego nad rzeką, Duch Boży już działał. W tej pierwszej rozmowie (i wielu późniejszych) razem odnajdowaliśmy oblicze Boże radując się bardziej niż ktokolwiek na ziemi. Łaska zwyciężyła. Moje oczy otwarły się na światło, które świeci w ciemności, i znalazłem prawdę Pisma. Jej mocą z księdza stałem się osobą zbawioną, z misjonarza pasterzem, z uświęcającego się własnym sumptem sługą, który nauczył się prosić swego Pana o posłuszeństwo Jego Słowu. Odkąd pojąłem, że zbawienie pochodzi tylko z łaski (Ef 2,8–9), jestem innym człowiekiem: żyję dzięki przebaczeniu, jako świadek tego, że Jezus to jedyny Zbawiciel. Gdy jako człowiek w pełni szczęśliwy patrzę wstecz, mogę tylko cieszyć się i dziękować. I — drodzy moi — chcę głosić światu, że nie wysłużyłem sobie tego. To miłosierny Bóg niespodzianie mnie zbawił — zupełnie darmo, w swej łaskowości. Niechaj Pan w swej łasce powoła Was, byście poznali Chrystusa i moc Jego zmartwychwstania (Flp 3,10). Soli Deo Gloria!

Jacob van der Velden, nawrócony ksiądz

Jacob van der Velden, zbawiony łaską w Nowej Gwinei, od czasu swego nawrócenia był pastorem kościoła reformowanego w rodzinnej Holandii. 24 stycznia 1997 roku odszedł do Pana.

Prawda mnie wyzwoliła

Świadectwo nawróconego księdza Toona Vanhuysse

Urodziłem się w Zwevegem 13 października 1940 roku, w pierwszych latach wojny. Rodzice, pobożni Belgowie, byli katolikami w każdym calu. Ojciec — osoba surowa, ale i niezwykle przystępna — mimo kłopotów rodzinnych (było nas, dzieci, aż dziesięcioro) i problemów z zakładem tkackim potrafił jeszcze znaleźć czas na „pracę parafialną”; bardzo gorliwie wysyłał też dary potrzebującym. Musiałem po nim choć w pewnym stopniu odziedziczyć umiłowanie sprawiedliwości. Moja świętej pamięci matka — nie żyje już od kilku lat — była nad wyraz dobrą kobietą, życzliwą i cichą. Czyż nie to jest najwspanialszą ozdobą, w którą powinny przybierać się kobiety? Piotr apostoł pisze, iż to właśnie jest cenne w oczach Boga (1P 3,3–4). Matka była poza tym bardzo zapobiegliwa, troszcząc się o rodzinę. Niczym niewiasta opisana w Księdze Przysłów, dbała, by dom funkcjonował, jak należy. Cierpiała na niewielkie kalectwo, ale ból znosiła w milczeniu. Nigdy się nie skarżyła i przyjmowała wszystkie trudy, jakie niesło życie, ceniąc innych wyżej niż samą siebie. Bardzo nam to pomogło.

Siła tradycji

W naszym domu Biblia była księgą zakazaną. Lecz Bóg jest Bogiem potężnym i potrafi łamać bariery, jakie rzymski katolicyzm wznosi w ludzkich umysłach i sercach. Sądzę na przykład, że matka wiedziała, co to jest bojaźń Boża. Nie przejmowała się nadmiernie zewnętrznymi wyrazami wiary, pielęgnując raczej wewnętrzną więź z Bogiem. Ale ja dojrzałem w atmosferze paraliżującego lęku przed Bogiem, a przede wszystkim przed karą za grzech. Pamiętam częste wizyty w konfesjonale. Wciąż upadałem i grzeszyłem przeciw Bogu, a wyrzuty sumienia nie dawały mi spokoju aż do kolejnej spowiedzi i kolejnego rozgrzeszenia — konfesjonał regularnie przynosił uczucie uwolnienia i ulgi. Nie wiedzieliśmy nic o Ewangeliłi łaski, o radosnym poselstwie, iż to przez wiarę w Jezusowe dzieło pojednania otrzymujemy przebaczenie grzechów i życie wieczne. Czyż to nie smutne? Taka jest siła tradycji w katolicyzmie. Weźmy spowiedź. Biblia głosi:

„Temu wszyscy prorocy świadectwo wydają, iż przez imię jego odpuszczenie grzechów weźmie każdy, co w niego wierzy” (Dz 10,43),

lecz Rzym obrzuca klątwą każdego, kto mówi to, co Biblia; tak nakazał sobór trydencki. Tradycja zwykle odsuwa na bok stanowisko Pisma; trzeba mieć tego świadomość. Słowo Boże przed tym ostrzeża! Ale ludzie są raczej skłonni uznać to, czego naucza kościół, niż to, co mówi Biblia... Taki oto problem wiąże się tradycją.

Powołanie misyjne

Naukę w gimnazjum rozpocząłem w M. Mart College w Waregem; zaliczyłem tam kurs literatury greckiej i łacińskiej. Był to wciąż okres surowej dyscypliny, przede wszystkim zaś nauki. Praktykowaliśmy posłuszeństwo i uczyliśmy się. Nie było łatwo. Mieszkałem w internacie; do domu mogliśmy pojechać na zaledwie 2–3 tygodnie. Pragnąłem przysłużyć się jako biednym. W trakcie nauki miałem okazję czytać o różnych słynnych misjonarzach i czułem, że chciałbym podążać w ich ślady. Wstąpiłem więc do zakonu Księża Misjonarzy Oblatów Maryjnych w Korbeekle koło Leuven, w roku 1959 bądź 1960, dokładnie nie pamiętam.

Nowicjat znajdował się w Korbeekle. Był to prawdziwy rok próby, czas wielce dla mnie trudny. Sprawdzano nas i przystosowywano do życia klasztornego.

Ćwiczenia duchowe bez wartości

Codziennie modlitwy zaczynały się wcześniej rano od brewiarza, medytacji, mszy i godzin. W ciągu dnia mieliśmy lectio divina, różaniec i czas na lekturę Biblii. Popołudniami zazwyczaj wykonywaliśmy milcząco różne prace. Powinienem też wspomnieć, że w niektóre piątkowe popołudnia mieliśmy krótki czas biczowania.¹ Każdy nowicjusz miał swą dyscyplinę i musiał okładać się nią po plecach. Jakbyśmy tym sposobem mieli wybić z siebie nieczystość ostatniego tygodnia. Rok szykowano nas do życia klasztornego. Dziś dziwię się, że nie dostrzeżliśmy, iż wszystkie tak zwane ćwiczenia duchowe i wysiłki mające przygotować nas do służby Bogu są w Jego oczach bez wartości; jak pisał Paweł w Liście do Kolosan: służą tylko zaspokojeniu ciała! Wszystkie te „święte” metody odzierają Jezusa z roli Pośrednika, Jemu tylko przynależnej.

„Przeżoż którzy są w ciele, Bogu się podobać nie mogą” (Rz 8,8).

Jaką ulgę daje świadomość Jezusowego dzieła zbawienia! Chciałbym powiedzieć każdemu księdzu i każdemu mieszkańcowi klasztoru: „Nawróć się i uwierz w Ewangelię!”. To smutne, że katolicy zwykle nie dostrzegają różnic między prawdą a kłamstwem w sprawach duchowych. W myślach i sercach ludzi kłamstwa zakotwiczyły się silnie, co widać w wielu naukach Rzymu. Kłamstwo niełatwo daje za wygraną; doświadczyłem tego na własnej skórze, zwłaszcza głosząc Ewangelię „od drzwi do drzwi”, co w Munsterbilzen robimy często. W ludziach zakorzenił się wstręt do prawdy. Prawda Słowa Bożego mówi o człowieku grzesznym, pokazując, iż jest on niegodziwy i zgubiony; ale my wolimy słuchać komplementów własnego serca, które nas zwodzi i które Biblia nazywa „zdradliwszym niż wszystko inne i niepoprawnym”.

Kapłan w kościele rzymskim

Po ślubach czasowych trafiliśmy do studenckiego Ośrodka Scholastycznego w miasteczku Gijzegem, między Aalst a Dendermonde. Po dwu latach studiów filozoficznych i czterech teologii 20 lutego 1966 roku przyjąłem święcenia kapłańskie. Jakie to było przeżycie! Długie lata wracałem myślami do tego ukoronowania moich wysiłków i nauki. Kapłan w kościele rzymskim! Nie było wyższego powołania. Wybrano nas do dalszego sprawowania ofiary Jezusa Chrystusa, staliśmy się szafarzami łaski Bożej — o tym byłem przekonany. Posiedliśmy pożądaną przez tyłu status sprawcy błogosławieństw. Jak daleko odszedłem od Pisma! Przecież obrazą Boga jest pomysł, iż doskonała, w pełni wystarczająca ofiara Jezusa de facto nie wystarcza, że trzeba jeszcze „ofiary Eucharystii”. Obrazą Boga jest niedocenywanie głębi i zbawczej mocy ofiary Chrystusa. List do Hebrajczyków wypowiada się jasno w tej mierze. Po roku przygotowań do kapłaństwa następnym roku przepracowałem w niższym seminarium duchownym (szkole na poziomie średniej, z której można udać się do klasztoru) w Waregem. Praca ta niezbyt przypadła mi do gustu, więc poproszono, abym zasilił grupę księży w jednej z parafii Antwerpii. Miałem odpowiadać za pracę duszpasterską z młodzieżą. Po roku opuściłem Antwerpię-Kiel — zakon przydzielił mnie do podobnej pracy gdzie indziej: miałem uruchomić nową parafię w Houthalen Wschodnim. Z trzema innymi zakonnikami rozpoczęliśmy to dzieło. Zachwyciła mnie ich postawa, idealizm. Ale budowaliśmy po ludzku, nie na Skale, tylko na piasku. To nie Słowo Boże było podwaliną naszego życia, więc budowla trzęsła się w posadach, a jej końcowy upadek był wielki — jak mówi Pismo. Polegać trzeba na Chrystusie Jezusie, a za niewzruszony fundament życia uznać Słowo Boże.

Życie bez Ducha

Po dziesięciu latach wypaliłem się duchowo. Nie mogłem kryć porażki, jaką poniosłem jako ksiądz, zwłaszcza gdy widziałem, że nie umiem zaspokoić potrzeb ludzi. Chorych nie potrafiłem pocieszyć Słowem Bożym; ludziom dręczonym wyrzutami sumienia z powodu

¹ II sobór watykański sprzeciwił się tym praktykom przyp. red. pol.

błędów życiowych nie umiałem ukazać przebaczenia i pojednania w Chrystusie. A wszystko dlatego, że sam nie znałem Boga i potrzebowałem przebaczenia grzechów. Wskutek tej wewnętrznej jałowości stałem się duchową stertą odpadków. Powodowało mną oddanie i pragnienie, aby uczynić, ile tylko zdołam, dla jak największej liczby ludzi, i to własnymi siłami. A to nie mogło długo trwać. Przegrałem, nie znając Pana Jezusa Chrystusa i Słowa Bożego. Nieraz ktoś zdumiony pyta, jak to możliwe, żeby ksiądz nie znał Ewangelii i żeby brak mu było właściwego poznania Chrystusa. Z bolesnym wstydem wyznaję, że istotnie tak się przedstawiała sprawa. Jezus był dla nas przede wszystkim wielkim przykładem, niedościgłym wzorem moralnego, prawego życia, ideałem sprawiedliwości społecznej i gospodarczej. Z tej racji angażowałem się we „wspólnotę braterską” i „działalność dobroczynną”.

Duchowe nowe narodziny

Lecz łaskawy Bóg powiódł mnie ku prawdziwym nowym narodzinom w Chrystusie Jezusie i otworzył przede mną swe Słowo. Na skutki nie trzeba było długo czekać, choć okazały się bolesne. Ze względu na krzyż Jezusa i Jego łaskę musiałem wyrzec się wszystkiego. W świetle Ewangelii odkryłem, kim w istocie jestem: osobą do cna grzeszną, niezdolną do dobra, skłonną do zła. Nie ma we mnie nic dobrego, tak mówi Biblia! Wyjawiała mi ona, iż utraciłem nadzieję zbawienia i zmierzam prosto ku zgubie, jak jasno pisze apostoł w Liście do Efezjan. Bóg nie znalazł we mnie nic dobrego! Mimo dziesięciu lat pilnej pracy w kościele rzymskim! Według Pawła u Boga nasza gorliwość nie jest nic warta. Sądziłem, iż ona właśnie jest atutem, który stawia mnie przed Bogiem w dobrym świetle. Myliłem się — było wręcz przeciwnie. „Wiem, że nie ma we mnie nic dobrego!” — woła Paweł. Zbawienie poza Chrystusem nie istnieje. Musimy zwrócić się do łaski Bożej. Innej drogi nie ma. Biblia uczy, że wszyscy zgrzeszyli i nie są godni łaski Bożej w Jezusie Chrystusie. Co do tego Pismo Święte nie pozostawia cienia wątpliwości. Status sprawiedliwego mogą ludzie uzyskać przez wiarę, niezależnie od uczynków prawa. Pragnę podkreślić: Biblia nie daje tu miejsca na kompromis. Nie ma ścieżki pośredniej między prawdą a kłamstwami. Albo prawda, albo kłamstwo! Jak łatwo za sprawiedliwych uznać ludzi pobożnych, wciąż uczęszczających na rozmaite nabożeństwa. Bóg jednak zniszczył głęboko we mnie zakorzenioną, ale niebezpieczną skłonność do zbawiania się na własną rękę. Jakże głęboko tkwi ona w nas! Rodzimy się z nią. Wątpię, czy istnieje taki ktoś, kto z serca pragnąłby żyć „tylko łaską”. Po cichu liczymy na to, że mimo wszystko znajdzie się w nas samych coś dobrego; jesteśmy zbyt dumni, żeby przyznać, iż jest inaczej. Tymczasem cała Biblia roztacza nad nami atmosferę Boskiej łaski. Grzesznik może być usprawiedliwiony tylko łaską, przez wiarę, bez żadnej zasługi ze swej strony.

„Poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi” (J 8,32).

Toon Vanhuysse, nawrócony ksiądz

Belg Toon Vanhuysse służy dziś Panu w rodzinnej Belgii w kościele reformowanym. Współpracował też z misją Na Ulicę Prostą Hermana Heggera z Velp. Można się z nim kontaktować pod adresem: Toon Vanhuysse, Sint Niklaasstraat 4, 3745 Eigenbl, Belgia.

Ksiądz, który znalazł Chrystusa

Świadectwo nawróconego księdza Josepha Zachella

Urodziłem się w Wenecji 22 marca 1917 roku. Kiedy miałem dziesięć lat, posłano mnie do seminarium rzymskokatolickiego w Piacenzy, gdzie po 12 latach studiów 22 października 1939 roku przyjąłem święcenia kapłańskie. Dwa miesiące później mój przełożony kardynał R. Rossi wysłał mnie do Ameryki jako wikariusza w nowej parafii włoskojęzycznej — Matki Boskiej Cabrini w Chicago. Cztery lata wygłaszałem więc kazania w Chicago, później w Nowym Jorku, nigdy nie zastanawiając się, czy moje nauki zgadzają się z Biblią. Jedyną moją troską i ambicją było zadowolić papieża. Pewnej niedzieli w lutym 1944 roku włączywszy radio niechcący natrafiłem na stację protestancką. Ktoś mówił kazanie. Już miałem zmienić stację — nie wolno nam było słuchać protestanckich kazań — ale coś mnie zaciekawiło i nie wiedzieć czemu słuchałem dalej. I moja teologia przeżyła trzęsienie ziemi z powodu jednego ustępu biblijnego: „Uwierz w Pana Jezusa Chrystusa, a będziesz zbawiony”. Nie było zatem grzechem przeciw Duchowi Świętemu wierzyć, że jest się zbawionym! Jeszcze się nie nawróciłem, lecz mój umysł kipiał od wątpliwości co do religii rzymskiej. Nauki Biblii zaczęły mnie obchodzić bardziej niż dogmaty i dekrety papieża. Biedni ludzie dawali mi co dnia od pięciu do trzydziestu dolarów za dwudziestominutowy obrzęd zwany mszą; wmówiłem im, że uwolni to dusze ich bliskich od cierpień w czyśćcu. Ale ilekroć zerkąłem na wielki krucyfiks na ołtarzu, zdawało mi się, że Chrystus wyrzuca mi: „Fałszywymi obietnicami wyludzasz pieniądze od biednych, spracowanych ludzi. Nauczasz wbrew Mojej nauce. Dusze wierzących nie idą na miejsce męki, bo Ja rzekłem:

„Błogosławieni są odtąd umarli, którzy w Panu umierają. Zaprawdę mówi Duch im, aby odpoczywali od prac swoich, a uczynki ich idą za nimi” (Obj 14,13).

Nie trzeba powtarzać ofiary krzyża, Moja ofiara została spełniona. Moje dzieło zbawienia jest doskonałe, Bóg to potwierdził wzbudzając Mnie z martwych.

„A wszelki kapłan stoi na każdy dzień, służbę Bożą odprawując, a jednakże ofiary częstokroć ofiarując, które nigdy grzechów zgładzić nie mogą” (Hbr 10,14).

Jeśli wy, kapłani i papież, macie moc uwalniania dusz z czyśćca przez msze i odpusty, po cóż czekacie na ofiary pieniężne? Gdy widzicie psa, który wpadł do ogniska, czy czekacie z ratunkiem do chwili, aż właściciel wręczy wam pięć dolarów?. Nie mogłem już znieść krucyfiks przy ołtarzu. Ilekroć nauczałem, że papież jest namiestnikiem Chrystusa, następcą Piotra, niewzruszoną skałą, na której Chrystus wznosił swój kościół, jakiś głos zdawał się mnie gromić: „Widziałeś w Rzymie papieża: przepyszny pałac, gwardię, ludzi całujących jego stopy. Czy naprawdę sądzisz, że on Mnie reprezentuje? Ja przyszedłem służyć, to Ja obmywałem ludziom stopy. Nie miałem gdzie głowy złożyć. Spójrz na ten krzyż. Czy naprawdę uważasz, że Bóg zbudował swój kościół na człowieku, skoro Pismo jasno mówi, że Zastępcą Chrystusa na ziemi jest Duch Święty, a nie żaden człowiek (J 14,26) „... tą skałą był Chrystus” (1Kor 10,4 BT). Jeśli kościół rzymskokatolicki jest zbudowany na człowieku, to nie jest to Mój kościół. Głosiłem, że Biblia nie jest wystarczającą regułą wiary, a do rozumienia Pisma Świętego potrzeba tradycji i dogmatów kościoła. Ale wewnętrzny głos mówił: „Głosisz przeciwko nauce Pisma, głosisz absurdy. Jeśli chrześcijanom do zrozumienia Biblii potrzebny jest papież, to co jest potrzebne do zrozumienia papieża? Potępiłem tradycję, ponieważ każdy może pojąć to, co konieczne do zbawienia.

„Ale te są napisane, abyście wy wierzyli, że Jezus jest Chrystus, Syn Boży, a żebyście wierząc żywot mieli w imieniu jego” (J 20,31).

Zalecałem parafianom, aby zwracali się do Maryi, do świętych — zamiast wprost do Chrystusa. Lecz wewnętrzny głos pytał: „Kto cię zbawił na krzyżu? Kto zapłacił za twoją winę przelewając krew? Maria, święci czy Ja, Jezus? I ty, i wielu księży nie wierzyacie

w szkaplerze, nowenny, różańce, obrazy, świece — ale nie wyrzucacie ich z kościołów, bo twierdzicie, że prostym ludziom trzeba rzeczy prostych, by przypominały im o Bogu. Trzymacie je w kościołach, bo to dla was niezłe źródło dochodów. Ale Ja w Mym kościele nie chcę handlowania. Moi wierni mają oddawać cześć Mnie — Duchowi i Prawdzie. Bożki zniszcz, a parafian naucz modlić się i zwracać tylko do Mnie”. Najgorsze wątpliwości przychodziły w konfesjonale. Ludzie klękali, wyznając grzechy, a ja znakiem krzyża gwarantowałem, że mam moc odpuścić im. Ja — grzesznik, człowiek — zajmowałem miejsce Boga przywłaszczając sobie Jego prawo. Ten straszny głos przemawiał wtedy do głębi mego serca: „Odzierasza Boga z należytą Jemu tylko chwałą. Jeśli grzesznicy chcą otrzymać przebaczenie grzechów, muszą się udać do Boga, a nie do ciebie. To Boże prawo złamali. A zatem przed Bogiem muszą się spowiadać, tylko Boga mogą prosić o przebaczenie. Żaden człowiek nie może odpuszczać grzechów — ale Jezus może to czynić i przebacza”.

„A urodzi syna, i nazowiesz imię jego Jezus; albowiem on zbawi lud swój od grzechów ich” (Mt 1,21).

„I nie masz w żadnym innym zbawienia; albowiem nie masz żadnego imienia pod niebem, danego ludziom, przez które byśmy mogli być zbawieni” (Dz 4,12).

„Dziatek moje! to wam piszę, abyście nie grzeszyli; i jeźliby kto zgrzeszył, mamy orędownika u Ojca, Jezusa Chrystusa sprawiedliwego” (1J 2,1).

Nie ma tu mowy o konfesjonale ani o procedurze spowiedzi, w której wyznawszy grzechy kapłanowi możemy otrzymać rozgrzeszenie.

„Kto wierzy w Syna, ma żywot wieczny; ale kto nie wierzy Synowi, nie ogląda żywota, lecz gniew Boży zostaje nad nim” (J 3,36).

„Jeźlibyśmy wyznali grzechy nasze, wierny jest Bóg i sprawiedliwy, aby nam odpuścił grzechy i oczyścił nas od wszelkiej nieprawości” (1J 1,9).

„Przetoż mamy za to, że człowiek bywa usprawiedliwiony wiarą bez uczynków zakonu” (Rz 3,28).

Usprawiedliwieni tedy z wiary, pokój mamy z Bogiem przez Pana naszego, Jezusa Chrystusa (Rz 5,1; BW).

„Albowiem łaską jesteście zbawieni przez wiarę, i to nie jest z was, dar to Boży jest” (Ef 2,8).

„Wierz w Pana Jezusa Chrystusa, a będziesz zbawiony, ty i dom twój” (Dz 16,31).

„Nie robiącemu zaś, lecz wierzącemu w tego, który usprawiedliwia niepobożnego, przy czytaniu bywa wiara jego za sprawiedliwość. Jako i Dawid powiada, że błogosławieństwo człowieka jest, któremu Bóg przyczyta sprawiedliwość bez uczynków” (Rz 4,5-6).

„A ponieważ z łaski, tedy już nie z uczynków, inaczej łaska już by nie była łaską” (Rz 11,6).¹

Dobre uczynki nie są w żadnym razie sposobem na zbawienie ani jego przyczyną — są natomiast jego skutkiem, owocem (Mt 7,20). Kościół rzymski po to wymaga uczynków oraz sakramentów udzielanych przez kapłana dla otrzymania łaski Bożej, by utrzymać wiernych w poddaństwie kapłanowi i papieżowi, aby nadal sprawowali władzę nad narodami. Nie mogłem dłużej pozostać w kościele rzymskokatolickim, bo nie mogłem służyć dwóm panom jednocześnie: papieżowi i Chrystusowi. Nie mogłem też wierzyć w dwie sprzeczne ze sobą nauki: tradycję i Biblię. Musiałem wybierać między Chrystusem a papieżem i między tradycją a Biblią. Dzięki łasce Bożej wybrałem Chrystusa i Biblię. W 1944 roku porzuciłem kapłaństwo rzymskie i rzymską religię, a Duch Święty uczył mnie ewangelizować katolików i zachęcać wierzących, aby bez lęku składali im świadectwo.

Joseph Zachello, nawrócony ksiądz

Urodzony na północy Włoch Joseph Zachello nawrócił się w Stanach Zjednoczonych. Zastąpił jako autor książek i artykułów w czasopiśmie *The Converted Catholic Magazine* (Pismo nawróconych katolików). Pragnął ukazywać katolikom faktyczną naukę ich kościoła, wierząc, że tylko będąc jej świadomymi pobożni katolicy zdecydują się na opowiedzenie się za prawdą Pisma Świętego. Brat Zachello odszedł już do Pana.

¹ Zob. też: Gal 3,11; 2Tym 1,9; Tt 3,5; Łk 17,10; 1Kor 15,10; 2Kor 3,5; J 3,16; Dz 13,39; Gal 2,16; Flp 3,9

Słowo Boże przyszło mi na pomoc

Świadectwo nawróconego księdza Josepha Lulicha

Nazywam się Joseph Lulich. Z radością dzielę się z Wami tym, co w moim życiu uczyniła łaska Boża. Piszę jako człowiek już podeszły wiekiem, który większość lat przeżył jako były ksiądz. Najpierw 14 lat wiernie służyłem kościołowi rzymskiemu, potem zaś Bóg używał mnie, abym głosił Jego chwalebny Ewangelię na jednym z obszarów tego potrzebującego świata. Urodziłem się pod północno-wschodnią granicą Włoch, tam też spędziłem dzieciństwo. Wzrastałem w strasznej zawierusze I wojny światowej, lękając się przyszłości. Gdy miałem 12 lat, ojciec oddał mnie na nauki do klasztoru. Dobrze pamiętam pożegnanie z rodziną. Choć byłem jeszcze mały, w głębi serca mocno pragnąłem wewnętrznego pokoju; chciałem być księdzem i pomagać innym w ich fizycznych i duchowych potrzebach. Minęło kolejnych 15 lat. Cały swój czas poświęcałem nauce, modlitwie i dobrym uczynom, szykując się do posługi kapłańskiej. Kiedy jednak przyszła chwila prymicji, odbywających się w moim rodzinnym mieście, odczułem gorzkie rozczarowanie. W mojej duszy nie było utęsknionego pokoju.

Strach

Formalnie przygotowano mnie dobrze: filozofia, teologia, kurs medyczny, języki, wytrzymałość na trudy fizyczne i duchowe. Przyjąłem święcenia kapłańskie, gotów po kres życia służyć kościołowi katolickiemu. I doznawałem tej samej udręki, jaką niegdyś przeżywał Marcin Luter. Długie miesiące postów, modlitw itd. nie dawały wcale pewności przebaczenia grzechów. Bałem się piekła i czyśćca, lecz teologia mojego kościoła nie dopuszczała wątpliwości. Musiałem uznać jego nieomyślność i autorytet, zaufać jako jedynej drodze zbawienia. W kontaktach z innymi spragnionymi duszami, które zwracały się do mnie o słowo pociechy, nie czułem się uprawniony, by przemawiać w imieniu Chrystusa. Wielekroć na polu bitwy czy po bombardowaniu nie podnosiłem wcale ręki nad umierającymi i nie wymawiałem słów: „Ja odpuszczam twoje grzechy...”; mówiłem im za to o ukrzyżowanym Chrystusie — Odkupicielu. Patrząc wstecz, myślę, że byłem jak prorok Balaam, pod natchnieniem Ducha mówiący rzeczy, których sam nie pojmuje. Postępowałem właściwie wbrew swemu sumieniu, wbrew nauce, jaką mi przekazano. Podzieliłem się tym kiedyś z innym księdzem, który był mocno rozczarowany, że nie stosuję władzy, w którą wyposażył mnie kościół. Po II wojnie przeszedłem wiele w komunistycznej Jugosławii. Nie będę opisywał cierpień fizycznych, powiem tyle, że dzień i noc towarzyszył mi strach. Co noc któregoś z moich towarzyszy zabierano w nieznanym kierunku. Myślałem, że jeśli komuniści mnie zabiją, to stanę męczennikiem kościoła; jednak myśl ta nie rozwiewała niepewności co do przebaczenia grzechów. Prosiłem: „Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za mną grzesznym w godzinie śmierci mojej”, ale nie opuszczał mnie strach przed sądem Bożym, piekłem i czyśćcem.

Radosna praca, bolesne zwątpienia

Po paru miesiącach zbiegłem do północnych Włoch; przeżyłem tam trzy lata pracując wśród ubogich. Zorganizowałem grupę tysiąca bezdomnych i bezrobotnych; dwustu dzieciom, w większości nieślubnym, zapewniłem żywność, odzież, szkołę. Ludzie narzekali na papieża, biskupów i kościół, ale mnie kochali, nie jako księdza, lecz dobrego, uczciwego człowieka. Ufali mi i słuchali mnie, choć biskupa z sąsiedniego miasta obrzucili kamieniami, gdy

przyjechał z wizytą. Pamiętam, że gdy jednego dnia odprawiałem mszę pod gołym niebem, znalazło się na niej ponad 20 kobiet lekkiego prowadzenia, trochę komunistów i sporo ludzi żyjących w grzechu. Czytałem wtedy o spotkaniu Jezusa z cudzołożnicą, której rzekł: „Idź, a od tej chwili już nie grzesz”. Bardzo się wzruszyli, jak zresztą i ja. Pojąłem, że tylko Chrystus może przebaczać grzechy, a nie mogę tego ja, ksiądz. Zachęciłem, by poszli w jej ślady, udzieliłem im komunii. Wiedziałem jednak, że nauczam wbrew kościołowi. Nocami nie mogłem spać. A moi parafianie się zmieniali. W gazetach podawano zawsze dane o przestępczości w naszym rejonie — i w końcu w ogóle przestano je drukować. Wieczorami młodzież śpiewała: „Chrystus Królem”. W 1950 roku zostałem kapelanem na włoskim statku pasażerskim kursującym po całym świecie. Zawijaliśmy do portów Azji, Afryki, Indonezji, Australii. Toczyłem wewnętrzną walkę, biorąc każdą wątpliwość za dzieło diabła. Kiedyś pierwszy raz w życiu natknąłem się na protestantów. Zawsze słyszałem, że gałęzie odcięte od Chrystusa nie przynoszą owocu, a gałęzmi takimi są protestanci. Ale ja dostrzegłem u nich wiele dobrego. Nie zapomnę jednego Bożego Narodzenia pośród Oceanu Indyjskiego. Nie zdołałem zorganizować chóru i pięć protestanckich dziewcząt zapytało, czy mogą zaśpiewać kolędy. Wszyscy katolicy bardzo się występem wzruszyli, a najmocniej ja. Wewnętrzny konflikt narastał; moja wiara i zaufanie do kościoła katolickiego słabły. Musiałem je odświeżyć.

Słowo Boże przyszło mi na pomoc

Aby zrozumieć moje lęki i zwątpienie, trzeba wiedzieć, że jako katolicki ksiądz nie miałem nigdy przedtem do czynienia z protestantami, stąd bałem się, że będę teraz o to oskarżony i zesłany na całe życie do jakiegoś klasztoru na krańcu świata. Straszliwe sztormy, jakie przeszedłem na Atlantyku, były niczym wobec zawieruch w mej duszy. Nie wierzyłem już w autorytet kościoła — lecz gdzie miałem szukać ratunku? Wtedy Słowo Boże przyszło mi na pomoc, stając się duchowym źródłem mocy i odwagi, abym mógł stanąć naprzeciwko światu. Wyraźnie przemówiły do mnie proste słowa Jezusa, a Duch Święty oświecił moją duszę, dając pokój płynący z odpuszczenia grzechów i radość, jaką tylko Bóg może dać człowiekowi wierzącemu w słowa:

„Rzekł mu Jezus: Jamci jest ta droga, i prawda, i żywot; żaden nie przychodzi do Ojca, tylko przez mię” (J 14,6).

Ufność, że to Jezus daje zbawienie, nadała kierunek memu życiu. Tylko Chrystus mógł dać mi prawdę i tylko w Nim mogłem otrzymać życie, radość, pokój i sens. Musiałem opuścić oficerów i załogę. Bardzo mnie pokochali — ale nie potrafili pogodzić się z moją decyzją. Musiałem skryć się przed przełożonymi, rodziną, przyjaciółmi. Jako człowiek objęty ekskomunikacją byłem nikim, nie miałem pracy, zamykały się przede mną wszystkie drzwi. Lecz — chwała Bogu — pokój w duszy pozwolił mi bez lęku przetrwać ten okres życia.

Pan się wiernie o mnie troszczył

Wyjechałem do Kanady, gdzie przez dziewięć miesięcy pracowałem w szpitalu jako pielęgniarz. W porównaniu z rejsem na pokładzie pierwszej klasy statku oceanicznego była to praca ciężka. Gdy nie przedłużono mi wizy, wróciłem do Włoch i jakiś czas mieszkałem z siostrą, uciekinierką polityczną. Rodzina naciskała, abym wrócił na łono kościoła rzymskiego, bo nie dam sobie rady. Wtedy to natknąłem się na dwu nawróconych księży (dziś pastorów ewangelikalnych). Dobrze rozumieli me położenie i bardzo mi pomogli. Dostałem pracę nauczyciela w sierocińcu; skontaktowano mnie też z Zachodnim Kolegium Biblijnym w Stanach Zjednoczonych, dokąd wkrótce udałem się na studia biblijne. Był to dla mnie czas wzrostu duchowego i poszerzania wiedzy akademickiej; za pośrednictwem uczelni zapoznałem się z kilkoma miejscowymi kościołami. Czulem, że muszę wrócić do Włoch na misje. Itak zrobiłem, a Pan wiernie dbał o me potrzeby, tak że w ciągu ostatnich 25 lat tylko raz byłem zmuszony jechać do Stanów. Po powrocie do Włoch otrzymałem od Pana wierną towarzyszkę i długoletnią współpracownicę w dziele Ewangelii: moją żonę Agnes. Z powodów rodzinnych trafiłem z powrotem tam, gdzie przed laty pełniłem posługę katolickiego kapłana. Tym razem praca okazała się nader trudna. Ciągłe kontrolowała nas policja. Ostro występował przeciw nam biskup, starając się nas stamtąd wyrzucić. Mieszkańcy nienawidzili nas.

Musiałem ścierać plwocinę z drzwi do skromnego miejsca spotkań i zamalowywać brzydkie napisy na murach.

Głos na pustyni

Z czasem zdobyliśmy jednak zaufanie ludzi. Po czterystu latach od chwili, gdy prześladowania wyгнаły stąd ostatnią rodzinę ewangelikalną, Pan dał nam zaznać radości z kościoła rosnącego ku Jego chwale w miasteczku Rovigo, gdzie mieszkam po dziś dzień. Wiedziałem, że z powodu mojej przeszłości jestem najgorszym z możliwych kandydatów, których Bóg mógłby wykorzystać w tak nieprzyjaznym otoczeniu. Miłosierny Bóg potrafił jednak uczynić ze mnie swe narzędzie. Nasz kościół to spora grupa, w tym wiele młodych małżeństw. Rośniemy w Panu. Kiedy położył nam On na sercu sprawę rozwoju, musieliśmy pokonać obojętność i niechęć otoczenia. Pan pozwolił nam uruchomić własną stację radiową, rozwijającą się pomimo licznych trudności. Ukradziono nam sprzęt, lecz On okazywał nam dobroć i poprowadził do zwycięstwa. Liczne listy, jakie do nas przychodzą, dowodzą, że radia się słucha, i to z przyjemnością, my zaś nadal pracujemy nad jakością naszej posługi dla bliźnich, którzy żyją w ciemności, tak jak niegdyś żyliśmy i my. Jak sugeruje nazwa naszej stacji radiowej, chcemy być jak Jan Chrzciciel „Głosem na Pustyni” i wskazywać ludziom na Baranka Bożego, jedynego, który może zgładzić grzechy świata.

Joseph Lulich, nawrócony ksiądz

Pod koniec 1996 roku brat Joseph Lulich odszedł do Pana. Aż do końca energicznie służył Bogu, głosząc Dobrą Nowinę. Przez długie lata Pan obdarzał go obfitym owocem indywidualnej ewangelizacji i pracy radiowej.

Obrządki, ceremonie — i spotkanie z Bogiem

Świadectwo nawróconego księdza Orlanda Moliny

W bardzo młodym wieku wstąpiłem do seminarium Salezjanów, aby przygotować się do posługi kapłana. Pragnąłem zbawiać dusze i osiągnąć doskonałość. Kapłaństwo równało się w moich oczach byciu Chrystusem. Lecz gdy już zostałem kapłanem, zrozumiałem, że służę przede wszystkim interesom organizacji, w której mnóstwo jest ludzkich ambicji i egoizmu. Nie potrafiłem znaleźć zadowolenia i pokoju dla własnej duszy, nie mówiąc już o duszach innych. Jako przyszły kapłan, musiałem zerwać praktycznie wszelkie kontakty z rodzicami, krewnymi i przyjaciółmi, świat ich bowiem — świat szkodliwy, iście radioaktywny — mógłby okazać się niebezpieczny dla mego stanu duchowego. Musiałem też wyrzec się własnej osobowości, woli i wolności, aby zawsze czynić to, czego oczekiwali przełożeni. Podczas studiów byłem niczym sierota pośród wielu ojców- lecz bez matki. Zapewne z tego powodu w sposób naturalny przelewałem swe uczucia ku Maryi Pannie. Modliłem się do niej jako do „Matki Bożej”, nieświadomy, iż niemożliwe jest, by osoba stworzona stała się „rodzicielką Boga”. Podczas studiów teologicznych we Włoszech spostrzegłem w Biblii wiele spraw, których nie potrafiłem dopasować do doktryny rzymskokatolickiej. Wiele wątpliwości powstało we mnie także pod wpływem studiów historii kościoła, kiedy dowiedziałem się, jak często mój kościół musiał korygować błędy „nieomylnych papieży” i poprawiać złe dekryty i prawa wcześniejszych soborów. Podczas pobytu w Londynie na nauce angielskiego starałem się znaleźć wewnętrzny pokój, którego nie mogłem jakoś zaznać w kościele katolickim. Zawarłem szereg znajomości, rozmawiałem z protestanckimi pastorami. Zacząłem dochodzić do wniosku, że ludzie ci są o wiele bliżej Jezusa niż ja — dotychczas bowiem podobnie jak wielu księży uważałem się za lepszego od „zwykłych” ludzi. Nadszedł jednak dzień, gdy pojąłem, że jestem politowania godnym grzesznikiem, jak wszyscy, który musi się zwrócić do Boga o miłosierdzie i przebaczenie. Czytając Biblię, nie mogłem się nadziwić tak często pojawiającemu się w niej stwierdzeniu, że „zbawionym” (czyli uznanym przez Boga i znającym Go) można zostać przez zaufanie Bogu, a nie przez wykonywanie dobrych uczynków. Uświadomiłem sobie, że muszę odnaleźć Jezusa osobiście. Pojąłem, że wszystkie moje rzekome dobre uczynki to wyraz egoizmu i że kala je grzech. Pozostało mi prosić Boga o przebaczenie i zmiłowanie. Całą ufność złożyłem w Chrystusie, wierząc, że na krzyżu cierpiał i umierał za moje grzechy. Zbliżywszy się do Chrystusa w ten sposób, po raz pierwszy w życiu odczułem, że Chrystus mi przebaczył; poczułem miłość i bliskość Boga, dotąd mi nie znaną. Opuściłem zakon i zerwałem z kościołem katolickim.

„Owszem i wszystko poczytam sobie za szkodę dla zacności znajomości Chrystusa Jezusa, Pana mojego, dla którego wszystko utracił i mam to sobie za gnój, abym Chrystusa zyskał, I był znaleziony w nim, nie mając sprawiedliwości mojej, tej która jest z zakonu, ale tę, która jest przez wiarę Chrystusową, to jest sprawiedliwość z Boga, która jest przez wiarę” (Flp 3,8-9).

Orlando Molina, nawrócony ksiądz

Po swym nawróceniu Orlando Molina poświęcił się pracy ewangelizacyjnej. Obecnie jest pastorem w Finlandii. Adres: O. Molina, Kaupintie 15 A 8, 00 440 Helsinki 44, Finlandia.

Światłość nad Polską

świadełstwo nawróconego księdza Romana Mazierskiego

Urodziłem się w Polsce, kraju, gdzie około 92 procent mieszkańców przyznawało się — przynajmniej formalnie — do wyznania rzymskokatolickiego. Przyszedłem na świat w rodzinie typowo katolickiej. W wieku siedmiu lat zacząłem naukę w szkole powszechnej, gdzie mieliśmy też lekcje religii, prowadzone przez księdza, poświęcone niektórym historiom ze Starego i Nowego Testamentu oraz definicjom katechizmowym.

Serce spragnione Boga

W moim sercu zaczęło wtedy rosnać podwójne pragnienie: znaleźć się bliżej Jezusa i zdobyć większą wiedzę na temat Boga. Mógłbym to nazwać powołaniem Bożym, tyle że w owym czasie nie miałem pojęcia ani o tym, że to Jego wezwanie, ani o tym, jak można je wypełnić. Nie mogłem szukać wskazówek w Słowie Bożym, gdyż Biblii nie posiadaliśmy. Do zakupu Pisma świętego nie zachęcano ani dzieci, ani dorosłych; co więcej, wyższe duchowieństwo szerzyło pogłoski, iż lektura taka może się okazać niebezpieczna, bo Pismo zawiera załączki herezji, które tylko kościół jest w stanie rozpoznać, wybierając ustępy, jakie można bez szkody odczytywać na niedzielnej mszy. Co niedziela szkolni nauczyciele prowadzili nas do pobliskiego kościoła, ale ponieważ mszę odprawiano po łacinie, nie rozumieliśmy ani słowa. Długie lata serce pozostawało zlaknione Boga i Jego prawdy.

Duchowe tortury

Podczas młodych lat katolika jest przynajmniej jedna chwila, w której ma on okazję zbliżyć się do Jezusa: uroczystość pierwszej komunii świętej. Niestety, w moim wypadku przyniosła ona tylko gorzkie rozczarowanie. Czemu? Bo przed pierwszą komunią 8- i 9-letnie dzieci muszą iść do pierwszej spowiedzi, to zaś wymaga długich i starannych przygotowań. W trakcie półrocznych przygotowań ksiądz katecheta nie próbował nawet wlać w młode serca ufności i miłości do Jezusa; nie omieszczał natomiast straszyć nas i przerażać, raz po raz przypominając, iż nieodzownie trzeba wyznać w konfesjonale absolutnie wszystkie grzechy „śmiertelne”, bo w przeciwnym razie winni świętokradztwa na wieki trafimy do piekła. Z punktu widzenia rzymskiej teologii spowiedzi katecheta spisał się rzecz jasna dobrze, ale jakimż okrucieństwem jest odciskanie na młodziutkim umyśle nauki tak bezlitosnej, zdolnej złamać serce i do końca życia napawać przerażeniem. Nie mieliśmy szans rozmyślać o spotkaniu z Jezusem, skupiając się na trudnym zadaniu zapamiętania wszystkich grzechów (nie umieliśmy ocenić, który jest na pewno śmiertelny, a który nie) i dokładnego powtórzenia ich księdzu. Była to istna tortura umysłu, dokonywana w atmosferze dojmującego lęku przed potępieniem wiecznym. Niektóre dzieci prosiły rodziców o przypominanie im grzechów, inne trawiły całe godziny na sporządzaniu długiej listy przewinień i kuciu jej na pamięć, ale nie sposób było pozbyć się obawy, iż w kluczowym punkcie spowiedzi o którymś zapomnimy. Niektórzy zabierali spis do kościoła i w konfesjonale usiłovali czytać ukradkiem, drżąc ze strachu, gdyż taka praktyka była zabroniona. Strach ten pozostał w wielu sercach do końca życia; osłabiając i paraliżując wolność wyboru, doprowadził do ślepej uległości wobec duchowej dyktatury kościoła i duchowieństwa. Wystarczyło potem powiedzieć takiej osobie, że ma słuchać tylko kościoła, choćby i wbrew sumieniu, że nie wolno jej chodzić na „herezyczne” spotkania, gdzie głosi się niesfałszowaną Ewangelię, że nie wolno ani przez chwilę

myśleć o opuszczeniu kościoła, bo za to grozi ekskomunika, a po śmierci wieczne potępienie. Doprowadziło to wiele dzieci do duchowego kalectwa, a nieraz przyczyniało się do chorób fizycznych, dręczących je do końca życia. Spotykałem ofiary takiego terroru religijnego, zawsze wywoływały one we mnie głęboki wstrząs.

Do seminarium

Po szkole powszechnej i gimnazjum musiałem postanowić odalonych swoich poczynaniach. Wciąż słyszałem przyzywający mnie głos Boży i czułem pragnienie oddania Bogu całego życia. Jak jednak miałem tego dokonać? Uczono mnie, że jedyną drogą do Boga jest Jego jedyny prawdziwy kościół: kościół rzymski. Nie widziałem więc innego wyjścia jak zdecydować się na posługę kapłana w tymże jedynym prawdziwym kościele. Wszystkie inne kościoły ogłoszono fałszywymi, heretyckimi i antychrystowymi — a ja w to święcie wierzyłem. Zapisalem się na Wydział Teologiczny Uniwersytetu Lwowskiego. Studenci mieszkali w seminarium na wzgórzu, budowli przypominającej klasztor, otoczonej wysokim murem, małymi celami i długimi korytarzami. Zrazu było mi tam bardzo dobrze. Wszystko wydawało się inne niż świat zewnętrzny, jakby specjalnie pomyślane po to, aby zbliżyć nas do Boga i Zbawcy. Życie obracało się wokół dwóch spraw: czytań duchownych i studiów teologicznych. Obie miały — jak się zdawało — pogłębiać naszą więź z Bogiem przez Jego Syna Jezusa Chrystusa. Z młodzieńczym zapałem i ufnością przerabiałem wszystkie czytania duchowne, jakie nakazywał i zalecał kościół; co dzień uczestniczyłem w jednej czy dwu mszach, rano przystępowałem do komunii, raz w tygodniu spowiadałem się. Gorliwie oddawałem się rozważaniom i modlitwom, brałem udział w niesporach, odmawiałem różaniec i litanie, czytałem biografie kanonizowanych świętych i szczerze próbowałem ich naśladować. Wkrótce zyskałem sobie renomę jednego z najpilniejszych seminarzystów.

Rozterki kleryka

Wszystkie te wysiłki i „zasługi” nie zbliżyły mnie jednak do Zbawcy. Byłem rozczarowany; lecz przecież przede mną ktoś inny próbował już tych samych metod: apostoł Paweł, który przed nawróceniem jako wierny faryzeusz starał się osiągnąć osobistą sprawiedliwość własnymi wysiłkami, według nauki rabinów, wypełniając określone przepisy Prawa. To jednak nie pomogło mu pojednać się z Bogiem, jak szczerze wyznaje (3 rozdział Listu do Filipian). Nie pomogło również i mnie. Klerycy częstokroć uczestniczyli w długich, ale przepięknych liturgiach w lwowskiej katedrze. Koncelebrował je arcybiskup bądź biskup w asyście liczego duchowieństwa, odzianego w srebrzyste i złociste ornaty mieniące się drogimi kamieniami. Ołtarz główny, przyozdobiony kwieciami i migocący mnóstwem świec i świateł elektrycznych, woń kadzidła, powolne, pełne namaszczenia ruchy koncelebransów, średniowieczne śpiewy gregoriańskie — wszystko to tworzyło iście mistyczny nastrój, tak iż kościół wydawał się niejednemu prostaczce przedsiönkiem Niebios. Ale z czasem spostrzegłem, iż poruszające obrzędy mają charakter czysto zewnętrzny i brak im Ducha. Nieraz kapłani wykonywali je tak, iż zamierałem ze zgrozy; nietrudno było pojąć, że sami nie wierzą w to, co robią. Podczas tych uroczystości często nawet wyższe duchowieństwo gawędziło szeptem, opowiadając sobie żarty, a nawet dowcipkując o akurat celebrowanych częściach liturgii. Czasem odprawiali liturgię pośpiesznie, jak urzędnicy znudzeni pracą i chcący co prędzej wyrwać się do domu. Wtedy przypominały mi się gorzkie słowa Pana, przekazane ustami Jego proroka: „Przeto, że ten lud przybliży się do mnie usty swymi, a serce jego dalekie jest odemnie, a bojaźni, którą się mnie boją, z przykazań ludzkich nauczyli się” (Iz 29,13).

Przechodził mnie dreszcz na myśl, iż ja sam mógłbym się kiedyś stać jak jeden z nich; na podobieństwo tego, o czym pisał jeden z naszych wielkich poetów: „Bez serc, bez ducha, to szkieleców ludy”. Teologię definiuje się jako „naukę o Bogu”; by wiedzę tę osiągnąć, słuchaliśmy wykładów najwybitniejszych księży profesorów naszego uniwersytetu. Właśnie na zajęciach ze Starego i Nowego Testamentu pierwszy raz w życiu czytaliśmy i studiowaliśmy Biblię. Niektóre jej ustępy wykładowcy komentowali zwykłą pieczołowitością; używaliśmy zresztą tylko przekładu zatwierdzonego przez kościół, uzupełnianego na każdej stronie przypisaniami: oficjalną interpretacją kościoła. Nie wolno było czytać Pisma z pominięciem tych przypisów, tak aby nikt nie rozumiał go sprzecznie z intencją kościoła. Wkrótce spo-

strzegłem, iż przypisy raczej zaciemniają prostą wymowę Słowa, a bywa, że jej przeczą. Zaczęły mnie dręczyć wątpliwości; w końcu doszedłem do wniosku, że coś się mocno nie zgadza. Usiłując znaleźć wyjście z sytuacji badałem oficjalne doktryny kościoła, zwane dogmatami. I odkryłem, że niektóre wcale nie opierają się na Słowie Bożym, inne wręcz mu przeczą. W rozterce udałem się po radę do ojca duchownego, który miał nas ukierunkowywać i pomagać w pokonywaniu trudności duchowych. Wysłuchawszy mnie uważnie, dał taką odpowiedź: „Jak wiesz, w nauce naszego kościoła błędu być nie może, bo to jedyny prawdziwy kościół Chrystusa na ziemi. Jeśli coś jest nie w porządku, to co najwyżej z twym sumieniem, w którym jako człowiek młody buntujesz się przeciw władzy kościoła. Taka pokusa duchowa często dręczy młodych studentów teologii”. Poradził, bym się tym nie gryził i nie szukał rozwiązania problemu, ale starał się o nim zapomnieć. Stosując się do rady, usiłowałem zapomnieć o wątpliwościach. Tłumiłem głos sumienia, które stale, acz na próżno, ostrzegało, iż coś jest nie w porządku. Duchowa walka toczyła się przez całe studia; aż zdawszy wszystkie egzaminy stanąłem przed perspektywą święceń kapłańskich. Nadszedł czas trudnej decyzji. Wątpiący i pełen złych przeczuć, rozważałem rezygnację; ale nie chcąc polegać na uczuciach, zwróciłem się do jednego z najpobożniejszych i najbardziej doświadczonych lwowskich księży. Otwarłem przed nim serce, pytając, co począć. Odparł: „Nie ma powodu, byś zrezygnował ze święceń. Każdy miewa okresy zwątpień w naukę kościoła, ale to nie grzech, jeśli z nimi walczysz i starasz się je odrzucić. Tak czy inaczej po święceniach kapłańskich arcybiskup rychło porozysła was po parafiach. Będzie tyle do roboty, że nie zostanie ci ani chwili na myśli o wątpliwościach”. Rada podniosła mnie na duchu, przyjąłem zatem święcenia i zostałem kapłanem.

Rozterki kapłana

Po jakichś dwu tygodniach zostałem przez kancelarię arcybiskupa wysłany na mą pierwszą placówkę jako pomocnik wikariatu w jednym z miasteczek południowo-wschodniej Polski. Wikary widać uznał, że jestem za młody i za mało doświadczony, by pracować w mieście, toteż zlecił mi opiekę duchową nad chłopami z kilkunastu wsi należących do parafii. Widziałem, że moi biedni wieśniacy nie są wykształceni, ale szczerze oddani kościołowi, przede wszystkim zaś wszelkimi sposobami zabiegają o zbawienie. Współczułem nieraz im i ich dzieciom tej łatwowierności, każącej wierzyć w każde słowo księdza, którego mieli czcić ponad wszystko jako pośrednika między nimi a Bogiem i namiestnika Chrystusa. Ze złołąym sercem patrzyłem, jak księża umieją to wykorzystać, nie tylko wpajając wiernym średniowieczne zabobony, ale i strasząc ich wizjami piekła i czerpiąc z tej naiwności pokaźne zyski. Nie tak traktował Jezus tłumy, które za Nim chodziły. Jego przykład skłonił mnie do współczucia tym ludziom, bo są „jak owce bez pasterza,” uciskane przez najemników. Pan dał mi zapal do pracy; sądzę, że to z Jego natchnienia w nauce i kazaniach trzymałem się blisko Jego Słowa. Czułem, że jeśli coś jest nie w porządku, to na pewno nie w Ewangeliach. Jego wzór uczył mnie też nie straszyć ludzi, zwłaszcza dzieci. Na religii ukazywałem Jezusa jako miłującego Przyjaciela, którego nie trzeba się bać:

„Jezus zwoławszy ich, rzekł: Dopuście dziatkom przychodzić do mnie, a nie zabraniajcie im; albowiem takowych jest królestwo Boże” (Łk 18,16).

Czasem zdawało mi się, że powierzone mi duszyczki naprawę wiodę do Jezusa, samemu trwając jednak z dala. Zdażałem złą drogą, nie umiając znaleźć tej właściwej, do Niego. Pozostało mi jedno, które umiałem jako tako robić: modlitwa. Zamykałem się w pustym kościele popołudniami, gdy nikt tam nie zachodził, albo późnymi wieczorami, gdy księżycowa poświata sącząc się przez witraże rozpraszała ciemności. Padałem na kolana, wołając: „Boże, pokaż mi drogę z ciemności do Ciebie, powiedz, co jest złe, a co dobre”. Modliłem się długie lata bez widocznej zmiany; rozterki trwały. Ale bywało, że miłosierny Pan dawał znać, że słyszy: Rozświecił promieniem swej światłości ciemność duszy, i w świetle tym widziałem, co słuszne, bo oparte na twardej skale Jego Słowa, a co niesłuszne, bo wzniesione na ruchomych piaskach ludzkich nauk i tradycji. W świetle tym system kościoła katolickiego i jego duch narażał się na Boże potępienie.

Uratowana od piekła

Być może kilka przykładów pozwoli unaocznic, co mam na myśli przez „promień Bożej światłości”. Jednego razu uboga chłopka przyprowadziła do mnie swą 16-letnią córkę, z płaczem skarżąc się na jej zachowanie

— Coś jej się stało. Przedtem była wesola, teraz oniczym innym nie mówi tylko o piekle i że na pewno pójdzie do piekła.

Nigdy nie słyszałem o takim przypadku. Zdumiony, patrzyłem na dziewczynę: bardzo blada, dziki wzrok. Opętana? Zadałem jedno czy dwa pytania; nie odpowiedziała, za to z niezdrowym uśmiechem zaczęła mówić o piekle. Pomyślałem, że na szczęście średniowiecze minęło, bo zapewne spłonęłaby na stosie jako czarownica. Ale co robić? Zwróciłem się do matki:

— A co pani o tym sądzi? Kiedy i jak się to zaczęło?

Z początku nie chciała nic mówić; dopiero potem zrozumiałem przyczynę: bała mi się narazić, ponieważ byłem księdzem. Kiedy jednak wyjaśniłem jej stanowczo, że nie poradzę na to nic, póki nie będę wiedział wszystkiego, zrazu z wahaniem, potem już śmielej opowiedziała całą historię.

— To było parę miesięcy przed przyjazdem księdza. Jedni zakonnicy prowadzili tu misje. Całe dwa tygodnie kościół był pełen, przychodzili nie tylko miastowi, ale ze wszystkich wiosek, z daleka. Córka chodziła na wszystkie nauki i zasłuchiwała się w nie. A oni mówili tylko o piekle, co to czeka na grzeszników. Jak odjeżdżali, córka kupiła u nich książkę i co dzień ją czyta. A tam wciąż ino to samo: zatracenie i piekło!

Skończyła opowieść płacząc, a ja już wiedziałem, co się stało. Jej córka była uczciwą dziewczyną, bo szczerze przyznała przed sobą, że jest grzesznicą. Ale spotkawszy zakonników, wyglądających w jej oczach zapewne na aniołów z nieba, głoszących piekło grzesznikom i opisujących najróżniejsze męki, doszła do logicznego wniosku: jako grzesznica, jest skazana na piekło. Straszliwe podejrzenie potwierdziła książka „misyjna”, zresztą zatwierdzona przez biskupa. Jakie katusze musiała cierpieć, nim wykształciła w sobie ten straszny uśmiech i stanęła na progu choroby psychicznej! Patrząc na tę jedną z licznych ofiar terroru kościoła, który reprezentowałem i któremu służyłem, czułem się współwinny. Wiedziałem, że muszę coś zrobić, aby uleczyć rany zadane przez duchową inkwizycję. Byłem tak wstrząśnięty, iż nie zwlekając poradziłem: — Proszę zabrać córkę do domu i od razu rzucić książkę w piec i spalić, żeby dziecko do niej nie zaglądało. Potem proszę ją zawieźć do ... [podałem nazwę najbliższego dużego miasta] do szpitala dla umysłowo chorych i opowiedzieć lekarzom to, co mi pani mówiła. Córka będzie tam musiała pewnie jakiś czas zostać, a my będziemy się modlić o jej uzdrowienie. Odeszły, a ja często wspominałem w modlitwach nieszczęsną dziewczynę. Minęło wiele miesięcy, aż jednego dnia kobieta ta znów pojawiła się u mnie z córką. Przyszła podziękować za radę.

— Zrobiłam wszystko, jak ksiądz kazał, i już odesłali ją do domu, zdrową — powiedziała.

Istotnie wyglądała lepiej, w oczach nie było już szaleństwa. Rozmawiałem z nią i odpowiadała dość rozsądnie, nie wspominając o piekle. Ale w oczach widziałem dziwny, najgłębszy smutek, jak gdyby milcząco pytała: „Czy jestem zbawiona, czy potępiona?” To było bardzo ważne pytanie — i dla niej, i dla mnie, i dla Ciebie. Od odpowiedzi na nie zależało nie tylko jej zdrowie, ale i życie wieczne. Zacząłem więc cierpliwie tłumaczyć biedactwu, że nasz Pan Jezus Chrystus przyszedł nie po to, by skazać nas na piekło, mimo że na to sobie zasłużyliśmy.

— Przyszedł, żeby ciebie zbawić. Po to ofiarował się za ciebie na krzyżu, przelał krew i umarł, abyś mogła być razem z Nim w niebie.

Kiedy to mówiłem, jej twarz, powoli niby promienie słońca, rozświetlał radosny uśmiech. I pozostał tam, jako znamię dziecięcia Bożego, które złożyło ufność w Bogu. Opadły kajdany strachu przed piekłem, jakimi spętali ją niegdyś owi zakonnicy, i dziewczyna wraz z matką wróciła do domu w pokoju i wolności dziecka Bożego.

Ofiary strachu

Ileż to razy Pan otwierał mi oczy na takie przypadki: zastraszone w dzieciństwie wizją wiecznego potępienia najwartościowsze osobowości o wrażliwym sumieniu przez lata żyły w psychozie lęku. Ludzie ci co tydzień, nieraz i co dzień, chodzili do spowiedzi, godzinami

wyznając spowiednikom grzechy i okoliczności ich popełnienia. Opuszczali konfesjonał wciąż pełni wątpliwości i lęku, że z tej czy innej przyczyny spowiedź okaże się nieważna, więc gdy umrą, pójdą do piekła. Ludzie tacy to prawdziwe utrapienie spowiedników; przygotowując się do kapłaństwa klerycy uczą się specjalnego postępowania z osobami cierpiącymi od „skrupułów”. Nic jednak nie jest w stanie uspokoić nieszczęśników co do tak istotnej sprawy: wiecznego zbawienia. Historia dziewczyny uleczonej z lęku ufnością do Zbawcy przypomina mi dużo tragiczniejsze dzieje innej osoby. Jej obraz do dziś staje mi przed oczyma, ilekroć na wakacjach zajeżdżam do rodzinnego miasta. Odwiedzając rodziców, miałem raz smutną okazję spotkać kuzyna, z którym chodziłem do szkoły powszechnej, a po lekcjach razem z innymi psociliśmy w sadzie. Dwa lata młodszy ode mnie, bystry, pupilek nauczycieli, po przygotowaniach do pierwszej spowiedzi i po pierwszej spowiedzi zmienił się nie do poznania. Przestał bawić się beztrąsko, zaszywając się w ustronnych zakątkach sadu. Czasem niechcący wpadaliśmy na niego — stał pod drzewem szepcząc coś do siebie. Matka pytała: „Co tobie, synu? Czemu gadasz sam do siebie?”, ale on milczał. Przestał być celującym uczniem, choć mozolił się nad lekcjami nieraz do późnej nocy. Był tak przerażony, iż nie umiał skupić się nad zadaniem. Gdy dorastał, lęk rósł wraz z nim, aż posiadł go bez reszty. Kuzyn nie zdołał ciągnąć rozpoczętych studiów; zaczynał pracę kolejno w kilku miejscach, ale z każdego rychło go zwalniano. „Nie umie skupić się na robocie” — narzekali pracodawcy. W dorosłym wieku żył więc z wdowiej renty matki. Nie mogli mu pomóc najwybitniejsi psychiatrzy. Po raz ostatni widziałem go tuż przed wybuchem II wojny światowej; miał wtedy około 35 lat. Nocami wystawał na środku swego pokoju, nie gasząc światła i patrząc na wprost przerażonym wzrokiem. Hitlerowcy wywieźli go do obozu. Pod czujnym okiem siepaczy trzeba było ciężko harować. Wysiłki kuzyna nie mogły ich zadowolić, a władz obozowych nie obchodziło, iż człowieka tego paraliżuje strach uniemożliwiający pracę. Bito go niemiłosiernie, aż po paru miesiącach zmarł. Taki był koniec niegdyś szczęśliwego chłopca, dumy i nadziei swych rodziców, do czasu, gdy jego wrażliwy umysł uległ terrorowi Rzymu. Mimo tych przeżyć i mimo wyraźnych rozbieżności między systemem rzymskim a Ewangelią Jezusa Chrystusa dalej uważałem, że to jedyny kościół Chrystusowy na ziemi. Tragiczne przypadki lekceważyłem, biorąc je za przewinienia konkretnych księży, którzy albo stali się nadgorliwi w swych wysiłkach zawładnięcia duszami i sumieniami (jako „bardziej katolicy niż sam papież”, gotowi użyć nawet niecznych środków, by osiągnąć „zbożny” cel), albo też stracili wiarę i jak karierowicze czysto automatycznie wypełniali oficjalne obowiązki. Czasami z przerażeniem myślałem, że blisko mi do tej drugiej grupy. Ale Pan nie dał mi stoczyć się w otchłań, choć wiele i długo musiał się z mym uporem. Oświecał mnie swym cudnym światłem, ukazując, co dobre, a co złe. Trwało to długie lata, ale Jego wskazówki były tak wyraziste i ważne, że na zawsze pozostały mi w pamięci.

Olśnienie

Zdarzyło się to jednego ranka na przedwiośniu, w typowy w Polsce szary, mokry dzień przeplatający śnieg z deszczem. Właśnie wróciłem do domu po odprawieniu porannej mszy, gdy zapukano do drzwi i do środka wszedł pewien woźnica.

— Pojedzie ksiądz z wiatykiem? Człowiek kona — poprosił.

— Już jadę — odparłem i poszedłem do kościoła po Przenajświętszy Sakrament i wszystko, co niezbędne w tej sytuacji.

Za kilka minut podskakiwałem już na niewygodnym słomianym siedzeniu chłopskiej furmanki. Gdy jechaliśmy ulicami miasteczka, furman dzwonił dzwonkiem, a ludzie kłękali chyłąc głowy przed Hostią, co było powszechnym zwyczajem w kraju, gdzie większość stanowili katolicy. Zajechaliśmy przed chałupkę na skraju miasteczka; wszedłem do ubogo urządzonej izby, tak niskiej, iż musiałem schylić głowę, by nie uderzyć w sufit. Musieli tu mieszkać bardzo biedni ludzie. Pośrodku stało wielkie łoże, wysłane słomą miast materaców i nakryte białym prześcieradłem. Na nim leżał konający. Nie był stary; liczył zdaje się 46 lat, ale wyglądał na bardzo wycieńczonego — chorobą, może biedą, ciężką pracą? Nie było czasu na pytania, spostrzegłem bowiem, iż nie zostało mu wiele czasu. Leżał na plecach, wpatrując się w sufit szeroko otwartymi oczyma i ciężko dysząc. Trzeba się było śpieszyć z ostatnim namaszczeniem. Zacząłem do niego mówić, chcąc przygotować go do spowiedzi i udzielić mu rozgrzeszenia, komunii i ostatniego namaszczenia. Przerwano mi jednak.

— Niech się ksiądz nie gniewa, ale on chyba nie słyszy. Jest nieprzytomny — odezwała się żona. Stała oparta o ścianę i gorzko płakała.

„Cóż” — pomyślałem — „kobiecina może się mylić, słuch mu się tylko pogorszył”. Krzyknąłem mu prosto w ucho:

— Przyszedł ksiądz! Przypomnij sobie grzechy i wyznaj mi!

Nie drgnął, nawet nie ruszył głową. Widać stracił słuch.

„Oczy otwarte... może widzi?” — pomyślałem.

Pragnąc dotrzeć do jego duszy, zanim opuści ten świat, i ostatnim namaszczeniem zadbać o jej zbawienie, stanąłem w nogach łóżka naprzeciw głowy konającego, w nadziei, że spojrzy ku mnie i na widok czarnej sutanny, białej koloratki i stuły pojmie, że to ostatnia szansa na wyznanie grzechów i rozgrzeszenie. Czekałem, i czekałem, ale nie popatrzył; widać stracił i wzrok. Postanowiłem spróbować przez zmysł dotyku. Wyjąłem z torby mały krucyfiks i lekko przycisnąłem mu do ust, licząc, że chory da znak, iż jest świadom, co się dzieje, i ucałuje krzyż. Ale to nie nastąpiło. Sprawa była beznadziejna. Stałem u łóża śmierci z całą moją władzą, z mocą zbawiania dusz i otwierania niebios— a nie mogłem zrobić nic. Wiedziałem co prawda ze studiów i zaleceń kościoła, iż mogę udzielić rozgrzeszenia warunkowego, mającego ważność i bez spowiedzi, ale pod warunkiem, że przed utratą świadomości chory szczerze żałował za grzechy. Cóż jednak, jeżeli nie żałował? Teologowie orzekliby, iż sam jest sobie winien. Jeśli zaś był w stanie grzechu „śmiertelnego”, to takie rozgrzeszenie warunkowe i tak by nie pomogło, i człowiek ów poszedłby do piekła. A przed tym chciałem go uchronić. Miałem dość kłopotów z własną duszą i za nic w świecie nie chciałem odpowiadać za potępienie biedaka. Stałem tak, przybity, choć wyposażony w arsenał środków, jakie posiada kościół, by ratować ginących. Okazały się niewystarczające, niepewne. Bezradnie patrzyłem na wychudłą, ziemistą twarz. Coś mnie uderzyło: usta się poruszały! Ciągle. Czyżby człowiek ten coś szeptał? A jeśli tak, to co? Ze swego miejsca nie słyszałem, dopiero gdy podszedłem, nachyliłem się i wytężyłem słuch, rozpoznałem słowa:

„Ojcze, w Twoje ręce powierzam ducha mego”. Słowa, które na krzyżu wypowiedział Pan Jezus, umierając za zbawienie każdego, „kto w Niego wierzy”, by „nie zginął, ale miał żywot wieczny” (J 3,16)!

Konając na krzyżu, oddawał Chrystus ducha w miłujące ręce Ojca, ze słowami tej modlitwy: „Ojcze, w Twoje ręce powierzam ducha mojego”. Teraz zaś ów człowiek, który nic już nie widział i nie czuł, nieświadomy, w agonii, gasnącym szeptem powtarzał: „Ojcze, w Twoje ręce powierzam ducha mego”. Z tymi słowami na ustach umarł. Kościół i jego obrzędy nie umiały ocalić jego duszy, lecz mimo wielkiej być może jej grzeszności Pan dał mi przekonanie, iż człowiek ów nie potrzebuje rozgrzeszenia, warunkowego ani bezwarunkowego, nie potrzebuje rytuałów i sakramentów, nie potrzebuje do zbawienia pomocy kapłana— bo zbawiła go wiara w jedynego prawdziwego Kapłana i Zbawcę, Jezusa Chrystusa. Wiara ta musiała być obecna w jego życiu od dawna, w ciężkim trudzie i w tej ostatniej chorobie, pocieszając go i pokrzepiając, tak że nawet w agonii ufna dusza zdołała przemóc nieświadomość i modlić się: „Ojcze, w Twe ręce...” To była najlepsza lekcja teologii. U tego łóża śmierci Pan pokazał mi, że zbawienie zależy nie od ludzkich wysiłków, rytuałów i dogmatów, ale od ofiary Jezusa na krzyżu i naszej wiary w Niego, a przez Niego w Ojca w niebie. Już dużo później, po nawróceniu, znalazłem w Biblii potwierdzenie tej prawdy: i w Starym (Ha 2,4):

„sprawiedliwy z wiary żyć będzie” [BW], i w Nowym Testamencie (Rz 1,17):

„Jako napisano: Że sprawiedliwy z wiary żyć będzie

To objawienie rozbilo w drobny mak mą wiarę w rzymski dogmat o automatycznej (ex opere operato) mocy rytuałów i sakramentów. Jakie to szczęście, że zbawienie nasze nie zależy od niepewnych i nie zawsze dających się zastosować czynności, ale od miłosierdzia Ojca, jakim obdarzył nas w najwyższej ofierze swego umiłowanego Syna.

Kryzys

Ale ja uparcie trwałem w „jedynym prawdziwym kościele”; aż wreszcie Pan odpowiedział na me nieustające modlitwy dotkliwie mnie uderzając: Zapadłem na zdrowiu, nawaliła lewa nerka. Mimo troskliwej opieki medycznej mój stan się pogarszał; w końcu, po półtora roku terapii, odesłano mnie do wybitnego specjalisty, który po uważnym badaniu orzekł, iż leczenie było błędne i jeśli mi życie miłe, muszę się natychmiast poddać operacji. Poszedłem więc do szpitala, nie przypuszczając, jak długi i trudny będzie to zabieg. Obudziwszy się po

wszystkim, byłem tak słaby, iż ledwie mogłem się ruszyć. Nie chciałem już żyć. Moje życie zdało mi się zupełnym fiaskiem, jednym wielkim błędem. Nie umiałem znaleźć drogi do Pana. Mając wszystkiego dość, doszedłem do wniosku, że jest tylko jedno rozsądne wyjście z mego położenia: śmierć; wyjście nietrudne, bo już i tak znajdowałem się na „liście zagrożonych”, a doktor nawet w nocy przychodził sprawdzać, czy żyję. Zbojętniałem; odmawiałem przyjmowania leków. Wyczekiwałem śmierci, wyzwolicielki z duchowych tortur. Kiedyś na sali zjawili się kilku mych krewnych. Ktoś spytał, czy modliłem się o uzdrowienie. Zaprzeczyłem. Zdumieni, jeśli mnie wręcz błagać, bym to uczynił. Nie mogłem im tłumaczyć, że nie chcę już żyć, więc obiecałem pomodlić się o to; zrobiło mi się żal, gdy tak szczerze martwili się o mój stan. Także lekarz się rozsiardził na wieść, iż nie przyjmuję leków; musiałem przyrzec, że będę łykał wszystkie. Dotrzymałem słowa, choć wcale nie miałem na to ochoty. Prosiłem Pana, by uzdrowił mnie tylko pod warunkiem, że gruntownie zmieni moje życie, a w przyszłości użyje mnie zgodnie ze swą wolą.

Modlitwa została wkrótce wysłuchana. Stan mego zdrowia polepszał się z dnia na dzień, tak iż dziwili się lekarze, przyznając mi po cichu, że właściwie nie mieli nadziei na powrót do zdrowia. Po dwumiesięcznym pobycie w szpitalu wypisano mnie. Jeszcze mocno osłabiony, od razu zabrałem się do roboty, głowiąc się, w jaki też sposób Pan zdoła uzdrowić moją duszę i użyć mnie według swej woli. Odpowiedź nadeszła po dwóch latach, gdy zmagania w mojej duszy stały się wręcz nie do zniesienia. Po 15 latach posługi kapłańskiej w kościele katolickim pojąłem, że jestem w niewłaściwym miejscu.

Przełom

Po wszystkich objawieniach udzielanych mi przez lata na końcu Pan postawił mnie przed dylematem: Mogłem pozostać w kościele rzymskokatolickim, gdzie się urodziłem i przyjąłem święcenia kapłańskie, mogłem zachować wszelkie związane z tym przywileje, respekt ludzi i przełożonych, mogłem robić obiecującą karierę w hierarchii kościelnej, tracąc jednakże zupełnie wiarę i szansę na związek z Jezusem. Albo też mogłem opuścić ten kościół i jego kapłaństwo, błędne, bo nie zbudowane na Jego Słowie, a oddać Mu się całkowicie. Jeśli ktoś sądzi, że zdecydowałem się z dnia na dzień, to myli się. Nie umiałem postanowić od razu, za słaby i za bardzo wystraszony; od dzieciństwa wpajano mi przecież, iż „poza tym jedynym Kościołem nie ma zbawienia”, a każdy, kto kościół ów opuści, pójdzie do piekła, gdzie najgorsze męki obmyślono dla ekskomunikowanych księży. Wybór takiego losu w kraju katolickim, jak Włochy, Hiszpania czy Polska, równa się w oczach rodziny i otoczenia piętnu zdrajcy nie tylko kościoła, ale i narodu, bo „prawdziwy Włoch, Hiszpan i Polak to katolik”. Trzeba przygotować się na swoisty bojkot społeczny, a w najlepszym razie — na utratę przyjaciół i znajomych. To nie zachęcało do takiej decyzji. Z drugiej strony wiedziałem, że to ostatnia szansa, jaką daje mi Pan. Jednak nie umiałem zdobyć się na to, aby ją wykorzystać. Konflikt sumienia trwał jeszcze około roku. Mogłem już tylko jedno: modlić się. „Panie, uczyni coś, bo jestem słaby. Umocnij mego ducha, pomóż!” Dniami i nocami wołałem do Niego z głębi serca. I Jego łaska zwyciężyła. Dał mi dość odwagi, bym posłuchał Jego wezwania, tak że nie trapiłem się już cierpieniem, jakie mogło mnie wskutek tego czekać. Zaufałem Mu bez reszty, nigdy tego nie żałując. To On dokonał we mnie nawrócenia, nie ma w tym mojej zasługi. Przedwieczny wydobył mnie z ciemności i obdarzył błogosławioną wolnością dzieci Bożych. Co było potem? Wielekroć proszono mnie, bym opowiedział o miłosierdziu, jakie Pan mi okazał wiodąc mnie ku Sobie. By opisać tę nieskończoną troskę, dobroć i błogosławieństwa, jakimi obdarzał mnie po nawróceniu, musiałbym napisać książkę. Może kiedyś to zrobię, aby oddać Mu całą chwałę. (Roman Mazierski faktycznie napisał książkę: *A Light Shines in Poland*; przyp. tłum.). Zakończę stwierdzeniem, że wszystkie duchowe problemy, niepewność i strach znikły na dobre. Z Panem jestem szczęśliwy jak nigdy przedtem. I w tej szczęśliwości modłę się za wszystkich, którzy wciąż tkwią w tej samej ciemności, w której tkwiłem niegdyś ja. Zanim wybawił mnie Pan.

Roman Mazierski, nawrócony ksiądz

Od tradycji do prawdy

Świadectwo nawróconego księdza Richarda Petera Bennetta

Szczęśliwe były moje dziecięce lata w ojczystym domu w Irlandii. Ośmioosobowa rodzina wspólnie bawiła się, śpiewała i urządzała przedstawienia, a wszystko to na terenie koszar w Dublinie. Ojciec, pułkownik Armii Irlandzkiej, przeszedł na emeryturę, gdy miałem dziewięć lat. Byliśmy typową w Irlandii katolicką rodziną. Ojciec czasami klękał uroczyście koło łóżka, aby się pomodlić; matka rozmawiała z Jezusem przy szyciu, zmywaniu, nawet wypalaniu papierosa. Wieczorami klękaliśmy w bawialni, by razem odmówić różaniec. Niedzielnej mszy nie opuszczał nikt, chyba że poważnie zaniemógł. Gdy miałem lat pięć czy sześć, Chrystus był już dla mnie osobą bardzo realną — jak zresztą Maryja i inni święci. Łatwo mi utożsamiać się z członkami innych tradycyjnie katolickich narodów Europy oraz z mieszkańcami Ameryki Łacińskiej i Filipińczykami, którzy Jezusa, Maryję, Józefa i innych świętych wkładają do jednego „worka wiary”. W szkole jezuickiej w Belvedere wpojono mi katechizm, tam też odebrałem wykształcenie podstawowe i średnie. Jak każdy chłopiec uczący się pod okiem Jezuitów, w wieku dziesięciu lat umiałem płynnie recytować pięć dowodów na istnienie Boga i wyjaśnić, czemu papież jest głową jedyne prawdziwego kościoła. Ważne było przychodzenie z pomocą duszom w czyśćcu cierpiącym; wpojono nam, iż „świętą i zbawienną jest rzeczą modlić się za zmarłych, aby byli od grzechów uwolnieni”, choć nikt z nas nie wiedział, co to właściwie oznacza. Mówiono, iż papież, głowa kościoła, to najważniejszy człowiek na ziemi; że jego słowo jest prawem, a Jezuci jego prawą ręką. Choć mszę odprawiano po łacinie, uczyłem się niemal co dzień, zauroczony atmosferą tajemniczości; słyszeliśmy zresztą, iż tak właśnie podoba się Bogu. Zachęcano do modlitw do świętych; prawie każda sprawa miała patrona. Niezbyt się do tego akurat stosowałem, nie licząc modlitw do św. Antoniego, patrona rzeczy zgubionych — często bowiem coś gubiłem. Jako czternastolatek poczułem powołanie misjonarskie; nie wpłynęło to jednak na mój sposób życia. Lata nastoletnie były bardzo satysfakcjonujące; wiodło mi się i w nauce, i w sporcie. Często odwoziłem mamę na zabiegi w szpitalu. Czekaając raz na nią, znalazłem w książce cytaty z Ewangelii Marka 10,29–30:

„Jezus odpowiedział: Zaprawdę powiadam wam: Nikt nie opuszcza domu, braci, sióstr, matki, ojca, dzieci i pól z powodu Mnie i z powodu Ewangelii, żeby nie otrzymał stokroć więcej teraz, w tym czasie, domów, braci, sióstr, matek, dzieci i pól wśród prześladowań, a życia wiecznego w czasie przyszedłym”.

Nie mając pojęcia o prawdziwym poselstwie Ewangelii, stwierdziłem, że na pewno mam powołanie na misjonarza.

Zarobić na zbawienie

W 1956 roku opuściwszy rodzinę i przyjaciół wstąpiłem do Zakonu Dominikanów. Osiem lat zgłębiałem istotę stanu zakonnego, tradycję kościoła, teologię Tomasza z Akwinu, filozofię i niektóre aspekty Biblii z perspektywy katolickiej. Dominikański system religijny sprawił, że cała wiara, jaka tliła się w mej duszy, uległa instytucjonalizacji i rytualizacji; do uświęcenia miało wieść posłuszeństwo prawu kościelnemu i zakonnemu. Z Ambrose’em, Duffym ojcem duchownym studentów, nieraz mówiliśmy o prawie jako środku uświęcenia. Pragnąłem nie tylko być „świętym”, ale i mieć pewność wiecznego zbawienia. Zapamiętałem sobie fragment nauczania Piusa XII: „Zbawienie wielu zależy od modlitw i ofiar mistycznego Ciała Chrystusa w tej intencji”; zabieganie o zbawienie cierpieniami i modlitwą to także trzon poselstw z Fatimy i Lourdes. Cierpieniem i modlitwą usiłowałem więc wysłużyć zbawienie

zarówno sobie jak i innym. W dublińskim klasztorze Dominikanów w Tallaght mozoliłem się strasznie, aby tylko ocalić dusze: lodowate prysznic w środku zimy, okładanie się po plecach stalowym łańcuchem. . . Ojciec duchowny studentów wiedział o tym, a jego własny przykład był dodatkowym bodźcem, by wypełniać słowa papieża. Pilnie studiowałem, modliłem się, umartwiałem i starałem się przestrzegać tak Dziesięciu Przykazań jak i mnóstwa reguł i tradycji dominikańskich.

Pompa na zewnątrz, pustka w środku

W 1963 roku w wieku 25 lat, przyjąwszy święcenia kapłańskie, kontynuowałem studia nad Tomaszem z Akwinu na Uniwersytecie Anielskim w Rzymie. Nie umiałem pogodzić się z zewnętrzną pompą i wewnętrzną pustką dookoła. Z obrazów, zdjęć i książek wyrobiłem sobie przez lata pewien wizerunek Stolicy Apostolskiej i świętego Miasta; jak się okazało, całkiem różny od tego, co zobaczyłem. Wstrząs przeżyłem też na Uniwersytecie Anielskim, widząc, że rzesz studentów wcale nie zajmuje teologia, a na wykładach oddają się lekturze *Time'a* i *Newswicka*. Jedynymi jako tako zainteresowanymi treścią zajęć były osoby zabiegające o stopnie naukowe lub owysoką pozycję w hierarchii kościelnej swoich krajów. Raz udałem się na przechadzkę do Koloseum, pragnąc dotknąć ziemi zlanej krwią tyłu chrześcijan. Stałem na arenie, próbując wyobrazić sobie ludzi, którzy znali Chrystusa tak dobrze, że dla Jego nieskończonej miłości byli gotowi z radością oddać życie na stosie lub arenie pełnej rozjuszonych bestii. Radość z tak głębokiego przeżycia rozwiała się jednak w drodze powrotnej: w autobusie wysztydziła mnie grupa nastolatków, wyzywając od „mętów” i „śmieci”. Wyczułem, że robią to nie dlatego, iż jak pierwsi chrześcijanie opowiadam się za Chrystusem, lecz dlatego, że w ich oczach ucieleśniam system rzymski. Co prędzej odrzuciłem tę myśl, ale mimo to cała nauka ochwale Rzymu wydała mi się nagle nieistotna i próżna. Jednego wieczora dwie godziny modliłem się przed ołtarzem głównym w kościele św. Klemensa. I przypomniałem sobie o swym dawnym pragnieniu służby misyjnej i o „stukrotnej” obietnicy z Ewangelii Marka 10,29–30. Postanowiłem zrezygnować z dalszych starań o stopień naukowy z teologii, do którego dążyłem od początku studiów nad teologią Tomasza z Akwinu. Była to decyzja poważna, ale po długiej modlitwie nabrałem przekonania, że jest słuszną. Ksiądz promotor nie przyjął tego do wiadomości. Zaoferował mi pomoc w łatwiejszym dopięciu celu, proponując, abym przepisał cudzą pracę sprzed paru lat; mógłbym potraktować ją jak własną, byłem tylko na obronie przeprowadził ustną argumentację tez. Zrobiło mi się niedobrze, zupełnie tak jak parę tygodni wcześniej w parku na widok eleganckich prostytutek paradujących dumnie w czarnych skórzanych botkach. Propozycja promotora była równie grzeszna. Pozostałem przy swojej decyzji: Uniwersytet Anielski skończyłem jak wszyscy, na normalnym poziomie akademickim, bez stopnia naukowego. Po powrocie z Rzymu otrzymałem oficjalną decyzję, która nakazywała mi udać się na trzyletnie studia na Uniwersytecie Cork. Ale ja żarliwie modliłem się w sprawie swego misjonarskiego powołania. I oto pod koniec sierpnia 1964 roku polecono mi jechać na misję na Trynidad w Indiach Zachodnich.

Pycha, upadek i nowe łaknienie

1 października 1964 roku trafiłem na Trynidad. Całe siedem lat owocnie — z perspektywy katolickiego księdza — spełniałem kapłańskie obowiązki szcząc się licznym udziałem wierznych we mszy. W roku 1972 zaangażowałem się w katolicki ruch charyzmatyczny; 16 marca na spotkaniu modlitewnym dziękowałem Bogu, że taki ze mnie dobry ksiądz, prosząc, aby jeśli taka Jego wola, upokorzył mnie, bym stał się jeszcze lepszy. I tego samego wieczora w zupełnie głupi sposób uległem wypadkowi. Skutek? Rozbity tył głowy, rozliczne uszkodzenia kręgosłupa. Gdyby nie to spotkanie oko w oko ze śmiercią, wątpię, czy kiedyś wyrwałbym się ze stanu samozadowolenia. Mechaniczne odklepywanie modlitw okazało się w tej sytuacji jałowe — cierpiąc ból zgłębi serca wołałem do Boga. Cierpiąc boleśnie, zacząłem przez kolejne tygodnie znajdować ulgę w modlitwie bezpośredniej, osobistej. Odłożyłem brewiarz, oficjalne modlitwy dla księży, i różaniec, zacząłem za to korzystać w modlitwie z ustępów Pisma świętego. Był to proces słamazarny. Nie znałem Biblii za dobrze; niewielka wiedza na jej temat nabyta na studiach skłaniała raczej do podejrzliwości wobec niej niż do zaufania. Znajomość filozofii i teologii Tomasza z Akwinu czyniła mnie całkiem bezradnym w tej

mierze, toteż zabieranie się do lektury Biblii w poszukiwaniu Pana miało posmak wyprawy bez mapy w ciemną knieję. Gdy z końcem roku przeniesiono mnie do innej parafii, moim towarzyszem okazał się dominikanin, z którym znałem się od lat. I przepracowaliśmy dwa lata w parafii Pointe-a-Pierre, wspólnie wszelkimi znanymi nam sposobami szukając Boga. Czytaliśmy, studiowaliśmy, modliliśmy się i wprowadzali w czyn to, czego uczył nas kościół. Stworzyliśmy parafie w Gasparillo, Claxton Bay i Marabelli, by wymienić tylko te największe. Z perspektywy katolickiej religijności odnieśliśmy sukces: Na msze uczęszczało wielu wiernych, w szkołach, także państwowych, uczono katechizmu. Wprawdzie nie przerwałem poszukiwań biblijnych, ale nie miały one większego wpływu na naszą pracę; ukazywały mi za to, jak mało wiem o Panu i Jego Słowie. W tym mniej więcej czasie żarliwą modlitwą mojego serca stał się werset z Listu do Filipian 3,10:

„Żeby poznać Go i doznać mocy zmartwychwstania Jego... [BW].

Ruch charyzmatyczny rozwijał się dynamicznie, zapoznaliśmy z nim wieśniaków niemal wszystkich naszych parafii. Na zaproszenie ruchu przyjechała na Trynidad grupa kanadyjskich chrześcijan. Dużo się dowiedziałem z ich wykładów, głównie o modlitwie o uzdrowienie. Nauczanie było co prawda zbyt zorientowane na doznania, ale przyniosło skutek: zachęciło mnie do głębszego zaufania autorytetowi Biblii. Zacząłem porównywać ustępy, ba, cytowałem je z podaniem numeru rozdziału i wersetu! Kanadyjczycy często przytaczali werset 53,5 z Księgi Izajasza:

„... w Jego ranach jest nasze zdrowie”.

Przestudiowawszy starannie cały 53 rozdział odkryłem, że Biblia rozwiązuje problem grzechu poprzez ofiarę zastępczą. Zrozumiałem, że Chrystus umarł za mnie i że błędzę, chcąc samemu zapłacić za swój grzech lub mieć w tej zapłacie własny udział.

„A ponieważ z łaski, tedyć już nie z uczynków, inaczej łaska już by nie była łaską; a jeżeli z uczynków, jużci nie jest łaska; inaczej uczynek już by nie był uczynkiem” (Rz 11,6).

„Wszystcyśmy jako owce zbłądzili, każdy na drogę swą obróciliśmy się, a Pan włożył nań nieprawość wszystkich nas” (Iz 53,6).

Uprzykrzonym moim grzechem była skłonność do złości na ludzi, nieraz wręcz gniew, brak serca. Prosiłem Boga o przebaczenie, nie rozumiejąc, że grzesznikiem jestem z natury, odziedziczonej po Adamie. Prawda Pisma brzmi:

„Jako napisano: Nie masz sprawiedliwego ani jednego” (Rz 3,10),

oraz:

„Albowiem wszyscy zgrzeszyli i nie dostaje im chwały Bożej” (Rz 3,23).

Lecz kościół wpoił mi, że moją grzeszność, zwaną grzechem pierworodnym, zmył chrzest w wieku niemowlęcym. Głową dalej w to wierzyłem, ale serce podpowiadało, że ta grzeszna natura nie została jeszcze wcale przez Jezusa pokonana. Iwołało:

„Poznać Go i doznać mocy zmartwychwstania Jego!” (Flp 3,10; BW).

Pojąłem, że życie chrześcijańskie można wieść tylko dzięki Jego mocy. Przylepiłem sobie ten werset na tablicy rozdzielczej samochodu i innych miejscach, stał się mottem mego życia. A Pan, który jest Bogiem wiernym, zaczął odpowiadać.

Najważniejsze pytanie

Po pierwsze, odkryłem, że Słowo Boże w Biblii ma charakter absolutny i nie zawiera błędów. Przedtem uczono mnie, że jest ono względne, a jego prawdziwość można w wielu miejscach podważyć; teraz zauważałem, że Biblii można ufać. Korzystając z Konkordancji Stronga, zacząłem badać, co sama Biblia ma do powiedzenia na swój temat. I odkryłem jasne przesłanie, że pochodzi ona wprost od Boga, a jej poselstwo ma charakter absolutny. Jest niezmiennie wiarygodna pod względem historycznym, pod względem obietnic, jakich udzielił Bóg, pod względem prorocत्व oraz pod względem nakazów moralnych i wskazówek dotyczących życia chrześcijańskiego.

„Wszystko Pismo od Boga jest natchnione i pożyteczne ku nauce, ku strofowaniu, ku naprawie, ku ćwiczeniu, które jest w sprawiedliwości; Aby człowiek Boży był doskonały, ku wszelkiej sprawie dobrej dostatecznie wyćwiczony” (2Tm 3,16–17).

Odkrycia tego dokonałem w Vancouver i w Seattle. Gdy poproszono mnie o kazanie dla grupy modlitwnej przy parafii św. Szczepana, wybrałem za temat absolutny autorytet Słowa Bożego. Po raz pierwszy w życiu pojąłem tę prawdę i po raz pierwszy o niej mówiłem. Po powrocie ze Seattle do Vancouveru powiedziałem to kazanie w dużym kościele przed au-

dytorium około 400 osób. Dzierżąc w dłoni Biblię okazałem, że „Biblia jako Słowo samego Boga jest absolutnym i ostatecznym autorytetem we wszystkich sprawach wiary i obyczajów”. Po trzech dniach wezwał mnie arcybiskup Vancouveru James Carney. Oficjalnie zamknął mi usta, zabraniając nauczania na terenie swojej diecezji. Oznajmiono mi też, że kara byłaby znacznie surowsza, gdyby nie list polecający od mojego biskupa Anthony’ego Pantina. Wkrótce wróciłem na Trynidad.

Kościół czy Biblia?

Jeszcze jako proboszcz w Pointe-a-Pierre, dostałem do pomocy Ambrose’a Duffy’ego, surowego ojca duchownego z seminarium. Sprawy stały się więc na głowie, ale po okresie napięć staliśmy się dobrymi przyjaciółmi. Zwierzałem się mu ze swych odkryć; słuchał z zajęciem, chciał też wiedzieć, co mną kieruje w tych poszukiwaniach. Widziałem w nim pośrednika, przez którego dotrę do braci dominikanów, a nawet do kręgu arcybiskupa. Gdy niespodzianie zmarł na atak serca, ztrudem doszedłem do siebie. W Ambrosie widziałem kogoś, kto rozwiąże mój dokuczliwy dylemat: kościół czy Biblia, kto wyjaśni i mnie, i innym dominikanom prawdy, z którymi się zmagam. Wygłosiłem homilię na jego pogrzebie, bardzo załamany. Dalej modliłem się wersem z Listu do Filipian 3,10:

„Żebym go poznał i moc zmartwychwstania jego, i społeczność ucierpienia jego, przykształtowany będąc śmierci jego”

Ale by poznać Chrystusa, musiałem wpierym uznać w sobie grzesznika. Z Pisma świętego (1Tm 2,5) wynikało, iż niewłaściwą jest moja rola kapłana-pośrednika, a nauka kościoła na ten temat całkiem sprzeciwia się Biblii. Lubilem to uczucie: osoby przez ludzi szanowanej, a nawet czczonej. Swój grzech usprawiedliwiałem argumentem, iż jeśli tak głosi największy kościół świata, to kimże jestem, aby to podważać? Wewnętrzna walka jednak nie ustawała. Dostrzegłszy grzeszność kultu Maryi, świętych i księży, byłem już gotów odmówić Maryi i świętym statusu pośredników; nie potrafiłem jednak wyrzec się kapłaństwa: była to przecież moja życiowa inwestycja.

Lata zmagania

Maryja, święci, kapłaństwo stanowiły tylko wycinek ogromnego teatru wojny, jaka się we mnie toczyła. Kto był Panem mego życia: Jezus Chrystus w swym Słowie czy Rzym? To pytanie huczało mi w głowie bez ustanku, zwłaszcza przez ostatnie sześć lat probostwa w Sangre Grande (1979–1985). Już w dzieciństwie wrażono mi w umysł przeświadczenie, że kościół katolicki to najwyższy autorytet w sprawach wiary i obyczajów; nie umiałem się tego przekonania pozbyć. Rzym był nie tylko najwyższym autorytetem — zwałem go przecież „świętą Matką”. Czy mógłbym sprzeciwić się „świętej Matce”? Tym bardziej, że odgrywałem niepoślednią rolę w udzielaniu jej sakramentów i nakłanianiu ludzi do wierności wobec niej! W 1981 roku w Nowym Orleanie na parafialnym seminarium odnowy odnowiłem postanowienie służby w kościele katolickim; ale po powrocie na Trynidad i konfrontacji z problemami codzienności znów zwróciłem się do Słowa. Wewnętrzne napięcie stało się nie do zniesienia; ucierpiał mój żołądek, rozchwiały się emocje. Raz upatrywałem absolutu w kościele rzymskim, kiedy indziej znów autorytet Biblii uznawałem za ostateczny; a przecież powinienem pamiętać o tej prawdzie: Nie można dwom panom służyć. Ja tymczasem usilnie starałem się podporządkować absolutny autorytet Słowa Bożego najwyższemu autorytetowi kościoła rzymskokatolickiego. Konflikt ten dobrze ilustrują moje poczynania z czterema figurami w kościele Sangre Grande. Wyrzuciłem figury św. Franciszka i św. Marcina, bo w Księdze Wyjścia drugie przykazanie głosi:

„Nie będziesz czynił żadnej rzeźby” (Wj 20,4 BT).

Kiedy jednak niektórzy parafianie zaprotestowali przeciw usunięciu obrazu Przenajświętszego Serca i figury Maryi, ustąpiłem; bo „władza wyższa”, czyli kościół rzymski, w kanonie 1188 swego prawa głosiła: „Należy zachować praktykę umieszczania w kościołach świętych obrazów, by doznawały czci ze strony wiernych”.¹ Nie dostrzegłem, że czyniąc tak podporządkowuję Słowo Boże słowu ludzkiemu. Mimo odkrycia absolutnego charakteru Słowa

¹ Kodeks prawa kanonicznego, Pallottinum, 1984, s. 473.

Bożego desperacko trwałem przy teorii, iż kościół rzymski posiada autorytet większy niż Słowo, nawet jeśli jego orzeczenia jaskrawie przeczą Biblii. Jak to było możliwe? Niewątpliwie sam byłem sobie winien. Gdybym uznał autorytet Biblii za najwyższy, Słowo przekonałoby mnie do rezygnacji z kapłańskiej roli pośrednika; na tę ofiarę nie chciałem się jednak zdobyć. Po drugie, nikt nie podważał tego, co czyniłem jako kapłan. Na msze do nas przychodzili chrześcijanie z różnych dalekich krajów, widzieli nasze święte oleje, wodę święconą, medaliki, figurki, szaty liturgiczne, rytuały — i nigdy nie zareagowali ani słowem! Niezwykły przepych, symbolizm, muzyka ismak artystyczny kościoła rzymskiego robiły swoje; tajemnicza woń kadzidła uderza mocno nie tylko w nozdrza, ale i do głowy.

Punkt zwrotny

Raz jakaś pani zwróciła mi uwagę (był to jedyny przypadek na 22 lata): „Wy, katolicy, macie tylko pozór pobożności, ale wyrzekacie się jej mocy”. Słowa te jakiś czas spędzały mi sen zoczu. Kochałem kościelne lampy, sztandary i wesołą muzykę ludową, gitary, bębny. Zapewne na całym Trynidadzie nie było drugiego księdza, który posiadałby tak barwne szaty liturgiczne i chorągwie. Lecz w środku nie było mi tak kolorowo. W październiku 1985 roku łaska Boża okazała się silniejsza niż kłamstwo, z którym usiłowałem żyć. Pojechałem na Barbados, aby się modlić, zaniepokojony kompromisem, do jakiego się zmuszam. Byłem w pułapce. Owszem, miałem Słowo Boże za absolut, godny posłuszeństwa, ale też mówiłem sobie, że przecież przed obliczem Boga ślubowałem posłuszeństwo kościołowi. Na Barbados czytałem książkę, w której wyłożono biblijny sens słowa „kościół” — „wspólnota wierzących”. W kościele nowotestamentowym nie ma śladu hierarchii i obce jest pojęcie „kleru” kierującego „świeckimi”; biblijny kościół chce zachować słowa Jezusa:

„Jeden jest mistrz wasz, Chrystus; ale wy jesteście wszyscy braćmi” (Mt 23,8).

Widząc, iż „kościół” oznacza wspólnotę, już bez oporów porzuciłem wiarę w najwyższy autorytet kościoła katolickiego i oparłem się tylko na Jezusie jako Panu. Na podstawie Pisma zauważyłem, że znani mi katolicy biskupi nie są wcale wierzący w biblijnym sensie słowa. To ludzie pobożni, oddani kultowi Maryi, wierni różańcowi, lojalni wobec Rzymu, ale nie mający pojęcia o dokończonym dziele zbawienia, doskonałej ofierze Chrystusa, o tym, iż zbawienie ma charakter osobisty i pełny. Uczą o pokucie za grzechy, ludzkim cierpieniu, uczynkach religijnych — o drodze ludzkiej, nie o drodze Bożej. Dzięki łasce Pana pojąłem, iż zbawić nie może ani kościół, ani uczyńki.

„Albowiem łaską jesteście zbawieni przez wiarę, i to nie jest z was, dar to Boży jest; Nie z uczynków, aby się kto nie chlubił” (Ef 2,8–9).

Nowe narodziny w wieku 48 lat

Nie mogąc pogodzić życia w Jezusie Chrystusie z wiernością nauce Rzymu, porzuciłem kościół katolicki. Opuściwszy Trynidad w 1985 roku, zatrzymałem się na pobliskim Barbados, w gościnie u starszego małżeństwa. Prosiłem Pana, by zaopatrzył mnie w garnitur i środki na podróż do Kanady; moje cywilne ubrania nadawały się tylko do strefy zwrotnikowej, acaly majątek liczył paręset dolarów. Modlitwy zostały wysłuchane, choć o potrzebach tych wspominałem tylko Panu. Z 35-stopniowego upału tropików trafiłem wprost w śniegi i lody Kanady. Spędziwszy miesiąc w Vancouverze pojechałem do Stanów Zjednoczonych, ufając, że Pan zaspokoi każdą mą potrzebę; nowe życie rozpoczynałem bowiem w wieku 48 lat, bez grosza przy duszy, bez karty stałego pobytu, prawa jazdy i jakichkolwiek listów polecających — z samym tylko Panem i Jego Słowem. Pierwsze pół roku spędziłem na farmie w stanie Waszyngton. Gospodarzom wyjaśniłem, że opuściłem kościół katolicki i przyjąłem Jezusa Chrystusa, a Jego Słowo, Biblię, uznaję za wystarczające we wszystkich sprawach życiowych. Oznajmiłem, że jest to krok „bezw warunkowy, ostateczny, zdecydowany i przemyślany”. Na gospodarzach te cztery przymiotniki nie zrobiły pożądanego wrażenia; koniecznie chcieli wiedzieć, czy nie ma we mnie goryczy, zapiekłego żalu. Pokrzepili mnie modlitwami i wyrozumiałością, bo przeszedłszy podobne doświadczenia wiedzieli, że łatwo można ulec rozgoryczeniu. W cztery dni od przyjazdu tam ze skrucną zacząłem dostrzegać owoc zbawienia. Nie tylko mogłem prosić Pana o odpuszczenie tyloletniego życia w kłamstwie, ale i zacząłem doznawać Jego uzdrawiającej mocy tam, gdzie jątrzyły się głębokie rany.

W końcu — w wieku 48 lat — na podstawie autorytetu samego tylko Słowa Bożego i tylko dzięki łasce uznałem zastępczą ofiarę Chrystusa na krzyżu. Tylko Jemu niech będzie chwała. Gdy dzięki staraniom gospodarzy i ich rodziny doszedłem do siebie fizycznie i duchowo. Pan dał mi żonę — Lynn: na nowo narodzoną w wierze, urzekającą w obyciu, lotnego umysłu. Wyruszyliśmy do Atlanty, gdzie oboje dostaliśmy pracę.

Prawdziwy misjonarz, prawdziwe poselstwo

We wrześniu 1988 roku wyjechaliśmy do Azji na misje. Był to rok niezwykle owocny w Panu, o jakim przedtem nawet nie śniłem. Wielu ludzi uznawało autorytet Biblii oraz moc śmierci i zmartwychwstania Chrystusa. Zdumiewałem się, z jaką łatwością działa w sercach łaska Boża, gdy głosząc Jezusa Chrystusa wspieramy się tylko Biblią. Jakże różniło się to od pajęczyny tradycji kościelnej, która całkowicie przesłoniła 21 lat mojej posługi na Trynidadzie, 21 lat bez poselstwa prawdy. Obfite życie, o którym mówił Jezus i którym się dziś raduję, najlepiej oddają słowa z Listu do Rzymian 8,1-2:

„Teraz jednak dla tych, którzy są w Chrystusie Jezusie, nie ma już potępienia. Albowiem prawo Ducha, które daje życie w Chrystusie Jezusie, wyzwoliło cię spod prawa grzechu i śmierci”.

Nie tylko uwolniono mnie z systemu rzymskiego, ale i w Chrystusie stałem się nowym stworzeniem. Dzięki łasce Bożej, i tylko dzięki niej, porzuciłem martwe uczynki, by wejść do nowego życia.

Świadek o Ewangelii łaski

Gdy w 1972 roku ktoś uczył mnie o Panu jako uzdrowicielu ciała, powinien był przede wszystkim powiedzieć, jak zostaje odpuszczony grzech i jak mimo grzesznej natury mogą pojednać się z Bogiem. Biblia ukazuje, że Jezus zastąpił nas na krzyżu; mówią o tym słowa Izajasza 53,5:

„On był przebity za nasze grzechy, zdruzgotany za nasze winy. Spadła Nań chłosta zba wienna dla nas, aw Jego ranach jest nasze zdrowie”

(Poniósł karę, którą za swe grzechy powinienem cierpieć ja. Przed obliczem Ojca mogę Mu zaufać jako ofierze zastępczej). Słowa te napisano na 750 lat przed ukrzyżowaniem Pana; a niedługo po Jego śmierci i zmartwychwstaniu Piotr apostoł ogłosił:

„Który grzechy nasze na ciele swoim zaniósł na drzewo, abyśmy obumarłszy grzechom sprawiedliwości żyli, którego sinością uzdrowieni jesteście” (1P 2,24).

Jako dziedzice natury Adama, wszyscy zgrzeszyliśmy i brak nam chwały Bożej. Jak zatem możemy stanąć przed obliczem świętego, jeśli nie w Jezusie, uznając, że umarł On za nas? Bóg daje wiarę potrzebną do nowego narodzenia i zdolność uznania Jezusa za naszą ofiarę zastępczą. Bo to On zapłacił cenę za nasze grzechy; choć sam bez grzechu, został ukrzyżowany. To poselstwo Ewangelii. Czy zatem tylko wiara wystarczy? Tak, wiara osoby narodzonej na nowo wystarczy. Wiara ta pochodzi od Boga i rodzi dobre czyny, z których pierwszym jest nawrócenie.

„Albowiem czynem jego jesteście stworzeni w Chrystusie Jezusie ku uczynkom dobrym, które przedtem Bóg zgotował, abyśmy w nich chodzili” (Ef 2,10).

Nawracając się, porzucamy dzięki mocy Bożej dawne życie i dawne grzechy. Nie znaczy to, że odtąd nie zgrzeszymy, lecz zmienia się nasz status przed obliczem Boga: Zostajemy nazwani dziećmi Bożymi i naprawdę nimi jesteśmy. Jeśli mimo to grzeszymy, wystawiamy na szwank swoją przyjaźń z Bogiem, ale może ona zostać zaraz naprawiona; nie grozi nam już utrata statusu dziecka Bożego w Chrystusie, bo status to nieodwołalny. List do Hebrajczyków 10,10 ogłasza cudowną prawdę:

„Jesteście poświęceni przez ofiarę ciała Jezusa Chrystusa raz uczynioną”

Dokończony dzieło Jezusa na krzyżu w pełni wystarczy, jest doskonałe. Składając pełną ufność w tym dziele, stajemy się uczestnikami nowego życia, pochodzącego od Ducha: rodzimy się na nowo.

A dziś...

Dziś moim zadaniem, dobrym dziełem, jakie Pan już wcześniej dla mnie przygotował, jest głosić Ewangelię na północnym zachodzie USA. Słowa, które o Żydach powiedział apostoł Paweł, mogą odnieść do umiłowanych braci katolików: że „z całego serca pragnę ich zbawienia i modłę się za nimi do Boga. Bo muszę im wydać świadectwo, że pałają żarliwością ku Bogu, nie opartą jednak na pełnym zrozumieniu” Jego Słowa, ale na kościelnej tradycji. Gdybyście wiedzieli, z jakim oddaniem i poświęceniem praktykują swą religię niektórzy bracia i siostry, choćby na Filipinach i w Ameryce Południowej, pojęlibyście, czemu zgłębi serca wołam:

„PANIE, DAJ NAM WSPÓŁCZUCIE, BYŚMY MOGLI POJAĆ BÓL I CIERPIENIE, JAKIMI SIĘ OBARCZAJĄ NASI BRACIA I SIOSTRY ZE WZGLĘDU NA CIEBIE. BO POJĄWSZY BÓL W SERCACH KATOLIKÓW, ZAPAŁAMY PRAGNIENIEM, ABY UKAZAĆ IM DOBRĄ NOWINĘ O DOKOŃCZONYM DZIELE CHRYSYUSA NA KRZYŻU”.

Moje świadectwo dowodzi, jak trudno katolikowi odrzucić tradycję kościoła. Ale skoro Pan w swym Słowie tego wymaga, trzeba to zrobić. „Pozór pobożności” w kościele rzymskim przeszkadza katolikowi dostrzec sedno problemu. Muszę wybrać, zgodnie z jakim autorytetem będę rozpoznawać prawdę. Według Rzymu prawda da się rozpoznać tylko mocą jego orzeczeń. Kanon 212 Kodeksu prawa kanonicznego (ogłoszonego w 1983 roku przez Jana Pawła II) mówi: „To, co święci pasterze jako reprezentanci Chrystusa wyjaśniają jako nauczyciele wiary albo postanawiają jako kierujący Kościołem, wierni, świadomi odpowiedzialności, obowiązani są wypełniać z chrześcijańskim posłuszeństwem”.² Ale według Biblii autorytetem jest samo Słowo Boże i na jego podstawie można rozpoznać prawdę. Tradycje ludzkie skłoniły Reformatorów do wystąpienia z postulatami: „tylko Biblia, tylko wiara, tylko łaska, tylko w Chrystusie i tylko Bogu należy się chwała!”

Dlaczego składam świadectwo

Dzielę się tym, byś i Ty mógł poznać Bożą drogę zbawienia. Największym naszym jako katolików błędem jest przekonanie, iż jesteśmy w stanie samodzielnie zareagować na pomoc, którą oferuje Bóg, chcąc pojednać nas ze Sobą. Założenie to, wyznawane latami przez wielu z nas, trafnie oddano w Katechizmie Kościoła Katolickiego (1994), w punkcie 2021: „Łaska jest pomocą, jakiej udziela nam Bóg, byśmy odpowiedzieli na nasze powołanie i stali się Jego przybranymi Synami...”.³ Obierając ten sposób myślenia, podążamy za nauką, którą Biblia raz po raz potępia. Taka definicja łaski to starannie obmyślane dzieło człowieka; Pismo bowiem podkreśla, iż pojednanie wierzącego z Bogiem następuje

„niezależnie od uczynków” (Rz 4,26 BT), „nie z uczynków” (Ef 2,9 BT), jako „dar Boga” (Ef 2,8 BT).

Przypisanie wierzącemu części zasługi za zbawienie i postrzeganie łaski jako „pomocy” jaskrawo przeczy choćby takiej prawdzie biblijnej:

„A ponieważ z łaski, tedyć już nie z uczynków, inaczej łaska już by nie była łaską; a jeżeli z uczynków, jużci nie jest łaska; inaczej uczynek już by nie był uczynkiem” (Rz 11,6).

Proste poselstwo Biblii głosi, że „dar sprawiedliwości” w Jezusie można otrzymać tylko na mocy Jego doskonałej ofiary złożonej na krzyżu.

„Albowiem jeżeli dla jednego upadku śmierć królowała przez jednego, daleko więcej, którzy obfitość onej łaski i dar sprawiedliwości przyjmują, w żywocie królować będą przez tegoż jednego Jezusa Chrystusa” (Rz 5,17).

Sam Chrystus stwierdził, że poniósł śmierć zamiast wierzącego, Jeden za wielu (Mk 10,45), dając życie na okup za innych. I oznajmił:

„Albowiem to jest krew moja nowego testamentu, która się za wielu wylewa na odpuszczenie grzechów” (Mt 26,28).

To samo zwiastował apostoł Piotr:

„Bo i Chrystus raz za grzechy cierpiał, sprawiedliwy za niesprawiedliwych, aby nas przywiódł do Boga, umartwiony będąc ciałem, ale ożywiony duchem” (1P 3,18).

Naukę apostoła Pawła streści werset 5,21 Drugiego Listu do Koryntian:

² Ibid., s. 109; § 1.

³ Katechizm Kościoła Katolickiego, Pallottinum, 1994, s. 464.

„Albowiem on tego, który nie znał grzechu, za nas grzechem uczynił, abyśmy się my stali sprawiedliwością Bożą w nim”.

Fakt ten, drogi Czytelniku, Pismo święte podaje bez ogródek, a Bóg wzywa, byśmy go uznali:

„Pokutujcie, a wierzcie Ewangielii” (Mk 1,15).

Najtrudniejszą w nawróceniu jest dla nas, gorliwych katolików, zmiana sposobu myślenia: przejście od „zasług”, „zarabiania”, „dobrych uczynków” ku pokornemu przyjęciu daru sprawiedliwości w Chrystusie Jezusie. Odmowa przyjęcia tego, co nakazuje Bóg, jest takim samym grzechem, jaki popełniali pobożni Żydzi w czasach Pawła:

„Bo nie znając sprawiedliwości Bożej, a chcąc własną sprawiedliwość wystawić, sprawiedliwości Bożej nie byli poddani” (Rz 10,3).

Nawróćcie się i uwierzcie w Dobrą Nowinę!

Richard Bennett, nawrócony ksiądz

Richard Bennett, współredaktor książki Daleko od Rzymu blisko Boga, zawitał do rodzinnej Irlandii w 1996 roku jako ewangelista. Mieszka w Portland (USA); prowadzi zajęcia: „Katolicyzm w świetle prawdy biblijnej” w Kolegium Biblijnym Multnomah. Największą jego radością jest głosić Ewangelię po domach. Założył misję „Berean Beacon” (Latarnia Berejska; w Internecie: www.bereanbeacon.org).

Epilog

Pięć biblijnych zasad przebudzenia duchowego

W książce ukazano różne aspekty pięciu biblijnych zasad biblijnego przebudzenia. Na koniec chcę zasady te krótko objaśnić, zwłaszcza w odniesieniu do dzisiejszego katolicyzmu. We wszystkich sprawach wiary i obyczajów autorytetem ostatecznym jest tylko Biblia (zasada pierwsza: *Sola Scriptura*). Przed obliczem Wszechświątego Boga człowiek jest wedle tejże Biblii zbawiony tylko łaską (zasada druga: *Sola Gratia*), tylko przez wiarę (zasada trzecia: *Sola Fide*) i tylko w Chrystusie Jezusie (zasada czwarta: *Solo Christo*). Z tego zaś wynika, że wszelka chwała i uwielbienie należą się tylko Bogu (zasada piąta: *Soli Deo Gloria*). Pan Bóg zwrócił kościołowi uwagę właśnie na te pięć biblijnych zasad, powodując w ciele Chrystusowym wielkie przebudzenie duchowe zwane dziś Reformacją. Historycznie rzecz biorąc, wspomniane pięć zasad było jądrem każdego prawdziwego przebudzenia w łonie kościoła Chrystusowego. Reformatorzy uświadamiali sobie, że zasadniczy problem rodzaju ludzkiego stanowi wina przed obliczem Świętego Boga, nie tylko będąca skażeniem moralnym, ale przede wszystkim mająca charakter prawny, jako wynik złamania prawa. Na podstawie Biblii rozumieli, że przebłaganie za grzech jest konieczne nie tyle dla polepszenia moralnej kondycji człowieka, co przede wszystkim dla prawnego okupienia złamania prawa ustanowionego przez Świętego Boga. I choć polepszenie kondycji moralnej człowieka istotnie następuje po prawnym ogłoszeniu go usprawiedliwionym przed obliczem Świętego Boga, to stanowi ono tego owoc, mieszcząc się zresztą w poselstwie Bożym do człowieka. Prawdziwe przebudzenie nastąpi wtedy, gdy zbawiony człowiek zaufa w pełni tylko dziełu wypełnienia prawa dokonanego przez Chrystusa Jezusa i gdy zjednoczony z Nim nawróci się ze swego grzechu. Wtedy łaska Boża popłynie obficie — i tylko Bóg odbierze wówczas chwałę. Reformatorzy XVI, XVII i XVIII wieku uważali te zasady za podstawę każdej „reformacji”, przebudzenia w ciele Chrystusa. A gdy w świetle tych zasad stawiali kościół w Rzymie, ich słuchacze bez trudu dostrzegali fałsz niewołącego ich systemu i gromadnie opuszczali jego szeregi. Zasady te to probierz prawdziwości nauki, a zatem i probierz prawdziwego przebudzenia: ocknięcia się z iluzji serwowanych przez szatana i z głupoty opisanej w trzecim rozdziale Listu do Galacjan.

Sola Gratia: zbawienie tylko łaską

Biblia ukazuje usprawiedliwienie jako Boży dar dla wierzącego, oferowany na mocy dzieła dokonanego przez Chrystusa na krzyżu.¹ Mówiąc krótko, usprawiedliwienie jest wydaniem przez Boga sprawiedliwego wyroku wobec wierzącego: przed obliczem Świętego Boga zostaje on ogłoszony wolnym od winy za grzech i sprawiedliwym na mocy swej pozycji w Chrystusie. Ten wyrok Boży z prawnego punktu widzenia umożliwia zastępcza śmierć Jezusa za wierzącego i Jego zmartwychwstanie. Usprawiedliwienie jest więc przede wszystkim prawnym wyrokiem Bożym w sprawie wierzącego. Chrystus powiedział:

„Teraz jest sąd świata tego, teraz książę świata tego precz wyrzucony będzie. A ja jeżeli będę podwyższony od ziemi, pociągnę wszystkich do siebie” (J12,31–32).

Usprawiedliwienie — sprawiedliwy wyrok Boży — ma zademonstrować, że Bóg

„Ku okazaniu sprawiedliwości swojej w teraźniejszym czasie, na to, aby on był sprawiedliwym i usprawiedliwiającym tego, który jest z wiary Jezusowej” (Rz 3,26).

¹ Rz 4,5–8; 2Kor 5,19–21; Rz 3,21–28; Tt 3,5–7; Ef 1,7; Jer 23,6; 1Kor 1,30–31; Rz 5,17–19.

Ten sprawiedliwy sąd Boży stanowi sedno rozgłaszanej przez Apostołów Dobrej Nowiny. Sprawiedliwy, a korzystny dla nas wyrok, zapada darmo, wyłącznie dzięki Bożej łasce: ... z uczynków Prawa żaden człowiek nie może dostąpić usprawiedliwienia w Jego oczach. Przez Prawo bowiem jest tylko większa znajomość grzechu. Ale teraz jawną się stała sprawiedliwość Boża niezależna od Prawa, poświadczona przez Prawo i Proroków. Jest to sprawiedliwość Boża przez wiarę w Jezusa Chrystusa dla wszystkich, którzy wierzą. Bo nie ma tu różnicy: wszyscy bowiem zgrzeszyli i pozbawieni są chwały Bożej, a dostępują usprawiedliwienia darmo, z Jego łaski, przez odkupienie, które jest w Chrystusie Jezusie. Jego to ustanowił Bóg narządkiem prześląganania przez wiarę mocą Jego krwi. Chciał przez to okazać, że sprawiedliwość Jego względem grzechów popełnionych dawniej — za dni cierpliwości Bożej — wyrażała się w odpuszczaniu ich po to, by ujawnić w obecnym czasie Jego sprawiedliwość, i [aby pokazać], że On sam jest sprawiedliwy i usprawiedliwia każdego, który wierzy w Jezusa (Rz 3,20–26). Wynika stąd jasno, że każdemu człowiekowi żyjącemu pod prawem brak chwały Bożej, a jego grzechy składają się na kartotekę przestępcy. Lecz Dobra Nowina, wyrażona w wersecie 24, głosi, że usprawiedliwienie człowieka w oczach Boga następuje tylko dzięki odkupieńczemu dziełu Jezusa i jest dawane darmo, jako niemożliwe do osiągnięcia ludzkim wysiłkiem. W swej łasce Bóg sam zapewnia wierzącemu oczyszczenie wobec prawa... Łaska” oznacza darmowy, wielkoduszny dar „na koszt Chrystusa”. To sedno Ewangelii. Istota Ewangelii tkwi przede wszystkim w tym, Kim jest Bóg i jaka jest Jego Święta i Sprawiedliwa natura. Ewangelia ukazuje, że Bóg — z racji tego, Kim jest — sam jedynie może usprawiedliwić wierzących. List do Rzymian mówi, że

„On sam jest sprawiedliwy i usprawiedliwia każdego, który wierzy w Jezusa”.

Jeśli osądzając ludzi według Prawa Bóg Ojciec miałby uznać grzesznika za sprawiedliwego, grzesznik musiałby wieść życie doskonałe w pełnej zgodzie z doskonałym Prawem. Do tego jednak był zdolny tylko Bóg-Człowiek, Chrystus Jezus. I uczynił to. Dzieło jest dokonane. W tym objawiła się miłość Boża w Synu Bożym Chrystusie Jezusie, że dar sprawiedliwości, okupiony przez Chrystusa życiem, jest dziełem dokonany i dawany darmo. Bo komu jest Bóg cokolwiek dłużny? I kto może sprostać Jego wymaganiom względem Prawa? Kto więc może się targować z Bogiem czy Chrystusem Jezusem, wyobrażając sobie, iż może Mu coś zaoferować w zamian za swe usprawiedliwienie?! Taka śmieszna oferta byłaby horrendalną próbą przekupstwa! Biblia zatem raz po raz powtarza, że Bóg darowuje wierzącemu sprawiedliwość Chrystusa darmo, tylko z łaski (Sola Gratia). ... aby w nadchodzących wiekach przemożne bogactwo Jego łaski wykazać na przykładzie dobroci względem nas, w Chrystusie Jezusie.

Łaską bowiem jesteście zbawieni przez wiarę. A to pochodzi nie od was, lecz jest darem Boga: nie z uczynków, aby się nikt nie chlubił (Ef 2,7–9).

A ponieważ z łaski, tedyć już nie z uczynków, inaczej łaska już by nie była łaską; a jeśli z uczynków, jużci nie jest łaska; inaczej uczynek już by nie był uczynkiem (Rz 11,6).

„Gdyż łaską zbawieni jesteście” (Ef 2,5).

„Albowiem okazała się łaska Boża, zbawienna wszystkim ludziom” (Tt 2,11).

„Abyśmy usprawiedliwieni będąc łaską jego, stali się dziedzicami według nadziei żywota wiecznego” (Tt 3,7).

„Lecz nader obfitowała łaska Pana naszego z wiarą i z miłością, która jest w Chrystusie Jezusie” (1Tm 1,14).

„W którym mamy odkupienie przez krew jego, to jest odpuszczenie grzechów, według bogactwa łaski jego” (Ef 1,7).

Herezja pelagiańska

Pelagiusz, brytyjski mnich z drugiej połowy IV wieku (ok. 354–418), żarliwie wzywał do moralności, ascetycznej wstrzemięźliwości i „chrześcijańskiego” samodoskonalenia. Ale zabrakło mu biblijnego zrozumienia zasady „tylko Łaska”. Wierzył, iż natura ludzka ma w sobie moc, by przed obliczem Bożym wieść żywot święty — czyli że człowiek może uzyskać usprawiedliwienie dzięki przestrzeganiu prawa Bożego. Jest to w rzeczywistości niemożliwe. Lecz herezja pelagiańska, którą zwalczał Augustyn, szerzyła się w kościele jak rak. Osią konfliktu między Ewangelią a pelgianizmem jest kwestia duchowej martwoty człowieka i usprawiedliwienia, jakie darmo oferuje Bóg, by rozwiązać ten beznadziejny problem. Spór sprowadza

się do pytania: Czy usprawiedliwienie jest dziełem Boga, czy też dziełem ludzkim? Według Pelagiusza człowiek wymaga tylko naprawy; Biblia ogłasza nas

„umarli w upadkach i w grzechach” (Ef 2,1).

Herezja Pelagiusza święci dziś triumfy w sektach, w kościele rzymskokatolickim i niektórych grupach kościoła ewangelikalnego. XVI-wieczni Reformatorzy podkreślali, iż na podstawie jasnych w swej wymowie tekstów biblijnych (w samym tylko czwartym rozdziale Listu do Rzymian mowa o tym aż 11 razy) Boży dar usprawiedliwienia jest udzielany tylko łaską i zostaje prawnie przypisany danej osobie przez Boga-Sędziego. Właśnie zauważenie tej prawdy zburzyło ongiś pelagiańskie podwaliny Rzymu. Biblijna zasada usprawiedliwienia tylko łaską Bożą podcina też korzenie semipelagianizmu proponowanego przez katolicyzm współczesny.² Rzym chce zastąpić słowa „mocą Bożą ku zbawieniu” słowami „pomocą Bożą ku zbawieniu”, „Moc Boża ku zbawieniu”, o której mówi apostoł w Liście do Rzymian 1,16, to Ewangelia; w niej

„objawia się sprawiedliwość Boża” (werset 17 BT).

Z powodu sprawiedliwości Bożej zaliczonej mu „na koszt”. Jezusa wierzący pełen jest bojaźni, uwielbienia i czci dla Świętego Boga, który sam zadbał o dokonanie na wieki usprawiedliwienia za grzech. To usprawiedliwienie opiera się wyłącznie na sprawiedliwości Chrystusowej (Solo Christo) i jest nieodwołalnie udzielane wierzącemu, którego sam Bóg umieścił w Chrystusie. Sprawiedliwości tej nie można zmniejszyć ani zwiększyć. Wierzący zostaje usprawiedliwiony na mocy „wiecznej sprawiedliwości” (Dn 9,23 BT) Jezusa, danej mu na wieczność; za apostołem Pawłem może zatem śmiało powtórzyć:

„Przeżoż teraz żadnego potępienia nie masz tym, którzy będąc w Chrystusie Jezusie nie według ciała chodzą, ale według Ducha” (Rz 8,1).

W ustępie tym widać jasno zarówno pierwotny, jak i ostateczny cel Boży. Skutkiem „braku potępienia” jest wolność od grzechu i podążanie za Duchem Świętym, a nie ciałem. Gdy osoba tak nawrócona zgrzeszy, czyn ten zakłóca jej więź z Bogiem Ojcem, co musi zostać naprawione (1J 1,8–10). Nie znaczy to, iż osoba ta utraciła status dziecka Bożego w Chrystusie — status ten został jej już bowiem nieodwołalnie przyznany przez Boga Sędziego — lecz że Bóg Ojciec postępuje z takim grzesznikiem jak z dzieckiem, bo z prawnego punktu widzenia jest on przecież Jego dzieckiem. Bóg chłoscze nawróconych, tych, którzy naprawdę do Niego należą, gdyż są oni w Chrystusie.

„A jeżeli jesteście bez karania, którego wszyscy są uczestnikami, tedy jesteście bękartami, a nie synami” (Hbr 12,8).

Jednakże rzymska nauka o łasce zaprzecza prawnej naturze łaski Bożej. Widać to wyraźnie w jaskrawym kłamstwie, jakim jest definicja łaski w nowym Katechizmie Kościoła Katolickiego: Łaska jest pomocą, jakiej udziela nam Bóg, byśmy odpowiedzieli na nasze powołanie i stali się Jego przybranymi synami... [pkt. 2021]³. Przybrania za synów przedstawione w Piśmie Świętym na pewno nie można określić jako cel czy powołanie. Jest ono w całej rozciągłości aktem samego Boga: W Nim [...] wybrał nas przed założeniem świata, abyśmy byli święci i nieskalani przed Jego obliczem. Z miłości przeznaczył nas dla siebie jako przybranych synów przez Jezusa Chrystusa, według postanowienia swej woli, ku chwale majestatu swej łaski, którą obdarzył nas w Umiłowanym.

„W którym mamy odkupienie przez krew jego, to jest odpuszczenie grzechów, według bogactwa łaski jego” (Ef 1,4–7).

W świetle więc pierwszego rozdziału Listu do Efezjan definicja łaski z punktu 2021 Katechizmu jest podstępna, skończoną herezją. To nie człowiek podejmuje się realizacji powołania: przybranie za synów jest aktem samego Boga. Człowiek nie zasługuje sobie na przybranie jakimś własnym dobrem, ale zostaje przez Boga uznany za dziecko w Chrystusie Jezusie wedle upodobania łaski Bożej. Rzym niezmiennie głosi, że podstawą usprawiedliwienia jest własna sprawiedliwość człowieka, a nie prawdziwa Ewangelia o dokończonym dziele Jezusa. Człowiecze dobro nigdy nie było i nigdy nie będzie podstawą czyjegokolwiek uspra-

² Semipelagianizm przyznaje Bogu pewną zasługę w inicjowaniu i wspomaganiu ludzkich wysiłków zmierzających do zbawienia. Przecząc jednak wyłącznej roli łaski Bożej, semipelagianizm jest równie fałszywy jak jego pełna forma. Jesteśmy oczywiście świadomi faktu, że niektóre sobory potępiły pelagianizm i semipelagianizm, a ponieważ kościół rzymski nigdy nie cofnął swej aprobaty dla orzeczeń tych soborów, ma pretekst, aby formalnie twierdzić, że również i dziś potępia nawet semipelagianizm. Te formalne twierdzenia będą jednak bez znaczenia w świetle innych oficjalnych doktryn i praktyk Rzymu, dowodzących katolickiego semipelagianizmu. Ukażemy je w następnym akapicie.

³ Katechizm Kościoła Katolickiego, Pallottinum, 1994. Następne cytaty oficjalnych nauk kościoła rzymskokatolickiego pochodzą z tej samej pozycji; wyjąwszy cytat z Kodeksu prawa kanonicznego.

wiedliwienia przed obliczem Wszechświętego Boga. Podstawą usprawiedliwienia grzesznika w Bożych oczach była i zawsze będzie wierność samego Chrystusa. Gdyby definicja łaski z punktu 2021 była prawdziwa, gdyby z pomocą Bożą człowiek był w stanie „odpowiedzieć na [swoje] powołanie i stał się Jego przybranym synem”, to znaczyłoby, że człowiek może usprawiedliwić się sam. Błędnemu rozumowaniu kładzie jednak kres ustęp z Listu do Rzymian 11,5–6:

„Tak przeto i w obecnym czasie ostała się tylko Reszta wybrana przez łaskę. Jeżeli zaś dzięki łasce, to już nie ze względu na uczynki, bo inaczej łaska nie byłaby już łaską. . .”.

Gdyby istotnie Bóg miał nam pomagać „odpowiedzieć na nasze powołanie”, abyśmy „stali się Jego przybranymi synami”, nikt nie zdołałby zostać Jego synem, gdyż prawo Boże wymaga absolutnej doskonałości — i tylko Jedna Osoba wypełniła je bez zarzutu.

Zasługa

W tym samym artykule, zatytułowanym „Łaska i usprawiedliwienie”, Rzym podaje naukę o zasłudze człowieka: Możemy zasługiwać przed Bogiem jedynie w następstwie dobrowolnego zamysłu Boga, by włączyć człowieka w dzieło swojej łaski. Zasługa jest przede wszystkim dziełem łaski Bożej, a następnie współpracy człowieka. Zasługa człowieka powraca do Boga [pkt. 2025]. Ale w rozdziałach trzecim i czwartym Listu do Rzymian i w licznych innych ustępach Biblii Bóg jasno mówi, iż łaska to Jego wyłączne dzieło, udzielane człowiekowi darmo. W świetle świętego Prawa Bożego łaska zbawienia polega na przypisaniu człowiekowi przez Boga Sędziego sprawiedliwości Chrystusa. W Biblii nie ma mowy o „włączeniu człowieka w dzieło łaski”, jest za to mowa o zaliczeniu wierzącemu sprawiedliwości Chrystusa. Jest ono wyłącznym dziełem samego Boga. „Prawdę Bożą przemienili oni w kłamstwo. . .” Stara herezja pelagiańska trafiła do nowego Katechizmu pod nagłówkiem „Nasze uczestnictwo w ofierze Chrystusa”: Krzyż jest jedyną ofiarą Chrystusa, jednego pośrednika między Bogiem a ludźmi (1Tm 2,5). Ponieważ jednak On w swojej wcielonej Boskiej Osobie zjednoczył się jakoś z każdym człowiekiem⁴, ofiarowuje wszystkim ludziom w sposób, który zna tylko Bóg, możliwość dojścia do uczestniczenia w Misterium Paschalnym⁵. Jezus powołuje swoich uczniów do wzięcia swego krzyża i naśladowania Go, ponieważ cierpiał za wszystkich i zostawił nam wzór, abyśmy szli za Nim Jego śladami (1P 2,2). Chce On włączyć do swojej ofiary odkupieńczej tych, którzy pierwsi z niej korzystają⁶. Spełnia się to w najwyższym stopniu w osobie Jego Matki, związanej ściślej niż wszyscy inni z tajemnicą Jego odkupieńczego cierpienia [pkt. 618]. Ten przewrotnie sformułowany akapit ludzi nadzieją opartą na fałszywej podstawie. Nie znajdziemy w Piśmie Świętym podstaw dla idei „dojścia do uczestniczenia w Misterium Paschalnym”; to wierutne kłamstwo, przeczące powtarzanej wiele razy w Biblii prawdzie, iż dzieła zbawienia dokonał Chrystus „przez samego siebie” (Hbr 1,3), a osiągamy je „niezależnie od pełnienia nakazów Prawa” (Rz 3,28), „Albowiem łaską jesteście zbawieni przez wiarę, i to nie jest z was, dar to Boży jest; Nie z uczynków, aby się kto nie chlubił” (Ef 2,8–9);

„Nie z uczynków sprawiedliwości, które byśmy my czynili, ale podług miłosierdzia swego zbawił nas przez omycie odrodzenia i odnowienia Ducha Świętego” (Tt 3,5).

„Ewangelia dobrych uczynków”, realizowana w klasztorach przez zakonników i zakonnice, jest więc inną ewangelią (Rz 11,6; Ga 2,2).

Przed Reformacją powszechnie przyjętym w kościele sposobem na usprawiedliwienie były pokuty, biczowanie, publiczne spowiedzi, pielgrzymki i inne uczynki oparte na przyjętej przez Rzym niebiblijnej idei naszego współuczestnictwa w ofierze Chrystusa. Według nauki Biblii osoba prawdziwie zbawiona istotnie oczyszcza się, ale następuje to wyłącznie na mocy posłuszeństwa Chrystusa i naszego prawnego statusu jako dziecka Bożego.

„Albowiemście umarli i żywot wasz skryty jest z Chrystusem w Bogu. Umartwiajcież tedy członki wasze, które są na ziemi; wszeteczeństwo, nieczystość, namiętność, złą pożądliwość i łakomstwo, które jest bałwochwalstwem” (Kol 3,3.5).

⁴ II sobór watykański, konstytucja *Gaudium et Spes*, 22.

⁵ *Ibid.*

⁶ Por. Mk 10,39; J 21,18–19; Kol 1,24.

Sola fide: Zbawienie tylko wiarą

Biblia wyraźnie głosi, że to z wiary człowiek zostaje usprawiedliwiony:

„Usprawiedliwieni tedy z wiary, pokój mamy z Bogiem przez Pana naszego, Jezusa Chrystusa” (Rz 5,1).

„Tak jako „Abraham uwierzył Bogu i przyczytano mu to ku sprawiedliwości” (Ga 3,6).

„I był znaleziony w nim, nie mając sprawiedliwości mojej, tej która jest z zakonu, ale tę, która jest przez wiarę Chrystusową, to jest sprawiedliwość z Boga, która jest przez wiarę” (Flp 3,9).

Reformatorzy trzymali się tej biblijnej zasady, sprzeciwiając się mistycyzmowi Rzymu i reprezentowanej przez wielu tak zwanych świętych praktyce dochodzenia do jedności z Bogiem przez kontemplację, spowiedź publiczną i prywatną, samooczyszczenie, posty i inne uczynki. Oznacza to, że w katolicyzmie uzyskanie zbawienia w przedziwny sposób łączy się z czymś, co kościół rzymski już od czasów Reformatorów nazywa, skarbcem Świętych (Kościół). Oto wyjaśnienie tego pojęcia w nowym Katechizmie: Poza tym do tego skarbcza należy również rzeczywiście niewyczerpana, niewymierna i zawsze aktualna wartość, jaką mają przed Bogiem modlitwy i dobre uczynki Najświętszej Maryi Panny i wszystkich świętych, którzy idąc śladami Chrystusa, dzięki Jego łasce, uświęcili samych siebie i wypełnili posłanie otrzymane od Ojca. W ten sposób, pracując nad własnym zbawieniem, przyczynili się również do zbawienia swoich braci w jedności Mistycznego Ciała [pkt. 1477]. Sformułowanie: „dzięki Jego łasce, uświęcili samych siebie” jest znakomitym przykładem pelagianizmu. Równanie pelagianizmu przedstawia się następująco: łaska+uczynki=zbawienie. Jest to jednakże herezja od początku do końca; Biblia bowiem konsekwentnie definiuje wiarę jako wiarę w Jezusa Chrystusa; tak jak to podsumował apostoł Paweł (Dz 20,21): . . . nawołując zarówno Żydów, jak i Greków do nawrócenia się do Boga i do wiary w Pana naszego Jezusa. Wiara w kościół rzymski Lecząc „wiernym” (czyli tak zwanemu laikatowi) kościoła katolickiego wpała się usilnie, że przedmiotem wiary ma być kościół katolicki. W praktyce więc Rzym uczy „wiernych” pokładać wiarę w jego duchowieństwie. Nowy Katechizm stwierdza: Katecheza będzie starać się budzić i podtrzymywać u wiernych wiarę w niezrównaną wielkość daru, jakiego Chrystus Zmartwychwstały udzielił swemu [rzymskiemu] Kościołowi. Tym darem jest misja i władza prawdziwego odpuszczania grzechów przez posługę Apostołów i ich następców [pkt. 983]. Rzym powołuje się tu na autorytet św. Jana Chryzostoma, który pisał, że kapłani otrzymali od Boga władzę, której Bóg nie udzielił ani aniołom, ani archaniołom i że Bóg na wysokościach potwierdza to, co tu na niskości czynią kapłani.⁷ „Wierni” mają polegać na swych kapłanach i ich władzy. Mało tego, „wierni” nie tylko mają żywić wiarę w kościół rzymski i jego kapłaństwo, ale i są zobowiązani do posłuszeństwa wobec swych „świętych pasterzy”. Kodeks prawa kanonicznego ujmuje to tak (kanon 212): To, co święci pasterze, jako reprezentanci Chrystusa, wyjaśniają jako nauczyciele wiary albo postanawiają jako kierujący Kościołem [rzymskokatolickim], wierni, świadomi własnej odpowiedzialności, obowiązani są wypełniać z chrześcijańskim posłuszeństwem.⁸ Nakłanianie do wiary i posłuszeństwa „świętym pasterzom” w sprawach tak ważnych jak odpuszczenie grzechów i usprawiedliwienie w oczach Świętego Boga jest zachętą do bałwochwaltwa, gdyż kardynalnie umniejsza rolę Syna Bożego i Jego wszechwystarczającej ofiary na krzyżu. Przykład takiej arogancji znajdziemy w nowym Katechizmie (pkt. 982): Nie ma takiej winy, nawet najcięższej, której nie mógłby odpuścić Kościół święty. „Nie ma nikogo tak niegodziwego i winnego, kto nie powinien być pewny przebaczenia, jeśli tylko jego żal jest szczery”. Z dalszej treści Katechizmu wynika jasno, że według Rzymu przebaczenie w oczach Świętego Boga ma być ludziom udzielane z postanowienia Rzymu, na mocy prawa udzielonego mu rzekomo przez Chrystusa⁹. Rzym uzurpuje więc sobie rolę Boga-Sędziego, ogłaszając, kto jest w Jego oczach usprawiedliwiony i dlaczego. Ta fałszywa ewangelia odrzuca biblijną naukę o przypisaniu sprawiedliwości Chrystusa wierzącemu na podstawie tylko wiary; Rzym musi zatem zastąpić ją skomplikowanym systemem sakramentów, w tym praktyk pokutnych i odpustów. Siłą rzeczy proponuje więc „inną ewangelię”.

⁷ Por. Jan Chryzostom, O Kapłaństwie, III,5; PG 48,643 A; [w:] Pisma Ojców Kościoła nr 23, Poznań 1949, s. 49.

⁸ Kodeks prawa kanonicznego, Pallottinum, 1984. Wszystkie przytoczone tu kanony pochodzą z tej pozycji.

⁹ Zob. pkt. 976–987 i 1434–1498, w tym o zadośćuczynieniu i odpustach.

Sola Scriptura: Absolutny autorytet Pisma Świętego

Wiele ustępów biblijnych wskazuje na kardynalną prawdę o Słowie Bożym jako ostatecznym probierzu prawdy dla człowieka. Spośród setek takich miejsc w Starym Testamencie zacytujmy werset 8,20 z Księgi Izajasza:

„Do zakonu raczej i do świadectwa; ale jeśli nie chcą, niechże mówią według słowa tego, w którym nie masz żadnej zorzy”

Także w Nowym Testamencie Pan Jezus Chrystus i apostołowie zawsze traktują Słowo Boże jako ostateczny autorytet. Kuszony przez diabła, Jezus trzy razy odpędził go, mówiąc:

„A on odpowiadając rzekł: Napisano: Nie samym chlebem człowiek żyć będzie, ale każdym słowem pochodzącym przez usta Boże” (Mt 4,4).

Wykazując błędy saduceuszów, Pan rzekł:

„Błądźcie, nie będąc powiadomieni Pisma, ani mocy Bożej” (Mt 22,29).

O bezwarunkowym uznaniu przez Pana autorytetu Starego Testamentu świadczą słowa:

„Nie mniemajcie, abym przyszedł rozwiązywać zakon albo proroki; nie przyszedłem rozwiązywać, ale wypełnić. Zaprawdę bowiem powiadam wam: Aż przeminie niebo i ziemia, jedna jota albo jedna kreska nie przeminie z zakonu, ażby się wszystko stało” (Mt 5,17–18).

W noc przed ukrzyżowaniem Jezus prosił Ojca:

„Poświęć je w prawdzie twojej; słowo twoje jest prawdą” (J 17,17).

Jezus powiedział też, że Pisma nie można odrzucić (J 10,35). Sama Biblia składa świadectwo o swej prawdziwości:

„Najprzedniejsza rzecz słowa twego jest prawda” (Ps 119,160);

„Teraz tedy, Panie Boże, tyś sam Bóg, a słowa twe są prawdą, i rzekłeś do sługi twójgo te dobre rzeczy” (2Sm 7,28).

Zapisane w niej Słowo Boże jest „słowem prawdy” (Ps 119,43; 2Kor 6,7);

Bóg powiedział o nim:

„Te słowa są wierne i prawdziwe” (Ap 21,5).

Słowo zawarte w Piśmie Świętym jest nieomyślne we wszystkich dziedzinach, tak ziemskich jak i duchowych (J 3,12). Kto przeczy prawdziwości i nieomyślności Pisma, ten nazywa Boga kłamcą (1J 5,12). Wierzący otrzymał wyraźne polecenie, by poddać swoje myślenie Bogu:

„Podbijając wszelaką myśl pod posłuszeństwo Chrystusowe” (2Kor 10,5).

Faryzeizm

Kościół rzymskokatolicki oficjalnie w taki opisuje swoją władzę absolutną (kan. 750): Wiarą boską i katolicką należy wierzyć w to wszystko, co jest zawarte w słowie Bożym, pisanym lub przekazanym, a więc w jednym depozycie wiary powierzonym Kościołowi, i co równocześnie jako przez Boga objawione podaje do wierzenia Nauczycielski Urząd Kościoła, czy to w uroczystym orzeczeniu, czy też w zwyczajnym uznaniu wiernych pod kierownictwem świętego Urzędu Nauczycielskiego. . . Rzym nie rezygnuje też z tragicznego synkretyzmu, stawiającego na równi tradycję i Pismo Święte, choć praktykę tę Pan Jezus Chrystus potępił. W nowym Katechizmie napisano: „Tradycja święta i Pismo święte ściśle się z sobą łączą i komunikują [...] uobecniają i ożywiają w Kościele misterium Chrystusa, który obiecał pozostać ze swoimi, przez wszystkie dni, aż do skończenia świata” [pkt. 80]. Święta Tradycja słowo Boże przez Chrystusa Pana i Ducha Świętego powierzone Apostołom przekazuje w całości ich następcom. . . [pkt. 81]. Wynika z tego, że Kościół, któremu zostało powierzone przekazywanie i interpretowanie Objawienia, „osiąga pewność swoją co do wszystkich spraw objawionych nie przez samo Pismo święte. Toteż obydwójce należy z równym uczuciem czci i poważania przyjmować i mieć w poszanowaniu”¹⁰. Oto ewidentny przejaw faryzeizmu. Jeśli chodzi o autorytet, Pan — w odróżnieniu od Rzymu — powoływał się zawsze na Słowo Pisma Świętego („Napisano. . .”, „Czy nie czytaliście. . .”). Podobnie apostoł Paweł stwierdził wyraźnie, że „Chrystus umarł zgodnie z Pismem” (1Kor 15,3). Ignorując przykład Chrystusa, kościół rzymski usiłuje jak kiedyś faryzeusze nadać tradycji wagę równą Słowu „znosząc Słowo Boże przez [swoją] tradycję” (Mk 7,13 BT). To Słowo Boże zawarte w Biblii jest absolutnym autorytetem dla ciała Chrystusowego.

„Poświęć je w prawdzie twojej; słowo twoje jest prawdą” (J 17,17).

¹⁰ II sobór watykański, konstytucja Dei verbum, 8.

Solo Christo: Zbawienie tylko w Chrystusie Jezusie

Biblia mówi jasno: zbawienie wierzącego jest tylko w Chrystusie. Wszystkie dobrodziejstwa otrzymuje on na mocy osoby i dzieła Chrystusa, żadnego nie zawdzięczając sobie (Ef 1). Reformatorzy podkreślali zapomnianą wtedy od dawna naukę Pawła, że usprawiedliwienie zostaje darowane wierzącemu przez Świętego Boga-Sędziego tylko dzięki sprawiedliwości Jezusa; to prawny, obiektywny akt wszechwładnego Boga, po którego prawicy zasiada Jego Syn Jezus Chrystus. Wskutek tej biblijnej nauki przypomnianej szerokiemu społeczeństwu przez Reformatorów nastąpiło powszechne odejście od religijnego subiektywizmu, którym kościół rzymski od wieków niewolił zachodnią Europę.

Rzym para się nekromancją (komunią ze zmarłymi)

Pismo głosi, że istnieje tylko jeden pośrednik:

„Boć jeden jest Bóg, jeden także pośrednik między Bogiem i ludźmi, człowiek Chrystus Jezus” (1Tm 2,5).

Rzym jednak proponuje innych pośredników: Maryję i świętych, kierując ludzi ku umarłym, jak gdyby mogli oni pomóc i wstawić się za wierzącymi. Określenie „komunia ze zmarłymi” ukuł sam Rzym; widnieje ono w nowym Katechizmie w punkcie 958, tak też zatytułowanym:

... Uznając w pełni tę wspólnotę całego Mistycznego Ciała Jezusa Chrystusa, Kościół pielgrzymów od zarania religii chrześcijańskiej czcił z wielkim pietyzmem pamięć zmarłych [...] Nasza modlitwa za zmarłych nie tylko może im pomóc, lecz także sprawia, że staje się skuteczne ich wstawiennictwo za nami. Wzywanie na pomoc umarłych, czyli nekromancja, zostało w Biblii wyraźnie zakazane. W Księdze Powtórzonego Prawa 18,9–11 nazwano tę praktykę obrzydliwością w oczach Pana.

W którym skryte są wszystkie skarby mądrości i umiejętności. 4 A toć mówię, aby was nikt fałszywymi dowodami nie oszukał przez wystawną mowę. 5 Bo aczkolwiek nie jestem obecny ciałem, ale duchem jestem z wami, radując się i widząc porządek wasz i utwierdzenie wiary waszej w Chrystusa; 6 Przetoż jakoście przyjęli Pana Jezusa Chrystusa, tak w nim chodźcie, 7 Będąc wkorzeni i wybudowani na nim, i utwierdzeni w wierze, jakoście się nauczyli, obfitując w niej z dziękowaniem. 8 Patrzcież, żeby was kto sobie w korzyść nie obrócił przez filozofię i przez próżne oszukanie, ucząc według ustawy ludzkiej, według żywiołów świata, a nie według Chrystusa, 9 Gdyż w nim mieszka wszystka zupełność bóstwa cielesnie. 10 I jesteście w nim dopełnieni, który jest głową wszelkiego księstwa i zwierzchności,

„Chrystus Bóg, jedyny Pośrednik dla każdego wierzącego, ma w sobie, wszystkie skarby mądrości i wiedzy” (Kol 2,3–10 BT).

Wszystko, co w dawnych świętych było godne pochwały, mile i dobre, zawdzięczali oni Temu, który sam w Sobie wszystko to posiada. Wierzący znajduje pełnię tylko w Tym, który jako Głowa dysponuje wszelką zwierzchnością i władzą (Kol 2,10). Jak sprawiedliwość Chrystusa wszechwystarcza względem wymagań prawa i nie ma potrzeby innego usprawiedliwienia, tak i osoba Jezusa Chrystusa w zupełności zaspokaja potrzebę wstawiennictwa, tak iż nie ma miejsca na żadnego innego orędownika. List do Hebrajczyków 1,3 głosi:

„Który będąc jasnością chwały i wyrażeniem istności jego, i zatrzymując wszystkie rzeczy słowem mocy swojej, oczyszczenie grzechów naszych przez samego siebie uczyniwszy, usiadł na prawicy majestatu na wysokościach”

Próby usprawiedliwienia nekromancji Aby uzasadnić prośzenie zmarłych świętych o wstawiennictwo w niebie, Rzym powołuje się na takie ustępy biblijne jak Hbr 12,1 i Mt 25,21; co widać w nowym Katechizmie: Świadkowie, którzy poprzedzili nas w drodze do Królestwa [por. Hbr 21,1], szczególnie ci, których Kościół uznaje za „świętych”, uczestniczą w żywej tradycji modlitwy przez wzór swojego życia, przez pozostawione przez nich pisma oraz przez swoją modlitwę dzisiaj. Kontemplują oni Boga, wychwalają Go i nieustannie opiekują się tymi, których pozostawili na ziemi. Wchodząc „do radości” swego Nauczyciela, zostali, postawieni nad wieloma” [por. Mt 25,21]. Wstawiennictwo jest ich najwyższą służbą zamysłowi Bożemu. Możemy i powinniśmy modlić się do nich, aby wstawiali się za nami i za całym światem [pkt. 2683]. Nowy Katechizm, jak i inne oficjalne źródła katolicyzmu, zaprzecza więc wprost Słowu Bożemu w Piśmie Świętym. Z Biblii wynika, iż kto umiera w Panu, nie trzusi się już, ale odpoczywa; tak jak napisano w Apokalipsie 14,13:

„Błogosławieni, którzy w Panu umierają — już teraz. Zaiste, mówi Duch, niech odpoczną od swoich móżdżków, bo idą wraz z nimi ich czyny”.

Szereg mówiących o tym ustępów biblijnych nie potwierdza nauki, iż okres między odejściem do Pana w duchu w chwili śmierci a zmartwychwstaniem jest dla wierzących czasem aktywności ¹¹. Za to w Nowym Jeruzalem zmartwychwstali wierzący w ciele i duszy będą panowali wraz z Panem (Ap 22,5).

„Maryja”, o której Biblia milczy

Według nowego Katechizmu Kościoła Katolickiego Maryja jest źródłem świętości. W tym kontekście trudno przecenić wagę reformacyjnej zasady Solo Christo, niezbędnej w prawdziwym przebudzeniu duchowym. Weźmy takie słowa Katechizmu: . . . Od Kościoła [ochrzczony katolik] otrzymuje łaskę sakramentów, która podtrzymuje go „w drodze”. Od Kościoła uczy się przykładu świętości; rozpoznaje jej wzór i źródło w Najświętszej Maryi Dziewicy. . . [pkt. 2030]. Biblia jednak twierdzi, że usprawiedliwienie wierzącego jest tylko w Chrystusie ¹², który zasiada po prawicy Boga. Więcej, sam Bóg jest wzorem i źródłem wszelkiej świętości. Wzywanie w tym celu Maryi i świętych to skończone bałwochwalstwo; dobrodziejstw od nich oczekiwanych może udzielić tylko Bóg. Tym tak zwanym orędownikom przypisuje się należne jedynie Bogu przymioty wszechobecności i wszechwiedzy. Nie trzymając się zasady Solo Christo łatwo damy się usidlić politeizmowi rzymskiej „Maryi” i świętych. Trzeba stać na twardym fundamencie Pisma:

„I nie masz w żadnym innym zbawienia; albowiem nie masz żadnego imienia pod niebem, danego ludziom, przez które byśmy mogli być zbawieni” (Dz 4,12).

Soli Deo Gloria: Chwała należy się tylko Bogu

Piąta biblijna zasada przebudzenia duchowego wynika logicznie z pierwszych czterech. Skoro usprawiedliwienie jest tylko z łaski i następuje tylko przez Boży dar wiary, tylko w Chrystusie i tylko na podstawie autorytetu objawionego Słowa Bożego, to tylko Bogu należy się chwała! Tylko w ten sposób: oddaniem całej chwały Bogu może i pragnie zareagować wierzący. Został przecież przez Boga przeznaczony

„Ku chwale sławnej łaski swojej, którą nas udarował w onym umiłowanym” (Ef 1,6).

Zasada „Soli Deo Gloria” wyraża Drugie Przykazanie. Drugie Przykazanie Boże streszcza ją słowa: „Niech tylko Bogu będzie chwała”. A jednak w kościele rzymskim oraz w innych kościołach toleruje się czynienie i kult obrazów. Dowodzi to braku jasnego zrozumienia tych pięciu podstawowych zasad biblijnego przebudzenia duchowego. W dziejach kościoła zasadę tę traktowano poważnie; przed szóstym stuleciem obrazy były nieliczne. Spór rozgorzał pełną parą w VIII wieku w postaci ikonoklazmu, wreszcie w 787 roku II sobór nicejski zatwierdził obecność całowanych i czczonych obrazów. Katolicki sobór trydencki w 1564 r. posunął się dalej, do obrazów dodając posągi. Wszystko to znajduje wyraz w Katechizmie Kościoła Katolickiego z 1994 roku. Przywódcy Reformacji twardo trzymali się zakazu używania obrazów; jedynie Luter w pewnych wypadkach je dopuszczał. Drugie Przykazanie zakazuje czynienia podobizn Boga i tego, co Boskie. Mojżesz przypomniał Izraelitom:

„I mówił Pan do was z pośród ognia; głos słów słyszeliście, aleście podobieństwa żadnego nie widzieli oprócz głosu” (Pwt 4,12).

Katechizm zachęca do bałwochwalstwa

Dowodzenie, iż „Syn Boży, przyjmując ciało, zapoczątkował nową ekonomię obrazów” (pkt. 2131) i że można używać Jego obrazów i figur, stawia ludzki rozum ponad Słowo Boże. Podobno „cześć oddawana obrazowi odwołuje się do pierwotnego wzoru” (pkt. 2132). Ta podniosła terminologia skrywa w istocie czysty, acz zawoalowany humanizm, bo jest to założenie rodem z myśli platońskiej. Biblia podkreśla, że istota Świętego Boga jest zupełnie

¹¹ Mt 7,22–23; 10,32–33; 25,34–46; 2Kor 5,9–10; Ga 6,7–8; 2Tes 1,8–10; Hbr 9,27.

¹² Kol 2,6–3,3; Ef 1,3–9 i inne miejsca.

inna od Jego stworzeń, stąd nie wolno czynić Jego podobizn. W Księdze Wyjścia 20,23 czytamy:

„Nie będziecie sporządzać obok Mnie bożków ze srebra ani bożków ze złota nie będziecie sobie czynić”.

Lamiących te przykazania zwie Bóg, tymi „którzy Mnie nienawidzą”, przestrzegających ich zaś, tymi „którzy Mnie miłują” (wersety 5 i 6). Pierwsi mogą oczekiwać kary, drudzy błogosławieństwa. (Warto spojrzeć na mapę świata i prześledzić, jak obietnica ta się spełniała). Na widok bożków Paweł „burzył się wewnątrz” (Dz 17,16); biblijni inicjatorzy duchowych przebudzeń to często typowi obrazoburcy: Mojżesz, Eliasz, Jozjasz, Ezechiasz. Izajasz (rozdz. 40, 42, 46, 48) i Eliasz (1Krl 18,27) bez litości kpią z obrazów, ich wytwórców i czcicieli. Bóg wiele razy nakazywał ludowi zniszczyć bałwany; taki jest też pożegnalny nakaz Pana z Pierwszego Listu Jana (5,21): „Dzieci, strzeżcie się fałszywych bogów” [Biblia Gdańska podaje: „bałwanów”].

Wymowa świadectw

Te świadectwa to serdeczny apel do Was, byście zechcieli dostrzec biblijne zasady Boże i uznać je. Ich autorzy głoszą na różne sposoby to samo wezwanie: poselstwo życia wiecznego. Biblia w swym zasadniczym wątku ukazuje złe serce i przestępczą naturę człowieka:

„Albowiem wszyscy zgrzeszyli i nie dostaje im chwały Bożej” (Rz 3,23);

„Najzdradliwsze jest serce nadewszystko i najprzewrotniejsze, któż je pozna?” (Jr 17,9).

Pan Jezus Chrystus sam jeden zapłacił okup za grzech ludu i

„Który będąc jasnością chwały i wyrażeniem istności jego, i zatrzymując wszystkie rzeczy słowem mocy swojej, oczyszczenie grzechów naszych przez samego siebie uczyniwszy, usiadł na prawicy majestatu na wysokościach” (Hbr 1,3).

Nie tylko poniósł pełną karę wymaganą przez sprawiedliwość Ojca za nasze grzechy, ale gdy człowiek jest przez Boga Sędziego umieszczony w Jezusie, zostaje mu zaliczona Jego sprawiedliwość:

„Albowiem on tego, który nie znał grzechu, za nas grzechem uczynił, abyśmy się my stali sprawiedliwością Bożą w nim” (2Kor 5,21).

Zbawienie następuje tylko przez wiarę w Jezusa.

„Albowiem ten, którego Bóg posłał, słowo Boże mówi; boć mu nie pod miarą daje Bóg Ducha. Ojciec miłuje Syna, i wszystko dał w ręce jego” (J 3,34–35).

Według Pisma człowiek z natury ma złe serce i grzeszne konto. Jesteśmy dla Boga martwi od grzechów i niezdolni zrobić nic dla swego zbawienia, ale Jezus ofiarował się na krzyżu za każdą z owiec, raz na zawsze,

„Który grzechy nasze na ciele swoim zaniósł na drzewo” (1P 2,24).

Jego łaska wystarczy, by zmienić Twe serce, abyś mógł Mu zaufać. I da Ci On wolę nawrócenia, i narodzisz się na nowo.

„Co się narodziło z ciała, ciało jest, a co się narodziło z Ducha, duch jest” (J 3,6).

Autorzy świadectw pielęgnowali swą katolicką wiarę w Ameryce, Kanadzie, Irlandii, Anglii, Francji, Hiszpanii, Włoszech, Polsce najszczerczej i z wielkim poświęceniem; ale dzięki Łasce zapragnęli poznać Boga w Duchu i prawdzie. Chcą, aby poprzez to, co zostało powiedziane, Czytelnik usłyszał Jego głos, głos Dobrego Pasterza, który za swe owce oddał życie. Ci z Was, którzy pozostając księżmi bądź braćmi czy siostrami zakonnymi uważają się za zbawionych tylko łaską i polegających tylko na sprawiedliwości Chrystusa Jezusa, pojęli być może, dlaczego w czasie Reformacji tysiące ludzi opuszczało klasztory. I zapewne znają równie dobrze jak ja kanon 702: „Ci, którzy zgodnie z prawem opuszczają instytut zakonny lub zostali z niego prawnie wydalen, nie mogą się od niego niczego domagać za jakąkolwiek pracę w nim wykonaną. . .” Tkwiąc w systemie, nie widzi się dla siebie poza nim żadnych szans. Właśnie z tego powodu tak cenne stają się te świadectwa o wierności Pana. Ojciec troszczy się o każdego. Wzywa nas po imieniu, zaspokaja nasze potrzeby. On, Wszechmocny Bóg, zwraca się do nas:

„Przetoż wynijdźcie z pośrodku ich i odłączcie się, mówi Pan, a nieczystego się nie dotykajcie, a Ja was przyjmę. I będę wam za Ojca, a wy mi będziecie za synów i za córki, mówi Pan wszechmogący” (2Kor 6,17–18).

„Wypełnił się czas i przybliżyło się królestwo Boże: Pokutujcie, a wierzcie Ewangeli!” (Mk 1,15).

Richard Bennett, Portland Oregon 5 II 1996

Drogi Czytelniku wydania polskiego

Myślę, że przewracając stronicie tej książki, doznałeś pokrzepienia. Może zapragnąłeś dowiedzieć się więcej o Bogu, o Jezusie Chrystusie, o Biblii czy o katolicyzmie. A może Twoja potrzeba jest inna, może zadajesz sobie pytanie: „Czy istnieje Bóg, który mógłby mi pomóc?” Bez względu na to, czego oczekujesz, bez względu na to, czy książka sprawiła Ci radość, czy zrodziła pytania i wątpliwości czy też pragnienie posiadania w swej bibliotece kilku jej egzemplarzy dla rodziny, przyjaciół, znajomych księży czy zakonnic, proszę, abys się z nami skontaktował. Jeśli władasz angielskim w piśmie, będę szczęśliwy, gdy napiszesz bezpośrednio do mnie na poniższy adres; możesz napisać również do brata Richarda Bennetta i na którykolwiek adres wymieniony w książce. Możliwość udzielenia Ci pomocy będzie dla nas błogosławieństwem!

Oddany Ci w służbie Panu *Suresh Jeyasingham*

A MISSION TO POLAND

c/o Suresh Jeyasingham

Bredagerl kken 239

5220 Odense S

DANIA

Tel./fax: (0-045) 65 932 463

E-mail: jeyasing@post9. tele. dk

Jeśli chcesz spotkać się z nami- zapraszamy na nabożeństwa w każdą niedzielę o godz. 10 w Warszawie przy Al. Stanów Zjednoczonych 61a (róg Grenadierów, 400 m. od Ronda Wiatraczna) pok. 111 wejście „D”. Zapraszamy do odwiedzenia naszej strony internetowej: www.kosciolbozy.org. Jeśli chcesz się skontaktować z nami, napisz: redakcja@kosciolbozy.org.